



**DOUGLAS
NILES**

**WOJNA
ŚWIATÓW**
NOWE TYSIĄCLECIE

MARSJANIE ATAKUJ!

Douglas Niles

Wojna Światów

Nowe Tysiąclecie

Przełożył Lech Z. Żołędziowski

PODZIĘKOWANIA

Opowieść ta nie powstałaby, gdyby nie pełen wizjonerskiej odwagi geniusz H.G.

Wellsa, jednego z prawdziwych ojców science fiction. Mam wobec niego dług wdzięczności, podobnie jak wobec wszystkich pozostałych – od Orsona Wellesa po George'a Pala – którzy w ciągu następnych stu lat z okładem opowiedzieli jego historię na nowo.

Wielkie dzięki dla Billa Fawcetta, który walnie przyczynił się do realizacji tego przedsięwzięcia. Jestem również ogromnie wdzięczny Brianowi Thomsenowi, którego pewna dłoń na redakcyjnym sterze zapewniła ukształtowanie i dopieszczenie tej opowieści. Natasha Panza z wydawnictwa Tor przeprowadziła tę książkę przez rafa procesu wydawniczego. Redaktorka tekstu, Sara Schwager, wyłapała takie zawstydzające wpadki autorskie, że wolałbym się do nich nie przyznawać.

Wielu moich przyjaciół, kolegów i członków rodziny poświęciło czas na przeczytanie rękopisu i podzieliło się ze mną pomocnymi uwagami i sugestiami, które znalazły odbicie w ostatecznej wersji. Krytyczne uwagi Michaela Dobsona były bardzo wnikliwe i ogromnie przydatne. Generał dywizji, Al Wilkenning z Gwardii Narodowej Wisconsin zechciał podzielić się ze mną swą wiedzą na temat Warthoga A10, co zaowocowało usunięciem z mego tekstu co najmniej jednego błędu rzeczowego. Moi wieloletni przyjaciele z rodziny Baxterów – Betty, Fred, Ian i śp. Ivan Baxter, pomogli mi swą wiedzą z zakresu techniki i komputerów.

Koledzy po piórze z Alliterates Writing Society, zwłaszcza Troy Denning, Rob King, Lester Smith, Don Perrin, Matt Forbeck, Tim Brown i Steve Sullivan, udzielili mi bezcennej pomocy w postaci uczestnictwa w sesjach dyskusyjnych nad kilkoma kwestiami związanymi z pisaniem tej książki. Trzy pokolenia z najbliższej rodziny –

mój ojciec Donald Niles; brat Dirk Niles i syn Dave Niles – przyczyniły się do ukończenia powieści, czytając rękopis i dzieląc się ze mną swoimi uwagami.

Wszystkim im jestem wdzięczny za ich wkład. Cenne uwagi pomogły nadać ostateczny kształt tej książce. Wszelkie pozostałe w niej niedociągnięcia obciążają wyłącznie mnie samego.

Douglas Niles luty 2005

OD AUTORA

Wojna światów w nowym tysiącleciu:

Kiedy w 1898 roku H.G. Wells pisał *Wojnę światów*, nie wiedział jeszcze nic ani o wojnach światowych, ani wojskowej strategii z użyciem czołgów, ani praktycznych sposobach wykorzystania techniki raketowej do badań stratosfery. A jednak wszystkie te elementy znalazły się w fabule jego książki. Choć prawdą jest, że jego pojmowanie rakiet trąci bardziej balistyką, wojownicze trójnogi są mocno uduchowione, a opisywane realia w dużej mierze bazują na ucywilizowanym świecie Wielkiej Brytanii, przez co owa „wojna światów” ma nieco zaściankowy charakter.

Nie ulega jednak wątpliwości, że spod pióra Wellsa wyszedł klasyk gatunku, który dał początek niezliczonym opowieściom o licznych atakujących świat zielonych ludzikach, Ryjkach w *Footfall* Nivena i Pournelle'a czy wirusowych mutantach w *Inwazji* Robina Cooka. Powieść Wellsa trafiła na pierwsze strony gazet z powodu paniki, jaka wybuchła po nadaniu audycji radiowej przez Mercury Theater. W 1949 roku nadana przez radio sztuka spowodowała w Ekwadorze tak gwałtowną reakcję, że śmierć poniosło około dwudziestu osób, a tłum słuchaczy –

rozwścieczony, iż dał się nabrać na fikcyjną inwazję – podpalił radiostację.

Kinową wersję powieści George Pal umieścił w Los Angeles, w telewizji zaś pojawił się na krótko serial, który powinien był nosić tytuł *Wojna światów* –

następne pokolenie. Niewątpliwie takie przeboje filmowe jak *Dzień Niepodległości* czy *Marsjanie atakują!* też wywodzą się z tradycji Wellsa, a antologia *Wojna światów – globalne doniesienia* przedstawia obraz tego, co dzieje się w innych częściach świata równoległe z wydarzeniami opisywanymi przez Wellsa.

Ale co by było, gdyby wydarzenia opisane w krótkiej powieści Wellsa rozegrały się dzisiaj...?

Co wyglądałoby inaczej...?

Jaki obrót przybrałaby inwazja przy wykorzystaniu dostępnej dziś, nowoczesnej broni i globalnej techniki informacyjnej, dzisiejszej wiedzy o podróżach kosmicznych i badań kosmosu...? I wreszcie – jak współczesna technika literacka mogłaby udoskonalić samą intrygę fabularną, występujące w niej postaci i miejsca akcji?

Bo z góry wiadomo, że człowiek i społeczeństwo jak zwykle staną na wysokości zadania, wykorzystując swą pomysłowość, technikę i po prostu szczęście.

Świat w nowym tysiącleciu rządzi się innymi prawami... które Wells być może mógłby zaakceptować. Bardziej jednak prawdopodobne, że nie potrafiłby zaakceptować współczesnego człowieka tak, jak nie akceptował ludzi sobie współczesnych.

W książce *Wojna światów*. Nowe tysiąclecie mamy do czynienia z jeszcze jedną kluczową różnicą: by świat mógł dobrze funkcjonować, Wells nie powinien w ogóle publikować *Wojny światów*, a wtedy taki świat byłby jeszcze bardziej zdeprawowany niż nasz.

PROLOG

Obraz na ekranach telewizorów całego kraju był ostry i bardzo rzeczywisty.

Mimo iż stanowił tylko animację komputerową, wyglądał jak żywy.

Miliony widzów oglądały, jak statek kosmiczny pod niewielkim kątem uderza w rdzawą powierzchnię planety, a grawitacja i wystrzelony spadochron wyginają jego tor lotu w długi, płaski łuk. Rozwarły się pokrywy komory w kształcie muszli i nim jakiś kilometr dalej statek ponownie uderzył w powierzchnię, na zewnątrz został

wyrzucony kosmiczny próbnik. Oderwany zewnętrzny zasobnik znieruchomiał na powierzchni, wznecając obłok pyłu, podczas gdy jego zawartość odbiła się, opadła i ponownie odbiła.

Przy każdym zetknięciu z powierzchnią srebrzysty wielościan wytracał

stopniowo prędkość, by wreszcie potoczyć się po rdzawej płaszczyźnie.

Obłożona poduszkami amortyzującymi bryła w końcu znieruchomiała, sadowiąc się z nerwowym wzdrygnięciem na swym dłuższym boku.

Przez chwilę słychać było syk powietrza uchodzącego z poduszek do rzadkiej atmosfery planety. Potem zahuczały silniczki i srebrzyste płyty osłonowe zaczęły się otwierać. Górne płaszczyzny wysunęły się na boki i w dół, zakrywając opróżnione poduszki amortyzacyjne i ukazując zawartość zasobnika. Tkwiąca wewnątrz niekształtna konstrukcja zdawała się przez chwilę nieufnie węszyć w nieznanym otoczeniu, potem boczne płaszczyzny jedna po drugiej oparły się pod kątem o podłoże tak, że próbnik znalazł się na szczycie metalowego podwyższenia sterczącego kilkadziesiąt centymetrów nad rozległą, suchą powierzchnią planety.

Dopiero wtedy rozległ się głos sprawozdawcy.

– Animacja ta, opracowana przez naukowców z Laboratorium Napędów Raketowych w Pasadenie, odtwarza dość wiernie to, co teraz dzieje się naprawdę w odległości ponad stu sześćdziesięciu milionów kilometrów od Ziemi. – Obraz raptownie przeskoczył na pucułowatą, rozpromienioną twarz sprawozdawcy. Jay Manstein był tak podniecony, że niemal podskakiwał. – Próbnik, który widzicie, a jest to najbardziej technicznie zaawansowany robot, jaki ludzka myśl i inwencja stworzyły, właśnie zabiera się do pracy. Spójrzcie tylko, co to cudo potrafi.

Na ekran powróciła animacja. Nad korpusem próbnika wyrosła niewielka kamera, która spokojnym, pewnym ruchem zaczęła omiatać horyzont. Jak animowany na filmie rysunkowym peryskop wysunięty przez łódź podwodną, kamera rozglądała się wokół, wszystko rejestrując.

– Obiektów kamery odbiera, a jej cyfrowa pamięć rejestruje na kolejnych obrazach wszystkie szczegóły roztaczającego się wokół ponurego, zupełnie martwego krajobrazu – zachłystywał się Manstein. – Nigdy wcześniej człowiek nie odważył się zajrzeć tak głęboko w marsjański grunt! Po obu stronach obrazu widzicie potężne, zbudowane warstwowo ściany, które ciągną się przez wiele kilometrów, na tej samej wysokości. Obracając się niemal niedostrzegalnie, kamera robi pełny obrót, a jej potężny teleobiektyw z automatycznym zoomem wychwytuje klatka po klatce wszelkie detale odległych ścian i grzbietów. Potem oko kamery rozszerzy się, migawka się rozewrze i obiektyw

przekaże szeroki panoramiczny obraz ogromnej suchej Doliny Marinerów – najgłębszego kanionu w naszym Układzie Słonecznym.

Manstein przerwał i zaczerpnął powietrza, wiedząc, że uniesienie, z jakim mówi, jest w pełni uzasadnione. Był to jego wielki moment, ukoronowanie wieloletniej kariery, którą poświęcił uświadamianiu widzom potęgi i głębi niezbadanych przestrzeni kosmicznych. Rzucił okiem na notatki i podjął opowieść, wiedząc, że zostało mu już tylko kilka minut na dotarcie do sali wykładowej, w której zapowiedziano konferencję prasową.

– Wypełniając misję o stopniu złożoności, precyzji i wyobraźni będących bez precedensu w dotychczasowych dziejach podboju kosmosu, próbnik sam wybrał ten wyboisty, skalisty fragment powierzchni Marsa na lądowisko. W chwili obecnej komunikuje się z bazą, wysyłając do niej potwierdzenie – swego rodzaju pozdrowienie typu „szkoda, że was tu nie ma” – i odbierając za pośrednictwem pomocniczej anteny cyfrowe sygnały z opóźnieniem zaledwie kilku sekund. Ta antena niewielkiej mocy znajduje się na krańcu pola zasięgu potężnej anteny zamontowanej na Mars Global Surveyor, jednym z dwóch amerykańskich sztucznych satelitów krążących po stałej orbicie wokół Czerwonej Planety.

Ponieważ główny maszt anteny komunikacyjnej osiągnie pełną wysokość dopiero za kilka godzin, na razie próbnik nie jest w stanie komunikować się bezpośrednio z Ziemią i dlatego korzysta z pośrednictwa MGS jako potężnej stacji nadawczej –

swego rodzaju przekaźnika w międzyplanetarnym systemie komunikacji, który w sposób ciągły wysyła strumień sygnałów na odległość ponad stu sześćdziesięciu milionów kilometrów przestrzeni kosmicznej.

Dziesięć minut później sygnały te zostały komputerowo rozkodowane i przetworzone na zapierające dech w piersiach fotografie w Laboratorium Napędów Raketowych w Kalifornii, na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, na planecie Ziemia.

– Udało się! – wykrzyknęła ciemnowłosa operatorka. Zerwała się z krzesła, klaszcząc w dłonie i rozglądając z uśmiechem po sali, w której wszyscy też zaczęli bić brawo.

– Przepiękne zdjęcia! Carlo, jestem gotów cię ucałować – rozległ się donośny głos Boba Wolfe'a, dyrektora misji Próbnik Vision. Jego potężna, niedźwiedzowata sylwetka górowała nad wszystkimi w obszernym pomieszczeniu kontroli, a on w zachwycie rozłożył swe potężne ręce, by uścisnąć ulubioną pracownicę.

– Okej, Bob, ale tylko ten jeden raz! – Nieduża, puciołowata operatorka objęła ramionami szefa i cmoknęła go prosto w usta, co wśród obecnych na sali wywołało nową falę owacji, braw, uścisków i gestów triumfu.

Carla Gonzalez, zwana przez kolegów „Speedy”, obciągnęła sweterek, poprawiła okulary i lekko zarumieniona wróciła do klawiatury, jednak aplauz na sali jeszcze się wzmógł. Dwóch specjalistów od fotografii wykonało radosny taniec przed ogromnymi, ściennymi ekranami, na których ukazywały się odbierane zdjęcia.

Papierowy samolocik przeleciał nad przednim rzędem monitorów i otarł o łysinę Boba Wolfe'a, który natychmiast radośnie pomachał do Derika Whittena, pokrytego siatką zmarszczek kontrolera misji, siedzącego w głębi sali i już zajętego składaniem następnego papierowego pocisku.

Carla zerknęła na szefa z chytrym uśmiechem.

– Właściwie możemy to jeszcze raz powtórzyć, jak odbierzemy obrazy spod powierzchni, nie sądzisz?

– Już jesteśmy umówieni – przytaknął Wolfe, ogarniając jej ramiona swą olbrzymią ręką. – Na razie pooglądaj sobie ten pokaz slajdów na żywo! Muszę pogadać do kamer. Jak wrócę, pomyślimy, co nam jeszcze zostało do zrobienia, zanim pchniemy naszego urwisa w drogę. – Przejechał wzrokiem po dwudziestu kilku uszczęśliwionych twarzach swoich naukowców. – Dobra robota, panowie!

Ściągnijcie teraz jak najwięcej zdjęć!

Gdy wyszedł i ruszył korytarzem w stronę sali wykładowej, wydawało się, że mimo swej postury płynie w powietrzu. Nim jeszcze pojawił się na mównicy, wśród uczestników konferencji prasowej wrzało jak w ulu. Reporterzy wciąż się jeszcze schodzili, ale ściany obstawione już były licznymi kamerami telewizyjnymi reprezentującymi wszystkie ogólnokrajowe sieci, kilka stacji lokalnych, a także programy specjalistyczne w rodzaju Discovery Channel i National Geographic.

Gdy Wolfe, szef naukowy LNR, z szerokim uśmiechem na twarzy zaczął zbliżać się do mównicy, wszystkie obiektywy natychmiast skierowały się na niego. Nim zdążył dotrzeć do mikrofonów, z sali padły pierwsze pytania.

– Doktorze Wolfe! Czy jest pan już gotów ogłosić sukces misji?

– Jaki nastrój panuje wśród kontrolerów misji?

– Czy były jakieś komplikacje?

– Kiedy Vision rozpocznie wiercenie?

– Proszę państwa – zaczął Wolfe, uzupełniając dobrotliwy uśmiech uspokajającym gestem ręki i powodując, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki całe audytorium raptownie ucichło. W takich chwilach jego postura okazywała się bardzo przydatna i Wolfe nauczył się z niej korzystać w kontaktach z prasą, a także ze swymi podwładnymi i szefami. Jego wyraźnie radosny nastrój i bijące z twarzy zadowolenie zdawało się wprawiać zazwyczaj optymistycznie nastawionych dziennikarzy w jeszcze większą euforię. – Chciałbym najpierw wygłosić krótkie oświadczenie, potem z przyjemnością odpowiem na państwa pytania.

Wyciągnął z kieszeni na piersiach zmiętoszony kawałek papieru – jak zawsze miał na sobie białą koszulę bez krawata i założony na nią luźny kitel laboratoryjny –

i bez pośpiechu rozprostował go na mównicy. Zanim skończył rozprostowywanie kartki i kilkakrotnie odchrząknął, na sali zapadła głucha cisza, którą zakłócały jedynie elektroniczne melodyjki telefonów

komórkowych i szum urządzeń nagrywających. Rozbłysły światła kamer, słuchacze zajęli się nastawianiem palmtopów i wszelkich innych pomocy używanych we współczesnej komunikacji elektronicznej.

– Próbnik marsjański numer trzy, robot nazywany przez nas Vision, dotarł do Doliny Marinerów w wyniku operacji, którą wolno mi uznać za perfekcyjne lądowanie. Oczywiście z uwagi na zaskakującą i jak dotąd niewyjaśnioną utratę próbników numer jeden i dwa nasz optymizm jest dość ostrożny, jednak pierwsze sygnały odebrane z Vision pozwalają mieć uzasadnione nadzieje na przyszłość i już teraz stanowią ogromny krok naprzód na drodze ku lepszemu zrozumieniu geografii Marsa.

– Doktorze Wolfe? – Mówca lekko się skrzywił, rozpoznając głos Josha Hickama z „Atlanta Journal-Constitution”. Będąc pijawką od lat przyssaną do NASA, Hickam oczywiście nie potrzebował zachęty i bez wahania kontynuował. –

Czy może pan nas zapewnić, że Vision nie spotka taki sam dramatyczny los, jaki stał się udziałem misji Spirit i Opportunity?

– Josh, myślę, że wie pan doskonale, iż oba te próbnyki i tak znacznie przekroczyły pierwotnie zakładany czas funkcjonowania. .. – zaczął Wolfe.

– Ale potem oba nagle zniknęły wam z pola widzenia – przerwał reporter. – I to w okolicznościach, które nigdy nie zostały dokładnie wyjaśnione. Czy nie obawia się pan, że to samo może stać się z Vision?

– Obie awarie wcale nie są niewyjaśnione! – powiedział Wolfe z naciskiem, starając się panować nad sobą i wiedząc jednocześnie, że w jego głosie pojawiają się groźne pomruki przynależne jego niedźwiedziowatej posturze. – Były spowodowane naturalną entropią wywołaną odkładaniem się pyłu na kolektorach słonecznych, działaniem wysokich temperatur i tego typu rzeczami.

Hickam coś sobie zapisał, zapewne usatysfakcjonowany tym, że udało mu się sprowokować mówcę i wywołać reakcję, o jaką mu chodziło. Bob Wolfe zaczerpnął

powietrza i zaczął kontynuować oświadczenie. W jednym z pierwszych rzędów zauważył Jaya Mansteina, znanego mu od lat entuzjastę programu kosmicznego, i teraz uśmiechnął się do niego, nagradzając jego pełną zachwyty minę. Wiedział, że cały kraj z podobnie nabożnym entuzjazmem obserwuje wydarzenia w kosmosie i następne słowa skierował wprost do eksperta astronomicznego CNN.

– Jeśli spojrzycie państwo na ekran za moimi plecami, zobaczycie pierwszą serię niezwyklejch fotografii. Przedstawiają widok najgłębszego kanionu w całym Układzie Słonecznym – pięciokrotnie głębszego niż nasz Wielki Kanion. Mają znacznie lepszą rozdzielczość i dużo większą głębię ostrości niż dotychczasowe fotografie z powierzchni Marsa. Pozwalają mieć nadzieję na przeprowadzenie zupełnie nowych badań i dokonanie nowych fantastycznych odkryć. Dzięki nim mogliśmy już teraz stwierdzić, że hematytowa powierzchnia, która najwyraźniej rozciąga się w całym kanionie, kiedyś

zawierała wodę. Na pionowych ścianach widać uwarstwienie, które dowodzi historii planety liczonej w miliardach lat.

Mamy oczywiście świadomość, że podstawowy potencjał naukowy misji tkwi w podjęciu wierceń. Oznacza to, że po raz pierwszy podejmiemy próbę wwiercenia się w głąb skorupy planety. Liczymy, że uzyskane w ten sposób dane pozwolą ustalić, jak dawno temu występowała na Marsie swobodnie płynąca woda, jak również pomogą nam lepiej zrozumieć, co się właściwie stało z tymi niegdyś rozległymi morzami...

*

W ciągu kilku następnych dób Vision mościł się na swej platformie, przypominając szykującego się do startu dragstera. Potężny maszt anteny komunikacyjnej wysunął się na pełną wysokość i dostroił do sygnałów dochodzących z odległej Ziemi. Dzięki niej strumień przekazywanych danych wzrósł stukrotnie w stosunku do pierwszych nieciągłych sesji nadawczych za pośrednictwem satelity Mars Global Surveyor.

Upewniwszy się, że stabilność całego układu jest bez zarzutu, Speedy Gonzales wysłała do sześciokółowca sygnał polecający mu opuszczenie platformy i zjechanie na czerwonawą powierzchnię planety, ogromny pośpiech zaś, z jakim przystąpiła do tego manewru, stanowił potwierdzenie jej przydomku. Robot mógł poruszać się z maksymalną prędkością blisko dwudziestu metrów na godzinę.

Sterowanie robotem było zadaniem niesłychanie skomplikowanym, nie odbywało się bowiem w czasie rzeczywistym. Gonzales mogła jedynie wysłać sugestie do potężnego elektronicznego mózgu maszyny, a ten sam decydował o tym, które z nich wykona. Z uwagi na dziesięciominutowe opóźnienie w przekazie sygnałów, operatorka mogła jedynie wydawać ogólne polecenia, takie jak kierunek posuwania się. Za samo sterowanie ruchami próbnika odpowiedzialny był jego komputer, który za pomocą kamer umieszczonych z przodu i z tyłu sprawdzał

ukształtowanie terenu. Po przeanalizowaniu obrazów w elektronicznym mózgu próbnik sam wybierał najwłaściwszy tor jazdy i tylko informował Ziemię o podjętych decyzjach.

Po stoczeniu się z platformy sześć kół próbnika zaczęło gładko pokonywać płaską powierzchnię dna kanionu, a jego kamery czujnie monitorowały tor jazdy i odnotowywały wszelkie ewentualne przeszkody. Podczas mroźnych, pozbawionych światła słonecznego nocy marsjańskich próbnik zamierał w bezruchu, oszczędzając w ten sposób energię i utrzymując podwyższoną temperaturę tylko w skrzynce sterowniczej, co zapobiegało zamarznięciu delikatnych elementów elektronicznych.

Z nastaniem świtu baterie słoneczne zaczynały ładować akumulatory, co dla Vision oznaczało początek kolejnego dnia prac badawczych. Z wyjątkiem zapasowego nadajnika radiowego w module fotograficznym, wszystkie urządzenia próbnika funkcjonowały ze stuprocentową sprawnością.

Mijały kolejne dni – choć na Marsie nieco wolniej niż na Ziemi, jako że jeden pełny obrót Czerwonej Planety trwa dwadzieścia cztery godziny, trzydzieści siedem minut i dwadzieścia siedem sekund mierzone na ziemskim zegarze. Posuwając się jedynie za dnia, Vision oddalał się coraz bardziej od

ładownika i w ósmym dniu osiągnął pierwszy pełny kilometr przebytej drogi. Automatyczne ramię robota sięgało ku pokrytym pyłem skałom i zeszkrobywało pokrywającą je warstewkę tlenku żelaza – hematytu – a także zbierało odłamki skalne, które następnie miażdżyło w celu dokonania analizy ich składu mineralnego. Inne systemy próbnika bombardowały powierzchnię planety promieniami rentgenowskimi i dokonywały analiz w podczerwieni i ultrafiolecie, oraz – co było nowym pomysłem, po raz pierwszy zastosowanym w Vision – wysyłały radarowe sygnały zarówno wokół siebie, jak i w głąb marsjańskiego gruntu.

W ciągu trzech tygodni misji próbnik przebadał w ten sposób obszar ponad stu kilometrów kwadratowych, sunąc w różne strony po dnie kanionu i zbliżając się do jednej z ogromnych urwistych ścian. Potężna antena wysyłała ciągły strumień danych z szybkością, na jaką pozwalała praca kamer, spektrometrów, mini-TES-ów

[(ang. Thermal Emission Spectrometer) – minispektrometr emisji termicznej] i innych urządzeń analizujących

ogromną

liczbę

informacji

zbieranych

przez

wysoce

wyspecjalizowane przyrządy. Mars Global Surveyor pełnił funkcję niezawodnej stacji przekaźnikowej i wysyłał w przestrzeń kosmiczną strumień binarnych kodów.

Jednocześnie satelita wykonywał serię własnych zdjęć badanego obszaru, co pozwalało porównywać obrazy uzyskiwane na powierzchni planety z widokiem z lotu kosmicznego ptaka.

Przesyłane dane trafiały do komórek naukowych LNR i były rozsyłane po całym kraju do laboratoriów uniwersyteckich i ośrodków NASA w Houston oraz w Waszyngtonie, gdzie je analizowano, badano, porównywano i rozkładano na czynniki pierwsze. Bob Wolfe nie mógł – jak to określił – otrząsnąć się z podziwu nad jakością i różnorodnością uzyskiwanych danych, a także z racji bezbłędnego funkcjonowania próbnika.

Program misji był niesłychanie ambitny. Próbnik miał nie tylko zbadać powierzchnię Marsa, ale po raz pierwszy w historii bezzałogowa sonda miała podjąć próbę wwiercenia się w głąb marsjańskiego gruntu. Dzięki specjalnemu teleskopowemu mechanizmowi Vision był w stanie zajrzeć aż na trzydzieści metrów w głąb. Przesyłane dane trafiały do zespołu ekspertów złożonego z geologów, astronomów, metalurgów, mechaników i techników, a nawet kilku weteranów poszukiwań ropy naftowej. Zespół je analizował, by na tej podstawie podjąć najbardziej kluczową dla całej misji

decyzję: w którym miejscu rozpocząć wiercenie dziury w Marsie. Wszystkie argumenty za i przeciw – a także zgłaszane obawy i zastrzeżenia – trafiły na biurko Boba Wolfe'a, który cały jeden dzień spędził za zamkniętymi drzwiami w towarzystwie Derricka Whittena, ślęcząc nad tabelami i mapami sporządzonymi na podstawie danych dostarczonych przez Vision.

W końcu podjęli decyzję i wybrali miejsce. Carla poprowadziła robota w wybrany rejon, posuwając się z niebywałą, wręcz ryzykowną prędkością jednego kilometra na godzinę. Kołyszając się i obracając sześcioma kołami w przód i w tył, próbnik usadowił się w wybranym miejscu na tyle stabilnie, na ile to było możliwe.

Potem na ponad trzydzieści godzin znieruchomiał i zajął się dokładnym obfotografowywaniem wybranego

miejsca akcji oraz przeprowadzaniem

ponownych analiz promieniami rentgena i analiz spektrograficznych.

Przez następne kilka godzin robocze ramię robota wysuwało się powolnym, precyzyjnie kontrolowanym ruchem, aż jego koniec wparł się w grunt marsjański jakiś metr w bok od korpusu Vision. Dopiero wtedy zamontowane zostały na nim skomplikowane urządzenia wiertnicze, dzięki czemu na końcu ramienia znalazł się metalowy pręt o długości trzech metrów, czyli dwukrotnie wyższy od samego próbnika. Wygląd Vision często porównywano do wózka golfowego, teraz więc przybrał kształt wózka doczepionego do niewysokiego słupa telefonicznego.

Wewnątrz owego słupa ożyły silniki, stopniowo opuszczając zaostrzoną końcówkę wiertniczą. Z wyglądu przypominała zwyczajne wiertło do betonu i wreszcie dotknęła powierzchni planety. Utwardzona końcówka z węglików bez trudu zagłębiła się w luźną, wierzchnią warstwę pyłu i żwiru i zaczęła łatwo posuwać się w dół, póki czterdzieści siedem centymetrów niżej nie natrafiła na twarde skaliste podłoże.

Wysoki, jękliwy dźwięk szybkoobrotowego wiertła zagłębiającego się w litą skałę byłby nieznośny dla uszu, gdyby wszystko to działo się w przewodzącej dźwięki atmosferze ziemskiej. Tu, na Marsie, dźwięk prawie natychmiast się rozpraszał w niemal próżniowej, rozrzedzonej i zmrożonej atmosferze.

Rozchodził się natomiast dużo lepiej w skalistym podłożu pod powierzchnią planety.

– Mamy pewny odczyt do głębokości siedemdziesięciu trzech metrów –

poinformował Derrik Whitten, przyglądając się serii pojawiających się na ekranie liczb.

– A co z temperaturą? Nie powinniśmy zrobić przerwy na jakąś godzinę? – spytał

Wolfe. Dyrektor krążył nerwowo wokół swego stanowiska szefa misji. W

pomieszczeniu kontrolnym panowała cisza, ale czuć było wiszące w powietrzu napięcie. W pobliżu nie kręcili się żadni reporterzy, i to nie tylko dlatego, że w Kalifornii był teraz środek nocy. W

Dolinie Marinerów było akurat południe i tylko to się teraz liczyło.

– Wszystkie dane są w normie. Pewnie to jedna z korzyści wiercenia w zmrożonej skale. Myślę, że możemy pójść jeszcze z metr głębiej i wtedy zrobimy przerwę do jutra.

– Jak uważasz, Derrick. Na razie ty tu rządysz.

Wolfe odwrócił się i znów zaczął krążyć. Jak było do przewidzenia, zrobił ledwie kilka kroków, po czym zawrócił i spojrzał nad ramieniem kolegi na ekran, po którym płynął nieprzerwany ciąg liczb.

– A co nam mówią fotografie? – zapytał Whitten, chcąc choć na chwilę pozbyć się taktownie dyrektora. – Widać jakiś tuman pyłu czy coś w tym rodzaju?

– Sprawdź. – Wyraźnie zadowolony, że ma coś konkretnego do zrobienia, a przynajmniej, że może podążać w określonym kierunku, Wolfe podszedł do stanowiska odbioru fotografii. Na zdjęciach widać było miejsce wiercenia i istotnie wokół kolumny wiertniczej unosił się niewielki obłok pyłu, choć nie tak gęsty, by przeszkadzać zamontowanym pod spodem próbnika kamerom w stałym monitorowaniu potencjalnych zagrożeń. Wolfe wiedział oczywiście, że tak jak wszystkie dane dotyczące wiercenia, również oglądany obraz jest sprzed dziesięciu minut. Analogicznie każde wysłane przez nich polecenie trafiało do elektronicznego mózgu robota z dziesięciominutowym opóźnieniem. Z tą myślą w głowie ruszył z powrotem ku stanowisku Whittena i jego zespołu.

– Derrick, myślę jednak, że powinniśmy dać mu trochę odpocząć. Tak z godzinę albo dwie. Poczekajmy na aktualne dane.

– Tak jest, szefie. – Whitten kiwnął głową. Sięgnął po myszkę, szybko przywołał

nowy ekran i zaczął wpisywać polecenia dla urządzenia wiertniczego. – Wycofam je powoli, żeby nie zahaczyć o coś końcówką. Gdyby coś się stało, mielibyśmy kłopot z wezwaniem ślusarza.

– Prawda.

– Panie dyrektorze? – Usłyszeli głos jednej z operatorek obrazu.

– Co jest, Chris? – rzucił Wolfe, podchodząc do jej stanowiska.

Chris Rasmussen wyciągnęła doskonale wymanikiowany palec w stronę ekranu.

– Wygląda, jakby obłok pyłu zaczął się przesuwać na zachód. Ciekawe, czy to nie znaczy, że zaczął się wiatr.

Na ekranie pojawił się obraz – dobrze im znany czerwony krajobraz marsjański –

na którym widać było smugę pyłu ciągnącą się od dołu i wychodzącą poza górną krawędź ekranu. Kamera skierowana była w dół, ale jej pole widzenia obejmowało jakieś dziesięć do dwudziestu metrów wokół próbnika.

– Unieście kamerę. Zobaczmy, czy uda nam się spojrzeć nieco dalej. Jestem ciekaw, czy ta chmura pyłu nie jest większa, niż nam się zdaje.

– Bob! Chodź tu, szybko! – Whitten siedział wpatrzony w odczyt danych z urządzenia wiertniczego. W jego tonie było coś takiego, że Wolfe puścił się biegiem, choć Whitten już zdążył obrócić pokrętko i zaczął coś szybko pisać na klawiaturze.

– Gwałtownie wzrasta temperatura. Dużo szybciej, niż by to wynikało z samego tarcia, chyba że natrafiliśmy na coś cholernie twardego.

– Zatrzymaj wiertło! – krzyknął Wolfe, choć wiedział, że Whitten i tak już to zrobił. Jeszcze nigdy nie odczuł tak boleśnie zwłoki między wysyłką danych przez próbnik a dotarciem do niego poleceń z Ziemi. – Co tam widzisz? – zawołał w stronę Chris Rasmussen.

– To samo, co chwilę... O cholera! Obraz zniknął! Na ekranie mam tylko śnieg.

Bob Wolfe podniósł wzrok ku panoramicznemu ekranowi ściennemu, na którym ukazywały się na żywo kolejne obrazy. Na jego oczach obraz zniknął i ekran pokrył

się tylko rozbłyskami statycznych szumów. I dlatego nie zaskoczyło go, gdy sekundę później Derrick Whitten wygłosił swą naukową diagnozę zaistniałej sytuacji:

– Szefie, coś się chyba spieprzyło.

KSIĘGA I

BOG WOJNY

JEDEN

Kwiecień

Delbrook Lake, Wisconsin

20 kwietnia

Patrząc na datę w kalendarzu i uprzytamniam sobie, że dziś mija dokładnie rok, od kiedy się to wszystko zaczęło.

20 kwietnia. Data, która zaczęła żyć własnym życiem, tak jak 7 grudnia [7. XII. 1941

– data japońskiej inwazji na Pearl Harbor, funkcjonująca w amerykańskiej świadomości jako Pearl Harbor Day] czy 11 września. Nie trzeba nawet dodawać roku.

Dopiero później dowiedziałem się, że tego dnia urodziny obchodził też Hitler.

Był to także dzień, w którym Tim McVeigh zdecydował się wysadzić budynek federalny w Oklahoma City, i dzień, kiedy – w innym roku – nastoletni mordercy urządzili strzelaninę w szkole w Columbine w Kolorado. Rok temu moja córka skończyła trzydzieści sześć lat, ale jak zwykle zapomniałem do niej zadzwonić. W

tym roku oczywiście nie ma sprawy, bo nie działają żadne telefony.

Ale historycznie rzecz biorąc, 20 kwietnia był po prostu kolejnym zwykłym dniem. Nie było w tej dacie nic szczególnego i kalendarz nawet mi nie przyszedł do głowy, gdy tamtego wieczoru zdecydowałem się na wyjście z domu. Skłonił mnie do tego pierwszy w tym roku pogodny i niezbyt zimny wieczór. („Niezbyt zimny”

musiało mi wystarczyć, jako że w Wisconsin wieczory robią się ciepłe dopiero w czerwcu. Ale tamtego 20 kwietnia było na dworze wyjątkowo przyjemnie).

Nazywam się Mark DeVane i jestem emerytowanym profesorem astronomii.

Mieszkam samotnie na wsi, pisuję artykuły i od czasu do czasu książki, jestem z tego stanu bardzo zadowolony. Ale tego dnia od rana męczył mnie wiosenny niepokój.

Nie miałem żadnych telefonów ani gości, a psy Browne'a na szczęście łaskawie były cicho.

Z nastaniem zmroku nie opuścił mnie stan wewnętrznego podniecenia. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, poszedłem do gabinetu na piętrze, rozstawiłem statyw i teleskop, uwalniając je z zimowej banicji, założyłem traperki i lekką kurtkę.

Wyruszyłem przez las w stronę łąki sąsiada, rozkoszując się wciąż wyczuwalnym w powietrzu ciepłem po pogodnym dniu. Noc była bezksiężycowa, przyświecałem więc sobie latarką trzymaną w lewej ręce, krocząc wijącą się, wąską ścieżką.

Dotarwszy do łąki, zgasilem latarkę, bo nad głową miałem mnóstwo jasno świecących gwiazd i kopuła nieba była wystarczająco rozświetlona.

No i nie chciałem, by Browne zauważył światło i stwierdził, że ktoś obcy kręci się po łące. Moja

ostatnia rozmowa z nim była dość nieprzyjemna, nie bez powodu.

Jego psy dobrały mi się do śmietnika i rozwlokły śmieci, więc zdecydowanie zażądałem, by trzymał te swoje cholerne kundły z dala od mojego domu.

Natomiast moje wtargnięcie na jego pagórek było dla niego całkowicie nieszkodliwe. Przechodząc przez podmokły fragment łąki u stóp wzgórza, zamoczyłem sobie trochę buty, ale samo zbocze było suche i dobrze utwardzone.

Pachniało już wiosną – mieszaniną wilgoci, ziemi spulchnionej przez glisty i efektami fotosyntezy podczas słonecznego popołudnia. Drzewne żabki na mokradłach po drugiej stronie wzgórza skrzeczały jak najęte.

Rozstawiłem teleskop i skierowałem go na południowo-wschodni wycinek nieba. Połyskując dobrze znaną czerwieńią, przedmiot mego zainteresowania wyróżniał się na niebie nienaturalnie jasnym blaskiem i świecił jak latarnia wśród lampek. Mars znajdował się wyjątkowo blisko Ziemi, a orbity obu planet znalazły się po tej samej stronie Słońca. Stąd, ze szczytu trawiastego wzgórza, miałem na niego niczym niezakłócony widok.

Zdjąłem okulary, pochyliłem się i kilkoma ruchami teleskopu odnalazłem mój cel. Ostrość była prawie dobra i wystarczyła jedynie drobna korekta, by rdzawa tarcza ukazała mi się w pełnej krasie.

Obraz planety zapierał dech w piersiach i stanowił najbardziej fantastyczny widok, jaki kiedykolwiek widziałem na nocnym niebie. Jak porażony nie mogłem oderwać wzroku. Z niezwykłą wyrazistością widać było wszystkie słynne szczegóły powierzchni. Wielka pręga Doliny Marinerów – najgłębszego kanionu w całym Układzie Słonecznym – dostrzegalna była jak głęboka rysa na rdzawym tle. Widać też było obrysy znanych kraterów i mogłem nawet rozróżnić szczegóły na pograżonych w cieniu fragmentach w pobliżu krawędzi planety, gdzie trwał już zachód słońca.

Obraz ten wielokrotnie stanowił temat moich wykładów ilustrowanych zawsze serią powiększonych slajdów, by w ten sposób wzbudzić zainteresowanie audytorium złożonego ze znudzonych studentów. Niewielki obraz w okularze teleskopu był nieporównywalnie bardziej urzekający niż jakiegokolwiek powiększenia.

Świadomość, że mam przed oczyma prawdę – rzeczywisty obraz planety – była tak cudowna, że mimo iż przeżyłem na tym świecie ponad pół wieku, byłem nią wciąż zafascynowany.

Poczułem w prawym oku zmęczenie i zdałem się na lewe. Po jakichś dziesięciu minutach wyprostowałem się, założyłem okulary i trochę się pogapiłem w niebo, podziwiając Mleczną Drogę z pierwszymi wiosennymi symptomami wspaniałego letniego spektaklu. Tylko na zachodzie tuż nad horyzontem widniała świetlista, półkolista mgiełka, która zakłócała idealny obraz nieba i stanowiła lunę nad Madison. Na południu wciąż jeszcze widać było Oriona, choć zbliżał się już czas jego okresowej niewidoczności. Powietrze było tak przejrzyste, że bez trudu można było wyróżnić poszczególne gwiazdy Małej Niedźwiedzicy.

Wśród tych wszystkich wspaniałości Mars i tak był najjaśniejszym punktem na niebie, dodatkowo

wyróżniając się spośród miliona srebrzystobiałych światełek swym czerwonym zabarwieniem. Jak ómę do światła znów przyciągnął mnie teleskop. Musiałem go odrobinę przestawić, by podążać za moim celem, który w tym czasie przesunął się nieco na niebie (a ściślej mówiąc, ruch obrotowy Ziemi przesunął

mnie i mój teleskop na tyle, że Mars wyszedł na chwilę poza pole widzenia teleskopu). Ale już go znów miałem i teraz wydał mi się jeszcze jaśniejszy, cieplejszy i bardziej rzeczywisty, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażałem. Gdyby wtedy czas stanął w miejscu lub gdyby sprawy potoczyły się inaczej, to spektakularne olśnienie mogłoby na zawsze pozostać w mej pamięci.

Nagły błysk stanowił nieprzyjemny zgrzyt w mojej słodkiej sielance. Białozółta iskra rozbłysła w rejonie równikowej Doliny Marinerów i trwała tak krótko, że zacząłem się nawet zastanawiać, czy mi się nie przywidziała. Jednak była na tyle wyraźna i trwała na tyle długo – dwie, może trzy sekundy – że nie mogła być tylko optycznym złudzeniem. (Później, po przeprowadzeniu dokładnej analizy całej sekwencji zdarzeń, NASA ogłosiła, że każdy z kolejnych rozbłysków trwał od 1,8 do 2 sekund). Wpatrywałem się w planetę, niemal żebrząc o powtórkę i jakiś sygnał, który pozwoliłby mi zrozumieć to niezwykle zjawisko. Tak bardzo nie chciałem oderwać wzroku, by czegoś nie przegapić, że poczułem narastający ból w kręgosłupie i zapowiedź skurczu mięśni w nogach. Wspaniała czerwona planeta całkowicie przykuła moją uwagę swym majestatycznym blaskiem.

Czyja przypadkiem nie zaczynam fiksować?

Psy Browne'a zaczęły nagle ujadać i już po chwili odpowiedziały im kojoty, których jodłowanie zdawało się dochodzić jednocześnie ze wszystkich stron. Zerwał

się wiatr, który bez trudu wcisnął mi się pod kurtkę i przypomniał, że zima jeszcze na dobre nie odeszła. Mimo to wciąż trwałem na posterunku i tylko co jakiś czas szybko zmieniałem oko, aż wreszcie ból kręgosłupa stał się nie do zniesienia. Mars spoglądał na mnie obojętny, czerwony i daleki.

Cóż, przynajmniej wciąż był czerwony.

Przyszło mi do głowy, że chyba niepotrzebnie tracę czas – może przeczuwałem, że sprawy będą się dziać i tak bez mego udziału. Pospiesznie spakowałem się, zbiegłem ze wzgórza i wkroczyłem na leśną ścieżkę, potykając się mimo przyświecania sobie latarką. Poczułem dziwną nadzieję, że wychodząc z domu, zapaliłem światło na ganku. Oczywiście nie zrobiłem tego, co było zrozumiałe, jako że wychodziłem z teleskopem pod pachą jednak ciemne okna i głucha cisza, która mnie powitała po otwarciu drzwi na patio, dziwnie mnie spięły. Przeszedłem od razu do gabinetu i włączyłem komputer, potem jednak obszedłem cały dom i pozapalałem mnóstwo świateł. Dopiero wtedy wróciłem i zasiadłem przed jarzącym się monitorem.

Odczekałem, aż modem wyda z siebie nieodzowną serię skrzeków i pisków podczas logowania do łącza internetowego. (Kocham mieszkać w wiejskiej głuszy, ale ceną jaką przychodzi mi za to płacić, jest korzystanie z całej masy kabli telefonicznych, które mnie łączą z najbliższym miastem. Łącza kablowe i inne nowoczesne wynalazki są tylko dla mieszczuchów).

Zacząłem od oficjalnej strony internetowej NASA, jednak nie było na niej żadnych wiadomości z ostatniej chwili. Przeniosłem się na www.space.com i tam znalazłem pierwsze potwierdzenie mojej obserwacji. U góry strony migał tekst: „20

kwietnia o godzinie 10:55 EDT [(ang. Eastern Daylight Time), CDT (ang. Central Daylight Time) – Wschodni (Centralny) Czas Dzienny.] na Marsie zaobserwowano nietypowy rozbłysk światła”.

Pierwszą moją reakcją było uczucie ulgi – chyba naprawdę byłem niespokojny, że mogło mi się coś przywidzieć. Przynajmniej ktoś inny też to widział. Zacząłem surfować po sieci, trafiłem do mego ulubionego forum czatowego na tematy astronomiczne i zostałem natychmiast nagrodzony.

WIDZIELIŚCIE TO? – brzmiał nagłówek w portalu www.starboyz.org.

WYBUCH NA MARSIE! – wołał inny napis w ramce.

DZIWNY BŁYSK. ZAUWAŻYŁAM TO O 9:55 CDT. POTWIERDŹCIE ZE

KTOŚ INNY TEZ TO WIDZIAŁ! – prosiła miłośniczka gwiazd Luna z Iowy, niezbyt przejmując się ortografią.

Na jej apel zgłosiło się wielu naocznych świadków, których relacje z grubsza pokrywały się z moją obserwacją ale także sporo niedowiarków, którzy oskarżali ich o rozpowszechnianie fałszywych i niebezpiecznych informacji. W ciągu następnych dziewięćdziesięciu minut liczba naocznych świadków szybko jednak wzrosła i to ich relacje zaczęły wkrótce dominować. Jednocześnie niedowiarkowie zaczęli się stopniowo wycofywać i na koniec zostało już tylko kilku najzagorzalszych, którzy nadal obstawali przy swoim i przypuszczali coraz zjadliwsze ataki.

Przeglądając wypowiedzi, utwierdziłem się tylko we wcześniejszym przekonaniu, że portal Starboyz jest odwiedzany głównie przez amatorów, a z podpisów wynikało, że brak wśród uczestników przedstawicieli poważnych obserwatoriów czy liczących się uczelni. Było wprawdzie dopiero koło północy, ale warto też było zajrzeć gdzie indziej.

Przeniosłem się na portal CosmicCowgirl, gdzie spodziewałem się znaleźć nieco bardziej rzeczowe wypowiedzi. I rzeczywiście Cowgirl zawierał dobry, merytoryczny opis wydarzeń, a także początek debaty nad tym, co mogło spowodować ten nagły rozbłysk światła na odległej planecie. Poświęciłem trochę czasu, by przeczytać większość zamieszczonych wypowiedzi i komentarzy.

Zazwyczaj nie czepiam się szybkości pracy mojego modemu, ale pamiętam, że tamtego 20 kwietnia irytowało mnie czekanie na ładowanie się kolejnych fragmentów, które każdorazowo trwało piętnaście czy dwadzieścia sekund.

W zasadzie wszyscy piszący byli zdania, że mieliśmy do czynienia z wybuchem wulkanu – bardzo krótkotrwałym, ale niezwykle gwałtownym. Sam już wcześniej zastanawiałem się nad tą hipotezą, jednak miałem poważne wątpliwości. Jakim cudem wybuch mógłby trwać tak krótko i tak szybko zgasnąć? Czyż jeden z marsjańskich sztucznych satelitów – Amerykanie mieli dwa, Europejczycy trzeciego

– nie odebrałby wcześniejszych sygnałów w podczerwieni lub w widocznym paśmie o zbliżającej się tak potężnej erupcji? Cisnęło mi się do głowy mnóstwo pytań i wątpliwości związanych z tą teorią, tyle że w to miejsce nie potrafiłem zaoferować żadnego innego logicznego wytłumaczenia.

I dopiero jeden z dyskutantów na CosmicCowgirl wspomniał po raz pierwszy o czymś, co w tym momencie zabrzmiało jak herezja.

Pamiętacie jesień zeszłego roku, kiedy trwała jeszcze misja Vision? Zaczęli wiercić i weszli na kilka metrów w dno kanionu. A potem nagle wszystko się rypło, i to był koniec misji.

Wszyscy przypuszczaliśmy, że wystąpiła wtedy jakaś techniczna usterka. A jeśli to Marsjanie wkurzyli się na nas, że im wciąż podsyłamy jakieś sondy? I jeśli to oni wysłali teraz swoją, która leci do nas, żeby się z nami policzyć?

Ja tam w każdym razie wybieram się w góry!

Orion 2333

Myśl ta wzbudziła natychmiastową reakcję i zaowocowała kilkudziesięcioma ostrymi napaściami na autora. Niektóre z nich wprawiły mnie w prawdziwe zdumienie i pamiętam, jak mruczałem pod nosem, że ludzie podchodzą do takich spraw zbyt pryncypialnie. Było też kilku, którzy poznali się na żarcie i podjęli wątek, jednak cały temat dość szybko poszedł w zapomnienie. Internauci odwiedzający portal Cowgirl na ogół nie szukali tematów do żartów.

Odwiedziłem jeszcze kilka innych portali. Associated Press już znalazła się na miejscu i na ich stronie widniał pulsujący banner z informacją o zdarzeniu (w moim komputerze miałem na stałe ustawioną ich stronę, na której zamieszczali wiadomości dotyczące astronomii i kosmosu). To spowodowało, że przenieśliem się do telewizora i włączyłem CNN. Po kilku minutach pojawiła się wzmianka o błysku i po raz pierwszy zobaczyłem jego fotografię. Najwyraźniej ktoś filmował niebo przez teleskop, z tego filmu wykorzystano pojedynczą klatkę.

Błysk był, no cóż, jak to błysk. Kropelka światła dochodzącego z głębi Doliny Marinerów, dokładnie z miejsca, gdzie je widziałem. Z jakiegoś powodu na zdjęciu nie wyglądało to wcale tak groźnie. Obraz bardziej przypominał skazę na zdjęciu, jakby zadrapanie na kliszy, które przybrało wygląd świecącego punktu.

Zrobiła się już druga w nocy i wprawdzie nawet spojrzełem na telefon, bo korciło mnie, żeby zadzwonić do Alex, ale wiedziałem, że ją oczywiście zbudzę. A po tym wszystkim, co się dziś w nocy wydarzyło, przypuszczałem, że czeka ją wczesna pobudka.

Postanowiłem porozmawiać z nią później. Wyłączyłem komputer i pogasiłem światła, choć – co było dla mnie dość nietypowe – zostawiłem zapaloną lampę na ganku.

– Starzejesz mi się, profesorze – mruknąłem pod nosem.

Potem poszedłem spać.

21 kwietnia

Waszyngton

Alexandria DeVane po omacku wymacała na nocnym stoliku telefon, którego dzwonek wytrącił ją ze snu. Uchwyciła palcami słuchawkę, potrząsnęła głową, by ją uwolnić z pajęczyny snu, odchrząknęła i dopiero wtedy powiedziała:

– Halo? Tu Alex.

Mimo to jej głos zabrzmiał chrapliwie, jak u zaby cierpiącej na nieżyt gardła.

– Alex? Tu Bob Wolfe.

– Doktor Wolfe? Prze... przepraszam. Już spałam. W czym mogę pomóc? –

Cholera, zabrzmiało to, jakby była wystraszoną dziewczynką, która za coś przeprosza, a przecież tak naprawdę to chciała mu powiedzieć, że jest wściekła, bo ją obudził. Uniosła się na łóżku do pozycji siedzącej i bezgłośnie westchnęła. Nie było sensu robić tego głośno. Wolfe był takim stuprocentowym zarozumialcem, że jej złość spłynęłaby po nim jak po kacze.

– To znaczy, że pewnie jeszcze nic nie wiesz? – Wprawdzie zabrzmiało to jak pytanie, ale Wolfe nie czekał na odpowiedź. Prawdę mówiąc, w jego głosie brzmiała niemal dziecinna radość. Gdyby było trochę później, mogłaby to nawet uznać za całkiem sympatyczne. – Na górze zdarzyło się coś niezwykłego!

Już całkiem się rozbudziła i wbrew samej sobie poczuła rosnącą ciekawość.

– W przestrzeni? Czy na planecie? – Dla obojga słowo „planeta” oznaczało Marsa. Wolfe był dyrektorem misji Próbnik Vision z ramienia LNR. DeVane, jako specjalna asystentka dyrektora NASA, była dla szefostwa misji prawdziwym guru.

Do jej obowiązków należała koordynacja działań Sił Powietrznych USA, NASA i LNR, ze szczególnym uwzględnieniem współpracy tych agencji na rzecz przyszłej wyprawy człowieka na Marsa. Do wyprawy takiej zostało jeszcze co najmniej dwadzieścia lat, ale Alexandria już teraz zajmowała się tym tematem w pełnym wymiarze godzin.

„A właściwie, nawet więcej niż w pełnym” – pomyślała, zerkając na zegarek.

Była dopiero 4.05.

Wolfe już rozpoczął opowieść o rozbłysku na Marsie, a mówił o nim z takim zaangażowaniem, że szybko rozwiał jej początkowe podejrzenia, że to jakaś pomyłka.

– Mamy setki naocznych świadków, głównie amatorów, ale kilku poważnych ludzi też nastawiło

wczoraj przyrządy na Marsa. O ile wiem, na Wschodnim Wybrzeżu panowały wczoraj idealne warunki do obserwacji nieba. Właściwie nawet się dziwię, że ty nie robiłaś tego.

Wiedziała, że naprawdę tak myśli. Wolfe nie był takim sobie zwykłym nocnym markiem. Był prawdziwym maniakiem nocnego nieba.

– Należę do tego gatunku ludzi, którzy czasem muszą się trochę przespać –

mruknęła sucho, wiedząc jednocześnie, że zawartą w jej słowach ironię słyszy tylko ona.

– Spać? Będiesz jeszcze miała mnóstwo czasu na sen. Możesz jutro przespać cały dzień. A to jest wielka sprawa!

Pomyślała od razu o swym szefie w NASA. Martin Koch korzystał z niej jako źródła wszelkich informacji na temat Marsa i wiedziała doskonale, że jutro nie będzie dla niej dniem odpoczynku. Tyle że Wolfe miał rację co do jednego: to była naprawdę wielka sprawa. A w każdym razie, tak to zostanie potraktowane w jej środowisku. I zapewne przyciągnie uwagę mediów. Wolfe przeszedł tymczasem do sformułowania i odrzucenia hipotezy o wybuchu wulkanu, cały czas zalewając ją z szybkością karabinu maszynowego potokiem słów. Mimo swego zaspania pozwoliła mu zarazić się entuzjazmem, choć jej rola sprowadzała się głównie do słuchania.

Ale słuchając, jednocześnie myślała: Co na świecie – na jakimkolwiek świecie –

mogłoby wywołać takie zjawisko? Przez chwilę miała nawet ochotę zadzwonić do ojca i poprosić go o radę, o komentarz, nawet o puszczenie wodzy fantazji. Ale szybko jej ta ochota minęła. Już dawno temu zrozumiała, że mimo jego dużej wiedzy z zakresu astronomii, w swoich problemach mogła liczyć tylko na siebie.

Kiedy Wolfe wreszcie się rozłączył – była pewna, że musi jeszcze obdzwonić wiele osób – Alex była już na dobre rozbudzona. Zaczęła krążyć po mieszkaniu w nocnej koszuli i puszystych kapciach, starając się przeanalizować w myślach wszystkie możliwe przyczyny pojawienia się na powierzchni Czerwonej Planety krótkiego, jasnego rozbłysku. Tyle że tak naprawdę możliwych przyczyn było bardzo niewiele: aktywność wulkaniczna, odbicie światła słonecznego i wybuch wywołany uderzeniem meteoru lub asteroidy w zasadzie wyczerpywały tę listę. A co do każdej z tych ewentualności miała poważne obiekcje.

Z zamyślenia ocknęła się pod prysznicem, co widać znaczyło, że jej organizm uznał, iż dzień pracy już się zaczął. Gorąca woda postawiła końcówki jej nerwów na baczność, a umysł nie przestał pracować, nawet gdy włączyła telewizor i wsypała sobie do miseczki porcję cheerios. Wybrała CNN i z grymasem niechęci wysłuchiwała wiadomości o katastrofie lotniczej w Urugwaju oraz codziennej porcji zamachów terrorystycznych na Bliskim Wschodzie. W końcu u dołu ekranu pojawił się płynący napis:

NAUKOWCY

ZAOBSERWOWALI

ŚWIATŁA NA POWIERZCHNI MARSA.

Temat nie został rozwinięty – następna wiadomość dotyczyła już podejrzenia uprowadzenia nastolatki w Tennessee – ale pomyślała, że w miarę budzenia się kraju, zainteresowanie na pewno wzrośnie. Widać zjadła swoje cheerios, bo miseczka stała pusta, odstawiona na krawędź kuchennego stołu. Nie chciało jej się czekać na kolejne strzępy informacji – wiedziała, że jeśli wyruszy teraz, to uda jej się dotrzeć do biura przed porannym szczytem. Wiedziała, że Mike Koch zażąda od niej informacji i będzie chciał je dostać natychmiast. A ponieważ na razie nie miała dla niego żadnych odpowiedzi, wiedziała, że tego ranka czeka ją wyczerpująca praca.

Jak co dzień bez większego zastanowienia nałożyła coś na siebie, choć gdy stanęła przed lustrem i spojrzała na swą szczupłą sylwetkę odzianą w czarne spodnie i biało-czerwony sweterek, uznała, że wygląda całkiem nieźle. Poświęciła jednak trochę czasu na wyszczotkowanie ciemnoblonde włosów i upięcie ich, jak zwykle, w koński ogon, co było typowym dla niej „niezobowiązującym” uczesaniem, po czym ruszyła do wyjścia.

Drzwi windy rozsunęły się i jak zawsze po twarzy Alex przemknął cień uśmiechu na widok jej zabytkowego firebirda stojącego pośród cadillaków, beemek, volvo i mercedesów, którymi jeździli pozostali lokatorzy budynku. Gdy czekała na podniesienie się automatycznej bramy garażu, strażacka czerwień jej samochodu odbiła się rumieńcem na policzkach kobiety. Na dworze było jeszcze ciemno i ruch dopiero zaczynał ożywać, dzięki czemu już po pięciu minutach pędziła wiaduktem prowadzącym na autostradę I-365. Całą drogę do mostu nad Potomakiem przejechała, nie schodząc poniżej stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Zwolniła nieco dopiero na moście. Wystarczyło tylko kilka razy przeskoczyć z pasa na pas i już była przy zjeździe z autostrady prowadzącym do dystryktu. Do budynku administracji NASA przy E Street miała już tylko kilka przecznic.

Pięć minut później – w godzinach szczytu zajęłoby to dobre pół godziny –

wkroczyła do wnętrza ogromnego gmazyska ze szkła i betonu, uśmiechnęła się do strażnika z nocnej zmiany i wyciągnęła identyfikator. Mężczyzna spojrzał na ścienny zegar i zdziwiony uniósł brwi.

– Nieczęsto mam okazję panią witać, pani doktor – powiedział, uśmiechając się miło, co nie przeszkodziło mu dokładnie sprawdzić identyfikator. – Mamy jakieś kłopoty ze snem?

– Coś w tym rodzaju.

Nie było jeszcze szóstej, gdy już siedziała za biurkiem, z werwą zabierając się do pracy. Załatwiła jakieś zaległe e-maile i wniosła poprawki do projektu pisma zostawionego jej na biurku przez jedną ze stażystek. Cały czas zerknęła na telefon, który zadzwonił punktualnie o 8.30. Tożsamość dzwoniącego zupełnie jej nie zaskoczyła.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – powiedziała.

– Alex? Pewnie już słyszałaś o tej historii z Marssem? – Głos Martina Kocha brzmiał rzeźsko, ale chyba było w nim jeszcze miejsce na drugą poranną filiżankę kawy.

– Kilka godzin temu zadzwonił do mnie Bob Wolfe. Ale jeszcze nic nie widziałam. Czy ktoś to sfotografował?

– Pokazują coś w CNN. Kadr z jakiegoś amatorskiego filmu. Niestety, naszych satelitów nie było w tym rejonie i gównem zobaczyły. Natomiast ja chcę zobaczyć ciebie.

– Już jestem na dole. Będę u pana za pięć minut.

Gdy wkraczała do jego gabinetu – oczywiście najbardziej eleganckiego w całym budynku – Koch już na nią czekał. Z dwóch okien rozciągał się widok na gmach Kapitolu i rejon Białego Domu, którego jednak nie było widać, bo zasłaniały go wyższe budynki. Dyrektor często wspominał, że wystarczyłoby zburzyć kilka nieciekawych, choć może zabytkowych ruder, a miałby z okien widok na dwa najładniejsze budynki w całym Waszyngtonie. Alex zawsze wolała myśleć, że tylko tak żartuje.

Mike Koch – jego nazwisko z jakiegoś powodu wymawiało się „Kuk” – był

potężnie zbudowanym mężczyzną, który objął to stanowisko z politycznego nadania obecnego prezydenta. Przeniesiono go ze stanowiska pierwszego wiceprezesa firmy Northrup Grumman, co oznaczało przeprowadzkę kilka kilometrów na północ, na drugą stronę Potomacu. Przenosząc się, zaproponował pracę w nowej firmie swej młodej i utalentowanej specjalistce od zarządzania wielkimi projektami. Doktor Alexandria DeVane została jego asystentką do zadań specjalnych, ze szczególnym uwzględnieniem planowanego na dalszą przyszłość Załogowego Lotu na Marsa, przez wtajemniczonych zwanego w skrócie ZLM.

Uśmiechnął się na widok Alex – jak zresztą uśmiechał się na widok wszystkich swoich gości – i potężną dłonią pokazał, że ma usiąść przy biurku. Odchylił się do tyłu wraz z fotelem, splótł serdelkowate palce na brzuchu wielkości beczki z piwem, obrzucił ją spojrzeniem i wzruszył ramionami.

– No to mi teraz powiedz, co się tam, do cholery, dzieje?

– Wygląda na to, szefie, że wszyscy zadają sobie to pytanie. – Omówiła pokrótce swoje trzy hipotezy, nie próbując przy tym ukrywać sceptycyzmu co do aktywności wulkanicznej i refleksu światła słonecznego. – Najbardziej przemawia do mnie uderzenie potężnego meteoru lub znacznej wielkości asteroidy. Jeśli tak było naprawdę, w miejscu uderzenia powinniśmy dojrzeć krater.

Koch pokręcił głową.

– No więc nic z tego. Rozmawiałem z Wolfe'em jakąś godzinę temu. Nie ciebie jedną wyrwał dziś ze snu, choć cieszę się, że najpierw zadzwonił do ciebie. Zdążyli już przestawić Hubble'a i obejrzeć to miejsce. Ich zdaniem na powierzchni nie ma żadnych śladów.

Alex wiedziała, że „oni” może równie dobrze oznaczać „one”, ale postanowiła puścić to mimo uszu. Jak na inteligentnego faceta, w pewnych sprawach bywał

okropnie gruboskórny. A i tak ważniejsze było meritum sprawy, zdawało się bowiem eliminować jedyne – jej zdaniem – możliwe do przyjęcia wytłumaczenie rozbłysku na Marsie.

– Obawiam się, że nie mam nic więcej do powiedzenia. Ale chętnie się temu przyjrzę nieco dokładniej.

– W porannej gazecie napisali, że to była erupcja wulkanu – powiedział to wyraźnie prowokacyjnym tonem.

– Może. Ale wtedy powinniśmy uzyskać jakiś odczyt w podczerwieni, który pomoże przyjrzeć się temu bliżej. Bo jeśli była to erupcja wulkanu, stanowiłaby największą sensację od czasu, gdy profesor Lowell odkrył na Marsie kanały.

– Nie sądzę, żeby to był wulkan. Nie bardzo mi to pasuje. – Koch potrząsnął

wielką głową i wpatrzył się w Alex z błyskiem w oku. – A może kosmici postanowili wreszcie zabrać się do roboty?

– Jeśli to sprawka kosmitów – parsknęła Alex – nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje. Ale zajmę się tym i pogrzebię we wszelkich dostępnych źródłach.

Zobaczmy, co nasze i europejskie satelity mają do powiedzenia. Zbiorę i porównam relacje wszystkich naocznych świadków, którzy się odezwali. Tego typu rzeczy.

– Świetnie, o to właśnie chodzi. Podejrzewam, że sam Wielki Boss zażąda raportu na ten temat, a Bóg mi świadkiem, że tego rodzaju kłasek może doprowadzić media do szaleństwa. Bo co innego mają te łachudry do roboty? W każdym razie, teraz wszystko inne na twoim biurku schodzi na dalszy plan. Nie lubię tajemnic, a to jest tajemnica zbyt kojarząca się z miejscem zniknięcia Vision. Zajmij się sprawą, żebym już nie musiał się tym martwić, dobrze?

– Już się robi, szefie. – Oczywiście, mogła się tym „zająć”, ale wiedziała, że i tak nie przestanie się martwić.

Była już w drodze do drzwi, gdy usłyszała jego głos.

– Bo niewykluczone, Al, że dzięki tej sprawie uda nam się wydębić dodatkowe fundusze, które o dobrych kilka lat przyspieszą twoje działania. Możesz jeszcze dożyć ZLM, nim zostaniesz babcią.

– Nie mam zamiaru zostać babcią – parsknęła ze śmiechem przez ramię.

Wróciła do siebie i przystąpiła do gromadzenia wszelkich dostępnych informacji.

Zaczęła od gazet. Zarówno „New York Times”, jak i „Washington Post” na pierwszych stronach zamieściły notatki o zdarzeniu. W żadnej z nich nie znalazła niczego nowego, ale widać było, że sprawa zaintrygowała i laików, i naukowców.

Może więc Koch wiedział, co mówi, kiedy wspominał o przyspieszeniu jej działań.

Załogowy lot na Marsa był głównym długofalowym zadaniem Alexandrii DeVane w NASA. Wprawdzie była na etacie w agencji, ale utrzymywała ścisłą współpracę z zespołem Boba Wolfe'a z LNR, będącego agendą NASA, a do jej obowiązków należało też pilnowanie, by Siły Powietrzne USA były na bieżąco zorientowane we wszystkich sprawach dotyczących Czerwonej Planety. Wiedziała, że dziwne zjawisko na powierzchni Marsa na pewno wywoła żywy oddźwięk zarówno w tych kręgach, jak i w całym społeczeństwie. Można więc było spokojnie przyjąć, że w tej sytuacji nie znajdzie się nikt, kto zaproponuje, by realizację długofalowych planów pracy nad załogową wyprawą na Marsa odłożyć na później.

Większość przedpołudnia Alex poświęciła na zdobycie informacji o stanie i położeniu trzech sztucznych satelitów krążących wokół Marsa. Satelity Mars Global Surveyor i Mars Odyssey krążyły obecnie po orbitach, które nie pozwalały na dokładną obserwację Doliny Marinerów. Satelita Unii Europejskiej o nazwie Marsjański Ekspres krążył wprawdzie regularnie nad potężnym kanionem, ale ostatnio wystąpiły na nim jakieś usterki w systemach komunikacji. Hans Blumenthal z Berlina nie potrafił bliżej określić, kiedy zostaną one ostatecznie usunięte.

Zastanowiła się, czy nie zrezygnować z lunchu, jednak jej żołądek zaprotestował.

Przy biurku połknęła kawałek pizzy ze stołówki, nie przerywając przy tym telefonowania, mówienia w klawiaturę i machania myszką. Wiedziała już, że z satelitów nie uzyska żadnych istotnych informacji, przynajmniej przez kilka następnych dni. Miała natomiast przed sobą mnóstwo wiadomości o telefonach od reporterów, którzy oczekiwali od niej oficjalnego stanowiska. (Mike Koch – niech mu ziemia lekką będzie – wydał polecenie, by Biuro Informacji Publicznych wszelkie pytania przekazywało do niej). Na razie wysmażyła jedynie krótkie, enigmatyczne oświadczenie, które BIP mogło przekazać dalej. Obiecywała w nim więcej szczegółów, gdy tylko dowiedzą się czegoś dokładniej.

W końcu doszła do wniosku, że już nic więcej nie wymyśli i z grupą kolegów z pracy poszła na kolację do ulubionej wietnamskiej restauracji w Georgetown. Jednak potem, zamiast wrócić do domu, pojechała jeszcze do pracy. Wjechała windą na ostatnie piętro, machnęła identyfikatorem strażnikowi o ponurym wejrzeniu i weszła do Centrum Monitoringu Taktycznego.

W pomieszczeniu panował chłód i mrok, rozświetlany jedynie przez zielonoszary blask kilkunastu monitorów. Pod jedną ze ścian stała bateria cicho buczących, ogromnych komputerów, pozostałe obwieszane były wielkimi i bardzo szczegółowymi fotografiami, co nadawało im wygląd oklejonego plakatem z gwiazdami rocka pokoju nastolatka.

– Pani doktor DeVane, witam!

– Witaj, Dirk. To teraz tobie przydzielili cmentarną szychtę? – powiedziała Alex ze śmiechem i przysunęła sobie krzesło do jedyne go obecnego na sali. Dirk Frederick był pełnym zapału zapaleńcem – świeżo upieczonym absolwentem astronomii na Uniwersytecie Stanu Minnesota – który szybko zdobywał opinię bystrego i poświęconego pracy naukowca.

– Sam się zgłosiłem. – Wzruszył ramionami. – Wie pani, trochę mnie ta Wielka Czerwona zaintrygowała.

– Tak. W tej sprawie tu jestem. Chciałabym sobie trochę popatrzeć na obrazki.

Dirk wskazał ręką monitory. Na pierwszym z brzegu widać było Marsa, którego bardzo wyraźnie odwzorowana tarcza wypełniała niemal cały ekran.

– Na tym ma pani obraz na żywo z Mount Palomar. Na tamtym dostajemy obrazy z Hubble'a. Proszę sobie wybrać któryś albo wszystkie razem, i oglądać do woli.

Alex posiedziała trochę przed ekranami, przeglądając zdjęcia Czerwonej Planety i interesując się szczególnie różnymi ujęciami rejonu Doliny Marinerów, jednak nie znalazła niczego, co mogłaby uznać za powód rozbłysku. Na płaskim, rdzawym dnie kanionu o głębokości ponad dziesięciu kilometrów nie widać było żadnych podejrzanych anomalii. Potem sprawdziła jeszcze trajektorie obu satelitów i upewniła się w swych przypuszczeniach – nie można było liczyć ani na Surveyora, ani na Odyssey, choć istniała szansa, że będzie można skorygować orbitę jednego z nich tak, by znalazł się bezpośrednio nad miejscem rozbłysku. Minęła już jedenasta, a ona wciąż ślęczała nad zdjęciami.

– Pani doktor? – odezwał się Dirk, potrząsając głową i przyglądając się gruboziarnistej fotografii rozbłysku. – A pani co o tym myśli?

– Nie wiem, Dirk. Na razie to zupełna tajemnica. A ty?

– To najdziwniejsze wydarzenie w kosmosie, jakie znam. – Pokiwał głową. –

Wie pani, na swój sposób aż nazbyt dziwne.

– Tak, i to mnie właśnie dręczy. – Cholera, a tak bardzo chciałyby to zrozumieć!

Od czasu studiów w Madison – wtedy jej tato wciąż tam jeszcze wykładał – Mars zdawał się otwartą księgą.

Oczywiście, nadal istniały pewne zagadki. Jak na przykład: co się stało z całą wodą? Jak dawno temu na planecie była woda? Czy kiedykolwiek rozwijało się tam jakieś życie, choćby najbardziej mikroskopijne? Ale wszystkie te pytania rodziły się stopniowo i w sposób uporządkowany, więc można było liczyć, że prędzej czy później znajdą się na nie odpowiedzi. Próbniki marsjańskie Spirit i Opportunity dostarczyły wielu nowych informacji, a Vision był na najlepszej drodze do wzbogacenia ludzkiej wiedzy jeszcze bardziej. Oczywiście niepowodzenie robota stanowiło ogromny zawód, ale – jak każdy dobry specjalista od zarządzania misjami badawczymi – potrafiła w myślach wykorzystać niepowodzenie dla dobra wyższych celów. Ale teraz ten rozbłysk postawił przed wszystkimi nowe palące pytanie. Stał

się bolesną anomalią, plamą na uporządkowanym obrazie wszechświata.

– A pani tato? On przecież napisał książkę o Marsie, prawda?

– Tak. I wówczas stosunkowo wysoko ją oceniono. Tyle że od tamtej pory bardzo dużo się zmieniło. Otrzymało nowe dane z próbników i tak dalej.

– Ale przewidział mnóstwo z tego, co potem próbniki potwierdziły, prawda?

– Właściwie tak – przytaknęła. Nigdy się nad tym zbytnio nie zastanawiała.

– Ta książka w dużej mierze przyczyniła się do tego, że wybrałem astronomię.

Wie pani, że gdyby jeszcze wtedy wykładał, poszedłbym na Uniwersytet Stanowy Wisconsin. Dość wcześnie przeszedł na emeryturę, prawda?

Wiedziała, że młody astronom nie próbuje podpytywać jej o sprawy osobiste, więc postanowiła przyjąć to za dobrą monetę.

– Tak – odparła. – Chyba... chyba woli pisać, niż wykładać. A najbardziej woli samotność.

Chciała zamknąć temat i dlatego powiedziała to tonem zniechęcającym do dalszej dyskusji. Wciąż jeszcze kołatało jej się po głowie poczucie własnej porażki, choć właściwie zupełnie nieuzasadnione. W każdym razie nie potrafiła się zdobyć, by powiedzieć głośno złowieszcze słowa: „załamanie nerwowe”. Na szczęście Dirk wyczuł chyba jej nastawienie, bo wrócił do studiowania obrazów.

– Wie pani, że to się wydarzyło niemal dokładnie dwadzieścia cztery godziny temu – powiedział, wskazując głową na zegar.

– Co, ten rozbłysk? – Alex pokręciła głową, odnotowując, że jest 23.32. – Ach, masz na myśli dzień marsjański, tak?

– Mhm. Ziemskie dwadzieścia cztery godziny i trzydzieści siedem minut plus drobne, jeśli dobrze pamiętam.

– Dobrze pamiętasz – potwierdziła. Jej wzrok powędrował ku ekranowi ukazującemu ogromny obraz Marsa na żywo, pochodzący z obserwatorium w Arizonie. Rozdzielczość była idealna i obraz wyglądał dokładnie tak, jak oglądany w czasie rzeczywistym w potężnym teleskopie.

A potem zamrugnęła, niepewna, czyjej się nie przywidziało.

– O kurwa! – stęknął Dirk głosem nabrzmiętym od emocji. – Widziała pani?

– Tak... – Jego reakcja potwierdziła tylko to, co sama zauważyła. – Widziałam króciutki błysk, dokładnie w środku Doliny Marinerów. – Zaczerpnęła głęboko powietrza, starając się uporządkować myśli i nie spuszczać wzroku z Dirka. –

Znów wydarzyło się to samo – dodała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

22 kwietnia

Delbrook Lake, Wisconsin

Zsunąłem z patelni jajka – w liczbie trzech – na talerz i wróciłem po drugą patelnię z kiełbaskami dokładnie w chwili, gdy wyłączył się toster. Położyłem obok jajek idealnie przyrumienione drożdżowe bułeczki posmarowane lekko masłem (nigdy margaryną!) i wypełniłem wolne miejsca kiełbaskami. Całości dopełniała duża szklanica mleka i mniejsza soku pomarańczowego. Usadawiłem się przy blacie w kuchni i pilotem włączyłem telewizor na poranne wydanie magazynu Today. Było kilka minut po siódmej – tyle, by już spóźnić się na głupków wrzeszczących i machających do okna w studiu, i jednocześnie tyle, by zdążyć na poranne wiadomości.

Pierwszym obrazem, jaki zobaczyłem, była twarz mojej córki i z wrażenia aż upuściłem widelec. Alexandria miała taką minę, jakby ją osaczyli i wbrew jej woli postawili pod ścianą. Ściana należała do budynku administracji NASA w Waszyngtonie, co mogłem stwierdzić, gdy kamera nieco odjechała i ukazała szerszy plan. Reporterzy dopadli ją jeszcze przed świtem. W świetle telewizyjnych reflektorów wyglądała blado, z jej końskiego ogona uwolniło się parę kosmyków włosów. Trzymała przed sobą trzepoczącą na wietrze kartkę, na którą co chwila nerwowo zerkała. Wyglądała na mocno niewyspaną.

Dopiero po odnotowaniu tego wszystkiego zacząłem zwracać uwagę na jej słowa.

– ...i wygląda na to, że nastąpił dokładnie w tym samym miejscu, co rozbłysk zauważony dwudziestego przed północą. Co więcej, wydarzyło się to dokładnie po jednym pełnym obrocie planety, czyli po jednej marsjańskiej dobie, albo tak zwanego sol, od pierwszego błysku.

Ze strony niewidocznego na ekranie tłumy reporterów ruszyła lawina pytań. Z

boku ekranu wsunął się w kadr jakiś goguś, nachylił do mikrofonów i pokazał zęby w wystudiowanym uśmiechu. Domyśliłem się, że to pewnie ktoś z Biura Informacji.

– Doktor DeVane jest naszą czołową specjalistką w agencji do spraw dotyczących Marsa – oświadczył, a ja poczułem nagły i dość niespodziewany przyływ dumy. – Proszę, pozwólcie jej państwo wygłosić oświadczenie. Jeśli potem zechcecie zadawać pytania, byle nie wszyscy naraz, na pewno chętnie na nie odpowie.

Alex podniosła głowę znad kartki i wzruszyła ramionami.

– Mogę już odpowiadać – bąknęła.

– Co spowodowało te dwa rozbłyski na Marsie? – zapytał jakiś reporter.

– Nie dysponujemy jeszcze wystarczającą liczbą danych, by z całą pewnością to ustalić – odparła nieco pewniejszym tonem. – Natomiast już teraz jesteśmy w stanie wykluczyć pewne hipotezy. Powtórzenie się rozbłysku oznacza, że jako jego źródło możemy w zasadzie odrzucić wszelkie losowe przyczyny, jak uderzenie meteoru lub asteroidy. Wprawdzie nie jest to technicznie

niemożliwie, ale naukowcy uważają za niesłychanie mało prawdopodobne, by dwa takie incydenty wydarzyły się w tym samym miejscu w odstępie dokładnie jednej doby.

Zarzucono ją dalszymi pytaniami, a ja widziałem narastające w niej zniecierpliwienie. W pewnym momencie wlepiła wzrok w kogoś w pierwszym rzędzie, potrząsnęła głową i zaszarżowała.

– Nie ma żadnego powodu do niepokoju! Cokolwiek by to było, mamy do czynienia ze zjawiskami w przestrzeni kosmicznej, których nigdy wcześniej nie notowaliśmy. Pozwólcie sobie przypomnieć, że to coś dzieje się w odległości kilkudziesięciu milionów kilometrów od nas. I dopiero od pół wieku albo jeszcze krócej dysponujemy teleskopami o takiej rozdzielczości, która umożliwia nam obserwację takich zjawisk. To może być coś, co w historii planety występuje regularnie od wieków, ale my potrafimy to dopiero teraz zaobserwować.

Zabrzmiało całkiem rozsądnie, tyle że mnie to w ogóle nie przyszło do głowy.

– Dwie najbardziej prawdopodobne przyczyny to, o czym wspominaliśmy już wczoraj, jakiegoś typu aktywność wulkaniczna lub istnienie silnie odbłaskowej powierzchni, od której przez moment światło słoneczne odbija się dokładnie w kierunku Ziemi.

Ktoś zadał kolejne pytanie i Alex potakująco kiwnęła głową.

– To prawda, prędkość obrotowa planety nie jest na tyle duża, by mogło to tłumaczyć krótkotrwałość błysku. Jeśli jednak założymy, że powierzchnia odbłaskowa znajduje się w głębokim zagłębieniu, można przyjąć, że czas padania na nią promieni słonecznych pod odpowiednim kątem będzie dość krótki. I powierzchnia taka wcale nie musi być bardzo duża, byle tylko była bardzo silnie odbłaskowa.

Wiadomość, że zaobserwowano drugi rozbłysk, zaczynała dopiero do mnie docierać, bo wcześniej nic o tym nie wiedziałem. I uznałem ją za wiadomość bardzo niepokojącą. Badanie przestrzeni kosmicznej – tak jak wszystkie dyscypliny naukowe – polega na posegregowaniu wiedzy na odpowiednie kategorie i wybraniu możliwych do wytłumaczenia związków przyczynowo-skutkowych, które dają się w sposób powtarzalny udowodnić doświadczalnie. To zaś wydarzenie było niewytłumaczalne. Co gorsze, było też całkowicie nieprzewidywalne i jako takie zdawało się stawiać pod znakiem zapytania wiele z naszych dotychczasowych hipotez. Nie mieliśmy pojęcia, co mogło być jego przyczyną, i to nas bardzo niepokoiło.

Nawet nie przyszło mi do głowy, by wczoraj wieczorem wyjść i kontynuować obserwację. W naszym regionie noc była pochmurna i chłodna, żadne gapienie się w gwiazdy nie wchodziło w rachubę. O dziesiątej obejrzałem tylko wiadomości i zaraz potem położyłem się spać. I dlatego siadając do śniadania, nie miałem o niczym pojęcia.

Tyle że już jakoś zupełnie straciłem apetyt.

Gdy wreszcie materiał z wywiadem z Alex dobiegł końca, poczułem ulgę, choć nie miałem wątpliwości, że byłem świadkiem jedynie krótkiego fragmentu jej gnębienia. Poczułem nawet chwilowy przyływ złości. Przecież, do cholery, jest naukowcem! Czy ci cholerni gogusie od PR nie

mogliby ruszyć tyłków i ochronić ją przed tego rodzaju atakami? Mimo woli wyobraziłem sobie siebie na jej miejscu, wiedząc, jak bardzo nienawidziłbym tych wszystkich kamer, reflektorów i pytań.

Właściwie można było tylko podziwiać, jak dobrze dała sobie z tym wszystkim radę.

Wstałem od blatu i poszedłem włączyć komputer. Gdy wróciłem, jajka i kielbaski straciły już apetyczny wygląd, zjadłem więc tylko bułeczki, popiłem mlekiem i sokiem, a resztę wrzuciłem do młynka do śmieci. Włączyłem go na dość długo, przed wyłączeniem sprawdziłem jeszcze, czy nic nie czuć.

Zabrałem się do pracy, ale okazało się, że straciłem apetyt nie tylko na białko, lecz i na pisanie. Na zamówienie „Scientific American” miałem do napisania duży artykuł na temat parametrów ciągu i sprawności rakiety Saturn w porównaniu z promami kosmicznymi. Za miesiąc mój artykuł powinien się znaleźć na biurku naczelnego, a ja nie miałem nawet jeszcze połowy, czyli tak naprawdę nie mogłem pozwolić sobie na żadną zwłokę.

Ale jedyną rzeczą, jaka mi teraz zajmowała myśli, był Mars. Niemal bezwiednie odwiedziłem znów portal Starboyz, gdzie właśnie trwała ożywiona debata. Pojawiły się też kolejne hasła nawiązujące do rzeczy zupełnie niewyobrażalnych: Czy oto mamy przed sobą dowód na istnienie na Marsie istot inteligentnych? Jednak ogólne nastawienie dyskutantów było takie, że te pojedyncze wyskoki zostały szybko i gruntownie zmieszane z błotem.

W końcu się poddałem i wyszedłem na dwór. Zapowiedź wiosny sprzed dwóch dni była już tylko smętnym wspomnieniem. Ołowiane niebo i zimne podmuchy północnego wiatru przypominały raczej początek marca. Ruszyłem ścieżką wijącą się moim kawałkiem lasu, jednak gdy zbliżyłem się do farmy Browne'a, jego psy się rozszczękały i zde gustowany zawróciłem.

Na domiar złego, podchodząc do domu, usłyszałem, że dzwoni telefon, i to mnie dodatkowo zirytowało. By go odebrać, musiałem w ubłoconych buciorach przebiec przez całą kuchnię.

– Mark DeVane. – Starłem się nie okazać wściekłości, ale nie jestem pewien, czy mi się to udało.

– Mark? Widziałeś rano Alex w telewizji? Była na wszystkich kanałach.

Dzwoniła Karen. Na moją byłą żonę zawsze można liczyć, że się odezwie w najmniej odpowiednim momencie.

– Tak, widziałem. Nie wyglądała na zbyt szczęśliwą.

– No pewno, bo nie miała się z czego cieszyć. Nienawidzi wywiadów i tego całego cyrku. Pod tym względem wdała się w ciebie. Ale posadź ją przed ścianą komputerów albo daj jej jakieś wykresy czy plany, które trzeba zrealizować, od razu jej się poprawi. Dzwoniłeś do niej?

– Nie. Dopiero co ją oglądałem. Nie miałem jeszcze okazji. A ty dzwoniłaś?

– Tak. Jest wściekła, ale przeżyła. Powiedziała, że wezmą kogoś innego do tych konferencji

prasowych, o ile tylko... no, sama nie wiem.

„O ile będą dalsze rozbłyski”. Wtedy po raz pierwszy zaświtała mi w głowie taka myśl.

– No i bardzo dobrze – odrzekłem, pewnie bez większego przekonania. – Nie po to ją tam zatrudnili.

– Mark? – powiedziała, a w jej głosie dało się wyczuć niepokój.

– Co? – odparłem ostrożnie.

– A co ty o tym myślisz? Znaczący, o tych błyskach?

– Co ja o tym myślę? – powtórzyłem. Właściwie nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć. – Są bardzo dziwne, na pewno. Pewnie dowiemy się czegoś więcej, kiedy tacy jak Alex będą mieli trochę więcej czasu, żeby się temu lepiej przyjrzeć.

– Pewnie tak. – Nie sprawiała wrażenia zbyt przekonanej.

– A skoro mowa o Alex. Pamiętałeś, że we wtorek były jej urodziny? Złożyłeś jej życzenia?

– Pamiętałem. Ale nie mogłem zadzwonić. Zaproszę ją na kolację przy najbliższej okazji.

– Jasne, Mark. Oczywiście, że ją zaprosisz. No to na razie.

– Rozłączyła się, zanim zdążyłem coś powiedzieć. Czy w jej głosie pobrzmiwał sarkazm? Z Karen nigdy nie było wiadomo.

Byłem zbyt poruszony, żeby zasiaść do pracy. Podszedłem do okna w gabinecie i wyjrzałem na ogród. Nagle mignęło mi przed oczyma coś wielkiego i czarnego.

Podszedłem do okna w salonie i stamtąd dojrzałem tego rabusia. Wyciągnął się w górę, by ukraść kawałek słoniny, który powiesiłem raptem dwa dni wcześniej.

– Widzę cię, bydlaku! – wrzasnąłem, pędząc przez hol i z impetem otwierając drzwi. – Wynocha stąd!

Nowofundland Browne'a spojrział na mnie drwiąco i machnął potężnym ogonem.

A potem bez pośpiechu oddalił się z kawałkiem mojej słoniny w wielkim pysku –

słoniny, którą zawiesiłem na karmniku z myślą o ptakach. Chwilę później pojawiła się biała sylwetka jego kompana – drugiego z psów mojego sąsiada – który wybiegł z lasu, wyprzedził wielkiego, czarnego pobratymca i pobiegł dalej.

W tym czasie zdążyłem już przejść przez patio i stałem teraz na ścieżce ogrodowej wysypanej grubym żwirem o wielkości dwudziestopięciocentówki. Nim schyliłem się i podniosłem kilka

kamyków, oba psy były już poza moim zasięgiem, ale i tak rzuciłem, żeby choć w ten sposób dać upust wściekłości. Podszedłem do karmników, by ocenić szkody. Konstrukcja, którą postawiłem z myślą o ziębach, była teraz cała rozklekotana – niewątpliwie poddała się pod ciężarem czarnego rabusia.

Drugi, biały bydlak był jeszcze gorszy. Nazywał się Galahad (imienia nowofundlanda nie znałem) i był jednym z tych pudli, które zdają się dowodem na żarty ewolucji. Ten dość duży pies po wykąpaniu i wyszczotkowaniu mógłby nawet aspirować do podium na jakiejś snobistycznej wystawie psów, ja go jednak widywałem wyłącznie buszującego po lesie. Wiedziałem, że jest biały, jednak po wyglądzie trudno się było tego domyślić. Jego długie kudły bardziej przypominały zmatowiałe owcze runo.

W tej parze to Galahad zdawał się przywódcą podczas ich częstych włóczęg po okolicy. Na własne oczy widziałem przez okno, jak to właśnie pudel robił dla nich dziurę w płocie albo biegł poboczem drogi, a ciężki i niezgrabny nowofundland ledwo za nim nadążał. Kiedy Galahad puszczał się pędem, jego uszy powiewały zupełnie jak proporczyki na rycerskiej kopii. Znakiem rozpoznawczym czarnego był

jęzor, który podczas biegu zwisał z pyska na co najmniej piętnaście centymetrów i z którego ciągnęła się strużka kleistej śliny.

Ale tym razem posunęli się za daleko. Zniszczenie mojego karmnika dla ptaków wymagało interwencji. Podążyłem za bestiami ścieżką wijącą się w lesie, którym porośnięta była większość mojego terenu. W ciągu dziesięciu minut, jakie zajęło mi dotarcie do drogi, obmyślałem sobie to, co powiem. Dalsze pięć minut poboczem wąskiej, wiejskiej drogi doprowadziło mnie do farmy Browne'a, po czym bez wahania skręciłem na jego podjazd. Minąłem dwa stare gruchoty ustawione na klockach i starego jeepa ze zdjętą już na lato górą, który stał zaparkowany przed samym wejściem. „Przypomina to bardziej skład złomu – pomyślałem ze złośliwą satysfakcją – niż funkcjonujące gospodarstwo rolne”. Wiedziałem, że mój samotnie mieszkający sąsiad nie trzyma żadnej trzody, a choć posiadał dwa przedpotopowe traktory, nigdy nie widziałem go pracującego w polu.

Oba psy siedziały zdyszane na ganku. Na mój widok zaczęły ujadać i ruszyły w moim kierunku, kłapiąc zębami. Całkowicie zignorowałem ich taniec wokół mnie, choć nowofundland potrącił mnie dostatecznie silnie, żebym na moment stracił

równowagę. Wchodziłem już na schodki ganku, gdy Browne – zapewne zwabiony hałasem – otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

– Cześć, Mark – rzucił. – Co słychać?

– Nic dobrego, panie Browne – powiedziałem bez wstępu. Twarz mu się wyciągnęła i przybrała zbolwały wyraz. Był ode mnie starszy, zupełnie siwy i dość chudy, ale wciąż biła od niego wręcz irytująca tężyzna fizyczna. Ramiona miał już opalone i pokryte żylastymi muskułami, a na skórze widać było ślady starych, wyblakłych tatuaży. Coś w jego wyglądzie mi mówiło, że musiał kiedyś pływać.

– O rany – jęknął tonem mającym świadczyć, że jest mu naprawdę przykro. –

Znowu się przedostały na podwórko? Bardzo mi przykro. To ta wiosenna pogoda.

Jak tylko się robi trochę cieplej, od razu zaczyna je nosić. Galahad rusza pierwszy, a Klondike od razu leci za nim.

Klondike. Nawet nieźle dopasowane imię do tego zwalistego bydlaka.

– Wygląda na to, że je też nieźle nosi latem, jesienią i zimą! – mruknąłem ze złością, potem jednak postanowiłem bardziej zająć się sprawami bieżącymi niż zadawnionymi krzywdami. – Ukradły mi kawałek słoniny i rozwalily karmnik dla sikorek – wyjaśniłem, pilnując się, by mówić rzeczowym tonem. – Najpierw wszystko obszczały, a potem, kiedy wyszedłem, żeby je przegonić, ten biały niemal się na mnie rzucił.

– Rzucił się? Kurde, to zupełnie jak nie Galahad.

– Już myślałem, że mnie ugryzie! – No przecież naprawdę mógł mnie ugryźć.

– Chciał ugryźć? No, to niesłychane! Naprawdę chciał ugryźć? Znaczy, złapał cię zębami, czy jak?

– Nie aż tak. Odwrócił się i zwiął, kiedy na niego wrzasnąłem. Ale jednak, panie Browne, to naprawdę staje się poważnym problemem.

– Mark, posłuchaj. Postaram się je przytrzymać koło domu. Ale nie mogę ich wziąć na łańcuch, bo to by je zabiło. W końcu mieszkamy na wsi. Nie wiem, dlaczego moja farma jest dla tych łobuzów za mała. Powiem ci więcej: jeśli któryś z tych łajdaków cię ugryzie, masz moją zgodę, żeby go zastrzelić.

– Zastrzelić? Ale ja nie chcę do niczego strzelać. Nawet nie mam broni.

– Ale ja mam, i to kilka sztuk. Chętnie ci pożyczę, jak będziesz potrzebował. Jeśli chodzi o śrutówki, mam jedną dwunastkę i jedną dwudziestkę. Mam też fajny sztucer na jelenie, kaliber .30-06. Stary, ale jary. No i małą dwudziestkę dwójkę, jakbyś chciał coś poręczniejszego.

– Nie chciały mnie ugryźć. I nie mam zamiaru strzelać do pańskich psów ani do nikogo! – Rozmowa wcale nie rozwijała się tak, jak to sobie zaplanowałem. Zresztą z Browne'em zawsze tak było. – Po prostu proszę je trzymać z dala od moich karmników, okej?

– Zrobię wszystko, co się da. Odkupię ci tę słoninę. Ile teraz coś takiego kosztuje? – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel.

– Nie, nie chodzi o pieniądze. Proszę... proszę je tylko trzymać w domu, dobrze?

Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem, a on wciąż jeszcze potakiwał. Oba psy radośnie pobiegły za

mną po podjeździe i zawróciły dopiero tuż przed drogą, kiedy Browne je zawołał.

Poczułem ulgę, że stamtąd wychodzę.

1 maja

W ciągu ostatniego tygodnia nie spałem zbyt dobrze, a ostatnia noc nie była wyjątkiem: rozbudziłem się na dobre, zanim zabrzączał budzik nastawiony na 3.30.

Natychmiast spojrzałem w okno. Choć z okna sypialni nie było widać Marsa, to gwiazdy widoczne na niebie potwierdzały prognozę, że cała noc będzie pogodna.

Ubrałem się szybko, znów nałożyłem traperki, narzuciłem na siebie lekką, skórzaną kurtkę i ruszyłem do wyjścia. Teleskop zostawiony poprzedniego dnia wieczorem przy drzwiach już na mnie czekał.

Ze względu na pochmurne niebo i silne porywy wiatru nad ranem od dwudziestego ani razu nie byłem na wzgórzu Browne'a. Dotarcie tam dzisiaj poszło mi gładko i zajęło mniej niż kwadrans. Inaczej niż poprzednio, tym razem nie traciłem czasu na podziwianie cudownego widoku wiosennego nieba. Dziś miałem przed sobą konkretny cel i tylko to mnie interesowało. Ustawiłem teleskop i szybko nakierowałem go na Marsa. Ustawiłem ostrość i rzuciłem okiem na zegarek.

Była punktualnie czwarta. Zostało mi jeszcze pięć minut.

Ponowne znalezienie się tu wprawiło mnie w dziwny nastrój oczekiwania i radosnego podniecenia. Chciałem raz jeszcze na własne oczy zobaczyć ten błysk.

Przez ostatnie dziesięć nocy rozbłysk na Marsie powtarzał się dokładnie o tej samej porze marsjańskiego dnia, czyli wedle czasu ziemskiego nieco ponad pół godziny później niż poprzedniej nocy. Choć sam nie oglądałem kolejnych błysków, stanowiły one główny temat reportaży, dyskusji i artykułów w prasie i telewizji. Cała sprawa na tyle zawładnęła moją wyobraźnią, że całkiem zarzuciłem pisanie.

Na szczęście Alexandrii dali już spokój i więcej jej nie szarpali przed kamerami.

Byłem pewien, że siedzi teraz kamieniem w jakimś laboratorium, próbując dociec przyczyn niezwykle rozbłysków. Mogłem tylko mieć nadzieję, że wysiłki jej i jej kolegów doprowadzą do wypracowania jakiejś logicznej hipotezy. Wiedząc, że musi być teraz bardzo zajęta, odkładałem telefon do niej na później, choć naprawdę miałem szczerzy zamiar częściej rozmawiać z córką. Niech no tylko skończy się ta cała zawierucha, obiecywałem sobie. Zacząłem nawet pisać do niej e-maila, ale skasowałem go przed wysłaniem. Nie chciałem jej teraz zawracać głowy.

Każdy kolejny błysk trafiał do gazet i początkowo zajmował nagłówki na pierwszych stronach. Dalsze powodowały coraz mniejszą sensację, stając się stopniowo jakby „kolejnymi odcinkami” serialu. Kilka razy wybierałem się nawet, żeby samemu popatrzeć na niebo o wyznaczonej godzinie, jednak wcześniej usypiałem. Przez ostatnie dwie noce byłem już naprawdę zdecydowany pójść, ale z uwagi na zapowiedź pełnego zachmurzenia byłaby to tylko strata czasu i nawet nie próbowałem nastawić budzika. Aż do dziś.

Jak dotąd, jedenaście identycznych rozbłysków. Czy dziś będzie dwunasty? I kto wreszcie wyjaśni,

co one znaczą?

Oficjalne stanowisko ogłoszone przez NASA i LNR we współpracy z zespołem czołowych astronomów sprowadzało się do tego, że rozbłyski są dziełem jakiejś nie znanej dotąd substancji o niezwykle odblaskowych właściwościach, która znajduje się w dość głębokiej dziurze o bardzo stromych ścianach. Jej umiejscowienie, czyli miejsce rozbłysków, nazywane przez prasę „punktem R”, sytuowało ją na równiku planety tak, że w chwili każdego z rozbłysków nachylona była pod identycznym kątem wobec Słońca i Ziemi. Krótkotrwałość błysku tłumaczono rozmiarami dziury.

Każdorazowo jej oś tylko tak krótko nakierowana była wprost na Słońce.

Oczywiście nie dysponowano urządzeniami, które mogłyby pozwolić naukowcom obejrzeć tę dziurę. Było wątpliwe, czy nawet sztuczny satelita krążący po właściwej orbicie wokół Marsa potrafiłby odnotować coś tak potencjalnie małego. Odpowiedź na to pytanie i tak straciła na aktualności, kiedy się okazało, że rakiety korekcyjne na satelicie Mars Global Surveyor nie odpaliły. Oznaczało to, że satelita mający kształt platformy z zamontowanymi na niej licznymi urządzeniami fotograficznymi i elektromagnetycznymi jest skazany na orbitę okrążającą oba bieguny planety i która tylko od czasu do czasu naprowadza go w pobliże Doliny Marinerów – przy czym, jak się okazało, nawet wtedy nie był w stanie patrzeć prosto w dół.

Geologowie znają kilka rodzajów skał wulkanicznych, które są zdolne w sposób naturalny tworzyć bardzo gładkie, odblaskowe powierzchnie. Co do tego, dlaczego odblasku nie zauważono przed 20 kwietnia, wysuwano jedynie pewne hipotezy. Na przykład, że jakaś podziemna aktywność wulkaniczna, której nie wychwycił żaden z satelitów, spowodowała przesunięcie odblaskowej skały na obecne miejsce. Albo że marsjański wiatr – wprawdzie dość słaby, ale jednak – zdmuchnął ze skały zalegającą warstwę pyłu.

Druga z teorii, która przypisywała rozbłyski działalności wulkanicznej, została w zasadzie zarzucona głównie z uwagi na powtarzalność zjawisk. Po prostu trudno było wyobrazić sobie zjawisko o podłożu geologicznym, które mogłoby się powtarzać z tak idealną regularnością. Dodatkowo, przeprowadzone badanie w podczerwieni nie wykazało w rejonie rozbłysków istotnego wzrostu temperatury skorupy marsjańskiej. Co ciekawe natomiast, okazało się, że same rozbłyski emitują bardzo wysoką temperaturę.

Oczywiście fora pełne były dyskutantów, którzy w sposób bardzo zdecydowany opowiadali się za lub przeciw oficjalnym teoriom. Wprawdzie sam jeszcze nie zabrałem głosu, ale co wieczór siadałem do komputera, by przejrzeć wypowiedzi innych na temat marsjańskich rozbłysków. Dopiero dwudziestego czwartego czy dwudziestego piątego na stronie CosmicCowgirl po raz pierwszy pojawiła się wypowiedź podchodząca pragmatycznie do ewentualnego zagrożenia. Oczywiście w tabloidach i telewizyjnych talk-show od samego początku pełno było szaleńców wygłaszających różne alarmistyczne opinie.

Ale dopiero ta kobieta, podpisująca się Luna z Iowy, wyłożyła kawę na ławę.

Słuchajcie, a jeśli to jest coś więcej, niż chcemy wierzyć? A jeśli to początek czegoś, co nam się nawet nie śniło? I słuchajcie, a jeśli to coś obejmie swoim zasięgiem całą planetę Ziemia?

Od dziesiątków lat nękamy Marsa różnego rodzaju próbnikami, sondami i wierceniami. Na ich orbicie krążą nasze satelity. Wysyłamy jedną raketę za drugą.

Wiemy, że w ich świecie było kiedyś dużo wody, równie dużo jak w naszym.

Więc kiedy wyschła im powierzchnia, to może nie zginęli, tylko wycofali się w głąb?

I jeśli to teraz oni wybierają się do nas z rewizytą?

Wypowiedź ta sprowokowała zwyczajową lawinę ataków i szyderstw, ale rozwinęła się także w kilka logicznych ciągów. W ten sposób ujawniła się po raz pierwszy grupa ludzi, którzy gotowi byli dyskutować o świadomych i nieprzypadkowych przyczynach rozbłysków. Ale nawet wówczas nikt nie brał

poważnie pod uwagę, że może to być dla naszej planety jakieś zagrożenie. Czuło się, że autorzy tych wypowiedzi niemal wstydzą się własnych myśli, ale muszą się podzielić nimi z innymi. Żałuję, że sobie kilku z nich nie wydrukowałem, bo mógłbym teraz zacytować ich słowa. Ale nie mogę. Wszystkie wypowiedzi zostały bezpowrotnie utracone, podobnie jak cała reszta cyfrowych danych, w momencie gdy padły wszystkie komputery. (Gdybym nie zachował mojej starej maszyny do pisania Smith-Corona, ta relacja z wydarzeń ostatniego roku też nie ujrzałaby światła dziennego).

Mój zegarek piknął w celu przypomnienia, a ja przystawiłem oko do okularu teleskopu, leciutko go przesuwając, by skompensować efekt ziemskiej rotacji, która przesunęła jasną, czerwoną tarczę na sam brzeg pola widzenia. Widziałem wyraźnie Dolinę Marinerów, która na tle powierzchni Marsa coraz bardziej przypominała mi rozchylone w szyderym uśmiechu usta. Oczywiście na niej skoncentrowałem całą swoją uwagę.

Czekałem, walcząc ze sobą, by jak najdłużej nie mrugnąć. Jednak żaden rozbłysk nie zakłócił niebiańskiego spokoju odległej planety. Żaden błysk nie rozświetlił

głębin potężnego kanionu ani żadnego innego miejsca na Marsie. Oderwałem wzrok na sekundę, by spojrzeć na zegarek – wskazówki pokazywały 4.13 i obojętnie sunęły dalej – po czym wróciłem do obserwacji. Byłem absolutnie pewien, że moja wrodzona skrupulatność nie pozwoliłaby mi rozkojarzyć się na tyle, by przegapić błysk. A przecież, począwszy od pierwszego błysku, wszystkie następne pojawiły się precyzyjnie w tym samym momencie marsjańskiej doby – jednego sola – a ten moment minął już chwilę temu.

Wpatrywałem się w tarczę Marsa przez następne dziesięć minut, ignorując zmęczenie wzroku, zdrętwienie nóg i ból w dole kręgosłupa. Odniosłem wrażenie, że obraz planety nieco wyblakł, a gdy wreszcie oderwałem się od teleskopu i rozejrzałem wokół, okazało się, że niebo na wschodzie już wyraźnie pojaśniało.

Wchodząc na szczyt wzgórza, nawet nie pomyślałem, że dziś może nie być następnego rozbłysku. W końcu od jedenastu dni nic się nie zmieniało i nie było żadnych odstępstw od ustalonego porządku. Przez co zarówno ja, jak i zapewne tysiące mnie podobnych zaczęliśmy traktować ten porządek jako coś zwyczajnego.

Jako normę obowiązującą na Marsie. A teraz wyglądało na to, że już przestała obowiązywać.

Poczułem ogarniającą mnie falę niewypowiedzianej ulgi. Oczywiście, sprawa wciąż pozostawała niewyjaśniona i nie zbliżyliśmy się nawet do zrozumienia, co powodowało te rozbłyski. Tylko że teraz mogłem już myśleć o tej tajemnicy w czasie przeszłym, jak o czymś należącym do historii, nie do dnia dzisiejszego. A to znaczyło, że poczucie zagrożenia mijało.

Mars znów wyglądał jak Mars, jak stara dobra Czerwona Planeta, nie zaś jak jakaś wisząca nam nad głowami tajemnica. Złapałem się nawet na tym, że pogwizduję pod nosem, rozkręcając teleskop i statyw, po czym ruszyłem w dół

zbocza.

A więc wszystko wróciło do normy. Mogłem spokojnie pójść do domu i zdrzemnąć się. A potem będę mógł już znów spokojnie zabrać się do pracy.

CZTERY

3 maja

Przylądek Canaveral, Floryda

Budynek montażowni wznoszący się na rozległym terenie bazy NASA na wschodnim wybrzeżu Florydy jest ogromnym graniastosłupem, wyglądającym jak sztuczna mesa, który góruje nad otaczającymi go namorzynami, piaszczystymi łachami i zalewowymi jeziorkami. Alexandria zsunęła z czoła okulary przeciwsłoneczne i idąc przez parking, przyglądała się potężnej budowli. Wiedziała, że ta największa na świecie zamknięta konstrukcja jest tak ogromna, że w jej wnętrzu panuje swoisty mikroklimat.

Było to jedyne miejsce, gdzie można było przygotowywać promy kosmiczne do misji bez obaw o wpływ zmieniających się na zewnątrz warunków atmosferycznych

– głównie wiatru i deszczu – które mogłyby przeszkadzać w prowadzeniu prac. Choć następną misję planowano dopiero w połowie lata, wahadłowiec Atlantis już teraz znajdował się we wnętrzu, gdzie szykowano go do lotu na Międzynarodową Stację Kosmiczną.

Usłyszała dźwięk klaksonu, co sprowadziło ją na ziemię. Rozejrzała się i zobaczyła Nathana opartego o jego porsche boxstera. Pomachała mu ręką, pilot zrewanżował się jej uśmiechem. Stał w pozie Jamesa Deana, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, swobodnie opierając się o bok niewielkiego, sportowego auta. Mężczyzna był niezbyt wysoki, a na jego opalonej twarzy widać było odpowiednio dużo zmarszczek, by nie było wątpliwości co do jego dorosłości, jednak w oczach wciąż jeszcze tańczyły mu młodzieńcze ogniki świadczące, że lata chłopięce nie odeszły jeszcze w zapomnienie.

– Przepraszam, że musiałem cię tak wcześnie wyciągnąć. Mam nadzieję, że wszystko załatwiłaś – powiedział przepraszająco i obszedł porsche dookoła, by otworzyć jej drzwi.

– Nie ma sprawy. Właściwie nawet jestem ci wdzięczna – odparła. – Gdyby ta nasiadówka potrwała jeszcze trochę, chyba zaczęłabym wyć. I cieszę się na przejażdżkę.

– Bo tak jak mówiłem, Derek przylatuje dziś po południu do Orlando, więc i tak miałem w planie jazdę na lotnisko. A to zawsze frajda przejechać się w towarzystwie takiej pięknej dziewczyny i w takim dniu jak dziś.

– Mnie takie towarzystwo też odpowiada – kiwnęła głową. – I nie powtórzę Joan, co powiedziałaś.

Nate parsknął beztroskim śmiechem, tak typowym dla pewnych swego pilotów.

A nie ulegało wątpliwości, że Nathan mógł czuć się pewnym swego. W wieku czterdziestu czterech lat był najstarszym pilotem wśród wszystkich astronautów NASA, co czyniło z niego najbardziej doświadczonego pilota kosmicznego na świecie.

Rozpoczęli przyjazną pogawędkę, podczas gdy Nate pewnie i swobodnie popędził szybkim samochodziem po czteropasmowej Highway 1 i dalej przez Titusville. U dzieci wszystko szło

dobrze – Tricia kończyła właśnie pierwszy rok college'u, Tim borykał się z problemami typowymi dla trzynastolatka. Wypłatawszy się z miasta, Nate włączył antyradar, wjechał na autostradę Beeline Highway i wcisnął gaz.

– Zauważyłem, że w bazie wszyscy po kolei mieli do ciebie jakieś sprawy –

parsknął. – Ładnie to, żeby stary przyjaciel musiał wykorzystywać jazdę na lotnisko, aby zamienić parę słów sam na sam?

– Przysięgam, Nate, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin miałam pięćdziesiąt różnych spotkań. A każde trwało co najmniej półtorej godziny!

– Całe szczęście, że przynajmniej dobrze opanowałaś to cholerne kontinuum czasoprzestrzenne. – Uśmiechnął się. – A właściwie co jest grane? Czy jakiś niedopieczony pan pułkownik miał czelność uznać, że nie można zdradzić mi tajemnicy? Bo na pewno chodzi o Marsa, prawda?

Spojrzała na niego z ukosa.

– Nie mam pojęcia, dlaczego nie zostałeś zaproszony. Choć rzecz w żadnym stopniu nie dotyczy promów kosmicznych ani nawet planów następnego lotu załogowego.

Zmrużył lekko oczy. Wydawało się, że obserwuje drogę, ale Alex czuła jego wzrok na sobie.

– Mars... Mamy te dziwaczne rozbłyski w Dolinie Marinerów. I nikt nie wie, co jest przyczyną. Więc niech zgadnę: próbujemy przyspieszyć prace nad następną sondą. Ktoś wpadł na pomysł, że zamiast zimą, dobrze byłoby wysłać Euklidesa powiedzmy latem tego roku.

– No i cała tajemnica na nic. – Parsknęła śmiechem. – Za bardzo jesteś domyślny.

Z tą tylko różnicą, że nie latem, a za dziesięć dni.

Gwizdnął i spojrzał na nią z troską.

– No to znowu ktoś dostanie wrzodów żołądka. Mam nadzieję, że nie ty?

– Nie, mnie się chyba upiekło. Nie mam żadnych konkretnych zadań poza dopilnowaniem, by ludzie na przylądku wiedzieli dokładnie, co się dzieje w LNR.

No i żeby ktoś w Waszyngtonie trzymał rękę na pulsie. Pilnował płacenia rachunków i takie tam. Pamiętaj, że kiedy ty zajmowałaś się przekraczaniem bariery dźwięku, ja po Madison robiłam specjalizację z zarządzania wielkimi projektami.

– I pamiętam też, że u Grummana prowadziłaś kilka fascynujących projektów.

Jak ci się teraz podoba praca na rządowym garnuszku?

– Jeśli mam być szczerą, też jest fascynująca. Większość czasu poświęcam pracom

przygotowawczym do ZLM, więc nie można sobie wymarzyć nic lepszego dla specjalistki od wielkich projektów! Jeśli zrobię wszystko jak należy, to któreś z twoich dzieci może już za dwadzieścia czy trzydzieści lat polecieć na Marsa.

– Jeżeli już, to Tricia – odparł całkiem poważnie. – Jest we wszystkim świetna.

Tim ma na razie problemy z podstawami algebry. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle skończy szkołę – dodał ponuro.

– A ile on teraz ma? Trzydzieści? Ma więc jeszcze mnóstwo czasu, żeby zdecydować, co chce robić w życiu.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz. Nastolatki... – mruknął, redukując bieg i przyspieszając tak gwałtownie, aż ją wcisnęło w skórzane oparcie fotela.

– Zdarzają się takie, które nigdy nie dorastają. – Uśmiechnęła się.

Spojrzał na szybkościomierz i z półuśmiechem zdjął nieco nogę z gazu.

– To co, lecisz teraz na zachód? Do Kalifornii?

– Mhm, jutro rano zaczynam nową rundę spotkań w Pasadenie – przytaknęła.

– Przy następnej wizycie spróbuj wygospodarować jeden dzień ekstra. Joan byłaby zachwycona, gdybyś przyszła do nas na kolację. Jest trochę zazdrosna, że to mnie przypada odwożenie na lotnisko jej dawnej przyjaciółki. A poza tym życie jest zbyt krótkie, by je marnować na pędzenie z jednego spotkania na drugie.

Znów zredukował bieg i znów wcisnął Alex w fotel, wyprzedzając kolumnę kilku pojazdów kempingowych i lawirując po pasach ruchu. Po chwili miał auta już za sobą.

– Opowiedz mi teraz o bracie – powiedziała. – Nie widziałam go od czasu, kiedy odwiedził cię w Madison. To musiało być chyba ze dwanaście, może nawet czternaście lat temu. Pamiętam, że była fajna zabawa na State Street, a potem nagle gdzieś się zgubił.

– Bo to był chyba jego pierwszy w życiu kac gigant. Myślę, że od tamtego czasu trochę wydorósł. Wiesz, jest w lotnictwie i lata A10.

– Cóż, podobno warthogi [(ang.) – guziec. Powszechnie używana nazwa odrzutowego samolotu szturmowo-bombowego, którego oficjalna nazwa brzmi A-10 Thunderbolt (grom), a który znany jest zarówno ze swej dość niezgrabnej sylwetki, jak i niezwyklej skuteczności bojowej.] nie mają sobie równych. –

Uśmiechnęła się krzywo. – Coś mi się zdaje, że bracia Hayes połknęli bakcyll latania, i to duży.

– No, to prawda. Mówił mi nawet, że nie przeszkadza mu, iż nie lata na myśliwcach. Ale w to to już nie uwierzę.

– Nie gadaj. Nie każdy jest takim maniakiem szybkości jak ty!

Nate pokiwał głową ale widać było, że myślami jest gdzie indziej.

– A co u twojego taty? – spytał po chwili milczenia.

– Pewnie to, co zwykle. – Wzruszyła ramionami. – Ucieczka z sali wykładowej chyba mu dobrze zrobiła. W każdym razie on tak uważa. – Wyjrzała przez okno na sunącą za nimi sawannę.

Wkrótce potem Nate skręcił w zjazd prowadzący do między narodowego portu lotniczego w Orlando. Silnik samochodu zahuczał niecierpliwie, gdy Nate zwolnił, by wjechać na parking, potem prychnął z wyraźnym niezadowoleniem, gdy mężczyzna zatrzymał auto i przekręcił kluczyk. Nate zerknął na Alex z ukosa.

– Powiem ci, że Derek pamięta ten szalony wieczór chyba nawet lepiej niż ty. Jak się dowiedział, że będziesz na przylądku, to o jeden dzień przesunął przyjazd w nadziei, że cię znów zobaczy. Wasze drogi na lotnisku mogłyby się więc przypadkiem skrzyżować.

– Ty intrygancie! – Klepnęła go w ramię, czując jednocześnie zaskakująco miłe ukłucie. Potem wysiadła, czule wsunęła mu rękę pod ramię i razem przepchnęli się przez tłum turystów wsiadających do cichobieżnej, szybkiej kolejki dowożącej do hali przylotów. Nate spojrzał na zegarek, potem na jeden z monitorów.

– W samą porę – powiedział. – Właśnie wylądował. Powinien tu zaraz być.

I rzeczywiście, chwilę później usłyszeli radosny okrzyk.

– Nate! I Alex, cześć! Świetnie wyglądasz.

Nathan Hayes zamknął młodszego brata w niedźwiedzim uścisku, a Alexandria z przyjemnością obserwowała scenę powitania. Kiedy się poznali, Derek „Diuk”

Hayes był nieopierzonym osiemnastolatkiem, ona zaś starą wyjadaczką na ostatnim roku studiów. Zdawał się wtedy składać wyłącznie ze skóry i kości, długich, falujących włosów i zaraźliwego uśmiechu, za którym kryło się imponujące uzębienie. Uśmiech miał wciąż ten sam, ale zamiast chłopca stał teraz przed nią mężczyzna.

Wyglądał jak trochę mniej udomowiona wersja swego starszego brata. Był tak samo krótko ostrzyżony, podobnie opalony i miał takie same ogniki w oczach. Miał

za to szersze bary, a na rękach wystających z krzykliwe kolorowej hawajskiej koszuli widać było muskuły kulturysty. Gdy brat wypuścił go z objęć, Alex uścisnęła Dereka i poczuła drżącą w nim siłę. Był tego samego wzrostu co ona, i to jej się w nim spodobało. A także to, że przywitanie zakończył cmoknięciem jej w policzek.

– Więc jednak w końcu fryzjer cię dogonił? – zażartowała.

– I piwo też już nauczyłem się pić. – Pokiwał głową z uśmiechem. Potem spoważniał i mrużąc swe błękitne oczy, wpatrzył się w nią z uwagą. – Miło cię znów widzieć, Alex.

– Alex ma niedługo samolot – wtrącił Nat, poklepując brata po ramieniu. – Ale specjalnie przyjechała wcześniej, żeby się z tobą przywitać.

I nagle z Dereka znów wyrzał ten sam nieporadny młodzieniec, który nie wie, jak się zachować. Alexandria poczuła się trochę niezręcznie i pomyślała, że może powinna go nieco ośmielić. Rzuciła okiem na zegarek.

– Została mi jeszcze godzina do odlotu. Jeśli więc nie przeszkadza wam siedzenie na lotnisku, może chodźmy na to piwo?

Derek wyraźnie się rozpromienił. Alex wzięła obu braci pod ręce i w trójkę ruszyli do najbliższego baru.

– Tylko muszę cię ostrzec – powiedziała, przyciskając lekko ramię młodego lotnika. – Nie wiem, czy jeszcze produkują schlitza.

4 maja

Laboratorium Napędów Raketowych,

Pasadena, Kalifornia

– Mówię ci, Alex, że to kompletna bzdura! – Nigdy wcześniej nie widziała Boba Wolfe'a tak rozjątrzonego. Wiedziała, że nie ona jest powodem jego gniewu, ale pamiętając o roli, w jakiej tu występuje, wiedziała także, że jest dla niego wygodnym pośrednikiem, na którym może się wyładować, i nie chciała mu w tym przeszkadzać.

– Gotowość do startu do końca przyszłego tygodnia? Jakby powiedzieli „do końca lata”, to może, choć nawet wtedy byłoby to herkulesowe zadanie. Ale przygotowanie w ciągu dziesięciu dni sondy do startu? Absolutnie wykluczone!

– Ale nie musimy tym razem zajmować się urządzeniami wiertniczymi. I nowa wersja mini-TES-a też może poczekać do następnego razu. Chodzi nam tylko o zrobienie kilku zdjęć.

Wolfe wcisnął guzik na biurku i gdy tylko zgłosiła się sekretarka, warknął:

– Ściągnij tu do mnie Derricka Whittena, ale natychmiast!

– Jak pójdzie coś nie tak, to nie będzie moja wina! – prychnął, zerwał się na nogi i zaczął krążyć po pokoju, czekając na przybycie specjalisty od próbników. –

Możesz to ode mnie powtórzyć Kochowi. I nie myśl, że sam mu tego nie powiem, bo już to zrobiłem. Mówię mu to codziennie od chwili, kiedy z tym do mnie zadzwonił.

– Wiem, Bob. Wiem, że to bardzo trudne. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak napiętego harmonogramu. Ale przecież ostatnie trzy próbki wyładowały bezbłędnie. Spirit i Opportunity funkcjonowały kilka miesięcy, a Vision straciliśmy dopiero, kiedy coś się stało w trakcie wiercenia. A tym razem nie będziemy nic wiercić i nawet nie będziemy zbierać próbek gruntu. Chcemy tylko sfotografować to, co się tam, do cholery, dzieje.

–

Sfotografować!

–

wykrzyknął

Derrick

Whitten,

który

właśnie

bezceremonialnie wparował do gabinetu. – Z próbnika za pół miliarda dolarów chcą zrobić fotoreportera!

– Obawiam się, że tak, profesorze – odparła Alex łagodnie. – Jest to niestety jedyny fotoreporter z akredytacją na Marsa.

– Będziemy musieli ściągnąć całutki personel i odwołać wszystkie inne projekty

– mruknął ponuro Whitten. – Urlopy odwołane, zajęcia w wiosennym semestrze przerwane. Moi ludzie pracują wszędzie – od MIT po Stanford – i jeszcze w stu innych miejscach, a pani mi mówi, że powinni wszystko rzucić, aby zająć się tą sprawą i to już od wczoraj?

– I jeszcze proszę nie zapomnieć o konieczności zachowania tajemnicy – dodała.

– Nikt z tych ludzi nie może wiedzieć, po co ich tu ściągamy, przynajmniej na razie.

Może jak wszyscy się już zjadą, będzie można puścić trochę farby.

– Jeszcze raz powtarzam, to kompletna bzdura! – wtrącił Wolfe. – I po co ta straszna tajemnica? Od ponad trzydziestu lat wysyłamy stąd sondy na Marsa i nigdy nie robiliśmy z tego tajemnicy.

– Przypuszczam – powiedziała Alex, wzruszając ramionami – że nie chcą wywołać paniki, by nie potrząsnąć giełdą czy coś w tym rodzaju. Dyrektor powiedział mi, że dostał polecenie bezpośrednio od prezydenta, aby opinia publiczna nie została poinformowana.

– Tak, mnie też to powiedział – mruknął Wolfe, sadowiąc się wreszcie na fotelu.

– Tylko zupełnie nie wiem, jak to mamy zrobić.

– Do waszej dyspozycji oddano wszystkie moce agencji, a także całe siły powietrzne.

– Nie potrzebuję sił powietrznych. Chcę jedynie, żeby agencja zechciała zejść mi z karku!

– I w tej sprawie może będę mogła coś pomóc – powiedziała pojednawczo. –

Mam bezpośredni dostęp do Kocha dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Chce też, żebym była w stałym kontakcie ze wszystkimi. Z wami, z Houston, z wyrzutnią na przylądku. A co do realizacji zadania, macie wolną rękę.

Moim zadaniem będzie zapewnienie wam tego.

– Tylko właśnie chodzi o tę cholerną realizację, która mnie... och, dajmy już spokój – mruknął Wolfe i westchnął na znak, że się już poddaje, a przynajmniej, że robi taktyczny odwrót. – Zrobimy, co

możliwe, żeby jak najszybciej wysłać coś mogącego sfotografować planetę. Mam tylko nadzieję, że Koch przypomniał

prezydentowi, iż jeśli nawet uda nam się dotrzymać tego terminu, to i tak minie sześć miesięcy, zanim sonda dotrze na Marsa.

– Tak. Jestem pewna, że wszyscy zdają sobie z tego sprawę. I że tego nie da się zmienić.

– No, dobrze. Wracasz dzisiaj czy chcesz jakiś pokój do pracy? Mogłabyś tu posiedzieć kilka godzin i podzwonić do naszych ludzi. Poinformować, że mają się pożegnać z rodzinami i natychmiast zjawić w Pasadenie... A, mogłabyś im też powiedzieć, że nie możesz im podać powodu.

– Przykro mi, Bob. Dziś po południu jadę do Mojave, a jutro o świcie wracam do Waszyngtonu. A poza tym, jak znam twoich ludzi, w większości byliby oburzeni, gdyby o udziale w ściśle tajnej misji dowiedzieli się od kogoś innego niż od ciebie.

– To akurat prawda – mruknął szef LNR. – Tylko jak wrócisz do Waszyngtonu, to się z tym nie zdradź.

5 maja

Stacja Obserwacyjna Głębi Kosmosu,

poligon wojskowy Fort Irwin, Kalifornia

Od chwili gdy po raz pierwszy zobaczyła te urządzenia, zawsze nasuwało jej się skojarzenie z gigantycznymi, postawionymi na sztorc uszami, które nasłuchują choćby najśłabszych odgłosów dochodzących z kosmosu. Odgłosy te oczywiście miały postać elektroniczną, ale gdy wysiadając z wypożyczonego samochodu, spojrzała na pięć gigantycznych talerzowych anten, pomyślała, że jej skojarzenie nadal jest aktualne.

Największy z talerzy miał średnicę niemal dziewięćdziesięciu metrów – był

prawie długości boiska do amerykańskiego futbolu – i tkwił na wieży, która sama w sobie stanowiła imponującej wielkości konstrukcję. Pozostałe – podobnie potężnych rozmiarów – otaczały centralną antenę niczym rodzina grzybów rosnąca w cieniu patriarchy. Akurat na jej oczach jeden z ogromnych talerzy zaczął zmieniać położenie, przestawiając się pod wpływem cicho buczonego siłownika na inny fragment nieba.

– Doktor DeVane? Wartownia przekazała mi, że pani do nas jedzie. Pułkownik Smead. Chodźmy do środka, bo tam chłodniej.

Obejrzała się w stronę głosu i zobaczyła idącego ku niej oficera w nieskazitelnym mundurze.

– Tu na słońcu można się żywcem upiec – dodał.

Dopiero w tym momencie po raz pierwszy od opuszczenia samochodu poczuła lejący się z nieba żar. Majowa temperatura na pustyni Mojave była znacznie wyższa niż choćby w najgorętszym dniu waszyngtońskiego lata, do którego zdążyła już przywyknąć. Jednak widok potężnych anten tak nią zawładnął, że nie zwróciła uwagi na panujący upał. Sama się z siebie roześmiała w duchu, podążając za pułkownikiem ku mieszczącym biura parterowym pawilonom ze szkła i wysuszonych na słońcu cegieł.

– Ale chociaż jest sucho – mruknęła pod nosem.

– Coś pani mówiła? – spytał Smead, przepuszczając ją przed sobą w wejściu.

– Nie, nic – odparła.

Dwadzieścia minut później znajdowała się już w sali odpraw, przemawiając do grupy dziesięciu osób obojga płci. Część z nich była w mundurach, pozostali, ubrani po cywilnemu, reprezentowali personel naukowy stacji. Wyjaśniła wagę i niecierpiący zwłoki charakter nowej misji o nazwie Euklides, wspominając, że cieszy się ona osobistym poparciem prezydenta, dyrektora NASA i szefa połączonych sztabów.

– Potrzebne nam są fotografie tego terenu. Rzetelne dane, które pozwolą nam zorientować się, co się tam naprawdę dzieje. Z tego względu przyspieszamy moment startu i nadajemy misji priorytet.

– Dla LNR będzie to kij wsadzony w gniazdo szerszeni – zauważył pułkownik Snead.

– Proszę mi wierzyć, pułkowniku, że nie będzie, już po wszystkim – powiedziała Alex z rozbijającym uśmiechem. – Ale zgodzili się włączyć. Użyjemy tej samej techniki, co przy misji Vision. Czyli tymczasowa łączność satelitarna za pośrednictwem MGS do czasu wysunięcia głównej anteny, która przejmie bezpośrednią łączność z wami. Główny problem polega na tym, że wszystko musi się odbyć bez sekundy zwłoki, na wczoraj.

– Ale po co aż tyle zamieszania? I dlaczego to taka straszna tajemnica? – odezwał

się jeden z naukowców, siwowłosa Latynos około pięćdziesiątki. – I do czego potrzebny nam Pentagon? Bez osobistej obrazy – dodał, skłaniając głowę w stronę pułkownika Sneada. – Jesteśmy przecież cywilną instytucją na wojskowym terenie.

– Domyślam się, że chodzi o zachowanie maksymalnej ostrożności tak na wszelki wypadek – odparła Alex. – Ale wasza decyzyjność ani decyzyjność stacji w Hiszpanii i w Australii nie ulegają żadnym zmianom. Tyle tylko, że główną uwagę musicie poświęcić Marsowi. I nie tylko my będziemy skrupulatnie obserwować tę planetę, ale włączy się też w to stacja monitoringu, co być może pozwoli uzyskać odbicie radarowe. Waszym zadaniem będzie odbiór, a siły powietrzne prawdopodobnie wezmą na siebie część nadawczą. Włączamy też do współpracy ośrodek LINEAR w Nowym Meksyku, który prowadzi badania asteroid.

Po godzinie spotkanie dobiegło końca. Wychodząc z budynku, Alexandria pomyślała, że coraz lepiej radzi sobie z przekonywaniem ludzi i zachęcaniem ich do współpracy. Anteny przytłaczały ją swą wielkością i w promieniach popołudniowego słońca wyglądały jeszcze groźniej. Mimo panującego upału poczuła zimny dreszcz.

W drodze do miasta zadzwoniła na numer linii lotniczej i zmieniła powrotną rezerwację do Waszyngtonu. Postanowiła zrobić sobie przerwę i odwiedzić matkę.

6 maja

Chicago, Illinois

– Jak ty się czujesz, dziecko? Wyglądasz, jakbyś niedojadała. Karen Barcel –

wróciła do panińskiego nazwiska przed upływem roku od rozwodu – zmarszczyła pełną troski twarz i pociągnęła kolejny łyk kawy z mlekiem. Wiosenne słońce cudownie przygrzewało, Michigan Avenue tonęła w południowym blasku, a ogromne szyby wystawowe w Fleur de Lis przepuszczały mnóstwo światła.

– Problem nie tkwi w jedzeniu, mamó. Po prostu śpię za mało. Od kilku tygodni pędzą mnie z wywieszonym językiem.

– Kto cię pędzi? Marsjanie? – Karen pokręciła głową z naganą, potem mrugnęła porozumiewawczo.
– Ja się na to nie godzę! Naprawdę, mówię poważnie! I o co w tym wszystkim chodzi?

– Cóż, na razie wciąż nic nie wiadomo. Najpierw to zniknięcie próbnika Vision, co stanowiło naprawdę wielką stratę, bo działał doskonale. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się bardzo dużo o przeszłości Marsa. Że na przykład dnem tego kanionu płynęła kiedyś rzeka, i to bardzo zasobna w wodę. Wcale nie tak dawno. Ale zanim zaczęły napływać naprawdę cenne dane, Vision zniknął z ekranów. Nie kończył się stopniowo, jak Spirit i Opportunity, ale po prostu zniknął nagle. A potem doszła sprawa tych jedenastu rozbłysków. Powiem ci, mamó, że jest tak, jakby poczucie znajomości i rozumienia Marsa zostało nagle zastąpione obawą, że nie mamy zielonego pojęcia, co się tam na tej cholernej planecie naprawdę dzieje.

– Jeśli ty się tym zajmiesz, kochanie, to ani się obejrzemy, a już wszystko będzie wiadomo. – Karen zmarszczyła brwi. – Jak już zaczęłaś pracować dla rządu, to chyba zaczepisz się tam na stałe, prawda?

Alexandria uśmiechnęła się, czując, jak spływa z niej zmęczenie.

– Nie jestem taka pewna, mamó. Wiesz, u Northrupa Grummana dobrze mi płacili. Przenosząc się za rzekę, straciłam finansowo. Ale dam sobie radę.

– Martwię się o ciebie, kochanie – powiedziała Karen z przekonaniem.

Alex przyknęła oczy i wsłuchiwała się przez chwilę w muzykę tria, które zapewniało tej eleganckiej restauracji odpowiednią oprawę muzyczną. Grali bluesa, jazzując, a głębokie dźwięki kontrabasu stanowiły subtelną i jednocześnie solidną podstawę dla meandrów linii melodycznej.

– Kiedy byliśmy tu pierwszy raz? – spytała, nadal nie otwierając oczu.

– Chyba na twoje trzynaste urodziny, nie? Na „babski brunch”, jak to nazywałyśmy.

– Tak, pamiętam frajdę wyjazdów do miasta. – Alex otworzyła oczy i spojrzała przez okno na

przechodniów rozkoszujących się promieniami wiosennego słońca. –

Czasami chciałabym znów być dzieckiem. Wiesz, wrócić do czasów, kiedy moim największym problemem było to, czy podobam się temu chłopakowi albo co tamta dziewczyna wygaduje za moimi plecami.

– A właśnie, chłopcy. Wciąż spotykasz się z tym inżynierem?

– Spotkałam się z nim chyba tylko ze dwa razy. Nie, nie. Miał najgłupszy śmiech na świecie. I był całkowicie N.G.

– N.G.?

– Nieprzydatny geograficznie. Mieszkał aż w Kensington, więc jedno z nas musiało tkwić godzinę w korku, żeby po pracy wypić razem jednego drinka. –

Odchrząknęła. – Ale za to poznałam pewnego pilota na Florydzie. A właściwie odnowiłam znajomość po dziesięciu latach. Tylko że akurat on przylatywał, a ja wylatywałam. I tak mniej więcej wygląda ostatnio moje życie.

– Pilot? To niebezpieczny zawód – powiedziała Karen czujnie. – A co to za jeden?

– Młodszy brat Nate'a Hayesa. Pamiętasz Nate'a, asystenta taty z czasów, kiedy...

Znaczy, podczas ostatniego roku jego wykładów – dokończyła niepewnie.

– Tak, oczywiście. Słyszę jego nazwisko w wiadomościach, kiedy lata tym swoim wahadłowcem. Chyba się ożenił z twoją współlokatorką, Joanie Stoughton, prawda?

– Tak. Mają dwójkę dzieci i prowadzą tryb życia mieszkańców Florydy.

– A miałaś jakieś wiadomości od ojca? – Karen zadała pytanie dość obojętnym tonem, udając, że patrzy na muzyków, jednak Alex czuła, że matka obserwuje ją spod oka.

– Nie. Po prostu... chyba po prostu nie mamy sobie zbyt wiele do powiedzenia.

– Ale on cię kocha, wiesz przecież.

– Tak, jasne. Ja też go kocham. Ale pewnie woli siedzieć samotnie w środku swojego lasu, i tyle. A ja nie czuję potrzeby, żeby mu w tym przeszkadzać. –

Spojrzała matce prosto w oczy. – A ty? Czujesz się przez niego porzucona, zdradzona? Jesteś na niego zła?

– Och, kochanie. Był czas, że się na niego wściekałam. Wyglądało to wtedy tak, że im bardziej chciałam coś zrobić, spotykać się z przyjaciółmi, pójść wśród ludzi...

tym bardziej on chciał siedzieć w domu. I zamykać się w swojej dziupli. A mnie trzymać za drzwiami. Chyba chciał się odgrodzić od całego świata.

Alexandria wyprostowała się na krześle, gotowa zmienić już temat.

– A jak ci się układa z Nickiem? Tylko mów szczerze.

– Lepiej niż całymi latami wcześniej. Nick jest bardzo opiekuńczy, naprawdę.

Myślę, że tego lata wreszcie to z siebie wydusi. zaproponował, żebyśmy w czerwcu pojechali na długi weekend na wyspę Mackinac.

– Brzmi fajnie. To kiedy go wreszcie poznam?

– Kiedy tylko uda ci się przyjechać do Chicago na więcej niż dwanaście godzin. –

Karen spojrzała na zegarek. – Twój samolot odlataje za trzy godziny, a zważywszy na korki na Kennedy, myślę, że powinniśmy płać i ruszać na lotnisko.

Trzy godziny i czternaście minut później Alexandria poczuła, jak gwałtowne przyspieszenie wciska ją w ciasny fotel na pokładzie A320, a pas startowy lotniska O'Hare widoczny przez małe okienko samolotu zaczyna się coraz szybciej przesuwać.

Uzucie, że znów jest małą dziewczynką już ją opuściło.

7 maja

Waszyngton

Alex pozwoliła sobie aż trzykrotnie nacisnąć na budziku przycisk dosypiania, w związku z czym trafiła na poranny szczyt i stanęła w kilkukilometrowym korku na I-365. Zjechała z autostrady przed Pentagonem, przejechała przez rzekę mostem Lincoln Memoriał i przebiła się do budynku NASA wąskimi uliczkami dzielnicy handlowej. Usiadła przy biurku o dziewiątej, dwanaście minut później wyruszyła na pierwsze z serii spotkań i wróciła dopiero tuż przed szóstą wieczorem.

W ciągu dnia miała odprawę u dyrektora, pojechała z Dirkiem Frederickiem do Pentagonu na odprawę z szefami połączonych sztabów i sekretarzem obrony, złożyła sprawozdanie ze swej podróży szefom wydziałów NASA i znalazła nawet chwilę, by przełknąć burrito kupione w automacie. Pod koniec dnia jedynym przykrym wspomnieniem okazało się właśnie burrito, połknęła więc dwie tabletki zantaku i usiadła przy biurku, by wyczyścić trochę zaległości w poczcie elektronicznej. Trzy czwarte wiadomości okazało się spamem, zaczęła więc w myślach śledzić wydarzenia z całego dnia.

Dzień rozpoczął się od wyjątkowo złej wiadomości przekazanej jej przez Kocha: po ponad dwudziestu latach wiernej służby, ostatniej nocy sztuczny satelita Mars Global Surveyy odmówił nagle posłuszeństwa i zamilkł. Zanikł nawet statyczny szum i brak było jakichś sygnałów świadczących o tym, że satelita w ogóle jeszcze istnieje. Alex dostała polecenie, by wynikające stąd komplikacje przedyskutować z LNR.

Po wstępnej i skrajnie pesymistycznej reakcji Boba Wolfe'a okazało się jednak, że nowy próbnik będzie mógł funkcjonować niemal prawidłowo, korzystając wyłącznie z własnej wysokosprawnej anteny, która będzie mogła komunikować się bezpośrednio z naziemnymi stacjami nasłuchowymi. Uznano, że da się pominąć pośrednictwo satelity, a próbnik będzie mógł wysyłać sygnały bezpośrednio na Ziemię, ale tylko w czasie, gdy obie planety znajdą się w odpowiednim położeniu wobec siebie, czyli wówczas, gdy Ziemia będzie widoczna na marsjańskim niebie.

Gdy ruch obrotowy Marsa spowoduje, iż próbnik przebywać będzie po drugiej stronie planety – czyli przez mniej więcej połowę czasu – komunikacja z Ziemią będzie niemożliwa.

Wizyta w Pentagonie okazała się natomiast nie lada przeżyciem. Zaczęła się od nadania jej wyższego stopnia dopuszczenia do tajemnic wojskowych, klasyfikowanych jako ściśle tajne specjalnego znaczenia. Kulminacją tej procedury było podłączenie jej na godzinę do wariografu obsługiwanego przez agenta FBI i odpowiadanie na pozornie bezsensowne pytania. Jak jej powiedziano, pełna procedura nadania takiego stopnia trwa kilka miesięcy i obejmuje między innymi wywiad środowiskowy wśród kolegów z pracy, prywatnych znajomych i członków rodziny, więc na razie dopuszczono ją do wszystkich spraw związanych z Marssem.

Jak się przy okazji okazało, całej operacji marsjańskiej nadano dość zaskakujący kryptonim „Jowisz”.

Wszystko to musiała przejść, nim ją w ogóle wpuszczono na salę. Potem siedziała i ze zdumieniem słuchała, jak kilku generałów – głównie z sił

powietrznych, ale także dwóch generałów wojsk lądowych i jeden trzy gwiazdkowy admirał – kolejno relacjonowało swe koncepcje odparcia ataku wroga, który może zaatakować Ziemię z kosmosu.

Do tej chwili ani przez moment nie brała pod uwagę zagrożenia Ziemi z powodu marsjańskich rozbłąsków i początkowo słuchała mówców w niemym zdumieniu.

Chwilami musiała nawet walczyć z sobą, by nie parsknąć śmiechem. Kiedy indziej z całej siły tłumiła w sobie chęć głośnego protestu przeciwko tak bezsensownej stracie jej czasu. Jeśli próbnik miał mieć w ogóle szansę startu w terminie, to czekało na nią przecież mnóstwo konkretnych spraw do załatwienia! A tymczasem musiała tu siedzieć beczynnym w tłumie wojskowych.

Jeden z oficerów, który swą całą karierę zawodową poświęcił badaniu zakresu możliwości i zastosowań radarów, wyjaśnił, że aktualnie bardzo wiele urządzeń radarowych ustawionych jest wprost na przestrzeń kosmiczną. Sercem tej operacji były Stacje Obserwacyjne Głębi Kosmosu, ale to samo dotyczyło też stacji w okolicach biegunów, stanowiących pozostałość po dawnym systemie wczesnego ostrzegania. Anteny radarowe przepatrywały przestrzeń wokół Marsa, poszukując jakichkolwiek obcych obiektów lecących ku naszej planecie. Korzystano do tego celu z fal radiowych o niespotykanej mocy, jednak jak dotąd nie zanotowano niczego podejrzanego.

Z rosnącym zdumieniem słuchała planów zmiany ustawień niektórych spośród rozmieszczonych w kraju między kontynentalnych pocisków balistycznych tak, by mogły zaatakować obiekty w bliskiej przestrzeni kosmicznej. Najwidoczniej było to możliwe do przeprowadzenia, choć wycelowanie potężnych rakiet z licznymi głowicami nuklearnymi w określony punkt stanowiło ogromne wyzwanie. Z chwilą opuszczenia warstwy atmosfery po określonej trajektorii, ich balistyczne właściwości oznaczały oczywiście, że rakiety wymkną się spod kontroli i nie pozwolą sobą kierować. Mimo to zakładano, że uda się zdetonować na sygnał

radiowy z Ziemi i zapewnić w ten sposób choćby częściową ochronę.

Szef połączonych sztabów, generał Darius Williams, był ostatnim mówcą z ramienia Pentagonu. W swym wystąpieniu podkreślił konieczność zachowania za wszelką cenę ścisłej tajemnicy i podkreślił groźbę wybuchu paniki, gdyby społeczeństwo nadmiernie wystraszyło się możliwości ataku, który – jak sam przyznał – był tylko bardzo nikłą ewentualnością. „Robimy jedynie to, co do nas należy, by przygotować się do obrony naszego kraju przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami. Osobiście nie wyobrażam sobie, by zagrażało nam jakieś kosmiczne niebezpieczeństwo ze strony Marsa, ale chcę mieć świadomość, że jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność”.

Odwrotnie niż Alexandria, której wszystko to zupełnie się nie podobało. Cała akcja wyglądała jej zdaniem na ogromne marnotrawstwo środków, ludzkich wysiłków i funduszy. „Gdyby choć połowę z tego poświęcono pracy nad ZLM –

pomyślała z goryczą – można by myśleć o wysłaniu misji jeszcze w tej dekadzie, a nie za dwie lub

trzy!".

Po powrocie do biura Alex dostała informację, że na najbliższą misję marsjańskiego próbnika również przydzielono znacznie większe środki niż zwykle i nawet Bob Wolfe był tym wyraźnie poruszony, choć nadal nie mógł się pogodzić z wymogiem trzymania wszystkiego w ścisłej tajemnicy.

Rozparła się wygodnie w fotelu, czując, jak szalejące w jej żołądku burrito poddaje się wreszcie działaniu zantaku. Ponownie przymknęła oczy i zamyśliła się.

Absolutnie, ale to absolutnie nie mogła pogodzić się z myślą że rozbłyski na Marsie były przejawem istnienia jakiejś formy inteligentnego życia. Niemniej nękała ją ta niewyjaśniona tajemnica i bardzo chciałyby poznać odpowiedź.

Rozmyślania przerwał dźwięk telefonu komórkowego. Otworzyła klapkę i na wyświetlaczu odczytała numer domowy Mike'a Kocha.

– Tak, szefie?

– Daj sobie spokój z rozpakowywaniem – powiedział, nie bawiąc się w żadne wstępki. – Jutro z samego rana lecisz do Colorado Springs. Będziesz miała okazję zajrzeć do środka Mount Cheyenne, co ty na to?

– Jasne, oczywiście – odparła głucho. Boże, taka była zmęczona. I z niesmakiem stwierdziła, że przez chwilę musi z sobą walczyć, by nie wybuchnąć płaczem.

PIĘĆ

7 maja

Delbrook Lake, Wisconsin

W pierwszym tygodniu maja udało mi się dość dużo napisać i w okolicach siódmego mój artykuł, zatytułowany: „Wielki ciąg: analiza porównawcza promu kosmicznego i Saturna”, liczył już około dziesięciu tysięcy dobrze przemyślanych słów. Zostało mi do napisania mniej więcej drugie tyle, ale uznałem, że przy odrobinie szczęścia nie spóźnię się więcej niż o tydzień lub dwa. Musiałem uprzedzić o tym mojego redaktora, rozmowę z nim odkładałem jednak do chwili, gdy będę mógł dokładnie określić datę skończenia artykułu. Był to przynajmniej jeden z powodów.

A potem Browne zaczął strzelać. Co jakiś czas robił to na strzelnicy, jaką sobie urządził na jednej ze swych łąk. Kiedy próbował trafić w coś leżącego w powietrzu, jego dochodząca z bezpośredniej bliskości kanonada ze śrutówek miała często postać całych długich serii. Oczywiście towarzyszyły mu w tym jego ujadające niemiłosiernie psy, a ich głosy to cichły, to wzmagały się w zależności od tego, gdzie je nosiło.

Wyłączyłem z niesmakiem komputer i zacząłem poważnie rozważać złożenie telefonicznej skargi w biurze miejscowego szeryfa. W końcu zrezygnowałem, wiedziałem bowiem, że gliniarze i tak nie ruszą palcem w tej sprawie. Jeden z zastępców szeryfa oświadczył mi to kilka lat temu, posługując się przy tym dość dosadnym językiem. Z jego wypowiedzi wynikało, że póki Browne nie strzela do mnie, może sobie o dowolnej porze dnia strzelać, ile mu się żywnie podoba.

Krążąc w bezsilnej złości między gabinetem a salonem, próbowałem myśleć o artykule, jednak nie potrafiłem się skupić. Czulem też wyrzuty sumienia, że do tej pory nie zadzwoniłem do Alex, jednak nadal nawet się do tego nie zabrałem.

Tak naprawdę, nie bardzo wiedziałem, co jej powiedzieć. Wcześniejsze zaniepokojenie już mi przeszło i szczerze powiedziawszy, z chwilą ustania błysków na Marsie przestałem o nich myśleć. Postępowałem trochę jak media, których zbiorowa uwaga niemal natychmiast przeniosła się na tysiące innych sensacji lokalnych i globalnych, stanowiących normalny pokarm dla dziennikarskich hien.

Ostatnio media żerowały na skandalu w wojsku wokół jego nadmiernych wydatków na nowy rodzaj broni zwanej EMP. Pod tą nazwą kryła się bomba wyzwalająca impulsy elektromagnetyczne, które w polu rażenia miały mieć zdolność neutralizowania komputerów i innych wrażliwych na zakłócenia urządzeń elektronicznych. Interesuję się trochę sprawami wojskowymi i dlatego z dość dużą uwagą śledziłem doniesienia na ten temat.

Już od kilku wieczorów Czerwona Planeta zniknęła zupełnie z wiadomości telewizyjnych i jedynym wyjątkiem były sporadyczne doniesienia Jaya Mansteina w CNN. Ale nawet one w głównej mierze dotyczyły tego, że nie wydarzyło się nic nowego, i sprowadzały się do cytowania niesprawdzonych pogłosek, iż NASA szykuje kolejny bezzałogowy lot, by przyjrzeć się bliżej temu, co pod koniec kwietnia działo się na Marsie. Z ulgą powitałem fakt, że sytuacja na nocnym niebie powróciła do znanego mi od zawsze status quo, które znały też tysiące, a może miliony pokoleń przede mną.

Niestety powrót do normalności absolutnie nie pomógł mi w pracy.

Postanowiłem zjeść wcześniej kolację, zapaliłem więc gazowy grill i wyjąłem dwa hamburgery do rozmrożenia. Właśnie szykowałem sobie Bloody Mary, gdy zadzwonił telefon. Sięgając po słuchawkę, skrzywiłem się na myśl, że to może redaktor chce mnie zapytać o losy artykułu.

– Mark DeVane.

– Cześć tato. – Usłyszałem trochę niepewny głos Alexandrii.

– Cześć, kochanie. Co u ciebie?

– U mnie... w porządku, chyba. Tak chciałam pogadać, bo już strasznie dawno nie rozmawialiśmy. Masz chwilę?

– Pewnie. – Dodałem do szklanki kilka kropel tabasco i z nią oraz z telefonem wyszedłem na werandę. Zachód słońca rozświetlał na pomarańczowo strzępiaste, białe chmury płynące po pastelowym, błękitnym niebie. Browne też już przestał

strzelać, przynajmniej na razie. – Dwa tygodnie temu widziałem cię w telewizji.

Świetnie sobie poradziłaś.

– To było okropne! – jęknęła. – Od tamtej pory nie dają mi się nawet zbliżyć do kamer.

Była wyraźnie spięta, a mnie przygniół nagły ciężar poczucia winy i zaniepokojenia. Alexandria zawsze była bardzo opanowana, ponad wiek rozwinięta i pełna wewnętrznego spokoju. I to w niej lubiłem. Dlatego teraz nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć, dość rozpaczliwie szukałem słów.

– To samo powiedziałem matce. Znaczy nie to, że byłaś okropna, tylko że jesteś taka dobra w sprawach analitycznych, w planowaniu i obliczaniu. Jesteś najlepiej zorganizowana ze wszystkich naukowców, jakich znam. Powinni więc wziąć do tego kogoś innego, jakiegoś specjalistę od PR, który stanie i będzie lał wodę. Ty masz ważniejsze rzeczy na głowie!

– Dyrektor już się tym zajął. Ale mnie też nie brakuje zajęć. Wczoraj wróciłam z Zachodniego Wybrzeża, jutro o świcie lecę do Kolorado.

Alexandria zawsze lubiła podróżować, ale tym razem mówiła o tym z wyraźną niechęcią.

– A nie został ci jakiś niewykorzystany urlop? – spytałem, próbując zmienić temat. – Może mogłabyś wziąć trochę wolnego?

– Właśnie o to chodzi. Nie mogę wziąć żadnego wolnego. Chodzi o... no, jest to teraz mocno skomplikowane. Po pierwsze, przyspieszono datę wystrzelenia następnego próbnika, a to powoduje, że niemal co drugi dzień latam na trasie Waszyngton-Pasadena i z powrotem.

Dopiero w tym momencie, jak grom z jasnego nieba dotarł do mnie powód tego, że jest taka spięta.

– Wciąż się martwisz tą historią z Marsem? Myślałem, że to się już tydzień temu skończyło. Że to były tylko odbicia promieni słonecznych, a teraz zmieniło się położenie planety i już ich nie widzimy. Czy nie tak pisano w prasie?

– Zapewne. Ale, tato, tak bardzo chciałabym to wiedzieć na pewno. Nienawidzę naciąganych hipotez, które mają być pokarmem dla prasy i panów generałów. Bo tak naprawdę nic nie wiemy!

– Rozumiem, że nie wierzysz w teorię refleksu? Wydawało mi się, że jest do przyjęcia. W każdym razie bardziej niż wszystkie inne. Bo jeśli nie refleks, to co? –

„Panów generałów”? Ciekawe, co chciała przez to powiedzieć?

– Nie wiem. Ale... jestem tym wszystkim zaniepokojona.

I nagle zrozumiałem, że nie tylko: jest też wystraszona. Lekkie drżenie głosu mojej opanowanej, mądrej córki było pierwszym sygnałem, który mnie naprawdę przeraził.

– Czy ta historia ma jakiś dalszy ciąg? Czy wiesz o czymś, o czym nie wolno ci mówić? – spytałem.

– Właściwie, to nie. – Jej głos znów brzmiał chłodno i spokojnie, jakby już opanowała kipiące w niej emocje. – Federalni oczywiście nałożyli pewien wymóg tajności, ale to tylko na wszelki wypadek. Bo tak naprawdę nikt nie wie, co myśleć, wszyscy kręcą się w kółko i robią zamieszanie.

– To trudna sytuacja, kiedy brakuje na coś wytłumaczenia – zgodziłem się. – Ale w jakim stopniu może to być groźne?

– Tato, nie wiem – powiedziała nagle śmiertelnie poważnym tonem. – Tam się dzieją jakieś bardzo dziwne rzeczy. Te wybuchy były jedynie wizualnym przejawem tego czegoś, bo jestem pewna, że to jeszcze nie koniec. W tej chwili wszyscy i wszystko – od anten i odbiorników w stacjach nasłuchu z głębin kosmosu po teleskopy na stu uniwersytetach – przepatrują niebo. Ale Mars jest zbyt daleko i na razie niczego nie wiemy.

– No cóż, prędzej czy później się dowiecie – zapewniłem ją czując się nieco spokojniejszy. Ona też już bardziej przypominała siebie z dawnych lat. – A wtedy...

no cóż, może wtedy uda ci się wziąć trochę wolnego i przyjechać w odwiedziny.

– Tak. A ty pamiętaj, że mam wolny pokój, więc jeśli chciałbyś się kiedyś wybrać do Waszyngtonu, to masz gdzie spać. Jest tu naprawdę mnóstwo ciekawych rzeczy do obejrzenia. Z radością bym cię oprowadziła.

– Będę pamiętał. Dzięki. – Od razu poczułem, jak serce mi wali na samą myśl o podróży samolotem i przewalających się tłumach. O przebywaniu w mieście.

Miałem nadzieję, że w moim głosie nie było słyhać drżenia, gdy dodałem: – No cóż, pozwolę ci

teraz wrócić do pracy. Ale dzięki za telefon, kochanie.

– Kocham cię, tato – powiedziała. – Zadzwoń, jak będziesz miał okazję, dobrze?

– Oczywiście, kochanie, zadzwonię. Na razie, pa!

Ja też ją kochałem, tylko jakoś słowa, którymi mógłbym to wyrazić, nie zdążyły się jeszcze uformować w moich ustach, kiedy usłyszałem trzask odkładanej słuchawki.

SZEŚĆ

21 maja

Baza sił powietrznych w Eglin, Floryda

Alexandria usłyszała silniki, zanim zobaczyła samoloty. Początkowe buczenie przemieniło się po chwili w huczenie i dopiero wtedy jej oczom ukazały się cztery warthogi lecące wolno i nisko nad ziemią. Jakim cudem ogromne straszzydła były w stanie utrzymać się w powietrzu przy tej szybkości? Derek „Diuk” Hayes pilotował

samolot prowadzący szyk i wzrok kobiety powędrował ku jego maszynie, gdy ta złożyła się nagle w ostry skręt. Pozostałe trzy samoloty posłusznie wykonały za nim taki sam manewr. Diuk, będąc nie więcej niż sto metrów nad ziemią, leciał teraz dokładnie nad płytą, na której stała Alex. Wszystkie cztery maszyny przeleciały z rykiem nad jej głową, a ona przysłoniła sobie uszy dłońmi i z uśmiechem patrzyła w górę.

Warthogi w pełni zasługiwały na swe niezbyt pochlebne przezwisko. Ich dwa ogromne silniki sterczały nad kadłubem tuż za kanciastymi, nieforemnymi skrzydłami. Ogon był potężny i też nieforemnie kanciasty, a oba długie, wąskie stateczniki poziome były zakończone statecznikami pionowymi. Pod skrzydłami jak narośle sterczały doczepione do nich pociski, działka pokładowe i aparatura do namierzania, co dodatkowo zniekształcało przysadzistą sylwetę samolotu. Mimo iż A10 był wielkim samolotem, kabina pilota wydała się kobiecie wręcz śmiesznie wystawiona na atak, umieszczono ją bowiem na samym czubku w przezroczystej kopule jakby doczepionej tuż nad dziobem samolotu.

Alex wiedziała oczywiście, że kabiny mają tytanową powłokę wzmacniającą, sami piloci zaś uwielbiają swoje maszyny i kochają je taką miłością, jaką potrafiło wzbudzić niewiele samolotów w historii lotnictwa wojskowego. Diuk opowiadał jej o lotnikach z wojny nad Zatoką, którzy doprowadzali do bazy swe warthogi z odstrzeloną połową skrzydła albo z jednym silnikiem urwanym, a drugim pełnym dziur i odłamków. Mówił o swoim samolocie tak, jakby zajmował on w jego sercu bardzo specjalne miejsce. Alexandria była gotowa wierzyć, że jest tak naprawdę.

Patrzyła, jak cztery warthogi lądują parami na szerokim pasie startowym, i raz jeszcze przemknęło jej przez głowę pytanie, co ona tu właściwie robi. To prawda, że czekała na odlot wojskowym transportowcem z przylądka, a do bazy Eglin zlokalizowanej na wąskiej rękocyści patelni, jaką przypomina Floryda, miała bardzo blisko. Podobnie jak prawdą było i to, że choć raz w życiu wszystko ułożyło się jak należy: Nathan powiadomił ją, że w ramach sześciomiesięcznej służby tymczasowej jego brata przeniesiono na Florydę ze stałej bazy w Nevadzie. Pod wpływem chwilowego impulsu zadzwoniła do niego, a nieklamana radość w głosie Diuka przesądziła o jej decyzji. Koch może poczekać na sprawozdanie do jutra – dziś dawała sobie sześciogodzinną przepustkę.

„A może nawet dwunastogodzinną” – przemknęło jej przez głowę, gdy czekała na pilota pod salą odpraw. Zdążył się już przebrać w spodnie w kolorze khaki, hawajską koszulę i sandały. Ze śmiechem ucałował ją prosto w usta, nim zdążyła zdecydować, który policzek ma mu nadstawić.

– Tak się cieszę, że zadzwoniłaś! – wykrzyknął, przytrzymując ją w uścisku nieco dłużej, niż to było konieczne. – Czy mogę cię zaprosić na kolację do jakiejś fajnej knajpki na plaży?

– Brzmi zachęcająco – odparła, z przyjemnością czując na sobie przeciągłe spojrzenie jego błękitnych oczu. Pomyślała, że dobrze zrobiła, wkładając dziś sukienkę, bo z wyraźnym uznaniem przyglądał się jej nogom.

– A więc też jesteś teraz na Florydzie? – zapytał, podając jej ramię, pod które po sekundzie wahania wsunęła dłoń. Wyczuwała w tym ramieniu drżącą siłę. Jego skóra była gładka, a ona czuła, że jej dotyk sprawia mu przyjemność.

– Cóż, wychodzi na to, że ostatnio jestem na przylądku co najmniej raz w miesiącu. Ale niedawno przesiedziałam cały tydzień w Kolorado, a od tej pory byłam już wszędzie od Waszyngtonu po Kalifornię. Coś mi się zdaje, że dyrektor wysłałby mnie też na księżyc, gdyby tylko był wolny bilet.

– No to mam nadzieję, że oglądasz mnóstwo różnych fajnych miejsc. Bo ja kocham Kolorado i Góry Skaliste!

Chciała mu powiedzieć, że w Kolorado oglądała nie tyle Góry Skaliste, co wnętrze jednej z nich – bazę będącą głównym centrum dowodzenia sił

powietrznych, zlokalizowaną we wnętrzu Mount Cheyenne – ale paranoja trzymania wszystkiego w tajemnicy nie pozwoliła jej rozwinąć tematu.

– Ta kolacja na plaży brzmi świetnie – powiedziała tylko.

Chwilę potem siedzieli już w samochodzie, dość nowym kabriolecie sebring, nieco mniej narowistym niż boxster jego brata, jadąc w stronę Fort Walton Beach.

Po chwili przejechali na drugą stronę śródlądowego kanału biegnącego wzdłuż półwyspu i wjechali na szosę wiodącą brzegiem zatoki. Mijając elegancko wyglądającą restaurację typu steak house, Diuk spojrzał na Alex pytająco, ona jednak wzruszyła tylko ramionami, a on z uśmiechem kiwnął głową. Niecałe dwa kilometry dalej natrafili na urządzoną na wolnym powietrzu knajpkę specjalizującą się w owocach morza i skręcili na parking.

– Dobrze odgadłem, że to ci bardziej pasuje?

– Czytasz we mnie jak w książce. Już mi pachną kraby na parze.

Usiedli przy stoliku ustawionym na podeście wchodzącym w zatokę i przystąpili do uczyty złożonej z zimnego piwa i gorących odnóży krabów. Obejrzeli przy tym przepiękny zachód słońca, po czym ruszyli na spacer po plaży, trzymając się za ręce.

– Przebyliśmy daleką drogę od czasów w Madison, nie uważasz? – odezwał się Diuk.

– Ale i tak był z ciebie miły dzieciak, nawet jeśli piwo niezbyt ci służyło.

– Już nie jestem dzieciakiem.

Zatrzymali się na pocałunek, który potrwał bardzo długo, a potem Diuk wziął ją za rękę i poprowadził ku wejściu do stojącego tuż przy plaży Holiday Inn, Alex zaś szła bez oporu, czując wyraźne łaskotanie w brzuchu.

Już bardzo dawno nie miała w brzuchu takich motylków. Zbyt dawno.

22 maja

Stacja Obserwacyjna Głębi Kosmosu,

Tidbinbilla, Australia

– Szeffie, lepiej niech pan tu zaraz przyjdzie. – Mówiąc te słowa do mikrofonu, technik dyżurny nie odrywał wzroku od ekranu monitora. Kilka sekund później drzwi się otworzyły i komandor porucznik Smythe wpadł z impetem do chłodnego, mrocznego pomieszczenia kontrolnego.

– Co się dzieje, Sparky?

– Coś nam wchodzi na duży talerz, panie poruczniku. O, tu, zaraz spróbuję bardziej dostroić.

Dowódca stacji, czterdziestoletni weteran Australijskiej Królewskiej Marynarki Wojennej zmrużył oczy z niedowierzaniem.

– Jesteś pewny, że to nie jakieś brudy? Jakies plamy na Słońcu albo coś w tym rodzaju? A może po prostu szumy w sieci?

– Uruchomiłem sprawdzian systemowy, zanim pana zwołałem. To zdecydowanie wygląda na odczyt. Dostajemy bardzo słabe odbicie radarowe jakiegoś dziwnego obiektu o niezwyklej kształcie i rozmiarze, który porusza się w przestrzeni kosmicznej.

– Spójrz tylko, jak szybko się porusza. To chyba niemożliwe.

– Dla asteroidy na pewno nie – potwierdził technik. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem. A co najdziwniejsze, niewykluczone, że leci wprost w kierunku Ziemi.

Komandor porucznik Blythe gwizdnął przez zęby.

– No dobra – mruknął. – Pilnujmy tego, póki nie uzyskamy dokładniejszych danych co do wielkości, szybkości i trajektorii. Nawiążę łączność z NASA, ale nie chcę robić szumu, póki nie będziemy mieli czegoś konkretnego do powiedzenia.

Zacieśniasz wiązkę?

– Tak jest. Już wcześniej zmodyfikowałem sygnał z kompotierki. – Sparky miał

na myśli jeden z mniejszych talerzy antenowych, który wysyłał w przestrzeń kosmiczną sygnały radiowe w dość szerokim spektrum. – Za jakieś dwie minuty powinniśmy mieć trochę dokładniejszy obraz.

– No i dobrze.

Komandor porucznik Smythe sięgnął po fajkę i zacisnął zęby wokół cybucha. W

sali palenie było oczywiście surowo zabronione, ale i tak lubił trzymać ją w zębach.

Przywodziło mu to na myśl znacznie bardziej beztroskie czasy, gdy jako oficer wachtowy pełnił służbę na mostku jednej z fregat Jej Królewskiej Mości.

– Jezu przenajświętszy na krzyżu!

Okrzyk Sparky'ego przyciągnął jego wzrok do ekranu.

– Czy to jest to, co mi się zdaje? – spytał, czując, jak po plecach spływa mu strużka potu.

– Chyba tak, panie poruczniku. – Sparky zaczerpnął głęboko powietrza. – Mamy w przestrzeni kosmicznej lecące ku nam z wariacką prędkością nie jeden, ale dwa nieznane obiekty. Pierwszy jest jakieś czterdzieści trzy miliony kilometrów od Ziemi, drugi podąża za nim w odległości około trzech milionów kilometrów. Na podstawie trajektorii ich lotu byłbym gotów zaryzykować stwierdzenie, że oba wyruszyły z okolic Marsa.

22 maja

Centralna siedziba CNN,

Atlanta, Georgia

Jay Manstein natknął się na Ricka Chalmersa tuż przed wejściem do studia numer 1. Prowadzący od wielu lat programy prezenter skończył właśnie swój dzisiejszy dyżur, choć stacja nie przestawała oczywiście pracować i nadawała przez całą noc. Chalmers zdążył już rozluźnić krawat, ale chętnie przystanął, by zamienić parę słów ze znajomym reporterem od astronomii.

– Dostałem cynk od mojego człowieka w Pentagonie – zaczął Manstein. – Jest jeszcze za wcześnie, żeby z tym wchodzić na antenę, ale chciałem ci to zasignalizować. Bo to może być coś dużego.

– Dużego? – Chalmers uniósł srebrzystosiwą brew. – Jak dużego...?

– Dużego jak cholera. Albo jeszcze większego. Jak na przykład trzecia wojna światowa. W Australii wybuchła jakaś wielka afera. Stacje prowadzące obserwację głębi kosmosu, czyli cała sieć anten odbiorczych...

– Wiem, co to jest! – przerwał prezenter.

– No więc w każdym razie dochodzą do mnie wieści, że chłopcy na jednej z tych stacji zauważyli jakieś obiekty w przestrzeni kosmicznej. Duże, w rodzaju asteroid, lecące w kierunku Ziemi. I wygląda na to, że lecą z Marsa.

Chalmers głośno przełknął ślinę.

– Na ile to jest pewne? – zapytał.

– Jeszcze niepewne, jeszcze nie teraz. Ale słuch mam wyostrzony. Tylko jeśli puścimy to na antenę, możesz być pewien, że wielkie gówno trafi w wielki wentylator.

22 maja

Beachfront Holiday Inn,

Fort Walton Beach, Floryda

Telefon komórkowy zadzwonił w ciemnościach, ale pierwszego sygnału Alex prawie nie dosłyszała. Przy drugim usiadła lekko zdezorientowana i zamrugła.

Przeturlała się ku krawędzi łóżka i aż się zachnęła, czując jakieś ciepłe ciało. Nie była sama i nie była w domu!

W tym momencie wróciła jej świadomość tego, gdzie jest i z kim. Przechyliła się nad Diukiem, który dopiero teraz zaczął dawać pierwsze oznaki przebudzenia, i sięgnęła po telefon. Jej dłoń odnalazła go po omacku, a wzrok powędrował do wyświetlacza, na którym widniał numer dzwoniącego.

– O cholera! – jęknęła, po czym sekundę później otworzyła klapkę i zgłosiła się.

– Tu Alex, panie dyrektorze. Coś się stało?

– Słuchaj, gdzie ty teraz jesteś?

– Hm, na Florydzie. W pobliżu bazy lotniczej Eglin. Wracam jutro z samego rana.

– Potrzebna mi jesteś teraz. Mamy jutro konferencję o godzinie, o której normalni ludzie dopiero się budzą. Tylko ty, ja i około tysiąca gwiazdek na pagonach wyższych szarży z Pentagonu – sapnął Mike Koch. – Zadzwoń do dowódcy bazy w Eglin. W ciągu godziny będzie na ciebie czekał odrzutowiec z rozgrzanym silnikiem.

Mam nadzieję, że przez ten czas zdążysz na pas startowy?

Spojrzała z ukosa na Diuka, który zupełnie już rozbudzony zdążył zapalić lampkę na nocnym stoliku. Zamknął dłoń na jej kolanie i uniósł jedną brew, co nadało mu niezwykle młodzieńczy wygląd. Westchnęła i potrząsnęła głową.

– Tak jest, szefie – powiedziała. – Już się zbieram.

22 maja

Pentagon,

Waszyngton

Mike Koch przyjechał osobiście po Alexandrię do bazy sił powietrznych w Andrews i wjechał na płytę lotniska swym służbowym SUV-em [(ang. Sport and Utility Vehicle) – samochód miejsko-terenowy] w chwili, gdy turbiny odrzutowych silników w niewielkim learjecie, którym przyleciała z Florydy, wciąż jeszcze wirowały. Od pożegnalnego pocałunku Diuka minęło ledwie kilka godzin, a już jej się zdawało, jakby to było w innym życiu.

Oboje usiedli z tyłu. Alex była nawet nieco zaskoczona, że Koch wziął kierownicę, bo znany był z tego, że uwielbia sam siedzieć za kółkiem. Jej zaskoczenie przerodziło się szybko w kompletne zdumienie, gdy natychmiast po usadowieniu swego potężnego cielska zaczął jej opowiadać, o co chodzi. Musiał dwukrotnie powtórzyć wiadomość o odkryciu dokonanym przez australijską stację obserwacyjną, które później – gdy Ziemia obróciła się na tyle, że tajemnicze obiekty znalazły się w polu widzenia Europy – zostało też potwierdzone przez Madryt.

– I lecą tu? Z Marsa?! – Pokręciła głową, przenosząc wzrok z szyby na swego szefa i z powrotem. – To wszystko zmienia.

– Jak cholera. Wywraca wszystko do góry nogami – potwierdził. – Pytanie, kto to wysłał? I jeszcze ważniejsze: co to, do cholery, jest?

Alexandria nie zdążyła nawet zacząć oswajać się z myślą o różnych przychodzących jej do głowy wariantach odpowiedzi, gdy ich samochód zajechał

pod główne wejście do Pentagonu. Szybko przebrnęli przez wykrywacze metalu i strażników ochrony, po czym zostali od razu skierowani do sali konferencyjnej, gdzie dołączyli do grupki wysokich rangą oficerów i kilku cywilów stojących w kolejce do następnej, tym razem znacznie dokładniejszej kontroli.

Wszyscy uczestnicy konferencji zostali poddani bardzo szczegółowej kontroli.

Dwukrotne sprawdzenie identyfikatorów i przejście przez komorę rentgenowską pod okiem po zęby uzbrojonych marines nie pozostawiało co do tego żadnych wątpliwości. Alex wyciągnęła portfel z identyfikatorem w stronę pierwszego strażnika, znieruchomiała na moment robienia zdjęcia i oddała papiery drugiemu ze strażników, który przepuścił je przez skaner pracujący w ultrafiolecie. Strażnik intensywnie świdrował ją wzrokiem, gdy porównywał jej twarz z maleńką fotografią na identyfikatorze. Poczula, że jeszcze chwila, a wypali jej dziury w skórze. W

końcu kiwnął przyzwalająco głową, a ona odczuła tak wielką ulgę, że niemal ugięły się pod nią kolana. Ruszyła za Kochem do sali, która okazała się wielkim amfiteatralnym audytorium.

W dzisiejszej konferencji miało uczestniczyć ponad tysiąc osób. Dyrektor położył rękę na oparciu

siedzenia przy jednym z przejść i usunął się na bok, by ją przepuścić na sąsiednie miejsce. Alex usiadła i spojrzawszy na niego ukradkiem, pomyślała, że chyba nigdy wcześniej nie widziała na jego twarzy wyrazu takiego przygnębienia. Cerę miał poszarzałą, a na czole widać było kropelki potu. Był to widok równie niezwykły, jak meldujący się na siódmą rano tłum generałów i innych wysokich dygnitarzy, którzy o tej porze zazwyczaj przewracali się na drugi bok.

Alex dostrzegła kilka znajomych twarzy z agencji, wielu cywilów, których nie знаła – ich gładkie i pozbawione wyrazu twarze już z daleka krzyczały: „FBI” – a także kilku, których twarze rozpoznawała. Wśród tych ostatnich dojrzała sekretarza obrony i sekretarza do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego, a także kilku senatorów kierujących ważnymi komisjami senackimi, zajmującymi się sprawami obrony, przestrzeni kosmicznej i wywiadu.

Wszystko to konotowała sobie w pamięci, gdy nagle – jakby na czyjś znak – po sali rozszedł się szmer. Ludzie w pierwszych rzędach wstali, stojący dalej wspięli się na palce, by dojrzeć, co się dzieje. Otworzyły się boczne drzwi na podium, wyszedł z nich generał, sztywno zasalutował i ogłosił z zaśpiewem:

– Panie i panowie, prezydent Stanów Zjednoczonych.

Alex nigdy wcześniej nie widziała go na żywo, ale nie można było pomylić jego krzaczastych brwi i gęstej, siwej czupryny wieńczącej tyczkowatą sylwetkę. Z

twarzą pozbawioną uśmiechu podszedł w otoczeniu kilku agentów służb specjalnych do miejsca w pierwszym rzędzie w prawym rogu audytorium i usiadł. Agenci cofnęli się, reszta świty zajęła zarezerwowane dla niej miejsca.

Niemal natychmiast na mównicę wszedł generał Darius Williams, szef połączonych sztabów sił zbrojnych. Był wysoki, a jego krótko ostrzyżone, siwe włosy pasowały doskonale do granitowoszarych, przenikliwych oczu. Brodę miał

wojowniczo wysuniętą do przodu, jakby szykował się do walki. Alex rozejrzała się ukradkiem po sali i pomyślała, że chyba nigdy wcześniej nie widziała tak liczного zgromadzenia zachowującego tak absolutną ciszę.

– Panie prezydencie, panie i panowie – zaczął generał. – Nie ma właściwie innego sposobu na rozpoczęcie tej konferencji, jak powtórzenie znanych wszystkim faktów, jakkolwiek nieprawdopodobnie by brzmiały: niecałe dziesięć godzin temu stacja monitorująca głębię kosmosu, znajdująca się koło Canberry w Australii zauważyła na ekranach odbicie radarowe, czyli obraz obiektów poruszających się w przestrzeni kosmicznej w odległości znacznie przekraczającej orbitę naszego Księżyca. Australijczykom udało się zidentyfikować trzy takie obiekty, potem rotacja naszej planety spowodowała ich wyjście poza pole widzenia. Obecnie ich monitorowanie przejęła stacja obserwacyjna pod Madrytem, która twierdzi, że dostrzegła też czwarty obiekt. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest ich więcej.

Narzucają się natychmiast trzy wnioski. Po pierwsze, obiekty te lecą jeden za drugim w kierunku Ziemi. Po drugie, trajektoria ich lotu pozwala przypuszczać, że nadlatują z kierunku Marsa lub

głębszej przestrzeni kosmicznej za Marsem. Po trzecie, odległość między pierwszym z nich i następnym, przeliczona z uwzględnieniem szybkości poruszania się, oznacza, że rozpoczynały swą podróż w odstępach nieco większych niż doba.

Szef sztabu przerwał i odchrząknął. Był wysokim, postawnym mężczyzną, prostym jak struna, a mimo to jego wygląd skojarzył się Alex z jeleniem złapanym w pułapkę reflektorów pędzącego samochodu. Zaczęła nagle lepiej rozumieć znękany wyraz twarzy swojego szefa i podejrzewać, że jej twarz także przybiera zielonkawą barwę.

– Choć zabrzmiało to nieprawdopodobnie – i proszę mi wierzyć, że nawet kiedy człowiek ma chwilę czasu, żeby się z tą myślą oswoić, to wciąż brzmi zupełnie surrealistycznie – wygląda na to, że rozbłyski obserwowane niedawno na Marsie spowodowane były kolejnym wystrzeliwaniem tych obiektów. Dlatego jestem niemal pewien, że gdy zbliżą się do nas bardziej i nasze pomiary radarowe staną się dokładniejsze, okaże się, że jest ich jedenaście, czyli tyle, ile było rozbłysków.

Obiekty te mogą być litymi bryłami skalnymi, pociskami lub statkami kosmicznymi.

Pierwszy z nich wydaje się bardzo duży – większy od naszego Saturna z zestawionymi razem wszystkimi trzema stopniami – jednak zanim będziemy mogli rzetelnie ocenić jego wielkość, trzeba będzie jeszcze trochę poczekać na dokładniejsze pomiary.

Alex miała w pamięci raketę Saturn stojącą jako eksponat w Centrum Kosmicznym Kennedy'ego. Chodziła wokół niej i przesuwała się pod nią pełna podziwu i lęku. Wysokość rakiety przekraczała długość boiska futbolowego, a całość napakowana była silnikami i zbiornikami paliwa, których wielkość i złożoność budziły zdumienie. A te marsjańskie statki są od niej większe?

Generał Williams mówił dalej, jego słowa jak uderzenia młota padały na wyraźnie ogłuszoną widownię.

– Jakie są ich zamiary? Tego oczywiście nie wiemy. Ale wiemy, że lecą w naszym kierunku, i musimy być przygotowani na to, że ich zamiary wobec nas są wrogie. Być może nie czeka nas nic gorszego niż potężny ostrzał artyleryjski. Ale może się też okazać, że lecą do nas statki kosmiczne z załogą złożoną z kolonizatorów – lub agresorów – dla których Ziemia ma być nowym światem. Przy ich obecnej szybkości, pierwszego z tych obiektów możemy spodziewać się w pobliżu naszej planety za jakieś trzynaście dni.

To stwierdzenie wywołało pierwszą reakcję: rozchodzący się po sali szmer pełen niedowierzania i niepokoju. Szefowi sztabu nie przeszkodziło to mówić dalej.

– Wielu z państwa wie, że przygotowania na ewentualność napaści – którą jeszcze kilka tygodni temu sam uznawałem za całkowicie niedorzeczną – z polecenia prezydenta już się rozpoczęły. Nie jesteśmy wobec zagrożenia bezbronni. Nasz arsenał naziemnych międzykontynentalnych pocisków balistycznych przechodzi obecnie szeroko zakrojoną restrukturyzację tak, by – przynajmniej w teorii – były w stanie zaatakować cele w przestrzeni kosmicznej. Aczkolwiek jeszcze tego nie przetestowaliśmy, mamy wszelkie podstawy sądzić, że nasza broń nuklearna zapewni nam efektywną osłonę przed jakimkolwiek atakiem. Posiadamy wystarczająco dużo głowic bojowych i pocisków

nuklearnych, by wymierzyć druzgocące ciosy ponad ziemską atmosferą, co ochroni świat przed skażeniem nuklearnym.

Co więcej, przygotowania obejmą całą przestrzeń powietrzną naszej planety i sięgną aż do powierzchni globu. Począwszy od dziś, wszystkie formacje wojskowe oraz gwardia narodowa zostają postawione w stan natychmiastowej gotowości.

Opinia publiczna zostanie poinformowana, że prowadzimy ogólnokrajowe ćwiczenia w celu sprawdzenia stanu naszej gotowości do odparcia zmasowanego ataku terrorystów lub innych najeźdźców. O zaistniałej sytuacji informujemy też przywódców rządów w krajach sprzymierzonych i wspólnie podejmiemy kroki w kierunku stworzenia systemu obrony globalnej. Wszystkie nasze okręty wypłyną w morze, a wszystkie jednostki sił powietrznych będą w stałej, całodobowej gotowości do natychmiastowego podjęcia misji bojowych. Wszystko to jest aktualnie wdrażane w życie na rozkaz z Białego Domu. – Szef sztabu przerwał i otarł sobie czoło chusteczką. – Panie prezydencie, czy zechciałby pan coś dodać?

Patrząc na szefa państwa powstającego z miejsca i wchodzącego na podium, Alex przypomniała sobie postać Abrahama Lincolna – podobnie jak on wysokiego i szczupłego, podobnie lekko zgarbionego pod ciężarem problemów gnębiących kraj.

Wprawdzie akcent tego prezydenta miał zaśpiew typowy dla mieszkańców Karoliny, nie zaś szczekliwą wymowę charakterystyczną dla Środkowego Zachodu, jednak Alex wmówiła sobie, że tego nie słyszy. Wolą podtrzymać złudzenie.

– Dziękuję, generale Williams. W imieniu narodu amerykańskiego chcę wyrazić wdzięczność, iż nasze sprawy wojskowe spoczywają w kompetentnych dłoniach pańskich, pozostałych szefów sztabów, a także wszystkich żołnierzy, zarówno marynarzy, lotników, jak i piechoty morskiej. Wiemy, że stawicie czoło temu bezprecedensowemu wyzwaniu.

Prezydent przerwał i potoczył wzrokiem po audytorium. Alex odniosła wrażenie, jakby spojrzał wprost na nią, i to ją też nieco podbudowało.

– Jestem głęboko przekonany, że wyzwanie, przed jakim staniemy w ciągu kilku najbliższych tygodni, nie ograniczy się tylko do przygotowania właściwej wojskowej obrony. Jeszcze trudniejszym zadaniem będzie niedopuszczenie do wybuchu paniki wśród naszego społeczeństwa. Z tego względu ogłaszam, że wszystkie informacje dotyczące zbliżających się obiektów z Marsa zostają sklasyfikowane jako ściśle tajne specjalnego znaczenia. Wiem, że wszyscy obecni na sali posiadają co najmniej ten stopień dopuszczenia do tajemnic państwowych, lub też znajdują się w trakcie jego uzyskiwania. – Alex przypomniała sobie swoje badanie na wykrywaczu kłamstw przeprowadzone przez ludzi z FBI, które było dopiero pierwszym krokiem na długiej drodze do celu. Zważywszy na to, co mogło się stać ze światem w ciągu najbliższych trzynastu dni, czekająca ją wielomiesięczna procedura brzmiała dość osobliwie.

– Wszystkim obecnym zabrania się omawiania lub rozpowszechniania w innej formie tych informacji wśród osób nieupoważnionych – ciągnął prezydent. – Jestem pewien, że wszyscy potraficie sobie uzmysłować niewyobrażalne skutki na giełdzie, w zaopatrzeniu w artykuły spożywcze, w sieci

transportu krajowego czy wybuch paniki na ulicach, gdyby te wiadomości przedwcześnie dotarły do opinii publicznej.

Dlatego ogłaszamy absolutne embargo na rozpowszechnianie tych wiadomości.

Wobec opinii publicznej użyjemy wybiegu, który uzasadni powszechną mobilizację.

Ogłosimy pierwsze w historii kraju powszechne ćwiczenia z zakresu gotowości bojowej wojska. – Prezydent westchnął i po raz pierwszy zajrzał do notatek trzymanyh w ręku. Rysy mu stężały, a na twarzy pojawił się wyraz zawziętości. –

Zdaję sobie sprawę, że wiadomość w końcu i tak wydostanie się na zewnątrz. Nie mam co do tego wątpliwości. Zresztą, prędzej czy później, ludzie muszą się o tym dowiedzieć. Mam jednak nadzieję, że stanie się to w chwili, gdy będziemy dysponowali znacznie bogatszym zasobem informacji i będziemy znacznie lepiej przygotowani. W każdym razie jestem pewien, że wszyscy obecni na tej sali spełnią swój obowiązek, nawet jeśli oznaczać to będzie niemożność podzielenia się tą niesłychaną wiadomością z bliskimi, a także z przyjaciółmi, sąsiadami i tymi kolegami z pracy, którzy nie posiadają odpowiednich uprawnień. Powodzenia, i niech Bóg błogosławi Amerykę.

SIEDEM

25 maja

Autostrada międzystanowa I-185,

na północ od Columbus, Georgia

Josh Hickam był zły. Prawdę powiedziawszy, więcej niż zły. Był tak wściekły, że aż się pienił. Przywykł do bicia głową w mur i właściwie za powód do dumy poczytywał sobie swoją wytrwałość, dzięki której potrafił przełamywać opór informatorów niechętnych do mówienia. I zawsze potrafił w końcu wydebić wiadomość, która potem jako sensacja dnia trafiała na pierwsze strony. A tym razem już drugi dzień siedział w Columbus, starając się dotrzeć do któregoś ze znajomych oficerów w Fort Benning, ogromnej bazie wojskowej pod Columbus. A oni nie tylko nie chcieli się z nim spotkać, ale uniemożliwiono mu nawet wejście na teren bazy!

Brama wjazdowa – jak nigdy – obstawiona była strzegącymi jej czołgami i hunweesami. (właściwie HMMWV, ang. High Mobility Multi-Purpose Wheeled Vehicle) – podstawowy w armii amerykańskiej opancerzony pojazd terenowy dla czterech osób. Historycznie wywodzi się od wojskowych willyсів, a jego bardziej luksusowa wersja pod nazwą hummer używana jest także w polskiej armii. A do bazy wciąż wjeżdżały kolejne konwoje z dostawami sprzętu i żywności oraz ciężarówki z żołnierzami, w tym chyba ze wszystkich jednostek gwardii narodowej z pięciu sąsiednich stanów.

W końcu poddał się i zupełnie zdegustowany ruszył w drogę powrotną do Atlanty w nadziei, że dowie się czegoś więcej na miejscu. Jego szef nie będzie zachwycony, ale cóż mógł więcej zrobić: przedzierać się przez cholerne ogrodzenie z drutu kolczastego jak jakiś pieprznięty komandos? Miał swoje sposoby i wszystkie je wypróbował na potencjalnych informatorach, cisnąc, ile się tylko dało. Wszystko natrafiało na niezłomny mur milczenia. Nikt nie chciał puścić farby, a co ważniejsze

– wyraźnie czuł, że czegoś się boją.

Za oknem sunęły kolejne kilometry drogi, a mężczyzna nie mógł otrząsnąć się z uczucia niesmaku i zawodu. Bo dla każdego mającego oczy i umiejącego patrzeć sprawa była dość oczywista. Najwyraźniej w wojsku ogłoszono totalną i pilną mobilizację o niespotykanym zakresie. Bajeczka o nieplanowanych i powszechnych ćwiczeniach już z daleka dla doświadczonego nosa Hickama woniała kupą gówna.

Ze zbyt wielu firm naraz powołano tysiące rezerwistów i ich kierownictwo nie ukrywało niezadowolenia. O nie, to nie były żadne ćwiczenia. Działo się coś poważnego – poważnego i bardzo, bardzo niepokojącego.

Zaczął dumać nad obecnością cywilów w tej operacji. Przecież ci rezerwiści – a wielu z nich miało stopnie oficerskie – w końcu muszą zacząć gadać. A więc może tu znajdzie się jakaś szczelina: na przykład jakiś rozeźlony mąż pani pułkownik albo jakiś rozwydrzony synalek pana generała, którzy będą wiedzieli, co jest grane. Minał

drogowskaz, z którego wynikało, że do Atlanty zostało mu jeszcze prawie sto sześćdziesiąt kilometrów. Cholera, nagle zaczęło mu się spieszyć, by jak najszybciej zasiąść przy biurku i zacząć szperać w notesie z adresami.

Widok błyskających lamp we wstecznym lusterku kompletnie go zaskoczył.

– Kurwa, no tego mi brakowało. – Rzut oka na szybkościomierz jeszcze bardziej wzmógł jego frustrację: sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Nawet na bocznej drodze w Georgii na pewno wystarczy, żeby wpakować się w tarapaty. Zaczerpnął

głęboko powietrza, zwolnił i zjechał na pobocze, starając się zachować spokój i uśmiech na twarzy. Kilka tego rodzaju przygód w młodości nauczyło go, że przez najbliższe minuty najlepiej będzie się nie stawiać.

– Witam, panie władzo – powiedział, gdy policjant w mundurze drogówki stanu Georgia podszedł do otwartego okna. Ktoś mu gdzieś powiedział, że gliniarze z policji drogowej lubią, jak się do nich mówi „władza”. W lewej ręce trzymał już wyjęte z portfela prawo jazdy. Prawą swobodnie opierał na kierownicy.

Całe okno po stronie kierowcy przesłonił potężny brzuch policjanta. Był wielkim mężczyzną z wielkim automatycznym pistoletem przytroczonym do pasa. Reporter spojrzął w górę i zobaczył nad sobą równie wielką gębę buldoga w ciemnych okularach i policyjnym kapeluszu z szerokim rondem nasadzonym na głowę. Dwie potężne łapy zwinięte w pięści spoczywały na imponującym brzuchu policjanta.

– Pan Hickam?

– Tak, proszę. – Już miał wręczyć prawo jazdy, gdy nagle mu zaświtało, że coś tu nie gra. – Ale zaraz, skąd pan zna moje nazwisko? Jeszcze pan nawet nie zajrzał do prawa jazdy.

– Szukałem pana. Zechce pan wysiąść z samochodu.

– A po co? – Serce Hickama zaczęło nagle walić, choć wciąż starał się zachowywać spokój. Co się tu, do diabła, dzieje?

– Zaraz się wszystko wyjaśni. Na razie proszę, żeby pan wysiadł z samochodu. I to zaraz, proszę pana.

Palce potężnego gliniarza zaczęły się otwierać i zamykać. Reporter nagle przeraził się, że te wielkie jak bochny łapy chwycą go za kark i siłą wyciągną przez okno.

– Jasne, już. Chwileczkę. – Drżącymi rękami odpiął pas i otworzył drzwi.

Gliniarz zrobił krok do tyłu, by pozwolić mu wysiąść. Dopiero wtedy Hickam zauważył drugiego policjanta stojącego kawałek dalej na poboczu drogi. W obu dłoniach trzymał ogromny automatyczny pistolet – brata bliźniaka tego przy pasie pierwszego gliniarza – i mierzył z niego prosto w Hickama.

– Rany boskie! – sapnął, obracając się twarzą do pierwszego policjanta. – Co tu się dzieje?

Drogą przemknął samochód i przez moment widać było w środku kilka czarnych twarzy z zaciekawieniem przyglądających się scenie na szosie. Z drugiej strony zbliżała się jakaś ciężarówka. Pierwszy z gliniarzy chwycił Hickama za łokieć i poprowadził wokół auta w stronę bagażnika, skąd widać było, że za policyjnym radiowozem stoi jeszcze jakiś inny samochód. Jakby na niewidzialny sygnał, z obu stron auta jednocześnie otworzyły się drzwi i wysiadło z niego dwóch gładko wygolonych mężczyzn w ciemnych garniturach.

– Kurwa, to FBI też w tym jest? – wykrzyknął reporter. Nagle zapomniał o tym, że miał się nie stawiać. – No nie, dajcie spokój!

Żaden z dwóch mężczyzn nie odezwał się słowem. Podeszli i stanęli po obu stronach radiowozu. Drogą przejechał jakiś SUV, za nim po chwili kolejna ciężarówka i do Hickama nagle dotarło, że modli się w duchu, by któryś z przejeżdżających zechciał się zatrzymać. Wciąż czując, że pistolet jest w niego wymierzony, zaczął gorączkowo myśleć, czy to znaczy, że mają zamiar go od razu –

tu na miejscu – zastrzelić.

– Proszę się pochylić i oprzeć dłonie na bagażniku – polecił policjant. – Muszę pana obszukać.

Hickam pochylił się i rozstawił nogi. To żądanie trochę go uspokoiło.

Pomyślał, że gdyby go mieli zastrzelić, nie zawracaliby sobie głowy, by go przedtem obszukać.

27 maja

Magdalena, Nowy Meksyk

Berty Caruthers była roztrzęsiona. Przynajmniej Eddie w końcu usnął. Przez trzy dni z rzędu siedział w pracy, a gdy wreszcie się zjawił, przez długi czas obawiała się, że w ogóle nie zdoła się odprężyć. Był jak pod napięciem, niczym jeden kłębek nerwów. I sprawiał takie wrażenie, jakby bał się spojrzeć jej w oczy. Na szczęście dwadzieścia siedem lat małżeństwa z mężczyzną, któremu oddała całe swoje życie, czegoś ją o nim nauczyły.

W końcu poszli do łóżka i zaczęli się kochać z dawno niespotykanym zapamiętaniem. A potem, już po wszystkim, opadł na nią bezwładnie, zaczął płakać i wyznał jej całą prawdę. Berty głaskała go delikatnie po plecach i tak długo pozwoliła mu gadać, aż wreszcie usnął. Był wyczerpany, zgnębiony i wystraszony. A za dwanaście godzin miał się stawić w bazie na następną trzydobową służbę.

Ostrożnie wymknęła się z łóżka, nałożyła miękki, bawełniany szlafrok oraz kapcie i poszła do małego pokoju. Komputer trwał w stanie uśpienia, ale wystarczyło poruszyć myszką, by z lekkim trzaskiem ładunku elektrostatycznego na ekranie natychmiast ożył. Od razu weszła w program obsługi poczty, wybrała z listy adres swej młodszej siostry, kliknęła na zakładkę „Nowa wiadomość” i zaczęła pisać: Sallie,

Eddie w końcu wrócił dziś z pracy. Nie myliłaś się, mówiąc, że chyba dzieje się coś dziwnego. Ale nawet NIE UWIERZYSZ, jak dziwnego! Nie chciał mi powiedzieć i nie chciał, ale się w końcu złamał.

Sal, wyobraź sobie, że tymi swoimi wielkimi antenami VLA [(ang. Very Large Array) –

dosł. bardzo duży rozrzut, obszar; system nasłuchu sygnałów radiowych z kosmosu w paśmie superkrótkich fal rzędu 20 cm] (wiesz przecież, gdzie pracuje) namierzili marsjańskie statki kosmiczne. I te statki lecą do nas! Eddie mnie uprzedził, że to wszystko jest strasznie, strasznie ŚCIŚLE TAJNE!!! Ale muszę ci powiedzieć, że Eddie uważa, że z tego może być wojna. Kazał mi pójść do sklepu i kupić tyle konserw, ile się da. A potem, w czasie jego następnego dyżuru (znowu 3 doby) mam załadować nasz samochód kempingowy. Jak tylko skończy służbę, zabieramy dzieci i jedziemy w góry. Eddie uważa, że Marsjanie zaatakują duże miasta, więc pojedziemy gdzieś dalej za Albuquerque i Santa Fe, ale nie do Kolorado.

Śledzą teraz te statki marsjańskie swoimi antenami VLA. Uważają, że wszystko zaczęło się od tych błysków na Marsie, o których tyle pisali w zeszłym miesiącu.

Nikt nie wie, co się wydarzy, ale wszyscy są naprawdę przerażeni. To dlatego Julie i Chuck dostali wezwanie do gwardii. Rząd o wszystkim wie, ale nic nikomu nie mówi. Jeśli więc chcesz dołączyć do nas z dziećmi w górach, zrób to. Z Denver nie będziesz miała dalej niż my stąd. W każdym razie, kocham cię i też się strasznie boję. Ale coś musimy zrobić!

Całusy dla Troya i Andrii

Betty

Wróciła na palcach do drzwi sypialni i przyłożyła ucho. Słysząc było głęboki, miarowy oddech Eddiego. Nerwowo podreptała z powrotem do komputera, raz jeszcze przeczytała całą treść i kliknęła przycisk „Wyślij”.

Na ekranie pojawiła się ikona skrzynki nadawczej i zaczął migać komunikat o wysyłce poczty. Niecierpliwie czekała, aż przestanie, bo chciała jak najszybciej wrócić do Eddiego i korzystać z każdej cennej sekundy możliwości dotykania go oraz czucia jego bliskości. Ale komunikat nie przestawał migać i zaczęła się nawet niepokoić. Przywołała na ekran treść listu i raz jeszcze kliknęła „Wyślij”. Najwyżej Sallie dostanie go dwa razy. W końcu trudno sobie wyobrazić ważniejszą i pilniejszą wiadomość.

Komunikat informujący o wysyłce wciąż irytująco pulsował. Dlaczego to tak długo trwa?

Nagle z komputera wydobył się trzask na tyle głośny, że aż podskoczyła i pisnęła. Ze zdumieniem patrzyła, jak na jej oczach obraz gaśnie, zamieniając się w małą, jasną plamkę pośrodku ekranu.

Cztery minuty później do drzwi zapukał ktoś z FBI.

28 maja

Minot, Dakota Północna

Wchodząc przez tylne drzwi służące za wejście służbowe dla personelu stacji telewizyjnej KHGD, Fred Nichols miał wciąż jeszcze na sobie wojskową polową kurtkę i czapę z nausznikami. Na antenie szła – jak w całej ich sieci – powtórka serialu Przyjaciele, więc technik Hugh Darkins i pełniąca funkcję recepcjonistki oraz prezenterki Misty Allen siedzieli w pakamerze i grali w makao. Oboje unieśli głowy, ale żadne nie wykonało gestu świadczącego, że na widok szefa stacji chce przerwać grę.

– Nie uwierzycie, co mi się dzisiaj przydarzyło – sapnął Fred, wciąż jeszcze z trudem łapiąc oddech. Powiedział to takim tonem, że oboje odłożyli karty i spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Fred ściągnął z głowy czapę, wyplątał się z kurtki i obie rzucił na krzesło. Sam jednak nie usiadł.

– Dobra, dam się zanęcić – powiedział w końcu technik. – To co się stało? Udało ci się w końcu złapać tego półmetrowego jesiotra?

Fred przecząco pokręcił głową.

– Nawet nie zdążyłem zamoczyć haczyka. Nie, chodzi o wojsko. Kręci się tam wokół pełno patroli i mówię wam, są dookoła całej bazy lotniczej. Jakbym pojechał

szosą, od razu bym się nadział na blokadę, ale na szczęście nie zamknęli leśnej drogi.

Jadę więc sobie tą drogą szczęśliwy jak osesek i jak on niczego nieświadomy, i już sobie wyobrażam zachód słońca z wędką w dłoni. Wybrałem to miejsce, gdzie lubię spuszczać łódź na wodę, obok polany piknikowej nad dużym jeziorem. Zdążyłem akurat ściągnąć łódkę z dachu, kiedy nagle słyszę strzelaninę! Pomyślałem sobie, że to cholernie dziwne, bo po pierwsze wiem, że nie ma teraz sezonu polowań, a po drugie, to wcale nie były odgłosy broni myśliwskiej. Żadne tam dwudziestki dwójki, śrutówki czy coś w tym rodzaju.

– Coś jak karabiny maszynowe? – wtrąciła Misty.

– Nie takie zupełnie automatyczne, ale prawdziwe serie. Trata-ta-ta-ta, naprawdę szybko po sobie. A potem usłyszałem, jak ktoś wrzeszczy i przeklina gdzieś od strony rzeki. Nic nie widziałem, bo wiecie jaka tam gęstwina, ale postanowiłem podejść bliżej i sprawdzić, co się dzieje. Wiecie, mój słynny „nos na newsy” i tak dalej, nie?

– Pewno, szefie. Nosa, to ty masz – potwierdziła Misty z podziwem w głosie. –

Jak wtedy, gdy wpadłeś na przemyt taniej whisky z Kanady!

– Więc mówię wam, kochani, że poczułem coś dużego. Zacząłem się przedzierać przez krzaki i co zobaczyłem? Zobaczyłem wojsko – amerykańskie wojsko – jak przypierało jakiegoś nieszczęsnego frajera do boku jego furgonetki. Trzymali w łapach te swoje M16 i mierzyli do frajera, a on na nich

wrzeszczał. Wychodzi na to, że mu zastrzelili psa. Ale oni w ogóle się tym nie przejęli. Błyskawicznie zakuli go w kajdanki i wrzucili do jednego ze swoich hunweesów. Dwóch wsiadło i odjechało, reszta – jeszcze sześciu czy ośmiu – rozlazła się po lesie. No więc – jak się domyślacie – zwałem stamtąd, aż się kurzyło. Mogli nawet zauważyć mój samochód, kiedy wyjeżdżałem na drogę, ale za cholere nie mogli mnie złapać.

Ruszyłem prosto do miasta i zatrzymałem się dopiero na stacji benzynowej przy wjeździe od północy. I tam natknąłem się na dwóch rozwścieczonych kierowców ciężarówek, którzy powiedzieli, że wojsko zablokowało osiemdziesiątkę trójkę w kierunku na północ. Więc robi się coraz dziwniej.

– A może ten frajer od psa był na haju? – zastanowił się Hugh, który zupełnie nie miał nosa do newsów.

– Kurde, i dlatego by go wojskowy patrol gonił? I dlatego by zamykali główną szosę bez słowa wyjaśnienia? – Fred zmrużył oczy. – No przecież wiecie, co się tam znajduje, nie?

Misty i Hugh spojrzeli na siebie.

– Znaczą się, oprócz tej wielkiej bazy lotniczej? – spytał młodzieniec.

– Nie oprócz, tylko w samej bazie! Ludzie, przecież chodzi o broń jądrową! O

największe rakiety w całych siłach powietrznych. A na każdej z nich wisi dziesięć –

policzcie sobie na paluszkach – dziesięć bomb wodorowych, każda sto razy silniejsza od bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę.

– Żartujesz! – wykrzyknął lekko pobladły Hugh.

– Zaczynam więc sobie wszystko składać do kupy. Wiecie, ta powszechna mobilizacja rezerwistów z zeszłego tygodnia. No i to co mówią, a ściślej – to, czego nie mówią. Czy pamiętacie, żeby kiedykolwiek podejmowali działania na taką skalę i nie powiedzieli ani słowa?

– Ja nie – zgodziła się Misty.

– No więc muszę teraz trochę powęszyć. Muszę zadzwonić do moich znajomych w Bismarck, a potem skontaktuję się z kumplem z AP. Niby nic wielkiego się nie dzieje, ale czuję, że jest w tym coś więcej, niż się wydaje.

Oboje patrzyli rozszerzonymi oczyma, jak ich szef wybiega z pakamery i wpada do swego biura w sąsiednim pokoiku parterowego baraku z pustaków mieszczącego całą stację. Musiał kilkakrotnie powtórzyć wciskanie cyfr na aparacie telefonicznym, bo z nerwów wciąż się mylił. W końcu udało mu się dodzwonić do Bismarck, okazało się jednak, że Davisa Charlesa, jego przyjaciela i mentora, nie ma i nie będzie przez dwa dni.

Postanowił się nie poddawać i wyciągnął fiszkę z numerem, z którego korzystał

tylko w wyjątkowych przypadkach. Ostatnim z nich była afera z przemytem kanadyjskiej whisky. Uważnie wybrał numer i połączył się za pierwszym razem.

– Jack Rawlings. – Usłyszał znajomy, chrapliwy głos.

– Jack? Mówi Fred Nichols z Dakoty Północnej.

– Nichols...? A, tak. Z Minot, zgadza się?

– Właśnie. Słuchaj, Jack, niewykluczone, że dzieje się tu u nas coś ważnego, i to na skalę ogólnokrajową.

– Naprawdę? – powiedział Jack nieco znudzonym głosem. – Tylko, posłuchaj Fred, akurat wychodzę na umówioną kolację i już jestem spóźniony...

– Poświęć mi dwie minutki! – Nicholasa nie tak łatwo było spławić. – Chodzi o wojsko, o siły powietrzne i o broń jądrową. Wiesz, że tu w pobliżu mamy tego całą masę, prawda? Rakiety z głowicami jądrowymi, które kiedyś wymierzone były w Moskwę, i tak dalej. No więc w tej bazie dzieją się ostatnio bardzo dziwne rzeczy.

– Moment – przerwał mu Jack Rawlings ostrym tonem. – Czy ty dzwonisz ze swojego telefonu w biurze?

– Tak, oczywiście.

– Cholera! Posłuchaj, Fred. Obecnie nie możemy puszczać niczego o raketach ani o broni jądrowej. Kapujesz? I więcej z tym do mnie nie dzwoń!

Nichols usłyszał w słuchawce trzask, a chwilę później ciągły sygnał, jednak wciąż jeszcze siedział ze słuchawką przy uchu, zupełnie ogłupiały. Taka duża sprawa, a Associated Press w ogóle się tym nie interesuje? Do czego zmierza dziennikarstwo?

Wolno i niemal czule odłożył słuchawkę. Misty i Hugh, którzy niewątpliwie słuchali każdego wypowiedzianego przez niego słowa, ostentacyjnie opuścili głowy, by nie widzieć, jak powoli przechodzi obok ich pakamery. Usiadł na krzeselku przy biurku w recepcji i zaczął się tępo gapić w ekran, na którym Chandler i Monica obmyślali kolejną wydumaną intrygę pozwalającą okłamać przyjaciół i zapełnić następny półgodzinny odcinek serialu.

Łomot silnika śmigłowca usłyszał dopiero, gdy wszystkie drzwi do baraku otworzyły się równocześnie i stanęli w nich komandosi z Delta Force.

OSIEM

29 maja

Delbrook Lake, Wisconsin

Tuż przed lunchem włączyłem opcję zliczania słów i zakląłem. Cholera. Przez całe przedpołudnie napisałem raptem 132 słowa. Moja wydajność spadła ostatnio do absurdalnie niskiego poziomu i będę musiał poprosić o przesunięcie terminu o kolejne dwa tygodnie. Od pewnego czasu mój artykuł w zasadzie stał w miejscu.

I dlatego, dość nietypowo jak na mnie, bez niechęci zareagowałem na dzwonek do drzwi, którego się zresztą spodziewałem. Wstałem od komputera, wdzięczny za przymusową przerwę, zamknąłem za sobą drzwi gabinetu, przeszedłem przez hol i otworzyłem drzwi wejściowe. Na progu stał jeden z zastępców szeryfa, który przybył na moje wezwanie.

– Dzień dobry. Pan DeVane? – upewnił się. – Zastępca szeryfa Carl ton. Dzwonił

pan do nas ze skargą na jakąś strzelaninę i ujadanie psów, czy tak?

Był młodym człowiekiem, zapewne od niedawna pracującym w biurze miejscowego szeryfa. Można było tylko mieć nadzieję, że mimo swego wieku potrafi zrozumieć powagę sytuacji.

– Tak, dziękuję, że pan przyszedł. Chodzi mi o to, że w ogóle nie jestem w stanie pracować, bo o dowolnych porach urzędują sobie kanonady. To nie do przyjęcia.

– O dowolnych porach? Mówi pan, że strzela po zmierzchu?

– No, nie. Ale przed południem i po południu, a czasem jedno i drugie!

– Proszę pana, będę z panem szczery – powiedział dość surowym tonem i nagle wydał mi się dużo starszy. – Mamy ostatnio mnóstwo różnych problemów i historia z pańskim sąsiadem nawet się nie pojawia na ekranach naszych radarów.

Przyjechałem tu, żeby to panu powiedzieć osobiście. I żeby pan przestał już do nas dzwonić, dobrze?

Byłem kompletnie oszołomiony. Zachowywał się tak, jakbym marnował jego cenny czas! Bez słowa zamknąłem drzwi i ruszyłem z powrotem do gabinetu. Po drodze zboczyłem do kuchni, skąd przez wielkie okna aneksu werandowego patrzyłem, jak biało-brązowy radiowóz policyjny odjeżdża spod domu i wjeżdża w krętą drogę przez las. Skrył się za drzewami, a ja znów poczułem się absolutnie całkowicie samotny.

Zazwyczaj było to uczucie całkiem pożądane, dziś jednak wywołało u mnie dziwne rozdrażnienie. Może była to kwestia jego podejścia, bo po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że zachowywał się wobec mnie wyjątkowo zaczepnie. Ale od pewnego czasu czułem, że we mnie też wzbiera wojowniczość, i pewnie dlatego ponownie poskarżyłem się gliniarzom na Browne'a. Nie oczekiwałem z ich strony jakichś konkretnych działań, ale spodziewałem się, że moja skarga zostanie potraktowana z szacunkiem oraz zrozumieniem. A tymczasem ten smarkacz z mlekiem pod nosem

śmiał mnie pouczać!

Mój komputer szumiał cicho w kącie, ale nie stanowił pociechy, bo nie umożliwiał mi już żadnego kontaktu ze znanym mi światem. Witryna Spaceboyz kilka dni temu nagle i bez słowa wyjaśnienia przestała działać, witryny www.space.com od jakiegoś czasu w ogóle nie aktualizowano, a na stronie NASA widniał wciąż jeszcze komunikat, że następną misję marsjańskiego próbnika przewidziano w przyszłym roku. Alexandria wspomniała, że termin jego wystrzelenia przyspieszono, jednak agencja najwyraźniej utrzymywała to w tajemnicy. I jak na złość akurat dziś rano okazało się, że nie mogę się zalogować do Cosmic Cowgirl.

Zajrzałem też do kilku blogów, których autorzy mieli zwyczaj komentować ważniejsze wydarzenia ze świata, jednak w sprawach związanych z astronomią wszyscy nabrali wody w usta. Generalnie rzecz biorąc, wydawało się, że ich aktywność zmniejszyła się co najmniej o połowę i na kilku cieszących się dobrą opinią blogach od wielu godzin nie pojawiało się nic nowego. Wyglądało to dziwnie: jakby cały świat postanowił się nagle wycofać i zostawić mnie na pastwę losu, pozbawiając możliwości porozumienia się z resztą ludzkości. Zachowanie zastępcy szeryfa zdawało się jeszcze bardziej pogłębiać moje poczucie osamotnienia i wręcz dokładało ostatnią cegłę do otaczającego mnie muru.

Krążyłem niespokojnie po domu. Potem do lunchu wypiliśmy dwa kieliszki wina i przespałem pół popołudnia. Gdy się obudziłem, poszedłem do telefonu i wybrałem jedyny numer, jaki znałem na pamięć.

– Alexandria DeVane. – Zgłosiła się po drugim dzwonku, mówiąc suchym i urzędowym tonem.

– Alex, tu...

– Tatuś? Tato! – To drugie słowo zabrzmiało jak westchnienie. – Boże, tak się cieszę, że dzwonicz!

– Miło słyszeć twój głos, kochanie. Ja też się cieszę.

– Słuchaj, jesteś w domu? No jasne, że tak...

– Tak.

– Właśnie się zastanawiałam, co zrobić – mówiła bardzo szybko, nawet jak na nią. – I zostaje mi tylko jedno. Tak się cieszę, że zadzwoniłeś! Będę u ciebie za sześć godzin. Czekać na mnie, dobrze?

– Za sześć godzin? Znaczy dziś wieczorem? Tak, oczywiście... ale co...?

– Nie mogę ci teraz wyjaśnić, nie przez telefon. Ale za dwie godziny mam samolot do Madison, a na lotnisku będzie czekał samochód. Będę więc u ciebie najszybciej jak się da.

– Świetnie, przygotuję twój pokój. Mam w zamrażarce piękne krewetki, jak przyjedziesz, to zrobimy sobie krewetki z grilla. – W głowie huczało mi od pomysłów. Miałem też świeże jarzyny, dorodne pomidory i cebulę ze sklepu Hernandeza. Więc mogę też zrobić sałatkę. A sześć godzin wystarczy na upieczenie bochenka chleba...

– Tatusiu, kolacja to wspañały pomysł, ale nie będą mogła zostać na noc.

Musimy trochę pogadać sam na sam. Potem pojedę jeszcze do Chicago, do mamy, jednak przed świtem muszę być z powrotem w Waszyngtonie.

– Alex, czy coś się stało? – Moja radość wyparowała i zastąpiło ją uczucie niepokoju. – Jesteś chora?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Tylko... nic się nie martw. Zobaczymy się wieczorem. Kocham cię.

– Dobrze, dziecinko. Tylko uważaj na siebie.

I już jej nie było. Pozostał mi tylko niepokój leżący kamieniem na sercu i przeświadczenie, że dzieje się coś bardzo, bardzo niedobrego. Co mogło aż tak poruszyć moją zwykle opanowaną córkę? Dlaczego musi nagle spotkać się sam na sam ze mną, a potem z matką, i to w czasie, gdy ma tak dużo zajęć wynikających z przyspieszenia wystrzelenia próbnika...?

Wtedy mnie olśniło. Przypomniałem sobie pozamykane witryny internetowe i absolutną blokadę informacji. Zrozumiałem, że wisi nad nami widmo wojny światów, inwazja kosmitów, zagrożenie dla całego ziemskiego globu. Wszystko to nas czeka, i pewnie szybciej, niż się komukolwiek zdaje. Oczywiście ci, którzy o tym wiedzieli, trzymali to w ścisłej tajemnicy w obawie przed wybuchem paniki, hysterii i totalnego chaosu. Witryny internetowe pozamykano, bo pewnie odwiedzający je internauci odgadli prawdę. Może w ten spisek wtajemniczono nawet policję, przynajmniej co do skali zagrażającego nam wszystkim niebezpieczeństwa.

Mnie też zaczęło ogarniać coś na kształt narastającej hysterii i nagle zabrałem się do układania rozrzuconych po domu książek i gazet, potem przejechałem odkurzaczem cały dom i wysprzątałem łazienkę. Zapakowałem do maszyny ciasto na bochenek włoskiego chleba i wyciągnąłem z zamrażarki krewetki, gdyby Alex miała jednak czas zjeść kolację, potem schowałem je z powrotem, żeby jej nie stawiać w niezręcznej sytuacji, potem znów je wyjąłem, by na wszelki wypadek były jednak pod ręką. Włączyłem wiadomości, ale tematy były nijakie – afera korupcyjna wokół rządowego zamówienia na budowę wielopoziomowego skrzyżowania w Los Angeles, szczątki zaginionej dziewczyny z Tennessee odnalezione w północnej Alabamie. Sensacją dnia była historia hollywoodzkiej gwiazdki – jednej z obecnie najpopularniejszych – która strzeliła do swego dużo starszego kochanka, również gwiazdora hollywoodzkiego, w wyniku czego mężczyzna będzie prawdopodobnie sparaliżowany do końca życia. Żaden z tych tematów nic mnie nie obchodził.

Było już ciemno i chleb właśnie nadawał się do wyjęcia z piekarnika, gdy psy Browne'a znów zaczęły ujadać. Jak nigdy ich głosy mnie uradowały, bo mogły oznaczać, że zbliża się jakiś samochód. Podszedłem do drzwi i wkrótce ujrzałem światła samochodu, które zbliżały się, prześwitując wśród drzew osłaniających mój podjazd. Po szybkości jazdy i gwałtownych skokach świateł, kiedy samochód ostro podrzucało na nierównościach na drodze, wiedziałem, że to musi być moja córka.

Podjechała pod garaż typowo anonimowym samochodem z wypożyczalni i stanęła. Gdy tylko z niego wysiadła, rzuciłem się, by ją uściskać.

– Tatu! – szepnęła i przytuliła się tak mocno, jak w czasach, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Czuję, że lekko dygoce, jakby siłą powstrzymywała łzy.

– Dziecinko, jak dobrze znów cię zobaczyć – powiedziałem, również walcząc ze wzruszeniem. – Tak się cieszę, że bezpiecznie dojechałaś.

– Chodźmy do środka – ponagliła mnie, chwytając za rękę i ruszając w stronę domu. – Upiekleś chleb! – zawołała od progu. – Pachnie cudownie, jak za dawnych, dawnych czasów.

Pokroiłem chleb, nalałem do miseczek trochę oliwy i posypałem przyprawami, a Alex napełniła kieliszki chardonnay. Usiedliśmy przy blacie w kuchni, mając widok na wielkie, panoramiczne okna i rozciągający się za nimi, spowity mrokiem las.

Szybko wyrzucała z siebie słowa, nie mogąc opanować zdenerwowania. Widać było, że zbyt długo dusiła w sobie wiadomości bez możliwości podzielenia się nimi.

Przekazała mi najnowsze dane wywiadowcze. Zidentyfikowano jedenaście obiektów. Wszystkie miały podobną wielkość: około kilometra długości i dwieście metrów szerokości. Gotowi byliśmy wysłać im na spotkanie głowice nuklearne, które miały wybuchnąć tuż powyżej górnej granicy ziemskiej atmosfery. Tak jak przypuszczałem, wszystko było nadal objęte ścisłą tajemnicą, jednak Alex miała już tego dosyć.

– I nie jestem jedyna. Wiem, że Mike Koch powiedział o tym żonie i dzieciom.

Siedzą teraz w domku w górach w Vermont. Ta wiadomość już się wymknęła. Nie uwierzysz, ilu dziennikarzy, autorów internetowych blogów i zwykłych zjadaczy chleba internowano, żeby nie mogli nic powiedzieć. I nie próbują im nawet stawiać jakichś formalnych zarzutów, nie starają się zachowywać pozorów. Ale sprawa i tak przedostanie się do publicznej wiadomości, więc postanowiłam zawiadomić ciebie oraz mamę.

– I co powinniśmy teraz zrobić? Co ty masz zamiar zrobić?

– Będę pracowała jak zwykle, tato. Za dwa dni jadę na przylądek Canaveral na start wahadłowca. Polecono mi tam pozostać przez resztę tygodnia. Wysyłają teraz mnóstwo ludzi z Waszyngtonu, z Pentagonu i zewsząd. Dowódcą misji promu będzie Nate Hayes, polecą na rekonesans. Mają wyposażyć Discovery w dodatkowe zbiorniki paliwa, będą się starali zbliżyć do tych obiektów i przyrzec im, zanim dotrą do naszej atmosfery.

– Boże, to brzmi potwornie niebezpiecznie. A co, jeśli te statki są wrogo nastawione?

Wzruszyła ramionami. Starła się sprawiać wrażenie pewnej siebie, ale jej oczy były pełne łez. W czasach gdy jeszcze wykładałem, Nate był moim wybitnym asystentem. Wiedziałem też, że był jednym z jej idoli na uczelni. Więc gdy zaczął się spotykać, a potem ożenił z jej najlepszą przyjaciółką i współlokatorką ze studiów, było czymś zupełnie naturalnym, że stał się jednym z jej najbliższych przyjaciół.

Trudno mi było pogodzić się z niebezpieczeństwem, na jakie się teraz narażał. Dla niej musiało być

to nie do zniesienia.

– Cała załoga zgłosiła się na ochotnika – powiedziała spokojnie. – Podobnie jak niemal wszyscy astronauta należą do programu. Musieli ciągnąć losy, bo w tej misji polecą tylko troje.

– A co potem...? – Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Chciałem ściągnąć ją do domu, mieć ją bezpiecznie blisko siebie, ale rozum podpowiadał mi, że to zupełnie absurdalny pomysł. Bo co to znaczy „bezpiecznie”? A poza tym miała rację. Musiała wykonać ważne zadania.

– Nie wiem, tato. Może za dwa tygodnie wszystko wróci do normy. Jeśli się okaże, że te obiekty stanowią zagrożenie –

a tak wszyscy obecnie uważają – prezydent nie zostawił cienia wątpliwości, że zostaną rozniesione na strzepy, zanim się do nas zbliżą. Ale to nie jest takie pewne, bo pociski sterowane nie zostały zaprojektowane z myślą o celach w przestrzeni kosmicznej, więc ich precyzja w tych warunkach stoi pod znakiem zapytania. I dlatego musimy być przygotowani na każdą ewentualność.

– Co więc powinienem teraz zrobić? – spytałem.

– Przede wszystkim zrób odpowiedni zapas konserw i wody pitnej. I nie zapomnij o ropie do generatora, kup jej naprawdę dużo. No i mógłbyś też pomyśleć o jakiejś broni.

– O broni? Nie sądzę, żeby rewolwer przydał mi się na kosmitów.

– Nie na kosmitów, tato. Martwię się tym, co zrobią ludzie.

Godzinę później już jej nie było, słyszałem tylko żwir strzelający spod jej buksujących kół. Normalnie droga do Chicago zajmuje około trzech godzin, ale coś mi mówiło, że dziś dojedzie tam jakąś godzinę wcześniej. W każdym razie dotrze na miejsce już po północy, a więc wtedy, gdy po dwiętnastu godzinach szczytu ruch na ulicach miasta troszkę maleje.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie pojechać od razu do sklepu i nie zaopatrzyć się w zapas konserw, wody oraz podstawowych artykułów żywnościowych, jednak mimo alarmistycznych tonów w głosie Alexandrii, górę wziął mój wrodzony brak zdecydowania. Zasiadłem przy oknie i wpatrzyłem się w zachmurzone niebo, marząc, by chmury się rozstały i ukazały obraz nocnego nieba. A może odwrotnie: może powinniśmy być wdzięczni za chmury? A może stanowią dla nas osłonę, jak zasłona dymna, dzięki czemu zamaskują nasze gorączkowe przygotowania przed wzrokiem... tylko czym?

Uznałem od razu, że spekulowanie na temat tego, co może się znajdować w tych jedenastu olbrzymich obiektach, mija się z celem. Niewiedza wzmagala wprawdzie moje obawy, ale jednocześnie pozbawiała moje działania wymogu pilności. No bo jak mogłem się przygotować do czegoś, czego nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić?

Oczywiście próbowałem sobie tłumaczyć, że jestem w końcu naukowcem! I że moim zadaniem oraz obowiązkiem jest wyobrazić sobie to, czego inni nie są w stanie pojąć. Ale moja wieloletnia praca

naukowa, umiejętność racjonalnej analizy danych i rozważania różnych wariantów, wszelkie moje doświadczenia, które z roku na rok stawały się coraz bardziej wyrafinowane i coraz bardziej abstrakcyjne – nic z tego nie przygotowało mnie do sytuacji, w której się teraz znalazłem. Kto ich tu do nas wysłał? Mój naukowy umysł buntował się na samą myśl o kosmitach, o jakichś wrogo nastawionych, zielonych ludzikach, którzy z nienawistnym rechem będą realizować swe nikczemne plany.

A jednak będę musiał się z tym uporać i przewalczyć w sobie takie nastawienie.

Usiadłem i zacząłem obmyślać możliwe warianty. A jeśli te obiekty są jedynie skalnymi bryłami? W swoim czasie wykonano wiele badań nad potencjalnymi skutkami zderzenia Ziemi z asteroidą. W przypadku rozmiarów, o jakich wspominała Alex, samo przedostanie się przez ziemską atmosferę i uderzenie jednego z nich w ziemię lub wodę miałyby katastrofalne skutki. Gdyby stało się tak z wszystkimi jedenastoma, mielibyśmy do czynienia z kataklizmem na biblijną skalę.

Z końcem cywilizacji, może wręcz z końcem życia ludzkiego na Ziemi.

Jednak gdyby się okazały bezmyślnymi bryłami skalnymi, nasza broń jądrowa miałaby dużą szansę, by je zniszczyć lub przynajmniej na tyle zmienić ich tor lotu, by ominęły Ziemię. To dawało asumpt do dalszych rozważań. Bo jeśli nie stanowiły litych brył skalnych, to w środku były puste. A jeśli tak, to co zawierały?

Czując znów narastające podenerwowanie, włączyłem telewizor. Wiadomości z dziesiątej już dobiegały końca, ale jeszcze zanim usłyszałem pierwsze słowa prezentera, zdumiał mnie wyraz jego twarzy o silnie zarysowanej, kwadratowej szczęce.

Wyraz niekłamane go przerażenia.

– A więc po... powtórzmy jeszcze raz – zająknął się. – Jak podaje CNN, a potwierdzają AP, NBC i Fox News, naszej planecie zagraża flotylla pojazdów kosmicznych z innego świata. Zagrożenie jest realne i do tego stopnia bliskie, że pierwsze z międzyplanetarnych obiektów zbliżą się do Ziemi w ciągu kilku najbliższych dni. Z doniesień wynika, że rząd federalny już od ponad tygodnia wiedział o grożącym nam niebezpieczeństwie, jednak ukrył tę wiadomość przed dziennikarzami i ludnością Stanów Zjednoczonych oraz całego świata. Z

dotychczasowych informacji napływających z Europy i Azji wynika, że przynajmniej niektórzy członkowie rządów Anglii, Francji, Niemiec, Rosji, Indii, Chin i Japonii zostali powiadomieni i też uczestniczyli w tym niesłychanym spisku.

Cała sprawa wyszła na jaw dopiero w ciągu ostatniej godziny, ale udało nam się już uzyskać jej potwierdzenie z kilku źródeł – ciągnął prezenter. – Wszystko zaczęło się od niejakiego Josha Hickama, reportera wychodzącego w Atlancie

„Journal-Constitution”. Natknął się na tę historię podczas bytności w areszcie w bazie Fort Benning w Georgii. Tam udało mu się napisać artykuł i przesznuł go do centrali CNN. Niemal natychmiast uzyskano potwierdzenie z licznych niezależnych źródeł. Nasz reporter, Jay Manstein,

uzyskał potwierdzenie tych rewelacji z kilku anonimowych źródeł w Pentagonie. Lista rodzin, które zostały po cichu aresztowane i zamknięte w odosobnieniu, jest zbyt długa, by ją teraz podać.

Dotyczy rodzin, których jeden z członków miał dostęp do naszego systemu bezpieczeństwa narodowego.

Wiadomość nadano po raz pierwszy o 22.47 czasu wschodniego, ale w wielu miastach tłumy już wyległy na ulice. Tu, w Madison, wokół kapitolu zebrało się ponad tysiąc osób, które w milczeniu rozpoczęły czuwanie. Kościoły otwały swe podwoje, a wierni schodzą się na zaimprovizowane nabożeństwa...

Na ekranie pojawiły się przebitki na żywo, ukazujące dobrze mi znaną białą kopułę kapitolu stanu Wisconsin – bliźniaka Kapitolu waszyngtońskiego, tyle że o jakieś pół metra niższego – rześście oświetloną na tle ciemnego nieba.

Monumentalny budynek otaczał tłum ludzi ze świecami w dłoniach lub trzymających się za ręce. Niektórzy mieli ze sobą małe dzieci. Panowała atmosfera powagi i spokoju, choć kamera wyłapywała pojedyncze grupki zajęte ożywioną rozmową.

Potem pokazano kilka kościołów z drzwiami otwartymi na oścież, do których schodzili się ludzie na nabożeństwa. W następnych przebitkach widać było wewnątrz jakichś bardzo zatłoczonych barów. Ale nawet na State Street panowała podniosła atmosfera ciszy i spokoju, jeśli nie liczyć jakiegoś brodatego pomyleńca, który na środku pasażu dla pieszych wdrapał się na skrzynkę i przemawiał. Kamera zrobiła zbliżenie jego twarzy.

– Pokajajcie się! Pan nadchodzi i jest już blisko! Nie ma chwili do stracenia! –

mówił w uniesieniu, a jego oczy w świetle telewizyjnych reflektorów lśniły niesamowitym blaskiem. Ten widok wywołał u mnie nieprzyjemny dreszcz na plecach i ucieszyłem się, gdy zamiast faceta pojawił się reporter stojący na parkingu przed supermarketem spożywczym. Za jego plecami widać było tłoczące się samochody i nim zdążył powiedzieć słowo, rozległo się trąbienie któregoś ze zniecierpliwionych kierowców.

– Znajdujemy się na parkingu przy East Town Shopmart i jak państwo widzą, sklep przeżywa prawdziwe oblężenie. W ciągu piętnastu minut od nadania wiadomości parking wypełnił się do ostatniego miejsca. Obecnie samochody czekają na wjazd w kolejce ciągnącej się po obu stronach ulicy. Zdarza się nawet, że ludzie zostawiają samochody w korku i biegną do sklepu piechotą.

Kamera pokazywała wejście do sklepu, pod którym falował niespokojny tłum liczący co najmniej setkę ludzi próbujących dostać się do środka.

– Przykro mi, ale muszą państwo poczekać – wykrzykiwał raz po raz spocony kierownik. Był masywnie zbudowaną mężczyzną w koszuli z podwiniętymi rękawami i pulsującą na szyi żyłą. Mógł tylko bezsilnie rozkładać ręce z dłońmi skierowanymi ku tłumowi, jakby chciał go odepchnąć. – Jak tylko wyjdzie ze sklepu część klientów, natychmiast wpuścimy następną partię. Muszą państwo zachować cierpliwość.

Jednak ludzie napierali tak mocno, że w końcu docisnęli go plecami do drzwi. Za nim we wnętrzu widać było mnóstwo klientów kręcących się wśród półek. Kamera zatoczyła łuk, przejechała po tłumie przed sklepem i zrobiła zbliżenie na błyskające lampy radiowozu policyjnego, który starał się wyjechać na ulicę, przepychając się wśród napierających samochodów.

Na ekran powrócił obraz ze studia. Prezenter odzyskał panowanie nad sobą i zaczął mówić ze zwykłą swadą i pewnością.

– Otrzymaliśmy wiadomość, że prezydent wygłosi orędzie do narodu na temat ostatnich wydarzeń. Spodziewamy się, że nastąpi to w ciągu kilku najbliższych minut. Przekażemy państwu to orędzie, gdy tylko dowiemy się, o której dokładnie się rozpocznie. A na razie wracamy do... nie, przepraszam, łączymy się na żywo z Białym Domem w Waszyngtonie.

Ekran ściemniał na moment, by po kilku sekundach rozjaśnić się na dobrze znanym obrazie biurka w Gabinetcie Ovalnym, za którym na ścianie za fotelem widniało prezydenckie godło. Biurko było puste i po kilku sekundach na ekranie pojawiła się znów zasępiona twarz Ricka Chalmersa, doświadczonego wygi wśród prezenterów sieci CNN.

– Wrócimy do Białego Domu, jak tylko prezydent będzie gotów rozpocząć orędzie, a tymczasem pokażemy państwu kilka obrazów na żywo z centrum Manhattanu. Jak państwo widzą, ruch uliczny właściwie kompletnie zamarł. Drzwi do katedry świętego Patryka są otwarte dla wszystkich chcących wziąć udział w nabożeństwie. Widzą teraz państwo tłum wiernych, którzy nie zmieścili się w środku. Stoją na zewnątrz i słuchają przez głośniki zorganizowanej naprędce mszy. –

Przez ekran przepłynęła seria ujęć ukazujących sceny uliczne i sznur samochodów unieruchomionych w otoczonym wieżowcami wąwozie Broadwayu. Potem ukazał

się wlot do tunelu zablokowany przez stojące w poprzek radiowozy policyjne z błyskającymi lampami. – Wszystkie mosty i tunele prowadzące do centrum zostały zamknięte. Zabroniony jest wjazd samochodów na Manhattan. Podobne tłumy wyległy w centrach Atlanty, Chicago, San Francisco i Waszyngtonu. Na podstawie posiadanych informacji możemy stwierdzić, że przypadki burd i zachowań przestępczych są zaskakująco nieliczne. Połączymy się teraz z Maxine Taylor, która jest w Miami, i która... nie, przepraszam, wracamy teraz do Białego Domu.

Na ekran powrócił obraz z Gabinetu Ovalnego i tym razem fotel za biurkiem był

już zajęty. Pochyliłem się z łokciami opartymi na kolanach, chcąc podświadomie wesprzeć prezydenta. Jak większość Amerykanów oczekiwałem od niego podtrzymania na duchu, i to nie tylko słowami, ale całą jego postawą. Chciałem widzieć w nim przywódcę, który wszystkich nas wyprowadzi z tego strasznego zagrożenia.

Miał wyraz powagi na twarzy, która w blasku telewizyjnych reflektorów wyglądała na wręcz nienaturalnie czerstwą. Ktoś wyraźnie przesadził z ilością makijażu.

– Rodacy, Amerykanie. Wszyscy jesteście pod wrażeniem wiadomości, która dotarła do was w ciągu ostatnich dwóch godzin. Przede wszystkim mam obowiązek potwierdzić to, czego dowiedzieliście

się z różnych źródeł medialnych. Tak, do naszej planety zbliżają się, i prawdopodobnie jej zagrażają, obiekty poruszające się w przestrzeni kosmicznej. Nie znamy ich pochodzenia, charakteru ani zamiarów.

Prawdą jest, że ich poczynania obserwujemy już od kilku dni. Decyzję o niepodawaniu tej informacji do publicznej wiadomości podjąłem osobiście wraz z szefami rządów wielu krajów świata. Przyczyny utajnienia tej informacji zostaną publicznie wyjaśnione, jednak na razie chcę was zapewnić, że pod osłoną tajemnicy wdrożyliśmy szereg przygotowań, planów i czynności zapobiegawczych na niespotykaną skalę. Nasze siły zbrojne znajdują się w stanie pełnej gotowości, a wszystkie rezerwy albo już zostały aktywowane, albo będą aktywowane w ciągu kilku najbliższych dni.

To niezwykle ważne, byśmy wszyscy zachowali spokój – kontynuował

prezydent. – Idźcie jak zwykle do pracy, posłajcie dzieci do szkół. Wypełniajcie codzienne obowiązki. Jeśli wystąpi konieczność dodatkowych ostrzeżeń, rząd natychmiast was o tym powiadomi. A tymczasem pamiętajcie: w naszych siłach zbrojnych mamy mnóstwo dzielnych mężczyzn i kobiet, którzy służą w wielu miejscach na świecie i na terenie naszego kraju. Wszyscy oni dysponują najnowocześniejszym uzbrojeniem i znajdują się w stanie najwyższej gotowości.

Jeśli każdy Amerykanin i każda Amerykanka – tak w wojsku, jak i w cywilu –

wypełni swą powinność, będziemy mogli pełni ufności stawić czoło i pokonać wszelkie grożące nam niebezpieczeństwa...

Potem przeszedł do opisanie niektórych z podjętych przygotowań, o których mówiła mi Alexandria – o przekierowaniu międzykontynentalnych pocisków balistycznych, planowej rozpoznawczej misji promu kosmicznego, rozbudowanym systemie najnowocześniejszych urządzeń obronnych i obsługującym je personelu należącym do potężnych amerykańskich sił zbrojnych.

Mówił o tym wszystkim z przekonaniem, spokojnym, silnym głosem, używając prostych słów.

W końcu zamilkł i stacja zakończyła transmisję, wracając znów do studia i Ricka Chalmersa, który zapowiedział telewizyjny objazd po kraju. Kamery zaczęły zaglądać do poszczególnych miast i miasteczek, ukazując falujące wszędzie morze nerwowości i wzburzenia z nielicznymi wysepkami spokoju i porządku. Nie miałem ani ochoty, ani odwagi na to patrzeć i niemal ze złością wyłączyłem telewizor, po czym w domu zapadła głucha, złowieszcza cisza.

Przyszło mi nawet na myśl, żeby nastawić jakąś muzykę, jednak w całej mojej płytotece nie było nic, co pasowałoby do nastroju. Dałem więc spokój, wyszedłem na ganek i spojrzałem w niebo.

Przez mgielkę cirrusowych chmur przebijało tylko kilka gwiazd. Wyglądały bardzo samotnie, były z rzadka rozrzucone i bardzo, bardzo dalekie.

DZIEWIĘĆ

31 maja

Centrum Kosmiczne Kennedy'ego,

przylądek Canaveral, Floryda

Z powodu zamieszania, jakie nastąpiło w wyniku ujawnienia tej bezprecedensowej informacji, Alexandria przez dwanaście godzin musiała koczować na lotnisku O'Hare. W miarę rozchodzenia się wiadomości na lotnisko zaczęły walić tłumy chcące natychmiast kupić bilety i gdzieś odlecieć. Jednocześnie wielu pracowników linii lotniczych – i nie tylko – nie zgłosiło się do pracy lub ją wręcz porzuciło. W rezultacie nastąpił totalny paraliż kas biletowych.

Większość mieszkańców wyruszyła na ulice miasta w tym samym czasie, co spowodowało, że jeszcze przed świtem całe zmotoryzowane Chicago utknęło w jednym gigantycznym korku. Trudno było dokądkolwiek się dodzwonić, a całe masy pracowników – od taksówkarzy po załogi samolotów pasażerskich – postanowiły w ogóle nie iść do pracy. Na stacje benzynowe i sklepy runęły takie tłumy, że większość centrów handlowych, obsługiwanych przez mocno przerzedzony personel, zmuszona była zamknąć drzwi, chroniąc się przed gwałtownym naporem klientów.

Dla wielu zarówno wiadomość o zbliżających się obiektach pozaziemskich, jak i powszechne przekonanie, że obiekty te są pełne wrogo nastawionych Marsjan, spowodowały, że wszystkie inne aspekty życia straciły na ważności. Nagle okazało się, że wszyscy muszą się z kimś pilnie zobaczyć, dokąds pojechać, coś komuś natychmiast powiedzieć czy doręczyć. Wszyscy nagle chcieli, nawet więcej –

musieli być gdzieś indziej, co cały system komunikacji naziemnej i powietrznej wystawiło na ciężką próbę i doprowadziło najpierw do przeciążenia, a potem, przez cały pierwszy dzień, niemal do paraliżu.

Alex spędziła większość czasu, siedząc na lotnisku i oglądając telewizję.

Wszystkie sieci uruchomiły całodobowe programy informacyjne, w których wypowiadały się liczne grupy dyskusyjne złożone z zszokowanych i szokujących naukowców, emerytowanych generałów, znanych polityków i przypadkowych ludzi z ulicy. Wszyscy mogli jedynie spekulować na temat znaczenia tego bezprecedensowego wydarzenia. W ciągu kilku godzin Alex wysłuchała kolejnych apeli o spokój wygłaszanych przez wiceprezydenta oraz sekretarzy obrony, bezpieczeństwa wewnętrznego, komunikacji i skarbu oraz ponownie przez samego prezydenta. Kiedy stacja przeszła na program lokalny, podobne apele padły też z ust gubernatora Illinois, burmistrza Chicago i obu senatorów reprezentujących stan w senacie. (Z tego, co widziała, wszystkie apele pozostawały właściwie bez odzewu).

W końcu udało jej się dodzwonić z komórki do Kocha – sieć telefoniczna była niemal równie przeciążona jak sieć komunikacyjna – który polecił jej, by machnęła ręką na powrót do Waszyngtonu i udała się bezpośrednio do centrum kosmicznego.

Udało mu się nawet zorganizować dla niej przelot samolotem wojskowym, jako że z braku personelu odwoływano coraz więcej rejsów pasażerskich.

Na widok samolotu – niewielkiego, wysmukłego odrzutowca – poczuła się nagle jak prawdziwy VIP. Po niecałych trzech godzinach lotu podeszli do lądowania od strony ciągnących się kilometrami atlantyckich plaż lizanych przez miliony perłowych grzywaczy. Potem pojawił się pod nimi pas, a samolot prawie niezauważalnie dotknął ziemi i podkołował niemal pod sam terminal. Gdy odziany w wojskowy mundur steward otworzył jej drzwi, poczuła uderzenie wdzierającego się do kabiny upalnego powietrza. Mrużąc oczy, chwyciła niewielką torbę podróżną i skulona przecisnęła się przez wąskie wyjście.

– Alex! Boże, jak cudownie cię widzieć.

U stóp schodków czekał na nią Nate Hayes, który chwycił ją w objęcia, nim zdążyła zejść z ostatniego stopnia. Tuż za nim stała roześmiana Joan z oczami pełnymi łez.

– Ciebie też, kolego – odparła i przez sekundę przytrzymała go w uścisku.

Podeszła do Joan i przez długą chwilę obejmowały się w milczeniu, jakby nie chciały się już rozdzielić. W końcu Alex wyzwoliła się z objęć i spojrzała na oboje.

– Czy wy nie macie nic lepszego do roboty, jak witać gości na płycie lotniska?

Nate, na litość boską, przecież za dwa dni lecisz w kosmos, nie?

Wzruszył ramionami i niemal lekceważąco machnął ręką.

– Wahadłowcem zajmują się teraz tabuny techników. Ja bym im tylko przeszkadzał. Dali Laurze, Jackowi i mnie wolny dzień. Właśnie wybieramy się z Joan i dziećmi na piknik na plaży, więc zahaczyłem o lotnisko, żeby cię powitać.

Chcesz do nas dołączyć?

– Z największą przyjemnością! – odparła Alex bez wahania, jednocześnie wyobrażając sobie, z jaką radością pobrodziła by boso po piachu i pomoczyła stopy w atlantyckich falach. – Ale, niestety, nie mogę. Za godzinę muszę być w centrum operacyjnym. Jednak ogromnie się cieszę, że was zobaczyłam! – Spojrzała na Joanie, w której oczach była i duma, i łzy na myśl o mężu. Boże, co za odwaga! Cóż właściwie można było powiedzieć w obliczu takiej odwagi? Chyba tylko jedno. –

Nate, uważaj na siebie.

– Nie ma sprawy – odparł z uśmiechem. – Ja tylko siedzę za sterami, nic więcej. I w sumie niewiele mam do roboty, bo w przestrzeni wszystkim rządzą komputery.

Ale dodanie ekstra zbiorników paliwa było pomysłem. Kosztem przestrzeni ładunkowej udało się zatankować niemal dziesięć razy więcej paliwa niż podczas poprzednich misji. Polecimy z niezłą prędkością, więc przyślę ci kilka fotek na pamiątkę.

Wszystko to mówił z uśmiechem na twarzy, ale wyczuwała tkwiący w nim głęboko strach. I wiedziała, że dla jego dobra nie wolno jej się z tym zdradzić. Joan uchwyciła jej dłonie, przez chwilę gniotła je w miażdżącym uścisku, potem puściła i machnęła ręką.

– No to będziemy miały za sterami prawdziwego kosmicznego kowboja –

powiedziała Alex, ściskając go lekko za ramię, gdy ruszyli w stronę salki przylotów.

Na potrzeby bazy wojskowej ulokowano ją w niewielkim baraku, w niczym nie przypominającym szklano-stalowej elegancji cywilnych terminali pasażerskich. Na szczęście nie zapomniano o klimatyzacji, co Alex niezmiernie ucieszyło.

– To jak, udało ci się wpaść do Eglin i odwiedzić Diuka? – spytał obojętnym tonem, gdy automatyczne drzwi zasunęły się za nimi z charakterystycznym sykiem.

– Nic ci nie mówił? – odpowiedziała pytaniem.

– Coś tam wspominał – bąknął, znów się uśmiechając. – Bardzo się cieszę. I tak na wszelki wypadek informuję, że zjawi się pojutrze na nasz start. Mam nadzieję, że wciąż tu jeszcze będziesz.

– Musiałam przyjechać, bo mam tu umówione spotkania – odparła. – Ale możesz być pewien, że przegapię najważniejszego wydarzenia! Nawiasem mówiąc, dostałam nawet takie polecenie. Mam tu zostać cztery dni i co godzinę meldować się mojemu szefowi.

*

– Widzicie tu najnowsze fotografie z Hubble'a – rozpoczął generał dywizji Lopez, szef wywiadu sił powietrznych, który prowadził odprawę. Był nieduży, zwarty w sobie i żyłasty, wyglądał raczej na zapaśnika niż na wysokiego rangą oficera sztabowego. Jego postura jeszcze bardziej nikła na tle obrazu z PowerPoint, który wypełniał sobą cały ogromny ekran w zaciemnionej salce. Alex z napięciem wpatrywała się w ostry, szczegółowy obraz ukazujący na zbliżeniu marsjański obiekt – pierwszy, jaki obecni mieli okazję oglądać.

Nie było wątpliwości co do jego cylindrycznego kształtu, choć kamera patrzyła na niego niemal dokładnie od przodu pod niewielkim tylko kątem wobec osi. Zdawał

się mieć ciemnobrunatną barwę, co w rzeczywistości mogło oznaczać dowolny odcień – od czerwieni przez brąz aż po czerń – nieco tylko jaśniejszy od czarnego tła nocnego nieba. Poza kształtem i barwą nie można było dostrzec żadnych innych szczegółów. Generał Wattlinger skrzywił się z niesmakiem, jakby obraz na ekranie osobiście go obrażał.

– To jest oczywiście pierwszy z obiektów, ten, który nazwaliśmy M1. Drugi z kolei – obiekt M2 – znajduje się ponad trzy miliony kilometrów za pierwszym i wprawdzie udało nam się go już sfotografować... – Nacisnął guzik i przeszedł do następnego slajdu ukazującego niewielką jasną plamkę, która równie dobrze mogła być daleką gwiazdą. – Jednak nie dysponujemy na razie żadnymi bliższymi szczegółami jak w przypadku M1. – Na ekranie pojawiła się znów fotografia pierwszego obiektu, równie ostra jak pierwsza, choć na nieco innym tle. – Hubble na stałe śledzi ten obiekt,

prócz tego korzystamy oczywiście z radaru, i to w trybie zarówno pasywnym, jak i aktywnym. Na razie nie odnotowaliśmy, by obiekty cokolwiek z siebie emitowały. Oznacza to, że mogą być bezwładnymi bryłami i to litymi w środku.

– Mam pytanie, panie generale – odezwał się Robert Baxter, zastępca dyrektora Międzynarodowej Stacji Kosmicznej funkcjonującej na przylądku, który ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w obraz na ekranie. – Jakie są przewidywania co do dalszych losów obiektu na podstawie wytyczonych trajektorii lotu? Oczywiście przy założeniu, że nikt nie zacznie nim nagle sterować. Jak ten tor ma się w stosunku do kuli ziemskiej?

– Dobrze pytanie, doktorze Baxter. Jest tu coś, czego do końca nie rozumiemy.

Gdy po raz pierwszy wytyczyliśmy trajektorię, wydawało się, że pierwszy z obiektów z daleka ominie naszą planetę, wręcz poza orbitą Księżyca. Wprawdzie to wciąż można uznać za poblizę Ziemi, jednak tor był zbyt odległy, a lot zbyt szybki, by można się obawiać, że obiekty zostaną przechwycone przez pole grawitacyjne naszej planety. Kolejne obiekty zdawały się zmierzać bardziej ku Ziemi i mieścić wewnątrz orbity Księżyca. Mimo wszystko, ze względu na szybkość obiektów, zakładaliśmy, że ich pęd wyrwie je z naszego pola grawitacyjnego i skieruje w przestrzeń ku Słońcu.

– Mówił pan, panie generale, że czegoś nie rozumiemy – wtrącił Baxter.

– A, tak. No cóż, wygląda na to, że nastąpiły dziwne perturbacje, nieoczekiwana zmiana parametrów, tak pod względem toru lotu, jak i prędkości. Dotyczy to szczególnie pierwszych trzech obiektów. Ta dana dotarła do nas w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu minut.

– Te dane – szepnęła Baxter, lekko trącając Alex. – Mówi się „te dane”. – Mrugnął do niej porozumiewawczo, a ona nie chcąc parsknąć, milcząco kiwnęła głową.

Poczucie humoru pozwalało nieco odetchnąć od rosnącego napięcia.

Generał Wattlinger ponownie uniósł głowę.

– Tak. Wygląda na to, że trzy pierwsze obiekty znajdują się obecnie nieco bliżej siebie niż we wcześniejszej fazie lotu. Oczywiście na tyle, na ile dokładność naszych pomiarów pozwala to stwierdzić.

– Czy wystąpiła też jakaś zauważalna zmiana prędkości? – spytała Alexandria.

– Zaraz, muszę sprawdzić. – Generał znów zaczął grzebać w dokumentacji. – Z

odczytów wynika, że to niewykluczone, choć pomiary wciąż jeszcze trwają. Ale tak, wstępne pomiary wskazują, że M1 trochę zwolnił, a w odniesieniu do M3

zanotowano przyspieszenie.

– I w dalszym ciągu nie zauważono żadnych emisji energii?

– upewnił się Baxter. – Wobec tego, jak one mogą zmieniać prędkość?

– To jest właśnie jedna z rzeczy, których nie rozumiemy. Wydaje się również, że zmienia się tor ich lotu tak, że obecnie skierowane są bardziej na orbitę Księżyca. Tę zmianę też odnotowaliśmy dopiero teraz.

– A więc jest możliwe, że właśnie odbywa się korekta toru ich lotu i że mogą zostać skierowane wprost ku Ziemi, czy tak?

– Alexandria wyobraziła sobie nagle te obiekty jako serię zdalnie sterowanych pocisków, które pędzą w przestrzeni kosmicznej, by na koniec zakrzywić tor i uderzyć w błękitne wody oraz zielone pola jej świata.

– Iw dodatku robią to bez użycia jakiegokolwiek zauważalnej siły – dodał Baxter.

– Jak to możliwe?

– Może zmieniają coś w rodzaju wewnętrznej grawitacji?

– zaproponował jeden z generałów sił powietrznych, wpatrując się uważnie w obraz na ekranie.

– Nie da się wewnątrznie korygować grawitacji – sprzeciwiła się ubrana po cywilnemu siwowłosa Frieda Maine z sekcji naukowej. – Ale gdyby występowały jakieś emisje energii, to czy nasze urządzenia obserwujące głębię kosmosu byłyby w stanie je wychwycić?

– Chyba tak – odparła Alex. – Jeśli nawet nie nasze urządzenia sieciowe, to na pewno stacja wielkich anten w Nowym Meksyku.

– W każdym razie nawet niewielkie zmiany mają dla nas kolosalne znaczenie –

wtrącił Baxter. – Bo w tym kontekście możemy w zasadzie wykluczyć, że są to bezwładne bryły. To coś więcej niż zwyczajne asteroidy wyrzucone w przestrzeń.

– Za dwa dni powinniśmy otrzymać więcej szczegółów od naszych astronautów z wahadłowca – podsumował generał, na próżno starając się, by zabrzmiało to uspokajająco. – Nawet z odległości szesnastu tysięcy kilometrów, jakie uznaliśmy za granicę zbliżenia, będą na pewno mogli dostarczyć nam wielu danych.

Ale Alex nie potrafiła o tym myśleć inaczej jak o dobrym przyjacielu i kochającym mężu i ojcu, który w cienkiej blaszanej puszcze, jaką jest prom kosmiczny, wyrusza naprzeciw najbardziej przerażającego wyzwania, jakie można sobie wyobrazić.

Plaża Cocoa Beach, Floryda

Dosłownie kilka metrów od wyjścia z hotelu zaczynała się piękna, piaszczysta plaża, ciągnąca się aż po horyzont w obie strony. Jednak Alex nie dała się skusić bezchmurnemu niebu i pastelowym barwom zachodu słońca i aż do zapadnięcia zmroku została w pokoju. Całą uwagę zaprzętały jej

kolejne komunikaty nadawane przez CNN oraz inne stacje specjalizujące się w newsach.

Obraz wyłaniający się z nich nie był zbyt pocieszający. We wszystkich dużych miastach wprowadzono stan wojenny, a działania rządu na różnych szczeblach właściwie ustały. Po tym, jak tłumy spanikowanych klientów wykupiły wszystko, co się dało, półki sklepowe świeciły pustkami. Nikt też nie próbował uzupełniać zaopatrzenia sklepów w pieczywo i inne podstawowe towary. Coraz więcej było doniesień o czarnym rynku tworzącym się wokół hurtowni artykułów spożywczych, z których pod osłoną nocy wywożono ciężarówki towarów za dziesiątki tysięcy dolarów płaconych w gotówce z ręki do ręki. Co do normalnych dostaw, ze względu na wiszącą nad głową groźbę globalnego ataku, kierowcy ciężarówek nie kwapili się dojazdy po kraju i nawet dojeżdżający codziennie do pracy z podmiejskich miejscowości masowo dochodzili do wniosku, że mają teraz ważniejsze rzeczy na głowie niż dotarcie do pracy lub szkoły.

W końcu miała tego dość i szukając czegoś lżejszego, zaczęła skakać po kanałach. Jednak zabrakło nawet Conana, [Conan O'Brien, gospodarz wieczornego programu rozrywkowego typu talk-show w sieci NBC] bo na NBC nadawano specjalny, całonocny program złożony głównie z wywiadów i dyskusji panelowych nagranych w ciągu kilku ostatnich dni. W którejś z sieci natrafiła na odcinek Frasiera, jednak okazało się, że nie potrafi się skupić na oglądaniu. A prawdę powiedziawszy, głupawe żarty wręcz ją drażniły. Westchnęła i wróciła na CNN.

Fakt, że większość dziennikarzy i personelu technicznego nadal przychodziła do pracy, można było uznać za godną podziwu rzetelność zawodową, dzięki której stacja wciąż jeszcze funkcjonowała. To samo można też było powiedzieć o wojsku, policji, straży pożarnej i służbach medycznych. Także system energetyczny kraju i sieć telefoniczna pracowały bez większych zakłóceń, choć ogromne przeciążenie sieci chwilami utrudniało uzyskanie połączeń. Z jednego z telewizyjnych reportaży wynikało, że to, co się stało, przyniosło krociowe zyski dealerom luksusowych samochodów, bo ich cały zapas pojazdów błyskawicznie był wykupywany przez spanikowanych nabywców.

Przyszli jej na myśl rodzice i doszła do wniosku, że to dobrze, iż matka ma teraz Nicka, który się nią opiekuje. W takich chwilach nikt nie powinien być sam –

przynajmniej nikt, kto sobie tego nie życzy. Zdarzały się chwile, że marzyła, by matka wróciła do ojca i zamieszkała w jego leśnym pustkowiu, jednak Alex wiedziała, że to marzenia zupełnie nierealne. Najlepiej można się było o tym przekonać, uczestnicząc w sporadycznych spotkaniach w trójkę i przeżywając męczarnie będące udziałem ich wszystkich. Wszystko jedno, czy byli w Chicago, czy w Delbrook Lake, Alex pamiętała duszną atmosferę i chwile nabrzmiałego napięciem milczenia, które zapadało, gdy oboje rodzice zmuszeni byli przebywać w jednym pomieszczeniu.

A co do ojca... Potrząsnęła głową. Ojciec albo da sobie radę w swojej leśnej samotni, albo nie. I raz jeszcze zapewniła samą siebie, że nic w tej sprawie nie może zrobić.

Cholera, skąd nagle te łzy? Zirytowana wstała i poszła do łazienki wyciągnąć nos w papierową chusteczkę, potem spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Koński ogon zupełnie jej się zwichrował, ściągnęła więc gumkę i rozczesała włosy zdecydowanymi, niemal pełnymi złości pociągnięciami. Potem znów związała je gumką i wojowniczo uniosła podbródek na znak, że jest gotowa stawić czoło wszystkiemu.

Jakby na ten sygnał zadzwonił telefon. Zdecydowanym ruchem szarpnęła słuchawkę.

– Alexandria DeVane.

– Al, tu Diuk. Boże, jak się cieszę, że cię złapałem.

– Ja też. – Usiadła na łóżku i oparła się plecami o ścianę. – Nate mi mówił, że przyjedziesz jutro na start.

– Nie... To znaczy tak, już przyjechałem. Mam czterdziestoosmiogodzinną przepustkę i jestem już na miejscu.

– Oo? – Bezwiednie wstała i zaczęła krążyć wokół łóżka. – I gdzie teraz jesteś?

Masz dziś wolny wieczór? – Boże, zachowuje się jak napalona nastolatka! Ale tak bardzo kogoś potrzebowała. Nie, to nieprawda... potrzebowała właśnie jego! A on właśnie zadzwonił!

– No, właściwie... – Chrypka w jego głosie zabrzmiała ni to jak warczenie, ni to mruczenie. – Właściwie, to jestem w recepcji i mogę być u ciebie za dwie minuty.

2 czerwca

Centrum Lotów Kosmicznych im. Kennedy'ego,

przylądek Canaveral, Floryda

Warunki do startu były wręcz idealne. Nad głowami rozciągała się błękitna kopuła nieba bez jednej chmurki, jeśli nie liczyć kilku smug kondensacyjnych, zostawionych przez krążące wysoko w górze odrzutowce wypakowane sprzętem elektronicznym i obserwatorami. Poruszając szuwarami na mokradłach, lekki wiaterek przeczesywał trawiaste równiny przylądka.

Alexandrię cieszyło pogodne niebo i widok setek ludzi kręcących się przy trybunie widokowej dla VIP-ów. Mogła skorzystać z należnego jej pozycji przywileju i zająć miejsce w jednym z krytych bunkrów tuż obok wyrzutni, jednak Diuk zaproponował, by razem obejrzeć start z trybuny widokowej znajdującej się blisko dwa kilometry dalej. Gośćmi byli tu głównie oficjele i personel agencji, a także rodziny astronautów i garstka przedstawicieli mediów.

Oczywiście była wśród nich także Joan z dwójką dzieci. Pożegnali się z Natem już trzydzieści sześć godzin wcześniej, kiedy załoga musiała rozpocząć swą przedstartową kwarantannę. Alex przywitała wieloletnią przyjaciółkę, obejmując ją i przez długą chwilę trwając w uścisku, jednak żadna nie uroniła ani jednej łzy. Potem całą piątką usadowili się w narożniku najwyższego piętra trybuny. Zwykle pozujące na zblazowane i obojętne na wszystko nastolatki też poddały się nastrojowi chwili.

Tricia sprawiała wrażenie niewyspanej i kleiła się do matki, a Tim rozglądał się wojowniczo, jakby rzucał wyzwanie każdemu, kto ośmieliłby się wkroczyć na teren zajęty przez jego rodzinę.

Nawet z tej odległości prom Discovery ze swymi raketami nośnymi dominował

nad całym horyzontem. Stał skierowany ku górze z doczepionym wzdłuż spodu potężnym zbiornikiem paliwa płynnego i doczepionymi wzdłuż boków dwiema raketami wspomagającymi na paliwo stałe. Rakiety były dłuższe od niego i sterczały w niebo niczym dwie gigantyczne, rzymskie pochodnie.

Czym zresztą tak naprawdę były.

Dłoń Diuka odnalazła dłoń Alex, ich palce splotły się i stali w milczeniu, wpatrzeni w prom oraz ogromną konstrukcję wyrzutni złożoną z płataniny dźwigarów, wind i platform, którą już odsunięto poza zasięg płomieni zapłonu. Start miał nastąpić lada chwila. Cała trybuna pełna była ludzi, jednak wśród kilkuset gości panowała dziwna, niemal podniosła cisza. Alex uczestniczyła już w kilku startach promów kosmicznych i zawsze wyczuwała towarzyszące im potężne napięcie zmieszane z odświętnym nastrojem. Dzisiejsza uroczysta cisza na trybunie bardziej przypominała nabożeństwo. „Zresztą niezwykle dobrze strzeżone nabożeństwo” –

pomyślała, spoglądając na rząd hunweesów stojących na poboczu drogi. Na każdym skrzyżowaniu dróg na całym ogromnym terenie centrum stał czołg.

Joan Hayes miała suche oczy, ale tak mocno ścisnęła dłoń Diuka, że zbieleły jej kostki dłoni. Tricia

kurczowo trzymała ją za drugą dłoń, Tim siedział tuż za nimi i milcząc, patrzył, jak ojciec po raz szósty szykuje się do opuszczenia Ziemi. Raz tylko wydobył z siebie słowa. „Nakop im do dupy, tato” – szepnął, gdy wieża wyrzutni wraz z windą zaczęła odjeżdżać.

Głos spikera przypominał, że trwa odliczanie i do startu zostały już tylko minuty.

Trójka astronautów tkwiła we wnętrzu promu już od wielu godzin, Alex wiedziała, że z rosnącą niecierpliwością oczekują na moment zapłonu i na nagłe przyspieszenie, z jakim wystrzelą w górę. Kiedy odliczane minuty zamieniły się w sekundy, na trybunie ucichły rozmowy, słychać było jedynie miarowy głos odliczający ostatnie sekundy do startu – zupełnie jak ów głos zapamiętany przez Alexandrię z dzieciństwa, gdy po raz pierwszy zaczęła marzyć o kosmosie i zostaniu astronautką.

– Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem... – Spod statku wydobył się kłęb białego dymu świadczący, że silniki zostały odpalone. – Sześć... pięć... cztery... – Kłębom dymu towarzyszył teraz ogłuszający ryk silników głównych pod wahadłowcem, które nabierały mocy, plując płomieniami. – Trzy... dwa... – Ukazały się dodatkowe kłęby gęstego dymu i jaskrawoczerwone płomienie, co znaczyło, że odpalono obie rakiety wspomagające.

– Jeden... – Doczepiony do swych trzech ogromnych zbiorników paliwa i skąpany w chmurze dymu prom drgnął i przez przerażająco długą chwilę zdawało się, że nie ruszy z miejsca. Ale w monotonnym dotąd głosie odliczającego pojawiła się nutka triumfu.

– Start! Prom Discovery wystartował!

Odrywanie się od ziemi było początkowo tak powolne, że niemal trudno je było dostrzec, jednak już sekundę później potężna konstrukcja zespołu wahadłowca zaczęła unosić się w powietrze, pokonując ciężenie. Wznoszenie stawało się coraz szybsze i z ogłuszającym rykiem rakiety wystrzeliły w górę, ciągnąc za sobą warkocz dymu i płomieni. Po chwili widać już było tylko, jak oddalająca się szybko pochodnia płomieni z dysz wylotowych wszystkich trzech rakiet wynosi tkwiącą w kabinie wielce zasłużonego promu załogę coraz wyżej i wyżej do stratosfery – i dalej, ku niemal idealnej próżni przestrzeni kosmicznej.

Alexandria pamiętała, że zawsze w tych momentach wśród widzów rozlegały się okrzyki ulgi i wybuchy radości, dające upust emocjom i nagradzające udany start.

Dziś też wszystko przebiegło szczęśliwie, jednak w reakcji widzów nie czuło się ani ulgi, ani radości z pomyślnego startu.

Alex zerknęła na Joan i pomyślała, że bije z niej jedynie obezwładniająca strach.

– Doktor DeVane? – Usłyszała czyjś głos, gdy trzymając się za ręce, szli z Diukiem w stronę samochodu jego brata. Na czas pobytu Diuka w Cocoa Beach Nate pożyczył mu swoje porsche. Ślad po Discovery już się niemal zupełnie zatarł i na bezchmurnym niebie widać było tylko cieniutką, przerywaną smużkę bladego dymu.

Odwróciła się i rozpoznała pilota marynarki wojennej, z którym przyleciała tu wojskowym

odrzutowcem z Chicago.

– Tak, witam!

– Przepraszam, że przeszkadzam. Miałem panią jutro zabrać do Waszyngtonu, ale dostałem nowe rozkazy. Muszę, niestety, lecieć do Norfolk. Wylatuję za kilka godzin i jeśli pani sobie życzy, mogę tam panią zabrać. A jeśli nie, to o ile wiem, jutro leci na Dulles KC-135. Jeśli więc woli pani zostać i polecieć zgodnie z planem, to mają dla pani miejsce.

– Ja też tu jestem – powiedział Diuk cichym głosem. – I wylatuję dopiero jutro.

To wystarczyło, żeby się nie zastanawiać nad odpowiedzią.

– Dziękuję, kapitanie. Skorzystam z tego miejsca na KC.

– Proszę tylko dzisiejszego dnia poinformować obsługę odlotów w terminalu. I przepraszam za zmianę planów.

– Nic nie szkodzi – zapewniła pilota, który bez słowa odwrócił się i ruszył w swoją stronę. Chwyciła Diuka za rękę. – Muszę zadzwonić do dyrektora. Na pewno oglądał start w telewizji, ale będzie chciał usłyszeć relację z pierwszej ręki. A potem.

.. może uda nam się choć na kilka godzin stąd wyrwać. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio moczyłam nogi w oceanie.

2 czerwca

Delbrook Lake, Wisconsin

Zjadłem śniadanie przed ekranem telewizora, przyglądając się wykonanym na żywo obrazom obiektu nazywanego M1. Najdokładniejsze zdjęcia nadal pochodziły z teleskopu Hubble'a, choć obraz z kamer zainstalowanych na promie miał z godziny na godzinę coraz lepszą rozdzielczość. Już od kilku dni nawet nie próbowałem siadać do pracy, szczególnie że w świetle ostatnich wydarzeń i prawdopodobnych ich następstw mój artykuł porównujący parametry rakiety Saturn i promów kosmicznych mocno stracił na aktualności.

Trzy dni temu zebrałem się w końcu, by pojechać do miasta, ale było już za późno. Okazało się, że wszystkie sklepy spożywcze, stacje benzynowe, a nawet sklepy z alkoholem są pozamykane, gdyż w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin od ujawnienia bezprecedensowej informacji zostały ogołoczone z całego towaru. Wróciłem do domu bez wysiadania z samochodu.

Przejrzałem moje rezerwy i z przyjemnością stwierdziłem, że bak w samochodzie mam niemal pełny. Miałem też niewielki zapas konserw, które na upartego powinny mi wystarczyć na kilka

najbliższych tygodni. Berek też miałem przyzwoicie zaopatrzone w alkohole, choć piwo mi się już kończyło. Niezwykłe było uczucie, że zupełnie nie wiadomo, kiedy będzie można uzupełnić zapasy.

Prąd mogłem czerpać z generatora o mocy trzech tysięcy czterystu watów, co wystarczało na wszystkie moje potrzeby domowe pod warunkiem, że nie będę szalał.

Do grzania wody używałem płynnego propanu, a w zbiorniku za domem było go jeszcze ponad czterysta pięćdziesiąt litrów.

Alexandria namawiała mnie też, żebym kupił broń. Ze zdumieniem stwierdziłem, że miejscowy sklep z artykułami metalowymi, oferujący także bogaty wybór broni myśliwskiej, jakimś cudem wciąż jeszcze jest otwarty. Mimo to nie przyszło mi nawet do głowy, by stanąć i wejść do środka, nie czułem bowiem żadnego zagrożenia. Kilku spotkanych po drodze przechodniów i kierowców zachowywało się zupełnie normalnie i przyjaźnie, nawet jeśli machanie ręką czy powitalne uśmiechy z ich strony były nieco mniej wylewne niż zwykle w przypadku mieszkańców małego miasteczka w Wisconsin.

Ale i tak z przyjemnością myślałem o powrocie na moje odludzie zagubione wśród zalesionych pagórków i o zniknięciu im z oczu i pamięci. Oglądałem telewizję, wiedziałem, co się dzieje na świecie, chciałem jednak wierzyć, że ja do tego świata nie należę. A potem zaczęli nagle mówić coś o człowieku, którego kiedyś znałem i który był moim najlepszym asystentem.

– Dowódca promu kosmicznego, kapitan Nathan Hayes, przekaże teraz informacje o postępie dowodzonej przez niego misji. Łączymy się z centrum kontroli lotów, które ma na żywo łączność z kapitanem Hayesem – oświadczył Rick Chalmers.

Na ekranie ukazała się tak dobrze mi znana, przystojna twarz. Był opalony, krótko przystrzyżony i pływał w którejś części kabiny promu z błogim wyrazem nieważkości, który z jakiegoś powodu gości na twarzach wszystkich przebywających w kosmosie.

– Witam Amerykę i cały świat – powiedział Nate. – Lecimy teraz po rozszerzającej się orbicie wysoko ponad Ziemią. Z wieńcem laurowym w jednej ręce i mieczem w drugiej chcemy pogłębiać naszą wiedzę o wszechświecie.

Parsknąłem śmiechem. Na promie kosmicznym nie było nie tylko miecza, ale nawet zwykłej tarczy ochronnej. Byli tam w górze bezbronni jak niemowlę, które znalazło się na polu średniowiecznej bitwy. Mogli liczyć jedynie na to, że do żadnej wojny nie dojdzie – przynajmniej póki nie wrócą z kosmosu.

Dowódca misji kontynuował przemowę, a jego głos po przebyciu olbrzymich odległości i przetworzeniu przez niezliczone urządzenia techniczne brzmiał trochę słabo i piskliwie. Zakończył meldunek osobistą nutą, a na jego twarzy pojawił się ten sam diabelski uśmieszek, który potrafił zjednywać mu całą salę wykładową.

– Joanie, Tricia. Kocham was. Tim, ciebie też kocham, tylko nie zapomnij odrobić lekcji. Tu Discovery, koniec łączności.

Całe wystąpienie miało tylko służyć upewnieniu słuchaczy, że wszystko idzie gładko i zgodnie z planem. Jednak ten znajomy głos przyjaciela mojej córki, dochodzący spoza ziemskiej atmosfery, spowodował, że poczułem się znów wciągnięty w sprawy bliźnich.

DZIESIĘĆ

3 czerwca

Centrum Kosmiczne Kennedy'ego,

przylądek Canaveral, Floryda

Diuk odwiózł Alex do baraku mieszczącego terminal pasażerski. Był ciągle po cywilnemu, ale już za chwilę miał pójść do szatni pilotów, by przebrać się w kombinezon lotniczy. Za jakieś dwie godziny powinien zasiaść za sterami A10, który w towarzystwie kilkunastu mniejszych wojskowych odrzutowców stał na końcu płyty lotniska.

– I uważaj na siebie – poprosiła w przerwie między kolejnymi pocałunkami na pożegnanie.

– Ty lepiej uważaj – zaśmiał się. – To nie ja lecę latającą stacją benzynową! –

dodał, kręcąc głową na widok potężnego KC-135. Alex wiedziała, że jest to transportowiec używany głównie do zaopatrywania w paliwo samolotów podczas lotu. W rzeczywistości była to wojskowa wersja starego pocziwego boeinga 707, jednego z pierwszych wielkich odrzutowców pasażerskich.

– Podejdz do tego pozytywnie – odparła. – Te samoloty latają chyba od czterdziestu lat, więc mieli już czas usunąć wszystkie możliwe usterki. A pilot pewnie nie ma kaca i nie jest skonany po szalonej nocy w hotelu na plaży.

– Ale wartej wszystkich aspiryn świata! – uśmiechnął się.

Patrzyła, jak wsiada do porsche i rusza w stronę wojskowych koszarów. Jeszcze przez długi czas machał do niej przez otwarty dach, w końcu skrył go długi rząd parterowych baraków.

Pilot major McNally z Waszyngtońskiej Gwardii Narodowej powitał ją w niewielkiej poczekalni odlotów.

– Doktor DeVane? Startujemy za jakąś godzinę. Byłbym wdzięczny, gdyby mogła pani wejść na pokład w ciągu najbliższej półgodziny.

– Oczywiście, panie majorze. Dziękuję za znalezienie dla mnie miejsca.

Machnął lekceważąco ręką.

– Cieszę się, że będę miał towarzystwo. Inaczej bylibyśmy tylko Petey, Sparks i ja. Właściwie to znajdzie się nawet miejsce w kokpicie, jeśli chce pani do nas dołączyć. Stamtąd dużo lepiej widać, tylko że będzie pani musiała też patrzeć na nas.

– Dzięki – roześmiała się. – Z przyjemnością. I obiecuję, że nie będę przeszkadzała.

Sześćdziesiąt siedem minut później zapinała pasy czwartego fotela w kokpicie.

Wychylając się nieco w bok, mogła dostrzec wszystko, co dzieje się przed dziobem samolotu, a co wcale nie okazało się miłe, gdy potężny transportowiec wypełniony paliwem ruszył z rykiem po pasie startowym i pędził nim tak długo, że zdawało się, iż za chwilę musi runąć w fale Oceanu Atlantyckiego. W końcu major McNally lekko pociągnął drążek na siebie i samolot oderwał się od ziemi dosłownie na sekundy przed końcem pasa.

Alex odetchnęła głęboko i oparła głowę o zagłówek. Odchyliwszy się, samolot zaczął ostro piąć się w górę, a całe pole widzenia wypełniło bezchmurne, błękitne niebo. Wznosili się coraz wyżej i błękit wokół nich stawał się coraz głębszy, aż w końcu wszystko przybrało fioletowobłękitną barwę pustki.

Prom kosmiczny Discovery,

120 000 kilometrów od Ziemi

Zbliżenie się do obiektu było bardzo skomplikowaną operacją. Mimo że znajdowali się wysoko ponad warstwą atmosfery, prom wciąż jeszcze odczuwał

wpływ ziemskiej grawitacji, która wprawdzie w miarę oddalania się niedużego statku od kuli ziemskiej malała, ale nigdy nie schodziła do zera. W zbiornikach promu mieli ogromny zapas paliwa i plan zakładał, że gdy znajdą się w pobliżu M1, to znaczy w odległości zaledwie trzydziestu dwóch tysięcy kilometrów, Hayes obróci prom o sto osiemdziesiąt stopni tak, że zacznie lecieć tyłem. Wtedy odpalone zostaną rakiety manewrowe, które spowolnią lot i będą działały tak długo, aż prom całkowicie wytraci pęd i w stosunku do Ziemi zatrzyma się. Następnie rozpocznie się powolne nabieranie szybkości w przeciwnym kierunku.

W każdym razie tak zakładał plan misji. Gdyby rakiety manewrowe nie odpaliły, gdyby zawiodły komputery sterujące kierunkiem lotu lub gdyby nastąpiła jedna z tysiąca możliwych awarii, pęd promu mógłby ich zacząć wynosić coraz dalej od Ziemi, poza obiekty marsjańskie, za orbitę Księżyca, w głąb martwej pustki kosmosu.

Hayes wyjrzał przez okno przed fotelem dowódcy promu. Na niebie nie było Księżyca, akurat bowiem znajdował się po drugiej stronie Ziemi, a z uwagi na pozycję statku, Ziemi także nie było widać. Wokół roztaczała się ciemna pustka, na której gołym okiem można było rozróżnić tylko jeden obiekt znajdujący się znacznie bliżej niż wszystko inne.

Mimo to z tej odległości marsjański pocisk był nadal zaledwie świetlnym punktem, nieco tylko jaśniejszym od jasnej gwiazdy i nie dającym pojęcia o jego kształcie czy barwie. Jak na ironię, znajdujący się dobre sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów dalej od M1 teleskop Hubble'a dostarczał im za pośrednictwem centrum kontroli lotów w Houston znacznie dokładniejszy obraz obiektu.

– Coś się zmieniło w danych albo w obrazie? – zapytał Hayes.

Laura Daring, specjalistka fotografii kosmicznej, ani na chwilę nie odrywała wzroku od monitora umieszczonego za oparciem fotela dowódcy.

– Niczego nie zauważyłam – odparła. – Wciąż wygląda na ciemnoczerwoną powłokę, może tylko z kilkoma cętkami, co wskazywałoby na pewną chropowatość powierzchni. Cały czas zbliża się równo w układzie pionowym.

Nate oczami wyobraźni widział ten tor lotu. M1 przemieszczał się w przestrzeni równym spokojnym lotem, jak wyrzucona dzida. Gigantyczny walec zdawał się nie podlegać żadnym wahnięciom, skrętom czy wirowaniu. Raz jeszcze spojrzął na świetlisty punkt, nadal niewiele różniący się od dużej jasnej gwiazdy.

– Czy ktoś ma coś przeciw, żebyśmy podeszli trochę bliżej? – zapytał.

Wiedział, że oboje członkowie załogi podzielają jego rozczarowanie narzuconą im granicą bezpieczeństwa trzydziestu tysięcy kilometrów. I był przekonany, że udałoby mu się podprowadzić prom znacznie bliżej, dzięki czemu i oni, i centrum w Houston mogliby się znacznie lepiej przyjrzeć intruzowi.

– Ty tu jesteś szefem – powiedział Jack Wheeler, drugi pilot i radiooperator. –

Jak nasi na dole zaczną się za bardzo rzucać, to im pošlę trochę zakłóceń. – Spojrzął

na dowódcę z troską. – Tylko oczywiście nic ci już nie pomogę po powrocie na Ziemię.

– Jeżeli wrócimy na Ziemię, mogą mnie do końca życia zamknąć w Leavenworth. Wysłali nas tutaj, żebyśmy się przyjrżeli, więc przysięgam na Boga, że mam zamiar temu dobrze się przyjrzeć!

– Tak jest, kapitanie – mruknęła Daring. – Sama bym się chętnie przyjrzała temu skurwielowi.

Ale Nate już się zajął klawiaturą, na której wprowadzał nowe polecenia dla komputera sterującego lotem promu. Po chwili poczuli łagodną wibrację rakiet manewrowych zwiększających boczny ciąg. Działały zaledwie trzydzieści sekund i wyłączyły się, jednak kurs wahadłowca został skorygowany na tyle, że prowadził

teraz znacznie bliżej toru lotu M1.

– Discovery, odnotowaliśmy załączenie rakiet manewrowych – odezwał się cienki głosik z Houston. Zamilkł i po krótkiej chwili dodał: – I spowodowaną tym zmianę kursu. Wyjaśnijcie.

– Chcemy się lepiej przyjrzeć obiektowi – powiedział Hayes. – Ale nie przekroczymy parametrów bezpieczeństwa.

– Odmawiam, Discovery. Powtarzam: odmawiam. Wrócić na poprzedni kurs.

Zezwalam w tym celu na natychmiastowe odpalenie rakiet manewrowych.

Hayes machnął ręką w kierunku słuchawek na uszach, spojrzął na Wheelera i wzruszył ramionami.

– Mamy jakieś zakłócenia w łączności – rzucił drugi pilot do mikrofonu. –

Spróbujemy to usunąć najszybciej, jak się da. – Przekręcił wyłącznik i obojętnie spojrzął na Hayesa.
– Może w Leavenworth dadzą nam jedną celę.

– Chłopcy, spójrzcie – powiedziała Laura takim tonem, że obu pilotom natychmiast przeszła ochota do żartów. Nie patrzyła już na monitor, tylko wprost przed siebie, przez przednią szybę kabiny.

– Ten bydlak zaczął się obracać – powiedział Hayes z gardłem ściśniętym emocją i strachem, co wstrzyknęło mu do krwiobiegu potężną dawkę adrenaliny.

Widzieli to teraz wyraźnie: długi walec nie przypominał już lecącej równo i prosto dzidy. Zaczął się obracać wokół pionowej osi, przez moment stanął w poprzek, po czym kontynuował obracanie tak długo, aż jego dotychczasowy tył

znalazł się z przodu.

Nate'a przebiegł dreszcz. Nie rozumiał dokładnie, co się dzieje, ale instynkt podpowiadał mu, że to coś groźnego. I mówił mu także, że nic w tej chwili nie może zrobić.

I nagle, w ciągu kilku nanosekund obiekt zniknął, przekształcając się w jeden impuls o niewyobrażalnej mocy. Porcję energii o szybkości światła, czyli znacznie szybszej niż ludzka myśl, nie mówiąc o fizycznej reakcji. Dzięki temu w głowach trójki astronautów nie zdążył się nawet rozpocząć proces myślowy w reakcji na niewiarygodnie oślepiający błysk, który spalił im siatkówki, zwęglił ich ciała na popiół i rozbił popiół na atomy. Jednocześnie w ułamku sekundy stopił niewielką kapsułę z metalu, szkła, paliwa, plastiku i wszystkiego tego, co jeszcze chwilę temu było promem kosmicznym, zamieniając ją w kosmiczny pył. Prom Discovery i jego załoga przestali po prostu istnieć.

Tak, jakby ich nigdy nie było.

W ślad za pierwszą eksplozją kilka nanosekund później przez punkt, w którym znajdował się prom Discovery, przemknęła potężna fala elektromagnetyczna –

impuls energii elektrycznej o niewiarygodnej mocy. Została już jednak tylko garść rozproszonych atomów, które jeszcze niedawno były trzema istotami ludzkimi i wytworem wspaniałej ludzkiej wyobraźni technicznej.

Nie znajdując w przestrzeni kosmicznej ani w warstwie atmosfery żadnej przeszkody, impuls energii pognał dalej, przez mgnienie oka wypełniając przestworza tak oślepiającym blaskiem, że jasnością przyćmił Słońce. Pędził w stronę błękitno-zielonej planety, całkowicie bezbronnej, stanowiąc impuls elektromagnetyczny o napięciu blisko miliona woltów, który w ułamku sekundy omiótł całą powierzchnię świata.

Transportowiec KC-135 Waszyngtońskiej Gwardii Narodowej, przestrzeń powietrzna u wybrzeży Karoliny Północnej

Alexandria wyglądała przez boczne okno w obszernym kokpicie, podziwiając srebrzyste cętki fal i rozciągający się po wschodni horyzont przestwór Oceanu Atlantyckiego. Przez mgnienie oka obraz

ten rozmył się jej w oślepiającym błysku, tak że musiała zmrużyć powieki. W głębi gałek ocznych czuła tańczące białe plamy, jakby ktoś przystawił jej do twarzy stroboskop i zaświecił prosto w oczy.

– Kurczę blade! Widziała to pani? – wykrzyknął drugi pilot. Samolot raptownie szarpnęło dziobem do dołu.

– Co jest, kurwa? – Major McNally już się mocował z drążkiem sterowniczym.

Pociągnął go na siebie, z napięciem wpatrując się w tablicę ze wskaźnikami. –

Straciliśmy kontrolę nad statecznikami... monitorowanie silników nie działa...

cholera, nic prawie nie działa!

Samolot szarpnął jeszcze gwałtowniej i w ciało Alex werznął się pas. Gdyby nie była przypięta, zapewne walnęłaby głową w boczną ścianę kokpitu. Kurczowo chwyciła za boczne oparcia fotela i zacisnęła zęby, niechcący przygryzając sobie język. Żelazisty smak krwi wypełnił jej usta i przez chwilę przykuł uwagę.

Przymknęła oczy, słuchając pokrzykiwania obu pilotów starających się opanować całkowitą awarię systemów. Jednak nie mogła wytrzymać i po kilku sekundach znów je otworzyła. Rozejrzała się bezradnie wokół, widząc, jak radiooperator nerwowo gmera przy mikrofonie i pokrętlach nadajnika.

– Mayday! Mayday! Lot 43099 do Dulles, mamy poważną awarię. Powtarzam, mamy poważną awarię na pokładzie. – Mówił zdecydowanym, choć zaskakująco spokojnym głosem.

Potem uniósł głowę z wyrazem zdumienia na twarzy i jego wzrok padł na Alex.

– Co się dzieje? – spytała ostro, bo pierwsze podejrzenia zaczynały już kiełkować jej w głowie. Sparks pstryknął przełącznikiem i włączył radio. Nie było słychać nic poza szumem i lekkimi trzaskami wyładowań elektrostatycznych. Radio nie odbierało żadnych sygnałów.

– To ten błysk?

– Tak. – Kiwnął głową. – Wszystko się spieprzyło. KC-135 wciąż opadał, przechodząc stopniowo w coraz ostrzejsze pikowanie. McNally i drugi pilot nie przestawali ciągnąć za drążki sterownicze. Wkładali w to całą fizyczną siłę, wiedząc, że od niej zależeć będzie los ich wszystkich.

A Alex z przerażeniem pomyślała, że pewnie to samo dzieje się teraz ze wszystkimi samolotami znajdującymi się w powietrzu nad półkulą zachodnią.

Droga szybkiego ruchu Dan Ryan,

Chicago, Illinois

Dennis Black już i tak był spóźniony na spotkanie, a ruch panujący na drodze nie poprawiał mu humoru. Co chwilę dodawał gazu w swojej beemce, przeskakiwał na lewy pas, by szybko kogoś

wyprzedzić, i wracał na środkowy po wyprzedzeniu całej kolumny. Mignęła mu tablica przypominająca o ograniczeniu prędkości do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale – jak wszyscy – minął ją, nie schodząc poniżej stu dziesięciu i szukając kolejnej dziury, która pozwoli mu znów trochę wyrwać do przodu.

We wstecznym lusterku widział wyprzedzony chwilę temu wielki wóz kempingowy, przed sobą zatłoczony samochodami wszystkie trzy pasy ruchu. Ten wóz jadący za nim nazywał się Swan Song [(ang.) – dosł. łabędzi śpiew] był flagowym produktem jednej z konkurencyjnych firm. Pogardliwie wykrzywił twarz do lusterka, mając jeszcze w nosie smród dieslowskich spalin, które owionęły go podczas wyprzedzania kolosa. Wiedział, że prawdziwe pieniądze można zarobić tylko na pojazdach turystycznych z silnikami benzynowymi. Trzeba być chyba pieprzonym kierowcą ciężarowy, żeby się wozić takim śmierdzielem.

Sam zajmował się wyłącznie pojazdami kempingowymi Winnebago, bo jak często z satysfakcją powtarzał, był to historycznie pierwszy i wciąż najlepszy produkt na obecnym rynku pojazdów rekreacyjnych. To zresztą z powodu tej właśnie przewagi nad konkurencją pędził teraz w kierunku centrum, gdzie w kompleksie wieżowca Hancock Building czekała na niego ważna konferencja. Jego przedstawicielstwo wyprzedzało w ciągu ostatnich dni wszystkie zapasy i jeśli nie uda mu się wydebić od tych chciwych krętaczy dystrybutorów co najmniej tuzina sztuk –

a jeśli się uda, to i dwa razy tyle – to na drzwiach swojego wymiecionego do czysta przedstawicielstwa będzie musiał wywiesić tabliczkę z napisem: „Zamknięte z braku towaru”.

Oczywiście musiał przyznać, że z biznesowego punktu widzenia ostatni tydzień był najlepszy w całej jego długiej zawodowej karierze, obfitującej przecież w liczne triumfy i na szczęście niezbyt częste załamania. W swych zasadach biznesowych był

nieugięty, a naczelną z nich było wyciskać z każdej transakcji, ile się da, do ostatniego centa. Momenty spadku koniunktury odczuwał wyjątkowo boleśnie, bo jego konkurenci mogli wtedy łatwo wygrywać niższymi cenami.

W momentach zwiększonego popytu Dennis Black przekonywał się jednak, że klienci zawsze trafiają do jego drzwi. A jeszcze nigdy w całej historii rynku pojazdów rekreacyjnych nie było takiego popytu, jak od chwili, gdy wykryli te kosmiczne bomby z Marsa. Ludzie wyciągali oszczędności życia, brali pożyczki pod hipotekę domów (o ile mieli szczęście dopchać się do jakiegoś banku) i zastawiali rodzinne precjoza – byle tylko kupić coś, czym uda im się uciec z miasta. A jak trzeba będzie, to i w czym można zamieszkać.

Black nie przejął się Marsjanami. „Jak przyjdzie odpowiedni moment, nasze siły powietrzne dadzą tym kutasom popalić” – myślał. Ale nawet do tego nie dojdzie.

Black jak mało kto znał się na bajerowaniu, a przecież całe to marsjańskie pieprzenie to jeden wielki bajer. A on w dodatku wiedział, jak z takich bajerów ciągnąć korzyści. Przecież cały zapas wyprzedził, a ponieważ z reguły zarabiał co najmniej dziesięć kawałków więcej od swych konkurentów, tkwił teraz na samym czubku niepewnej i kruchej piramidy, jaką w jego wyobraźni tworzyli dealerzy handlujący pojazdami rekreacyjnymi na amerykańskim Środkowym Zachodzie.

Tyle tylko, że już nie miał czym handlować!

I ta myśl, stanowiąc punkt centralny jego układu nerwowego, powodowała, że jego stopa coraz mocniej naciskała pedał gazu. Właśnie wtedy na całym świecie wystąpił nagły błysk. I choć wprawdzie w rejonie Chicago był mocno stłumiony przez grubą warstwę chmur, został zauważony przez wielu współużytkowników drogi, po której jechał. On jednak był tak zaabsorbowany obmyślaniami planu rozmowy i podstępów, które pozwolą mu zmusić dystrybutorów do uległości i zapewnią więcej towaru, że nawet nie dostrzegł błysnięcia, które zresztą trwało bardzo krótko.

Zauważył natomiast, że coś zaczyna się dziać z jego beemką: najpierw silnik przestał reagować na pedał gazu, potem zamilkło radio, wreszcie zgasł silnik. Szybki i zrywny samochód zaczął zwalniać, tocząc się tylko siłą rozpędu. Wszędzie przed nim zaczęły błyskać światła stopu, tak że sam też musiał szarpnąć kierownicą i kopnąć w pedał hamulca. Cholera! Samochody wokół zaczęły przeskakiwać z pasa na pas i wpadać w poślizg przy hamowaniu, podczas gdy ich kierowcy rozpaczliwie starali się je opanować. Niektórzy próbowali uciekać na pobocze, inni co sił cisnęli hamulce.

Nawet ci z nich, którzy zauważyli błysk, nie wiedzieli, co oznaczał. Nie rozumieli, że byli świadkami elektromagnetycznego impulsu czystej energii, który omiótł Chicago, całą Amerykę Północną i niemal połowę powierzchni globu. Nie rozumieli też, że ten błysk skoncentrowanej mocy spowodował zwarcie, stopienie, dosłownie spalanie chipów we wszystkich urządzeniach komputerowych, które napotkał na swej drodze. Dotyczyło to też chipów sterujących wtryskiem paliwa i elektronicznym zapłonem w ponad dziewięćdziesięciu pięciu procentach samochodów jadących drogą – czyli wszystkich wyprodukowanych w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

We wszystkich silniki po prostu zgasły i w całej rzece pojazdów pędzących z szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę nastąpiła jednoczesna awaria.

Jechały jednak także inne auta. Wiele potężnych ciężarówek napędzały silniki diesla starszego typu i tych awaria nie dotknęła, a ich kierowcy wykazali się bardzo różnym czasem reakcji na gwałtownie hamujące samochody osobowe. Natychmiast ruszyła lawina zderzeń, w wyniku których ciężarówki zaczęły się przewracać na zatrzymujące się samochody, blokując po trzy, cztery, niekiedy pięć pasów ruchu.

Kierowca napędzanego silnikiem diesla kempingowca Swan Song, który znajdował się niedaleko za unieruchomionym bmw Blacka, właśnie zabierał się do ugryzienia kanapki. To spowodowało, że nie tylko nie zauważył błysku na niebie, ale również palących się świateł stopu w samochodzie przed nim.

Wieża kontrolna LAX,

Los Angeles, Kalifornia

Moses Ryan pociągnął łyk kawy – oczywiście już zimnej – i znów spojrział na plamki na wielkim ekranie. W najbliższej okolicy ogromnego lotniska znajdowało się w powietrzu kilkadziesiąt samolotów naraz, ale jak dotąd diabelska podniebna choreografia nie zawodziła. Do lądowania na

głównym pasie podchodził właśnie 747 linii JAL z Tokio, niecałą minutę za nim znajdował się DC 10 British Airways z Singapuru, w kolejce ustawiał się też airbus z Australii.

W zasięgu radarów wieży kontrolnej znajdowało się wiele samolotów nadlatujących z portów w Ameryce Północnej, Środkowej i całym basenie Pacyfiku, a na pasach dojazdowych stało ponad trzydzieści wielkich odrzutowców pasażerskich czekających na pozwolenie na start. Samolot linii United właśnie wystartował, przeleciał z rykiem nad Vista Del Mar i znalazłszy się nad Pacyfikiem, wziął kurs na Buenos Aires. Lecący do Denver DC9 linii Midwest pognał wzdłuż tego samego szerokiego pasa asfaltu dwadzieścia sekund po nim.

Piloci robili, co do nich należało, podobnie kontrolerzy ruchu, a zadaniem Mosesa Ryana było siedzieć i wszystko bacznie obserwować. Dyżury takie jak ten, podczas których nie musiał robić nic więcej, były oczywiście najlepsze. Siedział

tyłem do okien wieży i popijał kolejną filiżankę kawy, nie zauważył więc nagłego błysku, który rozświetlił całe niebo. Mimo to jego oczy zarejestrowały jakiś refleks we wnętrzu oświetlonego światłem dziennym pomieszczenia.

– Co to było?

– Widziałeś to?

Kontrolerzy zwrócenii twarzami do okien mrugali powiekami i tarli oczy, więc wiedział, że mu się nie przywidziało.

– Au! – wykrzyknął jeden z radiooperatorów, zdzierając sobie słuchawki z uszu i potrząsając głową. Inni rzucili się do pokręteł i przełączników, bo nagle we wszystkich odbiornikach nastąpiło gwałtowne uderzenie pustego szumu.

– Mój monitor padł... cholera, wszystkie padły! – Kontrolerzy zaczęli odruchowo walić w klawiatury, inni bezradnie wpatrywali się w ogromne, zielonkawe szyby okien.

Moses Ryan miał wzrok utkwiony w 747, który właśnie wystartował do Buenos Aires. Znajdował się już jakieś trzy kilometry od brzegu, wznosząc się łagodnie, przyspieszając i przechylając na lewą burtę, by rozpocząć daleki rejs na sąsiedni kontynent. Na oczach Ryana potężny odrzutowiec jakby się zawahał i wykonał

nagły, ostrzejszy przechył. Modląc się w duchu, Ryan patrzył, jak maszyna niepewnie wyrównuje na wysokości o wiele niższej niż jej prawidłowa wysokość przelotowa, po czym – niczym klasyczny aktor w greckiej tragedii – skłania się łagodnie i dostojnie, opuszczając jedno skrzydło, i jak kamień wpada bokiem w wody oceanu, wzniesając ogromną fontannę rozbryzgów.

Pędzący po pasie DC9 linii Midwest nie zdążył nawet unieść się w powietrze.

Zsunął się w poślizgu z końca pasa i wpadł z impetem na porośnięte krzakami pole.

Podwozie złożyło się, a samolot, chwiejąc się i podskakując na nierównościach, dzięki tarcia

zatrzymał się tuż przed brzegiem oceanu. Chwilę później Ryan poczuł

na podszwach stóp wyraźne uderzenie, zbyt gwałtowne i zbyt krótkotrwałe, by mogło być wynikiem trzęsienia ziemi. I nawet zanim usłyszał szloch Janice Mueller, kierowniczkę zmiany kontrolerów, już wiedział, co się stało.

Obejrzał się za siebie i w miejscu, gdzie chwilę wcześniej runął DC 10 British Airways, zobaczył potężną kulę płomieni wznoszących się w niebo i sięgających już poziomu okien wieży. Nieco dalej airbus linii Qantas szedł ostro w dół, jakby piloci całkowicie stracili nad nim kontrolę. Z niemal pustymi zbiornikami paliwa samolot grzotnął w pas, ale nie zapalił się. Kolejny samolot, tym razem boeing 767, przeleciał tuż nad nim. Widać było, że pilot rozpaczliwie walczył ze sterami, by wytrącić maszynę z procedury lądowania.

Jakimś cudem mu się to udało i potężny odrzutowiec z rykiem silników przeleciał obok wieży kontrolnej na wysokości niecałych stu metrów nad ziemią, po czym zaczął niepewnie nabierać wysokości i zawrócił nad ocean, znad którego dopiero co przyleciał.

Kolejny samolot nie miał już jednak tyle szczęścia, a może jego pilot posiadał

mniejsze doświadczenie. Tak jak w innych, również i w tej maszynie impuls zniszczył wszystkie łącza komputerowe, chipy i procesory. Potężne silniki odrzutowe nie przestały wprawdzie działać, wciąż chciwie ciągnąc paliwo, jednak niezliczone urządzenia kontrolne i wskaźniki, od lampek kontrolnych otwarcia podwozia po automatyczne nastawy lotek, w jednej sekundzie przestały działać.

Niedoświadczony pilot dokonał zbyt mocnej korekty ustawienia klap lotek i zamiast pójść w górę, jego 737 stracił stateczność i całym ciężarem runął przodem w ziemię.

Mimo że Impuls w identyczny sposób zadziałał na wszystkie samoloty, większości pilotów udało się zachować jako taką kontrolę nad maszynami. Od drążków sterowniczych i pedałów prowadziły do lotek i sterów zwyczajne kable, i nawet bez wspomaganie ze strony urządzeń komputerowych polecenia przekazywane ręcznie przez pilotów były z trudem, niechętnie, ale jednak wykonywane. Nie dotyczyło to jednak najnowocześniejszych na świecie samolotów pasażerskich, w których zastosowano najnowszą technikę „zdalnego sterowania”, która polegała na tym, że wszystkie łącza między pilotem i urządzeniami sterującymi były elektroniczne, a nie elektryczne. Zwarcie i odłączenie obwodów elektronicznych oznaczało, że piloci tych samolotów byli całkowicie pozbawieni kontroli nad działaniem urządzeń sterowniczych. Jeśli w chwili Impulsu samolot wykonany w technice „zdalnego sterowania” znajdował się w powietrzu, jego los był przesądzony.

Wokół wieży LAX wznosiły się w niebo potężne słupy ognia i dymu najpierw z trzech, po jakimś czasie z pięciu katastrof lotniczych. Czując potężny ciężar na sercu, Ryan zdał sobie sprawę, że na jego oczach zginęło właśnie około tysiąca osób.

Chociaż nie, dużo więcej, bo był jeszcze 747, który runął do zatoki Santa Monica.

Rozejrzał się i nieco dalej na zachód, z przerażeniem dojrzał w okolicach linii brzegowej jeszcze dwa słupy dymu.

Ekran wszystkich monitorów na wieży były ciemne, a z głośników dobywał się tylko monotony, głośny szum przerywany trzaskami ładunków statycznych. Na niebie wciąż krążyło mnóstwo samolotów, z których każdy miał wyliczoną ilość paliwa w zbiornikach i którego piloci musieli walczyć z awariami systemów sterowania. Wszystkich ich trzeba będzie sprowadzić na ziemię w ciągu najbliższych godzin, a niektórych w ciągu najwyżej pół godziny. Wiedział, że nielicznym uda się wylądować, inni muszą się rozbić.

I wiedział, że nic nie może na to poradzić.

Szpital Boston Memorial,

Boston, Massachusetts

Oddział intensywnej terapii mieścił się w środkowej części budynku i pozbawiony był okien, przez które można by zauważyć nagły błysk. Ale ani wysoki mur, ani grube ściany z cegieł zbrojone stalą nie stanowiły dla Impulsu żadnej przeszkody. Jednoczesna awaria wszystkich elektronicznych urządzeń cyfrowych nastąpiła w ułamku sekundy i była totalna.

Pierwszą ofiarą stał się pacjent przechodzący właśnie przeszczep serca.

Wprawdzie natychmiast zapaliło się oświetlenie awaryjne i włączyły wszystkie systemy zapasowe, jednak przestała funkcjonować komputerowa płyta główna w płucosercu, bardzo skomplikowanym urządzeniu zapewniającym podczas operacji krążenie krwi u pacjenta. Technik nadzorujący pracę urządzenia aż krzyknął z przerażenia, rozpaczliwie zaczął naciskać przyciski i kręcić gałkami, starając się przywrócić krążenie krwi. Ale nawet najbardziej wyłożone wysiłki zespołu świetnych kardiochirurgów nie były w stanie przywrócić pracy serca w klatce piersiowej, z której serce właśnie wyjęto.

Aparaty do sztucznego oddychania, urządzenia dozujące lekarstwa, aparatura do dializy, a także liczne monitory kontrolne i różnego rodzaju przyrządy do podtrzymania życia – czyli wszystko, co do pracy wymagało sterowania komputerowego

lub

choćby

tylko

niezbyt

skomplikowanych

układów

elektronicznych, przestało nagle działać. Automatyczne dozowniki lekarstw stanęły, ekrany aparatów rentgenowskich i skanerów do osiowej tomografii komputerowej zgasły, artroskopowe skalpele wewnątrzstawowe utraciły w trakcie wykonywania skomplikowanych zabiegów obraz z kamer.

Awaria respiratora spowodowała powolne duszenie się i zgon starszego mężczyzny. Kobieta podłączona do urządzenia dializującego nawet nie wiedziała, że krew dopływająca do jej organizmu to ta sama zatruta plazma, którą chwilę temu z niej wypompowano. Przeżalone pielęgniarki biegały od urządzenia do urządzenia w popłochu stopniowo przechodzącym w panikę, lekarze pośpiesznie zakładali szwy i podejmowali reanimację, starając się przywrócić pracę serca i płuc.

Mimo to pacjenci jeden po drugim umierali im na rękach.

Centrum Kosmiczne Kennedy'ego,

przylądek Canaveral, Floryda

Diuk Hayes siedział przypasany do fotela swego warthoga. Dwa ryczące mu za plecami turbodrzutowe silniki General Electric wprawiały cały kadłub w wibracje, dając jednocześnie poczucie, że jego A10 tylko czeka, by ruszyć w podniebną podróż. Na głowie miał kask, na oczach szczelnie przylegające lotnicze gogle, przyszła więc pora, by niewielkiej wieży kontrolnej zgłosić gotowość do startu.

– A10 alfa beta, dostaniesz zezwolenie za kilka minut. Musimy najpierw przyjąć dwa spragnione Kocury.

– Wieża, zrozumiałem. Chętnie sobie popatrzę.

Hayes rozparł się wygodnie w fotelu. Z kabiny umieszczonej na samym czubku wielkiego szturmowca miał doskonały widok. Od razu dostrzegł dwa podchodzące do lądowania obok siebie myśliwce F14 z zadartymi dziobami i wypuszczonymi podwoziami. Nadlatywały wolno na niskim pułapie nad oceanu i Diukowi przemknęło przez głowę pytanie, czy rano wystartowały z któregoś z lotniskowców.

W tym momencie Impuls przeleciał przez świat i zgasł.

Diuk poczuł, jakby coś spłynęło na jego ciało i przeniknęło do głębi trzewi.

Wiedział oczywiście, że to błysk światła, ale dla niego był to też dźwięk, który strzelił mu w słuchawkach, po czym usłyszał w nich jednostajny szum. Jego samolot zareagował w sposób, którego w pierwszej chwili nie rozumiał: przestały działać instrumenty celownicze, system uzbrojenia i wszystkie kontrolki. Wskazówki opadły do zera, cyfrowe wyświetlacze zgasły, a żyroskop, system GPS [system satelitarnej lokalizacji obiektów] i liczne inne instrumenty pokładowe sterowane komputerowo przestały działać.

Ale ledwo błysk opuścił siatkówki oczu Diuka, jego wzrok zawisł na sylwetkach dwóch Kocurów, a dłoń bezwiednie zacisnęła się na drążku. Natychmiast po błysku oba myśliwce marynarki wojennej coś gwałtownie szarpnęło i ich dzioby opadły ostro w dół. Pierwszy z nich dotknął kołami ziemi,

odbił się w powietrze, znowu zetknął z pasem i już na nim pozostał, pędząc dalej do przodu.

Drugi nie miał tyle szczęścia. Podszedł nieco przechylony („Poderwij go!” –

wrzasnął Hayes we wnętrzu swej dźwiękoszczelnej kabiny) i dotknął ziemi tylko jednym kołem. Pilot nadmiernie skorygował, stracił panowanie nad maszyną, po czym samolot odbił się od pasa, zrobił salto w powietrzu i grzmotnął o beton plecami. Diuk wciąż jeszcze młócił pięścią w kolano, próbując wykrzykiwać rady, gdy na jego oczach myśliwiec rozpadł się na kawałki. Skrzydła oraz kadłub wygięły się i przelamały, a pancerna kabina pilota oderwawszy się, zaczęła toczyć po długim, płaskim pasie niczym pokraczna kula na torze w kręgielni.

I dopiero gdy znieruchomiała, Diuk zauważył, że jego silniki – te niezawodne i zawsze budzące respekt turbiny GE – zamilkły.

Centrala CNN,

Atlanta, Georgia

Rick Chalmers poprawił krawat, ale zdążył jeszcze ułożyć dłoń na blacie biurka, nim zapaliła się czerwona lampka na kamerze. Spojrzał wprost w obiektyw, wiedząc, że ogląda go teraz kilkadziesiąt milionów widzów. Umiejętność odpowiedniego kontaktu z kamerą stanowiła jego sekret, który posiadał już we wczesnych latach młodości, kiedy to wystąpił w swych pierwszych wideoklipach. Jeszcze nigdy dotąd nie miał jednak poczucia tak intymnego zespolenia z kamerą i widzami przed telewizorami.

Wiedział, że to za sprawą tych kosmitów. Groźba ich pojawienia się spowodowała, że Ziemianie bardziej się do siebie zbliżyli i zjednoczyli w poczuciu wspólnoty losu niż kiedykolwiek przedtem. Bardzo chciałby im powiedzieć coś nowego – obywatelom jego kraju i całego świata, którzy z utęsknieniem czekali na choćby strzęp nowych, lepszych wiadomości. Niestety, mógł jedynie zrekapitulować wydarzenia ostatnich dwunastu godzin. Zaczął czytać tekst z telepromptera, starając się nadać słowom walor aktualności.

– Obiekt kosmiczny nazywany M1 kontynuuje zbliżanie się do naszego świata.

Prom kosmiczny Discovery znajduje się obecnie mniej więcej sto dwadzieścia tysięcy kilometrów od Ziemi i za nieco ponad cztery godziny powinien zrównać się z M1. Połączmy się teraz z Jayem Mansteinem w Houston. Halo, Jay? Czy masz dla nas coś nowego?

Łysiejąca głowa reportera wypełniła ekran, a jego twarz przybrała wyjątkowo uroczysty wyraz. Stał na tle zbudowanego ze szkła i stali budynku kontroli lotów NASA.

– Rick, bardzo trudno zdobyć jakąkolwiek nową informację. Obiekty M cały czas zbliżają się do Ziemi. Lecą stałym kursem, nie zmieniając prędkości. Jak już powiedziałeś, prom Discovery szybko zmierza do celu swej misji. Wszyscy, to znaczy Pentagon, NASA i LNR, z zapartym tchem czekają na dane, jakie ci dzielni astronauty dostarczą na Ziemię ze swojej kosmicznej łupiny.

– Dzięki, Jay. – Na ekranie znów pojawiła się twarz Chalmersa. Z zaszępioną miną, której nie musiał dziś udawać, powrócił wzrokiem do telepromptera. – Jak dotąd... – zająknął się, gdy tekst nagle zniknął mu sprzed oczu, pamiętał jednak treść wiadomości sprzed pół godziny i wyrecytował dalszy ciąg z pamięci – ..nie odnotowano żadnych podejrzanych reakcji, żadnych śladów emisji energii ani jakichkolwiek innych ruchów...

Zamilkł. To nie była zwykła awaria telepromptera. Jego własny obraz kontrolny także zniknął z monitora. W studiu rozbłyły wprawdzie światła awaryjne, ale zauważył, że na wszystkich monitorach w zasięgu jego wzroku widać jedynie szary śnieg. Po czym jeden po drugim monitory zaczęły gasnąć.

– Straciliśmy łączność z satelitą – rzucił jeden z realizatorów. – Coś nas zdjęło z anteny. Wszystkie komputery padły.

– No to wracajmy do taśm! – syknął prezenter. – Wygrzebcie je z lamusa i zabierajmy się do roboty jak za dawnych lat!

Realizator, który dopiero co ukończył college i był od Chalmersa o trzydzieści lat młodszy, spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– Stary trzyma w sejfie taśmy magnetyczne – wyjaśnił prezenter. – Nazywa to naszym Armagedonem. Podobno ma je od lat na wypadek, gdyby nadszedł koniec świata, a my mielibyśmy go transmitować. Coś mi się widzi, że do tego niedaleko, więc bierz się do roboty! Stara technika powinna się nam teraz przydać.

– Słusznie, Rick! Słuchajcie, ruszajcie się! Samantho, leć do archiwum. Joe, Stu, pociągnijcie kable i podłączcie starego szpulowca! – rozległ się głos reżyserki programu, która poczuła nagły przypływ energii. Twarz miała trupio bladą, na jej czole lśniły kropelki potu, ale mówiła mocnym i władcym głosem. – Spróbujmy znów uruchomić cały ten cyrk.

Transportowiec KC-135 Waszyngtońskiej Gwardii Narodowej, okolice międzynarodowego lotniska Dullesa w Waszyngtonie

– No to jeśli macie rachunki do wyrównania z Bogiem, teraz jest odpowiedni moment, żeby się upomnieć o swoje długi – powiedział major McNally.

– Zmówiłam już wszystkie modlitwy, jakie pamiętam. Nie było ich za dużo, więc dodałam jeszcze kilka z głowy – odparła Alex.

W oddali widać już było lotnisko z siatką przecinających się pasów startowych i dojazdowych, wyglądające jak łysina wśród leśnych ostępów Wirginii. Wokół

widniało kilkanaście słupów dymu wznoszących się ku niebu i Alex bez pytania wiedziała, że wyznaczają one miejsca katastrof lotniczych.

McNally okazał się mistrzem w panowaniu nad wielkim KC-135. Mimo awarii systemów pokładowych, spowodowanych przez Impuls, udało mu się wyrównać i podjąć spokojny, powolny lot

w kierunku lotniska Dullesa. Nie dysponując odczytami przyrządów kontrolnych ani radiem i w bardzo ograniczonym zakresie panując nad sterami, poleciał wzdłuż dobrze widocznej linii brzegowej aż po zatokę Chesapeake, gdzie skręcił w górę Potomacu. Zanim przekroczyli granicę Wirginii, Sparksowi udało się wymienić w radiu płytkę ze spalonym obwodem, ale dopiero teraz mógł przystąpić do poszukiwania jakichś sygnałów radiowych, nie mówiąc o próbie nawiązania łączności z wieżą kontrolną lotniska. Jednak albo ich radio było nadal zepsute, albo na wszystkich kanałach panowała kompletna cisza.

Mieli w zbiornikach znacznie więcej paliwa niż większość samolotów, które Impuls zastał w powietrzu, mogli więc pozwolić sobie na spędzenie długich dwóch godzin w oczekiwaniu na lukę w tłumie chaotycznie krążących samolotów, nad którym wyraźnie nikt nie panował. Wszystkie chciały jak najszybciej lądować, nie mając możliwości porozumienia się z wieżą i wzajemnie ze sobą, więc kręciły się w śmiertelnie niebezpiecznym kontredansie. Jednak co kilka minut kolejnym pilotom udawało się podejść do lądowania i McNally bez oporu dawał im pierwszeństwo.

Wiedział, że poziom paliwa w ich zbiornikach musi być bardzo niski.

Krążąc po dość regularnym kole wokół lotniska, pilot spojrzął przez ramię na Alex i uniósł brwi.

– Pani doktor, jest pani naukowcem NASA, prawda? No to proszę mi powiedzieć, co się tu pani zdaniem dzieje? Czy to ci Marsjanie tak nam dopieprzyli?

W przerwach między modlitwami sama się nad tym zastanawiała. Rzuciła okiem na wyświetlacz swej komórki, ale okazało się, że też nie działa. Upewniła się, że to samo stało się z telefonem komórkowym radiooperatora, i w jej głowie zaczęła kiełkować pewna myśl.

– Zwrócił pan uwagę na szosy na dole? – spytała. Przelatywali nad ośmiopasmową autostradą na której wyraźnie było widać efekt Impulsu. Droga była zapchana stojącymi samochodami osobowymi i ciężarówkami, widać też było mnóstwo pojazdów stojących pod różnymi kątami na poboczach, wyraźnie uszkodzonych w licznych stłuczkach. Niektóre wyglądały na mocno potrzaskane, a snujące się miejscami smugi dymu wskazywały, że doszło też do pożarów.

– Myślę, że zaatakowali nas jakąś bronią energetyczną czymś w rodzaju impulsu elektromagnetycznego – stwierdziła Alex. – Nie jest to coś aż tak niezwykłego. My też dysponujemy bronią typu EMP wielkiej mocy, która potrafi unieszkodliwić wszystkie urządzenia elektroniczne na obszarze kilku kwadratów ulic w terenie miejskim. Oczywiście ta, którą dysponują Marsjanie, musi być dużo potężniejsza od naszej. Obawiam się, że na bardzo rozległym obszarze uszkodziła wszystkie komputery, radia, samochody i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze.

– Ale jak impuls energetyczny może spowodować coś takiego?

– Można to porównać do uderzenia pioruna w pobliżu włączonego komputera.

Taki piorun potrafi wyrządzić mnóstwo szkód. – Chciała jeszcze dodać, że nie zna bliższych szczegółów tego zjawiska, poza tym, że chodzi o potężne wyładowanie energii, które indukuje się w antenach, przewodach, kablach i innych przewodnikach, zauważyła jednak, że McNally przestał jej

słuchać i całą uwagę poświęcił pilotowaniu. Pomyślała, że pewnie dostrzegł okazję do wylądowania.

Tak rzeczywiście było.

Raptownie obniżył pułap, kierując samolot ku lotnisku. Alex ujrzała niezwykle widok: na trawiastych połaciach poszatkowanych pasami stało wiele samolotów, z których ciągnęły się długie kropkowane kreski. To pasażerowie, którzy w pośpiechu opuszczali maszyny i rozpoczynali daleki marsz po płycie do budynku terminalu.

McNally zszedł jeszcze niżej i Alex odwróciła wzrok od dymiących wraków samolotów, z których jeden dopalał się akurat na końcu pasa. Zaskoczyło ją że na płycie jest tylko kilka wozów straży pożarnej i ani jednego ambulansu.

Dramat sytuacji zaczął do niej docierać, dopiero gdy znaleźli się tuż nad płytą lotniska.

Chwilę później ich samolot z impetem grzmotnął w powierzchnie pasa, wyskoczył w górę, opadł i bardzo wolno wytracając prędkość, w końcu zatrzymał

się. Żaden z ludzi idących bokiem pasa nawet nie podniósł głowy. Rozglądając się, Alex uzmysłowiła sobie, że w tej dziwacznej procesji idą tysiące pasażerów z kilkudziesięciu samolotów.

– Myślę, że przyniosła nam pani szczęście – powiedział major, wyciągając ku niej rękę. – Dzięki.

– To ja panu dziękuję, panie majorze! Bez cienia przesady mogę stwierdzić, że uratował mi pan życie. Nam wszystkim.

– I jak, pani zdaniem, będzie to teraz wyglądało? Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, pokręciła głową.

– Nie wiem. Myślę tylko, że wszystkie nasze dotychczasowe zasady przestaną obowiązywać.

W przestrzeni kosmicznej, około 8 000 000 kilometrów od Ziemi W wyniku potężnego wylądowania energii, które omiotło niemal połowę powierzchni Ziemi, pierwszy obiekt uległ rozbiciu na atomy, czyli jakby wyparował.

Uwolnione atomy pognały w przestrzeń kosmiczną, rozpraszając się coraz bardziej i znikając na zawsze z pola widzenia oraz naszej opowieści.

Drugi i trzeci cylinder, których konstrukcja oraz przeznaczenie były identyczne jak pierwszego, kontynuowały swą misję, która w ich przypadku nie została jeszcze zakończona. Z prędkością przekraczającą sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów na godzinę pędziły ku Ziemi, czekając tylko na moment, w którym nastąpi ich aktywacja i samozniszczenie.

Czwarty cylinder, którego unieruchomione ziemskie urządzenia elektroniczne nie były już w stanie śledzić, dopiero teraz zaczął wykazywać pierwsze oznaki bardziej racjonalnych poczynań. W przeciwieństwie do zakończonych płasko pierwszych trzech walców, czwarty i wszystkie następne

miały na obu końcach metalowych korpusów ogromne, wypukłe czasze. Teraz czasze te zaczęły się stopniowo otwierać, ukazując ciemne wnętrza.

Po otwarciu się obu czasz, na całej długości boku zaczął się otwierać sam cylinder. Czynił to powoli, spokojnym i pewnym ruchem, który w otwartej przestrzeni kosmicznej był całkowicie niesłyszalny. Po otwarciu się boku, we wnętrzu ogromnego statku-matki ukazał się długi szereg mniejszych obiektów.

Spoczywały nieruchomo jak ziarna grochu w strąku lub – w groźniejszej wersji skojarzenia – jak naboje w magazynku gigantycznego karabinu. Wszystkie miały kształt połyskujących srebrzyście, cylindrycznych pojemników. Ścieśnione razem –

jak na razie – pędziły w swym statku matce w kierunku błękitno-zielonej planety, która – nieświadoma niczego – spokojnie podążała po swej orbicie wokół Słońca.

KSIĘGA II

INWAZJA

JEDEN

Czerwiec

Delbrook Lake, Wisconsin

W telewizorze coś głośno pyknęło, obraz zniknął, a w jego miejsce pojawił się śnieg i towarzyszące mu nieprzyjemne trzaski. Po chwili nawet to ustało, ekran zrobił się zupełnie czarny, a głośniki zaczęły głośno szumieć. I dopiero gdy chwyciłem pilota, by wyciszyć irytujący szum, przemknęła mi przez głowę kolejna niepokojąca myśl. Może nawet bardziej pytanie niż konstatacja: Czyżby coś działo się na zewnątrz?

Wiszące nisko, stalowoszare chmury zakrywały niebo, popołudnie było wyjątkowo ponure. Wprawdzie nie zanosilo się na burzę, ale czuło się wiszący w powietrzu deszcz, może nawet coś więcej. Byłbym gotów przysiąc, że na moment jakby się rozjaśniło – właśnie w chwili, gdy wysiadł telewizor.

Szybko skojarzyłem te dwa zdarzenia, zarówno w myślach, jak i w podświadomości. To musi być atak Marsjan. Dziwne, ale myśl ta nie wywołała u mnie szczególnego niepokoju czy poczucia zagrożenia. Jeżeli już, to poczułem coś na kształt ulgi, że jednak dojdzie do konfrontacji. Przyłożyłem palce do nadgarstka i sprawdziłem tętno – było przyspieszone, ale równomierne – po czym powoli wypuściłem powietrze. Zadano więc pierwszy cios, a ja wyszedłem z tego obronną ręką.

Ale potem zacząłem się zastanawiać nad charakterem tego ataku i poczułem rosnący we mnie strach. No bo jak właściwie udało im się zepsuć mój telewizor? I co jeszcze zepsuli w ciągu tej nanosekundy błysku? Pospieszyłem do komputera i włączyłem go. Słyszał było szum pracującego wentylatora, ale poza tym komputer był całkowicie martwy, a ekran nawet się nie rozjaśnił. Wziąłem do ręki mój domowy telefon bezprzewodowy, jednak i on był zupełnie głuchy, a próby włączenia go

nie powodowały nawet pstryknięcia w słuchawce. Potem przypomniałem sobie, że przy łóżku stoi staromodny telefon przewodowy, w którym słuchawkę z aparatem łączy sznur. Pobiegłem do sypialni i z ulgą stwierdziłem, że w słuchawce słychać zwyczajny, ciągły sygnał. Potem sprawdziłem jeszcze komórkę, ale tak jak komputer była zupełnie głucha. Po włączeniu na wyświetlaczu nie pojawił się nawet powitalny obrazek.

Alexandria! A co z nią? Co ona teraz robi? Wróciłem do sypialni i wybrałem jedyny znany na pamięć numer – numer komórkowy mojej córki. Jednak zanim skończyłem wybieranie, zdałem sobie sprawę, że jej komórka – tak jak moja – też na pewno jest nieczynna. Mimo to wybrałem numer do końca, z przyjemnością słuchając popiskiwanie naciskanych klawiszy. Chwilę odczekałem, nadaremno. Nie pojawił się ani ton sygnalizujący pomyłkę, ani ton zajętego numeru. Nic, co świadczyłoby, że jakieś elektroniczne urządzenie po tamtej stronie odnotowało moją próbę połączenia.

Z zaskoczeniem stwierdziłem, że jest światło. Zajrzałem do kuchni.

Mikrofalówka nie działała, jej wyświetlacz zgasł, podobnie jak cyferki zegara na piekarniku. Jednak sam piekarnik wciąż działał, podobnie jak palniki kuchni elektrycznej. Z kolei nie udało mi się włączyć ekspresu do kawy z programatorem. Z

ciekawości wziąłem do ręki tani, kieszonkowy kalkulator, którego używałem do podliczania rachunków, i spróbowałem go włączyć, jednak też bezskutecznie.

Czując rosnące przygnębienie, wróciłem do pokoju. Bez komputera i bez telewizji?

Skąd więc mam się dowiedzieć, co się dzieje?

Przyszło mi do głowy radio i spróbowałem włączyć tuner w wieży. To, że wieża nie działa, już mnie nawet nie zaskoczyło. Może jakieś inne radio? Wróciłem do sypialni i spojrzałem na radiobudzik na nocnym stoliku. Cyfrowy wyświetlacz zgasł.

Wtedy mnie nagle olśniło. Pognałem do piwnicy i wygrzebałem stary przenośny odbiornik tranzystorowy, którego już od lat nie używałem. Karen zabierała go ze sobą do ogrodu, gdy tam pracowała. Miał ułamaną antenę i kiedyś kupiłem nawet nową, ale nigdy jej nie zamontowałem. Przewód zasilający był odłączony i owinięty wokół uchwytów na tylnej ścianie.

Podłączyłem przewód i włączyłem urządzenie. Kiedy usłyszałem szum i trzaski dobywające się z głośnika, z radości nogi niemal się pode mną ugięły. Przynajmniej coś działa! Z szuflady z rupieciami wygrzebałem mały śrubokręt, znalazłem zapasową antenę i zabrałem wszystko na górę. Ręce mi się trzęsły, gdy po wymianie anteny ponownie włączyłem radio.

No i teraz pytanie – czy ktoś jeszcze coś nadaje? Starając się nie dopuszczać do siebie tak przerażających myśli, postawiłem radio na blacie i wyciągnąłem teleskopową antenę. Potem usiadłem na taborecie i z uchem przytkniętym do syczącego głośnika zacząłem powoli obracać gałkę strojenia, starając się wyłowić jakieś rozpoznawalne dźwięki. Powoli przejechałem tam i z powrotem całutki zakres UKF, ale nie znalazłem niczego, co choćby trochę wyróżniło się z szumu.

Starając się opanować ogarniające mnie zdenerwowanie, przełączyłem się na fale średnie i od nowa zacząłem przeszukiwanie.

Wszędzie panowała głucha cisza, a dokładniej jednostajny szum. Najwyraźniej nikt nic nie nadawał – w każdym razie na częstotliwościach w zwykłych zakresach.

Właściwie nie powinienem być zaskoczony, jednak gdy chwilę później zgasło światło i w radiu skończył się nawet szum, zerwałem się na równe nogi. Przez chwilę stałem jak sparaliżowany. No oczywiście, wyłączyli prąd. Właściwie można się było tylko dziwić, że dopiero teraz. Podszedłem do okna i popatrzyłem na przewalające się chmury. Było znacznie ciemniej niż w zwyczajny czerwcowy dzień o szóstej po południu.

Nagle w sypialni zadzwonił telefon, brutalnie wdzierając się w ciszę panującą w całym domu. Pognałem jak szalony, potykając się po drodze o jeden z taboretów kuchennych i z trudem utrzymując równowagę. Dopadłszy telefonu tuż po trzecim dzwonku, drżącą ręką podniosłem słuchawkę.

– Halo?

– Cześć, Mark? Znaczy się, doktor DeVane? Tu Dan Browne, sąsiad.

Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałem zapytać, czy u ciebie też przed chwilą wysiadło światło?

– Światło? – niemal parsknąłem. – Światło to najmniejszy z naszych... Nie zauważył pan?

– Czego nie zauważyłem? – W jego głosie było więcej zaciekawienia niż niepokoju. – Siedziałem w warsztacie w piwnicy i przycinałem drewno na nowy garaż. Miałem akurat włączoną krajcegę i heblownicę, kiedy nagle wszystko wysiadło. Złąłem się, że spaliłem korki w całym domu.

– Nie, to nie pan, panie Browne. To Marsjanie.

– Znaczy, jak to? Co niby zrobili Marsjanie?

– Nie jestem pewien, ale przypuszczam, że to sprawa impulsu elektromagnetycznego – wyjaśniłem w równym stopniu jemu, co sobie samemu. –

Słyszałem o czymś takim. Działa jak wybuch jądrowy albo jakaś inna potężna broń.

Zauważyłem potężny błysk i wszystko w domu, co działa na komputerowym chipie, przestało nagle działać. Wszystkie stacje radiowe zamilkły. Telefony komórkowe, kalkulatory – wszystko padło, nawet toster.

Wyobraziłem sobie, jak się teraz bije z myślami. Pójdzie do komputera i spróbuje sprawdzić czy uwierzy mi na słowo?

– To nie... nie są żarty, prawda?

– Nie, panie Browne, to nie żarty.

– Bo tak sobie teraz kojarzę, że właśnie przed chwilą próbowałem skorzystać z mojej nowej poziomnicy. Wiesz, takiej z cyfrowym odczytem. I to cholerstwo nie chciało działać, więc pomyślałem, że mi się pewnie bateria skończyła.

– A w środku pewnie też jest chip komputerowy, który się spalił – domyśliłem się.

– Jeśli tak, to dlaczego działają telefony? – rzucił zaczepnie.

– Domyślam się, że dzwoni pan z przewodowego, tak?

– Tak.

– No cóż, mój bezprzewodowy nie działa, ale teraz rozmawiam też z przewodowego. Wie pan przecież, że nawet jak wyłączą prąd, to telefony nadal działają, prawda?

– No tak, jasne. Kapuję. No a... co z samolotami? Samochodami? Próbowalesz uruchomić swój?

– Nie, nie próbowałem – przyznałem.

– To spróbuj. Ja też spróbuję i za chwilę oddzwonię.

W słuchawce zapadła cisza, choć pojawił się ciągły sygnał, co na swój sposób było pocieszające. Opanowałem odruch buntu na myśl o spełnianiu jego poleceń, bo sprawdzenie samochodu było niegłupim pomysłem. Poszedłem do garażu i machinalnie nacisnąłem przycisk zdalnego otwierania, nim uzmysłowiłem sobie, że przecież bez prądu nie zadziała. Wsiadłem do mojego dość nowego sedana –

„ogromnie nobliwego wehikułu starszego pana”, jak go kpiąco nazywała Alexandria

– i wetknąłem kluczyk w stacyjkę. Wstrzymałem oddech i przekręciłem. Dało się słyszeć chrobotanie rozrusznika.

Jednak samochód nie zapalił. Trzymałem przekręcony kluczyk tak długo, na ile starczyło mi odwagi, w końcu poddałem się. Nie chciałem zupełnie rozładować akumulatora – gdzieś w zakamarkach umysłu coś mi szeptało, że być może w którymś momencie prąd pozostały w akumulatorze będzie mi do czegoś bardzo potrzebny. Nie mówiąc o tym, że silnik zawsze odpalał w pierwszych sekundach kręcenia, więc nie było wątpliwości, że też jest zepsuty.

Wróciłem do domu, poszedłem do sypialni i wbiłem wzrok w telefon, jakbym chciał go zmobilizować do dzwonienia. Aby Browne mógł mi powiedzieć, że jego samochód też nie działa. Ale mijały kolejne minuty, a telefon uparcie milczał. Już miałem sięgnąć po książkę telefoniczną i poszukać w niej numeru sąsiada, gdy nagle z zewnątrz dobiegł mnie głęboki warkot silnika samochodowego z dziurawym tłumikiem. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że w stronę domu zbliża się drogą przez las stary jeep Browne'a. Wyglądał dość żałośnie – miał mnóstwo dziur wyżartych przez rdzę i był bez dachu, a koła były wręcz karykaturalnie wielkie w stosunku do niedużej karoserii. Ale jechał.

Zanim zdążył dojechać, wybiegłem przed wejście.

– Jedzie! – wykrzyknąłem prawie radośnie.

– A twój nie? – zapytał Browne, gasząc silnik i gramoląc się ze środka. Przez te wielkie koła musiał i tak zeskoczyć na ziemię.

– Nie. – Pokręciłem przecząco głową.

– Moja szewroleta też nie. Rozrusznik kręci, ale silnik nie zapala. A ma raptem dwa lata. Jeszcze na gwarancji.

– A jakim cudem ten jeep zapalił?

– Wspominałeś coś o tym EMP, nie? Powiedziałeś, że to może spalić wszystkie chipy komputerowe.

– O ile mi wiadomo – potwierdziłem ostrożnie. – Oczywiście dotyczy to urządzeń ziemskiej produkcji, które potrafią zniszczyć elektronikę na obszarze kilku kwadratów w mieście.

Ta marsjańska broń może się od tego różnić pod względem funkcjonalnym równie mocno, jak pod względem zasięgu.

– Chyba nie. – Klepnął maskę pokrytą plamami rdzy i pomalowaną (o ile to można było nazwać malowaniem) na inny odcień brązu niż reszta karoserii. – Ta wiekowa raszpla jest już tak stara, że nie ma w sobie nic z elektroniki. Ma cewkę zapłonową, która daje iskrę, i gaźnik, który podaje mieszankę do silnika. Twój samochód jak moja szewroleta pewnie mniej pali, łatwiej zapala i czyściej kopci –

wszystko dzięki temu, że ma zapłon elektroniczny i wtryskiwacze paliwa. Prawie wszystkie samochody produkowane przez ostatnie piętnaście lat mają elektroniczny zapłon. Gaźniki to już przeżytek. Elektroniczny wtrysk paliwa to bombowy wynalazek, tylko że...

– Do sterowania potrzebny jest komputer? – wtrąciłem, bo niespodziewanie zaczęło mi zależeć, żeby nie wyjść przed nim na kompletnego ignoranta.

– No właśnie!

– Czyli wszystkie nowoczesne samochody jeżdżące po naszych drogach można unieszkodliwić za pomocą EMP?

– Ty pierwszy mi o tym powiedziałeś – mruknął Browne, patrząc na mnie spode łba. – A jeśli jest tak, jak mówisz, to pewno się zgadza.

Przyjrzałem mu się uważnie – uważniej niż kiedykolwiek wcześniej. Był ode mnie nieco starszy, ale chyba nie miał jeszcze sześćdziesiątki. Wokół oczu i ust widać było siateczkę zmarszczek, które jednak brały się chyba bardziej ze skłonności do śmiechu niż ze zmartwień. Pod nosem sterczały szczeciniaste i mocno zapuszczone, siwe wąsy, a strąki długich, siwych włosów zakrywały mu uszy i

podwijały się na kołnierzyku dżinsowej koszuli. Jego aż nadto zwyczajny wygląd przyniósł mi ulgę. Przez chwilę napawałem się tym obrazem i bijącą z niego siłą, spokojem i znajomością rzeczy.

– No to jak myślisz, co powinno się z tym wszystkim zrobić?

– spytał, niby gapiąc się na las, ale obserwując mnie spod oka. Pytanie mnie zaskoczyło.

– No cóż, muszę się przede wszystkim porozumieć z córką – odparłem. – A potem... Boja wiem. Chyba trzeba będzie poczekać i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Kiwnął głową na dom. Słońce już zaszło, zapadał zmrok, robiło się coraz bardziej ponuro i groźnie.

– Masz co jeść? Wodę? Świece?

– Tak. Mam nawet własny generator. Kupiłem go dwa lata temu, kiedy wiosenne powodzie co chwila zrywały nam sieć. – Przeżyłem moment paniki na myśl, że generator też może kryć w sobie jakiś układ sterowany komputerowo. Wedle mojego rozeznania niczego takiego nie miał i był po prostu zwyczajnym silnikiem benzynowym połączonym z jakimś urządzeniem prądotwórczym. Pociągało się za sznurek, silnik odpalał i po podłączeniu do domowego gniazdka w sieci pojawiało się tyle prądu, że wystarczało go na oświetlenie domu i zasilenie kilku podstawowych urządzeń, takich jak lodówka, pompa wodna i komputer. Oczywiście o zasilaniu komputera mogłem teraz zapomnieć, i na myśl o tym trochę zakręciło mi się w głowie.

– No, ja tam też se jakoś daję radę, póki co. Tyle że nie mam córki, żeby zadzwonić. A właściwie, to w ogóle nikogo. – Spojrzał na mnie z troską. – A broń?

Masz jakąś strzelbę?

W milczeniu pokręciłem przecząco głową i znów przypomniałem sobie Alexandrię. Ona też mnie namawiała, żeby się uzbroić. Jak ja mam się teraz do niej dodzwonić?

– To podjedź ze mną do domu, coś ci pożyczę. Na przykład taką fajną dwudziestkę. Łatwa w obsłudze, mały odrzut.

– Nie! – powiedziałem odruchowo, potem jednak zastanowiłem się. – To znaczy, po co mi broń?

Wzruszył ramionami, wyraźnie zmieszany.

– No cóż, wygląda na to, że na tym całym zadupiu jesteśmy tylko my dwaj. Więc powiedzmy, że byłoby fajnie wiedzieć, że za plecami ma się kogoś z bronią pod ręką. – Wyciągnął do mnie dłoń, a ja uściśnąłem ją, z przyjemnością odnotowując twardość spracowanych rąk. – I ty tak samo będziesz miał mnie – dodał.

– No dobrze. Dzięki. Jeżeli pozwolisz, to pożyczę od ciebie strzelbę.

– Teraz jest już za ciemno, żeby się uczyć strzelać. Ale wpadnij do mnie jutro z samego rana, to ci zrobię krótkie szkolenie.

– Dobrze, zgoda. Przyjdę rano. – Ucieszyło mnie to zaproszenie, bo znaczyło, że mam przed sobą choć jedno konkretne zadanie do wykonania.

Po jego odjeździe zaskoczyło mnie poczucie pustki i samotności. Wróciłem do domu z postanowieniem, że uruchomię generator. Zapalił za drugim pociągnięciem i pyrkanie niedużego silniczka Briggs & Stratton podziało na mnie zdecydowanie krzepiąco. Lodówka i zamrażarka znów zaczęły chłodzić – od razu poczułem się trochę lepiej. Pozwoliłem sobie na zapalenie świateł w kuchni, dużym pokoju i sypialni, po czym ponownie zasiadłem do radia. Włączyłem, podkręciłem głośność na maksimum i znów zacząłem szukać na obu zakresach.

Wszędzie słychać było tylko szum oznaczający kompletną pustkę. Podjąłem jeszcze jedną próbę, tym razem obracając toporną gałkę strojenia najwolniej, jak się dało. Na falach UKF wciąż nie było niczego, jednak na zakresie fal średnich w paśmie około 1100 kHz natknąłem się na pierwszą oznakę życia – nagłą dziurę w jednostajnym szumie. Pochyliłem się i ledwo dotykając gałki, starałem się precyzyjnie dostroić. Próbowałem też wychylać antenę w różne strony i przesuwać odbiornik po blacie. W końcu syczenie ustąpiło ledwo słyszalnemu głosikowi.

– ...tam jest i nawet nie wiem, czy w ogóle ktoś mnie słyszy. Mówię z Dubuque, Iowa, stacja KGHK, ze skarpy za rzeką. Wszystkie nasze sieciowe nadajniki padły.

Główna antena nie działa, ale razem z Kim znaleźliśmy w magazynie trochę części.

Ze wskaźników wynika, że nadajnik działa, ale sygnał jest strasznie słaby. Jedziemy na awaryjnym zasilaniu. Nikt nie może uruchomić samochodu. Strona mostu nad Missisipi w kierunku zachodnim jest kompletnie zablokowana przez karambol i wielki pożar. Zdaje się, że tuż po tym błysku eksplodowała cysterna z benzyną.

Mówiący lekko odchrząknął, a ja zdałem sobie nagle sprawę, że to głos kogoś bardzo młodego. Może jakiś praktykant, którego zadaniem było pilnować kolejności puszcanych utworów. Ale kimkolwiek był, dysponował widać wystarczającą wiedzą techniczną, by coś tam sklecić. Boże, jakże wdzięczny byłem za ten jego głos w eterze.

– ...w Dubuque mamy awarię zasilania i nasz nadajnik pracuje na awaryjnym zasilaniu z generatora. W dole rzeki widzę stąd kilka barek czekających w kolejce do jedynej śluzy, która jest zamknięta od czasu... no tak, od czasu błysku. Błysk nastąpił

o godzinie 16.32 czasu środkowoamerykańskiego. Czyli, zaraz... dwie godziny i trzydzieści dwie minuty temu. Moi kochani – dodał takim tonem, jakim nastolatek prosi o przedłużenie godziny powrotu do domu. – Chyba będę musiał was na chwilę zostawić. Powinienem sprawdzić, co z rodziną i tak dalej. Samochód nie chce zapalić, więc muszę pójść piechotą. Kim już poszła, ale jak wróci, to się do was odezwie. A na razie zagram coś, żeby ci, którzy szukają po zakresach, mieli jakiś sygnał. Przepraszam za jakość dźwięku, ale mam tu tylko małego kasetowca, którego włączę i postawię obok mikrofonu. Mam w nim godzinną taśmę z numerami Smashing Pumpkins. Mam nadzieję, że Kim zdąży wrócić, zanim się skończy. Hm, no więc do usłyszenia i życzę wszystkim powodzenia.

Z głośnika zagrzmiiała nagle głośna muzyka, więc szybko skręciłem głośność. To zupełnie nie był mój rodzaj muzyki, jednak i tak ją zostawiłem. Pomyślałem, że zespół o nazwie Smashing Pumpkins [Nazwę zespołu można dosłownie tłumaczyć jako Fantastyczne Dynie, ale także jako rozbijanie, miażdżenie] nieźle pasuje do całej sytuacji.

4 czerwca

Właśnie kończyłem jeść śniadanie przyrządzone na kuchni elektrycznej zasilanej z generatora, kiedy z podjazdu dobiegło mnie warczenie jeepa Browne'a.

Przełknąłem ostatni kęs jajek i wybiegłem na zewnątrz w chwili, gdy właśnie podjeżdżał pod drzwi.

– Wskakuj. – Zrobił zapraszający gest.

Dość niezgrabnie wgramoliłem się do środka i usiadłem obok niego. Na szczęście tuż przede mną znajdował się stalowy uchwyt, którego uczepiłem się obiema rękami, a Browne z fantazją ruszył do przodu.

– To się nazywa „uchwyt o kurwa” – wyjaśnił pogodnie, patrząc na moje zbieleiałe kostki. – Jak tylko usłyszysz, że wrzeszcze: „O kurwa!”, to się go od razu łap. –

Wcisnął pedał gazu i jeep pognał przez zagajnik w stronę drogi. Na drodze znów dodał gazu i już po chwili skręciliśmy na jego podjazd. Tam dopiero zwolnił, bo Galahad i Klondike rzuciły się ze szczekaniem w stronę samochodu. Oba stanęły przed maską jeepa, ani na chwilę nie przestając ujadać, i zaczęły się niechętnie wycofywać dopiero pod naporem sunącego do przodu samochodu. Tak dotarliśmy pod sam dom.

– Chcą jak najlepiej – powiedział Browne tonem wytłumaczenia. – Mam tylko nadzieję, że nie zachowają się tak samo wobec kogoś, kto będzie gotów je przejechać. Zdaje się, że nie bardzo wiedzą, co to jest samochód.

„Albo cudza posiadłość” – pomyślałem w duchu, jednak głośno tego nie powiedziałem. W milczeniu wysiadłem i podążyłem za nim do środka. Byłem gotów zawrzeć z nimi rozejm.

Dom Browne'a okazał się zaskakująco schludny, zwłaszcza jak na takiego flejtucha, za którego go miałem. Główny pokój był gustownie urządony w stylu rustykalnym – miał drewnianą podłogę, drewniane boazerie i skórzane meble.

Szafka na broń wykonana była z ciemnego, polerowanego drewna. Patrzyłem zaskoczony, jak nie krępując się moją obecnością, sięga za szafkę i wyciąga kluczyk.

Otworzył, wyjął mniejszą z dwóch śrutówek i podał mi ją bokiem.

– Chodźmy na pole. Pokażę ci, jak się ładuje i strzela.

– Okej. – Kiwnąłem głową, przejmując strzelbę. W głowie kołatała mi się jedyna znana zasada bezpiecznego obchodzenia się z bronią: nigdy nie kieruj lufy w stronę czegoś, do czego nie masz zamiaru strzelać. W domu trudno jednak było zastosować się do tej zasady, wybrałem więc w końcu podłogę i z tak opuszczoną lufą przeszedłem za mężczyzną przez lśniąca czystością kuchnię i wyszedłem na werandę z tyłu domu. Z półki zjął kilka pudełek naboju, jedno podał mnie. Byłem zaskoczony jego ciężarem, jednak po chwili zastanowienia uznałem, że taka zawartość musi ważyć

swoje.

Wyszliśmy na podwórze. Widać psy śledziły nasze ruchy wewnątrz domu, bo już na nas czekały. Na widok strzelby Klondike wydał z siebie głęboki, dudniący szczek, który znałem aż za dobrze, natomiast pudel bez wahania puścił się pędem przez podwórze, potem zawrócił i dołączył do kompana, szczekając w znacznie wyższej tonacji. Oba zaczęły mnie obskakiwać tak zawzięcie, że omal mnie nie przewróciły.

Parłem jednak do przodu jak jeep i wtedy okazało się, że schodzą mi z drogi.

Okrążyliśmy stodołę i wyszliśmy na rozległą, nieogrodzoną niczym łąkę rozciągającą się aż po wzgórze, z którego prowadziłem obserwacje Marsa w czasach tak odległych, jakby należały do innego życia. Browne pokazał mi, jak otworzyć komorę i sprawdzić, czy broń nie jest załadowana, jak ją zabezpieczać i odbezpieczać i jak ładować kolejno pięć naboí, bo tyle się mieściło w magazynku.

Przeładowałem, wprowadzając nabój do komory, a on doładował do magazynku jeszcze szósty.

– Damy sobie spokój z rzutkami, bo trudno je trafić, a nie można się dużo nauczyć, gdy się pudłuje pierwsze strzały. – Dopiero teraz zauważyłem, że trzyma w ręku dwie puszkę po piwie. Ustawił je na słupkach drewnianego płotu nie dalej jak dwadzieścia kroków ode mnie. – Spróbuj je zestrzelić – powiedział, wracając i stając obok mnie.

Uniosłem śrutówkę, wycelowałem i zamarłem. Zacerpnałem głęboko powietrza i pociągnąłem za spust, jednocześnie szykując się na huk wystrzału. Huk nie nastąpił, a spust nawet nie drgnął. Wtedy ze wstydem przypomniałem sobie, że nie odbezpieczyłem broni, więc kciukiem przestawiłem bezpiecznik. Ponownie się złożyłem, wybrałem za cel puszkę po prawej i znów pociągnąłem za spust.

Rozległ się głośny huk, strzelba szarpnęła mi się w dłoniach, waląc mnie w ramię, jednak słabiej, niż się spodziewałem. Puszkę nawet nie drgnęła.

– Spróbuj jeszcze raz – zachęcił Browne.

Strzeliłem i ponownie spudłowałem. Za trzecim razem puszkę zmiotło ze słupka, a mnie zalała zupełnie niepojęta fala dumy. Nie czekając na dalsze słowa zachęty, skupiłem się na drugim celu i za drugim strzałem też go strąciłem.

– Zupełnie nieźle, jak na początek – pochwalił Browne. – Jak będziesz chciał

poćwiczyć, możemy tu sobie jeszcze kiedyś postrzelać. Na razie dam ci wszystkie naboje do dwudziestki, jakie mam. Będzie tego ponad dwadzieścia pudełek. Teraz będziesz miał czym się bronić.

– Okej, dzięki.

Kilkakrotnie przeładowałem broń, aż ostatni, szósty nabój wypadł z magazynka.

Po powrocie do domu Browne wsadził pudełka z nabojami śrutowymi i kulowymi do dużego kartonu i zaniósł go do jeepa. Ja podążyłem za nim ze strzelbą. Wsiadłem, ułożyłem ją sobie na kolanach (oczywiście z lufą skierowaną do drzwi) i z zaskoczeniem poczułem spływające na mnie poczucie bezpieczeństwa.

Przed domem znów uścisnęliśmy sobie dłonie, a po jego odjeździe ponownie opadło mnie to samo poczucie pustki. Powoli wszedłem do środka, złożyłem broń i amunicję na stoliku w holu. Było wczesne przedpołudnie i mogłem zrobić tylko jedno: pójść do kuchni w nadziei, że znów uda mi się złapać KGHL.

DWA

3 czerwca

Międzynarodowy Port Lotniczy Dullesa, Waszyngton

– Muszę się dostać do terminalu pasażerskiego – powiedziała Alexandria. – Mam tam samochód na parkingu. Pewnie i tak go nie uruchomię, ale zabiorę kilka rzeczy z bagażnika. – Stała z trójką lotników gwardii narodowej na płycie lotniska, obok potężnego cielska KC-135.

– Życzę powodzenia. My idziemy się zameldować w terminalu wojskowym – odparł McNally.

– I wzajemnie. Wszystkim nam się przyda. – Nawet nie próbowała się zastanawiać, co zrobi, gdy już dotrze do swego firebirda, bo myśl o drogach zawalonych unieruchomionymi samochodami była zbyt przygnębiająca. Zamierzała wsiąść, przekręcić kluczyk przygotowana na niepowodzenie i dopiero wówczas zdecydować, co dalej.

Miała do przejścia około półtora kilometra po krótko skoszonej trawie lotniska poszatkowanej siatką dróg dojazdowych i zapasowych pasów startowych. Co kilka minut lądował kolejny samolot, trzymała się więc z dala od głównego pasa. Po całym lotnisku stały rozrzucone ogromne samoloty pasażerskie, z wielu z nich wciąż jeszcze wysiadali ludzie i ruszali na piechotę ku nieoświetlonej bryle terminalu pasażerskiego. Cały obraz wyglądał dość ponuro, jednak ludzie byli zbyt zszokowani i dezorientowani, by się tym przejmować.

Alex odpędzała od siebie myśli o Diuku i tylko w sercu czuła głuchy niepokój.

Pamiętała, że miał wystartować niedługo po niej, ale nie wiedziała, czy w momencie Impulsu był już w powietrzu. I nie miała żadnych szans, by się czegoś dowiedzieć.

Jakby w celu podsycenia jej obaw, wokół lotniska wciąż płonęło kilkanaście wraków samolotów, a z każdego – jak przerażający pomnik – ciągnął się słup dymu tak wysoko, że niknął daleko w chmurach. Alex starała się nie przyglądać, jednak nie można było uniknąć widoku tłumów posępnych ludzi ciągnących gęsiego od samolotów rozrzuconych po całym lotnisku. W miarę zbliżania się do budynku terminalu, tłum idących brzegiem pasa Alex coraz bardziej gęstniał. Ludzie wlekli się z podręcznym bagażem w rękach – torbami z laptopami, palmtopami i telefonami komórkowymi, które Impuls zamienił w kupę plastikowego złomu.

Ciągnęli w stronę budynków portu jak uchodźcy – całymi rodzinami, ale każdy z osobna. Nikt z nikim nie rozmawiał, choć w oczach niektórych Alex dostrzegała całe tomy opowieści. Młoda stewardesa podążała za swymi starszymi koleżankami i widać było, że z trudem powstrzymuje płacz. Kilkuletni chłopiec zamęczał ojca pytaniami o pożary widniejące wokół, a ten zbywał go półsłówkami.

Na parterze terminalu znajdowało się wiele wejść przeznaczonych dla pasażerów taksówek lotniczych, latających na krótkich, podmiejskich trasach. Teraz wszystkie stały otworem. Alexandria wybrała jedno z nich, weszła do środka i ruszyła schodami ku poczekalni odlotowej. Awaryjne

oświetlenie powodowało, że przejście tonęło w dziwnych, pomarańczowych półcieniach, podobnie wyglądała też sama poczekalnia. Trochę ją zaniepokoiło, że nawet tu nie było przy drzwiach nikogo, kto sprawdzałby tożsamość wchodzących.

Wyszła z poczekalni i ruszyła głównym korytarzem. Wszędzie paliły się awaryjne światła w postaci zasilanych z akumulatorów, niedużych reflektorków rozmieszczonych wysoko na ścianach, które rzucały pojedyncze plamy światła na przesuwający się w milczeniu, wystraszony tłum pasażerów. Alex nigdy nie była świadkiem takich scen. Wszystkie foteliki w mijanych po obu stronach korytarza poczekalniach pasażerskich były zajęte i wiele osób siedziało na podłodze.

Większość trwała nieruchomo, z wzrokiem tępo wbitym przed siebie, inni rozmawiali przyciszonymi głosami. Niektórzy przyglądali się sunącemu korytarzem tłumowi, ale niemal wszyscy zamarli w kompletnym bezruchu. Matki powyciągały z podręcznych toreb jakieś części garderoby i wymościły posłania dzieciom. Rodziny siedziały obłożone bagażami, trzymając się razem jak ptaki w gnieździe.

Przypomniało jej to widziany kiedyś film ukazujący mieszkańców Londynu podczas niemieckich nalotów w czasie drugiej wojny światowej, którzy siedzieli skuleni w tunelach metra. Odniosła wtedy wrażenie, że wszystkich ich łączy tak ogromna duchowa wspólnota, jakiej nigdy sama nie zaznała. Ciągnąc za sobą torbę, Alex dołączyła do mniej licznej grupy pasażerów, która skierowała się ku sali przylotów, gdzie odbierało się bagaże i skąd prowadziło przejście do głównej hali lotniska i wyjścia na zewnątrz. Przeszła obok pogrążonego w groteskowym półmroku baru, pełnego pijących i rozmawiających ludzi. Barman obsługiwał

klientów prawie po ciemku, elektroniczna kasa nie działała, a piwo musiał nalewać ręcznie prosto z beczek. Kiosk z prasą był zamknięty. Barek z przekąskami wymieciony do czysta z wszelkiego jedzenia stał porzucony przez klientów i właściciela na pastwę losu.

– Przyleciałaś może z Atlanty? – Alexandria poczuła czyjąś dłoń na łokciu i obróciła się. Przed nią stała starsza kobieta i patrzyła rozbieganym wzrokiem. –

Dzisiaj?

– Nie, nie z Atlanty.

– A może jest ktoś z Atlanty. Samolot z Atlanty? – Kobieta ruszyła dalej, zaglądając w twarz idącym. „Daj jej Boże, żeby szybko kogoś znalazła” –

pomyślała Alex.

Ruchomy chodnik oczywiście nie działał i idąc bokiem, Alex poczuła, że zaczynają ją łapać kurcze w nogach. Gdy dotarła do mrocznej jak grobowiec sali bagażowej, ból w prawym kolanie tak się wzmógł, że zaczęła utykać. Wyszła do hali, minęła miejsce oczekiwania na przylatujących i skierowała się do wyjścia.

Drzwi były otwarte na oścież i już z dala zobaczyła tłum kłębiący się wokół

stojącego autobusu. Jego potężny dieslowski silnik pracował, wypluwając z rury śmierzące spaliny,

a przy wejściu kłębiła się falująca masa ludzka, starająca się wcisnąć do pojazdu. W końcu ktoś będący już w środku wypchnął na zewnątrz tęgą kobietę, drzwi zamknęły się z sykiem i autobus powoli ruszył z miejsca. Kiedy przetoczył się obok, Alex zobaczyła, że jest tak napakowany, iż nie dałoby się wepchnąć szpilki. Większość pasażerów odwracała wzrok od tłumu pozostałego na chodniku, choć odniosła wrażenie, że niektórzy wyraźnie się za czymś rozglądają...

Tylko za czym?

Cały pięciopasmowy podjazd do hali przylotów usiany był stojącymi samochodami. Pojawił się następny autobus, lawirując między nimi niczym wieloryb tańczący wśród rybek, a gdy tylko stanął, obstał go tłum pasażerów. Po drodze przesunął zderzakiem zawadzające mu volvo, które naparło na starszego mężczyznę i przewróciło go. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

Mimo że torba Alex była nieduża i miała kółka, zaczęła jej już poważnie ciążyć.

Wyplątała się wreszcie z tłumu i przeszła na drugą stronę podjazdu, klucząc między porzuconymi samochodami, wśród których były sportowe, SUV-y, mikrobusy i zwykłe samochody osobowe. Zapadał już zmrok, oświetlony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Ogromny wielopoziomowy parking sprawiał nieprzyjemne i odpychające wrażenie. Była jedyną, która przeszedłszy na drugą stronę podjazdu, skierowała się ku wejściu na parking. Niespodziewanie wyłonił się z niego młody czarnoskóry mężczyzna z rękami w kieszeniach kurtki i z włóczkową mycką na głowie. Stanął i w milczeniu obserwował zbliżającą się Alex.

Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie ma broni.

– Idziemy do autka? – zapytał. Alex zatrzymała się.

– A co cię to obchodzi? – rzuciła ostro.

– No bo wszyscyutkie padły. – Wzruszył ramionami. – Nic więcej.

Wyminął ją i skierował się w stronę terminalu.

Alex pokręciła głową i z zaciśniętymi zębami weszła na parking. Resztki dziennego światła z trudem docierały przez ażurowe ściany budynku i ledwo rozjaśniały wnętrze. Postanowiła zrezygnować ze schodów i pójść na górę po zjeździe. Wokół widać było trochę wolnych miejsc, co mogło oznaczać, że niektórym udało się jednak uruchomić samochody i wyjechać.

Zanim odnalazła swego firebirda, na zewnątrz zrobiło się już zupełnie ciemno, wewnątrz zapadł gęsty mrok. Wrzuciła torbę do bagażnika, obeszła samochód i otworzyła drzwi kierowcy. Wsiadła do środka, zapięła pas i z przyzwyczajenia zablokowała drzwi, cały czas starając się równo oddychać, jakby nigdy nic. Dłoń jej drżała z emocji, ale w końcu zdobyła się, by wetknąć kluczyk do stacyjki.

Przekręciła, usłyszała pracę rozrusznika i zaraz potem głęboki gang silnika. Zalała ją fala takiej ulgi, że aż przymknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, gratulując sobie miłości do klasycznych modeli.

Pomyślała o tysiącach unieruchomionych samochodów zagrających teraz szosy, garaże, parkingi i

wszystkie inne miejsca, w których znalazły się późnym popołudniem w momencie Impulsu. Były bezużyteczne i poważnie zepsute na długi czas. Nie miała już wątpliwości co do elektromagnetycznego charakteru owego Impulsu. To on spowodował, że zawiodły nowoczesne, rozbudowane systemy elektroniczne. W jej starym firebirdzie – wprawdzie wyremontowanym i utrzymanym w nienagannym stanie – wciąż jeszcze znajdowały się oryginalne części wyprodukowane w latach sześćdziesiątych. A to oznaczało, że w całym samochodzie nie było ani jednego komputerowego chipa.

Wrzuciła wsteczny i wolno ruszyła do tyłu, gdy nagle poczuła tak mocne walnięcie w tył, że samochód aż się zakołysał.

– Won stąd, suko! – Za oknem stał mężczyzna w eleganckim garniturze biznesmena, wlepiając w nią gorejący wzrok. Zobaczyła, że ciężko dyszy i zwinęta w pięść dłonią zamierza się, by walnąć w szybę. – Potrzebny mi ten samochód!

– Nie!

Zwolniła sprzęgło, z piskiem opon szarpnęła samochód do tyłu i wyminęła mężczyznę, który zaniósł się szlochem i waląc pięściami w maskę, próbował ją zatrzymać. Obróciła kierownicę, wrzuciła jedynkę i gwałtownie ruszyła do przodu.

Mężczyzna podjął jeszcze jedną desperacką próbę – rzucił się całym ciałem w jej stronę, jednak firebird już był w ruchu i tylko go potrącił lewym błotnikiem w biodro tak, że tamten runął jak długi.

Alexandria ruszyła w dół po spiralnej pochylni tak szybko, na ile starczyło jej odwagi. Słyszała, jak przy każdym ostrzejszym skręcie opony z piskiem protestują.

Światła reflektorów podskakiwały i omiatały mrok zalegający parking. W ich blasku dostrzegła sylwetkę następnego mężczyzny po prawej i kolejnych dwóch po lewej, jak przycupnięci szykują się do skoku. Widać uznali jednak jej szybkość za zbyt niebezpieczną, bo nie podjęli próby. Bez przeszkód udało jej się dotrzeć na sam dół.

W budce przy wyjeździe nie było nikogo, a szlaban był zamknięty, jednak już wcześniej został przez kogoś wyłamany.

Nie zwalniając, przejechała przez bramę z takim impetem, że resztki połamanego szlabanu aż podskoczyły. Popędziła po łuku wyjazdu i wydostała się na drogę, gdzie musiała natychmiast gwałtownie przyhamować, by nie uderzyć w porzucone samochody. Lawirując między nimi, dotarła do głównej drogi wyjazdowej też pełnej unieruchomionych pojazdów. Po chwili zrównała się z grupą młodych mężczyzn, którzy z marynarkami zarzuconymi na ramiona mozolnie kroczyli poboczem drogi.

Wszyscy jak jeden unieśli głowy i wbili w nią wzrok, ona jednak przejechała, nie patrząc im w oczy. Dalej też co chwila ktoś z idących z utęsknieniem i oczekiwaniem zwracał ku niej twarz. Ciekawe, dokąd mieli zamiar tak iść?

Oczywiście mogłaby komuś zaoferować pomoc. Miała przecież sprawny samochód, którym mogłaby kogoś podwieźć do miasta. Ale incydent na parkingu spowodował, że straciła zaufanie do innych i pewność siebie. Ominąwszy cały rząd unieruchomionych samochodów stojących jeden za drugim z różnymi wgnieceniami na karoseriach, ujrzała kobietę pchającą wózek, idącą w towarzystwie dwóch żołnierzy. Dopiero gdy stanęła, cała trójka podniosła głowy i obrzuciła ją obojętnymi spojrzeniami. Tylko dziecko siedzące w wózku wyciągnęło głowę i wytrzeszczyło oczy na widok strażackiej czerwieni jej samochodu. Obaj żołnierze, z których żaden nie miał więcej jak dwadzieścia lat, jak na komendę zrobili krok do przodu i przyjęli postawę obronną.

– Podwieźć was do miasta?

– Wszystkich? – spytała kobieta. Widać było, że pod eleganckim kostiumem jest złana potem. Na stopach zamiast pantofli miała tenisówki i zapewne temu zawdzięczała, że udało jej się przejść taki kawał. – To znaczy, tak... Dzięki.

– Wskakujcie.

Upchnęli wózek w bagażniku i kobieta z dzieckiem na kolanach usiadła z tyłu.

Obok niej usiadł jeden z żołnierzy, drugi rozsiadł się z przodu obok Alex. Miał harde spojrzenie i nawet na chwilę nie wypuszczał z rąk pistoletu maszynowego M16, dzięki czemu od razu poczuła się bezpieczniej.

– Nazywam się Mandy Smith i mieszkam w Arlington. To jest szeregowy Parker, a to starszy szeregowy Watts. Byli tak mili, że zechcieli dotrzymać mi towarzystwa w drodze. A to jest Stacy.

– Cześć – powiedziała Stacy, ładna, drobna blondyneczka. Gdy ruszyli z miejsca, Alex też się przedstawiła, po czym dodała:

– To dokąd właściwie szliście?

– Do Arlington. Tam mieszkamy. Wyjechałam na lotnisko po męża. Miał

przylecieć z Chicago. – Głos jej się lekko załamał, ale pewnie ze względu na córkę dodała pogodnie:

– Pewnie wylądował gdzieś indziej i teraz już czeka na nas w domu.

– Do domu! – potwierdziła Stacy i dumnie uniosła w górę dwa paluszki.

Alex uśmiechnęła się do niej we wstecznym lusterku.

– Ale jak to jest, że ten samochód jedzie, a wszystkie inne nie? – zapytał

szeregowy Parker z tylnego siedzenia. Był czarnoskórym młodzieńcem z wyraźnym akcentem ze Środkowego Zachodu.

Wyjaśniła pokrótce swą teorię na temat EMP i jego wpływu na zapłon elektroniczny, jak i to, że starsze modele mają cewkę zapłonową oraz rozdzielacz.

– No, to brzmi sensownie. – Starszy szeregowy Watts kiwnął głową. – To dlatego autobusy i niektóre ciężarówki jeszcze jeżdżą. Może mój harley też odpali. Bo ma już ze dwanaście lat.

– Bardzo możliwe – potwierdziła Alex.

– Tylko że stoi teraz w Fort Bragg – dodał Watts ponuro. – Pojęcia nie mam, jak się tam teraz dostaniemy.

– A co robicie w Waszyngtonie?

– Służymy w sto pierwszym – odparł Watts, mocno przeciągając samogłoski, co wskazywało na jego pochodzenie gdzieś z głębi Południa. – Nasz batalion był

tymczasowo odkomenderowany tutaj i wtedy się rozniosło o tych Marsjanach.

Przydzielili nas do obsługi lotniska, właśnie jechaliśmy na służbę, kiedy walnął ten...

jak to pani nazwała?

– EMP. Ale myślę, że słowo „impuls” jest równie dobre.

– No więc, jak raz zobaczyliśmy ten błysk i nasz humvee od razu się rozkraczył.

Przez kilka godzin żeśmy się tam pokręcili i rozpędziliśmy parę bójek. Ale potem, jak się wszyscy rozleźli, tośmy nie wiedzieli, czy iść na lotnisko, czy wracać do Fort Belvoir. I żeśmy się tak jeszcze wahali, kiedy zjawiła się ta pani, znaczy pani Smith.

Lazło za nią jakichś dwóch nygusów, którzy się nam niespecjalnie spodobali, tośmy poszli z nią.

– Sama... sama nie wiem, co bym zrobiła, gdyby oni się nie wtrącili –

powiedziała Mandy Smith lekko drżącym głosem. – Ci mężczyźni zachowywali się niczym dzikie zwierzęta, niczym stado wilków na polowaniu. To straszne, jak szybko opada z ludzi powłoka cywilizacji.

– Sama też się natknęłam na takiego wilka – potwierdziła Alex.

Ominęli stertę rozbitych samochodów wyglądających, jakby były zgniecione przez buldożer, i kawałek dalej pojechała, co było tego powodem. Pas drogi został na siłę oczyszczony, by zrobić miejsce dla autobusów od czasu do czasu jeżdżących tędy z lotniska. Pozwoliło jej to trochę przyspieszyć i przez kilka następnych kilometrów jechali pustą autostradą. Samochody zepchnięte na pobocza wyglądały na dość pokiereszowane i powgniatane, ale wkrótce i to się wyjaśniło. Przed nimi środkiem drogi jechała ogromna ciężarówka służby drogowej z zamontowanym potężnym pługiem śnieżnym, spychając na boki samochody i robiąc przejazd.

Jakoś udało się ją wyprzedzić jeszcze przed obwodnicą, potem jednak Alex utknęła za wielkim miejskim autobusem i już przez resztę drogi musiała się wlec za nim. Skręciła w Lee Highway w

kierunku Arlington i natychmiast musiała jeszcze bardziej zwolnić. Tędy nie przejechał żaden pług i trzeba było wrócić do lawirowania pomiędzy unieruchomionymi pojazdami, zjeżdżając często na jedno lub drugie pobocze. Dotarła w końcu do miejsca, gdzie wszystkie trzy pasy okazały się kompletnie zatkane i musiała właściwie stanąć.

Wolniutko wjechała na jedynce na pobocze i zaczęła się przedzierać przez długi korek samochodów. Sto metrów dalej, omijając stojący w poprzek wielki SUV, musiała zjechać na sam kraniec trawiastego rowu. Firebird niebezpiecznie się przechylił i koła zaczęły buksować na miękkim podłożu, ale operując umiejętnie gazem, wjechała z powrotem na jezdnię.

Półtora kilometra dalej dotarła do sterty porozbijanych samochodów, które całkowicie zablokowały przejazd. Tym razem obaj żołnierze musieli wysiąść i przepchnąć niedużą fiestę. Alex zarysowała sobie wprawdzie oba boki firebirda, ale udało jej się przecisnąć przez lukę. Kilka minut później wysadziła Mandy i Stacy przed niewielkim, ale schludnie wyglądającym domkiem przy cichej uliczce w bok od Military Road.

– Muszę wrócić do NASA – powiedziała do żołnierzy. – Nie dam więc rady was zawieźć do fortu.

– Nic nie szkodzi, proszę pani – odparł starszy szeregowy Watts. – A może nas pani wysadzić przy Pentagonie? Tam chyba ktoś będzie wiedział, co mamy ze sobą zrobić.

– Oczywiście. – Alex kiwnęła głową, choć w głębi serca wiedziała, że tak naprawdę chyba nikt na świecie nie umiałby teraz powiedzieć, co mają ze sobą zrobić.

*

Dwie godziny później wysadziła pasażerów i ruszyła w stronę budynku dyrekcji NASA. Przez chwilę zastanawiała się, czy po drodze nie zahaczyć o mieszkanie, ale doszła do wniosku, że niczego stamtąd nie potrzebuje. Co ważniejsze, niczego się tam nie dowie, a najbardziej na świecie potrzebna jej była teraz informacja.

Stołeczne

jezdnie

zostały

w

dużej

mierze

oczyszczone

dzięki

bezceremonialnemu zepchnięciu unieruchomionych samochodów na boki, wepchnięciu ich na chodniki lub poupychaniu gdziekolwiek się dało – pod płotami, słupkami świateł ulicznych i hydrantami. Na ulicach z rzadka widać było nieliczne autobusy. Spotkała też kilka wielkich, wojskowych ciężarówek i trochę zdezelowanych samochodów osobowych oraz furgonetek, które kręciły się po opustoszałych ciemnych ulicach, jednak poza tym ruch w mieście właściwie zamarł.

Puste były też chodniki, bo przechodniów prawie nie było widać. Ci, których spotkała, poruszali się na ogół w grupach i sprawiali wrażenie, jakby chcieli jak najszybciej dotrzeć do celu. Ciemne witryny sklepowe i pozastłaniane żaluzjami wejścia wznagały dodatkowo atmosferę grozy. Największe wrażenie zrobiło na niej skrzyżowanie z czterema zazwyczaj kipiącymi życiem stacjami benzynowymi prowadzącymi sklepy z artykułami pierwszej potrzeby. Często tędy przejeżdżała w drodze z domu do pracy i niezależnie od pory dnia zawsze było tu pełno ludzi.

Dziś wszystkie cztery stacje były zamknięte, ciemne i opustoszałe. Na drogach dojazdowych i parkingach stały porzucone samochody. Kilka stało przy dystrybutorach – widać Impuls zastał ich właścicieli w chwili, gdy nieświadomi niczego tankowali paliwo. Na jednym z narożników stało kilkunastu czarnoskórych młodzieńców, opierając się o maski lexusa i cadillaca. Wzrokiem odprowadzili firebirda przejeżdżającego skrzyżowanie bez zatrzymania, jako że brak było świateł, które mogłyby go zatrzymać. Nie mogła odmówić sobie satysfakcji dodania gazu po skręcie w Trzechsetną ulicę.

Wjechała między budynki administracji federalnej i stwierdziła, że przynajmniej tu widać wojsko. Przed każdym wejściem stało po dwóch żołnierzy, na kilku ważniejszych skrzyżowaniach ustawiono potężne, wielolufowe działka – domyśliła się, że przeciwlotnicze – obkładając je stertami worków z piaskiem. Dostrzegła też kilka dużych, wojskowych ciężarówek i autobusów w maskujących kolorach, będących toporną wersją autobusu szkolnego, jakim ćwierć wieku temu jeździła do szkoły, w których kolor żółty zastąpiono oliwkowym. Nie dostrzegła jednak ani jednego hunweesa, ani też czegokolwiek choćby przypominającego czołg.

Wjechała na teren NASA i po krótkim wahaniu stanęła na miejscu zarezerwowanym dla dyrektora. Wielkiego SUV-a Kocha nie było i Alex nie miała wątpliwości, że jeszcze przez długi czas go tu nie będzie.

Dwoje młodych żołnierzy – chłopak i dziewczyna nie mający jeszcze chyba dwudziestki – przyglądało się podejrzliwie, jak zamyka samochód i rusza ku wejściu. Chłopak trzymał swój M16 gotowy do strzału, dziewczyna wyciągnęła rękę po identyfikator.

– Doktor DeVane? – odczytała głośno. Wprawdzie od razu skojarzyła nazwisko, jednak i tak sprawdziła je na ręcznie spisanej liście doczepionej do sztywnej podkładki. – Z pani przybycia to się naprawdę ucieszą. Może pani pójść prosto do audytorium Watta?

– A nie do gabinetu dyrektora? – zdziwiła się.

– Właściwie wszędzie jest teraz pusto – wyjaśnił chłopak z naszywkami sierżanta. – Jak siadły komputery i telefony, to nawet ci, którzy przyszli do pracy, siedzą teraz albo w stołówce, albo w audytorium. I jeszcze kilku w garażach.

– Ciekawe, ilu przyszło? – zastanowiła się Alex głośno, odbierając identyfikator.

– Niezbyt wielu, pani doktor. Impuls pojawił się w chwili, kiedy większość była w drodze z pracy do domu. Nie działają komórki i teraz trudno się zorientować, gdzie kto jest. – Dziewczyna spojrzała na Alex ze współczuciem. – Niech się pani może skontaktuje z panem Frederickiem. Bardzo się o panią martwił. Bał się, że była pani w samolocie, który się rozbił.

Odnalazła Dirka Fredericka przy staromodnej desce kreślarskiej, którą ustawiono na scenie sali, będącej niegdyś audytorium. Teraz panował tu półmrok rozświetlany jedynie pojedynczymi reflektorami rozstawionymi na stojakach. Wiele miejsc na widowni zajętych było przez grupki ludzi zagłębionych w stertach papierów. Drzwi z przodu i z tyłu sali bez przerwy się otwierały i wpadali przez nie zdyszani gońcy, znosząc kolejne stosy papierów.

Gdy dotknęła jego ramienia, Dirk uniósł głowę, zerwał się z miejsca i nieoczekiwanie mocno ją wyściskał.

– Boże, dziewczyno, już myślałem, że cię straciliśmy. Wiedziałem, że w chwili Impulsu byłaś akurat w drodze...

– Trafiłam na dobrego pilota. Było wielu świetnych pilotów. Ale w okolicach Dullesa widziałam kilkanaście katastrof.

Nieoczekiwanie ta wiadomość jakby go uradowała.

– Na krajowym rozbiło się ponad dwadzieścia – powiedział. Odnotowała, że jako zażarty liberał nawet w tej sytuacji nie zdobył się, by nazwać lotnisko jego pełną nazwą „krajowym Reagana”.

– Chcesz powiedzieć, że póki nie dotarłam tu... samochodem, nie mieliście żadnych wiadomości o sytuacji na międzynarodowym? – spytała z niedowierzaniem w głosie, a zaraz potem uzmysłowiła sobie, co to naprawdę oznacza. – Boże, to znaczy, że jesteśmy zupełnie odcięci?

– Tak to można nazwać. Wszystkie łącza satelitarne i komórkowe padły.

Naziemna sieć telefoniczna jest kompletnie sparaliżowana i nie ma sposobu, żeby się dodzwonić gdziekolwiek poza miasto. A żeby w ogóle spróbować, trzeba mieć telefon przewodowy. Nie uwierzyłabyś, jaką rzadkością stały się ostatnio. Jeździ jeszcze trochę ciężarówek, autobusów i pociągów z lokomotywami diesla, ale jeśli chodzi o samoloty i samochody, to można zapomnieć.

– A Marsjanie...?

– Nikt nic nie wie. Ale, ale, zaraz. To ty masz szansę pierwsza się czegoś dowiedzieć.

– Jak to?

– Słyszałem, że jeżeli... to znaczy, że kiedy wrócisz, masz się zaraz zgłosić w garażach. Czeka tam na ciebie wojskowa ciężarówka, która ma cię dokądś zawieźć.

Jesteś im potrzebna.

– Zawieźć dokąd? – spytała, zaskoczona.

– Nie wiem, ale domyślam się, że ma to jakiś związek z prezydentem.

Ciężarówka nie ruszyła jednak w stronę Białego Domu. Alexandria miała dość rozsądku, by nie wypytywać nieprzystępnego kapitana marines, który dowodził

operacją dowiezienia jej do tajemniczego miejsca przeznaczenia. Oboje siedzieli w przestronnej szoferce ciężarówki prowadzonej przez wojskowego kierowcę. Alex przezornie posadzono pośrodku. Ruszyli przez miasto na południe i już na długo przed dotarciem na miejsce domyśliła się celu podróży. Rzeczywiście, wkrótce zajechali przed główną bramę bazy marynarki wojennej Anacostia.

Wjazd do środka zamykała zaporą ze zbrojonego betonu, a pełniący służbę marines stali z bronią – łącznie z bezodrzutowym karabinem maszynowym na wózku – wycelowaną prosto w ciężarówkę i obserwowali kapitana, który wysiadł i wręczył im plik dokumentów do kontroli. Dowódcą warty był oficer w stopniu pułkownika. Nie śpiesząc się, przejrzał kolejne papiery, potem jeszcze o coś zapytał.

Kapitan wrócił i uchylił drzwi szoferki.

– Proszę pani? Chce jeszcze zobaczyć pani identyfikator.

Alex podała mu go przez okno, ale minęła jeszcze minuta, nim zaporą ze zgrzytem odjechała na bok, otwierając przejazd. Minęli budynki administracyjne i ogromne, posępne hale magazynowe. W końcu ciężarówka dotarła do betonowego nabrzeża i zatrzymała się przy samej krawędzi. Przycumowano przy nim kilka kutrów marynarki wojennej, wyglądających jak wysmukłe, nowoczesne wersje ćwiczebnych łodzi z czasów drugiej wojny światowej, jednak minęli je i kapitan poprowadził Alex w stronę stojącej dalej cywilnej łodzi do pełnomorskich połowów ryb. Był to potężnych rozmiarów jacht wyposażony w dwa silniki zaburtowe, na którego rufie widniał napis „Lunker”, pod spodem zaś „Annapolis, Maryland”.

Tu kontrolę dokumentów przeprowadziło kilku mężczyzn ubranych w ciemne garnitury i Alex nie musiała specjalnie wysilać wyobraźni, by wiedzieć, że ma do czynienia z funkcjonariuszami Secret Service. Kapitan wycofał się, a jeden z cywilów poprowadził ją przez sterówkę do kajuty. Siedziało w niej dalszych czterech mężczyzn, którzy jak jeden mąż unieśli głowy. Funkcjonariusz wskazał kobiecie miejsce za niskim stołem i wyszedł.

Dwóch z obecnych w kajucie mężczyzn nosiło wojskowe mundury: jeden generała wojsk lądowych, drugi generała lotnictwa. Trzeci, ubrany po cywilnemu starszy, czarnoskóry mężczyzna z wianuszkami siwych włosów wokół pokaźnej łysiny wydał jej się znajomy. Pełnił chyba funkcję sekretarza zdrowia i spraw społecznych, którego zdjęcie kiedyś widziała. Czwarty z obecnych niemal miał na czole napisane Secret Service:

był młody, dobrze ogolony i ostrzyżony, ubrany w nieodzowny ciemny garnitur.

I choć wydawało się, że nie patrzy na nic i na nikogo, jego wzrok czujnie rejestrował wszystko dookoła.

Nikt nikogo nie przedstawił, z niczyich ust nie padło ani jedno słowo. Alex wydawało się, że siedzą już wieczność – choć w rzeczywistości nie minęło więcej niż piętnaście minut – gdy jacht lekko zakołysał się pod ciężarem wchodzących ludzi. Kilka sekund później drzwi otworzyły się i stanął w nich prezydent. Pochylił

lekko głowę, by zmieścić się w niezbyt wysokim wejściu.

– Proszę, nie wstawajcie – rzucił bez namysłu, gdy wszyscy zaczęli gramolić się z miejsc. – Dajmy spokój formalnościom. – Spojrzał na generała lotnictwa. – Mac, dzięki za użyczenie okrętu.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie prezydencie. Cieszę się tylko, że się nie pozbyłem tych starych evinrudesów, bo zapaliły bez najmniejszych kłopotów.

– To świetnie. – Prezydent zasiadł u szczytu stołu i rozejrzał się po obecnych. –

Wygląda na to, że tak jak inne urządzenia, również nowoczesne silniki morskie zostały zneutralizowane przez Impuls. Mamy jednak szczęście, że generał

McCanders kocha starocie.

Dwie starocie w postaci silników marki Evinrudes już ożyły i chwilę później Alex poczuła, że jacht odpływa. Nie bardzo rozumiała, co robi w tym towarzystwie.

– Generale Midders – zwrócił się prezydent do generała wojsk lądowych. – I pan, sekretarzu Rutherford. Miło mi panów widzieć i przepraszam za tak nagły tryb zaproszenia. I pani, doktor DeVane. – Kiwnął z powagą głową a Alex poczuła ogarniającą ją dumę. – Nie mieliśmy dotąd przyjemności, ale również dziękuję za przybycie.

– Naturalnie, panie prezydencie – odparła.

– Płyniemy do Norfolk – wyjaśnił. – Tam przesiądziemy się na okręt podwodny Seawolf. Udało nam się nawiązać z nim kontakt radiowy. W momencie wystąpienia Impulsu znajdował się blisko 300 metrów pod wodą i dlatego niewiele ucierpiał. Z

tego względu będziemy go od tej chwili uważać za podwodny Air Force One.

Pochylił się do przodu, oparł łokcie na stole i potoczył wzrokiem po niewielkim pomieszczeniu. Alexandria z podziwem obserwowała jego zachowanie. Nie czuło się w nim śladu strachu – ani w oczach, ani w całej postawie. Zacisnął zęby i lekko się skrzywił, jednak był to grymas złości, nie strachu. Potem rozpoczął rozmowę.

– Generale Middlers. Jakie są straty sił lądowych?

– Bardzo poważne, panie prezydencie. Na tyle, na ile udało mi się ustalić, wszystkie nasze OPeBe – oczywiście mam na myśli opancerzone pojazdy bojowe, w tym wszystkie czołgi i pancerne transportery piechoty Bradley – zostały unieruchomione. Nie udaje się nawet zapalić silników, nie mówiąc o uruchomieniu systemów celowniczych i systemów wykrywania nieprzyjaciela. Jesteśmy w stanie odpalić armaty, ale Bóg jeden wie, gdzie poniesie kule.

Prezydent pokiwał głową.

– Generał McCanders?

Generał lotnictwa nie miał dużo lepszych wiadomości.

– Wszystkie nasze samoloty są uziemione, panie prezydencie, przynajmniej na jakiś czas. Bardziej zaawansowane technicznie samoloty typu FI 5 są obecnie jedną wielką kupą bardzo kosztownego złomu. Póki nie odbudujemy całej infrastruktury komputerowej, zostaną na ziemi. Inne typy – te, których podstawowe parametry funkcjonalne są mniej uzależnione od elektroniki – być może dadzą się uruchomić, jednak potrzeba nam do tego czasu i części zamiennych. Ale nawet jeżeli uda nam się poderwać w powietrze część naszych samolotów, ich inteligentne systemy bojowe nie są obecnie warte funta kłaków. A co do pocisków jądrowych – no cóż, nie możemy nawet odpalić rakiet, a co dopiero zdetonować głowic.

– Niech to szlag trafi! – nie wytrzymał prezydent i aż poczerwieniał, jednak podniesionym głosem wyrwało mu się tylko tych kilka słów. Następnie powiedział

już spokojnie, choć przez zaciśnięte zęby: – Zawsze pilnowałem, żeby były pieniądze na nowe technologie. Wydaliśmy miliardy, dziesiątki miliardów na zabezpieczenie naszych systemów przeciw EMP! I teraz mówicie mi, że te wszystkie zabezpieczenia nie zdały się na nic?

– Cóż, ekrany z mu-metalu [stop niklu i żelaza z dodatkiem miedzi i molibdenu, stosowany do izolacji urządzeń wrażliwych na działanie pól magnetycznych] dały pewne efekty, zwłaszcza w stosunku do takich pojedynczych urządzeń, jak rakiety. Jednak wszędzie tam, gdzie występował

jakiś kabel – choćby zwyczajny przewód zasilający czy coś w rodzaju anteny –

zawarty w nich metal ściągał i skupiał w sobie działanie Impulsu.

– Wszystko się więc posypało? A jakie mamy szanse na naprawę?

– Wciąż jeszcze nad tym dyskutujemy, panie prezydencie. Ale już wiadomo, że wszystkie urządzenia narażone na bezpośrednie działanie Impulsu – jak samoloty znajdujące się w tym momencie w powietrzu i temu podobne – zostały zupełnie unieszkodliwione. Większość elementów komputerowych w naszych wyrzutniach ocalała, jednak całość systemów została w takim stopniu uszkodzona, że jakakolwiek próba odpalenia pocisku byłaby obecnie ogromnie ryzykowna, żeby nie powiedzieć katastrofalna w skutkach.

– Jak to się mogło stać?

– Po prostu nie byliśmy w stanie przewidzieć takiej mocy fali uderzeniowej.

Słyszałem już głosy oceniające moc Impulsu na rząd miliona woltów. Nasze ekrany zakładały ochronę przed impulsem o mocy najwyżej dwudziestu procent tej wartości. Żadne znane nam urządzenie nie byłoby w stanie wytworzyć takiego zagrożenia.

Spojrzenie prezydenta skierowało się teraz ku Alex. Zanim się odezwał, głęboko zaczerpnął powietrza, jakby się szykował na kolejną porcję złych wiadomości.

– Doktor DeVane, pani szef zapewnił mnie, że jest pani jednym z bystrzejszych umysłów w całej NASA, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy związane z Marsem.

Wiem, że w ciągu ostatniego miesiąca dużo pani podróżowała. Co może pani powiedzieć o zagrożeniu dla naszych najważniejszych instytucji naukowych w rodzaju LNR? I instalacji badawczych typu obserwatoria głębi kosmosu i nasłuchowe VLA?

– Niestety nic pocieszającego, panie prezydencie. Obawiam się, że Impuls całkowicie spalił wszystkie delikatne elementy w urządzeniach nasłuchowych i radarowych. Przy sile Impulsu, o jakiej wspomniał generał McCanders, mielibyśmy do czynienia z sygnałem o zupełnie niespotykanej mocy. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby operatorom mającym słuchawki na uszach i prowadzącym nasłuch VLA popękały bębniaki w uszach. A co do LNR, obawiam się, że tak jak nasze uczelnie, laboratoria naukowe, a właściwie wszyscy wokół łącznie z młodzieżą akademicką w domach studenckich LNR utraciło swoje urządzenia cyfrowe. Niestety, oznacza to również utratę – a w najlepszym razie czasową niedostępność – całej dokumentacji technicznej. Nie wiem, czy płyty kompaktowe uległy uszkodzeniu, ale i tak po przejściu Impulsu nie znajdziemy ani jednego sprawnego urządzenia, które mogłoby taką płytę odtworzyć. Przyjmuję, że tak wygląda sytuacja na naszej półkuli, ale obserwatoria głębi kosmosu w Australii i Hiszpanii mogą być jeszcze sprawne. W

każdym razie Marsjanie nie mogliby zniszczyć wszystkich trzech jednym... –

Przerwała, jakby ją coś zaskoczyło, po czym zaczęła mówić z nieco większym naciskiem. – Panie prezydencie! A jeśli to był tylko pierwszy z dwóch, a może nawet trzech ataków EMP? Bo przecież nie byłoby sensu atakować tylko połowę planety!

Teraz już wiemy, że M1 był ich pociskiem EMP, prawdopodobnie jądrowym, a na pewno niespotykanej mocy. To przedsięwzięcie o wysokim stopniu technicznej złożoności, które ma sens jedynie wówczas, gdy agresorzy są świadomi stanu zaawansowania naszej wiedzy w dziedzinie elektroniki. A jeśli M2 i M3 to takie same pociski EMP? Pierwszy z nich wycelowano w obie Ameryki. A jeśli drugim zaatakują Eurazję? A trzeciego mogliby użyć w rejonie bieguna północnego lub południowego, gdyby uznali, że jest to im do czegoś potrzebne.

– Niech to diabli! – Twarz prezydenta poblądła. – No, oczywiście! Ile zostało nam czasu?

Generał McCanders spojrzał na zegarek – staromodny, ręcznie nakręcany.

– Od Impulsu minęło prawie dziewięć godzin.

– Jakie mamy możliwości? Czy możemy się jakoś zasłonić przed następnym atakiem?

Obaj generałowie spojrzeli po sobie, po czym McCanders zwrócił twarz ku Alex i uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Historia Seawolf ukazuje nam pewną możliwość – powiedziała. – W każdym razie w przypadku tych okrętów podwodnych, które mogą wypłynąć na głębokie wody. A co do schronów podziemnych: czy mamy jakieś wiadomości z Cheyenne Mountain? – zwróciła się do generała lotnictwa.

– Mamy w Pentagonie krótkofalówkę. W ciągu pierwszych dwóch godzin udało nam się uruchomić antenę i rozpocząć nadawanie. W Cheyenne Mountain zrobili to samo. Nawiązaliśmy łączność i uzyskaliśmy meldunek. – Pokręcił ponuro głową. –

Większość urządzeń szlag trafił. Udało im się uratować kilka pecetów pochowanych w najgłębszych bunkrach, ale nawet te zostały częściowo uszkodzone.

– A nie dałoby się usunąć niektórych rzeczy z zagrożonej strefy? Na przykład samolotów? – spytała Alexandria. – Samoloty stacjonujące w Europie można by odesłać do Stanów, tak żeby zdążyły przed następnym Impulsem. Bo właściwie najlepszą i naprawdę jedyną ochroną, jaką dysponujemy, jest nasza planeta.

– Dobry pomysł. – Prezydent kiwnął głową. – Mac, czy możemy od razu wydać taki rozkaz?

– Tak jest, panie prezydencie. Mamy na Lunckerze kontakt radiowy z Norfolk.

Większość naszych baz nawiązała już łączność radiową w paśmie częstotliwości UHF, więc będziemy mogli przekazać rozkaz do Europy i do naszej floty. Od razu przychodzą mi na myśl nasze jednostki stacjonujące w Europie, w Azji Południowo-Wschodniej, na Guamie i na Okinawie, a nawet na Diego Garcia na Oceanie Indyjskim. Czy mam je wszystkie wezwać do powrotu do kraju?

– Doktor DeVane, kiedy pani zdaniem może pojawić się następny Impuls?

Alexandria poczuła się nagle samotnie wystawiona na cel.

– Cóż... – Zastanowiła się. – Odstęp między kolejnymi M wynosi około 24,7

godziny, ale nie przekłada się to bezpośrednio na ewentualne ataki EMP. Gdyby obiekty atakowały z tego samego miejsca w przestrzeni kosmicznej, wówczas zagrożony obszar Ziemi też byłby ten sam, jedynie z wyjątkiem przesunięcia o te 0,7

godziny z racji obrotu kuli ziemskiej. Tak więc, żeby zaatakować inne części globu, będą musieli polecieć trochę dłużej, zbliżyć się bardziej do Ziemi.

Przyszła jej nagle do głowy myśl mroząca krew w żyłach. – Albo – dodała ponuro – zrobić to z większej odległości niż M1. Być może pierwszy zbliżył się do nas bardziej, niż to było konieczne, i

pozostałe zostaną zdetonowane dalej od Ziemi.

To pozwoliłoby im bardziej skoncentrować atak, zwiększyć nasilenie. Bo tak naprawdę nie wiemy, na ile potężną bronią dysponują.

– A więc jeśli M2 ma zaatakować inne części świata, to może swoją niszczycielską robotę wykonać z większej odległości od Ziemi, czy tak? Czyli atak może nastąpić właściwie w każdej chwili?

– Niestety, to prawda, panie prezydencie. Choć jestem skłonna się założyć, że muszą być znacznie bliżej Ziemi, niż są teraz. Znajdują się ciągle ponad półtora miliona kilometrów od nas.

– A jest też pani skłonna założyć się o życie załóg, które znajdą się w powietrzu, jeśli wezwiemy nasze samoloty do powrotu? – rzucił generał McCanders, wysuwając wojowniczo podbródek.

– Panie generale! – wtrącił prezydent. – Nie oczekuję takich decyzji od naszych naukowców. Od doktor DeVane oczekuję maksymalnej liczby danych naukowych i na ich podstawie sam zdecyduję, czy podejmiemy ryzyko. Ale na razie proszę o wysłanie odpowiedniego rozkazu przez radio. Chcę, żeby wszystkie nasze samoloty stały zatankowane i gotowe do natychmiastowego startu.

– Tak jest, panie prezydencie! – Generał wstał z miejsca i opuścił kajutę wewnętrznym przejściem prowadzącym zapewne na mostek i do kabiny radiooperatora. Alex nie zdążyła nawet zareagować na jego zaczepkę, bo prezydent zwrócił się do niej z kolejnym pytaniem.

– A więc obiekty od M1 do, powiedzmy, M3 stanowią wedle naszej najlepszej wiedzy pociski typu EMP. Bomby, którymi chcą nas zmiękczyć. Czym zatem według pani są dalsze obiekty: od M4 do M11?

– Oczywiście nie mam w tej sprawie żadnej pewności, panie prezydencie, ale sensownie byłoby założyć, że to transportowce przeznaczone do inwazji.

TRZY

5 czerwca

Centrum Kosmiczne Kennedy'ego,

przylądek Canaveral, Floryda

Generator z warkotem zasiliał liczne reflektory rozstawione w hangarze. Diuk Hayes z niepokojem obserwował gromadę nieznanym mu mechaników, którzy grzebali przy jego ukochanym warthogu. Było wśród nich kilku członków personelu technicznego sił powietrznych, ale w większości grupa składała się z mechaników zatrudnionych w bazie marynarki wojennej na przylądku Canaveral.

Po Impulsie, który spowodował zerwanie łączności na terenie stanu i całego kraju, dowódca bazy zarządził, że pierwszeństwo obsługi mają te unieruchomione samoloty bojowe, które rokują nadzieję na w miarę szybkie usprawnienie. W

hangarach bazy znajdowało się kilka należących do sił powietrznych marynarki samolotów F14 i F18, a także eskadra Diuka złożona z czterech A10. Wszyscy mechanicy jednomyślnie uznali, że powinni skoncentrować wysiłki na stosunkowo topornych, ale niezbyt skomplikowanych warthogach. Jeden z szefów zmianowych powiedział Diukowi na ucho, że jego zdaniem żadnego z myśliwców zwanych popularnie Kocurami, w których podstawowe parametry eksploatacyjne – jak choćby zmienne ustawienie skrzydeł – sterowane były komputerowo, nie uda się uruchomić wcześniej niż z końcem roku.

– O ile w ogóle – dodał ponuro, wspinając się po drabince przystawionej do A10.

Osiem godzin później Diukowi udało się chwilę zdrzemnąć na ławce w kącie hangaru, jednak mechanicy pracowali bez przerwy przez całą noc. Usłyszawszy, że potrzebują jeszcze trochę czasu, ruszył ku wieży kontrolnej lotniska w nadziei, że uda mu się dowiedzieć czegoś więcej. Rosnące w szybkim tempie zaróżowienie wschodniego horyzontu nad oceanem, które dojrzał po wyjściu z jasno oświetlonego hangaru, zapowiadało bliskie nadejście świtu.

Idąc przez płytę lotniska i rozglądając się po niebie, ze zdumieniem ujrzał

zbliżające się od wschodu światła kilku samolotów. Najbliżej widać było jasne reflektory kilku niedużych maszyn schodzących do lądowania. Diuk zatrzymał się i z sercem w gardle patrzył, jak dwie pary orłów F15 bezbłędnie siadają na pasie startowym. Tuż za nimi wylądowały dwa myśliwce F117, z uwagi na ich niewidzialność dla radarów, zwane popularnie „Stealth”. Samoloty podkołowały w stronę hangaru i zatrzymały się w pobliżu.

W powietrzu było ich jeszcze więcej. Z rosnącą nadzieją w duszy Diuk patrzył na lądujące jeden za drugim trzy ogromne B-52, za którymi jako ostatni wylądował

tankowiec KC-135, taki jak ten, którym w dniu Impulsu odleciała Alexandria. Na to wspomnienie serce znów mu skoczyło do gardła. Nic nie wiedział o jej losie i tylko starał się sobie wmawiać, że udało jej się gdzieś szczęśliwie wylądować.

Podszedł do pilotów FI 17, którzy schodzili na płytę lotniska, przeciągając się i starając się otrząsnąć z odrętwienia po wielogodzinnym locie.

– Fajnie widzieć, że skurwielom nie udało się załatwić wszystkich naszych –

zagaił. – Bo mojego warthoga nieźle ujebali. Skądżeście, chłopaki, przylecieli?

– Diego Garcia – odrzekł jeden z pilotów. – Przez biegun południowy dzięki cyckom tej krowy za nami. Chyba zdążyliśmy akurat przed drugim Impulsem.

– Był drugi Impuls? – wykrzyknął Diuk, którego ta wiadomość całkowicie zaskoczyła.

– Hm. Wygląda, że przypieknął całą Europę i Azję na południe od równika aż po biegun północny. Tak więc nie ma co w tym roku liczyć na świętego Mikołaja.

– No cóż, witajcie na Florydzie – powiedział Diuk, ściskając po kolei każdemu rękę. – Przyda nam się każda para rąk i skrzydeł. Chodźcie, zaprowadzę was do szatni.

W budynku wieży kontrolnej panował z trudem kontrolowany chaos. Cały zepsuty sprzęt komputerowy łącznie z monitorami, klawiaturami i twardymi dyskami zwalono na kupę w kącie holu na parterze. Łącznościowcy ślęczeli nad sprawdzaniem i wymianą podzespołów radiowych, do łask zaś wróciły przestarzałe odbiorniki pracujące w paśmie UHF. Poprosił o kontakt z dowódcą bazy w stopniu komandora marynarki wojennej i usłyszał, że musi chwilę poczekać.

– Udało się coś zrobić z radiem? – zapytał specjalistkę od łączności, która przysiadła w holu z filiżanką kawy w dłoni, by odsapnąć chwilę po całonocnej pracy.

Dolał jej kawy i usiadł obok.

– Niewiele – odparła, kręcąc głową ze zniechęceniem i obrzucając go spojrzeniem. – Wszystko, co w chwili Impulsu było połączone z anteną, uległo stopieniu. Ale mamy dość dobrze zaopatrzone magazyn części zamiennych i większość z nich, zwłaszcza półprzewodniki, wyszła z tego obronną ręką. Nie da się tego, niestety, powiedzieć o podzespołach komputerowych. W zasadzie wszystko, co miało w sobie chip komputerowy, obojętne, czy było podłączone do stu sześćdziesięciu kilometrów miedzianego kabla, czy leżało sobie w pudełku na półce, zostało uszkodzone.

– No, to prawda. Tym pierwszym Impulsem załatwili nas na cacy.

– Ale to nie wszystko, panie majorze – powiedziała dziewczyna, wlepiając w niego wzrok. – Nie chodzi tylko o to, że nam załatwili wszystkie komputery i że trzeba będzie je składać od początku. Zniszczyli nam również urządzenia do produkcji komputerów i elektroniczne sejfy z danymi na temat technologii produkcji. To jest tak, jakby bez jednego strzału cofnęli nas o trzydzieści lat.

– Pierwsze strzały już padły. Mój brat był pilotem promu kosmicznego –

powiedział Diuk cicho. Dotąd starał się uciekać od myśli o tym, co się mogło stać, jednak wymowa faktów była nieubłagana: Nate Hayes i dwoje członków jego załogi już nigdy nie wrócą do domów.

– Współczuję, panie majorze. – Dziewczyna potrząsnęła głową. – Moja siostra jest stewardesą w United. Kiedy to się wydarzyło, miała akurat być w powietrzu.

Nawet nie wiem, czy przeżyła.

– Dopadniemy tych bydlaków – powiedział Diuk, choć więcej pewności było w jego głosie niż w sercu. – Niech tylko spróbują tu wylądować.

– Major Hayes? – Pojawił się adiutant z zaproszeniem do dowódcy bazy. Diuk wstał i podążył za młodym porucznikiem do spartańsko urządzonego gabinetu.

Jedynym luksusem pomieszczenia były dwa okna wychodzące na wschód i południe. Hayes zauważył, że niebo na wschodzie jest już zupełnie jasne.

– Komandor Kenseth? Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale chciałem spytać, czy udało się nawiązać łączność z Eglin.

– Tak, panie majorze. – Dowódca bazy uniósł głowę znad papierów na biurku.

Miał twarz buldoga, któremu najbardziej pasowałoby grube cygare, musiał jednak zadowolić się trzymaniem w zębach i obgryzaniem końca ołówka. – Na sytuacje awaryjne mamy w naszym stanie przewodową sieć telefoniczną i ciągniemy teraz wzdłuż Wschodniego Wybrzeża. Pański dowódca wyraził zgodę na zostawienie pańskiej eskadry tutaj, nawet jeśli zdołamy uruchomić wasze samoloty. Z braku innych rozkazów z wyższych instancji obaj uznaliśmy, że przylądek jest terenem, którego należy bronić. Zgodził się również z opinią moich techników, że A10 mają duże szanse – znacznie większe niż inne – żeby niedługo znów znaleźć się w powietrzu. A co mówią w hangarze?

– Pańscy ludzie, panie komandorze, i to obojga płci, dokonują cudów. Widać, że szef zmiany naprawdę zna się na rzeczy. Walker uważa, że będę mógł wystartować jeszcze dziś do południa. Pozostała trójka z mojej eskadry powinna do mnie dołączyć za jakieś dwanaście godzin.

– Świetnie – odrzekł Kenseth. – Jeśli Walker tak mówi, to tak będzie. Kiedy obaj uznacie, że pański samolot jest gotów, proszę dać mi znać. Wtedy wydam zgodę na próbny lot.

– Tak zrobimy, panie komandorze.

– Dziękuję i życzę powodzenia.

Komandor powrócił do obgryzania ołówka, Hayes ruszył przez płytę lotniska w kierunku hangaru, czując, jak mimo wczesnej pory robi się coraz duszniej. W

hangarze od razu natknął się na Walkera, na którego obliczu widniał pełen satysfakcji uśmiech kota, któremu wreszcie udało się połknąć znenawidzonego kanarka.

– Okazało się, że da się obejść całą skrzynkę awioniki. Powinien pan mieć w pełnym zakresie kontrolę nad wszystkimi sterami. Co najwyżej będzie to wymagało trochę więcej wysiłku fizycznego. Jak w samochodzie, w którym wysiadło wspomaganie kierownicy.

– Z tym sobie poradzę – zapewnił Hayes. – A co z silnikami?

– Z silnikami? Silniki to pestka. To nie problem, żeby zmusić turboodrzutowe silniki do pracy bez komputera – oświadczył szef mechaników beztrąsko. – Musimy tylko zalać turbinę paliwem i znaleźć jakąś zapalniczkę, która da nam iskrę przy wietrze półtora tysiąca kilometrów na godzinę!

– Tylko tyle?

– Jasne. W każdej chwili możemy uruchomić te zabaweczki tak, że wystrzelą pana niczym z procy. Oczywiście – dodał, nagle zasępiony – nie mamy tylko pewności, czy uda nam się potem zatrzymać.

– Nieważne! – wykrzyknął Diuk, zachwycony perspektywą szybkiego startu. – I tak nie mam zamiaru wylądować, póki nie wylatam całego paliwa!

6 czerwca

Układ Słoneczny, przestrzeń kosmiczna między Marsem

a Ziemią

Pozostałe osiem kapsuł kontynuowało swój majestatyczny lot z czerwonej, suchej planety w stronę pokrytego bujną roślinnością świata, który był ich ostatecznym celem. Pierwsze trzy otwarły się już całkowicie, wystawiając na światło słoneczne swoją zawartość, złożoną z blisko stu mniejszych srebrzystych cylindrów w każdej. Reszta wciąż jeszcze była szczelnie zamknięta i czekała z otwarciem się na zbliżenie do Ziemi.

Ta kosmiczna karawana złożona z gigantycznych kapsuł oddalonych od siebie o miliony kilometrów posuwała się w całkowitej ciszy, utrzymując stały, niezmienny kurs, lśniąc w promieniach dalekiego Słońca i zbliżając się do niego z każdą mijającą sekundą.

Jednak nie Słońce było celem. Kurs skorygowano, nakierowując tor lotu kapsuł z ich milczącym i cierpliwie czekającym ładunkiem na planetę Ziemia. Nakierowano je na o wiele bliższy, okryty wodą i powietrzem cel, stanowiący jasną, pokrytą zielenią kropkę na ciemnym tle Układu Słonecznego... planetę wciąż jeszcze pełną życia.

Fort Bragg,

Karolina Północna

Prychając i kopcąc, wysłużony śmigłowiec Sikorski z samozaparciem pokonywał trasę z Norfolk do Fort Bragg. Mglisty poranek przekształcił się w zaskakująco chłodny, zachmurzony dzień. Przez cały lot Alex trzymała się kurczowo uchwytu, zaciskając zęby i walcząc z atakami mdłości, które kipiały w niej tuż pod warstewką pozornego opanowania. Mniej więcej w połowie drogi na tablicy przyrządów zapaliła się czerwona lampka ostrzegawcza, a mimo iż pilot wykonał jakieś czynności i próbował coś poprawić, do końca podróży już nie zgasła.

Śmigłowiec udostępniony przez straż przybrzeżną był dla nich zbawieniem, bo –

jak oświadczył pilot – „Był tak stary, że nawet nie wiedział, jak jest bardzo przestarzały”. Wszystkie napakowane elektroniką nowoczesne śmigłowce zostały na ziemi i stary Sikorski wrócił w pełni do łask.

Gdy wreszcie wylądowali, Alexandria na niepewnych nogach zeszła na ziemię.

Wprawdzie kolana jej nie drżały, ale kuląc się pod obracającym się wirnikiem, czuła, że jeszcze chwila, a zemdleje. Na szczęście tuż przy krawędzi lądowiska czekał na nią porucznik oparty o starego, ale doskonale zakonserwowanego jeepa.

– Doktor DeVane? Porucznik Stewart. Cieszę się, że udało się pani dolecieć bez przygód. Wysłano mnie, żeby zawieźć panią do dowództwa.

Alex rozsiała się na twardym siedzeniu i zapięła pas, a młody oficer z fantazją ruszył do przodu. Odwrócił się do tyłu i wskazał głową na śmigłowiec.

– To pierwsze, co tu wylądowało od Impulsu.

– A co z waszym sprzętem naziemnym? Są jakieś szanse na naprawę?

– Uszkodzenia są bardzo różne. – Wzruszył ramionami. – Na pewno generał

odpowie pani szczegółowiej, ale słyszałem, jak szef kompanii transportowej kierujący naprawami mówił, że partia pierwszych Abramsów powinna wyjechać w ciągu kilku następnych dni. To już by było coś.

– Tak, pewnie. – Alexandria kiwnęła głową. Znała się na sprzęcie wojskowym na tyle, by wiedzieć, że porucznik mówi o czołgach Abrams M1A2. Wielki i szybki, wyposażony w niezwykle cichy silnik turbospalinowy, płaską wieżyczkę i śmiertelnie groźne działo kalibru 120 mm, czołg ten był podstawowym elementem uzbrojenia na polu walki, jakim dysponowało wojsko.

Generałem wspomnianym przez Stewarta okazał się generał brygady Paul Davis, którego niezmiennie chmurna twarz i świdrujące spojrzenie piwnych oczu wydały się Alexandrii idealnymi atrybutami wyższego dowódcy.

– Doktor DeVane? – przywitał ją w swoim gabinecie bez uśmiechu, podał rękę i wskazał krzesło. Sam nie usiadł, tylko zaczął wolno przechadzać się za biurkiem. –

Zanim zaczniemy, na osobiste polecenie prezydenta mam pani przekazać wiadomość. – Odchrząknął i wbił w nią świdrujący wzrok. – W okolicach bieguna południowego miał miejsce trzeci Impuls. Oznacza to, że cały glob ziemski został

zaatakowany impulsem energetycznym. Prezydent polecił mi poinformować panią, że ze strefy drugiej i trzeciej udało się ewakuować ponad sto samolotów, które szczęśliwie dotarły do baz w Ameryce Północnej. Prezydent wyraził życzenie, żebym w jego imieniu pani podziękował.

To ją zastanowiło. Sto samolotów? Wiedziała, że poza granicami kraju stacjonuje ich znacznie więcej. Czy to znaczy, że reszta próbowała wrócić, tylko im się nie udało? Zdała sobie sprawę, że generał wpatruje się w nią wyczekująco.

– Dziękuję, panie generale. Nie wiem, dlaczego chciał mi to przekazać, ale dziękuję.

– Cholera, jeśli to dzięki pani udało się uratować setkę samolotów i sprowadzić je szczęśliwie do kraju, to ja też pani dziękuję. Bóg jeden wie, że to znacznie więcej, niż mogę wystawić do walki, przynajmniej na razie. – Generał Davis jeszcze bardziej spochmurniał, a zmarszczka na jego twarzy przybrała kształt głębokiej bruzdy. – No to teraz wyjaśnijmy sobie cel pani wizyty u nas. Czy przywozi nam pani rozkazy z Białego Domu?

– Nie, panie generale. Kiedy wyjeżdżałam, prezydent był jeszcze w Norfolk.

Zapewne chce się przygotować na każdą ewentualność. Tutejsza 101. powietrzna i pierwsza brygada trzeciej dywizji pancерnej stanowią najpotężniejszą militarną siłę uderzeniową we wschodniej części kraju. Jeśli dojdzie do działań wojennych, mam panu służyć moją wiedzą w celu lepszego rozumienia postępowania Marsjan, ich taktyki i techniki. Oczywiście na tyle, na ile potrafię.

– No to proszę mi powiedzieć, na ile pani zdaniem jest prawdopodobne, że dojdzie do działań wojennych? I jak pani sądzi, co się teraz wydarzy?

– Panie generale, pierwsze trzy obiekty wysłane przez Marsjan okazały się pociskami typu EMP. Z tego faktu można wyciągnąć kilka wniosków, łącznie z najbardziej oczywistym, że mają wobec nas wrogie zamiary. Jak również to, że ci

„Marsjanie” dysponują niezwykle wysoko rozwiniętą techniką. Bo z naukowego punktu widzenia ten atak świadczy o ich ogromnej wiedzy teoretycznej i praktycznej. Zarówno pod względem potęgi, jak i skuteczności, ich impulsy energetyczne wielokrotnie przewyższają największe osiągnięcia naszych ziemskich naukowców. Co więcej, dowodzą też dużej znajomości naszej planety. Pierwszy Impuls EMP wymierzony był dokładnie w środek Ameryki Północnej. To mógł być zbieg okoliczności, jednak uważam, że Marsjanie wiedzieli, iż najbardziej zacięty opór stawi im wojsko w tej części świata. W drugiej kolejności zaatakowali Eurazję, atak na biegun południowy miał zaś na celu rozprawienie się z tymi obszarami, które z uwagi na krzywiznę powierzchni Ziemi mogły ująć cało z dwóch pierwszych ataków.

Milcząc, generał z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy czekał na dalszy ciąg jej wywodu. Zaczerpnęła powietrza i brnęła dalej.

– Wydaje mi się niezwykle mało prawdopodobne, by pozostałe osiem obiektów też stanowiło pociski EMP. Przychodzą mi do głowy tylko dwa możliwe wyjaśnienia, a jedno gorsze od drugiego. Pierwsze, że to pociski masowego rażenia, które uderzą w naszą planetę i spowodują straszne zniszczenia, aż po całkowitą zagładę naszej cywilizacji i życia ludzkiego na planecie. Drugie, że obiekty od M4

do M11 stanowią jakiegoś typu statki kosmiczne, którymi lecą ku nam stwory mające dokonać inwazji na naszą planetę.

– Rzeczywiście sympatyczne – mruknął generał tonem, który do sympatycznych na pewno nie należał.
– Inwazji, mówi pani. A, pani zdaniem, o jakiego rodzaju ataku mówimy?

Przez chwilę biła się z myślami, uznała jednak, że powinna zdobyć się na szczerłość.

– Nie potrafię oczywiście przewidzieć tego dokładnie – odrzekła. – Nie mamy pojęcia, jacy najeźdźcy mogą znajdować się w tych statkach. Bo na przykład może to być armia robotów, bardzo technicznie zaawansowanych i śmiertelnie groźnych odpowiedników naszych próbników, które wysyłaliśmy do ich świata.

– Tego rodzaju ogólniki to za mało, żeby móc podjąć działania. Zostało im jeszcze osiem obiektów. Myśli pani, że je rozrzucą po całym świecie? Czy może wylądują wszystkie w jednym

rejonie i stamtąd wyruszą na podbój? Czy coś takiego jak koncentracja działań stanowi pojęcie międzyplanetarne?

– Jestem pewna, że tak. Tylko nie zakładałabym, że zaatakują wszystkimi ośmioma statkami. Według naszej wiedzy, każdy ma ponad kilometr długości i sto metrów szerokości. Dlatego nie bardzo sobie wyobrażam ich lądowania na Ziemi.

Myślę, że chyba w pewnym momencie uwolnią się z nich mniejsze pojemniki, coś w rodzaju ładowników. A ponieważ odbędzie się to na orbicie okołoziemskiej, możliwe, że opadną w setkach różnych miejsc.

– No, dobrze. To brzmi sensownie. Opadną na spadochronach? Przylecą na raketach? A może po prostu poszybują?

– Znowu nie potrafię powiedzieć niczego na pewno. Ale byłabym skłonna wykluczyć wszystko, co wykorzystuje nośność powietrza, a więc opadanie na spadochronach czy szybowanie na płatach nośnych jak nasze wahadłowce.

Niezależnie od tego, jak wygląda ich środowisko naturalne – a mamy powody sądzić, że ich cała cywilizacja rozwijała się od wieków pod powierzchnią gruntu – to na pewno nie mają u siebie atmosfery pozwalającej na latanie w naszym rozumieniu tego słowa. Z drugiej strony, dysponują techniką, jakiej my nie posiadamy, jak choćby gigantyczna moc ich bomb EMP. Również ich statki przemieszczają się w przestrzeni kosmicznej znacznie szybciej niż jakiegokolwiek obiekty kosmiczne pochodzenia ziemskiego. A więc mogą też dysponować jakąś formą energii sterującej, która pozwoli im gładko i bezpiecznie wylądować.

– A co pani myśli o oceanach? Pani zdaniem spróbują wodować czy raczej wybiorą suchy ląd? – Generał z szybkością karabinu maszynowego strzelał

kolejnymi pytaniami.

– Stawiałabym na suchy ląd – odparła Alex bez namysłu.

– Muszę wierzyć, że ich cele – jakiegokolwiek są – leżą poza oceanami. Dyslokacja ich ataków EMP niewątpliwie sugeruje znajomość naszej planety, zatem muszą wiedzieć, że życie na Ziemi skupia się na lądzie. – Generał już szykował się, by zadać kolejne pytanie, gdy Alex przyszło coś nagle do głowy. – Jeśli mają zamiar przypuścić zbrojny atak, to nie sądzę, by odgrywały w nim jakąś rolę siły powietrzne. Wątpię, by na Marsie istniały odpowiednie warunki. A już na pewno nie ma ich nad powierzchnią gruntu.

– Czyli wojska lądowe, tak? – rzucił Davis, nie przestając świdrować jej wzrokiem, a ona nagle uzmysłowiła sobie, że nie jest to wyraz jego niezadowolenia, w każdym razie nie skierowanego przeciwko niej.

– No, to odpowiednio przywitamy tych łajdaków – dodał.

– Mam już pod bronią półtorej dywizji, a z każdą godziną przybywa nam coraz więcej czołgów,

armat i środków transportu. Pokażę im taką wojnę, jakiej jeszcze nie widzieli, przekonają się pani!

– Nie wątpię, panie generale. A jak wyglądają pańskie siły powietrzne?

– Niedobrze! – burknął. – W najbliższym czasie nie uda nam się uruchomić śmigłowców, może z wyjątkiem garstki hueyów pamiętających jeszcze wojnę wietnamską. Wszystkie myśliwce wysokiego pułapu też zostały unieruchomione.

Jest tylko jedna dobra wiadomość. Słyszałem, że po tej stronie gór mamy trzy eskadry bombowo-szturmowych A10 gotowych do lotu. A warthogi to twarde sukinsyny, jeśli wybaczy mi pani wojskowy język.

– Ależ to cudownie! – wykrzyknęła z radością. Generał zmrużył nieco powieki i nawet pozwolił sobie na cień uśmiechu.

– Rozumiem, że pani entuzjazm nie ma podłoża czysto militarnego, czy tak? – zapytał.

– Diuk Hayes – przytaknęła. – Młodszy brat dowódcy wahadłowca Discovery.

Służy w trzydziestym drugim dywizjonie bombowym stacjonującym w bazie sił

powietrznych Eglin na Florydzie. Prawdopodobnie był w powietrzu w momencie Impulsu. Od tamtej pory nie miałam od niego żadnej wiadomości, ale to, co pan mówi, jest dobrą wiadomością. Pozwala mi mieć nadzieję.

– Chłopak jest na pewno zdrow i wściekły jak diabli. No cóż, tylko mu pozazdrościć, prawdziwy z niego szczęściarz. A coś mi mówi, że się nam tu bardzo przyda, bo te A10 to najlepsze pod słońcem niszczyciele czołgów, jakie kiedykolwiek latały po niebie.

– Wierzę panu, generale – powiedziała.

Pukanie do drzwi było zbyt natarczywe, by można je uznać za grzecznościowe.

– Nasz interkom nie działa – wyjaśnił generał. – Wejść! – warknął w stronę drzwi.

Do gabinetu weszła kobieta w mundurze podpułkownika i podała generałowi kartkę. Alex z zaskoczeniem zauważyła, że tekst został napisany na maszynie.

– Właśnie przyszło na UHF jako pilne – zameldowała.

– Przeczytaj głośno – rozkazał generał. – Doktor DeVane ma certyfikat dopuszczenia do informacji tajnych specjalnego znaczenia, zgadza się? – dodał.

– Zgadza się – odrzekła zaskoczona jego wiedzą i gotowa przymknąć oko na niezbyt formalny charakter owego certyfikatu.

– Tak jest, panie generale. – Pani podpułkownik uniosła kartkę do oczu i stanęła w pozycji spoczynkowej.
– Od SekrObr, Pentagon, do wszystkich dowódców. Za pomocą teleskopu nawiązano kontakt wzrokowy z obiektem M4, a dokładnie z tym, co z niego zostało. 8 czerwca o godzinie 01.20 czasu wschodniego stwierdzono, że obiekt rozpadł się na pewną liczbę mniejszych podobiektów. Udało się zidentyfikować ponad dwadzieścia sztuk, ale może ich być znacznie więcej. Grupa podobiektów przeprowadziła niewielką korektę kursu i obecnie leci wprost w kierunku Ziemi.

Uważa się, że podobiekty mogą stanowić szpicę sił inwazyjnych nieprzyjaciela. Przy zachowaniu obecnego kursu i szybkości, ich wejście w atmosferę ziemską spodziewane jest dziś około godziny 23.00.

– Cholera – mruknął generał, spoglądając na zegarek. – Bydlaki nie dają nam zbyt dużo czasu, co?

CZTERY

7 czerwca

Delbrook Lane, Wisconsin

Obudził mnie natarczywy dzwonek telefonu. Po omacku zacząłem nerwowo szukać słuchawki, chcąc jak najszybciej odebrać. Telefon był moją jedyną nitką porozumienia ze światem zewnętrznym.

– Halo? – wychrypiałem.

– Mark?

Z mieszaniną ulgi i przestachu rozpoznałem głos Browne'a.

– Tak... co się stało? – Zasłony na oknach powodowały, że w sypialni było zupełnie ciemno.

– Wyjdź z domu i zobacz, co się dzieje. Tylko szybko! Nie traciłem czasu na ubieranie się. Chwyciłem tylko okulary i tak jak stałem, w bokserkach i T-shircie, wyskoczyłem na balkon sypialni. Roztaczał się z niego dobry widok na północ i zachód, więc od razu zobaczyłem to, co spowodowało telefon Browne'a.

Moją pierwszą myślą było, że pali się całe Madison. Zachodni horyzont skąpany był w pomarańczowej, niemal świetlistej łunie, która stopniowo bledła w wyższych partiach nocnego nieba. Była tak rozległa, że by ją objąć wzrokiem, musiałem obrócić głowę. Machinalnie wyciągnąłem też dłoń, by sprawdzić, czy nie bije od niej żar. Świeciła i lśniła jak niezwykle kosmiczne zjawisko odbywające się na moich oczach na wyciągnięcie ręki.

Na dłoni czułem jedynie chłód nocnego powietrza, jednak ta fantastyczna poświata stanowiła wyraźną anomalię w mojej dotychczasowej wiedzy empirycznej.

Jak coś nie z tego świata, jak coś... marsjańskiego.

Ledwo zdążyłem sformułować tę myśl, gdy nagle całe niebo zapłonęło niemal żywym ogniem. Przez warstwę atmosfery pędziła kula ognia, olśniewająco świetlista i sypiąca iskrami, niczym jakiś niebywale rozpalony meteor. Tyle że nie pędziła gdzieś w kosmiczną dal. Leciała wprost ku Ziemi z niezachwianą determinacją, na kształt jakiegoś nieznanego, ale bez wątplenia groźnego i potężnego zjawiska astronomicznego. Patrzyłem jak urzeczony do chwili, gdy kula rozjarzyła się tak oślepiającym blaskiem, że musiałem przysłonić oczy niczym przed sztucznym słońcem. Widziałem cienie rzucane przez drzewa w ogrodzie, a niebo przybrało niesamowitą mleczną barwę, przypominającą bardziej dzień niż noc.

A potem kula skryła się za południowo-zachodnim horyzontem i oślepiający blask znikł. Narożnik domu nie pozwalał ocenić dokładnego miejsca upadku kuli, jednak kilka sekund później poczułem pod stopami wyraźny, potężny wstrząs spowodowany uderzeniem jej w planetę – moją planetę – i to niezbyt daleko stąd.

Wychyliwszy się przez poręcz, spojrzałem w stronę Janesville. Widać było, jak całe niebo powoli

rozpłomienia się na purpurowo, choć łuna wydała mi się nieco mniejsza niż ta nad Madison. Prawdopodobnie wynikało to z większej odległości.

Zrobiło mi się autentycznie niedobrze. Uciekłem pod żalostną osłonę w postaci wystającego okapu dachu i patrzyłem na ten bezgłośny, przerażający blask. Moim wrażeniom wzrokowym towarzyszyło też jakieś dziwne poczucie niepokoju, choć przez dłuższą chwilę nie umiałem go zrozumieć. A potem je usłyszałem – wycie kojotów pełne dramatycznych modulacji siły i barwy dźwięku – typową nocną pieśń, która zdawała się dobiegać zewsząd. Do chóru dołączyły też psy Browne'a, tym razem ich wycie zabrzmiało niemal kojąco. Jakby ich szczekanie stanowiło jakiś punkt zaczepienia, nitkę łączącą mnie z dotychczasowym życiem i innymi mieszkańcami Ziemi. Protest wobec kosmicznej niepewności, jaką niesie ze sobą ten straszliwy ogień.

Cofnąłem się do środka, zamknąłem za sobą drzwi i jak dureń zaciągnąłem zasłony. Piekielny blask na niebie dawał przez nie upiorną, pomarańczową poświatę.

Usiadłem na łóżku, dygocąc. Czulem, jak mój T-shirt zaczyna przemakać od potu i jak robi mi się coraz zimniej. Chciałem wrócić do łóżka i schować się z głową pod kołdrę, ale nawet do tego zabrakło mi siły.

Zdawało mi się, że siedzę strasznie długo – choć naprawdę minęło pewnie tylko kilka minut – gdy w mej drętwoce nastąpił nagły przełom i zerwałem się na równe nogi. Potoczyłem wokół dzikim wzrokiem, wybiegłem z sypialni, pognałem na dół, po czym zacząłem nerwowo krążyć między kuchnią a pokojem. Generator był

wyłączony i ruszyłem do tylnych drzwi, by go uruchomić, jednak skończyło się tylko na ganku, bo nie mogłem się przemóc, by wyjść pod to upiorne niebo. W końcu dałem za wygraną, zawróciłem do środka i zapaliłem jedną z lamp naftowych. W

migotliwym, żółtym świetle wyjąłem z szafki strzelbę, zdjąłem z lodówki pudełko z nabojami i ostrożnie załadowałem magazynek. Upewniłem się, że komora jest pusta, zabezpieczyłem i oparłem strzelbę o stół w jadalni.

Ale nie mogłem tak siedzieć beczynnie po ciemku i czekać. Musiałem dowiedzieć się czegoś więcej, zorientować się, co się dzieje. Wróciłem do sypialni i zadzwoniłem do sąsiada.

– Tak? – usłyszałem jego niechętnie mruknięcie.

– Hm... tu Mark – powiedziałem. – Zamierzam się temu lepiej przyjrzeć. A więc chciałbym pójść na górkę na twojej łące i zobaczyć, jak to stamtąd wygląda.

– Fajny pomysł. Spotkamy się tam za chwilę.

Wciągnąłem na siebie dzinsy i traperki, wziąłem latarkę i wyszedłem na zewnątrz. Dochodząc do ścieżki, przypomniałem sobie o strzelbie, ale postanowiłem już po nianie wracać. Światło latarki podskakiwało i tańczyło na ścieżce, ale unosząc głowę, wciąż widziałem nad sobą płomieniście rozpalone, nocne niebo. Dotarłem wreszcie do łąki i niemal wbiegłem na górę po stromym,

trawiastym zboczach. Ze szczytu dojrzałem światła jeepa, który właśnie wyruszał z domu Browne'a. Z głośnym pluskiem przejechał przez strumień i skręcił wprost pod górę. Zgrzytając biegami, jeep skoczył do przodu, potem z wysiłkiem ruszył po trawiastym zboczach, metr po metrze sunąc do przodu. Browne musiał mnie dojrzeć w świetle reflektorów, bo nagle je zgasił. Po chwili zaparkował obok i wysiadł.

Oba psy siedziały w bagażniku. Pudel wyskoczył, gdy tylko samochód znieruchomiał. Nowofundland odczekał spokojnie, aż Browne obejdzie wóz dookoła i otworzy tylną klapę. Oba psy podbiegły, szybko mnie obwąchały, po czym zajęły się pospiesznym obsikiwaniem kolejnych krzaczków. Były wyraźnie podniecone i lekko zjeżone. Niespokojnie ganiały wokół nas.

W ciemnościach – które wcale nie były takie ciemne – staliśmy ramię w ramię i patrzyliśmy na zachód. Nie dało się stąd dojrzeć miejsca uderzenia, ale na niebie rozciągała się ogromna łuna i widząc jej barwy, mogliśmy określić epicentrum ognia. Piekielny łuk na horyzoncie rozciągał się na szerokość dłoni z rozczapierzonymi palcami na wyciągniętej ręce. Środek płonął najjaśniej i miał barwę tak jasnożółtą, że nieomal białą. Wyglądało to trochę, jakby spoza krzywizny Ziemi wyzierało światło słoneczne. Od tego środka łuna rozlewała się niemal po całym horyzoncie, przechodząc w kolor pomarańczowy, potem stopniowo coraz bardziej czerwony. Ten rozległy łuk czerwieni, który rozciągał się wokół

żółtopomarańczowego środka, przypominał nieco obraz nieba, jaki widuje się podczas zachodu słońca za warstwą chmur. Na krańcach widnokrzęgu łuna była już tak rozmyta, że było nawet widać kilka gwiazd. Jak na ironię losu, jedną z nich był

Mars, spoglądający swym czerwonym okiem na pogrążony w chaosie świat.

– Nawet przed Madison, tylko trochę bardziej na północ – powiedziałem.

Browne pokiwał głową, potem spojrzał na południowy zachód, gdzie uderzył drugi płomienisty obiekt.

– Ten drugi trochę dalej – ocenił. – Gdzieś tak koło Milton albo Janesville.

– Boże święty – jęknąłem, kręcąc głową. – Co oni nam tu zafundowali?

– Myślisz, że to coś w rodzaju bomby? Coś, co nam podpalił cały świat? – zapytał.

Nawet mi to nie przyszło do głowy.

– Myślę, że to, co do nas przyleciało, musiało wybić potężny krater. I o ile płomień nie będzie rósł, będzie znaczyło, że mamy do czynienia z ciałem niebieskim, a nie z bombą.

– To cholernie pocieszające. Chyba – mruknął Browne ironicznie.

Przez chwilę w milczeniu obserwowaliśmy niebo. Kojoty wciąż jeszcze zawodziły, ale psy siedziały teraz obok nas z uszami czujnie nastawionymi, lekko dysząc i nie wydając z siebie żadnych dźwięków. Luna na niebie zdawała się nie rosnąć i gdy jakieś pół godziny później znów wyciągnąłem dłoń, najjaśniejsza jej część była już nieco mniejsza niż rozstaw palców.

– Też to słyszysz? – spytał nagle sąsiad.

Z południa dobiegał nas nieomylny dźwięk silników diesla zmagających się z wielkimi ciężarówkami. Zdałem sobie też sprawę, że dźwięk ten towarzyszył nam już od pewnego czasu, ale był czymś na tyle zwyczajnym, że dopiero przypomnienie sobie, iż od momentu Impulsu po drogach jeździ bardzo mało pojazdów, pozwoliło go w ogóle zauważyć.

– Jada główną szosą! – powiedziałem, zwracając twarz na południe. Ciągący się tam szereg zalesionych pagórków zasłaniał widok szerokiej, dobrze utrzymanej szosy, do której w linii prostej było stąd niewiele ponad trzy kilometry.

– Jedźmy zobaczyć – zaproponował Browne. – Włazić do środka! – rozkazał i w pierwszej chwili aż mnie zatkało, jednak zorientowałem się, że było to adresowane do psów, które posłusznie wskoczyły do bagażnika. Przez chwilę widać było białą-czarną kotłowanąinę, gdy oba w podnieceniu zaczęły się kręcić wokół. Od jęzora Klondike'a biła niesamowita, lepka, różowa poświata.

Wsiadłem i gdy samochód z impetem ruszył w dół zbocza, obie dłonie pospiesznie zacisnąłem na „uchwycie o kurwa”. Gdy tylko dotarliśmy do traktu i rozchlapując wodę, przejechaliśmy strumień, Browne dodał jeszcze gazu.

Popędziliśmy przez łąkę, przemknęliśmy między jego stodołą a domem i wypadliśmy na drogę łączącą nasze domy. Obejrzałem się i stwierdziłem, że oba psy stoją w bagażniku z łbami wywieszonymi na zewnątrz. Wywalone jęzory zwisały, a uszy unosił im pęd powietrza. Galahad wyciągnął łeb daleko do przodu i oparł go na ramieniu Browne'a. Stojący po mojej stronie Klondike zadowolony się oparciem ociekającego śliną pyska na moim T-shircie.

Nasza droga jest dość pagórkowata i nigdy w życiu nie jechałem nią z taką szybkością, muszę jednak przyznać, że i mnie gnała ciekawość. Co ważniejsze, czułem coś w rodzaju rosnącej nadziei. Pokonaliśmy ostatnie wzniesienie i dotarliśmy do znaku stopu, gdzie z piskiem opon i poślizgiem nareszcie stanęliśmy.

Przez chwilę napawaliśmy się widokiem szosy i jadącej nią kolumny pojazdów.

Z łoskotem przetoczył się pług śnieżny ciągnący za sobą kanciastą przyczepę.

Chwilę po nim przejechała wiekowa półciężarówka z karoserią upstrzoną rdzawymi śladami wieloletnich zmagania z solą na drogach, ale z dość solidnie wyglądającą ramą i wielkimi bliźniakami na tylnych kołach, mozolnie ciągnąc wielką przyczepę.

W ciągu krótkiej chwili, zanim Browne zgasił reflektory, dojrzeliliśmy, że na przyczepie jedzie

wielkie działo pomalowane na maskujący, oliwkowy kolor.

Nasza obecność spowodowała, że natychmiast pojawili się żołnierze ubrani w polowe mundury w barwach maskujących, którzy okrążyli naszego jeepa.

Większość trzymała w rękach pistolety M16 i miała na sobie pełny rynsztunek bojowy łącznie z hełmami z kevlaru.

– Szosa jest zamknięta – odezwał się jeden z nich. – Panowie zawróć.

– Jasne, nie ma sprawy – zapewnił go Browne. – Ale, kurde, fajnie was widzieć.

Nakopiecie tym Marsjanom do tyłka, mam nadzieję.

– Wedle rozkazu, proszę pana! – odparł żołnierz.

Podszedł starszy wiekiem oficer w stopniu kapitana i otaczający nas żołnierze z szacunkiem rozstąpili się, robiąc mu miejsce.

– Kapitan Mueller – przedstawił się. – Czy panowie są z tych stron?

– Tak, mieszkamy kawałek dalej tą drogą – potwierdził Browne.

– Któryś z panów widział lądowanie?

– Tak, kapitanie, widzieliśmy obaj – odrzekłem. – Wydaje nam się, że to bliższe nastąpiło przed Madison, kawałek stąd na północ. Drugie było gdzieś dalej.

– Zgadza się. Pierwsze rozpirzyło w drobny mak środek Sun Prairie – potwierdził

kapitan ze złością w głosie. – Drugie odbyło się w pobliżu Newville i wybiło ogromny krater nad Rock River.

– A skąd jest wasz oddział? – spytałem zaskoczony, że znaleźli się tu tak szybko po lądowaniu.

– Pierwszy batalion 126. artylerii polowej, Gwardia Narodowa Stanu Wisconsin.

Stacjonujemy w Kenosha, ale mamy też jednostki w Burlington i Whitewater.

Jesteśmy forpocztą. Reszta oddziału dobije do nas jeszcze przed świtem.

– I myśli pan, że te wasze działa załatwią sprawę? – spytałem, patrząc, jak drogą przetacza się kolejna armata, tym razem ciągnięta przez bardzo zdezelowaną wojskową ciężarówkę.

Kapitan uspokajająco pokiwał głową.

– Poniszczyli nam mnóstwo środków łączności i transportu, proszę pana. Dlatego widzi pan mieszanię starych wozów, pługów śnieżnych i tak dalej. Plus parę hummerów, które udało się

uruchomić naszym mechanikom. – W jego głosie pojawiła się wyraźna nutka dumy, gdy przed nami przetoczyły się kolejne pojazdy. –

A to nasze haubice 155 mm – powiedział, wskazując na szosę. – Największe i najpotężniejsze działa w całym arsenale armii amerykańskiej. I nie mają w sobie nic z elektroniki. Odpowiadając więc wprost na pańskie pytanie: tak jest, skurwiele nie mają szans.

– A czego spodziewacie się tam na miejscu? – Nie mogłem sobie darować tego pytania.

Kapitan podrapał się po karku.

– Mówią, że ich wielkie statki kosmiczne miały twarde lądowanie i powybijały wszędzie ogromne kratery. Jeśli uda nam się wycelować nasze działa w te ich statki, póki w nich jeszcze tkwią, może uda nam się od razu je zniszczyć. A jak nie, to poczekamy na skurwiele, jak tylko spróbują otworzyć klapy i wyjść na zewnątrz.

– Życzę powodzenia, kapitanie – powiedziałem z przekonaniem.

– Dajcie im popalić! – dodał Browne.

– Powodzenie zawsze się przyda. – Mueller kiwnął głową. – Ale tak naprawdę o wszystkim zadecyduje nasze wyszkolenie i wyposażenie. A poza tym walczymy o nasze domy!

Odwrócił się i pomaszerował do swego hunweesa, którego dopiero teraz zauważyłem na poboczu szosy. Pojazd zawarczał i dołączył do konwoju ciągnącego szosą na północny zachód ku pierwszej w dziejach ludzkości bitwie międzyplanetarnej.

PIĘĆ

7 czerwca

Fort Bragg, Karolina Północna

– Pani doktor? Przepraszam, ale generał kazał mi panią obudzić i wyprowadzić na zewnątrz. Tylko szybko, pani doktor.

Alex, jeszcze nie do końca rozbudzona, usiadła na wojskowej pryczy. Stała przed nią kobieta w mundurze sierżanta z wyciągniętą ku niej ręką. Podniosła się i zachwiała na nogach, ale silna dłoń podoficer pomogła jej odzyskać równowagę.

– Tędy, proszę pani. Z balkonu wszystko pani zobaczy.

– Marsjanie...? – Alex ruszyła biegiem, sierżant potruchtała za nią.

– Tak, proszę pani. Wygląda na to, że lądują. – Pchnęła drzwi ze świecącym nad nimi napisem „Wyjście” i wyszły na niewielki podest pierwszego piętra, z którego można było zejść schodami na niewielki parking.

Alex od razu je dojrzała: cztery... nie, pięć świetlistych smug opadających wolno jak na pokazie sztucznych ogni. Z każdej dobywały się snopy iskier i słupy dymu bijące wysoko w niebo. Początkiem każdej ze smug była sypiąca iskrami kula ognia.

Dwie zdążyły się już skryć za horyzontem na zachodzie. Chwilę później dalsze trzy zrobiły to samo nieco bardziej na północ, zostawiając na widnokręgu blade smugi.

– Jak pani myśli, gdzie to mogło spaść? – spytała sierżant drżącym głosem.

– Myślę, że ze sto pięćdziesiąt kilometrów stąd – odparła Alex. – Ale pewnie po tej stronie Appalachów. Trudno ocenić z tej perspektywy. Może mnie pani zaprowadzić do generała?

– Tak jest, pani doktor. Jest w punkcie dowodzenia. Mam tam panią odstawić, jak tylko będzie pani gotowa.

– Potrzebuję dziesięciu sekund! – Alex wpadła do pokoju i wrzuciła na siebie spodnie w kolorze khaki oraz bluzkę. Przez moment zawahała się, czy ma zrobić coś z włosami, mruknęła pod nosem: „A tam, pieprzyć”, i wciągając na głowę baseballówkę, ruszyła do drzwi.

– Ale precyzja! – powiedziała sierżant z uznaniem, spoglądając na zegarek. –

Osiemdziesiąt dwie sekundy.

Koszary oficerskie, gdzie przydzielono Alex kwaterę, mieściły się kilkaset metrów od budynku dowództwa. Kobiety lekkim truchtem przebiegły przez plac apelowy i wbiegły po schodkach prowadzących do budynku. Na ich widok pełniący wartę żołnierz w mundurze MP usłużnie przytrzymał im drzwi i Alex z zaskoczeniem stwierdziła, że tym razem nikt jej nawet nie pyta o

identyfikator.

Sierżant poprowadziła ją przez hol i wprowadziła do dużej, jasno oświetlonej sali.

Pełno było w niej wojskowych ślęczących nad mapami i pochylających się nad jakimiś wykazami. Co chwilę zdyszani gońcy rzucali na stół kolejne radiogramy i wracali pędem do pomieszczeń radiooperatorów.

Generał Davis nie górował nad innymi posturą czy siłą głosu, ale miał w sobie coś takiego, że natychmiast przyciągnął jej wzrok. Był zatopiony w rozmowie z jakimś młodym pułkownikiem, gdy dostrzegł wchodzącą Alex. Wykonał gest, który uznała za zaproszenie.

– Wygląda na to, pani doktor, że się wreszcie doczekaliśmy! Proszę spojrzeć, gdzie ci łajdacy wylądowali – powiedział, wskazując na mapę rozłożoną na stole.

Była to dość szczegółowa mapa Stanów Zjednoczonych mająca w poprzek jakieś dwa i pół metra. Powtykano w nią wiele szpilek z różowymi łebkami. Wzrok Alexandrii natychmiast powędrował ku Środkowemu Zachodowi. Dwie szpilki tkwiły w Wisconsin: jedna tuż obok Madison, druga nieco dalej na południe. Inne rozciągały się wachlarzem po równinach Illinois, cztery wyznaczały pas zaczynający się nieco na zachód od Rockford poprzez środek stanu aż po rzekę Indiana, jednak bliżej rzeki Ohio niż Chicago.

Aż gęsto od szpilek było na wschodzie kraju: pięć tworzyło pas idący przez środek Georgii, inny ciągnął się na północ i trzymając się na wschód od Appalachów, prowadził przez Wirginię, Maryland i Pensylwanię, po czym przecinał

stan Nowy Jork i docierał do oceanu nieco na północ od Bostonu. Tereny na zachód od Missisipi były wolne od szpilek, przynajmniej na razie.

Generał Davis stał z zaciśniętymi zębami i wysuniętą do przodu szczęką, a w jego oczach świecił dziwny blask. Był wyraźnie w bojowym nastroju, zapewne uradowany, że wreszcie ma przed sobą konkretnego wroga, a nie coś enigmatycznego i nieuchwytnego.

– Strasznie ich dużo – szepnęła Alex.

– Ponad trzydzieści w samych Stanach. Wygląda na to, że te wielkie beki się otwały i wypuściły po kilkanaście albo więcej mniejszych łajdaków. Coś, jakby ładowników.

– Mnóstwo ich wylądowało na Wschodnim Wybrzeżu – zauważyła. – Jakby chcieli okrążyć Atlantę.

– A co jeszcze pani myśli o ich miejscach lądowania? – spytał generał.

– Chyba chcieli odciąć gęsto zaludnione rejony wzdłuż Wschodniego Wybrzeża.

Czyli na pewno musieli nas wcześniej pilnie obserwować. Utworzyli kordon od Richmond aż do Bostonu, otaczając pas przybrzeżny, w którym mieszka – boja wiem? – jakieś pięćdziesiąt milionów ludzi. A tu z kolei, w Georgii, wygląda to na pierścień okrążający Atlantę. A tam dalej, na

Srodkowym Zachodzie... – „A tam dalej wylądowali prawie na podwórku mojego ojca!”, chciała krzyknąć, jednak opanowała się i mówiła dalej beznamiętnym tonem naukowca. – Na północy utworzyli pierścień wokół Chicago i Indianapolis. Czyli okrążają wielkie skupiska ludzkie.

– Ja też tak to odbieram. Wyraźnie wiedzą, gdzie mieszkamy, ale wygląda mi na to, że nie wzięli pod uwagę rozlokowania naszych sił zbrojnych. I przysięgam Bogu, że udowodnię tym wrednym sukinsynom, iż popełnili straszny błąd!

Spojrzał na ubranego w nowiutki mundur połowy młodego pułkownika, z którym wcześniej rozmawiał. Oficer stał nieruchomo wpatrzony w mapę i tylko raz podniósł wzrok na Alexandrię. Wydało jej się wtedy, że w jego oczach dostrzegła wrogość, i to ją zupełnie zaskoczyło.

Generał Davis przejechał dłonią nad mapą i pokazał palcem punkt nieco na zachód od Fayetteville w Karolinie Północnej, potem pociągnął nim na północny wschód ku Wirginii.

– Dostałem rozkaz z Pentagonu – oznajmił. – Mam wysłać silny oddział

rozpoznawczy w rejon na południe od Richmond. Pułkownik Lee... – wskazał

młodego oficera – obejmie dowództwo tego oddziału w sile niestety tylko niepełnego batalionu pancernego. Ale i tak dajemy im wszystkie abramsy z trzeciej dywizji piechoty, jakie udało nam się uruchomić. Także trochę lekkiej broni pancernej z siedemdziesiątej trzeciej baterii trzeciego batalionu, plus wsparcie w postaci wszystkich środków transportu na chodzie. Nie jest to cios, jaki chciałbym im wymierzyć, ale na początek wystarczy. Zgadza się, pułkowniku?

– Tak jest, panie generale! – Pułkownik Lee wyprostował się jak struna. – Mam nadzieję, że w ciągu godziny będę dysponował trzydziestoma abramsami i niemal tyloma sheridanami.

– No i, pani doktor...? – Generał spojrzał na nią z ukosa.

– Tak, panie generale?

– Nie mogę oczywiście wydać pani rozkazu, ale chciałbym prosić, żeby pani też wzięła udział w tej wycieczce i obejrzała wszystko, co jest do zobaczenia. Mogłaby pani?

– Będę zaszczycona, panie generale.

– Pułkowniku, ma pan u siebie miejsce dla obserwatora-naukowca?

– Znajdzie się, panie generale. – Powiedział to bez entuzjazmu i widać było, że nie jest zadowolony. Spełni oczywiście rozkaz swego dowódcy, ale to nie oznacza jego akceptacji.

Generał pominął milczeniem ton pułkownika i zwrócił się do Alex.

– Świetnie. A tu mam drobiazg, który zechce pani przyjąć na szczęście. – Davis odpiął coś od bluzy munduru i w pierwszej chwili Alex pomyślała, że daje jej mały zegarek. Dopiero po bliższym przyjrzeniu okazało się, że to podręczny kompas, z jakim harcerze wyruszają na leśne wyprawy. – W

sześciodziesiątym dziewiątym pomógł mi odnaleźć drogę w kambodżańskiej dżungli, więc może i pani do czegoś się przyda.

– Bardzo dziękuję, panie generale. Naprawdę doceniam pański gest. A panu, panie pułkowniku, obiecuję, że nie będę wchodziła w drogę.

– Doskonale – odrzekł pułkownik łagodniej, choć jego wzrok był nadal twardy i nieufny. – Wyruszamy o czwartej. Zdąży się pani przygotować?

– Już jestem gotowa, panie pułkowniku – odparła.

Baza sił powietrznych Eglin,

Floryda

W sali odpraw siedziało czternastu pilotów, choć wszyscy wiedzieli, że z całego skrzydła bojowego udało się uruchomić tylko dziesięć warthogów. Dowódca bazy, pułkownik Willard, wkroczył na salę dokładnie o 3.25 i natychmiast skupił na sobie uwagę wszystkich obecnych.

– Będzie to misja tylko dla ochotników – rozpoczął odprawę. – Mamy pięć rejonów działania, rozrzuconych po całej Georgii, i do każdego polecą po dwie maszyny. Każda z nich będzie w pełni uzbrojona, to znaczy będzie miała po osiem jednotonowych bomb typu Mark 84. Nie zmarnujcie ich. Wasze zadanie będzie też polegało na zebraniu maksimum danych na temat obiektów wroga. Bardzo możliwe, że będziecie pierwszymi na świecie ludźmi, którzy na własne oczy zobaczą tych skurwiele. I równie możliwe jest to, że was zaatakują bronią, o jakiej nie mamy pojęcia. Wszystkich, którzy woleliby nie brać udziału w tej misji, proszę teraz o opuszczenie sali. Mogę was zapewnić, że nie zostaną wyciągnięte żadne konsekwencje z tytułu podjęcia takiej decyzji, którą – jak zapewne wszyscy się zgodzą – można nazwać absolutnie rozsądną.

Oczywiście nikt nawet nie drgnął, nie mówiąc o wstawaniu i wychodzeniu.

– Dobrze. I nie zaskoczyliście mnie. – Willard pozwolił sobie na przelotny uśmiech, jednak zaraz znów spoważniał. – Ale zanim spróbujemy się zmierzyć z nieznanym, chcę, byście mieli pełną świadomość, że to nie będzie łatwa misja.

Nasze ekipy obsługi naziemnej stanęły na głowie, żeby usprawnić wasze stare warthogi. Musieli je ogołocić z większości systemów pomocniczych, więc będzie się nimi leciało mniej więcej tak, jak latało się w latach osiemdziesiątych. Będziecie mieć pełną kontrolę nad pracą silników, sterami i podwoziem. Będziecie też mogli korzystać z działka Gatlinga i pełnego zapasu amunicji. Jeśli jednak chodzi o bombardowanie, to w swoich thunderboltach II będziecie się czuć jak wasi dziadkowie w czterdziestym czwartym nad Normandią w thunderboltach P-47. Cały system LATSE [(ang. Low Altitude Targeting and Safety Enhancement System) – system wspomagający naprowadzanie na cel i bezpieczeństwo lotu na niskich wysokościach] został odłączony, więc podczas ataku zostaniecie pozbawieni pomocy w zakresie naprowadzenia na cel i bezpieczeństwa lotu na niskich wysokościach. Praktycznie rzecz biorąc, do dyspozycji zostaje tylko spust zwalniający bombę. Całą resztą będzie rządziła grawitacja i wasza umiejętność celowania. Musicie wstrzymać się ze startem

do świtu, bo NVIS [(ang. Night Vision Imagirtg System) – system nocnej widoczności] też odpada, jednak chcemy, żebyście o piątej byli już w powietrzu. W waszych samolotach nie będą działały wskaźniki CDU, [(ang. Control Display Unit) – elektroniczna tablica wskaźników] więc będziecie musieli odczytywać wskazania po staremu, cel zaś trzeba będzie odnaleźć bez pomocy GPS. Na szczęście mamy dużo map drogowych Georgii i wszyscy je dostaną. Na mapach wyraźnie zaznaczono wasze cele. Namawiam, żebyście się pilnowali dróg tak długo, aż znajdziecie się na odległość wzroku od celu.

To ostatnie zdanie wypowiedział bez cienia sarkazmu. Diuk Hayes spojrzął na swą skrzydłową, Kathy Styles, przez wszystkich zwaną Stylową, i uniósł brwi, a ona w odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami. Niemal słyszał, jak swym śpiewnym teksańskim akcentem mówi: „I ciekawe, co jeszcze?”.

– Ponadto – ciągnął pułkownik – w waszych samolotach nie działają też EAC i GCAS, [EAC (ang. Enhanced Altitude Control) – wspomaganie kontroli wysokości lotu; GCAS (ang. Ground Collision Avoidance System) – system ochrony przed zderzeniem z ziemią] więc od waszej pewności ręki na drążku będzie zależało utrzymanie wysokości, a od sokolego wzroku ocena, jak daleko jesteście od ziemi. Miejmy nadzieję, że elektronika nie przewróciła wam w głowach na tyle, żeby zapomnieć podstaw latania. Co do podchodzenia nad cel, powinniście nadlecieć od wschodu. Zapowiadają bezchmurne niebo, więc przynajmniej słońce będziecie mieć w plecy. Jeśli chodzi o pułap bombowy, to generał życzy sobie, żebyście się podzielili. W każdej z atakujących par jeden ma mieć wysoki pułap, drugi niski. Rozkaz ma na celu zwiększenie waszego bezpieczeństwa, a także lepszą precyzję ataku bombowego. W każdej z maszyn zamontowano radiostację pracującą w paśmie UHF. W drodze nad cel obowiązuje absolutna cisza w eterze. Nie wiemy, czy nie mogą podsłuchiwać naszych rozmów albo w ten sposób was namierzać. Po przeprowadzeniu bombardowania należy do minimum ograniczyć gadulstwo, żeby niepotrzebnie nie blokować kanału.

Otwartym tekstem należy bezzwłocznie przekazać nam wszelkie istotne dane zwiadowcze oraz meldunek o dokonanych zniszczeniach. Jeśli uda wam się przyjrzeć z bliska tym łajdakom, ich sprzętowi czy ocenić jego skuteczność, chcemy natychmiast o tym wiedzieć. Meldunki z opisem akcji mogą poczekać do powrotu do bazy. Jeśli zostaniecie trafieni, podawajcie przez radio współrzędne i katapultujcie się. Katapulty foteli i spadochrony powinny działać bez zarzutu.

Piloci w milczeniu spoglądali na dowódcę.

– Doceniam waszą determinację, by wziąć udział w tej misji. Bez względu na płeć, wobec wszystkich przy wyborze stosujemy kryterium starszeństwa. To oznacza, że Smitty, Ace, Beagie i Chuckie zostają na razie na ziemi. Ale bądźcie w pogotowiu, bo obsługa naziemna pracuje nad następnymi dwiema maszynami i może już koło południa będą gotowe do lotu. Co do reszty – powodzenia i niech was Bóg ma w swojej opiece. Lecicie parami. Sierżant Simmons rozda koperty z kompletem rozkazów, w tym także ostatnie dane na temat rozlokowania celów.

Powszechnie przez wszystkich lubiana, blisko czterdziestoletnia podoficer o kanciastej sylwetce i zaciętym wyrazie twarzy zaczęła rozdawać koperty. Pułkownik zamilkł, czekając, by je wszyscy otworzyli. Zgodnie z zapowiedzią, Diuk znalazł w swojej oficjalną mapę drogową stanu Georgia, na którą naniesiono pięć wyraźnie rzucających się w oczy, czerwonych kropek rozrzuconych w

środkowej części stanu.

Jedna z nich w samym środku stanu, jakieś trzydzieści kilometrów na północny zachód od Macon, była na mapie jego i Styłowy otoczona kółkiem.

Piloci potwierdzili swoje cele i pułkownik znów przemówił.

– Oczekuję, że udowodnicie, iż ludzie nie mają zamiaru przyjmować tego rodzaju zbrodniczej agresji na klęczkach. Powodzenia i pomyślnego polowania.

Rozległ się przyciszony szmer rozmów, wszyscy wstali z miejsc i ruszyli do wyjścia. Czwórka zostająca na ziemi uściśnęła dłonie pilotom, złożyła im życzenia powodzenia i w milczeniu przyglądała się, jak ubrani w kombinezony i hełmofony koledzy ruszają na stanowiska. Nad wschodnim horyzontem widać było jaśniejącą smugę. Była godzina 4.21.

Oba warthogi czekające na Diuka i Styłowe były już zatankowane i uzbrojone po osiem tonowych bomb doczepionych pod kadłubami. Już od roku latali razem w dowodzonej przez niego formacji i nie potrzebowali słów, by wyrazić wzajemne życzenia powodzenia. Wystarczył im mocny uścisk dłoni, po czym wspięli się do ciasnych kokpitów, zapięli pasy i szczelnie zasunęli szklane kopuły.

Nad wschodnim horyzontem wstawał już świt i zrobiło się na tyle widno, że było widać pozostałe maszyny stojące parami przed hangarami, w których je tak pospiesznie naprawiano. Turbiny odrzutowych silników zaczynały wirować, z wolna nabierając obrotów, aż wszystkie potężne silniki kolejno ryknęły pełną mocą, wypluwając fale żółtawego, piekielnego żaru, który we wstającym brzasku rozedrgał

powietrze nad płytą lotniska.

Diuk spojrział na Styłowe, która kiwnęła głową i uniosła kciuk w górę.

Odpowiedział tym samym, zwolnił hamulce i zwiększył obroty na tyle, że jego warthog drgnął i ruszył z miejsca. Samolot toczył się gładko, dygocąc pod działaniem siły tkwiącej w ryczących silnikach i walcząc z przytrzymującymi go hamulcami. Diuk skręcił na pas startowy biegnący niemal dokładnie na zachód, wprost pod lekki wiaterek. Samolot Styłowy toczył się obok z prawej. Spojrział na zawieszane pod nim ogromne bomby i do głowy przyszła mu porażająca myśl, że on ma pod sobą identycznych osiem bestii. Jakim cudem można się wznieść w powietrze z takim ciężarem?

Myśl zniknęła równie nagle, jak się pojawiła, bo światła – zainstalowane tymczasowo na pasie zamiast nowoczesnego systemu łączności z wieżą – zmieniły się z czerwonych na zielone. Diuk zwolnił do końca hamulce i w pełni otworzył

przepustnicę, co spowodowało gwałtowny dopływ paliwa do silników i do strefy za komorami spalania, a to uruchomiło dopalacze i dało turbinom maksymalnego kopa.

Mimo ogromnej masy warthog wręcz wyrwał do przodu i gwałtownie przyspieszając, popędził po pasie, drgając i podskakując na drobnych nierównościach betonowej nawierzchni.

Drgania ustały, gdy Diuk wolno pociągnął drążek na siebie, złożył się we wznoszący łuk w prawo i wyrównał na tysiącu pięciuset metrach. Stylowa zrobiła to samo, lecąc nieco z tyłu za jego prawym skrzydłem. Diuk spojrział na rozłożoną mapę, szukając na niej punktów orientacyjnych, które doprowadzą ich do celu. Bez trudu odnalazł autostradę międzystanową I-10 i mając ją po prawej, ruszył wzdłuż doskonale widocznych dwóch jasnych pasemek betonu, ciągnących się przez lekko pofałdowaną zieloność Florydy. Wkrótce dostrzegł jezioro Seminole z jego nieregularną linią brzegową, łagodnym łukiem skrzył na północny wschód i poprowadził swą towarzyszkę nad jeziorem i wzdłuż wijącej się zakolami rzeki Flint.

Lecieli tym kursem przez jakieś pół godziny, zmieniając go tylko na chwilę, tak by nie lecieć bezpośrednio nad Albany. Dotarli do jeziora Blackshear, skąd po prawej widać już było wyraźnie autostradę I-75, która zgodnie z mapą miała ich doprowadzić do samego Macon. Przestał śledzić szeroką sześciopasmową autostradę, której nie sposób było zgubić, i zaczął się bacznie rozglądać po północnym horyzoncie.

Wkrótce dostrzegł ciemniejszą plamę przypominającą wiszący nisko nad ziemią wał chmur. Po chwili nie miał już wątpliwości, że ma przed sobą kłęb dymu wywołany ogromnym pożarem, i z zaskoczeniem stwierdził, że widok ten budzi w nim autentyczną wściekłość – jakby spowodowane przez agresorów zniszczenia stanowiły dla niego osobistą zniewagę. Ominęli Macon i Diuk skrzył głowę, by nawiązać kontakt wzrokowy ze Stylową. Jak zwykle trzymała się równo w szyku.

Pokazał na nią i wyciągnął dłoń w górę, potem na siebie i skierował dłoń w dół.

Przytaknęła ruchem głowy, pociągnęła drążek i rozpoczęła wspinaczkę na poziom trzech tysięcy metrów. Przymknąwszy nieco przepustnicę, zatoczył łuk, chcąc przyjrzeć się sytuacji na ziemi i jednocześnie dać koleżance czas na osiągnięcie właściwego pułapu.

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to tłumy ludzi ciągnących ze strefy zagrożenia. Było ich pełno na szosach, polnych drogach i ścieżkach – wszędzie, gdzie sięgał wzrokiem. Większość szła pieszo, ale widać też było rowery, pojedyncze ciężarówki, a także kilka traktorów z przyczepami pełnymi uciekinierów. Niektórzy wznosili ku niemu głowy i machali, jakby zachęcając do działania. Chwilę potem znalazł się nad zupełnie szerniałą połacią terenu, nie tak dawno wypełnioną zielonymi pagórkami, a którą teraz strawił straszliwy, już dogasający pożar. Diuk coraz bardziej obniżał lot, tracąc z pola widzenia Stylowe, która skryła się gdzieś w chmurach. Skrzył na wschód i poleciał wzdłuż granicy strefy zniszczenia.

Pod sobą nie widział już ani ludzi, ani innych śladów życia. Przeleciał nad szczytem jakiegoś wzniesienia i wreszcie zobaczył sam krater, co wywołało u niego kolejny przyływ wściekłości. Było w nim coś wręcz wulgarnego, jak w obrzydliwej, otwartej ranie na powierzchni świata. Miał średnicę około dwóch kilometrów, a otaczał go wał czerwonej ziemi wyrzuconej ze środka przez uderzenie. Dalej rozciągał się szeroki, kilkukilometrowy pierścień zasypany warstwą popiołu i pozbawiony śladów dotychczasowego życia – ludzkich zabudowań, zieleni, dróg. Widać było, że uderzenie marsjańskiego obiektu kompletnie zdewastowało duży fragment terenu.

Sam krater wyglądał na dość głęboki i wciąż wydobywały się z niego kłęby dymu. Na widok tej dymiącej dziury w ziemi Diuk mimowolnie zacisnął palce na drążku. Wiedział, że Stylowa lada

chwila osiągnie pułap, z którego zrzuci bomby, jednak potężne wybuchy i tak go zaskoczyły – osiem kolejnych eksplozji następujących po sobie tak szybko, że nie potrafiłyby ich nawet dokładnie policzyć. Z

krateru wytrysnęły słupy pomarańczowego ognia, które wzniosły się ku niebu wraz z kłębam czarnego dymu.

Diuk z napięciem rozglądał się wokół, oczekując kontrataku, jednak poza słupami płomieni i dymu na dole nic nie było widać. Krążył tak długo, aż wiatr rozwiał trochę dymu zasnuwającego krater. Gdy cel ukazał mu się wyraźnie przed oczyma, pilot zszedł jeszcze niżej, na niecałe sto pięćdziesiąt metrów. Krawędź leja krateru wystawała nieco ponad otoczenie, jednak Diuk nie zmienił wysokości i przeleciał zaledwie około stu metrów nad nią.

Wnętrze krateru wyglądało jak misa gęstej, dymiącej zupy, nad którą wisiał

tuman ciemnej mgły ciągnącej się po całym terenie i mocno pogarszającej widoczność. Mimo to nie miał wątpliwości, że pod nim jest tylko jałowa, spalona ziemia bez śladów roślinności. Podmuch wiatru rozwiał na chwilę dym dobywający się z dna krateru i wtedy dojrzał w nim coś dużego i połyskliwego. Jakby kawał

wielkiej pokrywy z nierdzewnej stali, mocno osmolonej sadzą i dymem. Wiedział

już, co ma zaatakować, i przechylając lekko drążek sterowniczy, skierował samolot wprost na metaliczny fragment.

Nacisnął po cztery zwalniacze jednocześnie i poczuł, jak samolot raptownie wrywa do góry, uwolniony od potężnego ciężaru bomb penetrujących. W tym samym ułamku sekundy otworzył przepustnice i nagle przyspieszenie wcisnęło go w oparcie fotela. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się bombardować z tak małej wysokości, ale zdawał sobie sprawę, że czeka go silny wstrząs.

Jednak nie spodziewał się aż tak potężnego wybuchu. Odczuł go, jakby jakaś gigantyczna pięść walnęła w jego samolot od spodu i rzuciła go kilkadziesiąt metrów w górę. Z trudem opanował maszynę, którą gwałtownie zatrzęsło, i z maksymalną prędkością uciekł ze strefy wybuchu. Potem jednak uznał, że wystarczy mu paliwa i może sobie pozwolić, by zawrócić i przyjrzeć się poczynionym zniszczeniom.

Zawrócił długim łukiem, czekając, aż ogień i dym od jego bomb nieco opadną.

Dziesięć minut później przeleciał tuż nad kraterem i znów zobaczył wystający z niego metaliczny fragment. Przyjrzał mu się dokładnie, chcąc go jak najszczegółowiej opisać w meldunku, po czym zaczął się wspinać na bezpieczniejszą wysokość.

– Tu Hog Delta – zameldował się, po raz pierwszy od początku misji włączając mikrofon. – Wszystkie bomby poszły do szesnastu celnych trafień. Po ataku obejrzałem cel. Okrągła metalowa powierzchnia wystaje z dna krateru, wygląda na pokrywę cylindra. – Zaczerpnął głęboko powietrza, starając się opanować dławiącą go wściekłość. – Od cholery celnych trafień. Tylko wygląda to tak,

jakbyśmy ich, kurwa, nawet nie drasnęli.

SZEŚĆ

8 czerwca

Autostrada I-85,

granica Wirginii z Karoliną Północną

Alexandria przegrała pierwszą rundę z pułkownikiem Lee, w wyniku czego jechała w pozbawionym okien wnętrzu transportera bojowego piechoty Bradley M2, a nie w hunweesie czy szoferce którejś z ciężarówek, skąd miałyby widok na to, co się wokół działo.

– Dość się pani napatrzy, jak dotrzemy na miejsce – warknął pułkownik. – A teraz bardziej zależy mi na tym, żeby utrzymać panią przy życiu.

Ubrana była w dzinsy, połowę kurtkę i wojskowe buty, jednak zaparła się i odmówiła włożenia kevlarowego hełmu i kuloodpornej kamizelki. Od ośmiu godzin tkwiła we wnętrzu bradleya wraz z sześcioma żołnierzami kompanii B trzeciego pułku piechoty. Dowódca transportera, porucznik Hickman, i strzelec siedzieli w niewielkiej wieżyczce, a kierowca zajmował oddzielną kabinę z przodu, do której wchodziło się wąskim przejściem nazywanym przez żołnierzy „piekielną dziurą”.

– Lexus to to nie jest – przyznał sympatyczny starszy szeregowy z napisem

„JONES” na naszywce na piersi, który posunął się, by zrobić Alex miejsce na ławeczce toczącego się z chrzęstem opancerzonego transportera. – Ale chociaż benzyna nic nas nie kosztuje.

Jak pozostali, Jones wyglądał bardzo młodo. Grupa złożona z żołnierzy służby zasadniczej zdawała się zaciekawiona i podniecona czekającym ich zadaniem i nie widać było u nich żadnych oznak strachu. W ciasnej kabinie powitali ją uśmiechami i po nieodzownej serii żartobliwych zaproszeń, by usiadła im na kolana, bez protestu ścieśnili się jeszcze bardziej, by zrobić dla niej miejsce. I od wielu godzin trwali tak pogrążeni w myślach, jadąc na spotkanie z czymś, czego nie potrafili sobie nawet wyobrazić. Byli w pełnym bojowym rynsztunku i każdy trzymał na kolanach pistolet M16.

W pewnej chwili monotony chrzęst bradleya zmienił tonację i Alex poczuła, że pojazd zwalnia. Zapiszczały hamulce, transporter szarpnął jeszcze do przodu i stanął, wytrącając żołnierzy z letargu.

– Hej, poruczniku – zawołał Jones w stronę wieżyczki. – Co jest grane?

– Pułkownik tu jedzie – odkrzyknął młody dowódca. – Otwierać włącz, wszyscy wysiadać.

Alex poczuła ulgę na widok otwierającej się tylnej klapy, która po położeniu na ziemi tworzyła pochylnię do wsiadania i wysiadania. Powietrze na zewnątrz cuchnęło spalenizną, ale i tak stanowiło pożądaną odmianę wobec klaustrofobicznej ciasnoty kabiny. Żołnierze mieli widać operację wysiadania dobrze wyćwiczoną, gdyż dosłownie w ciągu kilku sekund wszyscy znaleźli się na zewnątrz. Alex zajęło to znacznie więcej czasu, bo musiała najpierw przywrócić krążenie w zdrętwiałych nogach, potem stanęła w wejściu, rozprostowała kręgosłup i dopiero wtedy ostrożnie zeszła na ziemię.

Kolumna zatrzymała się na prowadzącym na północ pasie autostrady I-85. Od razu rzuciły się w oczy niekończące się tłumy cywilów zmierzających drugą jezdnią autostrady w odwrotnym kierunku. Większość szła pieszo, choć widać też było jadących poboczem na rowerach, tyle że bez kasków i barwnych trykotów kolarskich, tak typowych dla rowerzystów zazwyczaj licznie kręcących się po drogach. Byli zwyczajnie ubrani i poruszali się na różnych dwukołowcach, mając na sobie plecaki, przytroczone do bagażników toboły lub dyndające przy kierownicach torby. Od czasu do czasu drugim poboczem przemykały stare ciężarówki i muzealnie wyglądające samochody osobowe, które przeciskały się wśród piechurów ewakuujących się z okolic Richmond do Karoliny Północnej. Wielu przyglądało się kolumnie wojska z mieszaniną apatii i nadziei.

– Dajcie tym skurwielom popalić! – zawołał ktoś i wywołał tym pojedyncze okrzyki zachęty, jednak większość osób nawet nie uniosła głowy.

Alex zobaczyła, że za ich transporterem stoi jeszcze kilkanaście bradleyów.

Obeszła swój wóz i stwierdziła, że kolumna zatrzymała się na grzbiecie niewielkiego wzniesienia. W dolinie przed nimi widać było kolejne transportery, a także wielkie, płaskie czołgi, w których rozpoznała abramsy stanowiące podstawowy typ czołgu na wyposażeniu armii amerykańskiej. Zauważyła też kilka mniejszych pojazdów pancernych, które zjechały z jezdni i stanęły na poboczu. Domyśliła się, że muszą to być sheridany. Widać też było liczne hunweesy. Jeden z nich zbliżał się właśnie, jadąc pod prąd lewym pasem. Zatrzymał się i w siedzącym obok kierowcy Alex rozpoznała pułkownika Lee, którego głowa i ramiona wystawały ponad przednią szybą.

– Doktor DeVane! – zawołał.

– Tak jest, panie pułkowniku! – zameldowała się służbiście, siłą się powstrzymując, by sobie nie zakpić i nie zasalutować.

– Zbliżamy się do celu. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym, żeby się pani przesiadła do mnie i pomogła we wstępnej ocenie sytuacji.

– Oczywiście, panie pułkowniku – odrzekła, postanawiając nie zastanawiać się nad przyczyną nagłej zmiany w jego nastawieniu, po czym zwracając się do Jonesa i jego kolegów, dodała: – Dzięki, chłopcy, za podwiezienie. Życzę powodzenia!

– My pani też, doktorko! – odparł Jones, odprowadzając ją wzrokiem.

Nim zdążyła zapiąć pas, pojazd wykonał raptowny zwrot i zaczął sunąć do przodu wzdłuż stojącej kolumny. Wprawdzie ze swego miejsca nie widziała za dobrze, ale i tak czuła wdzięczność, że po wielogodzinnej jeździe we wnętrzu bradleya w ogóle cokolwiek widzi. Odchyliła się i nad ramieniem pułkownika wbiła wzrok w przerażający widok za przednią szybą. Z całkowicie zrównanego z ziemią, pustego terenu wznosiły się ku niebu potężne słupy czarnego dymu, ciągnąc się po nim jak ciężkie, burzowe chmury przed zbliżającą się nawałnicą. Ale były od nich jeszcze gęstsze i jeszcze czarniejsze. Pomyślała, że nigdy przed burzanie widziała takiego zachmurzenia. Właściwie można było powiedzieć, że po niebie przewalają się masy idealnej czerni, jeśli istnieje coś takiego jak idealna czerń.

Minęli szczyt łagodnego wzniesienia i otworzył się przed nimi widok rozciągający się na kilka kilometrów. Na przeciwległej jezdni autostrady widać już było tylko pojedynczych ludzi. Niektórzy siedzieli ze zwieszoną głową, inni leżeli na poboczu kompletnie wyczerpani. W pierwszym odruchu Alex pomyślała, że wojsko nie powinno przejeżdżać obok takich osób obojętnie, nie próbując udzielić im pomocy. Potem jednak odezwał się w niej głos rozsądku, który przypomniał o czekającym ich ważniejszym zadaniu i prostej prawdzie, że jeśli nie uda się go wykonać, wszystkich czeka jeszcze gorszy los.

– Otrzymał pan jakieś meldunki z lotów zwiadowczych? – spytała pułkownika.

Spojrzał na nią z niechętnym grymasem na twarzy. Miał groźnie zaciśnięte szczęki i przyglądał się jej spod przymrużonych powiek.

– Mam certyfikat „tajne specjalnego znaczenia” – burknęła niechętnie. – I rozumiem, że po to mnie tu wysłano, bym mogła pomagać w ocenie sytuacji. Więc przydałoby się, gdybym poznała trochę danych zwiadowczych.

W pierwszej chwili skrzywił się tak, jakby znów chciał się z nią posprzeczać, potem jednak doszedł do wniosku, że mówi sensownie, bo wzruszył ramionami, okręcił się na siedzeniu i kładąc lewą rękę na oparciu, spojrzał jej prosto w oczy.

– Mamy dane ze zwiadu powietrznego z kilku miejsc upadku, a także meldunki z przeprowadzonych bombardowań. Zrobiono też trochę zdjęć, ale z uwagi na EMP

nie ma możliwości technicznych, żeby je nam tu przesłać. Dlatego musimy zadowolić się opisami ustnymi. Obiekty wroga wydają się metalowe i mają kształt cylindryczny. Trudno ocenić ich długość, bo są w znacznej części wbite w ziemię.

Ich średnica sięga około dwunastu metrów. Upadek spowodował powstanie lejów o średnicy rzędu półtora kilometra. Niektóre są trochę większe, inne mniejsze, ale pewnie w głównej mierze zależy to od rodzaju gruntu. Chodzi mi o to, że wszystkie widziane cylindry mają identyczny rozmiar. W kilku przypadkach nasi piloci zaobserwowali połyskliwą powierzchnię, jakby z nierdzewnej stali, jednak w większości przypadków meldowano, że powierzchnia jest czarna i okopcona.

– Wspomniał pan o bombardowaniach. Ma pan meldunki o dokonanych zniszczeniach?

Lee ponuro pokręcił głową.

– Nic specjalnego. Wielu pilotów meldowało o trafieniu w cel, jednak kiedy po opadnięciu dymu zawracali, w zbombardowanych powierzchniach nie było żadnych dziur ani nawet zagłębień.

– Jakikolwiek ten metal jest, musi być niesłychanie odporny, skoro wytrzymał

wejście w naszą atmosferę. Boję się, że jedyne, co może sobie z nim poradzić, to ładunek nuklearny.

– A w wyniku EMP wszystkie nasze cholerne głowice jądrowe szlag trafił –

warknął pułkownik. – A w każdym razie diabli wzięli wszystkie systemy odpalania.

Bóg jeden wie, kiedy uda nam się znów coś zebrać do kupy.

– Nie mówiąc o tym, że gdybyśmy nawet mieli takie ładunki, oznaczałoby to atak nuklearny na połowę Wschodniego Wybrzeża. – Alex poczuła, że na samą myśl robi jej się słabo. – I nawet gdybyśmy w ten sposób pozbyli się Marsjan, ogromne i bezcenne połączenie kraju na następne pięćdziesiąt lat stałyby się pustynią.

– I dlatego poradzimy sobie z tymi bydlakami po staremu – odrzekł Lee. – Za pomocą naszych czołgów, armat i karabinów maszynowych. A jak trzeba będzie, to i na bagnety.

– Panie pułkowniku – wtrącił kierowca, wyciągając rękę.

– Zbliżamy się do strefy upadku.

– Dobra. Tu stajemy. Sierzancie, wyciągajcie sygnałówki. Przekażcie rozkaz, żeby pierwsze trzy plutony rozwinęły się w szereg bojowy. Reszta batalionu czeka w odwodzie.

– Tak jest! – Dopiero teraz Alex zorientowała się, że czwartym pasażerem hunweesa jest sygnalista. Wyskoczył niemal w biegu, rozciągnął kilka teleskopowych prętów i zaczął na nie naciągać barwne chorągiewki.

– Każdy z moich dowódców kompanii ma czynne radio – wyjaśnił Lee. – Ale nie mieliśmy czasu naprawiać radiostacji we wszystkich pojazdach, więc posługujemy się sygnałówkami. A poza tym nie wiadomo, czy te sukinsyny nas nie podsłuchują.

Po chwili sierżant wrócił na tylne siedzenie i humvee ruszył w dalszą drogę.

Rozglądając się, Alex zauważyła, że kilka ogromnych, płaskich abramsów z lewej i prawej także rusza do przodu, forsuje metalowe płyty wzdłuż autostrady i wjeżdża na pola, wprost w uprawy tytoniu i kukurydzy. Ich śladem ruszyło kilka bradleyów, skrzydła zamykało zaś kilka hunweesów wyposażonych w karabiny maszynowe i jeszcze jakąś cięższą broń – zapewne działka bezodrzutowe. Humvee pułkownika w asyście czołgu i dwóch bradleyów pozostał na jezdni autostrady. Alex uzmysłowiła sobie, że ich pojazd znajduje się na wysokim nasypie drogi, przez co jest doskonale widoczny i wystawiony na atak.

Ciężkim, masywnym wozem aż zatrzęsło, gdy kierowca, nie zwalniając, wjechał

w dużą wyrwę w nawierzchni. Po chwili w miarę gładka droga się skończyła i humvee zaczął borykać się z kawałkami betonu wyrwanymi i rozrzuconymi po drodze w wyniku wstrząsu wywołanego upadkiem nieznanego obiektu. Sierżant siedzący za kierownicą wykonywał gwałtowne ruchy kierownicą w lewo i w prawo, usiłując omijać piętrzące się przeszkody. Napęd na cztery koła był w tych warunkach bezcenny i pozwalał przednim kołom wspinać się na bryły betonu, podczas gdy tylne buksowały, bryzgając fontannami odłamków.

Z lewej wznosiło się wzgórze pokryte gęstym lasem całkowicie ogołoconym z liści. Jeszcze

niedawno pełne życia i zieleni drzewa stały szerniałe i osmalone przez ogień. Most nad przecinającą autostradę drogą zawalił się i ich minikonwój musiał

zjechać po porośniętym trawą nasypie, objechać zawalony most i ponownie wspiąć się na nasyp.

Krajobraz wydawał się Alex tak obcy, jakby pochodził z innej planety. Nie było śladu zieleni, która jeszcze kilka dni wcześniej porastała wszystko wokół. Miejscami widać było ruiny zabudowań – sterczące kikuty fragmentów ścian i dachów, które zawałyły się pod ciężarem mas ziemi i skał wyrwanych z lejów powstałych w momencie upadku obiektu. Dalszy przebieg autostrady można było rozpoznać jedynie po mniej więcej równoległych grzbietach dwóch wałów, jezdnie bowiem były tak zasypane ziemią, błotem i odłamkami skalnymi, że tylko miejscami przezierają przez nie niewielkie fragmenty nawierzchni.

Nieco dalej nawet i one zniknęły, a wszystko wokół stało się jednym wielkim pustkowiem zasypanym tonami ziemi i skał – warstwą na tyle grubą, że pokryła wszelkie ślady roślinności i domów. Jak łatwo daje się zetrzeć z powierzchni ziemi dowody ludzkiej egzystencji! Przed nimi aż po horyzont rozciągała się tylko jednostajna pustynia. Dopiero daleko na krańcach z prawej i lewej horyzont opadał

nieco w dół, tworząc rozległy płaskowyż. Alex domyśliła się, że ma przed sobą krawędź stożka ogromnego krateru powstałego po upadku obiektu.

Szarpiąc i rżąc z wysiłku, humvee pokonywał coraz bardziej strome zbocze krateru, a jego kierowca, gwałtownie kręcąc kierownicą, starał się wyszukiwać najdogodniejszy tor jazdy. Alex kurczowo trzymała się uchwyty, czując, jak koła buksują w spulchnionej ziemi. Jakies sto metrów w prawo od nich to samo wzgórze pokonywał jeden z potężnych czołgów. Podskakując na gąsienicach i amortyzatorach, sunął po zboczu z dużo większą swobodą, niż wyposażony w znacznie mniejsze koła humvee. Kierowca raz jeszcze dodał gazu, silnik zawył na wysokich obrotach, pojazd szarpnął do przodu i stanął, a spod jednego z tylnych kół

wystrzeliła fontanna ziemi oraz kamieni.

– Przykro mi, panie pułkowniku, ale dalej nie pojedziemy – oświadczył

kierowca.

– To idziemy pieszo – zawyrokował Lee, otwierając drzwi i zeskakując na ziemię. Alex poszła jego śladem. Zauważyła, że czołg też się zatrzymał, choć do krawędzi leja zostało im jeszcze kilkadziesiąt metrów.

Tuż za nimi stanął drugi humvee, z którego wysiadło kilku żołnierzy z pistoletami maszynowymi M16 w rękach. Dowodzący nimi porucznik niósł

natomiast coś, co wyglądało jak nieduży kasetowiec z doczepionym na kablu mikrofonem. Gdy zbliżył się, Alex zauważyła, że całe urządzenie poklejone jest taśmą. Widząc jej spojrzenie, młody porucznik uśmiechnął się.

– To własnej roboty licznik Geigera – wyjaśnił. – Złożyliśmy go w warsztacie z części zapasowych.

– Świetny pomysł – pochwaliła, zaskoczona. Podstawę licznika rzeczywiście stanowił magnetofon kasetowy, co potwierdzały dobywające się z głośnika piknięcia sygnalizujące obecność naładowanych jonów. Częstotliwość piknięć była niewielka

– z grubsza taka, jakiej można oczekiwać przy naturalnym promieniowaniu tła – i przynajmniej to było pocieszające.

Z oddali usłyszała klekot zbliżających się śmigłowców, po chwili z dużą prędkością nadleciały i obniżyły lot. Były cztery – same hueye w oliwkowo-brunatnych barwach maskujących. Rozdzieliły się na dwie pary i zawisły w powietrzu po bokach stanowiska dowodzenia. Oddalone od siebie o jakiś kilometr wisiały poniżej krawędzi leja, do którego Alex mozolnie podążała za pułkownikiem.

Szczęście, że ma na nogach wojskowe buciory, myślała, co krok zapadając się po kostki w miękką ziemię. Pochyliła się do przodu, wydobyła stopę i instynktownie przykucnęła, bo okazało się, że właśnie dotarła do szczytu.

Rozciągnęli się na zaskakująco zimnej ziemi i Alex podczołgała się jeszcze kawałek, by wyrzeć poza krawędź. Ze względu na łagodne wybrzuszenie ścian wszyscy musieli się podsunąć, nim ich oczom ukazało się wreszcie dno głębokiego leja.

Choć wciąż wydobywały się z niego kłęby dymu czy pary, Alex natychmiast dojrzała wystające z ziemi zakończenie cylindra. Miało kształt idealnie kolisty, było szerniałe i osmolone, w kilku miejscach na powierzchni coś się tliło, a rozmiarami przekraczało nawet raketę Saturn, którą widziała kiedyś na przylądku. Cylinder był

wbity w ziemię lekko ukośnie i wystawał tylko niewielki jego fragment, jednak natychmiast skojarzył się jej z pociskiem. Z kosmicznym oszczepem, który wbił się niemal całą długością w cel.

I to właśnie widok tego pocisku brutalnie wbitego w jej planetę zabolął Alex najbardziej – bardziej niż Impuls, zniszczenia czy kolumny uchodźców. Był to gwałt popełniony na jej ziemi i na niej samej, to wywoływało w niej wściekłość i powodowało, że podświadomie zaciskała pięści. Czuła, że wszyscy stojący obok żołnierze odbierają to podobnie. Pułkownik Lee gestem ręki nakazał, by wszyscy się odsunęli. Szybko cofnęli się, skryli za krawędzią krateru i oblepieni grudkami miękkiej ziemi stłoczyli się razem.

– Radio – rozkazał pułkownik i natychmiast zjawił się sierżant z przenośną radiostacją. Lee wziął do ręki mikrofon, spojrzał na wiszące w powietrzu śmigłowce i wycedził: – Uwaga, Zielone Ptaki! Dowalcie tym skurwysynom wszystkim, co tam macie. Jednoczesny atak i odskok.

Wszystkie cztery śmigłowce z zaskakującą żwawością ruszyły do przodu, z silnikami wyjąłymi na wysokich obrotach i wirnikami wściekle mielącymi powietrze wyskoczyły poza krawędź krateru. Alex utkwiała wzrok w prawej parze i podczołgała się za pułkownikiem na tyle, by obserwować wystający koniec marsjańskiego cylindra.

Dopiero teraz dostrzegła, że wszystkie cztery śmigłowce są uzbrojone w arsenał

groźnie wyglądających pocisków raketowych, które przyczepiono po bokach kadłubów. Odpalone rakiety wystrzeliły do przodu, ciągnąc za sobą proste jak strzała warkocze dymu. Podążyła za nimi wzrokiem. Widziała, jak wszystkie zbiegają się do środka i gnają ku metalowej końcówce potężnego cylindra. Były to zwykłe, wystrzeliwane po prostej pociski bez naprowadzania, ale piloci mieli dobry wzrok i dobrze celowali. Jedna po drugiej rakiety trafiały w cel w tak szybko następującej po sobie serii wybuchów, że zlały się w jedną gigantyczną eksplozję na powierzchni nieznanego obiektu. Alex zatkała sobie uszy dłońmi, jednak nie mogła oderwać wzroku od tego pokazu straszliwej siły rażenia.

Przez chwilę marsjański obiekt zakryły kłęby płomieni i dymu, które przesłoniły całe dno krateru. Pomyślała nawet, że to płonie trafiony cylinder, ale szybko zorientowała się, że płomienie i dym pochodzą tylko z samych rozrywających się głowic. Słup płomieni opadł i nawet z tej odległości poczuła gryzący dym.

Śmigłowce już się wycofały, a podmuch wiatru rozwiał nieco gęstą chmurę dymu.

Wbiwszy wzrok w cel, na ciemnym tle dojrzała kilka srebrzyście połyskujących plam i zdała sobie sprawę, że plamy te stanowią jedyny efekt przeprowadzonego ataku.

– Tylko im trochę porysowali powłokę – powiedziała z goryczą w głosie, nie umiając ukryć zawodu. Cóż to za piekielny metal?

Dalsze rozmyślenia przerwało trzeszczenie odbiornika radiowego, po czym sygnalista ruchem ręki przywołał pułkownika. Ten zszedł z krawędzi i wziął

mikrotelefon.

– Wódz Rebeliantów – warknął.

Alex nie słyszała tego, co mówi głos w słuchawce, ale po reakcji pułkownika widać było, że nie jest zachwycony.

– Ależ panie generale! – wykrzyknął po dwudziestu sekundach słuchania. –

Jesteśmy już na miejscu, nawiązaliśmy kontakt wzrokowy! Proszę nas teraz nie wycofywać! – Znów na chwilę zamilkł, słuchając skrzeczenia w słuchawce, po czym zamknął oczy, jakby nie chciał patrzeć na reakcję innych na swoje słowa. – Tak jest, panie generale. Wódz Rebeliantów odmeldowuje się.

Oddał mikrotelefon sierżantowi i wbił w Alex tak wściekły wzrok, jakby to ona była winna wszystkiemu. A może tylko jej się tak zdawało? Może ta wściekłość była adresowana do całego oddziału?

– Wycofujemy się – rzucił. – Na pięć kilometrów od strefy upadku obiektu.

Generał Davis otrzymał taki rozkaz bezpośrednio od szefa połączonych sztabów na osobiste polecenie prezydenta. Zaczęli się obawiać, że te cylindry mogą być bombami. Nie chcą ryzykować życia żołnierzy ani nikogo z personelu. A więc zbieramy się i w drogę.

– Ależ to bzdura! – wykrzyknęła Alex. – Ten cylinder na dole jest taką samą bombą jak cholerna gałązka oliwna. Przecież nie ma sensu się teraz cofać i pozwolić tym w kraterze zrobić wszystko, co im się spodoba!

– Doktor DeVane! Nie przypominam sobie, żebym prosił panią o opinię. I jestem zupełnie pewien, że nie prosił też o nią generał ani prezydent. Wycofujemy się stąd i to jest rozkaz!

Zaczerpnęła powietrza, ale zaraz ugryzła się w język. Przypomniała sobie, jak –

kiedy chodziła jeszcze do szkoły – jej ojciec zapierał się przy jakimś bzdurnym zakazie. Nigdy nie udało jej się wtedy wywalczyć zmiany jego postanowienia drogą otwartego buntu. Nauczyła się natomiast, że istnieją subtelniejsze metody postępowania z uparciuchami.

– Nie chciałam pana urazić, pułkowniku – powiedziała. – Ale może rzeczywiście warto wspomnieć, że prezydent istotnie prosił mnie o opinię! Właśnie dlatego wydelegował mnie do Fort Bragg i to dlatego generał Davis przydzielił mnie do pańskiego oddziału. – Potrząsnęła głową na znak żalu i zniechęcenia. Wiedziała już, że pułkownik słucha jej z uwagą. – Bo proszę spojrzeć na to logicznie z punktu widzenia najeźdźcy. Gdyby to były bomby, ich zadaniem musiałyby być rażenie jak największej liczby ofiar. A więc zostałyby zdetonowane w atmosferze nad Ziemią, a nie wówczas, gdy są niemal w całości zagrzebane w gruncie. Proszę sobie również przypomnieć mapę generała i geografie miejsc upadku na wschodzie kraju.

– Tak, no i co? – spytał Lee niepewnie. Przez moment zostawiła jego pytanie bez odpowiedzi, bo czuła, że sam zaczyna dochodzić do tych samych wniosków.

– Połączcie mnie z generałem Davisem – warknął po chwili, a sierżant nastawił częstotliwość i przytknął mikrofon do ust.

– Wódz Rebeliantów do Braggarta [„Bragg” w nazwie Fort Bragg w postaci czasownika to bragg znaczy po angielsku „przechwalać się”; Braggart w tym kontekście to „samochwała”] – zawołał i po kilku sekundach podał mikrotelefon pułkownikowi.

– Panie generale! Muszę zameldować, że ten obiekt nie wygląda – powtarzam –

nie wygląda na coś wybuchowego. Doktor DeVane doszła do takiego samego wniosku i chciałaby przedstawić swoje stanowisko najwyższemu dowództwu. Tak jest, panie generale, tak wysokiemu, jak to będzie niezbędne.

Alex mile zaskoczyła determinacja w głosie Lee, choć trochę się spieszyła, gdy pułkownik skinął na nią i podał jej mikrotelefon.

– Doktor DeVane? – Szorstki głos Davisa był natychmiast rozpoznawalny. –

Chce pani, żebym pani stanowisko przekazał prezydentowi Stanów Zjednoczonych?

– Panie generale, jestem bardziej pewna niż wcześniej, że mamy do czynienia z ładownikiem kosmicznym, nie z bombą. Podejrzewam, że w pewnym momencie ładownik się otworzy, i dlatego uważam, iż jest niesłychanie ważne, by pańskie oddziały były wtedy na miejscu i mogły natychmiast zareagować. Można to porównać do naszych operacji desantowych podczas drugiej wojny światowej.

Wojsko jest zawsze najbardziej podatne na kontratak w chwili, gdy małymi pontonami dopływa do brzegu. Ale gdy tylko uda mu się uchwycić przyczółek na plaży, walka z nim staje się nieporównywalnie trudniejsza.

– Skąd to porównanie, pani doktor?

– Proszę sobie przypomnieć rozrzut miejsc lądowania, jaki widzieliśmy na pańskiej mapie. – Miała ten obraz wyraźnie w pamięci: czerwone główki szpilek układające się w długi pas wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, tuż na zachód od wielkich skupisk ludzkich. – Pańskim zdaniem te miejsca miały zostać wysadzone w powietrze czy stanowić linię ataku na nasze największe miasta?

– Cholera!

Wyobraziła sobie teraz generała, jak z grymasem na twarzy raz jeszcze przygląda się mapie i dochodzi do wniosku, że Alex ma rację.

– I jeszcze jedno, panie generale – dodała po kilkusekundowej przerwie.

– Co znowu? – Generał nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

– Gdyby to miała być bomba, byłaby wielokrotnie większa od największego ładunku wybuchowego, jaki kiedykolwiek wyprodukował człowiek. A zatem nie da się przewidzieć efektów jej wybuchu w sensie podmuchu, promieniowania, temperatury i całej reszty. A więc nawet jeśli się mylę, to czy znajdziemy się dwa kilometry od krateru czy całe dwadzieścia, i tak nie zagwarantuje nam to bezpieczeństwa. A jeśli mam rację, wycofanie pańskich żołnierzy będzie jak oddanie wrogowi plaży bez walki.

– Dość tego. Niech mi pani da pułkownika. Przekazała aparat pułkownikowi, który klęcząc kilka kroków dalej, przez cały czas przysłuchiwał się rozmowie.

Przejął słuchawkę, chwilę słuchał, po czym wykrzyknął:

– Tak jest, panie generale. Na pewno jej powtórzę, panie generale. Wódz Rebeliantów odmeldowuje się.

Z półuśmiechem na twarzy pułkownik oddał odbiornik sygnaliście.

– Generał kazał powiedzieć, że przekaże pani uwagi drogą służbową wyżej. I na razie dał zgodę na pozostanie na miejscu. Kazał mi też powiedzieć, że jeśli się pani myli, to to, co ci Marsjanie pani

zrobią, będzie niczym w porównaniu z jego zemstą.

– Jakoś to przeżyję. – Uśmiechnęła się i od razu zdała sobie sprawę, że w tych okolicznościach zdanie to zabrzmiało dość dwuznacznie. Ale słuchając wydawanych przez Lee rozkazów dowódcy czołgów, by obsadził pozycje wokół

krateru, i dowódcy baterii, by wycelował armaty w strefę upadku obiektu, nawet przez chwilę nie czuła wątpliwości.

SIEDEM

9 czerwca

Krater na południe od Richmond, Wirginia

– Pani doktor, niech się pani obudzi!

Kapitan należący do sztabu pułkownika Lee potrząsał ją za ramię. Alex stęknęła i niepewnie uniosła się z przedniego siedzenia hunweesa. Niebo wciąż jeszcze było ciemne, ale wewnątrz krateru rozświetlał teraz blask kilkudziesięciu reflektorów ustawionych na krawędzi i skierowanych na tkwiący w środku marsjański cylinder.

Wygramoliła się z pojazdu i zobaczyła, że kapitan wyciąga ku niej rękę z hełmem.

Bez protestu go przyjęła, nasadziła na głowę i zapięła pod brodą, potem podążyła za oficerem ku krawędzi leja. Uklękła i spojrzawszy w dół, stwierdziła, że cały krater jest rzęsiście oświetlony, niczym boisko w oczekiwaniu na rozpoczęcie ważnego wieczornego meczu.

W samym jego środku tkwił marsjański cylinder, wciąż jeszcze dymiąc, choć już dużo słabiej niż poprzednio. W ostrym świetle wyglądał złowieszczo i nienaturalnie, jak metalowy kret, który wylaził z ziemi w niecnym zamiarach. Mrugając i starając się strząsnąć z oczu resztki snu, stwierdziła, że wrażenie ruchu nie było złudzeniem: koniec cylindra powoli się obracał, choć jego masywny korpus wciąż tkwił wbity w ziemię i pozostawał nieruchomy.

– Wygląda na to, że przedstawienie zaraz się zacznie – powiedział pułkownik Lee z nonszalancją która ją zdumiała. Sprawiał wrażenie, jakby z radością witał

koniec oczekiwania i cieszył się na myśl, że będzie mógł wreszcie podjąć konkretne działania.

– Od jak dawna się to obraca? – spytała.

– Dopiero zaczęło. Zapamiętałem sobie ten ślad, który zrobiła jedna z naszych rakiet. Mniej więcej jeden pełny obrót.

– Zupełnie jakby odkręcali zakrętkę – stwierdziła, kręcąc głową, zaskoczona prymitywizmem tego rozwiązania.

– No i naprawdę mam nadzieję, że mieliśmy rację, iż to nie bomba – dodał Lee z pyszałkowatym uśmiechem.

W przeciwieństwie do jego nonszalancji i pewności siebie, Alexandria czuła, jak strach ściska ją za gardło. Ze swego miejsca widziała grupę żołnierzy przyczajonych w kraterze i z podziwem myślała o ich odwadze, która pozwoliła im podejść tak blisko do tego nieznanego obiektu. Wszyscy byli ubrani w plastikowe kombinezony NBC [(ang. Nuclear, Biological, Chemical) – ochrona przeciwjądrowa, przeciwbioologiczna i przeciwchemiczna] z własnymi zasobnikami powietrza, co musiało utrudniać im swobodę ruchów i zmniejszać szybkość reakcji. Mimo to wszyscy trzymali w rękach karabiny, niektórzy nawet cięższą broń. Było ich kilkudziesięciu i stali rozstawieni wokół

cylindra nieco powyżej dna krateru z bronią wymierzoną w obracającą się pokrywę.

Alex przysłoniła sobie dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem reflektorów i rozejrzała się po krawędzi krateru. Wszędzie widać było czołgi, a gdy jej wzrok się nieco przyzwyczaił, dostrzegła też liczne okopane armaty. Podczas gdy drzemała, pewnie prowadzono tu wyteżone prace inżynierskie z użyciem Spychaczy i łopat.

Wielkie abramsy stały teraz tuż za krawędzią krateru najwyraźniej w nadziei, że ich długie, płaskie cielska pozostaną niewidoczne dla marsjańskiego obiektu. Potężne studwudziestomilimetrowe lufy dział wystawały poza krawędź i były w nią na tyle zagłębione, że można je było wycelować prosto w cylinder. Z najbliższej stojącego czołgu dochodził do niej ledwo słyszalny szum, kobieta zaś wiedziała, że oznacza to, iż jego turbina pracuje i w razie potrzeby jest gotowa wprawić sześćdziesięcotonowego kolosa w zaskakująco szybki ruch. Sheridan – wyższe i lżejsze od abramsów – rozmieszczono na samej krawędzi krateru, a lufy ich dział

także skierowano w dół na wrogi obiekt.

Wróciła wzrokiem do wnętrza krateru i jak zahipnotyzowana zaczęła się wpatrywać w obracającą się końcówkę cylindra. Wyglądało, jakby nie miała nigdy przestać się kręcić. Zaczepiła wzrok na tej samej rysie co pułkownik i doliczyła się sześciu kolejnych pełnych obrotów, z których każdy trwał niecałą minutę. Potem wszystko zamarło, a ona zdała sobie sprawę, że w oczekiwaniu na to, co się stanie, aż wstrzymuje oddech. Zmusiła się do wypuszczenia powietrza, ale trwała przyklejona do ziemi, starając się nawet nie mrugnąć.

Odnosiła wrażenie, że cały oddział też zamarł w oczekiwaniu. Powietrze było gęste od niepokoju, grozy, czekania na niewiadome...

Ogromne okrągłe dno cylindra powoli zaczęło się odchyłać, ukazując ciemną i pustą czeluść. Żołnierze z uniesioną bronią trwali, kucając, kłęcząc i leżąc w pozycjach strzeleckich.

– Posłać flarę – rozkazał pułkownik Lee.

Stojący obok żołnierz wystrzelił raketę, która pomknęła do góry z sykiem, sypiąc iskrami niczym raca wystrzeliwana 4 lipca i zmierzając nieomylnie w stronę owej ogromnej, czarnej czeluści. Wybuchła tuż nad nią, zalewając wszystko oślepiająco białym blaskiem magnezji, niczym gwiazda spadająca z nieba. Jednak obraz, jaki ta gwiazda rozświetliła, był zdecydowanie piekielny.

– Chryste Panie! – sapnął Lee.

– A to co, do kurwy nędzy? – zachłysnął się któryś z oficerów.

Alexandria wpatrywała się przed siebie w milczeniu. Wiedziała, że patrzy na stwora z innej planety – coś z Marsa – ale i tak nie umiała się z tym pogodzić. Nie była nawet pewna, czy to, co widzi, to jeden czy kilka stworów.

Pierwsze wrażenie było takie, że patrzą na kłębowisko węży, które jakimś cudem wcześniej wystrzelono w kosmos. Były czarne, lśniące i kłębiły się na wszystkie strony w wyraźnym

podnieceniu. Dopiero po kilku sekundach obserwacji Alex dostrzegła, że wijące się węże odchodzą od jednego korpusu przypominającego lśniącą, czarną bryłę smoły. Całość przypominała nieco kałamarnicę lub ośmiornicę, jednak było w niej coś zupełnie odmiennego i znacznie bardziej złowieszczego niż w jakimkolwiek ziemskim stworzeniu.

Jednak ledwie minął pierwszy szok i Alex zaczęła analizować przerażający widok, stwór zniknął, a w jego miejsce pojawiła się metaliczna czasza błyszcząca w oślepiającym świetle flary. Czasza była większa od stwora widzianego przed chwilą i Alex była niemal pewna, że ma przed sobą coś w rodzaju jego osłony czy pancerza.

Widać to samo przyszło do głowy pułkownikowi Lee, bo zawołał:

– Otworzyć ogień!

Pierwsi zrobili to ubrani w obszerne kombinezony NBC żołnierze w kraterze.

Automatyczna broń maszynowa rozgdała się długimi seriami i przez chwilę strzelało ponad sto M16 jednocześnie. Kilku żołnierzy wystrzeliło też pociski z raketowych granatników, które trafiły prosto w srebrzystą czaszę, zostawiając na niej czarne smugi.

Jednak żaden z pocisków nie wyrządził widocznych szkód i czasza jakby nigdy nie zaczęła przesuwać się ku wylotowi z cylindra. Alex nie zauważyła żadnego mechanizmu poruszającego czaszę, ale ze swego miejsca miała na nią widok tylko od góry. Czasza dotarła do krawędzi cylindra i wtedy z obu jej stron rozwinęły się ramiona przypominające macki, tyle że złożone z segmentów wykonanych z srebrzystego metalu. Na końcach ramion widać było niewielkie, błyszczące skrzyneczki, które Alex od razu skojarzyły się z mini-TES-ami, wiertarkami i innymi urządzeniami, którymi ziemskie roboty próbowały badać Marsa.

Nie miała jednak cienia wątpliwości, że skrzyneczki te mają inne, dużo bardziej złowieszcze przeznaczenie. Myśli pułkownika i tym razem podążyły tym samym torem.

– Zaatakować to gówno wszystkim, co mamy! – krzyknął i czołgi natychmiast rozpoczęły ostrzał z głównych dział. W odróżnieniu od szemrzących cicho silników z turbodmuchawami, działa Abramsów robiły tak straszliwy hałas, że aż puchły uszy.

W mgnieniu oka powierzchnia srebrzystej czaszy zakipiła od potężnych eksplozji, bo wszystkie rozstawione na krawędzi czołgi rozpoczęły ogłuszającą kanonadę i na marsjański obiekt runęło morze potężnych pocisków burząco-penetrujących.

W końcu czasza drgnęła, zaczęła się cofać i zniknęła we wnętrzu w chmurze dymu oraz jeziorów ognia. Jednak ogień prowadzony z ręcznej broni i dział

czołgowych nie ustał, co zapewne było wyrazem chęci odreagowania u żołnierzy, których – jak Alexandrię – zalała fala odrazy i wściekłości. Z zaskoczeniem stwierdziła, że sama chciałaby teraz mieć w rękę jakąś broń, by dołączyć do kanonady wymierzonej w ohydny agresora.

Pierwszym sygnałem rozpoczętego kontrataku była seria błysków i towarzyszące im spirale dymu. Potem z czeluści wytrysnęły świetliste linie, przypominające wiązki laserowe na stadionowym pokazie, i omiotły wnętrze krateru. Alex zobaczyła, jak jedna z takich linii przesunęła się po plutonie strzelających żołnierzy

– w ułamku sekundy wszyscy znieruchomieli, kurcząc się w sobie i w groteskowych pozach padając na ziemię. Widziała też unoszące się nad ich ciałami obłoczki dymu i to, że straszliwy promień przeciął niektórych dosłownie na pół.

Z kłębow dymu znów wyłoniła się srebrzysta czasza, na której w dalszym ciągu nie było widać żadnych śladów uszkodzeń. Jedno z ramion było teraz uniesione do góry i to ze skrzyneczki na jego końcu dobywały się owe śmiertcionośne promienie.

Zdrętwiała z przerażenia patrzyła, jak świetlista wiązka omiata tam i z powrotem całe wnętrze krateru. Żołnierze odziani w kombinezony NBC próbowali się cofnąć, jednak nie mieli szans na ucieczkę przed straszliwymi promieniami. W ciągu kilku sekund wszyscy leżeli na ziemi, a ich ciała lekko dymiły.

Podczołgała się do pułkownika, który zaciskał dłoń na mikrofonie z taką siłą, że palce zupełnie mu zbieleły.

– To coś w rodzaju broni laserowej – zawołała, starając się przekrzyczeć huk czołgowych dział. – Musimy o tym zameldować!

Kiwnął głową i machnął na jednego z łącznościowców w pobliżu. Wykrzyczał

jakiś rozkaz, którego w zgiełku nie dosłyszała, po czym żołnierz podczołgał się, wręczył jej parę słuchawek oraz mikrofon i kucnął w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

– Połączcie mnie z generałem Davisem – krzyknęła. Młody radiooperator pogrzebał w przenośnej radiostacji i sprawdził połączenie.

– Już jest – poinformował ją spokojnie, jakby kilkadziesiąt metrów dalej nie było ryczącego wystrzałami stalowego kolosa.

– Pan generał?

– Co się tam, do diabła, dzieje?

– Widzieliśmy jednego z Marsjan, panie generale. I co ważniejsze, zobaczyliśmy ich broń w akcji. Marsjanin chowa się w metalowej osłonie z ramionami i doczepionymi dwiema końcówkami, które służą mu za broń. Jedna wygląda na laser, tylko o wiele potężniejszy od naszych ziemskich. Osłona w kształcie czaszy jest mobilna i może się szybko poruszać.

– A ta druga?

Alex wraz z radiooperatorem podczołgała się ku krawędzi i wystawiła głowę na tyle, by widzieć

wnętrze krateru. Mimo nieustającej kanonady czasza wysunęła się na tyle, że zawisała na krawędzi wylotu z cylindra, wokół którego na ziemi leżały dziesiątki popalonych ciał. Czasza opuściła cylinder, zawisała w powietrzu na wysokości człowieka i w tym momencie Alexandria dostrzegła pod nią jakiś blask.

Doliczyła się trzech grubych wiązek upiornie niebieskiego światła tryskającego prosto w dół, a ich energia zdawała się wystarczać do podtrzymywania marsjańskiej maszyny w powietrzu.

– Jeszcze nie wiem, panie generale – odezwała się. – Ale wygląda na to, że opanowali jakąś formę beztarciovego poruszania się... O jasna cholera! –

Przekleństwo wymknęło jej się na widok kolejnych Marsjan wynurzających się z ciemnej czeluści. – Mamy następnych drani – dodała, wpatrując się w wylot cylindra. Po dnie krateru poruszały się teraz trzy srebrzyste czasze, jakby maszerujące na świetlistych „nogach”. Do każdej doczepione były takie same dwa srebrzyste metalowe ramiona, jednak tylko jedno z nich było aktywne. Sterczało wyciągnięte w górę z końcówką emitującą straszliwe, zabójcze promienie laserowe.

Czołgi wzmogły jeszcze intensywność ostrzału, a ogień ich potężnych dział

wspomagała cała pozostała broń: karabiny maszynowe, granatniki i przenośne wyrzutnie rakiet. Nad głowami żołnierzy rozległ się przeraźliwy gwizd przelatujących pocisków i gdy tuż potem z krateru dobiegły ją odgłosy potężnych wybuchów, Alex domyśliła się, że do gry włączyła się ciężka artyleria.

Od krawędzi leja dobiegł ją nagły wybuch radości leżących tam żołnierzy: pod gradem stu pięćdziesięciopięciomilimetrowych pocisków jeden z marsjańskich potworów zachwiał się, świetlisty trójnog zgasł i srebrzysta czasza osunęła się na ziemię.

– Wydaje się, że pod ogniem artyleryjskim jedna z machin uległa uszkodzeniu –

zameldowała Alex. – Nie została zniszczona, ale chyba jest unieruchomiona.

Pozostałe dwie czasze ustawiły się po bokach uszkodzonej, która leżąc nieruchomo na ziemi, wyglądała dziwnie nieszkodliwie. Ich dwie końcówki laserowe ożyły i w poszukiwaniu celów zaczęły omiatać brzeg krateru. W odruchu paniki Alex szarpnęła się do tyłu, bo wydało jej się, że łajdaki celują prosto w nią chwilę później aż krzyknęła z przerażenia, gdy stojący opodal czołg eksplodował w jednym potężnym gejerze huk i ognia.

Radiooperator krzyknął i runął bez życia na ziemię, bo odłamek z rozerwanego czołgu odciął mu pół głowy. Dławiąc się, odwróciła głowę. Wiedziała, że powinna kontynuować, i by lepiej słyszeć, docisnęła słuchawkę do ucha. Dopiero stwierdziwszy, że przecięty spiralny przewód zwisa jej luźno z ręki, zrozumiała, że połączenie dobiegło końca.

Pułkownik klęczał i podpierając się rękami, wpółprzytomnie potrząsał miarowo głową. Obok nich zbiegł w dół zbocza żołnierz wyglądający jak kula ognia. Paliło się na nim wszystko: mundur, włosy, nawet skóra. Alex mogła tylko w bezsilnym przerażeniu patrzeć, jak kilka metrów dalej mężczyzna

pada na ziemię i nieruchomieje. Był martwy, ale jego ciało – nie przestając się palić – potoczyło się w dół stromego zbocza stożka krateru. Inny z żołnierzy podczołgał się obok klęczącego pułkownika do krawędzi leja, wyprostował i puścił serię ze swego M16. Prawie natychmiast runął do tyłu z niemal zwęgloną górną połową ciała.

Eksplodował następny czołg, zaraz po nim kolejny, siejąc wokół płonąca benzynę i rozrywające się w powietrzu pociski. Wyglądało, że wystarczy ledwie dotknąć czołowej pancernej płyty lub wieżyczki piekielnym laserem, a powstająca temperatura powoduje rozerwanie potężnego abramsna na strzępy.

Nad głową Alex przeleciały kolejne pociski artyleryjskie, dudniąc jak pędzący pociąg, i jeszcze zanim usłyszała potężne detonacje, poczuła pod sobą drzenie skorupy ziemskiej. Przyłgnęła płasko twarzą do ziemi i obejmując głowę rękami, słuchała kolejnych wybuchów pocisków armatnich, które jeden za drugim trafiały w cel. Po prawej poczuła nagłą falę żaru, obróciła głowę i stwierdziła, że kawałek dalej płonie jeszcze jeden czołg.

Potrząsając głową, by otrząsnąć się z otępienia i znów zacząć myśleć, podczołgała się do krawędzi krateru. Wdzięczna za kevlarowy hełm, wyrzała ponad krawędzią i natychmiast poczuła ochotę, by jak dziecko zakryć oczy i schować się w jakiś ciemny kąt. Obok dostrzegła pułkownika Lee, który ze skamieniałą twarzą klęczał nad krawędzią i z beznadziejną wściekłością obserwował straszliwe spustoszenie spowodowane przez najeźdźców.

Wewnątrz leja panował totalny chaos. Większość reflektorów już się nie świeciła, ale i tak wszystko było widać w piekielnym blasku pożarów. Wokół

krawędzi płonęło ponad dwadzieścia czołgów, strzelając słupami ognia i dymu w nocne niebo. Reszta zdążyła się wycofać i słychać było, jak pospiesznie zjeżdżają po zboczu stożka. Jeden z abramsów wciąż jeszcze strzelał i w porywie brawurowego, acz nieskutecznego działania, zasypywał pociskami najbliższą maszynę, od której jednak pociski odbijały się, nie czyniąc jej żadnej szkody. Oniemiała ze zgrozy Alex patrzyła, jak dwa pozostałe trójnogi kierują swe lasery na wieżyczkę czołgu i w mgnieniu oka pogrążają go wraz z jego dzielną załogą w morzu płomieni. Zauważyła też, że wszystkie trzy marsjańskie maszyny zaczynają znów sunąć do przodu i na swych świetlistych trójnogach rozpoczynają wspinaczkę do góry. Rozlaźły się trochę na boki, ale jedna zdawała się kroczyć wprost na Alex i pułkownika.

– DeVane, biegiem! Wycofujemy się!

Kapitan ze sztabu pułkownika szarpnął ją za ramię. Z trudem oderwała wzrok od hipnotycznego widoku kroczącego trójnoga. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, że tak szybko potrafi się poruszać po stromym, grząskim zboczu wnętrza krateru.

Ruszyła biegiem za oficerem, z trudem zachowując równowagę na stromiźnie.

Trzy hunweesy z pracującymi silnikami – wśród nich ten, w którym wcześniej ucięła sobie drzemkę – stały ustawione przodem w dół zbocza.

– Wskakuj! – krzyknął kapitan, szczupakiem rzucając się do środka. Alex poszła za jego przykładem i w zasadzie skoczyła na niego. Uniosła głowę i zobaczyła, że Lee wskakuje do sąsiedniego pojazdu, który natychmiast rusza. Chwilę potem na jego tylną ścianę padła czerwona plamka, która w ułamku sekundy przemieniła go w kulę ognia. Wiedziała, co to oznacza: marsjański trójnóg wydostał się na krawędź

krateru i zaczął do nich strzelać.

A potem wszystko utonęło w oślepiającej bieli. Poczowała palący żar na twarzy, rękach i wszystkich nieosłoniętych częściach ciała. Domyśliła się, że krzyczy, ale tego nie słyszała.

OSIEM

9 czerwca

Delbrook Lane, Wisconsin

– Tak się zastanawiam, czy nie spakować jeepa, zabrać psy i wynieść się gdzieś dalej na północ – oświadczył Browne. – Na ile mi starczy benzyny w baku.

Był letni wieczór, ale nie przypominał żadnego z letnich wieczorów, jakie miałem w pamięci. W powietrzu czuć było woń dymu, spalenizny... i chyba jeszcze czegoś gorszego. Może tak właśnie pachnie śmierć? (Później okazało się, że Marsjanie roztaczają wokół siebie charakterystyczną woń, ale to nie mogło być to, bo wtedy się jeszcze nie wyłonili ze swoich cylindrów). Browne przyjechał chwilę wcześniej i staliśmy na ganku, spoglądając na szare niebo na zachodzie.

Wiedziałem, że ta szarobura barwa nieba to nie zachmurzenie, ale efekt licznych pożarów, które po dwóch dobach zaczynały już dogasać.

– Znaczy tak – ciągnął Browne niepewnie – miejsce pasażera mam wolne, więc jakbyś chciał się przyłączyć...

Zupełnie zaskoczony zamrugałem. Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby się stąd wynieść i porzucić mój dom... moje wszystko. Pokiwałem głową w zamyśleniu, niby rozważając jego propozycję i jednocześnie w głębi duszy czując, że za nic się stąd nie ruszę.

– A co, złapałeś coś w radiu? – spytałem. – Myślisz, że na północy będzie bezpieczniej?

– Udało mi się złapać jakieś strzępy wiadomości. Wychodzi na to, że cylinder na Sun Prairie jest w tym rejonie najdalej wysunięty na północ. Zdaje się, że chcieli okrążyć Chicago i Indy od południa. Założę się, że niedługo wyleżą z tych swoich beczek i zabiorą się za miasta.

Większość też tak uważała. Wczoraj w ciągu dnia i w nocy udało mi się wysłuchać w radiu kilku audycji informacyjnych. Wszystkie wiadomości pochodziły z lokalnych rozgłośni, ale wyglądało na to, że nadający je prowadzą nasłuch innych stacji i dzięki temu informacje rozchodzą się po całym kraju z ust do ust, jakby wszyscy grali w pomidora. Mówiono, że na Wschodnim Wybrzeżu Marsjanie już wyleźli ze swych statków i rozpoczęli marsz na Nowy Jork i Waszyngton. Wspominano też coś o okrążeniu Atlanty, ale wiadomości na ten temat były dość skąpe. Kiedy się jednak okazało, że kilka statków wylądowało na południe od Madison, tworząc łuk rozciągający się aż po południową Indianę, zamiary agresorów stały się dość przejrzyste.

Ale żeby zaraz uciekać? Nie byłem gotów podjąć tak dramatycznej decyzji i w końcu potrząsnąłem przecząco głową.

– Dzięki, ale chyba tu zostanę. Kto wie, może nawet uda mi się któregoś z nich zobaczyć. Przyda mi się takie doświadczenie z pierwszej ręki do następnego artykułu. – Zaśmiałem się sztucznie, bo jego propozycja mocno mnie poruszyła. –

Ale jestem bardzo wdzięczny, naprawdę. Będę... spróbuję w miarę możliwości popilnować twojego

domu.

Browne przyglądał mi się w zamyśleniu, skrobiąc się po brodzie.

– Hm, jeśli chcesz z powrotem tę strzelbę, to ja zaraz... – dodałem.

– Nieee, zatrzymaj ją – przerwał. – Może masz rację, że tak będzie lepiej. Może też zostanę i zobaczę, co się będzie działo dalej.

Po jego słowach odczułem taką ulgę, że aż mi zmiękły kolana. Wrażenie osamotnienia, jakie ogarnęło mnie na myśl o jego wyjeździe, było niezwykle intensywne. Oczywiście zrobiłem wszystko, by się z tym nie zdradzić i nie stworzyć niezręcznej dla nas obu sytuacji.

– No to możemy połączyć siły i wspólnie stawić im czoło – powiedziałem tylko i wyciągnąłem do niego rękę, a on ją uściśnął. Jego dłoń była silna, sucha i dodawała otuchy. Przez kilka sekund staliśmy tak bez ruchu.

Z oddali dobiegło nas przetaczające się po niebie dudnienie, trochę jak przed burzą, ale niezupełnie.

– To chyba nie burza, co? – zastanowiłem się na głos. Pokręcił głową z tą swoją irytującą pewnością siebie.

– Nie, to te sto pięćdziesiątki piątki, które widzieliśmy tamtej nocy na drodze. Od razu przypomina mi się sześćdziesiąty siódmy. W delcie. Brzmia tak samo.

– Byłeś w Wietnamie? – spytałem, zdając sobie sprawę, że to dość idiotyczne pytanie. – Właściwie nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. Tylko że... po prostu nie wiedziałem.

– Mhm, jestem starym wojakiem – potwierdził. – Dokładnie mówiąc, trzeci pułk marines. Najgorszy rok w moim życiu. A ciebie nie powołali?

– Miałem za słaby wzrok. – Pokręciłem głową. – Nawet jak dla amerykańskiej armii.

– Twoje szczęście.

– Chcesz może zostać i coś zjeść? – spytałem, pilnując się, by nie wyczuł w moim głosie zbytnej natarczywości. Ale prawda była taka, że jego obecność wyraźnie dodawała mi otuchy. A świadomość, że niegdyś służył w marines, jeszcze bardziej wzmacniała to dość irracjonalne odczucie. – W zamrażalniku mam jeszcze kilka steków.

– Już mnie przekonałeś – odparł.

Oczekując na steki smażące się na grillu na tylnej werandzie, wdaliśmy się w pogawędkę. Zrobiło się już ciemno, a nieustająca kanonada armatnia stanowiła tło w równym stopniu niepokojące, co pocieszające. Co jakiś czas odgłos wystrzałów zamierał, by po kilkunastu minutach rozpocząć się z jeszcze większą zajadłością.

– Naprawdę dają tym sukinsynom popalić – orzekł Browne z uznaniem, gdy w pewnym momencie pojedyncze strzały złąły się w jedną ciągłą nawałnicę.

Od zachodu słońca kojoty rozpoczęły swój koncert, wyjąc i zawodząc tak głośno, jakby i one chciały odstraszyć i odesłać do domu nieproszonych gości. Jedliśmy steki, piliśmy ostatnie dwa piwa dobrze schłodzone w lodówce zasilanej z generatora i wsłuchiwaaliśmy się w ich żałosne chóralne skargi.

– Wiesz, zawsze uważałem kojoty za pustynne zwierzęta. Zanim się tu przenieśliem, nawet mi do głowy nie przyszło, że mogą zamieszkiwać takie tereny –

zauważyłem – Z nimi to jest śmieszna sprawa. Kiedy byłem dzieckiem, było ich tu bardzo mało. A gdy mój ojciec był dzieckiem, w całym Wisconsin nie było ani jednego kojota. Ciągłe się zarzuca ludziom, że niszczą przyrodę, rujnują środowisko naturalne, prowadzą do zagłady życia w lesie. Ale jest też wiele zwierząt, które potrafiły świetnie się przystosować do nas, do naszych domów, dróg, farm... nawet do naszych miast. A kojoty? Rozpleniły się jak zaraza. Tak samo szopy. Albo jelenie wirginijskie. Nigdy im nie było tak dobrze jak teraz, kiedy mogą się napaść do woli na jakimś zadbanym polu kukurydzy. Akurat te gatunki świetnie się czują w sąsiedztwie człowieka. Lepiej, niż gdy ten kontynent był dziki.

– Ale jednocześnie wiele gatunków wyginęło albo znalazło się na skraju wymarcia – zaproponowałem.

– Ile gatunków już zniknęło? Nawet trudno je policzyć!

– Jasne. – Wzruszył ramionami. – Bo jak zawsze, chodzi o umiejętność przystosowania. My, ludzie, jesteśmy panami Ziemi, a stworzenia, które potrafią się do nas przystosować, całkiem nieźle sobie radzą. Te, które nie potrafią... no cóż, te mają trochę gorzej...

Jego słowom wciąż towarzyszyło w tle dudnienie ognia artyleryjskiego, ale nawet go nie słuchając, nie można było zignorować faktu, że wystrzały stają się rzadsze i że się do nas coraz bardziej zbliżają.

– Wygląda na to, że wojsko się cofa – stwierdził lakonicznie. – Chyba trzeba wracać do domu i zająć się moimi kundlami.

Zdałem sobie sprawę, że dobiega nas szczekanie Klondike'a i Galahada i słyszeć je już od pewnego czasu, ale nie zwracałem na nie uwagi. W ich głośnym ujadaniu można było wyczuć jakby stracenczą odwagę i wyzwanie rzucone nieznanemu zagrożeniu. Po raz pierwszy poczułem w sercu iskierkę sympatii.

– Tak, no cóż, miło było pogadać – rzekłem. – Powodzenia.

– Miejmy na siebie wzajemnie oko. Daj mi znać, jakby się działo coś złego –

odparł.

– Zrobię to. I ty też.

– Jasne. – Kiwnął głową i ruszył do jeepa.

Patrzyłem, jak odjeżdża, słuchając kolejnego nasilenia kanonady z wielkich armat. Słysząc już teraz było uderzenia pocisków trafiających w cel i to potężne

„bum” ścisnęło mnie w żołądku i dzwoniło w uszach. Ponad linią lasu od zachodu widać było łuny licznych pożarów i nagle ogarnął mnie taki strach, że zupełnie zapomniałem o chłodnym i racjonalnym rozumowaniu, które legło u podstaw mojej decyzji o zostaniu.

Ruszyłem pędem do domu i rzuciłem się na strzelbę leżącą na kuchennym stole, gdzie ją położyłem półtora dnia wcześniej. Była wciąż załadowana, choć w komorze nie było naboju. Wrzuciłem do kieszeni kilka naboju na zapas i ruszyłem do tylnego wyjścia. Nie, muszę mieć plecak! Odstawiłem broń, pognąłem do piwnicy i z zakurzonej sterty sprzętu kempingowego wygrzebałem stary, nylonowy plecak.

Zabrałem też śpiwór zrolowany na twardo w pokrowcu, po czym pobiegłem na górę, cały czas myśląc gorączkowo.

Zaraz... jeszcze latarka! Znalazłem jakąś w kuchni i wrzuciłem do cuchnącego pleśnią plecaka. Jeszcze zapasowy koc, poncho... sprej na robactwo. Coś do jedzenia? Puszki są za ciężkie, mrożonki się zepsują. Do jednej z kieszeni plecaka upchałem kilka opakowań ryżu, paczkę tortilli i torebkę fasoli. Woda! Znalazłem plastikową, dwulitrową butelkę i napełniłem ją wodą z kranu. Jakies ciuchy na zapas? Nie było już na to czasu.

Cały dom aż zadrżał w posadach od potężnego wybuchu gdzieś w pobliżu. Znów wybiegłem na taras i spojrzałem na północ. Zalesione wzgórza na zachodzie lizały już języki ognia. Widać było, jak drzewa – choć soczyście zielone i wilgotne od rosy

– zajmując się ogniem, zaczynają płonąć jak pochodnie. W tym upiornym świetle widać też było jakiś ruch na szosie prowadzącej z miasta. Wyglądało to z daleka jak grupki biegnących ludzi.

Potem pojawiła się ciężarówka. W świetle jej reflektorów zobaczyłem, że to biegą żołnierze w pełnym rynsztunku bojowym i w hełmach na głowach. Na widok ciężarówki rozbiegli się na boki, by ją przepuścić, a potem na drodze zobaczyłem czerwony błysk – w tej samej chwili eksplodowała ciężarówka. Zamieniła się w morze płonącej benzyny, które rozlało się po wąskiej szosie i ogarnęło ludzkie sylwetki. Płonący jak pochodnia wrak ciężarówki raptownie skręcił w lewo i przewrócił się na bok.

Zobaczyłem też inny wojskowy pojazd – pancernego humveesa pędzącego po polu i podskakującego na nierównościach. Skręcił na łąkę Browne'a i kierowca dodał

gazu, kierując się w stronę wzgórza, z którego widziałem pierwszy błysk na Marsie.

Z mroku na zachodzie ponownie wytrysnął czerwony błysk i humvee stanął w płomieniach, które w mgnieniu oka objęły cały pojazd wraz z załogą.

I wtedy po raz pierwszy ujrzałem marsjańską machinę. Była to srebrzysta podstawa zakończona od góry czaszą, wsparta na znanym dziś wszystkim trójnogu z bladoniebieskich wiązek światła.

Posuwała się z charakterystycznym kolebaniem, wysuwając do przodu przednią „nogę” i dostawiając pozostałe dwie, rozstawione na boki. Przez chwilę, w momencie gdy przednia wiązka robiła krok do przodu, machina balansowała na dwóch tylnych. Na pierwszy rzut oka ten sposób poruszania się wyglądał na dość mało efektowny, jednak machina posuwała się do przodu sprawnie, wykonując równomierne, płynne ruchy.

Ponad czaszą sterczało jedno masywne, poruszające się wahadłowo ramię, na którego końcu znajdowała się niewielka, srebrzysta skrzyneczka – to z niej od czasu do czasu strzelały czerwone błyski. Zawsze gdy tryskał z niej taki promień i jak pocisk trafiał w jakiś obiekt, ten natychmiast stawał w ogniu. Widziałem, jak płomienie ogarniają kolejnych żołnierzy, którzy rozbiegli się po polu i których dopadał śmiertelny promień. Na moich oczach jeden z nich, próbując przemknąć za płonącym wrakiem humveesa, został dosłownie przecięty na pół, gdy padł na niego ten zwodniczo niewinnie wyglądający promień laserowy.

W przerażająco szybkim tempie machinie zabrakło ruchomych celów. W zasięgu mego wzroku nie było już ani jednego uciekiniera na polu i ani jednego pojazdu na szosie. Zostało tylko siedem czy osiem wraków płonących na drodze i kilka stojących w ogniu pojazdów terenowych, które próbowały przedzierać się na przełaj przez łąkę.

Marsjanin skierował teraz swój laser na zabudowania u wylotu mojej drogi na szosę. Dom mieszkalny, stodoła i budynki gospodarcze wielkiej nowoczesnej farmy natychmiast stanęły w płomieniach. Pod dotknięciem piekielnej wiązki zapaliły się i dosłownie zapadły w sobie trzy lśniące na niebiesko ogromne spichlerze.

Zbudowano je niedawno i wyposażono we wszystkie ultranowoczesne urządzenia, łącznie z automatyczną kontrolą temperatury i wilgotności powietrza wewnątrz. Za pierwszą pojawiła się druga, a chwilę potem trzecia machina marsjańska. Strzelały laserami na wszystkie strony i po chwili całe znajdujące się na północ od szosy osiedle luksusowych rezydencji, z których najskromniejsza kosztowała pół miliona dolarów, zamieniło się w jedno morze ognia.

I wtedy zobaczyłem, że jedna z machin wkracza na naszą boczną drogę i rusza w stronę farmy Browne'a, za którą – oddzielony niewielkim laskiem – znajdował się mój dom. Wbiegłem do środka, trzęsącymi rękami chwyciłem strzelbę oraz plecak z moim żalosnym dobytkiem i wypadłem z domu. Pobiegłem przez ogród, zsunąłem się po zboczu, nie bacząc na kolce kaleczące mi twarz i całe ciało, zatrzymałem się dopiero pod starym, kamiennym murkiem u stóp zbocza. Wystawiając ostrożnie głowę spoza mej żalosnej osłony, spojrzałem na dom Brownem, który stał na niewielkim wzniesieniu po drugiej stronie pola.

Srebrzysta machina na świetlistym trójnogu była już znacznie bliżej, krocząc drogą i od czasu do czasu plując czerwonym laserem na różne strony. Liznęła nim starą, drewnianą stodołę za domem Browne'a – klasyczną czerwoną szopę tak charakterystyczną dla wiejskich terenów stanu Wisconsin – która natychmiast stanęła w płomieniach. Jęzory ognia wystrzeliły z otworów na górze, gdzie niegdyś składowano siano, i w ciągu kilku sekund cały dach runął do kipiącego żarem środka.

Usłyszawszy serię wystrzałów, domyśliłem się, że to Browne próbuje się ostrzeliwać. Słysząc też było wściekłe ujadanie psów i głos mojego sąsiada, który coś wołał. (Dopiero później dotarło do

mnie, że krzyczał: „Galahad”). Rozległ się skowyt i głos Browne'a ucichł. Jego dom stał w płomieniach, paląc się od środka na boki tak, jakby ktoś niewidzialnym nożem ognia przekroił drewniany budynek na pół.

Marsjański trójnog minął dom Browne'a i wszedł na pole, posuwając się wzdłuż kamiennego murku, pod którym siedziałem przycupnięty. Patrzyłem jak zahipnotyzowany na nadchodzącą maszynę, nie myśląc o strzelbie, plecaku ani niczym innym. Ze swego miejsca wyraźnie widziałem „podbrzusze” kopulastej czaszy. W gładkim, błyszczącym metalu widniały trzy otwory, z których strzelały wiązki zielonobłękitnego światła stanowiące nogi potwora. Świeciły intensywnym, jednostajnym blaskiem i podczas chodu poruszały się płynnymi ruchami wewnątrz otworów.

Przykucnąłem wśród drzew, ukryty w zaroślach. Machina trzymała swą laserową końcówkę wysoko w górze i od czasu do czasu wypuszczała wiązkę, podpalając pojedyncze drzewa, kopy siana, a nawet jakiegoś nieszczęsnego jelenia, który zamarł osłupiały nad brzegiem niewielkiego stawu Browne'a. Gdy machina przeszła obok mnie w odległości nie większej niż kilkanaście metrów, po raz pierwszy poczułem ten straszliwy smród padliny. Woń charakterystyczną dla gnijącego mięsa, która potem okazała się typową dla marsjańskich stworów ukrytych we wnętrzu metalowej czaszy. Patrzyłem, jak przejrzyste, świetlne nogi krocą po wysokiej, wilgotnej trawie. Zwoje mego mózgu, przywykłe do badań naukowych, zaczęły nawet beznamiętnie analizować to zjawisko.

Na szczęście bardziej pragmatyczne zwoje mojego mózgu zmusiły mnie do tkwienia bez ruchu w ukryciu. Obserwowałem, jak marsjańska machina przechodzi obok płonącego humveesa i nawet się nie zatrzymuje, by sprawdzić, czego dokonała.

Pokolebała się dalej, wdrapała na wzgórze i po chwili zniknęła po jego drugiej stronie.

Dopiero wtedy odważyłem się unieść głowę i rozejrzeć dookoła. Wokół płonęły drzewa, ale ogień już dogasał. Mimo straszliwej temperatury, naturalna wilgotność leśnej zieleni była na tyle duża, że nie poddała się pojedynczym zarzewiom ognia i las nie tylko nie stanął w ogniu, ale skutecznie tłumiał pojedyncze ogniska.

Mimo wszystko robiło się coraz goręcej. Wszedłem na pole i rozejrzałem się, jednak trójnoga, który przeszedł tak blisko, nigdzie nie było widać. W oddali dostrzegłem jednego z Marsjan, który stał nieruchomo w pobliżu szosy niczym wartownik. Skuliłem się i ruszyłem przygięty w nadziei, że nie zwróci na mnie uwagi.

Dom Browne'a na wzgórzu stał w ogniu. Nic się wokół niego nie ruszało, a stojący na straży trójnog spowodował, że nie odważyłem się na prawie kilometrowy spacer po otwartym terenie, by się o tym przekonać. Przeciwnie, skryłem się ponownie w lesie i przyklepując na sobie iskry spadające z wciąż żarzących się czubków drzew, zacząłem przedzierać się w stronę mego domu.

Stał nietknięty, tak jak go zostawiłem. Uratowało go zapewne to, że był ukryty wśród drzew. Ze strzelbą w jednej ręce i plecakiem w drugiej wskoczyłem do środka, zamykając za sobą drzwi. Potem już tylko ze strzelbą w ręku zszedłem na dół

do mrocznej, chłodnej piwnicy i zamknąłem za sobą drzwi na szczycie schodów, co było

posunięciem kompletnie pozbawionym sensu, jako że można je było rozwalić jednym kopnięciem.

Nie odważyłem się nawet zapalić światła. Siedziałem po ciemku sparaliżowany strachem, dygocząc i próbując myśleć...

DZIEWIĘĆ

10 czerwca

Baza sił powietrznych Eglin, Floryda

– Dysponujemy relacją naocznego świadka, który widział Marsjan wychodzących z jednego z cylindrów. Meldunek pewnej kobiety, naukowca NASA, przydzielonej do jednostki wojskowej z Fort Bragg, stanowi ostatni z nią kontakt.

Relacja dotyczy krateru na południe od Richmond.

Pułkownik Willard przyniósł staromodny magnetofon szpulowy do sali odpraw, gdzie Diuk wraz z całą resztą pilotów czekał na szczegóły operacyjne następnej misji. Słyszając słowa: „kobieta, naukowiec NASA”, nastawił uszu. Poczł dreszcz grozy, gdy usłyszał dochodzący z głośnika zniekształcony głos Alexandrii DeVane.

– ...i przyglądam się ich uzbrojeniu. Marsjanin ma metalową osłonę, która go chroni i na której zamocowane są elementy uzbrojenia. Jednym z nich jest coś w rodzaju lasera, tylko nieporównywalnie groźniejszego od wszystkiego, czym dysponujemy na Ziemi. Osłona w kształcie czaszy może się poruszać i robi to dość szybko.

Głos Alexandrii brzmiał nadspodziewanie spokojnie, choć słycać było, że jest trochę zdyszana. Diuk zdał sobie sprawę, że z całej siły zaciska dłonie na przyczepionym do fotela niewielkim blacie z laminatu. Zmusiwszy się do rozluźnienia chwytu, słycał odpowiedzi Alex na pytania zadawane jej przez kogoś, kogo najwyraźniej nie było obok niej.

– ... opanowali jakąś formę beztarciowego poruszania się... o jasna cholera!

Aż podskoczył, bo w głosie kobiety pojawiło się przerażenie. Tak bardzo chciałby być tam z nią. Ze ściśniętym gardłem słycał jej opisu trójnogów poruszających się na świetlnych odnóżach. W tle słycać było ogień artyleryjski, potem uwagę Alex: „Nie została zniszczona, ale chyba jest unieruchomiona”.

Znów odgłosy strzelaniny, kobiecy krzyk, a potem już tylko szum pustej taśmy.

– To wszystko, co mamy – oświadczył pułkownik, wyłączając magnetofon. – Ale wynika z tego jasno, że te maszyny wyłażą z cylindrów, które zbombardowaliśmy trzy dni temu. Z opisu wyglądają na coś w rodzaju pancernych poduszkowców.

– Panie pułkowniku? – wtrącił Diuk. – A ta jednostka pod Richmond... co się z nimi stało? Wyszli z tego cało?

– Nie otrzymaliśmy od nich więcej żadnych wiadomości – odparł Willard. –

Łączność została przerwana i nie wiemy, czy ktoś z nich przeżył. Czemu pytasz? –

dodał, lekko mrużąc oczy.

– Tak tylko, byłem ciekaw – odrzekł Diuk cicho. Głos miał spokojny, ale jego serce, umysł, całe ciało zalewała pierwotna, prymitywna nienawiść. Alex była świadkiem, jak te bydlaki wyłaziły ze swych statków! Stawiła im czoło i – był tego pewien – oddała życie, by podzielić się swą wiedzą ze światem. Starał się stłumić w sobie rozpacz, wiedząc, że później przyjdzie na nią czas. Bo na razie musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, by jej śmierć nie poszła na marne. To zaś znaczyło zasypanie bombami tych „beztarciowych” dziwolągów.

Jakoś udało mu się dotrzeć do końca odprawy. Warthogi miały znów polecieć na akcję z ładunkiem jednotonowych bomb, tylko tym razem ich celem miały być bezpośrednio marsjańskie maszyny. Podobno wyłoniły się z kilku kraterów i obecnie posuwały się na północ ku Atlantycie. Udało się usprawnić jeszcze dwa warthogi, tak więc w eskadrach – po cztery samoloty w każdej – mieli zaatakować trzy zgrupowania celów.

Raz jeszcze Stylowa będzie lecieć na jego skrzydle, on zaś miał objąć taktyczne dowództwo nad całą czwórką, do której przydzielono jeszcze Podwójniaka i Ziggy'ego. Po dokładnej inspekcji przedstartowej, dwusilnikowe odrzutowce ruszyły z rykiem po pasie, wzbijając się w ciepłe, wilgotne powietrze południowej Georgii. Dysponując jedynym środkiem łączności w postaci radiostacji UHF, warthogi podzieliły się na trzy grupy po dwie pary w każdej i kierując się układem dróg na ziemi, ruszyły na północ ku Atlantycie. Według posiadanych informacji, Marsjanie zbliżali się do miasta z kilku kierunków w grupach po trzech.

Nie dysponując precyzyjnymi elektronicznymi systemami namierzenia, a także wiedząc, że będą musieli bombardować niewielkie, ruchome cele, piloci postanowili trzymać dość niski pułap. Diuk ze swoją trójką przeleciał nad Macon, minął

autostradę I-75 i kierując się na północny wschód, leciał tak długo, póki nie zobaczył

pod sobą wijącej się wstęgi wody znanej jako jezioro Jackson. Nad nim skręcili na północny zachód i obniżyli pułap do tysiąca pięciuset metrów.

Droga posuwania się Marsjan była wyraźnie widoczna w postaci czarnych pasm wypalonych w soczystej zieleni pagórkowatego terenu. Według najświeższych informacji odbieranych pośród trzasków na UHF, wróg znajdował się około piętnastu kilometrów przed nimi, więc Diuk gestem ręki polecił swym towarzyszom, by zeszli jeszcze niżej. Uznał, że nie ma sensu uprzedzać sukinsynów zbyt wcześnie.

Wkrótce lecieli na wysokości zaledwie kilkuset metrów. Podeszli nieco wyżej, by przeskoczyć nad łańcuchem wzgórz, po czym ich cele ukazały się w pełnej okazałości nie dalej niż trzy, cztery kilometry przed nimi. Trzy trójnożne, kopulaste maszyny kroczyły na północ rozwinięte w tyralierę i oddalone od siebie o trochę ponad kilometr. Ich trasę znaczyły pożary zabudowań i Diuk natychmiast dostrzegł

czerwone laserowe błyski, o których mówiła Alex. Siały nimi zniszczenie, atakując wszystko wokół siebie na odległość mniej więcej pięciuset metrów. Na oczach Diuka w krótkich odstępach czasu stanęły w płomieniach kolejno – traktor, grupa domów i stacja benzynowa. Z tej ostatniej buchnęła potężna kula pomarańczowych płomieni i czarnego dymu, unosząc się w niebo.

Samoloty szybko nadlatywały nad Marsjan od tyłu. Diuk spojrział przez ramię w lewo, porozumiał się wzrokiem ze Stylową i ruchem głowy wskazał lewy trójnóg.

Lecący po jego prawej Ziggy i Podwójniak zostali w taki sam sposób skierowani ku prawej maszynie. Dla siebie zostawił środkową. Plan akcji przewidywał, że po zrzuceniu bomb wszyscy mają zawrócić i ponownie zaatakować cele uruchamianymi brodą szybkostrzelnymi gatlingami.

Zbliżali się szybko i na małej wysokości, a ich warthogi posłusznie reagowały na wszelkie korekty kursu. Do Marsjan zostało im już tylko około półtora kilometra i Diuk objął palcami spust bombowy. Wiedział, że jego koledzy robią teraz to samo.

Leciutko skorygował pedałami steru linię lotu tak, by połyskliwa, metalowa czasza znalazła się w samym środku tarczy celowniczej.

Usłyszawszy potężną eksplozję, odruchowo spojrział w prawo i zobaczył, jak na jego oczach dwa ogromne warthogi jeden po drugim rozrywają się w powietrzu na drobne kawałki w wyniku przedwczesnego wybuchu ładunków bombowych – po osiem ton trotylu – pod działaniem marsjańskich laserów. Rzucił przekleństwo i powrócił wzrokiem do swego celu, ciągnąc spust zwalniający bomby.

Dojrzał czerwony błysk z końcówki na ramieniu marsjańskiej maszyny i świetlisty promień wystrzelił w jego kierunku, jednak w tym samym ułamku sekundy jego warthog raptownie skoczył w górę, uwolniony od ciężaru bomb. To mu uratowało życie, choć kawał prawego skrzydła został przez marsjański laser odkrojony jak nożem.

Pchnął drążek, położył samolot na lewe skrzydło i jednocześnie zanurkował, instynktownie usiłując jak najprędzej wydostać się z pola ostrzału piekielnego lasera. Widział przed sobą potężną kulę ognia i wiedział dobrze, co to oznacza: thunderbolt Stylowy został rozerwany na strzępy w wyniku eksplozji własnych bomb. Samolot przestał właściwie istnieć, natomiast nad nim dostrzegł jego pilotkę wciąż jeszcze szybującą w górę po wyrzuceniu przez potężną siłę katapuły. Jednak nim jej spadochron zdążył się otworzyć, opodal Diuka przemknął kolejny śmiertelny promień, zamieniając bezbronny, bezwolnie koziołkujący kształt w kolejną pochodnię ognia.

– Kurwa zesz twoja mać! – wrzasnął, pikując ostro ku ziemi. Wyczekał do ostatniej sekundy i dopiero wtedy pociągnął drążek na siebie. Słyszał, jak daleko za nim eksplodują zrzucone przez niego bomby. Pomknął tuż nad ziemią, niemal szorując pancernym brzuchem po czubkach drzew.

Chwilę później przeskoczył nad zalesionym grzbietem i po jego drugiej stronie przypadł do ziemi, zasłaniając się przed Marsjanami. W niebo wystrzeliła fontanna ognia i czarnego dymu spowodowana jego bombami, ale dopiero kiedy kilka kilometrów dalej uznał, że znajduje się już poza zasięgiem marsjańskich laserów, odważył się wejść na nieco wyższy pułap. Nie miał zamiaru realizować planu i wracać nad cel. Jego niezawodny szybkostrzelny karabin maszynowy Gatling, zdolny wystrzeliwać kilka tysięcy trzydziestomilimetrowych pocisków na minutę, w porównaniu z potęgą i szybkością marsjańskich laserów był jak odpustowa pukawka.

Ale gdy już znalazł się na znacznie większej wysokości, postanowił jednak zawrócić nad cel i ocenić

skuteczność swego ataku. Nie musiał się zbytnio trudzić.

Już z daleka widać było wszystkie trzy kopulaste maszyny, jak połyskując metalicznie w popołudniowym słońcu, gładko pokonują kolejny łańcuch wzniesień.

W oddali, choć już całkiem niedaleko, widać było sterczące w niebo wieżowce Atlanty.

10 czerwca

Krater na południe od Richmond, Wirginia

Alexandria DeVane zdała sobie sprawę, że jej twarz oblepiona jest wilgotną, zimną ziemią. Czuła jej miękki, kojący dotyk i przez dłuższy czas z przyjemnością poddawała się łagodzącemu działaniu kompresu. Przecież zawsze należała do tej ziemi i zdawało się czymś naturalnym, że teraz do niej wróciła. W nozdrzach czuła żyzną woń, która brała górę nad wszechobecnym smrodem spalenizny.

Jednak coraz dotkliwiej doskwierający ból spowodował, że powróciła jej świadomość i pamięć. Do jej źrenic dotarła szara jasność i gdy zmusiła się do otwarcia oczu, okazało się, że to stalowoszare światło dzienne pod kopułą ołowianego, złowrogiego nieba. Leżała na brzuchu z policzkiem wtulonym w ziemię i głową skreconą w stronę opustoszałej krawędzi krateru.

Spróbowała się poruszyć i poczuła, że piecze ją mocno otarta skóra, a mięśnie i stawy przeszywa ostry ból. Jej wzrok zatrzymał się na wypalonym szkielecie abramsa. Potężny, pancerny kolos leżał przewrócony, jak niepotrzebna dziecinna zabawka. Z osmolonego podwozia wciąż jeszcze dobywały się smugi dymu. Jedna z gąsienic była zerwana i leżała rozciągnięta na zboczu jak groteskowy fragment czołgowych wnętrzności.

Nagle spadło na nią wspomnienie tego, co się wydarzyło. Pamiętała kapitana, jego hunweesa i szaleńczą ucieczkę w dół zbocza. Krzywiąc się z bólu, obróciła się na plecy i ze zdumieniem stwierdziła, że chyba żadna z kości nie jest złamana.

Pomalowany maskującą oliwkową farbą hunwee – teraz szerniały i wypalony –

leżał do góry kołami jakieś pięćdziesiąt metrów w dół zbocza. Cały tył miał

rozszarpany i Alex pomyślała, że widocznie eksplodował jego zbiornik paliwa.

Domyśliła się też, że podmuch eksplozji musiał wyrzucić ją na zewnątrz, ale wystarczył jeden rzut oka na zwęglone ciała pozostałych pasażerów, by wiedzieć, że tylko ona uszła z życiem.

Wiedziała także, że prędzej czy później będzie musiała stanąć, i na myśl o czekającym ją wysiłku niemal się rozpląkała. Coś w środku starało się jej wmówić, że będzie dużo lepiej, jeśli się w ogóle nie ruszy. Jeśli zostanie na chłodnej, kojącej ziemi i wtopi się w nią na zawsze. Ze złością potrząsnęła głową, otrząsając się z takich myśli. Przypomniała sobie widok marsjańskich machin spokojnie gramolących się z krateru, całkowicie odpornych na huraganowy ogień z dział

czołgowych i wielkich polowych armat, a to wspomnienie obudziło w niej nienawiść. Zawziętą chęć odwetu i sprzeciw wobec poddania się.

Wszystko to dodało jej sił i pomogło zdobyć się na decyzję wstania z miejsca.

Uniosła się i uklękła najpierw na czworakach, potem zrobiła kilka głębokich wdechów i niepewnie podniosła się na nogi. Niemal natychmiast się pod nią ugięły i gdyby nie wparła rąk w kolana i na

siłę nie utrzymała równowagi, pewnie stoczyłaby się po stromym zboczu. Dodatkową zaletą tej pozycji było ograniczone pole widzenia, przez co jej oczom ukazał się tylko mały fragment otaczającego ją cmentarzyska. Nie była jeszcze gotowa, by przyjąć do wiadomości prawdziwą skalę klęski poniesionej przez pancerny oddział rozpoznawczy pułkownika Lee z rąk Marsjan.

Ale nie dało się odwlekać tego w nieskończoność. Wyprostowała się i podeszła na krawędź leja, skąd rozmiar katastrofy ukazał się jej jak na dłoni. Szarość nieba powodowała, że powietrze było niezbyt przejrzyste, dając właściwą oprawę dla roztaczającej się wokół martwoty. Wiele wraków wciąż jeszcze dymiło, a powietrze przesiąknięte było smrodem stopionego metalu, spalonego plastiku i czegoś znacznie gorszego. Wyciągnęła chusteczkę, przytknęła ją sobie do ust i nosa, po czym obróciła się twarzą do wnętrza krateru.

W środku stromego leja wciąż było widać wystający z ziemi osmolony wylot cylindra. Kłapa zamykająca go leżała płasko na ziemi, nie zasłaniając dostępu do czarnej czeluści. Było w tym widoku coś prawdziwie przerażającego i Alex pomyślała, że jeśli istnieje piekło, to wejście do niego musi chyba tak wyglądać.

Ogarnęły ją nagłe duszności i poczuła przemożną chęć, by natychmiast wszystko rzucić, ruszyć pędem i gdzieś się skryć – byle jak najdalej stąd.

Ale gdzieś w środku odezwał się także inny głos: głos rozumu na przekór emocjom. Głos podpowiadający, że oto stoi przed niepowtarzalną szansą naukową i poznawczą. Jeśli zdobędzie się na wejście do wnętrza statku, być może uzyska bezcenne informacje o kosmicznych najeźdźcach. Stała, walcząc ze sobą nieskończenie długo – przynajmniej tak jej się zdawało. I w końcu rozum wziął górę nad emocjami. Czeluść statku ziała czernią i przyzywała ją do siebie, a ona musiała to wyzwanie podjąć.

Podeszła do leżącego na boku bradleya, z którego kabiny wciąż jeszcze wydobywały się smugi dymu. Marsjański laser przeciął jego pancerną powłokę jak nóż krojący mięso. Nie chcąc zaglądać do środka, podeszła do umieszczonego na zewnątrz pojemnika na sprzęt, który w efekcie wybuchu w całości się odłamał.

Pokrywa była strzaskana i Alex tak długo grzebała wśród różnych narzędzi i zwojów lin, aż znalazła dużą ręczną latarkę.

Nacisnęła wyłącznik i z latarki trysnął potężny strumień światła. Mając w pamięci stromiznę leja, zabrała także zwój liny i zarzuciła go sobie na ramię.

Z latarką w ręku przekroczyła brzeg leja i zaczęła powoli schodzić w dół, co chwilę zjeżdżając po stromym zboczu i luźnej ziemi. Chwiała się, opierała o zbocze, odzyskiwała równowagę i znów padała, jednak cały czas posuwała się do przodu.

Dotarła do pierwszej linii walki, gdzie musiała przejść między zwęglonymi ciałami dwóch żołnierzy. Próbując odwracać wzrok, dotarła wreszcie do wylotu cylindra.

Rzut oka na zrytą wokół ziemię potwierdził jej pierwsze podejrzenia. Nigdzie nie było widać

żadnych śladów ani odcisków po świetlnych odnóżach trójnogów. Jeśli zatem służyły za podpórę maszyny – co wydawało się oczywiste – to przenosiły ciężar w sposób, którego na razie nie potrafiła pojąć.

Wkroczyła na pochyłą rampę utworzoną przez otwartą na oścież pokrywę cylindra. W miejscu połączenia z cylindrem nie było nic, co przypominałoby zawias.

Miejsce to wyglądało, jakby metal pokrywy po prostu wygiął się, nie wykazując żadnych śladów naprężeń czy pęknięć. Wnętrze było zupełnie czarne i dochodził z niego tak intensywny smród zepsutego mięsa, że natychmiast zrobiło jej się niedobrze. Szybko przebiegła w myślach, co może zrobić, by zabezpieczyć się przed trującą atmosferą i ewentualnymi pułapkami, jednak dysponowała tylko zdrowym rozsądkiem oraz wrodzoną ostrożnością.

Światło dzienne rozjaśniało wnętrze na tyle, że zauważyła rząd komór na ścianach ciągnących się w głąb cylindra. Było też na nich mnóstwo jakichś rur, rozgałęzień i uchwytów. Ukłękła, obwiązała koniec liny wokół jednego z zaworów i spuściła drugi w głąb cylindra. Nachylenie ściany wynosiło ponad czterdzieści pięć stopni, jednak zakładała, że za pomocą liny zdoła się po niej jakoś wspiąć z powrotem.

Smród wewnątrz był straszliwy – omdlewająca woń gnijącego mięsa lub rozkładającej się padliny. Po pierwszym ataku torsji wyjęła chustkę i obwiązała nią usta i nos. Choć trochę stłumiła w ten sposób intensywność okropnego fetoru. Jedną ręką uchwyciła linę obwiązaną w pasie, w drugą wzięła latarkę. Popuszczając linę, zaczęła powoli schodzić w dół. Stawiała stopy na licznych występkach, rurach i szczelkach, które dawały dość pewne oparcie. Próbowwała oświetlać latarką panujące wokół ciemności, które w miarę posuwania się stawały się coraz bardziej nieprzeniknione.

Być może materiał, z którego zrobiono zewnętrzną powłokę cylindra, jak i marsjańska technika wojenna dowodziły ogromnej przewagi technologicznej nad wszystkim, co udało się zbudować człowiekowi, jednak wnętrze cylindra nie odbiegało zdaniem Alex od pomieszczeń pod pokładem pierwszego lepszego parowca, łącznie z zalegającą wszystko grubą warstwą brudu i plątaniną metalowej armatury. W początkowych komorach zauważyła grubą warstwę czarnego proszku przypominającego miał węglowy. W dalszych proszek ów przybrał wygląd czystego piasku. Minęła coś na kształt pomieszczenia warsztatowego, w którym znajdowały się trzy oddzielne komory. Domyśliła się, że to tu trzymano trójnogi podczas kosmicznej podróży.

Posuwając się coraz głębiej, dotarła do końca liny. Spróbowała poświecić, aby dojrzeć coś więcej. W dole zauważyła jakieś nieregularne kształty z czegoś niemetalowego – jakby stertę plandek czy płacht plastikowej folii, jednak znajdowały się zbyt daleko, by mogła im się dobrze przyjrzeć.

Przysiadła na metalowym pręcie, wstrzymała oddech i rozejrzała się wokół, przyświecając sobie latarką. Kawalek dalej zauważyła coś w rodzaju drabiny ze szczelkami rozstawionymi co mniej więcej pół metra, która zdawała się sięgać dna cylindra. Bujnęła się lekko na sznurze, uchwyciła drabinę i przywiązała koniec liny do szczelki nad głową. Potem, wciąż przyświecając sobie latarką, ostrożnie ruszyła po szczelkach w dół. Były dla niej zbyt duże, jednak przed każdym następnym krokiem klinowała jedną ze stóp, powoli zbliżając się do wcześniej zauważonej sterty.

Chustka jej się przekrzywiła i Alex natychmiast zakrzuszyła się, walcząc z wymiotną kulą, która jej urosła w gardle. Wiedziała, że nie da rady długo oddychać tym powietrzem, jednak zdawała sobie sprawę, że teraz już musi dojść do końca.

Stanąła na najniższym szczeblu, przytrzymała się ręką i pochyliła w dół na tyle, by dotknąć leżącej sterty. W jasnym świetle latarki widziała, że leżące płachty przypominają gumowe błony i są wyraźnie pochodzenia organicznego. Zauważyła ich trzy. Sprawiały wrażenie kombinezonów wieloramiennych stworów, w jakim pierwszy z nich pojawił się wkrótce po otwarciu cylindra. Była ciekawa, czy mogą to być skóry zrzucane przez nie tak, jak robią to liniejące ziemskie węże.

Jak rasowy naukowiec bez namysłu wyjęła z kieszeni scyzoryk i odcięła fragment błony, która w dotyku była miękka i nieco lepka. Nie mając co z nią zrobić, wepchnęła odcięty kawałek do kieszeni i poczuła, że nie wytrzyma już dłużej i musi natychmiast wydostać się na powietrze. Zaczęła się tak szybko wspinać, że w pośpiechu omal nie upuściła latarki. Dotarłszy do liny, natychmiast ruszyła ku zbawczej plamie dziennego światła wysoko nad głową. Gdy zrobiło się już nieco jaśniej, odrzuciła latarkę i pomagając sobie obiema rękami, dotarła w końcu do wylotu cylindra i relatywnie świeższego powietrza wewnątrz wypalonego krateru.

Wymioty dopadły ją, gdy tylko zeszła z klapy na ziemię. Osunęła się na kolana i ledwie zdążyła zerwać z twarzy chustkę. Wstrząsana gwałtownymi spazmami żołądka i jelit tak długo wymiotowała, aż nic w niej nie zostało. Potem, uniósłszy się na drżące nogi, ruszyła w górę po stromym zboczu leja.

Niemal natychmiast poczuła, że zaczyna jej się łać z nosa. Nim dotarła do połowy leja, prychała i kasłała tak zawzięcie, jakby opadło ją galopujące przeziębienie czy nagła infekcja zatok. Oczy miała opuchnięte i pełne łez, w głowie czuła narastający ból. Niemal bezwiednie wlokła się w górę, mechanicznie przekładając stopy. W pewnej chwili opadła na kolana i dalej zaczęła posuwać się na czworakach. Gdy w końcu dotarła do krawędzi, jej pościerane dłonie krwawiły.

Przeturlała się na drugą stronę, myśląc z ulgą, że przynajmniej koszmarny krater ma już za sobą.

W jej kieszeni wciąż tkwił kawałek marsjańskiej błony. Chciała się go jak najszybciej pozbyć, by nie musieć go więcej dotykać. Przyszedł jej na myśl wojskowy ambulans, który leżał przewrócony na bok u stóp stożka krateru. Zeszła na dół, wciąż krztusząc się i kaszląc. Tak długo grzebała we wraku, aż natrafiła na hermetyczny plastikowy pojemnik do przechowywania testów. Włożyła do niego błonę i z wyraźną ulgą zakręciła wieczko.

Jednak jej samopoczucie nie ulegało poprawie. Nagle opadła ją obawa, że mogła ulec poważnemu zakażeniu czymś znajdującym się w atmosferze pozaziemskiego statku. Zaczęła nerwowo przeszukiwać apteczkę w ambulansie i po chwili natknęła się na duży pojemnik z napisem „Penicylina”. Połknęła kilka tabletek i zlna potem, kaszląc i kichając, usiadła na ziemi obok rozwalonego hunweesa.

Musiała tak siedzieć dość długo, gdy nagle dotarł do jej uszu charakterystyczny szum włączonego radia. Zerwała się na nogi, podbiegła do ambulansu i otworzyła drzwi. Na desce rozdzielczej migła czerwona lampka, obok tkwił mikrofon ze spiralnie skręconym przewodem. Szarpnęła go i nacisnęła przycisk nadawania.

– Halo! Czy ktoś mnie słyszy? Tu Alexandria DeVane z krateru pod Richmond!

Przez chwilę panowała cisza, potem z głośnika dał się słyszeć daleki, słaby głos:

– Chwila... Słyszemy panią. Moment.

Czekała z rozbudzoną nagle nadzieją i po chwili usłyszała znacznie mocniejszy, pewniejszy siebie i dziwnie dodający otuchy głos.

– Doktor DeVane? Tu generał Davis. Jak tam u was?

– Fatalnie, panie generale – odparła i w kilku zdaniach zdała relację ze stoczonych bitwy, a właściwie masakry oddziału pułkownika Lee. – Ale udało mi się zdobyć próbkę z wnętrza cylindra. Coś, co wymaga pilnej analizy. Czy mam z tym wrócić do Fort Bragg?

– Odmowa, pani doktor – odrzekł i po raz pierwszy w jego głosie pojawił się cień niepewności i niepokoju. – Spodziewamy się ataku w ciągu kilku najbliższych godzin. Można powiedzieć, że nasza sytuacja jest... też dość fatalna.

– Co więc mam z tym zrobić? Gdzie mam to dostarczyć?

– Mamy dobrze umocnione pozycje na południe od Waszyngtonu – wyjaśnił

dowódca bazy. – Proponuję ruszyć na północ przy użyciu wszelkich dostępnych środków transportu i nawiązać kontakt z naszymi siłami. Wtedy jest szansa, że sprawa szybko trafi do POTUS-a [(ang. President Of The United States) – Prezydent Stanów Zjednoczonych] albo kogoś z jego otoczenia. I, Alex, życzę powodzenia.

– Dziękuję, panie generale. Ja panu też. DeVane odmeldowuje się.

Odłożyła powoli mikrofon i oparła się plecami o wrak ambulansu. Przyłożyła sobie rękę do czoła. Z ulgą stwierdziła, że gorączka nieco ustępuje. Nos też już nie był tak zapchany i coraz mniej kasłała.

Wzięła do ręki pojemnik z penicyliną i z podziwem pokręciła głową, potem wytrząsnęła jeszcze jedną tabletkę i połknęła ją. Na koniec wetknęła słoiczek do kieszeni, chwyciła pojemnik z próbką i wyprostowała się.

Najwyższy czas poszukać jakiejś okazji.

10 czerwca

Baza sił powietrznych Eglin, Floryda

– A więc tylko mnie jednemu udało się wrócić? – jęknął Diuk Hayes z niedowierzaniem. Pytanie było właściwie retoryczne, bo wystarczyło spojrzeć na poszarzałą i skamieniałą ze zmartwienia twarz pułkownika Willarda. Oczywiście, gdyby wcześniej nie wystarczył widok ponurych min obsługi naziemnej i pustka na rozległej płycie lotniska.

– Jakby wszyscy zaginęli w Trójkącie Bermudzkim – odparł Willard. – Od żadnego nie dostaliśmy nawet jednego słowa, że coś jest nie tak.

– To przez te jebane lasery – stęknął Diuk i opadł na krzesło przy biurku dowódcy. – Jak można uciec przed bronią, która trafia w nas z szybkością światła? –

Spojrzał na Willarda z rosnącą rozpaczą w sercu. – Te skurwysyny dorwały Stylowe, zanim zdążyła zrzucić ładunek. Tak samo było z Ziggym i Podwójniakiem. Cholera, pułkowniku, już się zdawało, że mamy ich w garści. Podeszliśmy od tyłu na małej wysokości... byliśmy od nich nie więcej jak kilometr. I potem nagle – trach – obrócili na nas te swoje lasery. I nie było nawet cienia szansy.

– Zauważyłem, że straciłeś kawał skrzydła. – Pułkownik pokiwał głową. –

Szczyście, że ci się udało wrócić.

– Tak, tylko po cholere? – rzucił Diuk ze złością. Jego niezłomna dotąd wiara w warthogi – opokę, na której opierał przekonanie o swej bojowej wartości – została poważnie podważona. – Przecież zrzuciłem osiem ton bomb prosto na łeb tego skurwysyna, a on jakby nigdy nic maszeruje sobie dalej. Co możemy im jeszcze zrobić?

– No cóż, może coś się jeszcze znajdzie – mruknął Willard. – Dostałem wiadomość od chłopaków od uzbrojenia z hangaru bombowego. Udało im się obejść wszystkie spalone obwody w jednej z bomb Mark 72... Mają nadzieję, że do jutra będzie gotowa do ręcznego odpalenia.

– Mówi pan o naszych taktycznych atomówkach? – zapytał Diuk. Ten budzący w nim zawsze niekłamaną grozę element arsenału nagle rozblęsnął w jego umyśle jak światełko nadziei w ciemnym tunelu. – To rzeczywiście mogłoby ich załatwić.

– I myślę, że załatwi. Mechanicy zajmą się twoim skrzydłem, bo to w tej chwili jedyny samolot, jaki nam został.

– I jeden wystarczy. – Pochyliwszy się do przodu, Diuk wbił wzrok w twarz dowódcy. – I tylko o jedno proszę, pułkowniku. Żebym to ja mógł nim polecieć na to zadanie.

DZIESIĘĆ

11 czerwca

Krater na południe od Richmond, Wirginia

Wszędzie jak okiem sięgnąć – lej krateru, jego krawędź i zewnętrzne zbocze stożka usłane były spalonymi wrakami sprzętu i trupami żołnierzy. Nigdzie nic się nie ruszało i brak było jakichkolwiek oznak życia. Potężne masy ziemi wyrzucone w wyniku uderzenia cylindra pokryły wszystkie naturalne znaki orientacyjne i Alex nie bardzo mogła się połapać w kierunkach geograficznych. Nie było nawet śladu po wielkiej międzystanowej autostradzie, która przebiegała niedaleko stąd. Spojrzała w niebo, próbując odgadnąć położenie słońca, ale gruba warstwa chmur całkowicie je zasłaniała. Zresztą jej zegarek i tak stał, nie wiedziała nawet, jaka jest pora dnia.

Wtedy przypomniała sobie prymitywny kompas otrzymany w prezencie od generała Davisa. Był przypięty do klapy kieszeni koszuli, a gdy wzięła go do ręki, igła bez wahania ustawiła się w kierunku, który musiał być północą, a który ciągnął

się poza krater. W przeciwną stronę leżał Fort Bragg z jego ułudnym bezpieczeństwem bazy wojskowej, nad którą teraz też zawisała groźba ataku wroga.

Była jednak pewna, że część Marsjan poszła również na północ. Rozmieszczenie punktów lądowania, które ciągnęły się kolistnie wokół głównych skupisk ludzkich, dowodziło niezbicie, że najeźdźcy zaplanowali atak na najważniejsze miasta w rejonie. A to oznaczało zarówno Richmond kilka kilometrów dalej na północ, jak i Waszyngton leżący ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Alex nie miała wątpliwości, co musi zrobić. Z kompasem w ręku obeszła potężny krater i ruszyła na północ.

Kawałek dalej natknęła się na hunweesa ukrytego za potężnym głazem, a właściwie odłamkiem skały wapiennej wyrzuconym z ziemi w wyniku uderzenia cylindra. Pojazd był nietknięty, bo widocznie głaz osłonił go przed atakiem Marsjan, którzy przeszli tędy na północ. W środku nie było nikogo i mogła się tylko domyślać, że żołnierzom, którzy go tu postawili, nie udało się cało wrócić z pola walki.

Ale kluczyki wciąż tkwiły w stacyjce! Wsiadła, przekręciła kluczyk i przeżyła moment triumfu, gdy potężny ośmiocylindrowy diesel bez wahania zaskoczył. Od razu sprawdziła też radio, jednak radiostacja zainstalowana w pojeździe milczała –

zapewne nie zdążono jej naprawić po Impulsie. A jeśli załoga hunweesa miała jakieś inne radio, musiała je zapewne wziąć ze sobą.

Ale brak łączności nie zepsuł jej humoru. Wyregulowała fotel, przestawiła automatyczną przekładnię na jazdę i ostrożnie ruszyła w dół wyboistego, stromego zbocza zasypanego miękką, spulchnioną ziemią. Przyczepiła sobie kompas do kolana, jednak od razu stwierdziła, że pole magnetyczne silnika powoduje, iż igła kompasu zaczyna lekko wariować. Wiedziała jednak, że stożek krateru w lusterku wstecznym jest dla niej wystarczającym punktem orientacyjnym. Póki będzie go widać, będzie to

znaczyło, że jedzie z grubsza na północ.

Po kilku kilometrach, w miarę zmniejszania się warstwy ziemi wyrzuconej przez uderzenie, zaczęła zauważać pierwsze rozpoznawalne ślady dawnego otoczenia.

Minęła kilka zrujnowanych budynków, które kiedyś były pewnie fajnymi hotelami.

Szyby okien wypadły od podmuchu, a fasada i boczne ściany stały wypalone i poczerniałe od ognia. Większość mniejszych budynków leżała w gruzach, zostały po nich tylko sterczące kikuty. Zauważyła poniewierający się na ziemi zniszczony emblemat Texaco i kawałek zielonej plastikowej tablicy z żółtymi literami PER –

niewątpliwie pozostałość po szyldzie restauracji PERKINS.

Zobaczyła przed sobą dwa rozwalone równoległe przęsła mostu i domyśliła się, że dotarła do autostrady. Podjechała od południowego wschodu i wjechawszy na nią, zaczęła lawirować po południowej nitce między porzuconymi i na wpół

zagrzebanymi w ziemi samochodami. Zerwany most uniemożliwiał przedostanie się na północną jezdnię autostrady i zaczęła się zastanawiać, jak z tego wybrnąć.

Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że w tym jej nowym świecie tego rodzaju zasady nie mają już żadnego znaczenia, ruszyła więc prawym pasem południowej jezdni i pojechała nią pod prąd na północ.

Jak większość dróg w Stanach Zjednoczonych, również i ta zasłana była porzuconymi samochodami, które unieruchomił Impuls. Alex udało się dość szybko posuwać do przodu tylko dzięki zjeżdżaniu na wewnętrzne pobocze. Po kilku minutach minęła ostatnie ślady zniszczeń wywołanych uderzeniem cylindra, jednak to tylko uwypukliło spustoszenie terenu. W pobliżu Petersburga dotarła do I-95 i pojechała nią dalej na północ. Mijając Richmond, domyśliła się, że podąża śladem co najmniej jednej z marsjańskich machin. Niezależnie od typu mijanych budynków –

magazynów, hoteli, apartamentowców, zakładów produkcyjnych czy całych osiedli

– wszystko zostało wypalone piekielnym laserem. Widok ten przypominał zdjęcia z powojennej Hiroszimy, Berlina czy Manili, na których widać było miasta doszczętnie zrujnowane w wyniku działań wojennych.

W całym mieście nie zauważyła nikogo żywego. Przeciwnie, w powietrzu unosiła się wyraźna woń śmierci, rozkładu i gnijących ciał. Jednak w którymś momencie kątem oka dostrzegła z nasypu autostrady jakiś ruch i pełna nadziei przyhamowała, wpatrując się w ulicę ciągnącą się dołem w głąb miasta.

Ruch powtórzył się, wtedy je dostrzegła: szczury, setki szczurów przemykających między domami. Nad bezkształtnymi przedmiotami leżącymi na chodniku i w zaroślach unosiły się chmury much. Alex odwróciła głowę. Wbiła wzrok przed siebie i ruszyła w dalszą drogę do Waszyngtonu.

Wolała nawet nie myśleć, co ją tam może czekać.

12 czerwca

Alexandria, Wirginia

Alex wjechała w mury miasta, o którym – od chwili, gdy ojciec opowiedział jej o pierwszych bitwach w czasach wojny secesyjnej – miała zwyczaj mawiać, że

„zostało nazwane jej imieniem”. Podróż z Richmond do przedmieść Waszyngtonu w normalnych warunkach i bez specjalnych korków trwała około dwóch godzin. Dziś, w początkach marsjańskiej inwazji, zajęło to niemal cały dzień. Zawalone mosty, ślady stoczonych walk i liczne tarasujące drogę samochody zmuszały kobietę do ciągłego zjeżdżania z trasy i szukania objazdów.

Za Fredericksburgiem natknęła się na ślady ciężkich walk, jakie tu stoczono. Na polach na północ od rzeki – po drugiej stronie wzgórz, na których w 1862 roku Hooker podjął sławetną i krwawą ofensywę przeciw oddziałom Roberta E. Lee –

widać było dziesiątki spalonych czołgów, setki ludzkich ciał i tysiące kraczących wron. Najwyraźniej wojsko podjęło próbę utrzymania brzegu rzeki Rapidan i poniosło równie druzgocącą klęskę, jak dzielny, ale pozbawiony szans oddział

zwiadowczy przy kraterze.

Wiedząc, że w zbiorniku kończy się paliwo, trzydzieści kilometrów wcześniej Alex zatrzymała się na opuszczonej farmie – wielkiej posiadłości z domem mieszkalnym wyglądającym jak pałac i licznymi zabudowaniami gospodarczymi, w tym budynkiem na sprzęt zmechanizowany – wśród pagórkowatych pól Wirginii.

Była z góry przygotowana, że będzie musiała ściągnąć ropę z traktora lub kombajnu, jednak z radością natknęła się na zapas ropy trzymany przez farmera w wielkiej beczce na specjalnym podwyższeniu. Wybawiło ją to z konieczności ściągnięcia paliwa z baków i pozwoliło zatankować humveesa pod sam korek. Znalazła też spiżarnię, a w niej trochę chipsów i kilka puszek sosu serowego do nachos, więc przyrządziła sobie z tego skromny posiłek i popiła ciepłą colą.

Zjechawszy z autostrady, ruszyła w dalszą drogę zwykłą szosą jako że było na niej dużo mniej porzuconych pojazdów. Poza tym, na obrośniętej drzewami drodze czuła się mniej narażona niż na dobrze widocznej i coraz szerszej autostradzie. Od wyruszenia spod krateru nie natknęła się wprawdzie na żadnego marsjańskiego trójnoga, ale co krok spotykała ślady pozostałe po ich przejściu. Wiele budynków wciąż jeszcze tliło się po zetknięciu z laserami, a wszystko żywe – zarówno ludzie, jak i zwierzęta – albo uciekło w popłochu, albo już nie żyło. Przez całą drogę rozglądała się czujnie, wypatrując śladów życia i obecności marsjańskich machin.

Na pozostałości po kolejnej zaciętej bitwie natknęła się w pobliżu obwodnicy.

Straciła już rachubę spalonych czołgów, transporterów i innych wojskowych pojazdów, jakie widziała po drodze. Tu i ówdzie ziemia była kompletnie zryta, pokryta lejami od licznych bomb czy

pocisków artyleryjskich, a może jednych i drugich. Ani razu nie natknęła się natomiast na wrak marsjańskiej maszyny – zresztą z własnego doświadczenia wiedziała, że są całkowicie uodpornione na ludzką broń.

Jak Richmond, Fredericksburg oraz wszystkie inne mijane miejscowości, Alexandria była zupełnie wyludniona, znaczna część miejskiej zabudowy uległa zaś całkowitemu zniszczeniu. Po obu stronach drogi sterczały wypalone ściany domów z pustymi oczodołami okien i wyszczerzonymi otworami drzwi, co nadawało im wygląd trupich czaszek. Gdziekolwiek widać też było oazy spokoju z zielonymi drzewami, ukwieconymi ogrodami i nietkniętymi domami, a jedynymi śladami paniki, w jakiej je opuszczano, były wiszące na zawiasach drzwi, otwarte walizki czy porzucone przed domem rozbite skrzynie z zawartością rozwleczoną po trawniku.

Zauważyła też mnóstwo zwłok, którymi zdążyły się już zająć kruki i wrony.

Ciała były popalone, poranione i zmasakrowane w walce. Jeszcze większe wrażenie robiły trupy leżące na chodnikach pośród ocalałych domów, po kilkanaście na jednej ulicy. Nie widać na nich było żadnych ran ani śladów ognia i tylko na twarzach –

choć starała się im zbytnio nie przyglądać – widoczny był wyraz śmiertelnego przerażenia. Z otwartych poczerniałych ust wystawały języki, a w oczach – tych, których wrony nie zdążyły jeszcze wydziobać – czaił się wyraz niemej rozpacz.

Przecież, na litość boską, nie mogli zabić wszystkich! Odrzucała od siebie myśl o zagładzie całej populacji, jednak wołała nawet nie spekulować, czy ocalonym udało się zbiec w głąb kraju, czy też może przyparto ich do linii brzegowej oceanu. Teraz naprawdę zależało jej jedynie na tym, aby jak najszybciej dostarczyć próbkę komuś, kto będzie wiedział, co z nią zrobić.

Od wyruszenia w drogę powietrze było ciężkie od dymu i gryzącej woni spalenizny, jednak dopiero w Alexandrii natknęła się na pierwsze wciąż płonące budynki i ujrzała pomarańczowe jęzory ognia nadal trawiące dachy, drewniane ramy i ściany domów. Jadąc ulicą, na której po obu stronach płonęły budynki, wiedziała, że najwyraźniej podąża tropem jednego z trójnogów, a coraz liczniejsze pożary świadczyły, że cały czas się do niego zbliża. Z okien eleganckiego apartamentowca dobywały się kłęby dymu i języki ognia, kawałek dalej zaś na jej oczach zawałiła się wysoka wieża kościoła w kolonialnym stylu. Przeciskała się swym humveesem po coraz bardziej zagruzowanych i coraz węższych uliczkach starej części miasta, jednak wciąż nie natknęła się na żadne oznaki życia. Jeśli nawet byli tu jacyś ludzie, potrafili bardzo umiejętnie się ukryć. Jak wszędzie, na ulicach było mnóstwo porzuconych samochodów, które ktoś rozepchnął na boki i zrobił środkiem w miarę szeroki, wygodny przejazd.

Minęła dzielnicę, w której mieszkała jako dziecko (jej blok okazał się doszczętnie wypalony), i skierowała się na północ, w stronę rzeki. Chciała uniknąć jazdy przez Mount Vernon Avenue, wybrała więc objazd bocznymi uliczkami. To właśnie tu, w uboższej części miasta, na ulicy obstawionej po obu stronach blokami mieszkalnymi natknęła się na pierwszych żywych mieszkańców. Dostrzegła kilku młodych mężczyzn w bluzach od dresów i czapkach naciągniętych na oczy, przyglądających się spode łba jej humveesowi. Mając na twarzach wyraz nieufności i wrogości, stali oparci o porozbijane samochody, które ktoś bezceremonialnie rozepchnął pługiem na

boki.

Jeszcze tydzień temu nacisnęłaby pewnie gaz i pospiesznie odjechała. Jednak teraz coś, czego nie umiała w pełni nazwać, kazało jej się zatrzymać. Dwóch chłopaków – chudy nastolatek z rękami w kieszeniach i nieco starszy dryblas z małymi, złośliwymi oczkami i zamaszystym chodem – ruszyło w jej stronę. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że należało wziąć ze sobą pistolet. Mimo to nie tylko nie odjechała, ale nawet opuściła szybę.

– Znaczy się, ty z woja? – zapytał młodszy, krzywiąc się pogardliwie. – No to już się zesrało. Przegraliście.

– Nie, ja... – Potrząsnęła przecząco głową. Co właściwie miała im powiedzieć?

Że pracuje w NASA? Na samą myśl niemal parsknęła śmiechem. – Jestem naukowcem – zdecydowała się. – Próbuję się dowiedzieć, co się stało.

– Co się stało? – Dryblas zachichotał. – Się stało, że skurwiele przyśli z laserami i całą resztą gówna. Z jebanym gazem. Załatwili wszystko, Arlington i całe południe Waszyngtonu.

– Z gazem? – upewniła się. – Trującym?

Młodzieniec przewrócił oczami na znak pogardy dla jej niewiedzy, a ona poczuła się głupio wobec bogactwa jego doświadczenia.

– No, a jak. Taki cały czarny. Jak go puścili po ulicy, to popłynął aż do potoku.

Razem z chłopakami żeśmy wleźli na dach, tośmy widzieli, jak ten czarny szajs załatwia całą naszą dzielnicę.

– Boże... współczuję – wybąkała Alex. Czowała się przybita i całkiem bezbronna. –

A jak to zrobili? Skąd wzięli ten gaz?

– Az tych takich pudełek, co je trzymają na końcu tych swoich łap. Z jednego wałą laserem, a z drugiego rzyga gaz. I to tak rzyga, że od razu cała ulica była pełna.

– Głośno pstryknął palcami, żeby podkreślić, jak szybko to się stało.

– I gdzie są teraz? W którą stronę poszli?

– Kurwa, a gdzie ich nie ma? – zaperzył się młodzieniec, jednak machnął ręką ku północy i zachodowi. – Tam skurwiele poszli, jak tylko wszystkich w mieście załatwili na cacy.

– I tylko wy jedni się uratowaliście? – spytała.

– Więcej naszych stoi na czatach. I to od cholery. Więc niech no tylko skurwiele tu przyjdą to im dupę skopimy. – Czowała, że ta jego buńczuczność wcale nie jest tylko na pokaz. Wiedziała, że jeśli

Marsjanie rzeczywiście jeszcze raz się tu pojawiają, ten młody człowiek im się przeciwstawi i najpewniej zginie.

– To życzę powodzenia – powiedziała, bo jakoś nic innego nie przyszło jej do głowy.

Ruszyła w dalszą drogę przez upiorne, wyludnione dzielnice. Woń śmierci unosiła się wszędzie i gdy wjechała na główną wylotową ulicę, z przerażeniem stwierdziła, że chodniki są aż czarne od wron zawzięcie dziobiących leżące pokotem ciała. Zaduch śmierci był tu tak namacalny, że niemal widziała, jak tłum ludzi pada pod działaniem śmiertcionośnego, czarnego gazu. Zwłoki obsiadły też chmury much, których brzęczenie słychać było wyraźnie nawet z tej odległości. Raptownie nacisnęła hamulec i tak gwałtownie ruszyła do tyłu, że walnęła w zderzak jakiegoś samochodu ustawionego pod kątem przy krawężniku. Szarpnęła kierownicą, zawróciła i pospiesznie uciekła z przerażającej ulicy śmierci.

Spróbowała na spokojnie przeanalizować to, co usłyszała o śmiertcionośnym gazie. Najwyraźniej był cięższy od powietrza, bo jej rozmówcy uratowali się dzięki wejściu na dach, podczas gdy wszyscy na ulicy zginęli. Stanowiło to też odpowiedź

na pytanie o skrzynkę na drugim ramieniu marsjańskich trójnogów. Pierwsza, emitująca śmiertcionośne promienie laserowe, była bronią przeznaczoną do walki na polu bitwy. Druga, przeznaczona do puszczania gazu zdolnego jednym pociągnięciem uśmiercić całą dzielnicę, służyła do niszczenia życia na większym terenie. Najwyraźniej gaz był niezwykle skuteczny, natomiast niezbyt trwały, bo dla ptaków, które po jakimś czasie się zleciały, okazał się niegroźny. Również i ona nie poczuła żadnej obcej woni ani nie poczuła się gorzej.

Pomyślała, że trochę przypomina to sposób, w jaki ludzie pozbywają się dokuczliwego robactwa i poczuła ciarki na plecach. Bo właśnie tym jesteśmy dla najeźdźców – robactwem, szkodnikami, insektami. Oburzenie i wściekłość, jakie ta myśl w niej wywołała, szybko ustąpiły miejsca poczuciu kompletnej bezsilności.

Dotarła tymczasem w pobliże Narodowego Cmentarza w Arlington, przejechała więc mostem Arlington Memorial na drugą stronę rzeki i podjechała pod rozległą kolumnadę pomnika Lincolna. Zaparkowała przed głównym wejściem, które od 11

września 2001 było zamknięte dla wszelkiego ruchu kołowego. Dopiero gdy spróbowała puścić kierownicę i otworzyć drzwi, okazało się, że przeżyte emocje niemal przyspawały jej dłonie do koła kierownicy. Z dużym trudem rozprostowała palce, pociągnęła za rączkę i wysiadła.

Na moment zatrzymała się przed wyrazistym obliczem wielkiego prezydenta.

Była tu wiele razy, bo uważała to miejsce za święte dla wyznawców świeckiej religii amerykańizmu, jednak nigdy przedtem wyraz troski na kamiennym obliczu prezydenta nie wydał jej się tak zboląły. Miała nadzieję, że znajdzie w nim ukojenie, tchnienie mądrości wielkiego człowieka, który przeprowadził swój naród przez najgorszy w jego dziejach kryzys, jednak nie dostrzegła w nim nic poza przeraźliwym, wszechogarniającym smutkiem.

Bliska płaczu, mrugając nerwowo powiekami, obróciła głowę i popatrzyła na National Mail – Błonie Narodu. Cała rozległa połać trawnika była zupełnie pusta, choć w przeciwieństwie do południowych części miasta nie widać tu było żadnych zniszczeń. Widoczny w perspektywie Kapitol, obelisk Waszyngtona i budynki Smithsonian wydawały się nietknięte. Na ulicach widać było mnóstwo wraków samochodowych, które stały tam jeszcze od Impulsu, choć tak jak gdzie indziej rozepchnięto je na boki pługami, robiąc przejazd.

Nie było natomiast widać ani ruchu samochodowego, ani żadnych przechodniów.

Na brzegu basenu wyrównawczego siedziała chmara wron i kruków i Alex nie starała się nawet dojrzeć, co przyciągnęło ich uwagę. Poczła przemożną chęć, by jak najszybciej stąd uciec, jednak było jeszcze coś, co musiała sprawdzić. Poszła Independence Avenue, skręciła w Siódmą, nią doszła do E Street i skręciła w lewo.

Miała stąd zaledwie dwie przecznice do budynku NASA, jednak od razu uznała, że dalej już nie da się przejść. A nawet gdyby się dało, i tak nie było po co.

Południowa fasada ogromnego budynku Departamentu Transportu była poszarpana potężnymi eksplozjami. Widać było rozerwany wrak abramska, ledwo wystający spod gruzu. Zauważyła też dwa zmasakrowane i wypalone bradleye przewrócone w prawo od budynku i liczne ciała żołnierzy rozrzucone wśród gruzów.

Ze stojącego nieco dalej kościoła Świętego Dominika został tylko wypalony szkielet, a budynku NASA po prostu nie było. Zniknął bez śladu, jakby nigdy tu nie stał.

Jedynym wyjątkiem były zwłoki oficera w kevlarowym hełmie wciąż jeszcze zapiętym pod brodą i ze straszliwą raną na piersiach, która w jego wojskowej bluzie tworzyła głęboką dziurę oblepioną zaschniętą krwią. Ręce miał wyrzucone do przodu, a metr od niego leżała jego służbowa czterdziestka piątka. Alex podeszła bliżej i niemal z poczuciem winy podniosła ciężki automatyczny pistolet. Upewniła się, że magazynek jest pełny i że pistolet jest zabezpieczony. Trzymając go w ręku, ruszyła w drogę powrotną do hunweesa.

Położyła pistolet na siedzeniu obok siebie, by mieć go w każdej chwili pod ręką, i z trudem zawróciła na wąskiej drodze. Chcąc jak najszybciej się stąd wydostać, postanowiła ominąć centrum wspaniałego niegdyś miasta i pojechać na zachód.

Dręczyła ją myśl, gdzie się podziali wszyscy jego mieszkańcy. Bo przecież część z nich musiała przeżyć! I równie ważne było pytanie, gdzie są Marsjanie, choć Alex z coraz większym pesymizmem oceniała szanse ludzi na pokonanie tego niewątpliwie potężniejszego wroga.

Objechała błonie trasą 29 i wjechała w K Street Canyon. Stojące przy niej wielkie biurowce wyglądały na zupełnie opustoszałe. Widać personel mieszczących się tu firm prawniczych wraz z innymi uciekł z miasta. Ogromne sępy krążyły leniwie nad Washington Circle. Wyjechała na autostradę Whitehurst Freeway biegnącą wiaduktem przerzuconym przez Georgetown i machinalnie przyspieszyła.

Jechała na wysokości okien biur i mieszkań tak jeszcze niedawno kipiących życiem, starając się o tym nie myśleć. Wjechała w Canal Road w pobliżu schodów znanych z Egzorcysty i skręciła w Clara Baron Parkway, kierując się na Bethesdę. Droga biegnąca wzdłuż doliny Potomacu prowadziła wśród bujnej roślinności kryjącej przygnębiający widok porzuconych przez ludzi domostw.

Dopiero tu natknęła się na pierwszych ludzi uciekających z miasta. Niektórzy jechali na rowerach, inni szli pieszo, ciągnąc za sobą wózki lub pchając taczki wyładowane niezbędnymi do życia skarbami. Pierwsza napotkana grupa liczyła około setki kobiet i mężczyzn w różnym wieku, o różnym kolorze skóry – białym, czarnym i żółtym – tworząc zupełnie przypadkową mieszaninę. Większość nie zwracała na nią uwagi, choć jakiś starszy mężczyzna na jej widok zatrzymał się i wbił w nią pełne zawiści spojrzenie. Odruchowo zjechała na bok, zatrzymała się i otworzyła drzwi.

– Czego chcesz? – warknął mężczyzna. Miał pooraną zmarszczkami twarz okoloną bujnymi, siwymi bokobrodami. Był ubrany w roboczy drelich i stał w obronnej pozycji, jakby osłaniając sobą parę młodych ludzi trzymających na rękach po jednym dziecku.

– Chciałabym... chciałabym się dowiedzieć, jak to się stało – odparła, szykując się do wyjścia z samochodu. I w tym momencie wyczuła kipiącą w nim nienawiść i bijącą od niego żądzę. Żądzę wobec starego sfatygowanego wojskowego łazika.

Zatrzasnęła drzwiczki w chwili, gdy mężczyzna gwałtownie rzucił się w jej kierunku. Chwyciła pistolet i wymierzyła w niego potężną lufę, a on zatrzymał się w pół kroku, nagle zrezygnowany i pokonany. Bez słowa dodała gazu i wyprzedziła całą grupę.

Grup uchodźców było więcej. Szli zrezygnowani bokiem drogi po dwadzieścia, trzydzieści osób, a w oczach wielu widziała ten sam głodny i smętny wyraz. Nie chodziło im jednak o jedzenie, a o coś znacznie bardziej ulotnego. Poczucie bezpieczeństwa? Powrót do przeszłości?

Z tyłu do jej uszu dobiegł rosnący, głęboki warkot. Rzuciła okiem w lusterko i zobaczyła nadjeżdżającą ekipę odzianych w skóry motocyklistów. Zjechała na bok i bez zdziwienia patrzyła na potężne harleye davidsony, które albo okazały się odporne na działanie Impulsu, albo przynajmniej dały się łatwo usprawnić. Wataha motocyklistów przejechała z głośnym warkotem i Alex ruszyła w dalszą drogę, wyprzedzając kolejne grupki piechurów.

Wiedziała, że powinna komuś zaoferować pomoc, i wybrała w końcu pięcioro dzieci, grupkę złożoną z czwórki maluchów i jednej dziewczynki w wieku około czternastu lat. Gdy się zatrzymała, nastolatka obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem, jednak szybko uznała, że mogą przyjąć propozycję podwiezienia.

– Nazywam się Pam Lucas – oświadczyła, gdy cała czwórka rozsiadła się na tylnym siedzeniu. – Byliśmy ze szkolną wycieczką w Waszyngtonie i tam Impuls złapał nas. Nasza pani poszła szukać autobusu i więcej się nie pokazała. Niektóre dzieci postanowiły wracać do domu na piechotę, ale ja wolałam zostać w mieście.

– A ten dom, to gdzie?

– Harrisburg, Pensylwania. Kawał drogi – przyznała Pam. – A potem zjawili się Marsjanie i jak wszyscy znalazłam się w pułapce. Nadeszli jednocześnie od północy, od zachodu i od południa, złapali dużo ludzi w mieście. Weszłam z kilkoma żołnierzami na pomnik Waszyngtona. Widzieliśmy stamtąd, jak całe błonie zalewa czarny gaz.

Alex wzdrygnęła się na samą myśl o tej scenie, jednak pragnęła się dowiedzieć czegoś więcej.

– Jak to długo trwało? Ten atak gazowy?

– Nie tak długo. – Pam wzruszyła ramionami. – Może z godzinę albo i mniej. Gaz wyglądał tak, jakby się rozpląwał, więc jak żeśmy w końcu zesli, to nawet nie śmierdziało. I Marsjan też już nie było.

Alex spojrzała w lusterko na czwórkę maluchów na tylnym siedzeniu. Mogły mieć nie więcej niż po cztery, pięć lat i wszystkie siedziały zasłuchane.

– A ta czwórka też z wycieczki? – spytała.

– Nee, skąd. Znalazłam ich w Georgetown. Po tym, jak już gaz odpłynął. Chyba akurat byli w przedszkolu, pewno gdzieś na wyższym piętrze. Bo w taki sposób uratowało się dużo ludzi. Kiedy ich spotkałam, po prostu szli sobie ulicą.

– No to mieli szczęście, że na nich trafiłaś – powiedziała Alex z przekonaniem.

– Pewno tak – zgodziła się Pam. – Tylko nie wiem, co komu teraz z tego.

Zrezygowany ton w głosie dziewczynki – tak pasujący do tego, co kobieta sama czuła – szczególnie mocno uzmysłowił jej poniesioną klęskę. Zamilkła i przełykając łzy, jechała dalej, lawirując wśród porzuconych samochodów i przejeżdżając obok kolejnych grup pieszych. Droga ciągnąca się doliną Potomacu była po obu stronach gęsto obrośnięta roślinnością, choć przez gęstwiny po lewej przebijał czasami widok płynącej w dole rzeki. Aleja parkowa skończyła się i przeszła w zwykłą szosę o zaskakująco przedmiejskim wyglądzie, ciągnącą się dalej w kierunku północno-wschodnim. Minęli kilka skrzyżowań z lokalnymi drogami wspinającymi się stromo pod górę na wysokie zbocze po prawej lub odchodzącymi w lewo na mosty nad kanałem Chesapeake i Ohio.

Pierwszy sygnał o nadchodzącym niebezpieczeństwie pojawił się w osobach dwóch młodych mężczyzn – w pewnym momencie zobaczyli ich biegnących w przeciwnym kierunku. Po drodze krzyczeli coś do mijanych pieszych, a ci od razu zawracali i zaczęli gnać z powrotem w stronę miasta. Po chwili humveesa otoczył

tłum biegnących z naprzeciwka ludzi.

– Czarny gaz! – zawołał jakiś mężczyzna. – Nadchodzi! Marsjanie są przed nami!

– O mój Boże! – wykrzyknęła przerażona Pam. Jedno z dzieci z tyłu zaczęło głośno płakać i po chwili cała czwórka zaniósła się płaczem.

– Uciekniemy! – zawołała Alex, naciskając pedał hamulca. – Biegnijcie w górę!

– krzyknęła do napierającego tłumu. – Jak najdalej od rzeki!

Pamiętała, że kilkaset metrów wcześniej minęli kolejne skrzyżowanie. Skręciła tak gwałtownie, że dwoma kołami za-buksowała na piaszczystym poboczu, ale udało jej się zawrócić. Nacisnęła gaz, patrząc, jak ludzie rzucają cały swój dobytek i zaczynają biec z powrotem.

– Biegnijcie w górę! – krzyknęła do nich Pam, wychylając się przez okno. –

Uciekajcie na skarpe! – Potem odwróciła się do czwórki dzieci i powiedziała zupełnie spokojnym tonem: – Nic nam nie będzie. Ta pani zawiezie nas na górę, a tam nas Marsjanie nie znajdą.

W uszach Alex zabrzmiało to niezbyt przekonująco, jednak czwórka dzieci przestała płakać i słysząc już tylko było ich pochlipywanie. Wiele osób na szosie posłuchało rady lub samodzielnie doszło do tego samego wniosku, bo ruszyło w zarośla i na zadbane trawniki wokół prywatnych posesji przy drodze, uciekając jak najdalej od rzeki. Jednak wielu albo nie dosłyszało rady, albo ją zignorowało, bo pozostało na drodze i biegło dnem rzecznej doliny.

Gdy dotarli do skrzyżowania, Alex skręciła raptownie w lewo i wjechała w wąską uliczkę prowadzącą ostro w górę na stromą skarpe. Nie zdjęła nogi z gazu i niewiele brakowało, by wpadła na kilka porzuconych samochodów, które niemal blokowały przejazd. Wyrznęła z hukiem w błotnik jakiejś furgonetki, ale nawet na chwilę nie zwolniła, cały czas mozolnie się wspinając. Dzieci z tyłu siedziały z szeroko otwartymi oczami i zaciśniętymi do białości piąstkami. Pam pokrzykiwała, zachęcając do jeszcze szybszej jazdy.

W końcu dotarli na płaski grzbiet wysokiej skarpy ciągnącej się wzdłuż doliny i Alex wjechała na parking przy sklepie. Roztaczał się stąd widok na dolinę i lśniąca wstęgę rzeki w dole.

Wyglądało tak, jakby na dolinę spływał tuman smolistej czerni – straszliwa ściana gazu płynąca z nurtem rzeki, wypełniająca całe jej koryto i rozlewająca się na kanał Chesapeake i Ohio. Chmura gazu była dużo gęstsza od zwykłych chmur i rozlewała się po ziemi, wypełniając jej wszystkie nierówności i całe koryto rzeki jak wezbrany przyptyw, który chce zatopić wszystko. Widać było uciekających ludzi, ale napierający, czarny gaz przemieszczał się znacznie szybciej, doganiał ich i płynął

dalej. Ludzie niknęli w czarnym тумanie i przez chwilę nie było widać, co się z nimi dzieje, jednak Alex wyobrażała sobie odbywające się tam teraz dramatyczne sceny cierpienia i śmierci.

Pewna, nawet dość znaczna liczba osób rzuciła się do ucieczki w górę, ale było już za późno. Kilkanaście osób wbiegło nawet w tę samą boczną drogę, którą pojechała Alex, ale widać było, jak macki ciemnego dymu oplatają im nogi. Inni z oczami wytrzeszczonymi z wysiłku, z trudem łapiąc oddech, próbowali przedzierać się przez zarośla, prywatne posesje i parkingi ciągnące się po obu stronach drogi.

Zauważyła, jak jakiś mężczyzna wyskakuje z mroku i potykając się, próbuje wspinać po zboczu, a śmiercionośne macki gazu oplatają go coraz wyżej. Chwilę później padł

na twarz, wykonał kilka konwulsyjnych ruchów i zmarł w bezruchu.

Morderczy gaz nie przestawał się snuć.

JEDENAŚCIE

12 czerwca

Delbrook Lake, Wisconsin

Całą noc i prawie całą następną dobę po przejściu Marsjan przesiedziałem w piwnicy. Siedziałem ze wzrokiem utkwionym w ścianę albo schody i wegetowałem półżywy, mając kompletną pustkę w głowie. Gdyby wtedy marsjańska machina najechała mój dom, chyba nie byłbym zdolny do jakiegokolwiek reakcji.

Z nadejściem świtu otrząsnąłem się z niemal katatonicznego odrętwienia, poruszyłem się, rozejrzałem i wypilem parę łyków wody. Cały czas miałem pod ręką strzelbę, w razie... no właśnie, tylko czego? Próba użycia jej w walce ze srebrzystym trójnogiem o niepojętym anty grawitacyjnym sposobie poruszania się i ze śmiercionośnym, błyskawicznie działającym laserem byłaby śmieszna. Czułem się jak poddany działaniu silnego pestycydu tropikalny robak, który jest absolutnie bezsilny i może tylko zginąć.

Mając w pamięci kanonadę z broni Browne'a, którą próbował powstrzymać nacierającą machinę, mogłem tylko z politowaniem pokiwać głową nad bezsensownością jego poczynań. Co nie przeszkadzało, że determinacja i odwaga faceta budziły mój podziw. Co do mnie, takie zachowanie w ogóle nie wchodziło w rachubę. Pamiętając, jak zdrętwiały ze strachu i odrazy siedziałem w kucki, gdy trójnog przechodził tuż obok, wiedziałem, że stać mnie jedynie na krycie się. Nawet nie odważyłem się uruchomić generatora, bojąc się, że warkot silnika przyciągnie czyjaś uwagę do tak dobrze ukrytego w gęstwinie drzew domu. Nie odważyłem się także zapalić światła.

W pozbawionej okien piwnicy zapaliłem tylko lampę naftową i nakręciłem przedpotopowy budzik, by wiedzieć, która jest godzina. Korzystając z baterii, wysłuchałem przez radio kilku mglistych doniesień o atakach na Rockford i na południe od Chicago. Podczas tej pierwszej nocy nadawało jeszcze pięć czy sześć stacji. Dwie z nich znajdowały się w Milwaukee, reszta w Illinois. Co ważne, nie nadawała żadna z wielu stacji z Madison, których zwykle słuchałem.

Gdy następnego dnia ponownie włączyłem radio, okazało się, że obie stacje z Milwaukee zamilkły i znalazłem już tylko dwa sygnały, oba z Chicago. Jak poprzednio, informacje były bardzo wyrywkowe i ograniczały się do osobistych doświadczeń mówiącego oraz wiadomości zasłyszanych z innych, odleglejszych stacji.

Mimo to rysujący się już pewien ogólny obraz sytuacji przedstawiał się niezwykle ponuro. Wyglądało na to, że cały kraj znalazł się w stanie oblężenia.

Opowiadano o straszliwym trującym gazie i zaciętym oporze stawianym najeźdźcom przez wojsko. Na południu Indiany zaatakowały ich dwie dywizje piechoty i choć reporterzy nie dysponowali wieloma szczegółami, z doniesień wynikało, że ludzie ponieśli druzgocącą klęskę. Znaczna część Indianapolis stała podobno w ogniu. Informacje dochodzące z dalszych rejonów mówiły, że zarówno Toronto, jak i miasto Meksyk oblężone są przez najeźdźców. Brak było innych doniesień z zagranicy, ale fakt ten nie budził we mnie większych nadziei.

Wegetowałem w piwnicy, aż na przedpotopowym budziku minęła ósma, a rosnący we mnie niepokój zmobilizował mnie do ruszenia się z miejsca. Powoli i ostrożnie wszedłem na górę i przez szpary w zasłonach wyjrzałem na zewnątrz.

Popołudniowe cienie zaczynały się już zamieniać w przedwieczorny mrok ogarniający pierścień lasu wokół mego domu, który wyglądał tak jak zawsze, choć drzewa przybrały teraz jakby groźniejszy wygląd. Przy karmniku kręciły się jednak zięby i grubodzioby, a niebo – choć ołowianoszare i bez śladu słońca – wyglądało mniej więcej normalnie.

Nie odważyłem się jednak otworzyć drzwi i zamiast w sypialni, ułożyłem się do snu na kanapie w salonie, mając strzelbę i radio w zasięgu ręki. Przez jakiś czas słuchałem stacji nadającej ze śródmieścia Chicago, która dawniej specjalizowała się wyłącznie w audycjach sportowych i odznaczała się zawsze silnym sygnałem.

Spiker opowiadał o nieprzebranych tłumach uciekających z miasta i kierujących się najczęściej piechotą wzdłuż brzegów jeziora na północ ku Waukegan lub Wisconsin.

Potem zapadłem w sen i gdy się obudziłem w nocy, okazało się, że baterie się wyczerpały. Założyłem nowe i wtedy się okazało, że stacja przestała nadawać.

O pierwszym brzasku wstałem i obszedłem cały dom, wyglądając kolejno ze wszystkich okien. Pnie drzew otulała poranna mgła, tkwiąc uparcie w ocienionych miejscach i zmagając się z pierwszymi promieniami słońca, które starały się nieco rozjaśnić świat. Właśnie wyglądałem przez okno na ogród, gdy za plecami usłyszałem tak gwałtowne walnięcie w drzwi frontowe, że na moment stanęło mi serce. Na czoło wystąpiły mi krople potu, a moje drżące dłonie zacisnęły się kurczowo na strzelbie, którą pochwyliłem ze stolika w salonie. Hałas powtórzył się i nie było wątpliwości, że coś dużego kręci się po ganku. Wycofałem się do kuchni i ściskając w dłoniach uniesioną w stronę drzwi strzelbę, czekałem, aż za chwilę coś strasznego je wyważy i wedrze się do środka. Spoza drzwi wciąż dochodziły jakieś odgłosy, świadcząc niezbicie, że coś się tam za nimi czai.

Minęło tak kilkadziesiąt sekund i w końcu uzmysłowiłem sobie absurdalność mojego postępowania. Przecież w końcu tajemniczy intruz się znudzi i zaatakuje.

Muszę coś zrobić i czegoś się dowiedzieć! Ruszyłem na palcach w stronę drzwi, trzymając oburącz strzelbę wymierzoną przed siebie. Odgłos kroków i skrzypienie podłogi na ganku nie ustawały, po czym rozległ się głośny łomot, który zmroził mi krew w żyłach. Jednak jakimś cudem nie zrejterowałem, dotarłem do drzwi i nie pozostało mi już nic innego, jak nacisnąć klamkę. Zrobiłem to lewą ręką, jako tako utrzymując strzelbę w prawej.

Klondike, wielki nowofundland Browne'a, spojrzał na mnie zaskoczony.

Obwąchiwał właśnie donice z kwiatami, obok leżał przewrócony pojemnik na śmieci, stanowiąc zapewne źródło hałasu słyszanego wcześniej. Po chwili namysłu pies zaczął z wolna wachlować swym potężnym ogonem, waląc przy tym w filar ganku. Z niejakim wstydem przyznałem w duchu, że to właśnie ten dźwięk omal mnie wcześniej nie przyprawił o atak serca.

– Ty? – mruknąłem, sam nie wiedząc, czy mam być zły, czy czuć ulgę.

Opuściłem strzelbę i spojrzałem na nią, chcąc ją dobrze zabezpieczyć, dopiero wtedy się okazało, że jej nawet nie odbezpieczyłem. Gdyby za drzwiami stało rzeczywiście coś groźnego i gdybym chciał do tego czegoś strzelić, żadne ciągnięcie za spust i tak by nic nie dało. Pospiesznie odłożyłem broń na stolik w holu. – A gdzie twój pan?

Wyszedłem na ganek i rozejrzałem się w nadziei, że go gdzieś zobaczę. Browne'a nie było nigdzie widać, natomiast kilkadziesiąt metrów dalej siedział jego pudel, przyglądając mi się nieufnie. Klondike natarł na mnie swym potężnym cielskiem tak mocno, że musiałem się cofnąć o krok, jednak w jego ruchu nie było śladu agresji.

Już prędzej niezdarna próba zwrócenia na siebie uwagi.

Podrapałem go za uszami, a on zaczął z zapalem walić ogonem o ścianę domu.

– Chodź tu – zawołałem na pudla. – Galahad, chodź!

Nie tylko nie posłuchał, ale cofnął się kilka metrów, cały czas nie spuszczać ze mnie wzroku. Zszedłem ze schodków, Klondike zrobił to samo, pudel zaś odwrócił

się i ruszył lekkim truchtem ścieżką w głąb lasu, co chwilę odwracając łeb ku mnie.

Gdy dotarłem do końca podjazdu i stanąłem, Galahad zrobił to samo – z niemal widocznym zniecierpliwieniem usiadł i wlepił we mnie wzrok.

Widziałem wystarczająco dużo odcinków Lassie, wróc, by umieć odczytać psi język ciała: wyraźnie chciał, żebym za nim poszedł. Wróciłem do domu po strzelbę i z cały czas płaczącym mi się wokół nóg Klondikiem ruszyłem za Galahadem –

najpierw przez podjazd, potem ścieżką przez las w stronę domu Browne'a. Mgła już się podniosła, ale buty i tak miałem mokre od rosy. W taki poranek jak dziś las powinien pachnieć aromatem wilgotnego ziela, ja jednak aż się dławilem przenikającym wszystkim smrodem spalenizny, dymu i czegoś jeszcze gorszego.

Wyszedłem z gęstwiny drzew i od razu stwierdziłem, że z domu mojego sąsiada zostało niewiele. Pożar, który wybuchł tu dwa dni temu, strawił niemal wszystko, łącznie z domem mieszkalnym, stodołą i budynkami gospodarczymi. Z całej farmy zostały tylko poczerńiałe zgliszcza i niewielki blaszak na podwórzu. Ze szczątków domu wciąż jeszcze unosiły się smużki dymu. Przerażająca myśl o tym, co na mnie czeka w tych zgliszczach, niemal zawróciła mnie do domu.

Ale biały pudel podbiegł do przodu, zatrzymał się przy czymś leżącym na podwórzu i znów wbił we mnie ślepią. Idąc ku niemu, przypomniałem sobie nagle o Marsjanach i niespokojnie rozejrzałem się na boki. Wiedziałem, że stojąc pośrodku podwórza, jestem dobrze widoczny i zupełnie bezbronny, zwłaszcza że mgła niemal zupełnie się już podniosła. W zasięgu wzroku nie widać jednak było żadnych trójnogów, choć kawałek dalej na łące sterczał wypalony wrak hunweesa. W paru miejscach na łące widać też było czarne wysepki i zrobiło mi się niedobrze na myśl, że to stada sępów, które

obsiadły trupy, poległych żołnierzy.

Potem wolno i niechętnie przeniósłem wzrok na podwórze i spojrzałem na to, czego wcale nie chciałem widzieć. Było oczywiste, że atak Marsjan złapał Browne'a, zanim udało mu się dotrzeć do domu. Jego ciało, zeszywniałe i nadpalone, zastygło w groteskowej pozie z nogą zgiętą w kolanie i stopą sterczącą w niebo. Był prawie do połowy zwęglony i leżał nie więcej niż pięć, sześć metrów od drzwi domu. Jedna z jego strzelb – bardziej okazała wersja tej, którą dał mnie – leżała tuż obok, cała pokręcona i wygięta. Drewniana kolba uległa zwęgleniu, a lufa oraz zamek były stopione i odkształcone pod wpływem piekielnego żaru nie z tej ziemi.

– O Chryste! O jasna cholera – jęknąłem głucho. Galahad położył się, ułożył łeb na przednich łapach tuż obok zwłok swego pana i spojrzał na mnie z niemal ludzkim żalem w oczach.

Kolana mi się trzęsły i było mi niedobrze. Przecież nie mogę go tak zostawić, tylko... Tylko co? Ale muszę coś zrobić! Nieco podbudowany tym, że udało mi się podjąć decyzję działania, udałem się do blaszanej szopy z narzędziami – jedynej konstrukcji, która nie uległa zagładzie – wyszukałem szpadel i starą brezentową plandekę. Wyniosłem je na podwórze, ukląknę przy zwłokach i zacząłem je niezgrabnie owijać w plandekę. Musiałem przy tym przekręcać i naginać zeszywniałe szczątki Browne'a, ale w końcu udało mi się je przykryć w całości.

Plandeka miała na krawędziach oka do mocowania, a w jednym rogu zwisał kawał

sznura. Przewlokłem sznur przez otwory, obwiązałem zwłoki na całej długości i poczułem się trochę lepiej.

Trzeba go było teraz gdzieś pochować, zacząłem się więc zastanawiać, gdzie najlepiej wykopać dół. Przebiegłem wzrokiem teren wokół spalonych budynków i brzeg zagajnika, od którego zaczynała się moja posiadłość. Było tam zdecydowanie za nisko, każdej wiosny podczas roztopów teren ten zalewała woda. Na podwórzu rosło wprawdzie kilka dużych drzew, ale były mocno nadpalone laserem.

Pomyślałem, że jeszcze przed jesienią uschną. Spojrzałem na drugi kraniec łąki w stronę wysokiego, porośniętego trawą wzgórza i uznałem, że to jedyne nadające się miejsce.

Obok zgliszcz domu odnalazłem jeepa i stwierdziłem, że kluczyk tkwi w stacyjce. Zdawało mi się, że z grubsza pamiętam, jak się posługiwać dźwignią ręcznych biegów. Od razu przy pierwszej próbie uruchomienia załąłem silnik, jednak w końcu udało mi się go zapalić. Powoli, z szarpaniem podjechałem do miejsca, gdzie leżały zwłoki Browne'a i zatrzymałem się.

Stękając i krzywiąc się z wysiłku, uniosłem wciąż pokaźny ciężar zmasakrowanych ogniem zwłok. W zwykłych okolicznościach uznałbym, że tego rodzaju wysiłek przekracza moje możliwości, jednak jakimś cudem udało mi się załadować ciało Browne'a na jeepa. Ułożyłem obok niego szpadel i po chwili zastanowienia położyłem też to, co zostało z jego fuzji. Swoją położyłem obok siebie na przednim siedzeniu i ponownie zasiadłem za kierownicą.

Teraz udało mi się zapalić za pierwszym razem. Ruszyłem powoli ku wzgórzu po drugiej stronie łąki,

oba psy zaś pobiegły za mną. W pewnej chwili musiałem powalczyć z biegami i zredukować je, by wspiąć się na strome zbocze, ale w końcu się udało. Wjechałem na płaski wierzchołek i stanąłem niemal dokładnie w miejscu, gdzie dwa miesiące temu – oraz całą wieczność – rozstawiałem swój teleskop.

Wysiadłem i przypomniałem sobie, że z tego miejsca obserwowaliśmy też razem z Browne'em spadające marsjańskie pojemniki.

Ziemia na wzgórzu była pulchnym czarnoziemem bez kamieni, mimo to wykopanie odpowiedniego dołu zajęło mi niemal całe popołudnie. Na dłoniach bardzo szybko porobiły mi się pęcherze, a mięśnie nóg i ramion próbowały protestować przed niezwykłym dla nich wysiłkiem. Ale nie poddałem się, póki nie uznałem, że wykopany grób ma odpowiednie wymiary.

Ostrożnie wyciągnąłem zwłoki z jeepa i aż krzyknąłem, gdy ciężar wysunął mi się z rąk i ciężko runął do wykopanego dołu. Starąłem się ułożyć zwłoki w miarę możliwości w wygodnej pozycji i choć docierał do mnie całkowity bezsens takich poczynań, wydało mi się niesłychanie ważne, by Browne mógł spocząć w naturalnej pozycji. W końcu udało mi się go ułożyć na plecach i złożyć obok żalosne resztki jego fuzji.

Oba psy siedziały w pobliżu, w uroczystym milczeniu obserwując, jak wypełniam grób ziemią. Przy każdym szpadlu robiłem przerwę i ze smutkiem kręciłem głową. Czy powinienem zmówić modlitwę? Pomysł wydał mi się dość absurdalny, bo z całą pewnością nie wierzyłem w istnienie Boga, a z naszych rozmów nic nie wskazywało na to, by z nim było inaczej. Jaką arogancją było w tych okolicznościach myśleć, że Stwórca wszechświata w jakiś szczególny sposób umiłował ludzkość.

– Byłeś przyzwoitym człowiekiem – powiedziałem w końcu. – Będzie mi ciebie brakowało. I przykro mi, że nie mogłem zrobić nic więcej.

Z tego, że płaczę, zdałem sobie sprawę dopiero, gdy po przetarciu twarzy dłonią uwalaną ziemią, okazało się, że jest cała mokra od łez.

Otworzyłem klapę bagażnika i kiwnąłem na psy, a one bez wahania wskoczyły do środka. Oba usiadły tyłem do mnie i w czasie jazdy przez łąkę patrzyły na oddalające się wzgórze. Nawet nie zwolniłem przy tłących się zgliszczach domu Browne'a i pojechałem dalej drogą prowadzącą do mnie. Wysiadłem, a oba psy bez namysłu zrobiły to samo i pobiegły za mną do wejścia.

Nawet nie próbowałem ich odganiać, zwłaszcza że z zaskoczeniem zdałem sobie sprawę, iż ich obecność właściwie sprawia mi przyjemność. Weszły za mną do środka, natychmiast zabrały się do obwąchiwania holu i salonu. Potem Klondike wtarabanił się do kuchni, wetknął swój wielki łeb do kosza na śmieci i oczywiście go przewrócił. Pozbierawszy śmieci, postawiłem kosz na kuchennym blacie.

– Pewno jesteście głodne, co? – powiedziałem i dźwięk mojego własnego głosu, choć adresowanego tylko do psów, od razu poprawił mi nastrój. – Nie mam żadnego psiego jedzenia, ale zobaczymy, co da się zrobić.

Wiedziałem, że generator od dłuższego czasu nie działa, i przypuszczałem, że mięso w zamrażarce pewnie już się rozmroziło. Oba psy stanęły u szczytu piwnicznych schodów, czekając na efekt moich poszukiwań. Mięso było jeszcze bardzo zimne, ale rzeczywiście zaczynało już mięknąć. Wyciągnąłem z szuflady kilka sporych kawałów wołowiny na pieczeń i gdy wszedłem z nimi na górę, uszy psów aż podskoczyły. Każdemu dałem po solidnym kawałku soczystej wołowiny z kością, uprzednio oddawszy dla siebie równie pokaźny stek. Zabrałem się do smażenia steku, psy z zapamiętaniem zajęły się czerwonym mięsem i białymi kośćmi.

Kiedy wszyscy najedli się do syta, wyciągnąłem radio. Baterie były wprawdzie zupełnie nowe, mimo to długo i bezskutecznie kręciłem gałką, zanim w końcu udało mi się złapać tę samą sportową stację, której spiker mówił teraz zaskakująco spokojnym głosem:

– Nadchodzą od północnego zachodu i od zachodu...

Patrzę na nich z okna na sześćdziesiątym piętrze w Hancock Building. Jeden trójnóg posuwa się po Dan Ryan, drugi po Eisenhower. Kierują się w stronę Pętli

[(ang. The Loop) – centrum Chicago, wyznaczone mniej więcej przez pętlę torów miejskiej kolejki napowietrznej. Dan Ryan, Eisenhower i Skyway – nazwy śródmiejskich arterii szybkiego ruchu] i jakoś nie widzę, żeby ktoś starał się im w tym przeszkodzić. Zaraz! Słyszałem jakąś eksplozję! To chyba artyleria, zaczyna się ostrzał! Strzelają gdzieś z tyłu za nami, z drugiej strony budynku... Dan, widzisz od siebie, skąd strzelają?

Nastąpiła

kilkusekundowa

przerwa,

która zdawała się

ciągnąć

w

nieskończoność.

– Dostał prawie w sam środek. Ale wciąż lezie, jakby nigdy nic. Zupełnie bez żadnego efektu. Mamy już Dana.

– Na wodzie jakąś milę albo dwie od brzegu stoi okręt wojenny. Wygląda mi na fregatę, czy coś w tym rodzaju. To z niej wałą z działa pokładowego, stąd te wybuchy. A teraz... o cholera... z południowego wschodu po Skyway nadchodzi jeszcze jeden. Fregata zaczęła teraz strzelać do niego, a on strzela do niej. Ale wygląda na to, że jego laser nie sięga tak daleko. Są zbyt daleko od brzegu!

– A widzisz jakieś ślady uszkodzeń na trójnogu? – odezwał się głos spikera.

– Nic... ani trochę. Cholera, no nie, nie wierzę! Ten bydlak wszedł na jezioro i idzie teraz po wodzie! Okręt zawraca... och, Chryste Panie, nie zdążą. Dostali laserem... okręt zaczyna się palić. Boże, wszystko staje w ogniu!

Usłyszałem zduszony trzask i z głośnika popłynął już tylko chrapliwy szum. W

panice obróciłem lekko gałkę i odnalazłem sygnał, tyle że dużo słabszy, ledwie słyszalny na tle szumów.

– Okrętu już nie ma, zmieciony z powierzchni przez wybuch... Nic już nie ma...

I chyba rzeczywiście, bo stacja nagle zamilkła i jej też już nie było.

KSIEGA III

ZAGŁADA

JEDEN

12 czerwca

Centrala CNN,

Atlanta, Georgia

Rick Chalmers czuł, że jego charakteryzacja zaczyna służyć i nic nie może na to poradzić. Ani na chwilę nie opuszczało go natręcyjne marzenie, by wsiąść do ukochanego mercedesa i popędzić autostradą I-75 w stronę Chattanooga. A on nie mógł tego zrobić, bo musiał siedzieć w studiu i opowiadać narodowi o pieprzonych Marsjanach.

Spojrzał w kamerę i ujrzawszy czerwoną lampkę, wiedział, że łączność została już przywrócona i że za chwilę wejdzie na antenę.

No to da im teraz popalić. Odzyskanie sygnału telewizyjnego po zapaści wywołanej Impulsem wcale nie było łatwe. Atak EMP spowodował, że wszystkie stacje telewizyjne zamilkły. Sięgnięcie do Armagedonu też nie na wiele się zdało, bo wprawdzie stacja była przygotowana na wszystko – łącznie z ponownym zstąpieniem Chrystusa i wzięciem wszystkich wiernych do nieba – to jednak nikt nigdy nie przewidział tego, że padnie cała elektronika. Wydarzenia ostatnich dni spowodowały, że dla starego wyjadacza telewizyjnego była to sytuacja w najwyższym stopniu irytująca: najważniejsze sprawy w życiu jego i całego świata toczyły się właściwie w ukryciu, a on nie mógł o nich informować mieszkańców kraju czy choćby swego miasta.

Jednak zawzięci technicy z zapalem zabrali się do dzieła i – pracując bez przerwy dzień i noc – naprawili oraz wymienili mnóstwo części, obeszli całe fragmenty systemu, które do niedawna uważano za nieodzowne. Brakowało komputerów, przez co w kamerach i sprzęcie nadawczym pojawiła się plątanina ręcznie połączonych przewodów, a sygnał emitowała tylko wysoka miejscowa antena stojąca na dachu budynku. Oczywiście nie było też szans na uruchomienie łączności satelitarnej. Wiedzano, że miną dziesiątki lat, zanim ludziom uda się na nowo uruchomić stacje przekaźnikowe w przestrzeni kosmicznej. „A i to – myślał

Chalmers – tylko przy założeniu, że uda nam się wygrać tę wojnę”. Jak dotąd nic nie dawało podstaw do optymizmu.

Chalmers nie wiedział nawet, ilu potencjalnych widzów posiada działające telewizory, choć nie miał złudzeń, że musi ich być niewielu. Jednak choćby tylko garstce tych, którym udało się je sklecić i którzy mieszkali w obrębie sygnału z anteny w Atlancie, chciał przekazać możliwie pełne informacje o rozpadającym się wokół nich świecie. Cała audycja miała być nagrywana przez techników na taśmie dźwiękowej i filmowej na użytek jakichś bliżej nieokreślonych przyszłych pokoleń.

Nie było pewne, jak długo uda im się pozostać na antenie, ale Chalmers chciał zacząć jak najszybciej.

Odchrząknął i zerknął na realizatorkę, która jak zwykle zaczęła na palcach odliczać czas pozostały do

rozpoczęcia nadawania: cztery... trzy... dwa... jeden.

Chalmers spojrział wprost w obiektyw i korzystając z trzydziestu dziewięciu lat doświadczeń pracy w studiu, przybrał maksymalnie podniosły ton.

– Dobry wieczór, Ameryko, albo przynajmniej ta z jej części, która mnie teraz odbiera. Nadajemy z naszego studia, a także z pola bitwy toczącej się w tej zupełnie nieznannej dotąd wojnie.

Udało nam się uruchomić nadajnik, choć nikt nie wie, na jak długo. Ale przyrzekamy, że wszędzie, gdzie dociera nasz sygnał, i tak długo, jak tylko się da, będziemy informować was o wszystkim, co się dzieje. A dzieje się bardzo niedobrze.

Aktualnie Marsjanie zbliżają się do Atlanty z trzech stron. Poradzili sobie z naszymi próbami oporu – z wszystkimi bohaterskimi wysiłkami naszego wojska i policji, a także

ochotniczych

oddziałów

milicji,

jakie

skrzyknięto

w

obliczu

bezprecedensowego zagrożenia. Zgłosiło się do nich wiele setek i tysiący obywateli naszego kraju, którzy poszli walczyć uzbrojeni w dubeltówki, śrutówki, a nawet w broń sportową.

Zawiesił głos, czekając na wejście na żywo obrazu z dwóch reporterskich kamer, które naprędce sklecono i ustawiono na skrzyniach ładunkowych dwóch starych, zdezelowanych półciągarówek. Obraz przekazywany przez kamerę numer jeden budził dreszcz grozy: dwa marsjańskie trójnogi przechodziły właśnie obok hali Georgia Dome, strzelając swymi nieszkodliwie wyglądającymi, czerwonymi promieniami. Obiektyw kamery przejechał po fasadzie tej pięknej budowli, ukazując, jak kawałek po kawałku rozpada się pod działaniem piekielnych laserów.

Na dalszym planie widać było potężne słupy czarnego dymu bijącego w niebo z płonących zbiorników paliwa na międzynarodowym lotnisku Hartsfielda-Jacksona, obok którego trójnogi przeszły kilka godzin wcześniej.

Reporterem nadającym z miasta był Jay Manstein, któremu ledwie kilka godzin temu udało się dotrzeć do Atlanty z Houston. Podróż przez południowe stany odbył, korzystając z wielu różnych środków transportu oraz pomocy i osobistego zaangażowania miejscowej ludności. Chalmers nie pojmował, jak mu się to mogło udać, i Jay obiecał nawet, że „gdy się to wszystko skończy”, napisze o

tym książkę.

Jego głos dobiegał teraz spoza kadru i jak na okoliczności, w których przyszło mu nadawać, brzmiał niezwykle spokojnie. Chalmers wyobraził sobie tego weterana reporterki telewizyjnej, jak stoi teraz obok kamery i wraz z nią patrzy na przerażający obraz zniszczeń, a mimo to chłodny profesjonalizm go nie opuszcza.

– Na drodze do tego wspaniałego miasta Marsjanie zostawili po sobie jedno pasmo zniszczeń. Trójnogi, które widzicie teraz na ekranach, przebyły drogę od Macon, posuwając się z grubsza wzdłuż autostrady I-75 i zbacząc z niej najwyżej na kilka kilometrów. Wszędzie podpalały domy mieszkalne i wszelkie inne budynki, bez litości zabijając napotkanych ludzi. Nawet tych, którzy nie stawiali żadnego oporu i próbowali tylko uciekać. Byłem naocznym świadkiem bohaterskiej śmierci wielu mieszkańców, którzy ginęli w męczarniach, próbując walczyć zwykłą bronią ręczną ze straszliwymi najeźdźcami.

Oddział pancerny Gwardii Narodowej Stanu Georgia wspomagany przez baterię armat wojska podjął próbę stawienia oporu agresorom pod Stockbridge. Wszyscy ponieśli śmierć. – Głos na chwilę mu się załamał i choć reporter szybko się opanował, w jego tonie słychać było tłumioną wściekłość. – Na ile udało mi się stwierdzić, ostrzał armatni nie spowodował nawet wgnieceń na powierzchni marsjańskich machin. Byłem świadkiem licznych celnych trafień i potężnych wybuchów bezpośrednio na trójnogach, jednak w najmniejszym nawet stopniu nie zahamowało to ich marszu.

Kamera wciąż przekazywała na żywo przygnębiające obrazy z Atlanty.

Kamerzysta przejechał po frontonie ogromnego stadionu, potem odjechał zoomem, pokazując, że znajduje się w dość znacznej odległości od obiektu. Jednak ogólny plan był chyba jeszcze bardziej smutny. Teraz dopiero można było stwierdzić, że olbrzymi dach nad stadionem musiał się zawalić, bo nie było go widać. Widać za to było trzy marsjańskie trójnogi, które z dwóch stron obchodziły gigantyczny obiekt.

– Przenieśmy się teraz z moją ekipą trochę dalej na północ – oświadczył

reporter. – I będziemy się starali być cały czas przed tymi potworami. Wygląda na to, że kierują się w stronę śródmieścia. Rick, oddaję ci głos.

– Rzeczywiście, jak widzimy, Marsjanie posuwają się na północ ku centrum miasta. – Chalmers płynnie przejął pałeczkę, pojawiając się znów na wizji i rozpoczynając relację na żywo bez przygotowanego tekstu. – Według posiadanych przez nas informacji, mamy do czynienia z trójnogami, które wydostały się z cylindrów w Macon i w Thomaston, i od kilku dni zbliżają się do nas z południa.

Trójnogi z kraterów pod Eatonton, Buckhead i Athens nadchodzą od wschodu.

Wysłaliśmy naszą ekipę do Pendley Hills w nadziei, że uda nam się pokazać ich marsz, jednak krótko po nawiązaniu łączności i nadaniu obrazu kontrolnego straciliśmy z nią kontakt.

Chalmers przerwał na moment i głęboko zaczerpnął powietrza. Szefową ekipy, o której wspomniał, była Marion Smithers. Dwadzieścia lat wcześniej wziął ją pod swe opiekuńcze skrzydła, gdy zjawiała się w stacji prosto po studiach. A teraz był

pewien – choć nie chciał powiedzieć tego głośno – że Marion już nie żyje.

– Wróćmy teraz do transmisji na żywo – zakończył sucho, wbijając wzrok w obiektyw kamery.

Realizatorka natychmiast wpuściła na antenę obraz z kamery reporterskiej i wzrok Chalmersa zawisł na ekranie monitora. Kamera była w ruchu, obraz z niej mocno się trząsał i podskakiwał.

– Przemieszczamy się teraz na północ i oddalamy od najeźdźców. Nasz kamerzysta z narażeniem życia kadruje ze skrzyni pikapa, by mogli państwo oglądać na żywo... Och... O mój Boże...

Głos prezentera zamarł, bo – jak wszystkich widzów – poraził go obraz przekazywany przez kamerę. Samochód z ekipą jechał dość szybko ulicą pełną sklepów, pasaży handlowych, barów szybkiej obsługi i stacji benzynowych. Obraz cały czas gwałtownie trząsał się i skakał w wyniku lawirowania przez kierowcę między unieruchomionymi pojazdami.

W kadrze pojawiał się co chwila jeden z Marsjan, który wyraźnie uwziął się na małą ciężarówkę. Ścigał ją, sunąc za nią zdumiewająco szybko i płynnie na świetlistych nogach. Za szybko. Przez mgnienie oka zalśnił czerwony błysk, obraz zniknął i zamiast niego pojawił się pusty migający ekran.

Na ekrany telewizorów powrócił obraz ze studia, a na nim twarz Ricka Chalmersa, który ze skamieniałą twarzą i zaciśniętymi zębami patrzył wprost w obiektyw.

– Niestety, wygląda na to, że utraciliśmy... to połączenie – wycedził. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by je odzyskać. A na razie prześlemy państwu informacje ze Wschodniego Wybrzeża, które odebraliśmy na falach krótkich i w paśmie UHF. – Zaczerpnął powietrza. – Waszyngton jest podobno całkowicie wyludniony. W wyniku ataku Marsjan wszyscy mieszkańcy w popłochu opuścili miasto. Ci, którym się to nie udało, ponieśli śmierć. Mamy też informacje – na razie niepotwierdzone – że Marsjanie używają też śmiertelnie trującego gazu. W Nowym Jorku także zanotowano bardzo poważne zniszczenia i znaczna część terenów na południe od Central Parku aż po Battery stoi w ogniu...

Czytał spokojnym, beznamiętnym głosem, choć każda kolejna wiadomość budziła w nim wspomnienia przyjaciół, ulubionych restauracji i słynnych budowli, które właśnie przestawały istnieć.

– Będziemy dla państwa nadawać tak długo, jak to tylko będzie możliwe –

zakończył. Nie dysponowali już kamerami reporterskimi na mieście i właściwie niczym innym poza zbieraną z całego kraju wyliczanką dokonanych zniszczeń. –

Mamy informacje, że podobnie wygląda sytuacja na Zachodnim Wybrzeżu, a atak Marsjan szykuje się tam na takie główne skupiska jak San Diego, Los Angeles, San Francisco, Portland i Seattle. Agresorzy nadchodzą z głębi lądu i Denver już jest oblężone. Od blisko czterdziestu ośmiu godzin

brak jakichkolwiek wiadomości z Chicago....

Godzinę później stacja CNN znów przestała nadawać.

13 czerwca Kreml,

Moskwa, Rosja

Generał Dmitri „Karla” Koniewski był weteranem wielu wojen, podczas których dowodził na polach bitew od Afganistanu do Czeczenii. Znaczna część kariery wojskowej upłynęła mu na dowodzeniu dywizjami i korpusami, jej ukoronowaniem zaś było stanowisko dowódcy elitarniej Gwardyjskiej Armii Czołgowej, którą szykowano do inwazji przez przełęcz Fulda [Przełęcz w środkowych Niemczech, nieco na zachód od dawnej granicy NRD-RFN] aż do chwili, gdy w 1989 roku Gorbaczow rozwiął radzieckie marzenia. Do czasu marsjańskiej inwazji uważał to za swoją największą i najboleśniejszą porażkę – tym dotkliwszą że poniesioną z winy własnego naczelnego dowódcy.

Podczas służby stawiał czoło wielu nieustępliwym wrogom i był świadkiem licznych dramatów, zarówno w skali masowej, jak i w kategoriach osobistych.

Zabijał nieprzyjaciół i był świadkiem śmierci własnych ludzi. Niekiedy przyjmował

śmierć z chłodną obojętnością niekiedy z niekłamany żalem. Wszystkie te doświadczenia wojenne uczyniły z niego człowieka, który potrafił nienawidzić i być nienawidzonym przez innych.

Jednak nic wcześniej nie wzbudziło w nim takiej nienawiści, jak widok jego ukochanych czołgów – dumy całej rosyjskiej armii – podrzucanych w górę niczym blaszane zabawki. Czuł napływające do oczu łzy wściekłości i rozpacz. Słynne na całym świecie czołgi T82 miały niegdyś służyć do przełamania linii obronnej państw NATO i wytyczenia drogi ku ostatecznemu zwycięstwu komunizmu na świecie.

Teraz postawiono przed nimi zadanie utrzymania ostatniej linii obrony wielkiej, historycznej fortecy, w której od tak dawna biło serce rosyjskiej państwowości.

Cała ogromna przestrzeń Placu Czerwonego usłana była płonącymi wrakami sprzętu wojskowego i ludzkimi ciałami. Przyciśnięty do muru Karla wydał wreszcie rozkaz odpalenia potężnych rakiet na panoszących się w mieście Marsjan i ze ściśniętym gardłem patrzył, jak jego pociski sieją straszliwe zniszczenia w całej Moskwie. Mimo to, gdyby teraz miał do dyspozycji rosyjski arsenał jądrowy, pewnie nie zawahałby się go użyć. Jednak Impuls EMP spowodował, że niezwykle kosztowne rakiety zamieniły się w bezużyteczny złom, i dlatego nie pozostało mu nic innego, jak przygotować żalosne resztki swej armii do ostatniego starcia.

– Ognia! – zawołał i dodatkowo machnął ręką w stronę baterii artyleryjskich stojących pod wyniosłymi murami Kremla. Działa rozpoczęły kanonadę, zasypując gradem rozrywających pocisków niepokonane dotąd trójnogi, które wynurzały się z powodzi ognia i dymu, najwyraźniej nietknięte, i strzelały swymi śmiertcionośnymi promieniami. Rosyjscy artylerzyści – jak ich ojcowie

pod Borodino i Stalingradem –

nie mieli jednak zamiaru się poddać i nie przestawali strzelać.

Wtedy srebrzyste skrzynki na końcu marsjańskich ramion plunęły kłębamii czarnego gazu, którego macki zaczęły rozpełzać się na wszystkie strony jak w sennym koszmarze. Rosjanie byli przygotowani na takie zagrożenie i jednym wprawnym ruchem naciągnęli sobie na twarze maski gazowe. Warstwa gazu osiadła na nich i ich działach grubym kozuchem, ale nawet wtedy nie przestali strzelać.

Wiedzieli, że trójnogi wciąż się ku nim zbliżają, pozostawała tylko nadzieja, że atak z bliskiej odległości okaże się skuteczniejszy.

Wówczas z czarnego mroku wystrzeliły czerwone promienie, bezbłędnie trafiając w ciężarówki z zapasami amunicji, które jedna po drugiej zaczęły z ogłuszającym hukiem wybuchać. Tego już potężne mury kremlowskie nie wytrzymały i ostatecznie runęły.

14 czerwca

Stacja badawcza im. Neumayera,

Antarktyda

Będąc dyrektorem pierwszej niemieckiej stacji badawczej na siódmym kontynencie, Friedrich Schulz – przez pozostałych dziewięciu mieszkańców stacji zwany „Fritzem” – miał ogromne poczucie odpowiedzialności zarówno wobec swojego kraju, jak i reszty świata. Zaszczycem było już samo reprezentowanie tu Niemiec, a cóż dopiero przeprowadzenie tej niewielkiej, ale pełnej entuzjazmu i zaangażowania grupce polarników, dysponującej najnowocześniejszym sprzętem naukowym.

Przez kilka lat w ogóle się stamtąd nie ruszał, zostając na miejscu nawet podczas długich polarnych zim. Zajmowali się rejestracją danych meteorologicznych na powierzchni i na niebie oraz wysyłaniem ich do centrali w Niemczech, która udostępniała je potem pozostałym członkom Unii Europejskiej i całemu światu. Do zadań stacji należały też badania nad zmniejszaniem się dziury ozonowej nad biegunem południowym, monitorowanie zmian klimatycznych na kontynencie, a nawet prowadzenie pewnych obserwacji astronomicznych na południowej kopule nieba.

W końcu jednak okazało się, że w odniesieniu do tego jednego, najważniejszego wydarzenia ich rola sprowadziła się do biernej obserwacji, ich stacja zaś przemieniła się w pułapkę. Nękało go, że musi tu beczynnienie siedzieć wtedy, gdy w jego ojczyźnie dzieją się tak ważne i straszne rzeczy. Docierały do nich urywkowe informacje na temat ataku EMP na Amerykę Północną. Pochodziły z ośrodków europejskich, które nie ucierpiały podczas pierwszego Impulsu i które natychmiast zorganizowały liczne debaty na antenie. Trwało to jednak tylko kilka godzin, jakie dzieliły pierwszy Impuls od drugiego, w wyniku którego same zniknęły z eteru.

Trzeci atak EMP dosięgnął bezpośrednio biegun południowy i na krótką chwilę rozświetlił noc polarną bardziej niż słońce w najbardziej słoneczny dzień. W jednej chwili stacja straciła cały sprzęt radiokomunikacyjny i komputerowy.

Nigdy w życiu Fritz Schulz nie czuł się tak bezsilny i tak osamotniony. Noc wydawała się teraz ciemniejsza i zimniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Dziesiątka naukowców i polarników, upewniwszy się, że urządzenia służące do generowania energii, ogrzewania i gotowania nie uległy uszkodzeniom, skupiła się razem. Nie marzli i mieli co jeść, natomiast byli całkowicie odcięci od zewnętrznego świata.

W końcu ich elektronikowi – Carlowi Meyerowi – udało się sklecić krótkofalówkę z różnorodnych części zamiennych, jakie w dużych ilościach zalegały magazynek. Potem, podczas wlokącej się w nieskończoność nocy polarnej, całymi godzinami wsłuchiwali się w strzępy informacji docierających z różnych stron świata.

W ten sposób dowiedzieli się o cylindrycznych obiektach, które spadają z nieba na wszystkie kontynenty. Mimo że sami niczego takiego nie zaobserwowali, w jednej z audycji natknęli się na informację, że podobny obiekt spadł też na przeciwległym krańcu Antarktydy. A potem dotarli do

nich przerażające wieści z Europy, że Paryż, Bruksela i Hamburg płoną, a uchodźcy przedzierają się przez Bałtyk, szukając schronienia w Skandynawii. Berlin – ukochane miasto Fritza, które przez lata tak wiele wycierpiało – został zaatakowany przez nowego najeźdźcę, a po jego wspaniałych zabytkach, parkach, ciągnących się kilometrami kamienicach i domach mieszkalnych zostały podobno tylko zgliszcza. Według najnowszych informacji, Berlin w zasadzie przestał istnieć.

Potem okazało się, że Skandynawia też już nie jest oazą bezpieczeństwa, bo Oslo i Sztokholm już płoną, a nowym celem uchodźców stały się Alpy. Co gorsza, stacje radiowe, z których czerpali te wiadomości, jedna po drugiej milkły.

– Fritz?

Z niespokojnej drzemki wyrwał dyrektora głos Carla Meyera.

– Ja, Carl? – Bez namysłu zerwał się z posłania i natychmiast naciągnął na siebie polarne buty i skafander.

– Chyba powinieneś to zobaczyć.

Wyszedł z kopulastej polarnej chatki, dołączył do pozostałych członków grupy i jak oni wbił wzrok w rozświetloną gwiazdami równinę antarktycznego lodowca. W

oddali wyraźnie coś się ruszało, przybierając coraz wyraźniejszy kształt. Dziwaczne zielonobłękitne nogi wyglądały początkowo jak jakieś upiorne wyrostki. Potem to coś zbliżyło się jeszcze bardziej i ujrzeli przed sobą marsjańskiego trójnoga przemierzającego lodową pustynię długimi, równymi krokami.

I kierującego się wprost na nich.

15 czerwca

Phenian, Korea Północna

– Wystrzelić pocisk numer jeden. Już!

Pod nieobecność Najwyższego Przywódcy, który od czasu Impulsu nie wyściubił

nosa poza swój pałac, rozkaz padł z ust generała Choe Sun Yunga. Ze swego stanowiska dowodzenia na najwyższym piętrze budynku ministerstwa obrony miał

doskonały widok na trzy trójnogi zbliżające się do stolicy. Dwa pojawiły się na grzbietach łańcuchów górskich otaczających miasto, trzeci kroczył doliną rzeki płynącej środkiem.

Cały arsenał nuklearny jego kraju sprowadzał się do trzech głowic bojowych rakiet, zamontowanych na ciężkich transporterach stojących na ogromnym, pustym placu u stóp budynku. Technicy kręcący się wokół śmiertelnie groźnych ładunków, które pierwotnie miały pogрузić w morzu ognia Seul lub Tokio, raz jeszcze sprawdzali dość prymitywny system naprowadzania.

Ale właśnie dzięki tej prymitywności ich głowice nuklearne wciąż były sprawne i nadawały się do użycia. Korzystały z niewielu układów sterowanych komputerowo, a te, które były, dały się łatwo obejść. Prawdę mówiąc, koreańskie rakiety nie odbiegały zbyt od rakiet V2 autorstwa Wernera von Brauna, którymi hitlerowcy zaatakowali Anglię. Choe wiedział jednak, że broń atomowa nie wymaga zegarmistrzowskiej precyzji.

Z mieszanymi uczuciami podniecenia i strachu obserwował, jak z pierwszej rakiety dobywają się strumienie dymu i jaskrawo-czerwonych płomieni, po czym rakiet strzela w niebo jak ogromna śmiercionośna włócznia, ciągnąc za sobą warkocz białego dymu. Leci coraz wyżej i szybciej, robi się coraz mniejsza, coraz bardziej niknie w oddali, aż w szklach lornetki generała staje się tylko niewielkim, ognistym punktem. Rakiet dotarła do kresu podróży, płomień napędu zgasł i w tym momencie oderwała się od niej głowica, która dzięki energii nabranej podczas krótkiego lotu rakiety dalej poszybowała już samodzielnie jako pocisk balistyczny.

Mimo to kopciła wystarczająco mocno, by jej lot był wyraźnie widoczny na tle nieba. A potem zaczęła opadać ku niewielkiej przełęczy w górskim łańcuchu, zmierzając dokładnie do wyznaczonego celu.

Choe opuścił lornetkę i błyskawicznie naciągnął na oczy ciemne gogle. Przez mocno przyciemnione szybki ujrzał ostry błysk białego światła sygnalizujący eksplozję jądrową. W ułamku sekundy w całej dolinie rozpętało się piekło dymu, płomieni i pyłu. Czarna, złowrogo wyglądająca gęsta chmura poszybowała w górę, stopniowo przybierając sławetny kształt atomowego grzyba. Choe miał ów obraz dokładnie utrwalony w wyobraźni, ale nigdy wcześniej nie widział go na żywo.

Wiedział, że w centrum tego piekła nic nie może się uchować. Marsjanin znajdujący się na przełęczy musiał ulec kompletnej zagładzie. Generał uśmiechnął

się triumfalnie. Teraz mogą się zająć trójnogiem na grani północnej.

– Odpalić raketę numer dwa – rozkazał.

Również ta wypluła z siebie kłęb dymu oraz ognia i wystrzeliła w powietrze, unosząc się w niebo i ciągnąc za sobą gruby warkocz dymu. Niemal natychmiast Chloe poczuł jednak, że coś jest nie w porządku. Nie zakreśliła gładkiej, półkolistej trajektorii jak ta pierwsza, ale zaczęła trząść się, kręcić wokół własnej osi i poszybowała niemal pionowo w górę.

– Zniszczyć ją! – wrzasnął, a potem z przerażeniem patrzył, jak jeden z techników naciska przycisk samozniszczenia, rakietę zaś nie reaguje. Zapas paliwa w rakiecie wypalił się, a ustawiona na detonację głowica na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nad ziemią oderwała się i zaczęła spadać wprost na centrum miasta i znajdujący się tam budynek ministerstwa obrony. Technik jeszcze kilka razy nacisnął przycisk samozniszczenia, potem wrzasnął i zasłonił rękami uszy.

Generał Choe – przysięgły ateista i zapiękły komunista – zaczął się modlić na głos, by głowica zbuntowanej rakiety okazała się tylko ćwiczebną atrapą.

Jego modlitwa nie została wysłuchana.

16 czerwca Tokio,

Japonia

Tadaki Yamashita czuł się tak, jakby znalazł się w żalosnej parodii filmów, które jako dziecko z zapałem oglądał, a potem jako dorosły człowiek sam kręcił.

Posługując się efektami specjalnymi, często tworzył takie sceny w swoich filmach.

Tylko że tym razem to nie były nowe, rewelacyjne efekty SFX. [branżowy skrót na special effects] Na oczach mężczyzny jego miasto płonęło naprawdę.

Wycelował obiektyw, ustawił ostrość i na nowo podjął kręcenie kamerą 16 mm z napędem sprężynowym. Obok, za kierownicą starej półciężarowej toyoty siedziała jego żona pełniąca od zawsze funkcję niezawodnej i uzdolnionej asystentki. Z tyłu leżało już kilkanaście rolek naświetlonej taśmy – wszystkie skrupulatnie opakowane w specjalne koperty. W kamerze miał przedostatnią rolę. Ostatnią postanowił

zachować na sam koniec.

Tadaki zrobił zbliżenie marsjańskich trójnogów podpalających Pałac Cesarski i bezceremonialnie wkraczających w gruzy tej otaczanej wciąż budowli. Dolna część miasta – ta sama, którą w marcu 1945 Amerykanie niemal zrównali z ziemią przy użyciu straszliwych bomb zapalających – tonęła teraz w oceanie czarnego gazu. Nic nie mogło ująć z tego z życiem, a gaz rozprzestrzeniał się coraz bardziej, zbliżając się do brzegu.

W kamerze coś pstryknęło, taśma skończyła się i szpula zaczęła się luźno obracać. Gaz był coraz

bliżej nich, jednak stary filmowiec, nie spiesząc się, przyklęknął, wyjął szpulę z kamery i wetknął ją do wodoodpornej i światłoodpornej koperty. Wrzucił ją do tyłu i zamknął walizeczkę ze wszystkimi wcześniej nakręconymi taśmami, na których zarejestrował ostatni dzień Tokio.

– Ruszaj! – rozkazał, klepiąc dłonią w drzwi furgonetki. – Jedź w góry.

Pamiętasz tę jaskinię, którą zwiedzaliśmy tyle lat temu? Tam się ukryj.

– Wsiądź! – jęknęła żona i łzy popłynęły jej z oczu. – Jedź ze mną!

– Nie – odparł, wyjmując ostatnią rolkę filmu z opakowania. Sprawnie założył ją do kamery. Kozuch czarnego gazu był coraz bliżej, pełzając po ziemi trochę ponad kilometr od nich. – Musisz już jechać. I uratuj te zdjęcia!

Odwrócił się do niej plecami, słyszał tylko, jak z głośnym szlochem dodaje gazu i odjeżdża niewielką furgonetką. Uniósł kamerę do oczu, poprawił ostrość i zaczął

kręcić.

DWA

16 czerwca

Delbrook Lake, Wisconsin

Mój ostatni komplet baterii już dogorywał, ale wciąż jeszcze z głośników dobywały się jakieś trzaski. Podkręciłem głośność i powoli przejechałem przez cały zakres fal średnich. Nic... Z jednostajnego, pustego szumu nie wydobył się żaden ludzki głos, żaden ślad sygnału radiowego. Mimo to kręciłem gałką tak długo, aż baterie ostatecznie wyzionęły ducha. Moje stare radio wydało z siebie ostatni słaby dech i siłą woli powstrzymałem się, by nie wyrzucić w nie pięścią i nie zacząć nim potrząsać. Jakbym w ten sposób mógł z niego wycisnąć jakieś informacje czy słowa otuchy – ślad życia innej ludzkiej istoty.

Dzień był jasny i słoneczny, jednak promienie słoneczne nie potrafiły rozpędzić mroku, w którym tkwiłem. Galahad zaszczekał pod tylnymi drzwiami, a mimo że nie chciałem odrywać się od radia, zmusiłem się, by wstać i go wpuścić. Klondike stał z łbem wetkniętym w wiadro z wodą, które postawiłem na ganku, i pił. Spojrzał na mnie, machnął ogonem i powrócił do głośnego chłeptania. Skończył wreszcie i ze strużką ciekącą mu z pyska przecisnął się przez drzwi, które przytrzymałem uchylone.

Od samego rana oba psy buszowały wokół domu, a ja z zaskoczeniem stwierdziłem, że ich obecność znacznie zwiększa moje poczucie bezpieczeństwa.

Nigdy zbyt nie oddalały się od domu, a ich powrót – jak zawsze – poprawił mi trochę nastrój, ale nawet one z niejaką melancholią pokreśliły się po domu i ułożyły na swych miejscach obok kanapy w salonie. Przeszedłem przez pokój i wszedłem do kuchni, one zaś powiodły za mną wzrokiem.

Zająłem się krojeniem zimnej polędwicy wołowej na kawałki wielkości jednego kłapinięcia zębami przez tak duże psy. Rozdzieliłem je do dwóch dużych misek i ustawiłem je w przeciwległych końcach kuchni. Oba psy rzuciły się najedzenie z takim zapalem i w takim tempie, jakby szkoda im było czasu na gryzienie. W ciągu dosłownie kilku sekund obie miski były puste.

– To już była końcówka wołowiny – powiedziałem z żalem, choć zdawałem sobie sprawę, że pewnie przez całe swe dotychczasowe życie nie jadły tak dobrze, jak przez te kilka ostatnich dni, kiedy to po kolei wyciągałem z zamrażarki kawały pieczeni i steki trzymane na lepsze czasy. Lepsze czasy, które już nigdy nie miały nadejść.

Mój strach przed Marsjanami przeważał jednak nad tęsknotą za elektrycznością i zwalczyłem w sobie chęć uruchomienia generatora. W rezultacie zapasy jedzenia w zamrażarce uległy całkowitemu rozmrożeniu i znalazły się na granicy zepsucia.

Miałem jeszcze dość duży zapas konserw i suchych produktów, jak ryż, fasola i makarony, ale podejrzewałem, że psów nic z tego specjalnie nie zachwyci.

Spojrzałem przez okno na zwodniczo piękny dzień, pomyślałem o nieznanym świecie, który czai się za zagajnikiem otaczającym mój dom, i podjąłem decyzję.

Nawet nie uznałem tego za coś dziwnego, że ją na głos komunikuję obu psom.

– Potrzebne mi baterie, wam coś do jedzenia. Jedziemy na spacer.

Wyglądało, jakby zrozumiały znaczenie tych słów, bo oba natychmiast zerwały się z miejsc i radośnie podbiegły do drzwi. Zabrałem strzelbę, wyszedłem z domu i otworzyłem klapę bagażnika, by mogły wskoczyć do jeepa. Usiadłem za kierownicą, położyłem strzelbę na siedzeniu obok i przekręciłem kluczyk.

Silnik zapalił bez problemu, w myślach poklepałem się z uznaniem po plecach. Z

pewnym trudem odnalazłem też wskaźnik paliwa, z którego wynikało, że bak jest mniej więcej jeszcze w jednej czwartej pełny.

– Zostać tu – powiedziałem do psów, wysiadłem i poszedłem do garażu po dwudziestolitrowy kanister i kawałek cienkiego wężyka nadającego się do przetoczenia paliwa. Ułożyłem to wszystko obok strzelby z przodu, ruszyłem po podjeździe i wyjechałem na drogę wiodącą od domu.

Starałem się nie patrzeć na zgliszcza pozostałe po domu i stodole Browne'a, tylko rzuciwszy okiem, stwierdziłem, że przestało się już palić. Jechałem powoli, rozglądając się po zabudowaniach po obu stronach drogi i wypatrując jakichś oznak życia. Wszędzie panowała kompletna pustka i bez żadnych przygód dotarłem do miasteczka.

Po głównej ulicy Delbrook Lake buszowało mnóstwo kojotów, nie było wątpliwości, że wcześniej przeszli tędy Marsjanie. Wygląd miasteczka przypominał

sceny z fotografii miejsc nawiedzonych przez huragan. Po jednej stronie ulicy ciągnęły się ruiny wypalonych i szerniałych budynków, w których do niedawna mieściły się liczne sklepy i zakłady, a z których pozostały tylko fragmenty ceglanych ścian i sterczące w niebo kominy. Budynek poczty był tylko pustym szkieletem, bank zaś właściwie przestał istnieć i jedyne, co z niego zostało, to wielki stalowy sejf wtopiony w betonowy fundament. Apteka, kilka rodzinnych knajpek i meksykański sklep spożywczy zostały zmiecione z powierzchni ziemi tak dokładnie, jakby trąba powietrzna porwała je i przeniosła gdzieś indziej.

Za to po drugiej stronie ulicy wznosił się dumnie dom towarowy Ambrose, obok zaś sklep z antykami, elegancka kawiarnia, zakład fryzjerski i szkoła sztuk wałki. Na żadnym z nich nie było śladów większych zniszczeń, choć szklane drzwi domu towarowego i kawiarni były wybite.

W całym miasteczku zauważyłem porzucone w różnych miejscach samochody, które zapewne zostały tam, gdzie je zastał i unieruchomił Impuls. Zatrzymałem się obok dużej półciężarówki z zamontowanym pod skrzynią dużym zewnętrznym zbiornikiem paliwa. Odkręciłem korek, wetknąłem do środka wężyk i uklęknąłem obok z kanistrem pod ręką. Wsadziłem koniec wężyka do ust, pociągnąłem i – jak było do przewidzenia – zakrztusiłem się pierwszym haustem benzyny. Wetknąłem wężyk do kanistra i odczekałem, aż cały się napełni. Przelałem zawartość do baku jeepa i powtórzyłem całą operację, raz jeszcze napełniając kanister.

W ustach miałem obrzydliwy, mdły smak benzyny, więc gdy na chodniku obok fryzjera zauważyłem automat z coca-colą, natychmiast poklepałem się po kieszeniach. Okazało się, że nie mam przy sobie bilonu. Przód automatu był szklany, jednak nie potrafiłem się zdobyć, by go rozbić. Wpadłem za to na pomysł, żeby przeszukać jeepa, i rzeczywiście – w popielniczce znalazłem dwie ćwierćdolarówki.

Automat je przyjął i mogłem przepłukać usta ciepłą, ale wciąż jeszcze pełną gazu colą.

Przejechałem na drugi koniec miasteczka i zatrzymałem się przy młynie paszowym. Jak wszystkie, i ten budynek był opustoszały, a drzwi frontowe wyłamane. Wszedłem do środka – na stercie worków z karmą dla psów ujrzałem kilkanaście buszujących szopów. Na mój widok część z nich czmychnęła, jednak kilka dużych, spasionych drani nie tylko nie uciekło, ale zaczęło na mnie warczeć jak sfora rozeźlonych pitbulli. Wrzasnąłem, ale nawet nie drgnęły, tylko wzmożyły warczenie.

– A szlag was trafił – mruknąłem, kręcąc głową. Jakże szybko zwyczaje i konwencje cywilizacji idą w zapomnienie.

Wróciłem do jeepa i otworzyłem tylną klapę. – Jak chcecie żreć, to musicie najpierw pogonić te łapserdaki – oświadczyłem surowym tonem.

Psy weszły za mną do środka i bez namysłu rzuciły się na szopy, które bez walki oddały pole i skryły się gdzieś w czeluściach młyna. Galahad nie przestał ujadać, ja zaś spośród sterty porozrywanych worków psiej karmy wybrałem dwa w miarę nienaruszone, pełne nieciekawie wyglądających, brązowawych kulek. Zaniósłem zdobycz do jeepa i złożyłem na podłodze obok strzelby.

Potem pojechałem jeszcze do sklepu z artykułami przemysłowymi, który wraz z supermarketem spożywczym, bankiem i salonem piękności znajdował się w niewielkim centrum handlowym kawałek w bok od głównej ulicy. Centrum nie zostało przez Marsjan spalone, wyglądało natomiast na to, że miejscowa ludność godnie ich zastąpiła i wcześniej je splądrowała, szabrując wszystko, co się dało.

Regały w spożywczym i przemysłowym były niemal zupełnie ogołoczone. W

supermarkecie zostało trochę pokrytych pleśnią artykułów spożywczych i gnijących wyrobów mięsnych, ale po wszelkich trwałych artykułach spożywczych jak i przydatnych rzeczach w rodzaju świec, płynów na robactwo, zapalek i tym podobnych nie było śladu. Tak samo wyglądały półki w sklepie z artykułami przemysłowymi. Zostało trochę narzędzi, mnóstwo puszek z farbą i asortyment artykułów hydraulicznych. Takie rarytasy jak baterie, butle z gazem czy latarki zniknęły. Natknąłem się natomiast na pojemnik ze skórzanymi rękawicami roboczymi i zupełnie machinalnie zabrałem jedną parę.

Zawiedziony – ale nie zniechęcony – wróciłem do jeepa i pojechałem w stronę jeziora. Jak dotąd nie spotkałem jeszcze ani jednej żywej duszy, uznałem jednak, że jeśli tylko się nie poddam i nie ustane w poszukiwaniach, na pewno uda mi się znaleźć to, czego szukam – szczególnie zaś kilka baterii do radia.

Wjechałem w duże osiedle, złożone z kilkudziesięciu niewielkich domków jednorodzinnych stojących na jednakowych działkach po dwa tysiące metrów kwadratowych. Uczucie pustki było tu

szczególnie przygnębiające. Widziałem porzucone huštawki i trójkołowe rowerki, a nawet sznur z suszącą się bielizną. Wiele domów i garaży miało drzwi otwarte na oścież.

Nie zauważyłem tylko żadnych ludzi. Z pierwszego z domów wyprysnęła para kojotów, Galahad znów zaczął ujadać, a ja jadąc dalej, patrzyłem, jak z wielu domów wyskakują te dzikie, psowate zwierzaki i pędzą ku zaroślom na końcu osiedla.

Zatrzymałem się przy końcu ślepej uliczki zakończonej okrągłym placikiem do zawracania, wokół którego stało pięć domków. Psy wyskoczyły z jeepa, nim zdążyłem stanąć, a ja z przyjemnością pomyślałem, że ich obecność zdecydowanie dodaje mi otuchy. Wsiadłem i naciągając na dłonie moje nowe rękawice, skierowałem się do pierwszego z brzegu domu.

Czując się nieswojo jak intruz, niepewnie zapukałem do drzwi, które tu akurat były zamknięte na klucz. Kiedy nikt nie zareagował, dłonią w grubej rękawicy wybiłem szybę w drzwiach frontowych, otworzyłem je od środka i wszedłem.

Dom był nieduży, ale zadbane i wygodnie urządzone. Wisząca na ścianie fotografia przedstawiała parę młodych, sympatycznie wyglądających ludzi. Kobieta była w ciąży, mężczyzna trzymał na kolanach roześmianego niemowlaka. Czując ogarniające mnie wyrzuty sumienia, szybko przemknąłem do kuchni. Otworzywszy drzwi maleńkiej spiżarni, znalazłem mnóstwo konserw i trochę suchego prowiantu.

Zapakowałem, ile się dało do dwóch toreb, potem zajrzałem do szuflad w kuchni w nadziei, że znajdę w nich baterie. Nie znalazłem, powtórzyłem więc to samo w drugim domu, potem w trzecim, i tam znalazłem nawet kilka kompletów nowiutkich baterii typu C i D. Zaniósłem zdobycz do jeepa, ułożyłem torby zjedzeniem na siedzeniu pasażera, baterie wetknąłem w kieszeń na drzwiach. Uruchomiłem silnik i ruszyłem w drogę powrotną.

Postanowiłem wrócić widokową trasą nad jeziorem, przejechałem wzdłuż rzędu eleganckich willi, opustoszałych jak wszystko wokół. Tu ślady plądrowania były wyraźniejsze niż gdzie indziej – w większości szyby były wybite, a różnego rodzaju sprzęty domowe stały wywleczone na zewnątrz i porzucone na trawnikach.

Pojechałem dalej, nie zatrzymując się, i wyjechawszy zza zakrętu, ujrzałem przed sobą grupkę ludzi z plecakami. Dwie kobiety i dwaj mężczyźni w zbliżonym wieku koło trzydziestki szli w moim kierunku. W pierwszej chwili wpadłem w panikę, jednak gdy jeden z mężczyzn zamachał ku mnie ręką podjechałem bliżej i zatrzymałem się.

– Jest pan tutejszy? – zapytał.

– Tak... Mieszkam po drugiej stronie miasta – odparłem. – A wy?

– Idziemy z Lake Geneva. Jesteśmy chyba jedynymi, którym udało się uciec.

Całą dolinę nad jeziorem zalali tym strasznym gazem.

– Gazem? Coś słyszałem przez radio... – Trudno było sobie wyobrazić, że może być coś gorszego od

ich strasznych laserów.

– Zabija każdego, kto choć trochę tego powącha – powiedział mężczyzna. –

Wypełnia wszystkie zagłębienia, więc dolina stała się śmiertelną pułapką.

– My mieliśmy szczęście – dodał drugi z mężczyzn. – Mieszkaliśmy na wzgórzu koło cmentarza. Kiedy pojawił się ten gaz, uciekliśmy wyżej na szczyt. Byliśmy jak na wyspie pośrodku morza. Gdyby gaz poszedł jeszcze trochę wyżej, byłoby już po nas.

– I wszyscy zginęli? – spytałem, wstrząśnięty ich opowieścią.

– Poza tymi, którym udało się uciec przed nadejściem Marsjan. Potem wszystko działo się tak szybko, że już na nic nie było czasu.

Zauważyłem, jak tęsknym wzrokiem zerka na moje torby z prowiantem.

– Mogę wam zaproponować coś do jedzenia? – spytałem.

– Dziś rano udało mi się dość dużo znaleźć. Więcej niż potrzebuję.

– Tak, dzięki – odrzekła jedna z kobiet, wymizierowana blondynka, którą w innych okolicznościach można by pewnie uznać za piękność. Oczy miała zapadnięte i podkrążone, włosy rozczochrane i zmatowiały od brudu. Niemal rzuciła się do samochodu, a ja wskazałem na dwie torby z jedzeniem.

– Jakie macie plany? – spytałem.

– Kierujemy się na północ – odrzekł pierwszy z mężczyzn.

– Podobno tam Marsjanie jeszcze nie dotarli.

– A w którą stronę poszli z Lake Geneva?

– Na południe i na wschód. Wyglądało, jakby chcieli okrążyć Chicago.

Pożegnałem ich życzeniem powodzenia i ruszyłem w dalszą drogę, jednak opowieść była tak dramatyczna, że uznałem, iż muszę to zobaczyć na własne oczy.

Trzymając się bocznych dróg, dotarłem na miejsce po czterdziestu pięciu minutach.

Zatrzymałem się na szczycie wzgórza, skąd szosa raptownie opadała ku leżącemu w dolinie miastu.

Pamiętałem Lake Geneva jako popularny kurort nad brzegiem ogromnego i pięknego jeziora – jednego z największych, najgłębszych i najczystszych akwenów w całym stanie Wisconsin. Jednak już dawno temu nauczyłem się go unikać w letnich miesiącach, jako że nieprzerwany sznur samochodów pełznących w żółwym tempie do tego stopnia korkował główną ulicę miasta, że przejechanie nią mogło zająć nawet trzy kwadransy.

Widok takich tłumów zawsze wywoływał u mnie ciarki na całym ciele i powodował duszności.

Ze wzgórza widać było, że jezioro nie straciło nic ze swego uroku, a lekki wietrzyk marszczył powierzchnię tak, że lśniło jak posypane diamentami. Z tej odległości miasto wyglądało zupełnie normalnie, było tak skąpane w zieleni, że widziałem więcej drzew niż domów, nawet w najbliższym sąsiedztwie. Inne tylko były dźwięki – zamiast warkotu motorówek, szumu samochodów i dudnienia muzyki słychać było tylko krakanie, i to tak głośne, jakby krakało milion wron. Aż się wzdrygnąłem na myśl, nad czym tak kraczą, a gdy wiatr powiał nagle od strony doliny, straszliwy fetor śmierci aż mnie zadławił. Nawet psy siedziały osowiałe, wpatrując się we mnie jakby z obawą, że mam zamiar zjechać do tej piekielnej doliny.

Nie odważyłem się. Zawróciłem i najszybciej, jak się dało, pogałem z powrotem, po czym uciekłem z szosy w pierwszą drogę w bok. Skręciłem w jej wąską nawierzchnię tak ostro, że aż mnie zarzuciło, ale odzyskałem panowanie i popędziłem dalej. Po ujechaniu piętnastu kilometrów wciąż czułem przy każdym oddechu ten potworny fetor.

Z zaskoczeniem stwierdziłem, że słońce już zachodzi, włączyłem więc światła –

choć bardziej z nawyku niż z prawdziwej potrzeby, bo wciąż było jeszcze zupełnie widno. Zwolniłem jednak i gdy w końcu dotarłem do Delbrook Lake, zapadł już zmrok. Trzymając się cały czas bocznych dróg, ominąłem miasteczko i dotarłem do drogi prowadzącej w stronę mego domu.

Zwisające gałęzie drzew tworzyły nad głową niemal tunel i światło reflektorów było już teraz niezbędne. Kilka kilometrów przed skrętem w moją polną drogę ze zdumieniem ujrzałem sylwetkę mężczyzny stojącego na poboczu i wpatrującego się we mnie nieruchomo. Machnął ręką tak błagalnie, że wbrew rozsądkowi znów się zatrzymałem.

Mimo że był obszarpany i zarośnięty, w jego twarzy było coś znajomego. Jednak dopiero kiedy w jego ubiorze rozpoznałem strzępy polowego munduru wojskowego i zwisającą z kołnierza naderwaną dystynkcję kapitana, wiedziałem, z kim mam do czynienia.

– Pan służył w gwardii z Kenosha, prawda? – powiedziałem. – W jednostce artylerii?

– Tak – odparł szeptem, rozglądając się na boki. – Proszę zjechać z drogi.

Kawałek dalej jest zatoka. Musimy porozmawiać!

Zachowywał się dość podejrzanie, ale może dzięki psom i strzelbie nie czułem specjalnego zagrożenia. Zrobiłem, o co prosił, stanąłem wśród drzew i zgasilem silnik. Podszedł za mną, oparł dłonie o krawędź jeepa i wbił we mnie spojrzenie.

– Musimy się stąd wydostać! – powiedział z naciskiem. Poczułem, jak ogarnia mnie strach.

– Marsjanie? Idą tu? – spytałem.

– To tylko kwestia czasu! – odrzekł. – Ale nas nie zaskoczą. Wiem, jak możemy się przygotować. I jak przeżyć!

– Jak? Jaki ma pan plan?

Pamiętałem go z pierwszego spotkania jako spokojnego, opanowanego, pewnego siebie mężczyznę. Był wtedy dowódcą pełnym wiary w siłę swych potężnych armat, przekonanym, że Marsjan czeka sromotna klęska. Widząc kogoś tak wylęknionego i zgnębnionego, trudno było przywołać na myśl tamto wspomnienie.

– Trzeba zejść do podziemia! – powiedział zduszonym szeptem. – Jaskinia Wysoka, musimy tam jechać! Tam możemy się ukryć. Jak będzie trzeba, to nawet na wiele lat. Marsjan tak nie pokonamy, ale przeżyjemy. Zbierzemy innych, takich jak my. Kobiety też, żeby się rozmnażać. Nigdy nas tam nie odnajdą i przeżyjemy!

Przystosujemy się, staniemy się gatunkiem podziemnym. Zrobimy zapasy pożywienia. Nawet dzieci będą się chować w jaskini. Jest tam mnóstwo miejsca i możemy tam siedzieć tak długo, jak nam się spodoba. Dzięki temu rasa ludzka się uratuje, przetrwa. A to jest najważniejsze.

– Chce się pan tylko przed nimi ukryć? I oddać im cały świat? – wykrzyknąłem zdumiony. Myśl o wegetacji w górskiej jaskini kojarzyła mi się z pogodzeniem się z powolną śmiercią.

– Nie da się z nimi walczyć! Są niepokonani! – powiedział z przekonaniem. –

Musimy uciekać! I ja poprowadzę. Poprowadzę nas ku nowej przyszłości. Takiej, w której nie będziemy panami świata, ale nie wyginieemy! Będziemy płodzić dzieci, które będą dorastać obok nas pod ziemią. Im więcej kobiet, tym więcej dzieci... Nie rozumiesz? To jedyny sposób!

Zareagowałem natychmiast i niemal podświadomie: jak najszybciej stąd uciec!

Uruchomiłem silnik i wrzuciłem wsteczny. Ruszyłem do tyłu, mimo że wciąż kurczowo zaciskał dłonie na krawędzi drzwi. Ale trudno, nie miałem innego wyjścia.

Musiałem uciekać.

– To jedyny sposób! – wykrzyknął rozpaczliwie i potrząsnął ku mnie pięścią, gdy wypadłem na drogę.

Bo przecież nie mógł mieć racji, prawda? Musi być jakiś inny sposób, który da nadzieję i szansę na przyszłość. Przyszłość, w której ludzie nie zostaną sprowadzeni do roli robaków żyjących pod ziemią i rozmnażających się, by tylko podtrzymać gatunek. Wegetujących w świecie odwróconym tyłem do słońca. Przecież, na litość boską, jesteśmy ludźmi! Mieliśmy dotąd przed sobą jakieś cele i jakieś przeznaczenie... To był przecież nasz świat i nie miałem zamiaru z niego zrezygnować.

Gdy dotarłem wreszcie do siebie i zaparkowałem pod domem, zrobiło się już zupełnie ciemno. Mimo że noc była ciepła, cały dygotałem. W pośpiechu wyładowałem jedzenie i worki z żarciem dla psów, po czym zaniósłem wszystko do domu. Psy kręciły mi się koło nóg, obserwując z uwagą, jak rozkładałem wszystko na kuchennym blacie, czyli robię coś, na co jeszcze kilka tygodni temu nie potrafiłbym się zdobyć. Nadal nie chciałem uruchamiać generatora, zapaliłem świeczkę, lampę naftową i wymieniłem baterie w radiu.

Marzyłem tylko o tym, by odnaleźć w nim jakiś ślad życia, usłyszeć czyjś głos.

Kogoś takiego, kto da mi choćby cień nadziei i wypowie słowa otuchy. Pochyliłem się nad radiem. Wolniutko obracając gałką, przeszukałem kolejno wszystkie zakresy. Z głośników dobywał się jednak tylko deprymujący jednostajny szum pustki i, chcąc nie chcąc, powróciłem myślami do szalonego planu artylerzysty.

Wiedziałem, że się myli – musiał się mylić! To nie mógł być jedyny sposób i raz jeszcze odrzuciłem od siebie myśl o kapitulacji i poddaniu się rozpaczy.

Tylko jeśli istnieje jakaś inna droga, to dotąd jeszcze na nią nie natrafiłem.

TRZY

16 czerwca

Brunswick, Maryland

– Alex, zatrzymaj się! Tam nad wodą ktoś jest!

Alexandria bez namysłu zjechała na lewe pobocze, zatrzymała się i spojrzała w stronę rzeki prześwitującej między drzewami.

– Jesteś pewna, że to nie kolejne zwłoki? – spytała.

– Na pewno! Widziałam, że się rusza. Podniósł rękę, jakby nas wołał.

– Dobrze, pójde sprawdzic. Zostań z dziećmi.

Alex wysiadła i wkroczyła w gęstwinę zarośli porastających skarpę opadającą ku rzece. Usłyszała za plecami trzask łamanych gałązek i odwróciwszy się, z zaskoczeniem zobaczyła idącą za nią Pam. Nim zdążyła coś powiedzieć, dziewczynka gestem uciszyła ją.

– Kazałam im siedzieć i spokojnie na nas czekać. Widziałam tego człowieka gdzieś tam, obok tamtego drzewa.

Obeszły zwalony pień wielkiego dębu, który musiał się przewrócić już dość dawno, i wtedy go dostrzegły. Mężczyzna w kombinezonie pletwonurka siedział

oparty plecami o drzewo, obok niego leżała butla z powietrzem. Na ich widok uniósł

z trudem rękę w słabym geście powitania.

– Bogu dzięki, żeście mnie zauważyły – powiedział. –

Siedzę tu już od dwóch dni i myślałem, że prędzej umrę z głodu, nim mnie ktoś zauważy.

– A co się stało? Jest pan ranny? – spytała Alex, przyklękając.

– Mam złamaną nogę – powiedział z grymasem bólu na twarzy, potem jednak zmusił się do czegoś w rodzaju uśmiechu. – Ale teraz już wszystko będzie dobrze, skoro niebiosa przysłały mi dwa anioły.

– Tam, skąd jedziemy, było bardziej jak w piekle – mruknęła Alex, krzywiąc się.

– Nazywam się Alex DeVane, a to jest Pam Lucas.

– Donald Earnest – przedstawił się mężczyzna. – Ostatnio w podwodnej służbie ratunkowej policji stanowej Maryland. Aktualnie chyba na chorobowym – dodał, wskazując na wykręconą pod okropnym kątem nogę.

– Skąd się pan tu wziął? – spytała Pam. – Nurkował pan?

– Tak, ale my to nazywamy podwodnym patrolowaniem – odparł Earnest. – Było nas sześciu, kawałek stąd w górę rzeki. Próbowaliśmy ewakuować ludzi przed nadejściem Marsjan, jednak mnóstwo mieszkańców doliny znalazło się w pułapce, bo trójnogi nadeszły równocześnie z dwóch stron. Niektórzy próbowali uciekać w górę na wzgórze. Ja i moich pięciu kolegów skoczyliśmy do wody.

– Żeby uciec przed gazem? – upewniła się Alex.

– Siedziałem w wodzie i patrzyłem, jak gaz przelewa się nad nami – przytaknął. –

Zeszliśmy niżej, żeby przeczekać, i przez jakiś czas wyglądało nawet, że się nam uda. Siedziałem na dnie i trzymałem się filara mostu, żeby mnie nie zniósł prąd. Co jakiś czas podpływałem pod powierzchnię, ale wciąż widać było gaz wiszący nad wodą. Miałem duży zapas powietrza, zresztą wszyscy mieliśmy, prawie nam się udało.

– I co się stało? – spytała Pam niecierpliwie.

– W wodzie nastąpiła taka eksplozja, że jaja mogła urwać. Przepraszam za język.

Rzuciło mną o filar i w tym momencie poszła mi noga. Spłynąłem w dół z prądem rzeki do miejsca, gdzie mogłem wyczołgać się na brzeg. Więc wypełznąłem tutaj i od tej pory minęły już chyba ze dwie doby. A potem zjawily się dwie anielice i resztę już znacie.

– A co to była za eksplozja? Chce pan powiedzieć, że Marsjanie mają też bomby?

– spytała Alex ze zgrozą.

– Nic na to nie wskazuje. Podejrzewam raczej, że tym swoim piekielnym laserem trafili w butlę jednego z kolegów. To ją tak rozgrzało, że eksplodowała. – Twarz mu się wyciągnęła i po raz pierwszy pojawił się na niej wyraz prawdziwego bólu. – Moi koledzy... Wygląda na to, że tylko mnie jednemu się udało.

– Przykro mi – powiedziała Alex, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Spróbujemy pana stąd wydostać... Tylko Bóg raczy wiedzieć, gdzie teraz szukać pomocy.

– Mam propozycję – rzekł Earnest. – W górach na południe od Hagerstown jest szpital polowy i centrum pomocy dla uchodźców. Właśnie tam próbowaliśmy odsyłać ludzi przed nadejściem Marsjan. Rozumiem, że dysponujecie jakimś transportem, tak?

– Tak. I jakoś pana zmieścimy – zapewniła go Alex.

– A wy? Skąd wyście się tutaj wzięły?

Alex pokrótce opowiedziała mu, co się stało w Waszyngtonie i w Bethesdzie.

– Najbardziej potrzebne nam teraz radio – zakończyła opowieść. – Mam pewne bardzo ważne informacje, które powinny trafić... no, do samego prezydenta. Muszę je możliwie jak najszybciej przekazać.

– To też w tym obozie. Jednemu z chłopaków udało się zmontować krótkofalówkę. Dwa dni temu jeszcze działała. Może uda się nam skontaktować panią z nim. – Uśmiechnął się cierpko. – Mówi pani, że z samym prezydentem? A co, zna go pani?

– Kiedyś go poznałam. – Alex kiwnęła głową. – Można nawet powiedzieć, że w pewnym sensie pracuję dla niego. – Po raz pierwszy od kilku dni pomyślała o pojemniku z marsjańską próbką. – Muszę się z nim pilnie skontaktować.

– No więc, jak mi, anielice, pomożecie, to ja postaram się zorganizować wam radio.

– Umowa stoi. – Alex i Pam chwyciły go z obu stron pod ramiona. – Zrobimy, co się da, ale boję się, że będzie trochę bolało.

Myliła się, bo bolało bardzo, jednak godzinę później Don Earnest siedział już w hunweesie na miejscu dla pasażera, Pam zaś dołączyła do czwórki dzieci z tyłu. Alex ruszyła w drogę, mile zaskoczona tym, że zastąpienie dotychczas mechanicznej ucieczki konkretnym zadaniem wyraźnie poprawiło jej samopoczucie.

18 czerwca

Baza sił powietrznych Eglin, Floryda

W ciągu ostatnich dwu tygodni pułkownik Willard postarzał się o dobre dziesięć lat.

Przed Diukiem Hayesem siedział teraz stary człowiek z opuszczonymi ramionami, gęstą siecią zmarszczek na twarzy i niemal zupełnie posiwiałą szczeciną włosów na głowie. Pewny siebie oficer, który nie tak dawno stawał przed frontem elitarnego pułku świetnie wyszkolonych pilotów, przemienił się w załamane starca, który siedząc tuż obok, mówił tak cicho, że Diuk musiał dobrze wyęźać słuch, by go rozumieć.

– Zajęło to dłużej, niż zbrojmistrze myśleli, ale twoje cargo jest już wreszcie gotowe. Bomba wodorowa Mark 72 na wzbogaconym trycie, bez żadnych chipów komputerowych. Od strony technicznej twoja misja będzie niewiele bardziej zaawansowana niż lot Enoli Gay nad Hiroszimę. Z tą różnicą, że twoja bomba jest mniej więcej piętnaście razy potężniejsza niż Little Boy. Trzeba ją będzie zrzucić z siedmiu i pół tysiąca metrów, a detonacja nastąpi na dwustu. I nie muszę ci mówić, że musisz stamtąd zwać, zanim to nastąpi.

– Jasne, pułkowniku. To da się zrobić. – Diukowi mocno biło serce, a wcześniejszy niepokój zupełnie go opuścił. Cieszyło go, że będzie mógł się wreszcie odegrać na tych marsjańskich sukinsynach. – A gdzie?

– Mamy rozkaz od samego POTUS-a – odparł pułkownik i oparł się łokciami o blat biurka, jakby nie mógł utrzymać w pionie wychudłego ciała. Diuk nastawił

ucha, bo świadomość, że za misją stoi sam prezydent, jeszcze bardziej dodawała animuszu.

– Są jeszcze dwie inne bomby i góra zarządziła jedną wspólną akcję – wyjaśnił

Willard. – Polecisz do Marylandu. W rejonie Waszyngtonu dołączą do ciebie dwie inne maszyny A10 – jedna z Nowego Jorku, druga z Karoliny. Pod twoim dowództwem polecicie na linię frontu marsjańskich działań, która według najnowszych doniesień przebiega na północ od Potomacu, gdzieś w okolicach Frederick w stanie Maryland, i rozciąga się aż do Gettysburga w Pensylwanii.

Polecisz na lewym skrzydle klucza i masz się trzymać na północ od Potomacu. Do czasu zrzucenia bomb obowiązuje was wszystkich absolutna cisza radiowa, za to po ataku należy na publicznym kanale przekazać maksimum informacji.

– Tak jest, szefie. To kiedy start? I co z uzupełnieniem paliwa? Bo chyba nie mamy żadnych tankowców gotowych do lotu.

Willard pokręcił głową i spojrział na zegarek.

– Powinieneś być w powietrzu za dwie godziny. Będziesz miał dodatkowy zbiornik, na którym dolecisz do celu i z którego zostanie ci jeszcze rezerwa na jakieś trzysta kilometrów. Ale nie dasz

rady wrócić tutaj.

– Właśnie. Sam też to sobie wyliczyłem. Ale ma pan chyba jakieś sugestie, gdzie mam wylądować? – Diuk zaczął nagle zaciągać śpiewnym akcentem, jakby chciał za nim ukryć nagły przyływ strachu. Rozkaz zaczynał mu wyglądać na samobójczą misję bez powrotu. Szybko się jednak opanował, bo nawet gdyby tak było, i tak za nic nie oddałby prawa do jej wykonania.

– Chyba najlepiej jak polecisz na cywilne międzynarodowe w Pittsburgu. Mamy tam dość duże zgrupowanie wojska i ekip technicznych sił powietrznych. A do Pensylwanii, jak dotąd, Marsjanie jeszcze nie dotarli.

– A gdzie już dotarli? To znaczy, poza Wschodnim Wybrzeżem?

– Według ostatnich doniesień, są na południe i wschód od Indianapolis. Celem ich ataku jest teraz Louisville i Cincinnati, a lada dzień spodziewają się ich w Cleveland. Jeśli pójdą dalej, to oczywiście w Pittsburgu też zrobi się za gorąco, żeby tam siedzieć. Ale myślę, że bez trudu znajdą jakieś zajęcie dla ciebie i twojego warthoga.

– Też tak sądzę. I jeszcze jedno, pułkowniku...

– Co takiego?

– Czy otrzymaliście jakieś wiadomości od grupy pod Richmond? Wie pan, ta pani doktor, która przekazała meldunek z otwarcia cylindra.

– Nic nie otrzymaliśmy – odparł Willard obojętnym tonem, choć w jego oczach mignął wyraz współczucia. – Fort Bragg przestał istnieć, a oni byli stamtąd, więc brak bliższych danych. Od czasu spalenia Atlanty Marsjanie panują już na całym Południu. A tak nawiasem mówiąc, kilka godzin po twoim odlocie my też się stąd zwijamy.

– Chryste! – Diukowi trudno było pogodzić się z myślą, że jego potężnej bazie lotniczej może coś grozić, ale pewnie tak wynikało z logiki zdarzeń. – I gdzie się przenosicie?

– Lądem w dół półwyspu. Myślę, że jak będzie trzeba, dotrzemy aż do bazy sił

powietrznych Homestead. O nas się nie martw. Teraz musisz myśleć tylko o swojej misji. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, co ona dla nas wszystkich znaczy.

– Nie musi pan, szefie. Ale życzę powodzenia. Panu i reszcie załogi.

– Dzięki. Ja tobie też. Wszyscy będziemy trzymać za ciebie kciuki. I nie zapomnij zabrać swoich rzeczy, bo może się zdarzyć, że nim się to wszystko uspokoi, przez kilka dni będziesz musiał żyć na walizce.

„O ile w ogóle się to kiedyś uspokoi” – pomyślał pilot melancholijnie. Jak większość pilotów Amerykańskich Sił Powietrznych, w swoim czasie przeszedł

szkolenie w zakresie ładunków nuklearnych, jednak zawsze traktował ewentualność ich użycia jako coś zupełnie abstrakcyjnego. Od czasu pierwszych dwóch bomb zrzuconych w 1945 roku na Japonię, broni tego rodzaju nie użyto ani razu, a Diuk zawsze uważał, że już nigdy więcej do tego nie dojdzie. Teraz nie tylko miał

uczestniczyć w ataku jądrowym, ale potwornie groźną w skutkach bombę miał zrzucić na własny kraj.

Przyszło mu do głowy, że ten nowy świat staje się coraz dziwniejszym, coraz bardziej przerażającym i coraz bardziej samotnym miejscem do życia.

Trzy godziny później Diuk przeleciał w pobliżu płonącej Atlanty, utrzymując swego warthoga i jego cenny ładunek w bezpiecznej odległości od ziemi. Widział

wokół ślady po stoczonych bojach i po przemarszu Marsjan w postaci zgłiszczy ciągnących się na północ od tego niegdyś wspaniałego miasta. Wiedział, że oznacza to, iż następnym celem ataku trójnogów jest Chattanooga i północna część stanu.

Przelatując nad polami Tennessee i pozornie nietkniętym rejonem Appalachów, przyglądał się ludzkiemu exodusowi w dole.

Kręte, górskie drogi zawałone były wszelkiego rodzaju pojazdami: ciężarówkami, samochodami osobowymi, traktorami i wozami, a wszystko to ciągnęło w głąb gór. Na polanach zauważył całe miasteczka namiotów i koczujące przy nich tłumy ludzi, co przypominało sceny z obozów uchodźców wojennych w jakimś kraju trzeciego świata.

„Bo tak naprawdę – pomyślał z goryczą – jeśli wziąć pod uwagę niesłychaną przewagę Marsjan, właściwie wszyscy żyjemy teraz w krajach trzeciego świata”.

Można się było cieszyć, że tylu ludziom udało się ująć z życiem, jednak przerażała myśl o przyszłości. Czy wróg będzie zarzucał na kraj coraz bardziej zacieśniającą się sieć swej dominacji i powodował, że mieszkańcy będą musieli dzielić się na coraz mniejsze grupki, aż wreszcie cała populacja ulegnie całkowitej zagładzie?

Przelatywał nad miejscami znanymi mu jeszcze ze szkoły: Knoxville schowane w porośniętej bujną roślinnością dolinie, do której wojna jeszcze widać nie dotarła; łańcuchy górskie Smokies i Alleghenies; po prawej dolina Shenandoah, nad którą skręcił na wschód i znalazł się nad kompletnie zdewastowanymi rolniczymi terenami Wirginii. Tu i ówdzie w niebo były tak gęste kłęby dymu, że nie było widać ziemi; gdzie indziej widoczne były tylko czarne pogorzelska.

W końcu dostrzegł lśniąca wstęgę Potomacu, która dalej na południe zamieniała się w wielkie rozlewisko rozszerzające się w rozległą, spokojną zatokę. Poleciał na północ w górę rzeki i wkrótce na horyzoncie ujrzał panoramę Waszyngtonu –

najpierw wieżowce na przedmieściach należących administracyjnie do Wirginii, potem otoczone czciami narodową tereny cmentarza Arlington. Duże połacie miasta wyglądały na nietknięte. Widać

było Pentagon, Kapitol i słynne waszyngtońskie pomniki wciąż dumnie strzelające w niebo. Wiedział jednak, że miasto jest opustoszałe, a jego mieszkańcy albo już nie żyją, albo uciekli przed zalaniem śmiertelnościami gazem.

Zgodnie z instrukcją zatoczył szerokie koło ponad zbiornikiem zalewowym i błoniem, wybierając za punkt centralny obelisk Waszyngtona. Rozejrzał się po niebie i wkrótce dojrzał drugiego warthoga mającego na ogonie emblemat Nowojorskiej Gwardii Narodowej. Pod kadłubem widać było niewinnie wyglądającą, smukłą sylwetkę bomby wodorowej Mark 72 – identyczną, jaką podczepiono też jemu.

Wkrótce dołączył do nich trzeci A10 – tym razem z emblematem USAF [(ang.

United States Air Forces) – Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych] i taką samą bombą pod kadłubem.

Diuk nawiązał z pilotami kontakt wzrokowy, jako że wszystkich obowiązywała absolutna cisza radiowa. Wiedział, że – tak jak on – muszą być przytłoczeni świadomością potwornej siły niszczącej w ich rękach, ale też podekscytowani, że dzięki niej będą mogli wreszcie odegrać się na Marsjanach.

Wszyscy trzej pokazali sobie wyciągnięte w górę kciuki i trzy potężne maszyny skierowały się na północ, stopniowo wspinając się na pułap siedmiu i pół tysiąca metrów, z którego mieli przypuścić atak bombowy. Utworzyli szeroki wachlarz, w którym Diuk zajął lewe skrzydło. Po prawej miał bombowiec USAF, od którego dzieliło go jakieś dwadzieścia kilometrów. Precyzyjny i skomplikowany system celowniczy zastąpiła stara, niezawodna lornetka, przez którą co chwilę przepatrywał

teren przed sobą i sprawdzał odległość od środkowego samolotu. Miał nadzieję, że pilot lecący na prawym skrzydle ich luźnej formacji robi dokładnie to samo.

Myśli Diuka znów pobiegły ku wydarzeniom ostatnich dni i roli, jaką przyszło mu w nich odegrać, a która mogła zadecydować o przyszłych losach świata. Za sterami potężnego odrzutowca, niosącego tak potężny ładunek, czuł się jak ktoś niegodny, maluczki, może wręcz śmieszny, lecąc na spotkanie z przeznaczeniem w postaci kosmicznych najeźdźców. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaczął

się na głos modlić w nadziei, że jego słowa dotrą do jakiejś Najwyższej Istoty.

A potem raptownie przeszła mu ochota do refleksyjnych rozmyślań, bo na horyzoncie ukazało się miasto Frederick. Wyglądało jak jedno wielkie, piekielne ognisko, w którym płonęło wszystko – stacje benzynowe, budynki, składy drewna i wszystko inne dające niekończące się źródło paliwa. Przytknął lornetkę do oczu i szybko wypatrzył dwa z trzech trójnogów. Były oddalone od siebie o jakiś kilometr, posuwały się na zachód i zostawiały po sobie morze płomieni oraz zgliszcza będące kiedyś miastem.

Diuk miał przed sobą swój cel. Pozostałe dwa samoloty były zbyt daleko, by można było wzrokowo skoordynować moment ataku, pozostało mu więc tylko mieć nadzieję, że obaj koledzy też znaleźli coś

godnego zbombardowania. Rzucił okiem na pokrętko ręcznego celownika i nastawił je na prędkość aktualną, wynoszącą niecałe trzysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wiedział, że w chwili zwolnienia bomba rozpocznie lot z tą samą prędkością i – jak on – poleci w kierunku zachodnim z lekkim odchyleniem na północ, ale jednocześnie zacznie szybko opadać ku ziemi.

W chwili gdy osiągnie właściwy pułap, czyli około dwustu metrów nad ziemią, nastąpi eksplozja i w zasadzie wszystko w promieniu kilku kilometrów stanie w morzu ognia. Miał tylko nadzieję, że to samo będzie też dotyczyć obu trójnogów.

Nadszedł oczekiwany moment i Diuk pociągnął dźwignię, czując, że samolot po uwolnieniu od ciężaru bomby lekko podrywa się w górę. Nie odczuwał żadnego specjalnego podniecenia – nic zbliżonego do euforii, jaka towarzyszyła mu podczas zrzucania ośmiu ton bomb na poprzednie cele. Ale i tak serce podeszło mu do gardła na myśl o potwornej sile drzemiącej w tak niewinnie wyglądającej bombie.

Położył samolot w ostry skręt w lewo i zwiększył moc do maksimum, dzięki czemu do ognistych gazów spalinowych wstrzyknięta została porcja świeżego paliwa. To spowodowało, że dopalacze dały samolotowi potężnego kopa i A10

pognał do przodu, szybko oddalając się od celu i błyskawicznie osiągając maksymalną prędkość ponad sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Samolot zadygotał i silniki zaryczały od nagłego przyływu z trudem kontrolowanej mocy. Ze wzrokiem wbitym w horyzont i rękami zaciśniętymi na drążku sterowniczym, Diuk znów zaczął się modlić – tym razem o to, by zdążyć uciec ze śmiertelnie niebezpiecznej strefy wybuchu.

Lot bomby trwał zaskakująco długo – do tego stopnia, że zaczął się nawet obawiać, czy przez pomyłkę nie dano mu atrapy. A jednocześnie wciąż miał

wrażenie, że oddala się od strefy zrzutu o wiele za wolno. Ziemia pod nim przesuwała się leniwie, wstęga rzeki lśniła, tworząc złudnie sielską scenerię.

Błysk nastąpił za jego plecami, trwał szokująco krótko i był jeszcze intensywniejszy niż błysk, który towarzyszył pierwszemu marsjańskiemu Impulsowi. Wiedział, co się teraz będzie działo, i nie odrywał rąk od sterów ani wzroku od horyzontu. Osłona kabiny wibrowała pod potężnym naporem powietrza i wydawało się, że za chwilę oderwie się od samolotu. Mimo to nie odważył się choćby odrobinę zwolnić.

Gdy dosięgła go fala podmuchu, jej odczuwalne uderzenie w samolot było tak potężne, że rzuciło ogromnym A10 niczym piłką i gwałtownie wcisnęło Diuka w fotel. Nie wypuścił jednak sterów i walcząc z nimi, opanował maszynę, wyrównał lot i zobaczył pod sobą wstęgę Potomacu. W końcu zwolnił nieco drążek, wyłączył

dopalacze i przywracając mniej więcej normalne parametry lotu, położył samolot na prawe skrzydło i ponownie przyjął kurs na zachód.

Potem zawrócił nad polami Wirginii i zobaczył przed sobą klębiący się ocean mroku oraz wyrastający z niego ogromny słup dymu, który w miejscu zrzucenia bomby przybierał zwolna kształt ogromnego grzyba. Ponad dwadzieścia kilometrów dalej na północ widać było drugi taki sam słup, nigdzie nie zauważył natomiast śladu trzeciej eksplozji ani trzeciego samolotu. W przewalających się klębach dymu widniały wielkie jęzory ognia, z których każdy zdawał się wielkości całego miasta, a oba atomowe grzyby z furją pięły się ku niebu. W smoliście czarnych chmurach dymu pojawiało się coraz więcej płomieni i Diuk nie mógł pozbyć się myśli, że chyba tak właśnie muszą wyglądać ognie piekielne.

Nadszedł czas, by złamać ciszę radiową.

18 czerwca

Hagerstown, Maryland

– Alex, chodź tu zaraz! Coś usłyszałam! Kurde, tylko szybko! Głos Pam Lucas dobiegał ze szczytu wieży i słycać w nim było tyle histerycznego podekscytowania, że Alexandria wypadła z namiotu pierwszej pomocy i pędem puściła się przez obozowisko. Dysząc, wdrapała się na platformę i stwierdziła, że Pam aż podskakuje z podniecenia. Przez lornetkę przytkniętą do oczu patrzyła na wschód w kierunku Frederick i nerwowo machała ręką. Znajdowały się na szczycie wieży strażniczej, którą służba leśna wykorzystywała do wypatrywania pożarów, na której teraz założono punkt obserwacyjny dla niewielkiej grupy uchodźców chroniących się pod Hagerstown w stanie Maryland. Na dole, na polanie rozciągającej się u stóp niewielkiego wzgórza, znajdował się obóz dla uchodźców, do którego przywiódł je Don Earnest i gdzie odsypiał teraz swe trudy w namiocie przerobionym na polowy szpital.

– Posłuchaj! – wykrzyknęła Pam. – Samolot, jakiś odrzutowiec! Pierwszy, jakiego słyszę od tygodnia! I leci do nas, w naszą stronę!

– Daj mi tę lornetkę! – rozkazała Alex i Pam bez sprzeciwu posłuchała.

– Tam! Widzisz go? – powiedziała podnieconym tonem. Alex zaczęła rozglądać się po niebie. Słyszała dochodzący z oddali dźwięk i klęła w duchu chmury zasłaniające widok. W końcu jednak go dojrzała – maleńką sylwetkę samolotu wiele tysięcy metrów nad ziemią. Nie miała wątpliwości, że to samolot wojskowy, bo był

mniejszy od samolotu pasażerskiego i leciał trochę niżej. A w ogóle, w jego sylwetce było coś tak znajomego, że mogłaby się założyć, iż to samolot A10 Warthog. Nawet z tak dużej odległości można było zauważyć kanciaste skrzydła, taki sam ogon i sterzące silniki.

– Może leci, żeby przypieprzyć tym zasranym Marsjanom! – wykrzyknęła Pam.

Alex skrzywiła się, ale nic nie powiedziała. Już kilka dni temu przestała reagować na mocno zachwaszczony język nastolatki i nie tylko już jej nie poprawiała, ale zaczęła ją traktować jak przydatną pomocnicę. Wspólnie dowiozły czwórkę wystraszonych maluchów w bezpieczne miejsce – były teraz pod opieką grupki pielęgniarek i nauczycielek, które nieco dalej zorganizowały obozowisko dla dzieci – po czym razem dołączyły do grupy uchodźców złożonej z przedstawicieli różnych grup społecznych i zawodów – od policjantów do emerytów i gospodyń domowych.

Poza udzieleniem pomocy medycznej i aprowizacyjnej, obóz umożliwił Alex dostęp do krótkofalówki, przez którą udało jej się porozumieć z bazą marynarki wojennej w Norfolk i przekazać jej dowództwu swoje uwagi. Radiostacja umieszczona była na ciężarówce, która cały czas kręciła się po okolicy. W razie potrzeby cały obóz był gotowy do natychmiastowej ewakuacji, jednak od kilku dni nie otrzymywali sygnałów o zbliżaniu się Marsjan.

Odwrotnie, do obozu wciąż przybywali nowi uchodźcy, którym udzielano pierwszej pomocy i

pomagano w podjęciu dalszej wędrówki do zachodniej Wirginii lub w góry ciągnące się od Shenandoah na zachód. Obserwowano też trwającą wciąż dewastację Frederick, a niektórzy z narażeniem życia podpatrywali działania Marsjan. Alex miała nadzieję, że relacje nadawane z ciężarówki krążącej po okolicy, zawsze z dala od ich obozowiska w górach, były przekazywane dalej i docierały do prezydenta przebywającego na pokładzie Seawolf.

Jednak teraz wszystkie inne sprawy zeszły na plan dalszy, a cała uwaga Alex skupiła się na nadlatującym odrzutowcu. Z zaskoczeniem obserwowała jego dziwny taniec, kiedy to nagle przypikował, raptownie zmienił kierunek i szybko nabierając szybkości, zaczął lecieć zmienionym kursem. Przez chwilę się nawet zastanawiała, co mogło spowodować takie dziwaczne harce, i bardzo szybko dotarła do niej straszna prawda.

– Na dół! – wrzasnęła do Pam i popchnęła ją stopniom wiodącym w dół. –

Uciekaj i kryj się.

Dziewczynka nie próbowała nawet oponować i popędziła na dół, co sił w nogach.

Alex ruszyła za nią, obiegając pędem starą wieżę po jej spiralnie ułożonych schodkach. Potworny błysk zastał je jeszcze na schodkach, ale już ich nie sparaliżował.

– Wszyscy na ziemię! – krzyknęła Alex do grupki ciekawskich, których błysk wyciągnął z namiotu pierwszej pomocy. – Kłąć się i zatkać sobie uszy!

Wraz z Pam zeskoczyły z kilku ostatnich stopni i rozpląszczyły się na ziemi.

Alex splotła ramiona na głowie i leżała, czując, jak przetacza się nad nią fala uderzeniowa. Usłyszała potężny huk, zerwał się huraganowy wiatr przyginający do ziemi drzewa i kołyszący w posadach solidnie zbudowaną wieżę. Obóz znajdował

się jednak na tyle daleko od centrum wybuchu, że najgorsze efekty eksplozji nie dotarły do nich i po kilku sekundach wszystko się uspokoiło. Podniósłszy się, spojrzały na wschód.

Nad lasem wznosił się ku niebu dobrze już widoczny słup ognia i dymu, który potężniał z każdą chwilą.

– O Boże! – jęknęła Pam zduszonym głosem. – Czy to jest to, co mi się zdaje...?

– Bomba jądrowa – potwierdziła Alex, czując, jak ogarnia ją przerażenie, ale przemieszane z ciekawością. – Zmiotli z powierzchni ziemi to, co zostało z Frederick. Miejmy nadzieję, że kilku Marsjan też.

Radio w namiocie zatrzeszczało i dobył się z niego głos pilota, który pozbawionym emocji głosem przekazywał właśnie meldunek o dokonanych zniszczeniach.

– ...słup sięga teraz dwunastu tysięcy metrów i wciąż rośnie. Strefa zero mniej więcej dziewięć kilometrów na północ od rzeki Potomac w pobliżu skrzyżowania szos piętnaście i trzysta

czterdzieści. W strefie rażenia zauważono obecność dwóch trójnogów. W chwili obecnej bezpośrednia obserwacja jest niemożliwa...

Być może szok i odrętwienie wywołane przez eksplozję spowodowały, że Alex nawet nie była specjalnie zaskoczona tym, iż w mówiącym rozpoznała Diuka.

CZTERY

19 czerwca

Delbrook Lake, Wisconsin

To bezustanne kręcenie gałką radia stawało się irytującym przymusem. Straciłem już rachubę dni od ostatniego sygnału radiowego, jaki udało mi się złapać, ale wiedziałem, że musiał już upłynąć co najmniej tydzień. Myszkanie po cudzych domach zaowocowało jednak dużym zapasem baterii, a ponieważ i tak nie miałem nic lepszego do roboty, to głównie siedziałem i kręciłem gałką. Zużyłem już dwa komplety nowych baterii typu D, ale to mnie nie martwiło, bo jak trzeba będzie, po prostu znów pojedę i wyszabruję następne. A na razie będę siedział i poszukiwał

śladów życia. W efekcie mój odbiornik stał się jedynym pomostem łączącym mnie ze światem i żał mi było każdej chwili spędzonej z dala od niego.

I właśnie tego popołudnia, tuż po godzinie trzynastej moja wytrwałość została nagrodzona. Najpierw zauważyłem zmianę natężenia szumu, a po dokładnym dostrojeniu usłyszałem męski głos. Mówił cicho i spokojnie, niemal szeptem – tak jak w latach siedemdziesiątych robili to najbardziej awangardowi didżeje w najmodniejszych rockandrollowych stacjach. Stacja nadawała na falach średnich, ale sygnał był silny i czysty. Uczepiłem się go kurczowo, jak tonący chwytający się rzuconej liny ratunkowej.

– .. i nadaję z miejsca, gdzie grali Cubbies. Jak zwykle jestem w ruchu, a fura wygląda tak, że wciąż mogłaby wieźć hippisów do Woodstock, może tylko brakuje psychodelicznych malunków. Ostatnio nauczyłem się kilku rzeczy, które pomogły mi utrzymać się przy życiu i – przynajmniej od czasu do czasu – na antenie. Jedną z nich jest świadomość, że ci kosmiczni skurwiele umieją namierzyć sygnał radiowy, więc mogę do was mówić góra przez piętnaście minut. Potem się pożegnamy i przeniosę się gdzie indziej. Ale miasto jest duże i miejsca nie zabraknie, odezwę się znów w porze wieczornego meczu, w razie gdybyście chcieli mnie posłuchać. Na tej samej częstotliwości i bez żadnych irytujących sponsorskich reklam.

Wieczorny mecz? Cubbies? Chyba chodzi o baseball. Musi mówić o baseballu! I od razu pojąłem pomysłowość tego szyfru: nawet jeśli Marsjanie potrafią zrozumieć nasz język, z całą pewnością nie dysponują wiedzą kulturową która im pozwoli rozszyfrować znaczenie takich haseł. Spiker ciągnął opowieść pogodnym luzackim tonem, jakby nic nie mogło zepsuć mu humoru. Tyle że jego ton stanowił jaskrawy kontrast do treści wypowiedzianych słów.

– Słuchajcie, Chicago jest kompletnie wymiecione. Nie ma tu prawie nikogo –

wszyscy albo załatwieni przez gaz, albo uciekli. Mnóstwo ludzi uciekło łodziami na jezioro i wygląda, że tym się udało. Trójnogi potrafią poruszać się po wodzie, ale tylko przez krótki czas, i chyba wołanie oddalać się zbytnio od brzegu. Za to tym, którzy poszli na południe, no cóż – tym nie bardzo się udało. Trójnogi obeszły przez Gary i Champagne i przedostały się na zachód od O'Hare, a było ich tyle, co pcheł na bezpieczeństwa kundlu. Więc większość z tamtych została zagazowana. Ale na północy było więcej przejść, bo durni Marsjanie przebili się do jeziora dopiero dużo dalej, na południe od Waukegan, więc wielu udało się dotrzeć do Krainy Sera i z tego, co wiem, ciągną dalej

na północ. W Wietrznym Mieście [Popularna nazwa Chicago, znanego z częstych i porywistych wiatrów znad jeziora Michigan] wciąż jeszcze kręci się parę trójnogów, ale większość już się wyniosła i prawdopodobnie się wybierają z wizytą do Saint Looie.

Choć złapałem dziś w radiu jakąś audycję, z której wynikało, że do krainy Twinkies jeszcze nie dotarli, ale to pewno tylko kwestia czasu. Bo wielka, stara rzeka na pewno nie jest na tyle głęboka, żeby ich zatrzymać. A skoro mowa o czasie, to na mnie też już czas. Muszę zwijać antenę i ruszać dalej. Ale, kochani, pamiętajcie, że wrócę i zdążę akurat na pierwsze wybicie. Może będę do was mówił z pokładu faszystowskiej łodzi podwodnej, w razie gdybyście chcieli mnie odszukać. A teraz mówi wam do usłyszenia Partyzant Wrigley.

Sygnal zgasł, jednak to, co usłyszałem, natchnęło mnie dziwną energią i nadzieją, której już niemal zupełnie się wyzbyłem w tygodniu po przejściu Marsjan przez Delbrook Lake. Wstałem i nerwowo krążąc po pokoju, zacząłem analizować to, co usłyszałem. Dlaczego nie wpadłem na pomysł, żeby go nagrać? Ale nieważne

– zapamiętałem wystarczająco dużo, by mieć co analizować. Trzeba będzie wygrzebać starego kasetowca na baterie i nagrać następną audycję.

Pewne fragmenty jego szyfru były oczywiste. O ile wiedziałem, w całej Ameryce Północnej jest tylko jedna faszystowska łódź podwodna. Model U505 jest jednym z głównych eksponatów w Muzeum Nauki i Techniki w centrum Chicago. Gdybym teraz był w mieście, poszedłbym do muzeum pewien, że go tam spotkam i że stamtąd będzie nadawał następną audycję. Ale co do reszty? Co to jest kraina Twinkies? Czy Twinkies to nazwa jakichś cukierków? Trochę bez sensu. No i o której planuje następane wejście? Wiadomo, że w porze rozpoczęcia wieczornego meczu baseballowego, ale co to, do cholery, dokładnie znaczy?

Kręciłem się w kółko coraz bardziej podenerwowany. Psy widać zauważyły moje podniecenie, bo podniosły głowy i z zaciekawieniem przyglądały się, jak nagle ruszam pędem do kuchni i rzucam się na stertę starych gazet, które do chwili Impulsu systematycznie czytałem i składałem na kupkę.

Nigdy nie byłem miłośnikiem baseballu, choć wydawało mi się, że w sensie antropologicznym rozumiem miejsce, jakie ta gra zajmuje – czy zajmowała – w myślach i sercach Amerykanów. Cubbies to niewątpliwie drużyna Chicago Cubs, która grała na stadionie o nazwie Wrigley Field – tyle pamiętałem. A więc dzisiejszą poranną audycję nadawał stamtąd. To mnie naprowadziło na ślad znaczenia słowa Twinkies. Czy to też ma jakiś związek z baseballlem? Słowo wydało mi się nieco znajome. No i o której zaczynają się wieczorne mecze? O szóstej? O wpół do ósmej?

O ósmej? Z zalem pomyślałem, że trzeba było poświęcać więcej uwagi narodowej dyscyplinie sportowej.

W końcu dogrzebałem się do starego egzemplarza „Milwaukee Journal-Sentinel”

z początków maja i ze zdumieniem czytałem tytuły z zupełnie innego świata: narzekania na podatki, na uliczne korki, wiadomość o budowie nowej drogi, prognoza pogody... „Trudno, było, minęło” – powiedziałem sobie w duchu, przerzucając kolejne stronicie w poszukiwaniu działu sportowego.

Mecze wieczorne... Sprawdzmy – gazeta była z wtorku i pod tabelką z wynikami drużyn podano także porę rozpoczęcia meczu lokalnej drużyny z Milwaukee o nazwie Brewers: 19.05. By się upewnić, sprawdziłem też mecze innych drużyn.

Tego dnia Cubs grali po południu, ale drużyny Cardinals i Twins – obie z centralnej strefy czasowej – zaczynały też o 19.05. Twins, czyli Twinkies! Mam cię! Partyzant Wrigley miał na myśli Minneapolis i Saint Paul w Minnesocie. Wiadomość, że wielki stan na zachód od Missisipi nie został jeszcze zdobyty, mocno mnie pocieszyła.

Reszta dnia wlokła się nieznośnie. Wiedząc, że mogę spodziewać się audycji o określonej godzinie, przemogłem się i oderwałem od radia. Zabrawszy psy i strzelbę, poszedłem na spacer po okolicy. Nie spotkałem nikogo, choć wypłoszyłem stado kojotów, które dobrały się do wyludnionej farmy mlecznej kawałek dalej przy drodze. Mimo wszystko nie mogłem przestać myśleć o radiu i wkrótce ruszyłem w powrotną drogę. Zerkąłem niespokojnie na zegarek, czekając na audycję, która stała się jedyną nitką łączącą mnie ze światem.

Podziwiając jego odwagę, przypomniałem sobie, co powiedział o Marsjanach: że potrafią namierzyć nadajnik radiowy. Było to zresztą oczywiste, ale on wpadł na pomysł, by jeździć jakąś starą ciężarówką i przenosić się z miejsca na miejsce. Więc ten jego „Partyzant”, to całkiem trafnie wybrany przydomek.

By wypełnić czymś czas, wyciągnąłem wydaną przez „National Geographic”

mapę Stanów Zjednoczonych i rozłożyłem ją na stole w kuchni. Czerwonym ołówkiem zaznaczałem miejsca, o których wiedziałem, że zostały zaatakowane przez Marsjan, po czym nanosiłem strzałki oznaczające przypuszczalne kierunki ich dalszego posuwania się. Zacząłem od Madison i Janesville, potem – pamiętając, co słyszałem o ich miejscach lądowania w centralnej części Illinois – wyrysowałem przypuszczalną trasę z Chicago w kierunku Saint Louis. Popołudnie zamieniło się w wieczór, a ja ślęczałem nad mapą, co chwila zerkając na zegarek. Włączyłem radio grubo przed siódmą.

Punktualnie o 19.05 usłyszałem jego głos.

– Witam ludzkość, to znaczy, jeśli ktoś z was jeszcze pozostał przy życiu w naszym zakątku jeziora Michigan i teraz mnie słucha. Mówi do was Partyzant Wrigley samotnie zwiedzający, wspaniałe i całkowicie opustoszałe Muzeum Nauki i Techniki w Chicago. Muszę się trochę streszczać, bo do miejsca nadawania mojej porannej audycji zaczął się już zbliżać trójnóg, choć na antenie byłem tylko przez dwanaście minut. Ale może wiecie, jak to jest z nami, radiowcami. Po prostu nie możemy przestać gadać. Najpierw wiadomości. Monitoruję wszystkie zakresy fal krótkich i zbieram z całego kraju strzępy różnych informacji. Niestety, nie mam specjalnie pocieszających wiadomości. Pamiętacie ten łuk triumfalny w Saint Louis?

Spalili go dziś rano. Trójnogi po prostu przeszły sobie przez Missisipi, i tyle. Ludzie uciekają na zachód. Najbliżsi Marsjanie z tamtej strony wydają się być w okolicach Denver, choć wiem to tylko z drugiej ręki. Ze Wschodniego Wybrzeża nadchodzą informacje natury wojskowej. W normalnych warunkach marsjańskie lasery wydają się mieć zasięg około ośmiuset metrów, natomiast mogą

działać praktycznie w sposób ciągły, jak karabin maszynowy. Ale mówi się też, że jeśli przez moment zakumulują energię – powiedzmy przez jakieś dziesięć sekund – ich zasięg znacząco wzrasta i mogą strzelać nawet na pięć, sześć kilometrów, wypalając dziurę we wszystkim, co napotkają po drodze. Nie wiem również, czy już to do was dotarło, czy nie, ale te trójnogi to tak naprawdę nie są Marsjanie. To tylko ich maszyny, jakby skorupy, każda na jednego Marsjanina. A sami Marsjanie wyglądają dość obrzydliwie. Mamy na ten temat doniesienia kilku naocznych świadków, również ze Wschodniego Wybrzeża. Pewna kobieta, naukowiec, widziała takiego stwora, jak wyłaził z cylindra pod Richmond w Wirginii. Według niej przypominał jakąś olbrzymią, wstrętną ośmiornicę z trzema dużymi odnóżami, mnóstwem małych, ruchliwych macek i wielkim, rozdętym cielskiem. Obrzydliwość, nie? Powiedziała też, że wygląda na to, że się odżywiają węglem. W każdym razie to coś było w ich statku.

– Wiemy też, że łajdaki niehumanoidalnie śmierdzą, jak gnijące mięso – kontynuował

Wrigley. – Wygląda też na to, że lubią woń ludzkich zwłok. Kilku świadków twierdzi, że widzieli, jak ściągają na stertę rozkładające się zwłoki, a potem siadają wokół w tych swoich trójnogach i wdychają aromat. Tak, wiem, że to obrzydliwe.

Przepraszam, ale musiałem wam o tym opowiedzieć. Ale, kochani, my jeszcze żyjemy. A wiecie o tym, skoro mnie teraz słuchacie. I nie damy się. Znajdziemy jakiś sposób, żeby tych bydlaków pokonać. Musimy się wszyscy trzymać razem i – co najważniejsze – musimy się z sobą komunikować.

Wypowiedział to z naciskiem i tak rozwlekle – koo-muu-nii-kować – że zabrzmiało jakby stanowiło oddzielne zdanie.

– Muszę już uciekać, więc na razie. Ale jeszcze tu wrócę. Mam ochotę na Matisse'a, gdybyście chcieli do mnie dołączyć. Myślę, że wejdę na antenę od początku – od takiego, o jakim śpiewała Dolly Parton w swojej rockowej piosence o biednej pracującej dziewczynie. A tymczasem, kochani, nie traćcie ducha i nie poddawajcie się. Mówił do was Partyzant Wrigley.

Sygnal zaniknął i z radia dobywał się już tylko pusty szum, ale na wszelki wypadek zostawiłem je włączone jeszcze przez kilka minut. Jego głos już się nie odezwał, więc po chwili wyłączyłem, usiadłem po ciemku i zamyśliłem się.

Znów użył szyfru opartego na nawykach kulturowych. Jego uwaga o Matissie była dość przejrzysta i bez trudu domyśliłem się, że następna audycja zostanie nadana gdzieś z okolic Instytutu Sztuki w Chicago. Wiedziałem wprawdzie, kto to jest Dolly Parton, ale nie znałem jej repertuaru i nie przychodziła mi do głowy ani jedna piosenka w jej wykonaniu. Nie szkodzi. Mam taki zapas baterii, że mogę mieć radio włączone przez całą noc. Z kontekstu jego wypowiedzi wynikało, że mówiąc

„od początku”, miał na myśli początek dnia. Czyli rozpocznie rano o siódmej, może o ósmej... albo o dziewiątej.

I nagle ją miałem. Słowa piosenki same zabrzmiały mi w głowie: Praca od dziewiątej do piątej, cóż za sposób na życie...

Kiedy to sobie uprzytomniłem, dosłownie skoczyłem na równe nogi, co natychmiast poderwało oba psy, które zrobiły to samo. Zjeżyły się i zawarczały, a Galahad nawet kilka razy szczeknął, jednak nie przeszkadzało mi to i zacząłem nawet nucić pod nosem tę wpadającą w ucho melodię. Nie znałem dalszych słów, ale nie miałem wątpliwości, że odgadłem szyfr Partyzanta, i już wiedziałem, o której zacznie nadawać. Szukając sobie zajęcia, nakarmiłem psy, sprawdziłem okna i obserwowałem, jak na zewnątrz robi się coraz ciemniej. Gdzieś w głowie zapaliła mi się lampka przypominająca, że jutro będzie 20 czerwca – raptem dwa miesiące od chwili, gdy ujrzałem pierwszy błysk na Marsie.

Zdawało się wręcz niemożliwe, żeby tak dużo mogło się zdarzyć w tak krótkim czasie.

Kojoty zanosily się wyciem, co powodowało, że psy zaczęły nerwowo kręcić się po domu. Galahad próbował nawet wyrzeć przez zasłonięte okno, Klondike plątał

się po kuchni i głośno obwąchiwał wszystkie kąty. Kojoty bez przerwy zawodziły swą niepokojącą pieśń.

Ich głosy były tak wyraźne, jakby stały tuż za drzwiami domu.

PIĘĆ

19 czerwca

autostrada I-81,

na południe od Hagerstown, Maryland

Alexandria zaparkowała hunweesa na poboczu idealnie gładkiej, betonowej autostrady. Szukała w okolicy najdłuższego i najszerzego odcinka płaskiej prostej drogi – okazało się, że był nim długi most przez rzekę Potomac. Grupa skrzykniętych naprędce pomocników, złożona z policjantów i cywilnych ochotników, za pomocą kilku ciężarówek i jednego niedużego buldożera przez całą noc uwalniała go od porzuconych pojazdów.

– I on cię zawiezie do samego prezydenta? – spytała Pam naburmuszonym tonem, gdy wysiadały z ich wiernego łazika. Spoglądała na Alex spode łba, jakby ją podejrzewała o jakąś niecną sztuczkę.

– Na to wygląda – odparła Alex, starając się bez powodzenia zamaskować obojętnym wzruszeniem ramion szalejące w niej uczucia. – Pewnie dowiemy się czegoś więcej, kiedy tu wyląduje. Na przykład tego, jakim samolotem przyleci. Bo, o ile wiem, w tym, którym zwykle lata, dwie osoby się nie mieszczą.

– Mhm – mruknęła Pam. – A jak on jest napromieniowany albo coś w tym rodzaju? Wiesz, od tej bomby?

– Myślę, że nic mu nie groziło, podobnie jak nam – odrzekła Alex dość niepewnie, bo miała świadomość, że wie za mało na temat opadu radioaktywnego, by rozwiać nawet własne wątpliwości.

Mimo wszystko, jak na jedną krótką rozmowę przez radio wczoraj wieczorem, udało jej się uzgodnić z Diukiem całkiem zgrabny plan działania. Gdy powiodło jej się wejście na jego częstotliwość i przedstawienie się, odpowiedział, że ma poczekać na wiadomość od niego. Powiedział to dość sucho i po wojskowemu, ale może Alex tylko się tak zdawało z powodu złej jakości odbioru. Za to od tej chwili jej serce zaczęło wyczyniać różne harce i resztę popołudnia oraz cały wieczór spędziła, nie odstępując radiostacji. Odeszła tylko na moment, by rzucić okiem na zanikający już atomowy grzyb nad Frederick. Wiatr tego dnia wiał na wschód, co stanowiło dla nich szczęśliwe zrządzenie losu, za to znacznie gorzej rokowało dla okolic Waszyngtonu i Baltimore. Wiedziała przecież, że owa złowroga chmura pełna jest groźnych substancji radioaktywnych. Nie była fizykiem jądrowym, ale wiedziała wystarczająco dużo, by do przeprowadzonego ataku mieć mocno sceptyczny stosunek.

W końcu radio ożyło, a z głośnika popłynął głos Diuka. Poinformował ją, że jest w Pittsburgu i mówi ze stanowiska dowodzenia jednostki sił powietrznych. Jego głos znów wydał jej się suchy i zwięzły, może wręcz obojętny. Opanowała więc miotające nią uczucia i zaczęła rozmawiać takim samym tonem. Oświadczył, że ma mu przygotować jakieś miejsce do lądowania, i dodał, że ma polecenie od „głównego z najgłówniejszych”, żeby po nią poleciał i przywiózł – ni mniej, ni więcej – na konferencję. Stąd wybór odcinka autostrady na moście jako lądowiska.

Krótki seans łączności o północy posłużył już tylko ustaleniu miejsca i godziny spotkania, w rezultacie doprowadził do obecnego nerwowego i niecierpliwego oczekiwania na poboczu autostrady.

– A co to za jeden, ten Diuk? – spytała Pam zaczepnie. – Bo jak z nim rozmawiałaś przez radio, to myślałam, że zaraz się rozbeczysz.

– Przyjaciel. Dobry przyjaciel sprzed inwazji.

– To twój chłopak, przyznaj się – rzuciła oskarżycielskim tonem.

– Można tak powiedzieć. Ale jest też moim starym przyjacielem. Jego brat... brat był dowódcą wahadłowca i jedną z pierwszych ofiar Marsjan.

– Ooo... – To ją trochę przymknęło, przynajmniej na chwilę. – A on jest tym pilotem, który wczoraj zrzucił bombę atomową na Marsjan, tak?

– Tak, on. A ja... ja już myślałam, że nie żyje – przyznała Alex.

– No to żyje. A więc nie ma się co tak przejmować. I mam tylko nadzieję, że spuści na tych pieprzonych Marsjan jeszcze kilka atomówek.

Alexandria przypomniała sobie tę straszliwą, złowróżbną chmurę i na ciele poczuła zimny dreszcz. Przez całe dorosłe życie czarny grzyb atomowy kojarzył się w jej myślach z czymś przerażającym. Ze śmiercią i zagładą. I nawet jeśli ta bomba zniszczyła dwa czy trzy trójnogi, przecież trudno to uznać za sukces. Dlatego w przeciwieństwie do Pam miała nadzieję, że wojsko nie ma już więcej bomb jądrowych.

– Oho, już go słyszę! – wykrzyknęła Pam podnieconym głosem.

Alex nastawiła uszu i choć nie usłyszała żadnego nowego dźwięku, wiedziała, że może zaufać młodemu słuchowi nastolatki. I rzeczywiście, po chwili mogła już rozróżnić dochodzący z oddali warkot samolotu z silnikiem tłokowym, który z całą pewnością nie był warthogiem. Niedługo potem dostrzegła zbliżający się nieduży cywilny samolot z trójkołowym podwoziem zamontowanym na stałe. Leciał nisko wzdłuż rzeki odgraniczającej Maryland od Wirginii.

Alex stanęła na końcu uprzątniętego odcinka autostrady, wyciągnęła raketnicę i wystrzeliła jaskrawoczerwoną flarę.

W odpowiedzi Diuk zamachał skrzydłami i skręcił na południe, by ustawić się pod wiatr wiejący z północy. Nadleciał nisko i odrobinę skorygował tor lotu, ustawiając się dokładnie w osi mostu. Alexandria ze zdumieniem obserwowała, jak ten niewielki samolocik potrafi wolno latać. Wydawało jej się, że niemal zawisł nad autostradą, po czym delikatnie dotknął nawierzchni dwoma tylnymi kołami podwozia. Sekundę później na beton opadło także przednie koło i samolot zaczął

kołować po moście. Silnik ryknął na zwiększonych obrotach i niechętnie parsknął, gdy pilot przymknął gaz oraz włączył hamulce. Alex puściła się biegiem ku przysadzistej sylwetce samolotu,

który zatrzymał się jakieś sto metrów od niej.

Drzwiczki z boku kadłuba otworzyły się i Diuk zeskoczył na autostradę. „Boże, jaki on podobny do Nate'a” – pomyślała. Nawet nie to, że się jakoś bardzo zmienił

fizycznie. Po prostu okrzepł, dojrzał i nabył wyglądu doświadczonego lotnika, czego jeszcze dwa tygodnie temu u niego nie widziała. Krótko mówiąc, postarzał się.

Objęli się i przez długą chwilę trwali bez ruchu – nie rozmawiając, nie całując się i tylko rozkoszując wzajemnym dotykiem ciał. Alex czuła bijącą od niego mieszankę woni brudnego kombinezonu, męskiego potu, zapachu benzyny i jeszcze czegoś, czego nie umiała nawet nazwać, ale i tak były to najpiękniejsze perfumy, jakie kiedykolwiek miała okazję wąchać. Tym trwającym wieczność, niemym uściskiem przekazał jej również potęgę swych uczuć i po raz pierwszy od czasu Richmond była gotowa uwierzyć, że może istnieje jakaś przyszłość dla rodzaju ludzkiego, a w tym i dla niej.

– Hm! – nie wytrzymała Pam, stojąca dwa kroki dalej. Alex uśmiechnęła się i wyzwoliła z objęć Diuka.

– Majorze Hayes, przedstawiam ci jeszcze jedną ocaloną, Pam Lucas.

Pilot uśmiechnął się i na moment odzyskał swój chłopięcy wyraz twarzy.

– Miło mi cię poznać – powiedział.

Dziewczynka wyciągnęła rękę i uroczyście uścisnęła mu dłoń.

– Widziałam, jak pan wczoraj zrzucił bombę – oświadczyła. – To najlepszy sposób na tych skurwieli.

Otworzył szeroko oczy, a Alex parsknęła śmiechem.

– Używa trochę za dorosłego języka, jak na swój wiek. Ale jest bardzo dzielna.

Sama uratowała czwórkę dzieciaków z Waszyngtonu i dowiozła je do obozu dla nieletnich uchodźców tu w górach. Też mogła tam zostać, ale wolała być tutaj.

Pomogła uratować życie wielu ludziom w tutejszym polowym szpitaliku.

– Bo w końcu coś trzeba robić – rzuciła Pam buńczucznie, choć wyraźnie uradowana słowami pochwały.

– Dobrze się sprawiłaś. – Diuk kiwnął głową i zwrócił twarz ku Alex. – Boże, jak cudownie znów cię widzieć.

– I zabierze pan ją do prezydenta? – upewniła się Pam.

– Tak, czyli do POTUS-a, jak na niego mówią wtajemniczeni – odparł pilot poważnie. – Zażyczył sobie, żeby ją przywieźć najszybciej, jak się da. – Zwrócił się do Alexandrii: – W Norfolk będzie czekał statek, który zabierze nas do prezydenckiej łodzi podwodnej. Kiedy im podałem twoje zamiary, od razu chcieli wysłać po ciebie śmigłowiec, ale ich przekonałem, że mogę to zrobić szybciej i bezpieczniej. Tylko musiałem zostawić warthoga, bo nie ma w nim miejsca dla pasażera. Ale... – Chwycił ją za ramiona i zajął głęboko w oczy, a ona w jego spojrzeniu z zaskoczeniem dostrzegła strach. – Już nigdy nie spuszczę cię z oczu!

– Wprost nie mogę uwierzyć, że żyjesz – odparła, wreszcie go całując. – W

czasie Impulsu bałam się, że akurat jesteś w powietrzu...

– Miałem startować kilka minut później. A potem ja z kolei myślałem, że zginęłaś – dodał drżącym głosem. Opowiedział jej o puszczonej przez pułkownika nagrani z jej meldunkiem i o późniejszej tragicznie zakończonej misji.

– Wczorajsza twoja misja była chyba dużo skuteczniejsza – powiedziała. – Z

tego, co widziałyśmy z wieży, wynika, że w strefie wybuchu nic się nie uchoowało. W

każdym razie, jak dotąd Marsjanie nie wyruszyli dalej na zachód.

– Udało mi się załatwić dwóch czy trzech – stwierdził z sarkazmem w głosie. – A więc jak już obrócimy całe Wschodnie Wybrzeże w perzynę, to tych sukinsynów pewnie też trochę utłuczemy.

– Ale jest jeszcze coś więcej... jest nadzieja – odrzekła Alex. – I właśnie dlatego muszę pilnie skontaktować się z prezydentem. – Opowiedziała mu o próbie marsjańskiej błony cały czas tkwiącej w pojemniku schowanym w humveesie, którą Pam pobiegła przynieść.

– Będziesz musiała zaufać mojemu pilotażowi – stwierdził Diuk, mrugając do niej porozumiewawczo i przez chwilę przypominając dawnego, uwodzicielskiego, jakże seksownego młodzieńca. – Ale obiecuję, że będę grzeczny.

Dwie godziny później wylądowali w bazie marynarki wojennej w Norfolk. W

ciężarówce z pracującym silnikiem czekał na nich starszy bosman. Oboje bez namysłu wpakowali się do tyłu i w wyścigowym tempie odbyli po terenie bazy jazdę, podczas której Alexandria cały czas kurczowo ścisnęła pojemnik z próbką.

Wkrótce zamiast smrodu spalin poczuli woń soli morskiej, ciężarówka stanęła i oboje wysiedli.

Statkiem czekającym na nich przy nabrzeżu był znany jej już, należący do generała McCandera jacht motorowy Lunker, którym pływała z prezydentem dzień po Impulsie.

– Pani doktor, panie majorze, witam na pokładzie. – Młody porucznik stojący przy rufie wyprężył się. – Proszę się rozgościć i dobrze trzymać, bo ruszamy natychmiast, gdy tylko wejdą państwo na pokład.

– Dzięki za przejażdżkę, poruczniku – rzekł Diuk. – Gdzie mamy pójść, żeby nie przeszkadzać?

– Najlepszy widok jest stąd, z mostku – odparł młody oficer, schylając głowę i wchodząc do niskiego pomieszczenia. – Będę sterował ze środka.

Dwa silniki marki Evinrude już pyrkaly, a gdy tylko Diuk i Alex wdrapali się na górę, zagrały pełną mocą. Jacht szarpnął do przodu i w miarę nabierania szybkości lekko uniósł dziób. Diuk otoczył Alex ramieniem. Choć stała dość pewnie na nogach, z wdzięcznością przyjęła jego opiekuńczy gest i dotyk jego ciała.

Stali na niewielkim mostku i trzymając się za ręce, patrzyli, jak porucznik z pełną szybkością manewruje po torach wodnych portu Hampton i wypływa na pełny ocean. Spod dziobu strzelały zalewające im twarze zimne szpryce fal, a niebo i woda zlewały się w jedną ponurą, szarą całość. Ale mimo że fale mocno rzucały niedużym jachtem, Alex nie chciała opuścić ani mostku, ani mężczyzny u jej boku.

Dwie godziny później znaleźli się na pełnym oceanie. Nigdzie nie było widać śladu lądu, jednak porucznik zdawał się nie mieć żadnych wątpliwości zarówno co do swej pozycji, jak i obranego kursu. I rzeczywiście, jakąś milę dalej woda oceanu nagle zakipiała i z głębin wynurzył się najpierw czarny kiosk, a zaraz po nim wysmukła, obła sylwetka okrętu podwodnego Seawolf. Wierzch kadłuba ledwo wystawał ponad poziom wody i większe fale co rusz przewalały się nad nim.

– Na tym kończy się moja rola – oświadczył porucznik, zatrzymując jacht i stawiając go w dryf około trzydziestu metrów od prawej burty okrętu.

– Zabrałaś kostium kąpielowy? – spytał Diuk poważnie.

Ale Alex nie miała wątpliwości, że żartuje. Po chwili zobaczyła, jak w przedniej części kadłuba otwiera się kłapa, kilku marynarzy napełnia powietrzem gumowy ponton i montuje na nim zaburtowy silnik, poruszając się ze skoordynowaną precyzją mechaników z zatoki serwisowej na torze wyścigów samochodowych.

Jeden z nich wskoczył do pontonu, uruchomił silnik i skacząc po falach, popędził ku jachtowi. Alex ostrożnie włożyła pojemnik z próbką do wręczonego jej przez kogoś z obsługi plecaka i zarzuciła go sobie na plecy. Oboje z Diukiem mieli na sobie kamizelki ratunkowe.

Fala była niewielka i okręt podwodny tylko lekko się kołysał, ale myśl o krótkiej podróży z Lunkera na Seawolf i tak napawała ją lękiem. Postanowiła jednak nie okazywać strachu na oczach tylu mężczyzn, szczególnie zaś jednego. Oboje z Diukiem zeszli z rufy do chybocącej się i niebudzącej zaufania gumowej łódeczki.

Alex kurczowo wczepiła się w uchwyt, a marynarz u steru bez sekundy zwłoki ruszył w drogę powrotną do kołyszącego się trzydziści metrów dalej cielska okrętu podwodnego. Stojący na nim marynarz rzucił im drabinę sznurową.

– Ty pierwszy – zarządziła Alex. Diuk uchwycił miękki, linowy szczebel i bez trudu wspiął się na

kadłub. Udało jej się uniknąć kompromitacji i pójść w jego ślady.

Wprowadzono ich przez otwór w kadłubie do ciasnego, niemal klaustrofobicznego wnętrza okrętu. Rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie na niebo i wodę, Alex dostrzegła, że marynarze zdążyli już zdemontować silnik. Nie miała wątpliwości, że w ciągu następnych kilku minut powietrze z pontonu zostanie spuszczone, jego powłoka trafi na miejsce we wnętrzu okrętu, a sam okręt zanurzy się w bezpieczne głębiny oceanu.

Jeden z marynarzy poprowadził ich wąskim przejściem do otwartej pokrywy, za którą znajdowała się niewielka kajuta ze stołem obstawionym metalowymi ławkami.

Rzucił: „Proszę tu poczekać”, i wycofał się, zamykając za sobą wodoszczelną pokrywę.

– Nareszcie sami – westchnął Diuk, chwytając ją za ramiona i zaglądając prosto w oczy. – Mam zapalić świece, żeby stworzyć lepszy nastrój?

Nim zdążyła zareagować – a już miała powiedzieć: „tak” – pokrywa się otworzyła i w otworze stanął prezydent, zginając się w niskim, łukowatym otworze.

– Alexandria! – rzekł z uśmiechem. – Witaj na pokładzie.

– Dziękuję, panie prezydencie – odparła, wciąż jeszcze czując zmieszanie w jego obecności.

– A tam, z panem prezydentem! Boże, jak się cieszę, że cię widzę – rzucił, obejmując ją tak serdecznie, jakby była dawno niewidzianą szkolną koleżanką. – A już myśleliśmy, że straciliśmy cię pod Richmond. – Puścił ją z objęć i wyciągnął

rękę do pilota. – Pan to zapewne Diuk Hayes.

– Tak jest, panie prezydencie. To zaszczyt pana poznać.

– Przykro mi z powodu pańskiego brata. Był bardzo dzielnym człowiekiem, jednym z naszych najlepszych.

– Tak jest, panie prezydencie. Całkowicie się z panem zgadzam.

– Wiem, że wczoraj zbombardował pan tych łajdaków. Niezła robota, tam w Frederick. Jak pan ocenia skuteczność?

– Cóż, panie prezydencie, zniszczenia były cholerne... znaczy, bardzo duże... ale w jakim stopniu dotyczyły Marsjan, tego nie wiem. Myślę, że można przyjąć, iż każda z bomb zniszczyła po trzy trójnogi. Ale jednocześnie duży obszar stanu Maryland, od rzeki aż do granicy z Pensylwanią. Przypomina to trochę tłuczenie komarów ręcznymi granatami. Twarz szefa państwa wyciągnęła się.

– Tak, tego się, niestety, spodziewaliśmy. Zobaczmy teraz, czy nasze bomby jądrowe powstrzymają zakusy Marsjan. Myślę jednak, że nie można nimi szafować na prawo i lewo.

– Jeśli wyda pan rozkaz, panie prezydencie, jestem gotów powtórzyć akcję –

oświadczył pilot.

Prezydent wyglądał na autentycznie poruszonego. Wyciągnął swą wielką dłoń i poklepał Diuka po ramieniu.

– Wiem, synu, że tak. I doceniam to. Potrzebni nam tacy mężczyźni jak ty... i takie kobiety jak ty – dodał, zwracając się do Alex. – Twoje meldunki z krateru to najlepsze relacje naocznego świadka, jakimi dysponujemy. A opis wnętrza cylindra, kiedy odważyłaś się wejść do środka... Droga pani! Nie jestem pewien, czy zdobyłbym się na coś takiego.

– Żałuję tylko, że nie udało mi się zdobyć czegoś jeszcze – powiedziała bez kokieterii. – Ale może ta próbka da nam jakieś dodatkowe informacje.

– Zabrałaś ją z wnętrza marsjańskiego statku? – zdumiał się Diuk. – Weszłaś do środka?

– Namów ją, synu, żeby ci kiedyś o tym opowiedziała. – Prezydent uśmiechnął się. – I Alex, nie bądź zbyt skromna.

– Tak jest, panie prezydencie – odparła. – Myśli pan, że uda nam się zrobić szczegółową analizę?

– Żywimy taką nadzieję. Lekarz pokładowy i jego ludzie nie mogą się doczekać, żeby się do niej zabrać. Mamy tu całkiem przyzwoicie wyposażone laboratorium naukowo-badawcze.

– Świetnie – ucieszyła się Alex. Rozległo się pukanie.

– To pewnie właśnie nasz pan doktor – powiedział prezydent, otwierając wejście i wpuszczając rumianego na twarzy oficera, który wylewnie uścisnął dłoń Alex.

– Komandor porucznik Rogers, doktor DeVane.

– Rozumiem, że przywiozła nam pani próbkę z jednego z cylindrów – rzekł

rumiany oficer z oczami błyszczącymi podnieceniem. – Czy mógłbym ją zobaczyć?

– Oczywiście – odparła Alex, podając mu pojemnik. – Mam nadzieję, że się to do czegoś przyda.

– To nasza pierwsza i najlepsza okazja, żeby dowiedzieć się czegoś bliższego o tych przybyszach. Natychmiast zabieramy się do pracy.

I już go nie było. Prezydent położył rękę na ramieniu Alex, drugą na ramieniu Diuka.

– Słuchajcie, czekają nas długie rozmowy o tym, co widzieliście, i o pomysłach, które zrodziły się tu u nas. – Rzucił okiem na zegarek. – Rozpocznemy za jakieś dwie godziny. Komandor zgodził się udostępnić wam na ten czas swoją kajutę, żebyście mogli wziąć prysznic i ewentualnie się przebrać.

Przygotowali dla was marynarskie ciuchy na tyle dopasowane rozmiarami, na ile się dało. Może więc teraz trochę odsapniecie?

– Dziękuję, panie prezydencie – odparli jednym głosem. Chwilę później steward otworzył im drzwi do niewielkiej, jednoosobowej kabiny. Drzwi dobrze się jeszcze nie zamknęły, gdy po głowie Alex zaczęła chodzić tylko jedna myśl.

Przez dwie godziny można zrobić mnóstwo różnych rzeczy.

SZEŚĆ

20 czerwca

Delbrook Lake, Wisconsin

Ze snu wyrwało mnie głośnie i uporczywe ujadanie psów, w którym słychać było wyraźne podniecenie. Podniosłem się z kanapy, na którą od lądowania Marsjan przeniosłem się ze spaniem, i stwierdziłem, że spoza zasłon przeziernie światło. Z przerażeniem spojrzałem na zegarek. Była 8:15. Odetchnąłem z ulgą, bo audycja Partyzanta Wrigleya zapowiedziana była dopiero na dziewiątą.

Przez szczekanie i warczenie psów przebił się też nagle inny dźwięk: warkot silników i chrzęst opon na żwirze. Na żwirze mojego podjazdu! Odruchowo chwyciłem strzelbę, podszedłem do drzwi i wyjrzałem przez szparę między framugą a zasłoną, potem lekko odchyliłem zasłonę, by nieco zwiększyć pole widzenia.

Pod dom zajeżdżała właśnie obca półciągarówka, za nią dostrzegłem kilka następnych. Wszystkie były ciężkie i masywne, z dużym prześwitem między ziemią a podwoziem i z grubymi terenowymi oponami. Żadna nie miała mniej niż piętnaście, dwadzieścia lat. Na pace pierwszej stało łóżko polowe, wszystkie zaś wyposażone były w uchwyty do broni, w których tkwiły różnego rodzaju strzelby.

Pierwsza w konwoju – stary ford F-150 niegdyś niebieski, teraz głównie w kolorze rdzy – zajeżdżała pod drzwi garażu i wtedy dojrzałem leżącą na łóżku stertę rzeczy, okrytą zieloną plandeką. Pozostałe cztery też się zatrzymały, ale nie wiedziałem, czy wśród drzew nie ma ich więcej, bo tylko tyle mieściło się na otwartej przestrzeni między domem a lasem. Ale nawet gdyby nie, to i tak był to okazały konwój i nie przychodziło mi do głowy żadne wytłumaczenie, po co miałyby przyjeżdżać na moje odludzie.

Nie zdążyłem niczego wymyślić, gdy ze zdumieniem ujrzałem, jak otwierają się drzwi po stronie pasażera i ukazują w nich moja była żona, siedzący zaś za kierownicą F-150 facet we flanelowej koszuli z ponurą miną patrzy, jak wysiada i rusza w stronę domu. Zauważyłem też tkwiące w uchwytach za jego głową co najmniej trzy duże sztuki broni.

Odłożyłem strzelbę na stolik i wyszedłem przed dom, zamykając za sobą drzwi.

Psy wciąż zanosily się ujadaniem, więc na wszelki wypadek postanowiłem zostawić je w domu.

– Cześć, Karen – powiedziałem. – A to ci niespodzianka. Zatrzymała się u podnóża schodków i przysłoniła sobie oczy dłonią.

– No cóż, świat nas też nieźle zaskoczył, nie sądzisz? Przytaknąłem w milczeniu, bo cóż tu było mówić.

– Widzę, że na stare lata zostałeś miłośnikiem psów. – Uniosła przy tym brew na znak zdziwienia, a ja przez moment przypomniałem sobie, jaka była ładna.

– Właściwie to one wybrały sobie mnie. Hm... chcecie wejść? – dodałem, wskazując głową konwój,

choć zauważyłem, że nikt nie zgasił nawet silnika.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, zatrzymaliśmy się tylko na chwilę. Przyjechałam przekazać ci zaproszenie

– odparła.

– Gdzie? Na wystawę broni? – mruknąłem ironicznie i dopiero usłyszawszy swój głos, zdałem sobie sprawę, że zabrzmiało to złośliwiej, niż zamierzałem.

Ale Karen zignorowała moją zaczepkę.

– Jedziemy na północ, aż za Baraboo. Chcemy znaleźć jakieś miejsce w głuszy, rozbić obozowisko i tam wszystko przeczekać. Mamy w samochodach miejsce dla jeszcze jednej lub dwóch osób, więc powiedziałam Nickowi, że chciałabym cię namówić, byś pojechał z nami.

Spojrzałem w stronę kierowcy fordka i bez entuzjazmu mu pomachałem. A więc to jest ten Nick. Uniósł dłoń, dotknął palcami daszka baseballówki i odwrócił głowę.

– Cieszę się... cieszę się, że masz kogoś – wybąkałem. – I że udało ci się wydostać z miasta.

– A to nie było łatwe – powiedziała i jej oczy niespodziewanie wypełniły się łzami. Ze złością przejechała sobie dłonią po twarzy i spytała: – Pewnie nie masz żadnych wiadomości o Alex, co...? Jest jakiś sposób, żeby się czegoś dowiedzieć?

– Pewnie nie.

– No więc jak? Chcesz wrzucić kilka niezbędnych rzeczy do torby i jechać z nami? Parę minut możemy poczekać.

Przez chwilę zastanowiłem się nad pomysłem, żeby się z nimi zabrać i ukryć gdzieś w dziczy. Wiedziałem, że moje życie zawisło w próżni pozbawionej wszelkich możliwości porozumienia się nie tylko ze światem, ale nawet z najbliższym miasteczkiem – czyli czymś, co zawsze uważałem za oczywistość...

Przypomniałem sobie tego kapitana z jego szaleńczym planem zamieszkania oraz rozmnażania się pod ziemią i uzmysłowiłem sobie, że muszą istnieć całe tabuny ludzi, którzy postanawiają gdzieś się wynieść, aby „wszystko przeczekać”. Ile w wyniku tego powstanie ludzkich enklaw – samotnych i wyizolowanych – które w ten sposób odetną się od reszty społeczeństwa i zamkną w im tylko znanych kryjówkach?

– Mark? – Wypowiedziała moje imię miękko i z troską w głosie, jak to robiła przez tyle lat w przeszłości, do momentu, gdy wreszcie uznała, że ma dosyć, i zrezygnowała. – Mark, powiedz mi prawdę. Radzisz sobie? Masz co jeść, pić?

Żyjesz jakoś?

– Tak – odparłem, dziwnie poruszony. – Jakoś żyję. Na tyle dobrze, na ile mogę...

na ile wszyscy mogą żyć w tym zwariowanym świecie.

– Nie masz zamiaru wleźć do łóżka i schować głowy pod kołdrą? Bo jeżeli masz, to przysięgam Bogu, że cię siłą zaciągnę z nami!

W tym momencie mnie olśniło i już wiedziałem, co muszę zrobić. Lakoniczny ton Partyzanta Wrigleya i to słowo wypowiedziane z taką emfazą zabrzmiały w mojej głowie jak drogowskaz.

„Koo-muu-nii-kować”.

– Karen... hm, dziękuję, że o mnie pomyślałaś i że po mnie przyjechałaś.

Naprawdę to doceniam. I podziękuj ode mnie Nickowi. Nie... nie schowam się pod kołdrą i nie poddam się. Życzę wam obojgu – wszystkim wam – wszystkiego najlepszego. Mam nadzieję, że znajdziecie na północy jakieś bezpieczne miejsce.

Ale nie mogę z wami pojechać.

– Jak to nie możesz? – spytała zaczepnie, zupełnie jak za dawnych czasów. – Co tu masz takiego ważnego, że musisz zostać? Że chcesz tkwić sam w tej dziurze, podczas gdy cały świat się kończy?

– Nie będę tu tkwił. Już nie.

– To dokąd masz zamiar się przenieść? – W jej pytaniu była ciekawość, ale i troska, a ja znów się wzruszyłem.

– Ktoś nadaje przez radio z Chicago. Nazywa siebie Partyzantem Wrigleyem i niekiedy odzywa się w eterze. Od pewnego czasu go słucham... i już wiem, co muszę zrobić.

– Co takiego? – burknęła, choć już znacznie łagodniejszym tonem.

– Muszę pojechać i go odszukać.

21 czerwca

Delbrook Lalde, Wisconsin

– Podobno w Maryland poleciało na Marsjan kilka bomb wodorowych. Nasi ludzie musieli się nieźle nagłowić, żeby po Impulsie te zabawki mogły zadziałać.

Oczywiście cały nasz arsenał był zabezpieczony przed działaniem EMP, ale nie sądzę, by ktokolwiek przewidział taką moc, jaką miały marsjańskie urządzenia. Bo myślę, że już dawno byśmy użyli pocisków nuklearnych, gdyby były sprawne w momencie lądowania cylindrów. Teraz jestem tylko ciekaw, ile nam ich jeszcze zostało. I jednocześnie wcale nie jestem pewien, czy chcę znać odpowiedź.

Miejsce nadawania porannej audycji Partyzant przyrównał do statku kosmicznego, który wylądował na brzegu jeziora. Nie umiałem rozszyfrować tej zagadki, ale było to o tyle nieistotne, że i tak jeszcze siedziałem w domu.

Ale jeep był już spakowany i właściwie gotowy do drogi.

– A ja się wciąż kręcę po mieście i przedmieściach za kierownicą takiego klasycznego staruszka, że Ario Guthrie od razu poczułby się w nim jak w domu.

Tylko że mój nie jest czerwony.

Już wcześniej domyśliłem się, że jeździ volkswagenem busem z czasów, gdy nie było jeszcze zapłonów elektronicznych, ale ta jego ostatnia uwaga – wciąż miałem w pamięci Ario rozczulającego się nad „czerwonym mikrobusem VW” w piosence Restauracja Alicji, którą pamiętałem jeszcze z czasów studenckich – dodatkowo utwierdziła mnie w moich przypuszczeniach. Była to przydatna informacja, bo przecież miałem zamiar osobiście go odszukać, i dlatego z uwagą słuchałem kolejnej porcji wskazówek.

– Dziś wieczór rozłożę swój kram na polu noszącym nazwisko Butcha. W tej jego części, gdzie można by się natknąć na Francuza albo Brazylijczyka. Rozpocznę nadawanie tak, żeby zdążyć na początek sztucznych ogni na 4 lipca.

Słowo „lipca” wypowiedział, przeciągając je w „liiipca”.

– Zatem do usłyszenia. Partyzant Wrigley odmeldowuje się.

I już go nie było, a w miejsce jego głosu pojawił się tylko pusty szum. Zazwyczaj zostawiałem radio jeszcze przez kilka minut włączone, gdyby zmienił zdanie i chciał

coś jeszcze dopowiedzieć (choć ani razu się to nie zdarzyło). Ale tym razem miałem plan działania i dawno już mnie tak nie gnało.

Niosąc radio do jeepa, zastanowiłem się nad ostatnimi wskazówkami. Butch, którego nazwisko

nosiło owo pole, to oczywiście as lotnictwa z czasów drugiej wojny światowej, Butch O'Hare, jego nazwisko zaś nosi ogromny chicagowski port lotniczy. I jeśli bym zdażył, to oczywiście powinienem się za nim rozejrzeć w terminalu międzynarodowym. A jeśli chodzi o czas...? Cóż, sztuczne ognie z okazji 4

„liiipca” zaczynały się zawsze tuż po zapadnięciu zmroku, więc było to wystarczająco dobre przybliżenie.

Psy warowały obok jeepa, bo obserwując moją krzątaninę rozpoczętą tuż po odjeździe Karen i jej konwoju, widać wyczuły, co się święci. Wetknąłem radio w niewielkie zagłębienie, które specjalnie wymościłem między siedzeniami, i rozejrzałem się po wnętrzu.

Bagażnik jeepa był w zasadzie pusty, bo miały w nim podróżować oba psy. Leżał

tam tylko zwój linki holowniczej, kable rozruchowe i saperka, które zostawił jeszcze Browne i których nie wyjąłem, bo pomyślałem, że coś z tego może się przydać.

Dołożyłem tylko kanister i wąż do przelewania benzyny, a wszystko zamocowałem gumami do słupka dachowego. Po drugiej stronie umieściłem worek psiej karmy i trzy puste wiaderka po lodach, których używałem do karmienia i pojenia psów, a także bańkę z wodą. Po tym wszystkim kilkakrotnie sprawdziłem, czy Klondike i Galahad mają dość miejsca i czy mogą łatwo wsiadać i wysiadać.

Swoje rzeczy złożyłem na przednim i tylnym siedzeniu. Nie musiałem się długo zastanawiać, by uzmysłwić sobie, że nie mam ochoty włamywać się do cudzych domów i spać w cudzych łóżkach. Spakowałem więc niewielki namiot i śpiwór, a także dwupalnikową kuchenkę, kilka butli z gazem i lśniący komplet turystyczny z nierdzewnej stali, który miał w sobie wszystko co trzeba: rondle, patelnię, talerz, miskę, kubek – wszystko złożone w jedną, zgrabną paczkę. Do brezentowego worka włożyłem kilka zmian bielizny dla siebie, a także lekką kurtkę, kapelusz i poncho.

Do schowka na desce rozdzielczej wsadziłem latarkę i resztę amunicji od Browne'a, strzelbę położyłem pod ręką na torbie ze sprzętem kempingowym.

Wziąłem też trochę jedzenia, choć liczyłem, że w miejscowościach leżących po drodze uda mi się znaleźć potrzebne zapasy jedzenia, benzyny i butelek z wodą. W

kieszeni miałem gazową zapalniczkę, szwajcarski scyzoryk wojskowy i – choć zakrawało to na śmieszny anachronizm – portfel, a w nim prawo jazdy i około trzystu dolarów w gotówce, które udało mi się wygrzebać z różnych zakamarków domu.

Radio było tak umieszczone, że mogłem je w każdej chwili włączyć i słuchać podczas jazdy. Zabrałem z domu szczegółowe mapy Wisconsin oraz okolic Chicago i wetknąłem je w kieszeń na drzwiach kierowcy. Zamontowałem także moje ostatnie usprawnienie: ponieważ jeep pozbawiony był dachu, do podpory przymocowałem gumami kawał zrolowanej plandeki, którą w razie deszczu mogłem rozwinąć i przykryć siebie, swoje rzeczy i psy, nie tracąc jednocześnie widoczności przez przednią szybę.

– Czas w drogę – powiedziałem głośno i otworzyłem klapę bagażnika. Klondike pierwszy próbował wdrapać się do środka, jednak Galahad odepchnął go i wykonał

zgrabny skok. Niezrażony nowofundland chwilę później też już był w środku. Oba psy wbiły we mnie rozjarzony wzrok i dysząc z podniecenia, obserwowały, jak obchodzę samochód i siadam za kierownicą.

Jeep zapalił po pierwszym przekręceniu kluczyka. Raz jeszcze spojrzałem na dom, w którym pozamykałem wszystkie okiennice oraz drzwi i który zabezpieczyłem na tyle, na ile się dało. Potem przejechałem wolno po podjeździe, podskoczyłem na kilku dziurach w polnej drodze i wyruszyłem na poszukiwanie Partyzanta Wrigleya.

SIEDEM

22 czerwca

Genoa City, Wisconsin

Warczenie Klondike'a – niski, dobywający się gdzieś z trzewi charkot, który bardziej pasował do niedźwiedzia czy lwa niż dużego psa – zakłóciło ciszę nocną.

Wyplątałem rękę ze śpiwora, sięgnąłem po okulary i uniosłem się do pozycji siedzącej, jednocześnie w popłochu starając się uzmysłowić sobie, gdzie jestem, uzyskać jakiś punkt odniesienia. I już wiedziałem: jestem w miejskim parku małego miasteczka kilka kilometrów na północ od granicy Illinois. Położyłem się spać na wolnym powietrzu, bo nic nie zapowiadało deszczu, a lekki wiaterek skutecznie odganiał komary.

Która to godzina? Na pewno środek nocy – tyle wiedziałem i to właściwie wystarczyło. Ale skąd to warczenie? Spróbowałem poukładać sobie wszystko w głowie: pamiętałem, że mniej więcej w połowie drogi do Chicago postanowiłem się zatrzymać i spędzić pierwszą od niepamiętnych czasów noc poza domem. Jednak czułem się i tak zupełnie zdezorientowany, kręciło mi się w głowie, przytłaczała mnie otaczająca pustka i własna bezbronność. Nie wiedząc, co czai się w ciemnościach, od razu zatęskniłem za poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawały cztery ściany, dach nad głową i drzwi zamknięte na klucz.

Niemal bezwiednie chwyciłem strzelbę, odbezpieczyłem i wprowadziłem nabój do komory. Oba psy ujadają, stojąc zjeżone ramię w ramię. Zdażyłem się już otrząsnąć z resztek snu i zacząłem intensywnie wpatrywać się w ciemność.

– Hola, kolego – rozległ się męski głos. – Przytrzymaj no te psy. Nie mamy złych zamiarów.

Z wczorajszego ogniska została już tylko garstka żarzących się kawałków, jednak to wystarczyło, by dojrzeć dwóch mężczyzn stojących kilka kroków dalej z rękami uniesionymi w pokojowym geście. Psy, cały czas zjeżone i nieprzestające ujadać, ustawiły się po bokach ogniska.

– Klondike, Galahad, siad! – zawołałem. Psy posłusznie przysiadły, choć widać było, że wciąż są czujne i zjeżone, co raz któryś powarkiwiał. – Przykro mi, ale cały dzień nie spotkaliśmy żywej duszy, więc je to zaskoczyło.

– Mnie tam ostre psy nie wadzą – powiedział pierwszy z mężczyzn. – Tylko bym nie chciał, coby mnie któryś chapnął.

Był w średnim wieku, dość brudny i zarośnięty, ubrany w dzinsy, flanelową koszulę i baseballową czapkę. Jego towarzysz trzymał się dwa kroki z tyłu, był

trochę młodszy i nerwowo przestępował z nogi na nogę, jakby miał ochotę czmychnąć.

Czułem się trochę głupio, ale nie zdecydowałem się odłożyć strzelby i trzymałem ją wciąż na kolanach. Coś w tych dwóch było nie tak. W ich wyglądzie i sposobie mówienia coś mnie niepokoiło i powodowało, że wyczuwałem zagrożenie. Czy tylko mi się zdawało, czy rzeczywiście biło od nich

zło? Nie byłem pewien.

Byli pierwszymi ludźmi, jakich spotkałem od wyjazdu z domu, i nie chciałem z góry zakładać, że mają wobec mnie wrogie zamiary. Niemniej czułem, że łażąc po obozowisku, mają znaczną przewagę nade mną siedzącym na ziemi i wciąż jeszcze częściowo zaplątany w śpiwór.

– A dokąd idziecie? – spytałem, wygrzebując się ze śpiwora i stając na nogi. W

prawej ręce cały czas trzymałem strzelbę skierowaną lufą do ziemi.

– Nigdzie specjalnie. Żeśmy zauważyli ognisko, tośmy przyszli zobaczyć.

– No to dorzucmy jeszcze kilka gałązek – powiedziałem, klękając i rzuciłem na dogasający żar kilka kawałków ze stosu przygotowanego wieczorem. Suche drewno od razu strzeliło iskrami i zajęło się jasnym płomieniem. – Siadajcie – dodałem, wskazując głową parkową ławkę obok ogniska. Nadal klęczałem przy ogniu i nadal trzymałem strzelbę opartą o nogę.

– Wyglądasz jak jaki bandzior z tą rurą – odezwał się młodszy. – Myślisz, żeśmy cię tu przyszli obrobić, czy jak?

– Nie. – Potrząsnąłem głową, jednocześnie zastanawiając się nad jego pytaniem.

Nie wiedziałem, co mam myśleć, choć na pewno czułem się nieswojo. – Ale dziś takie czasy, że człowiek musi być ostrożny, prawda?

Starszy z mężczyzn, który zdawał się szefem, w odpowiedzi parsknął nerwowym śmiechem.

– No chyba tak. Wszędzie pełno różnych oprychów, nie?

– A wy jesteście miejscowi? Ktoś tu się jeszcze uratował? – spytałem. – Bo ja tu dopiero od wczoraj... tylko przejazdem.

– Przyszliśmy z McHenry, jak te Marsjany przeszli – odparł mężczyzna. – W

drodze spotkaliśmy tylko jedną osobę.

– No – zawtórował młodszy parsknięciem, które tym razem zdecydowanie zabrzmiało złowieszczo. – Ale była bardziej przyjacielska niż ty.

– Przepraszam. Pewnie dlatego, że tak mnie zaskoczyliście, wyrwaliście ze snu.

Ale nie mam tu nic, co mogłoby się komukolwiek przydać.

– Taki jeep to musi zaiwaniać. – Młodszy cmoknął. – A wczoraj to cię tu nie było. – Pochylił się do przodu i było w tym ruchu tyle wyczuwalnej agresji, że Klondike znów zawarczał. – Mówisz, że przejazdem. Znaczy się, gdzie jedziesz?

– Słuchajcie – powiedziałem, wstając. Czułem, że adrenalina zaczyna mi coraz mocniej krążyć w żyłach, a z każdą sekundą rosły moje złe przeczucia co do zamiarów obu intruzów. – Czego wy właściwie chcecie?

Galahad nagle zerwał się na równe nogi i z wściekłym ujadaniem skoczył przed siebie w ciemność. Spojrzałem za nim, w zaroślach mignął ktoś jeszcze – mężczyzna z bronią w ręku – po czym usłyszałem głośny huk wystrzału, zobaczyłem błysk płomienia i poczułem gryzącą woń spalonego prochu. Biały pudel, wyraźnie nietrafiony, całkowicie zignorowawszy wystrzał, runął na obcego. Klondike skoczył

za kolegą, a jego zazwyczaj przyjazne pomrukiwania zamieniły się nagle we wściekły charkot.

Poderwałem strzelbę i okręciłem się w stronę pierwszych dwóch, którzy na widok atakujących psów zerwali się na równe nogi. W dłoni młodszego pojawił się skierowany we mnie pistolet. Pociągnąłem za spust, strzelba podskoczyła mi w dłoniach i porcja śrutu walnęła w ziemię tuż pod stopami uzbrojonego rzezimieszka.

Wrzasnął, padł do tyłu na piknikowy stół i zaczął wymachiwać w powietrzu nogą, jakby zaczęła się palić, a on ją chciał ugasić.

– Rzuć to! Rzuć broń! – wrzasnąłem niemal histerycznie i uniosłem lufę na wysokość twarzy młodszego. Pistolet wypadł mu z dłoni. – Wynosić mi się stąd, bo was pozabijam! – Dopiero w tym momencie przypomniałem sobie o wprowadzeniu następnego naboju do komory, zrobiłem to teraz i to chyba ostatecznie przekonało obu bandziorów, że lepiej się wycofać. Odwróciwszy się plecami, ruszyli w ciemność – starszy biegiem, młodszy utykając na zranioną nogę.

Podbiegłem do trzeciego intruza, który miotał się, próbując uwolnić od atakujących go psów. Trzymał Galahada za gardło, a wielkie psisko starało mu się wyrwać, kłapiąc zawzięcie zębami tuż przy jego twarzy. Potężne szczęki Klondike'a zacisnęły się na przedramieniu mężczyzny i bandzior wrzeszczał wniebogłosy, pies zaś potrząsając swym wielkim łbem, powodował, że cała trójka przetaczała się z miejsca na miejsce.

Stałem przed wykrzywionym ze strachu rzezimieszkiem i wymierzyłem w niego lufę.

– Puść mojego psa! – rozkazałem, chwytając wolną ręką za obrożę Galahada.

Dostrzegłem leżącą u stóp mężczyzny strzelbę i postawiłem na niej nogę, jednocześnie odciągając Klondike[^]. Uwolniony od psów mężczyzna zerwał się na nogi i pognął w ciemność.

Kłęknałem i obejrzałem pudła. Na jego lewym boku widać było krew, a gdy go tam dotknąłem, pies zaskowyczał. Wyjąłem chustkę do nosa, przetarłem mu ranę i z ulgą stwierdziłem, że nie krwawi zbyt mocno. Kula wyraźnie otarła się o niego, nie robiąc mu większej krzywdy. Galahad wyrwał mi się, ułożył przy ognisku i zaczął

sobie wylizywać skaleczenie.

Ale Klondike nie przestawał warczeć i poprzez jego warkot usłyszałem jeszcze jakiś dźwięk. W

pierwszej chwili pomyślałem nawet, że to słyhać głosy trójki rzezimieszków, jednak szybko odrzuciłem tę myśl – dźwięk był łagodniejszy, jakby stłumiony, a jednocześnie dość natarczywy.

Spojrzałem na jeepa i migocący płomień ogniska. Czułem się rozdarty między chęcią, by się spakować i natychmiast stąd uciekać, a chęcią sprawdzenia źródła niepokojącego dźwięku. A może to ta trójka mętów czai się w ciemnościach i próbuje mnie wciągnąć w zasadzkę? Przy pierwszym podejściu utracili strzelbę i przekonali się o czujności moich psów, miałem więc nadzieję, że im to wystarczy. Z

drugiej strony wciąż jeszcze mieli pistolet i tę przewagę, że mogli się kryć w ciemnościach, jednocześnie znając moją pozycję. Myśl, że mogą mnie teraz z mroku obserwować, wywołała zimny dreszcz.

Ale znów dobiegł mnie ten proszący, jękliwy dźwięk i uznałem, że nie mam wyboru.

Ze strzelbą w jednej ręce, latarką w drugiej i Klondikiem przy nodze ruszyłem w kierunku źródła dźwięku. Szedłem po ciemku miękką murawą parku, nie chcąc zdradzać światłem latarki swojej pozycji. Po chwili okazało się, że dźwięki dochodzą z niewielkiej altany piknikowej – kwadratowej konstrukcji przykrytej dachem, ale pozbawionej bocznych ścian.

– Halo? – zawołałem, podchodząc bliżej. – Jest tam kto?

W odpowiedzi na moje pytanie jęczenie nasiliło się, jednak brak w nim było wszelkiej artykulacji, jakichś zrozumiałych słów. Ale i tak nie miałem wątpliwości, że głos należy do kobiety. Włączyłem latarkę, wszedłem do altany i omiotłem światłem niewielkie wnętrze.

Zauważyłem ją od razu. Leżała związana, z ustami zakneblowanymi kawałkiem bandaża obwiązanego wokół głowy. Przypominała kupkę rzuconej na podłogę, sponiewieranej odzieży. Jej szeroko rozwarte, pełne przerażenia oczy patrzyły na mnie znad bandaża i lśniły w świetle latarki. Szybko skierowałem latarkę w bok i w jej świetle zobaczyłem, że na podłodze leży też kilka zmiętoszonych śpiworów i turystyczna kuchenka. Najwyraźniej trafiłem do meliny zajmowanej przez spotkane wcześniej męty.

Klondike zabrał się do obwąchiwania, jednak nie wyczuwając w jego zachowaniu niepokoju, uznałem, że mieszkańców altany nie ma w pobliżu.

Odłożyłem strzelbę i zabrałem się do usuwania knebla. W końcu mi się udało, kobieta wydała z siebie głębokie westchnienie ulgi i zaczęła łapczywie oddychać.

Zająłem się więzami pętającymi jej nadgarstki, jednak węzły okazały się zbyt ściśle dla moich palców.

– Koło kuchenki jest nóż. Niech pan to przetnie – powiedziała nagłym tonem. –

Uciekajmy stąd!

Znalazłem nóż i zrobiłem, jak sobie życzyła. Miała około dwudziestu lat, rozczochraną blond

czuprynę i mnóstwo błota zaschniętego na twarzy i rękach.

Ubrana była w polowy kombinezon wojskowy. Roztarła zdrętwiałe nadgarstki, a ja przeciąłem też sznur wokół jej kostek.

– Mogę już iść – powiedziała. – Jakby tylko podał mi pan rękę.

Wspierała się na moim ramieniu i mocno utykała, ja trzymałem w drugiej ręce latarkę oraz strzelbę i tak dotarliśmy do jeepa. Z niepokojem rozejrzała się po moim obozowisku.

– Gdzie oni się podziali? – spytała.

– Nie wiem – przyznałem. – Udało mi się ich pogonić. To znaczy, głównie zrobiły to moje psy. Ale jeżeli te rzeczy w altanie są ich, pewnie daleko nie odeszli.

– Czy możemy zaraz stąd odjechać? – powiedziała błagalnie. – Proszę!

– Jasne, wskakuj.

Wgramoliła się na stertę rzeczy na przednim siedzeniu. Wpuściłem psy do tyłu i bezceremonialnie rzuciłem na nie śpiwór. Czując narastający z każdą sekundą niepokój, wskoczyłem za kierownicę i ruszyłem ostro z miejsca, buksując lekko na mokrej murawie parku, póki nie dotarłem do utwardzonej drogi. Nie zastanawiając się nad kierunkami, ruszyłem pierwszą z brzegu uliczką i wydostałem się z miasteczka.

– Dziękuję, że się pan zjawił – powiedziała dziewczyna. – Nazywam się Carrie Page... Jestem starszą szeregową w Gwardii Narodowej Stanu Illinois.

– Markus DeVane – odparłem. – A kim byli ci ludzie?

– Trzech sukinsynów, na których natknęłam się w McHenry. Całe McHenry to jak jedno wielkie Dodge City z westernu.

Pełno band, które wzajemnie na siebie napadają i rabują. Jakby po odejściu Marsjan wszystkie bandziory umówiły się tam na spotkanie. Tych trzech mnie tam napadło i przywlokło tutaj. Pewnie mieli zamiar mnie zabić, tylko jeszcze przedtem chcieli... – powiedziała z goryczą zawiesiła głos i odwróciła głowę.

– Teraz już jesteś bezpieczna – zapewniłem ją i od razu zdałem sobie sprawę, jak kiepsko to zabrzmiało. – To znaczy, nic ci nie grozi z ich strony. Bo co do reszty, to sam nie wiem, gdzie dziś może być bezpiecznie.

– Jedzie pan na północ? – spytała.

– Nie, jestem w drodze do Chicago. A ty w przeciwnym kierunku?

– Sama już nie wiem, co robić – powiedziała niepewnie i ze smutkiem w głosie. –

Chciałam uciec z miasta, ale właściwie to nie mam dokąd... – Głos jej się załamał.

– Opowiedz mi swoją historię. – Staralem się, by mój głos zabrzmiał ciepło i przyjaźnie.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i wyglądało, że się zastanawia. Po chwili zaczęła jednak mówić.

– Moja rodzina pochodzi z Palatine. Mieszkałam tam z rodzicami, uczyłam się i pracowałam do czasu, aż mnie powołali do jednostki gwardii. Wysłali nas do ochrony mobilnej stacji radarowej w pobliżu Rockford. Chodziło o kierowanie ostrzałem zbliżających się Marsjan. Ale musieli wykryć nasz sygnał, bo trójnogi zleciały się jak pszczoły do ula. Spalili stację i zabili wszystkich z wyjątkiem mnie.

– Bardzo ci współczuję. Słyszałem, że potrafią namierzyć każdy sygnał radiowy, każdą wiązkę fal. – Pomyślałem, że pewnie radar przyciąga ich jak magnes.

– Wróciłam pieszo do Palatine, ale okazało się, że w całym miasteczku nie ma żywej duszy, bo Marsjanie już tamtędy przeszli. Rodzice też uciekli i tylko zostawili w domu kartkę, że spróbują się przedrzeć do mojej ciotki mieszkającej w pobliżu Green Bay. Więc postanowiłam zrobić to samo.

– Ależ to strasznie daleko – zdziwiłem się. – Chciałaś iść na piechotę?

– Nie miałam wyboru. A więc jeśli jedzie pan w innym kierunku, to proszę mnie tu wysadzić, a ja sobie pójdę w swoją stronę. I jeszcze raz dziękuję, że mnie pan uwolnił.

Wiedziałem od razu, że nie mogę jej tak zostawić. Czulem się odpowiedzialny za los tej dziewczyny. Może dlatego, że przypominała mi Alex, a może tylko dlatego, że moja pomoc była jej naprawdę potrzebna. Ale nie miałem też ochoty rezygnować ze swojej misji.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Znajdźmy gdzieś jakieś miejsce, gdzie zaszyjemy się na resztę nocy. W okolicach Lake Geneva jest mnóstwo samochodów i żadnych ludzi. Jutro rano rozejrzemy się za czymś, czym mogłabyś dojechać na północ do Green Bay.

Obrzuciła mnie badawczym i zaskakująco dojrzałym spojrzeniem, potem kiwnęła potakująco głową. Kilka kilometrów dalej natknęliśmy się na niewielki przydrożny motel z mnóstwem wolnych pokoi, bo – jak wszystko inne – był

zamknięty i zupełnie pusty. Włamawszy się do biura, z tablicy za kontuarem zdjąłem dwa klucze.

– Dla ciebie trójka, ja wezmę czwórkę – powiedziałem. – I wierz mi, rano wszystko będzie wyglądało lepiej.

23 czerwca

Lake Geneva, Wisconsin

Rzeczywiście, w porannym świetle wszystko wyglądało lepiej – w tym również starsza szeregowca Carrie Page, która umyła się i uczesała, korzystając z grawitacyjnego systemu wodociągowego działającego mimo braku prądu. Gdy zjawiała się na poranną kawę, którą przyrządziłem na kempingowej kuchence na środku parkingu, wyglądała po prostu ślicznie.

– Naprawdę nie chcę pana zatrzymywać – oświadczyła, napawając się aromatem przed pociągnięciem pierwszego łyka.

– Jestem bardzo wdzięczna za wszystko, co pan dla mnie zrobił, ale...

– ...ale czego jeszcze nie skończyłem – odpowiedziałem twardo. – Spójrz na to tak: bardzo mi przypominasz córkę, kiedy była w twoim wieku. Nie wiem, co się z nią teraz dzieje. Nawet nie wiem, czy żyje. I nic nie mogę zrobić, żeby jej pomóc, więc jeśli pomogę tobie, to będzie trochę tak, jakbym jednak coś zrobił.

Zareagowała na moje wyznanie uśmiechem.

– No, skoro tak pan stawia sprawę, to pewno, że tak. I jeszcze raz dziękuję.

Zjedliśmy śniadanie złożone z tostów i jajecznicy z jajek w proszku. Widziałem, że podczas jedzenia przyglądała mi się badawczo, jakby ją coś gryzło.

– O co chodzi? – spytałem trochę zaczepnie.

– No bo... bo opowiedziałam panu o sobie. Skąd się tu wzięłam, dokąd się wybieram i tak dalej. A pan? Wiem, że córka jest gdzieś daleko, ale nie ma pan nikogo innego, z kim mógłby pan być? Albo do kogoś pojechać?

Zupełnie mnie to zaskoczyło i aż zamrugalem. Po dłuższej chwili milczenia uznałem jednak, że oboje zasługujemy na odpowiedź.

– Nie, nie mam – odpowiedziałem. – Chociaż nie zawsze tak było... Kiedyś byłem nauczycielem akademickim, etatowym profesorem z własną katedrą. Miałem wielu przyjaciół wśród profesorów, asystentów i studentów. Miałem też żonę i wszystko szło jak najlepiej. A potem coś się ze mną stało... sam nie wiem co.

Zacząłem się wszystkiego bać i już nie mogłem przebywać dłużej z tymi ludźmi.

Przestałem chodzić do pracy, a uniwersytet musiał się ze mną pożegnać. Potem po prostu schowałem się do łóżka. Nie chciałem nic robić, z nikim się widywać. Żona próbowała mi pomagać, opiekować się mną. Ale z mojej strony nie zyskała zrozumienia. Aż wreszcie się zniechęciła.

– Wygląda to na depresję – powiedziała Carrie łagodnie.

– Tak, wszyscy tak mówili. – Kiwnąłem głową i wzruszyłem ramionami, pamiętając tamto uczucie bezsilności. – Tylko że nazwanie tego nic nie zmieniło.

– Kiedy pan wcale... nie wygląda pan na człowieka z depresją. I naprawdę... tak się cieszę, że mnie pan odnalazł.

– Ja też. – Uśmiechnąłem się cierpko. – Sama więc widzisz, dlaczego chcę się poczuć tak, jakbym dla odmiany coś nareszcie robił. Mam duże zaległości.

Nie powiedziała już nic więcej i byłem jej za to wdzięczny. Po jedzeniu spakowaliśmy się i od razu ruszyliśmy w drogę. Zaproponowałem, byśmy się trzymali górnych piętér doliny, bo zgrozą napawała mnie myśl o zjechaniu w dół do jeziora i błędzeniu wśród wron, kruków i tego, co tam zostało po śmiertcionośnym czarnym gazie. Zgodziła się i zaczęliśmy objeżdżać rozrzucone wokół doliny farmy oraz domy, niektóre o wielkości i wyglądzie pałaców. Kręciliśmy się po wąskich drogach w poszukiwaniu jakiegoś nadającego się, czyli odpowiednio starego pojazdu.

Zajęło nam to prawie cały dzień, wymagało odwiedzenia ponad setki domów w okolicach Lake Geneva, nim wreszcie udało nam się znaleźć ukrytą na farmie starą półciężarówkę na chodzie.

Jak było do przewidzenia, kluczyki do niej wisiały na haczyku na tylnych drzwiach domu. W baku było mnóstwo benzyny, a Carrie udało się wyszperać w domu trochę konserw, śpiwór i nawet jakieś ciuchy.

– Panie Markusie – odezwała się, znosząc wszystko do samochodu. – Słyszałam, że w Chicago wciąż jeszcze są Marsjanie. Jest pan pewien, że to dobry pomysł, by tam jechać?

– Jestem pewien – odparłem.

Potem opowiedziałem jej o Partyzancie Wrigleyu i dała spokój.

– A co z nimi? – spytała tylko, wskazując na psy, które szybko oswoiły się z nowymi zapachami na farmie i teraz ułożyły się obok samochodów, obserwując nas z ciekawością. – Mówił pan, że należały do sąsiada i że wziął je pan, bo nie miał kto się nimi zająć. Jeśli pan chce, mogę je zabrać ze sobą na północ. Będzie to chyba dla nich lepsze niż podróż z panem do Chicago.

Myśl o rozstaniu się z psami okazała się nadszpiekowanie przykra, jednak musiałem przyznać, że chyba ma rację. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale istotnie ciągnięcie psów z sobą i narażanie ich na rozliczne niebezpieczeństwa było z mojej strony egoizmem. Więc nie chyba, tylko na pewno miała rację.

– Zrobiłabyś to? I dopilnowała, żeby miały co jeść, i w ogóle? – spytałem w zadumie.

– Jasne. Lubię psy.

– No to zgoda. – Kiwnąłem głową. Pomysł był zbyt rozsądny, by z niego nie skorzystać. Dlaczego

mam ryzykować ich życie przy okazji mojej donkiszoterii? –

Załatwione. Dzięki.

– Markus, i niech pan uważa na siebie. – Wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek. – A jak się panu uda, niech pan da znać przez tego Partyzanta Wrigleya, dobrze? Jak tylko znajdę jakieś działające radio, zacznę go słuchać. I pana też.

– Oczywiście, zrobię to. I ty też na siebie uważaj.

Otworzyła drzwi szoferki, gwizdnęła i oba psy ochoczo wskoczyły do środka.

Patrząc, jak odjeżdża ocienioną drzewami dróżką, poczułem się bardzo samotny i jakby porzucony. Skręciła w drogę wiodącą od miasta na północ, ale po przejechaniu jakichś stu metrów zatrzymała się i wysiadła.

Psy wyprysły z szoferki i puściły się pędem w moją stronę, powiewając na wietrze uszami i jęzorami. Galahad z łatwością wyprzedził cięższego kolegę, ale po chwili już oba znalazły się obok jeepa, płacząc mi się wokół nóg i obrzucając mnie pełnymi wyrzutu spojrzeniami.

– Nie chciały ze mną jechać – zawołała do mnie Carrie i pomachała ręką. –

Myślałam, że mi wydrapią dziurę w szybie. To już są teraz pana psy, na dobre i na złe.

– Dzięki! – odkrzyknąłem, zbyt wzruszony, by wydusić z siebie coś więcej. Wraz z dyszącymi ciężko psami patrzyliśmy, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Raz jeszcze jej pomachałem i po chwili zniknęła nam z oczu. Potem otworzyłem klapę bagażnika, a psy wskoczyły do środka.

– No, dobra, chłopaki – powiedziałem, przetykając łzy i głupkowato się uśmiechając. – Kumple na całe życie, tak? No to w drogę. Czeka na nas wielkie miasto.

OSIEM

23 czerwca

Okręt podwodny Marynarki Wojennej USA

Seawolf, Ocean Atlantycki (20 mil morskich

na wschód od Virginia Beach)

Pierwszą konferencję z udziałem prezydenta, dowódcy okrętu, komandora Rickettsa, generała McCandersa i kilku innych wyższych oficerów poświęcono głównie na wypytywanie Diuka i Alex o ich doświadczenia i obserwacje. Pilota indagowano szczegółowo o przeprowadzony atak nuklearny, a gdy się okazało, że Alex była jego naocznym świadkiem, również i ją zapytano o wrażenia. Potem opowiedziała o swoich przejściach w kraterze pod Richmond i o spustoszeniach widzianych w wyludnionym Waszyngtonie. Z kolei sama zadała pytanie i uzyskała odpowiedź, że jak dotąd brak jest potwierdzenia, by któraś z marsjańskich machin lub jakiś Marsjanin ucierpiał w wyniku ataku bronią konwencjonalną.

Po odprawie na pokładzie Seawolf zaczęło się normalne w tych okolicznościach życie na okręcie podwodnym. Co kilka godzin okręt wynurzał się na powierzchnię, by odebrać z lądu sygnały radiowe. Jeden z oficerów łączności wyjaśnił Alex, że wprawdzie wszystkie komunikaty pochodzą z bazy marynarki wojennej w Norfolk, jednak do nich docierają okrężną drogą po to, by zmylić Marsjan i odciągnąć ich uwagę od tego kluczowego dla marynarki miejsca. Dlatego meldunki formułowane w bazie najpierw bezpiecznymi liniami telefonicznymi wędrowały do nadajników radiowych rozrzuconych w Wirginii, Marylandzie i Delaware. Dzięki temu komunikaty radiowe pojawiały się w eterze z miejsc zawsze bardzo oddalonych od bazy i nigdy dwukrotnie z tego samego nadajnika. Marsjańskie trójnogi wciąż jeszcze kręciły się w rejonie zatoki Chesapeake i po każdym takim meldunku ruszały ku nadajnikowi, jednak jak dotąd nie udało im się rozgryźć zastosowanego systemu łączności. Oficer zakończył wyjaśnienia kwaśną uwagą, że przykro mu, iż nie może się pochwalić także innymi sukcesami.

Alexandria zaczynała już przywykać do ciasnoty panującej na okręcie i męczyło ją tylko, że jest jedyną kobietą wśród mniej więcej setki mężczyzn. Po krótkim skorzystaniu z kajuty komandora zdała sobie też sprawę, że na całej łodzi nie ma ani jednego miejsca, które zapewniałoby jako taką prywatność. (Na początku popełniła typowy błąd i nazwała ją statkiem, ale kilku marynarzy natychmiast ją poprawiło).

Większość czasu spędzała w jednej z biurowych klitek, korzystając z bogatych zasobów elektronicznej biblioteki okrętowej. Czytała o broni nuklearnej i efektach wojny jądrowej. I im więcej czytała, tym większe ją ogarniało przerażenie. W końcu, dysząc ciężko i czując, że całe ciało ma złane potem, wyłączyła monitor.

Diuk odnalazł ją siedzącą w zamyśleniu przed wygaszonym ekranem monitora.

– Hej – wykrzyknął pogodnie. – Szykują następne pif-paf i chcą, żebyśmy w tym też wzięli udział. Dobrze się czujesz?

– Tak – odparła. – Na tyle dobrze, na ile to możliwe. Wezwanie na następną konferencję nie zaskoczyło jej, natomiast wciąż nie mogła się oswoić z tym, że wchodzi do kabiny, w której prezydent Stanów Zjednoczonych, ubrany w dżinsy i T-shirt, siedzi przy stole wciśnięty między kilku oficerów marynarki wojennej.

Prezydent miał na głowie starą czapkę marynarską zsunietą nisko na czoło, na widok Alex i Diuka przyjaźnie się uśmiechnął.

– Boję się, że zostały nam już tylko miejsca stojące – powiedział.

– Nie ma problemu, panie prezydencie – odparli jednocześnie. Stanęli pod ścianą i jeszcze bardziej się ścieśnili, gdy doszło jeszcze kilku oficerów. Gdy w kabynie znalazło się czternaście osób – więcej niż zdawało się to możliwe – pokrywę wejściową zamknięto.

Prezydent zaczął bez żadnych wstępów.

– Przegrywamy tę wojnę, kochani. Nasze wojska poniosły straszliwe straty w powietrzu i na lądzie. Nawet okręty, które podjęły bezpośredni atak na trójnogi, zostały uszkodzone lub zatopione przez te ich przekłete lasery. Wróg stopniowo opanowuje cały kraj z przyczółków zdobytych wcześniej w dolinie Missisipi, i to zarówno na południe, jak i na północ od Saint Louis. Nie dalej jak dziś rano utraciliśmy zachodnią Pensylwanię, a nasze wojska musiały się wycofać do zachodniej Wirginii i Kentucky. Jedyne korzyści wynikające z naszych działań to niewielkie spowolnienie marszu trójnogów i odciąganie ich od skupisk ludności za pomocą taktycznych uników i wycofywania się. Wszystko to jednak prowadzi do ogromnych strat po naszej stronie i daje tylko chwilowe wytchnienie. Na Florydzie wróg podjął atak od północy i w ciągu jednego dnia trójnogi doszły aż do Orlando.

Wydałem rozkaz ewakuacji Centrum Kosmicznego Kennedy'ego, a nie muszę przypominać, że na południe od półwyspu już wiele łądu nam nie zostało. Wróg opanował całe Zachodnie Wybrzeże i kieruje się teraz w głąb kraju, koncentrując się na głównych skupiskach ludności. Teksas już został zajęty. Mimo tak olbrzymiej skali operacji, nadal wiemy bardzo mało o wrogu, z którym przyszło nam walczyć.

Admirał Schaeffer zebrał wszystkie analizy, jakie Pentagon był w stanie opracować na temat charakterystyki wroga. – Prezydent kiwnął głową na chudego, przypominającego mola książkowego mężczyznę, który w wymiętym mundurze wyjściowym siedział przy stole. – Panie admirale, czy może pan podzielić się z nami swoją wiedzą?

– Tak jest, panie prezydencie. – Admirał Schaeffer odchrząknął. – Wydaje się, że opancerzone trójnogi są jakimś kompozytowym materiałem na bazie węgla. Z

materiałów znanych na Ziemi najbliższe byłyby mu diamenty. Materiał ten nie poddaje się działaniu żadnej ziemskiej broni – począwszy od ciężkich armat, a skończywszy na pociskach przebijających najgrubsze pancerze i wystrzeliwanych z naszych najpotężniejszych dział przeciwpancernych. Krótko mówiąc, стоимy przed nie lada problemem. Jak dotąd, jedyną skuteczną bronią, która pozwoliła na wyeliminowanie z walki kilku trójnogów, okazała się broń jądrowa. Zważywszy jednak, że z powodu

Impulsu nasz arsenał atomowy jest znacznie mniej zasobny niż liczba maszerujących po kraju trójnogów, pójście tą drogą nie zapewni nam zwycięstwa w tej wojnie.

Prezydent ponuro pokiwał głową i ponownie zabrał głos.

– Nie jest też łatwo podjąć decyzję o użyciu bomby jądrowej, nawet gdyby ich było wystarczająco dużo i gdybyśmy znali dokładną pozycję wszystkich celów. –

Zaczerpnął powietrza i potarł dłonią czoło. – Tylko na tym okręcie mamy tuzin w pełni sprawnych pocisków nuklearnych. Przy użyciu raket Cruise możemy je wystrzelić na cele odległe setki kilometrów. Dzięki temu, że w momencie Impulsu Seawolf był w zanurzeniu, wszystkie komputerowe systemy naprowadzania są sprawne. Wiemy jednak wszyscy, że rakiety Cruise uzbrojone w głowice nuklearne to bardzo rozrzutny sposób walki z niewielkimi, ruchomymi celami. Nie mówiąc o tym, że jeżeli w walce z najeźdźcą zasypimy pociskami nuklearnymi połowę naszego kraju, to nawet jeśli wygramy tę wojnę, co nam z niego zostanie?

– Pustynia nienadająca się do zamieszkania, panie prezydencie – wtrąciła Alex.

Choć czuła, że pytanie prezydenta było retoryczne, uznała, że należy na nie odpowiedzieć wprost. Wiedziała, że obraz oceanu śmiercionośnego gazu rozlewającego się po nadrzecznej dolinie w Marylandzie do końca życia zostanie jej w pamięci. Poza Diukiem, była w tym gronie jedynym naocznym świadkiem potworności towarzyszących marsjańskim atakom i uznała, że nie wolno jej milczeć.

Powinna zrobić też wszystko, by do wyobraźni prezydenta trafiła skala zniszczeń i ludzkich cierpień, jakie pociągnie za sobą użycie broni jądrowej.

Nabrała powietrza w płuca i skoczyła na głęboką wodę.

– Skażenie radioaktywne spowoduje, że rejony wokół miejsc wybuchów nie będą się nadawały do zamieszkania prawdopodobnie przez dziesiątki lat. I nie chodzi tylko o miejsce samego wybuchu, ale o obszar w promieniu wielu kilometrów.

Natomiast

opad radioaktywny roznoszony

przez zjawiska

atmosferyczne może w zasadzie wysterylizować resztę kraju. I nawet jeśli pominiemy kwestię tak zwanej nuklearnej zimy – sprawa nie jest do końca pewna, ale istnieją przesłanki, które tę teorię uwiarygodniają – to najprawdopodobniej spowodujemy, że na całym kontynencie wymrą wszystkie gatunki ssaków. Bomba zrzucona kilka dni temu w Marylandzie może stać się na przykład źródłem takiego radioaktywnego opadu na Waszyngton i Baltimore, że do końca naszych dni nie będą się one nadawały do zamieszkania.

– Przepraszam, pani doktor, że przerywam – odezwał się jeden z naukowców okrętowych. – Ale

według ostatnich doniesień z Norfolk sprawy nie wyglądają aż tak źle. Oczywiście natężenie opadu radioaktywnego z atmosfery jest większe niż zwykle, jednak nie grozi skażeniem terenu. Jest więc nadzieja, że dawki nie okażą się nadmiernie śmiertelne.

A czy jest coś takiego, jak „nadmiernie” i „nie nadmiernie” śmiertelne? Jednak Alex nie zdecydowała się zadać tego pytania głośno i powiedziała tylko:

– Norfolk leży pięć razy dalej od miejsca wybuchu niż Waszyngton. I jest jeszcze za wcześnie, żeby się wypowiadać na temat skażenia, które może się rozprzestrzenić aż po Wirginię i New Jersey.

– Doktor DeVane i poruczniku Douglas, dziękuję za państwa komentarze –

skwitował prezydent. – Właściwie i tak podjąłem już w tej sprawie decyzję. Nie planujemy dalszych ataków nuklearnych, chyba że taki atak byłby jednoznacznie uzasadniony koniecznością ratowania życia wielu ludzi lub dawałby szansę pokonania większej liczby tych przeklętych trójnogów bez obawy o poważną dewastację środowiska. Oznacza to, że będziemy nasze pociski nuklearne trzymać w pogotowiu i użyjemy ich wówczas, gdy Marsjanie znajdą się na odludnych rejonach zachodnich stanów, o ile tam dojdą.

– Ale, panie prezydencie, jeśli wolno... ? – wtrącił komandor Ricketts, dowódca Seawolf.

– Ależ oczywiście, komandorze, słuchamy.

– Chodzi mi o to, że w tej chwili wielu tych łajdaków mamy dokładnie namierzonych. Kilkadziesiąt dobrych, zweryfikowanych celów w New Jersey i południowej części stanu Nowy Jork. Proszę tylko pomyśleć – gdyby udało się je wszystkie zniszczyć za jednym zamachem, to mógłby to być punkt zwrotny w całej wojnie!

Alex słuchała zdrętwiała ze zgrozy. W przypadku tego rodzaju ataku znaczna część Wschodniego Wybrzeża uległaby zniszczeniu od samych tylko eksplozji. A co do opadu radioaktywnego, nikt nie potrafi w miarę dokładnie przewidzieć jego długofalowych skutków. Przygryzła jednak tylko wargę i z napięciem wpatrzyła się w prezydenta, który w zamyśleniu wolno pokiwał głową.

– Rozumiem, Rick – powiedział w końcu. – Ale nie możemy obecnie podjąć takiego ryzyka. Doszedłem do wniosku, że koszt takiego postępowania byłby większy od korzyści.

Kapitan zacisnął usta w cienką, zbielełą kreskę i pokiwał głową, jednak nie próbował obstawać przy swoim. Alex obserwowała tę scenę z podziwem, z ulgą stwierdzając, że nawet w tak ekstremalnych okolicznościach naczelną zasadą cywilnej kontroli nad wojskiem jest wciąż bezwzględnie respektowana. Pozwoliła sobie nawet na głębokie westchnienie ulgi.

– Ale przecież musimy coś zrobić! – wykrzyknął inny oficer z załogi Seawolf.

Alex wydawało się, że rozpoznaje w nim dowódcę uzbrojenia okrętu. –

Przepraszam, panie prezydencie – dodał skruszonym tonem. – Ale nie możemy przecież siedzieć z założonymi rękami i tylko się temu gównu przyglądać.

– Nie, Jimmy, nie możemy się temu gównu tylko przyglądać. Całkowicie się z tym zgadzam. Ale jest na szczęście inna możliwość warta przedyskutowania.

Możliwość, która, nawiasem mówiąc, jest głównym powodem dzisiejszego spotkania. Komandor porucznik Rogers uzyskał ciekawe wyniki analizy marsjańskiej substancji, której próbkę dostarczyła nam doktor DeVane. Panie poruczniku, proszę opowiedzieć, do czego pan doszedł.

Serce Alex skoczyło w piersi, gdy rumiany oficer służby medycznej spojrział na nią z uśmiechem, mrugnął porozumiewawczo i zaczął mówić.

– Dzięki próbce dostarczonej przez doktor DeVane udało mi się przeprowadzić pewne badania. Tak jak pani przypuszczała, jest to substancja pochodzenia organicznego. Zgadzam się również z pani opinią że to fragment jakiejś zewnętrznej powłoki, służącej zapewne do ochrony marsjańskiego stwora podczas pokonywania przestrzeni kosmicznej, lub coś w rodzaju pancerza, z którego ów stwór wyrósł i go z siebie zrzucił. Gdybym musiał się za czymś opowiedzieć, powiedziałbym, że mamy do czynienia z zewnętrzną powłoką, która okrywała któregoś z Marsjan podczas podróży międzyplanetarnej. Powłoka ta pozwala mieniąc, że do podtrzymania procesów życiowych organizmy Marsjan potrzebują wody i bazują na cząsteczkach węgla, czyli pod tym względem są bardzo podobne do wszystkich organizmów ziemskich. Jednak pod pewnym względem różnią się one zasadniczo i być może istnieje szansa, że odkryjemy ich słaby punkt – oświadczył, raptownie zmieniając ton na bardziej uroczysty, co kontrastowało z budzącą radosną nadzieję treścią jego słów.

– Badania pod mikroskopem od razu zwróciły naszą uwagę na coś niezwykłego. Mianowicie, na podstawie tej próbki można sądzić, że marsjańskie stwory noszą na sobie miliony bakterii. W błonie występowały i świetnie w niej egzystowały prawie wszelkie możliwe zarazki, jakie normalnie biorą udział w procesach gnilnych.

– Czyli nie możemy liczyć, że dostaną u nas kataru i umrą? – odezwał się prezydent. Ten wątpliwy żarcik wywołał dość wymuszone uśmiechy na twarzach wszystkich obecnych z wyjątkiem porucznika, którego ta uwaga wyraźnie rozbawiła.

– Nie, panie prezydencie. A to dlatego, że już go mają, a przy okazji grypę i wszelkie inne możliwe infekcje, jakie są im potrzebne do życia. Dlatego niewykluczone, że tym, co by im naprawdę zaszkodziło, byłaby potężna dawka lekarstw.

Wyraźnie zadowolony z siebie i z wrażenia, jakie zrobiły jego słowa, lekarz wyciągnął z kieszeni koszuli słoiczek tabletek i zamasyście postawił go na stole.

– Panowie... i pani – powiedział z błyskiem w oku. – Proponuję zaordynować im penicylinę. Myślę, że na początek wystarczyłoby jakieś dwadzieścia pięć kilogramów.

Prezydent z napięciem obserwował miny obecnych. Niewątpliwie znał wcześniej wyniki badań i wynikające z nich wnioski. Choć można było powiedzieć, że się uśmiecha, rysy miał zastygłe w zawziętym grymasie. Jak u wygłodniałego wilka, który po wielu staraniach trafia wreszcie na trop świeżej krwi.

24 czerwca

Baza marynarki wojennej w Norfolk, Wirginia

Do przejrzanego i zatankowanego do pełna warthoga podczepiono dwie niezwykle bomby w postaci pojemników z antybiotykiem – po jednym u nasady każdego ze skrzydeł. Diuk i Alex, którzy wrócili na ląd zaledwie dwadzieścia minut wcześniej, stali w wejściu do hangaru.

– I oczywiście musiałeś się zgłosić na ochotnika do tej misji, prawda? –

powiedziała bezradnie, nie wiedząc, czy ma być z niego dumna, czy powinna dać mu w nos.

– Oczywiście. – Wzruszył ramionami.

– Wiem – szepnęła i ścisnęła mu dłoń.

W ciągu kilku następnych godzin po spotkaniu zarówno wszystkie apteczki na terenie bazy, jak i skromne ambulatorium na pokładzie Seawolf zostały ogołoczone z zapasów penicyliny, amoksycyliny i wszelkich innych popularnych antybiotyków.

Marynarzom powierzono otwieranie setek maleńkich ampulek i wysypywanie białego proszku na zwilżone wodą i pocięte w strzępy, cienkie płótno. Specjalista od uzbrajania bomb sporządził specjalną mieszankę wybuchową i umieścił ją w środku każdego pojemnika w taki sposób, że po uderzeniu bomby o ziemię miał nastąpić wybuch, powodujący rozpylenie mgiełki pyłu antybiotykowego w promieniu około trzydziestu metrów.

Jeśli komandor porucznik Rogers nie mylił się, zetknięcie się Marsjanina ze specyfikiem powinno wywołać u niego groźne i śmiertelne objawy. Natomiast gdyby się mylił...

Alex starała się nawet nie myśleć o takiej ewentualności, bo wciąż miała przed oczyma obraz gryba atomowego.

– Mam nadzieję, że będziesz ostrożny – powiedziała, przytulając się do Diuka. –

Nie po to cię odnalazłam, żeby znów cię puszczać na jakieś szaleńcze eskapady!

Pocałował ją namiętnie i kilku marynarzy z naziemnej obsługi odwróciło dyskretnie wzrok. Kilku innych gapiło się, przyjaźnie się uśmiechając.

– Proszę się nie martwić, pani doktor – powiedział pogodnie. – Na dzisiejszą kolację mamy Pod Małżę zarezerwowany najlepszy stolik z widokiem na port. Szef sali zapewnił mnie, że cała knajpa będzie do naszej dyspozycji, więc lepiej nałóż na siebie coś seksownego.

Ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak z silnikami ryczącymi na pełnych obrotach jego A10 pędzi po pasie i unosi się w powietrze. Wiedziała, że ostatnio zauważono obecność kilku trójnogów na przedmieściach Richmond, i właśnie te wybrano na cel ataku. Wiedziała także, jak śmiertelnie

niebezpieczne okazały się marsjańskie lasery dla innych samolotów i choć Diuk nie powiedział tego wyraźnie, domyślała się, że jego nietypowe ładunki będą wymagać precyzyjnego bombardowania z małej wysokości.

– Doktor DeVane? – Stał za nią ten sam starszy bosman, który kilka dni wcześniej wyjechał po nią i Diuka na lotnisko. – Prezydent powiedział, że może chciałaby pani posłuchać rozmów przez radio. Mogę panią zaprowadzić do naszego baraku łączności.

– Tak, chętnie. Dziękuję.

To, co nazwał „barakiem łączności”, okazało się oświetlonym setkami jarzeniówek, podziemnym bunkrem wielkości szkolnej sali gimnastycznej, w którym pracowało kilkadziesiąt osób w mundurach marynarki wojennej. Wszyscy ze słuchawkami na uszach siedzieli przy konsolach, kręcąc licznymi gałkami i pokrętłami.

Powitał ją młody porucznik o nazwisku Robinson, który posadził ją przy wolnej konsoli i wręczył parę słuchawek.

– Aż do czasu zakończenia misji pilota obowiązuje cisza radiowa, tak nas przynajmniej uprzedzono – wyjaśnił. – Ale czekając na jego zgłoszenie, może uda się pani złapać coś innego na częstotliwościach cywilnych. Potem, w odpowiednim momencie wejdziemy na jego częstotliwość. Wcześniej będziemy ją tylko monitorować i włączymy się, gdyby się działo coś nieprzewidzianego.

Założyła słuchawki i w pierwszej chwili nie usłyszała nic poza własnym tętnem.

Pokręciła trochę gałką, wszędzie jednak słychać było tylko szum. Gdy porucznik Robinson lekko klepnął ją w ramię, odchyliła jedną słuchawkę, by go lepiej słyszeć.

– Nadaje pewien ciekawy facet – powiedział, nachylając się i obracając gałkę na jej skali. – Nazywa siebie Partyzantem Wrigleyem i od jakiegoś tygodnia nadaje samotnie z rejonu Chicago. Cały czas przenosi się z miejsca na miejsce tak, żeby Marsjanie nie mogli go namierzyć.

– Dzięki – odparła i zaczęła słuchać niskiego, spokojnego głosu, który rozbrzmiał w jej słuchawkach.

– ...to, co mówiłem kilka dni temu o sytuacji w Bliźniaczych Miastach.

[Bliźniaczymi Miastami nazywane są Minneapolis i Saint Paul. Matką Rzek nazywana jest Missisipi] Podobno trójnogi rozłazą się po dolinie Matki Rzek w dół i w górę. Opanowały już wszystko od Nowego Orleanu aż do Saint Paul. Pomyśleć, że cała nasza wspianiała historia spływa teraz do morza. Biedne stare Memphis...

Alex czuła głęboki żal w głosie mówiącego nie tylko z powodu samej treści słów.

Jego głos brzmiał tak, jakby poniósł ogromną osobistą stratę i tylko starał się nie okazywać tego na zewnątrz, chowając prawdziwy żal w głębi serca. Z jakiegoś powodu przyszedł jej na myśl ojciec.

– Ale wystarczy tego uzalania jak na jeden dzień, a poza tym i tak będzie lepiej, jak już zabiorę swoje

kłopoty pod pachę i, że tak powiem, dam nogę. Za to jutro spotkamy się tam, gdzie marynarka wojenna mogłaby zacumować okręt, gdyby chciała wysłać marynarzy do fajnego baru. Pojawię się na antenie w porze, o której mieliście zwyczaj oglądać pierwsze wejście Marta i Katie.

Alex zaskoczyły zagadkowo brzmiące uwagi mówiącego, choć nie miała wątpliwości, że miał na myśli chicagowskie nabrzeże marynarki wojennej i słynną parę prowadzącą telewizyjny program Today. Już miała zapytać porucznika, czy on zawsze się tak zachowuje, gdy prowadzący wygłosił jeszcze na koniec apel:

– Kochani, zaczynam się tu czuć naprawdę cholernie samotny. Czy ktoś mnie w ogóle słucha? Ktokolwiek? Jeśli możecie, odezwijcie się i wpadnijcie, żeby mi powiedzieć cześć. W każdym razie odezwę się znów jutro rano. Jest 24 czerwca i wasz Partyzant Wrigley mówi wam do usłyszenia.

– On tak zawsze – potwierdził porucznik w odpowiedzi na jej pytanie. – W ten zaszyfrowany sposób informuje, skąd i o której będzie znów nadawał. Pewnie się boi, że Marsjanie potrafią rozumieć naszą mowę. Za każdym razem próbuj ą go złapać i są blisko, ale jak dotąd udawało mu się ich przechytrzyć.

– Są jeszcze jacyś inni, tacy jak on? Tacy, którzy nadają z innych miejsc kraju albo nawet świata? – Alex pomyślała, że to byłoby bardzo pocieszające.

– Jest jeszcze kilku – odparł Robinson. – Niektórzy wchodzą na antenę i nadają tak długo, póki ich Marsjanie nie dopadną.

Ale, niestety, nigdy nie trwa to zbyt długo. Zlatują się do nadajnika jak muchy do miodu. Inni pojawiają się sporadycznie i na krótko. Wśród nadających istnieje poczucie więzi, trochę jak wśród dawnych radioamatorów, tyle że ci biorą na siebie ogromne ryzyko. Partyzantowi Wrigleyowi udaje się im wymykać dzięki temu, że wciąż się przemieszcza z miejsca na miejsce i nadaje bardzo krótko.

Razem z porucznikiem pokręcili jeszcze gałką w poszukiwaniu innych audycji, ale nie znaleźli niczego poza śladami sygnałów zbyt niewyraźnych i dalekich, by można je było rozróżnić. Nadeszła tymczasem pora planowanego ataku bombowego i należało się przełączyć na specjalną częstotliwość zarezerwowaną dla tej misji.

Przez nieskończenie długi czas panowała na niej głucha cisza, by nagle, bez żadnego uprzedzenia, rozbrzmieć głosem pilota. W odróżnieniu od spokojnego, niemal beznamiętnego tonu, jakim Diuk meldował o zrzuceniu bomby wodorowej, tym razem mówił podnieconym głosem, niemal krzycząc.

– Bezpośrednie trafienie! Jedna poszła prosto w kopułę tego skurwiela.

Podleciałem tak szybko, że zanim się zorientowałem, co się dzieje, już było za późno.

Bomba wybuchła i widziałem w powietrzu wielką białą chmurę proszku, która opadła na obu Marsjan.

– Gdzie teraz jesteś? – zawołała Alex, choć wiedziała, że nie może jej usłyszeć.

– Jestem teraz w pobliżu Hopewell – odezwał się znów już nieco spokojniejszym tonem. – Jakieś dwadzieścia kilometrów na południe, kurs jeden-cztery-zero.

Zostałem trafiony, straciłem oba silniki. Ale ster wysokości wciąż działa i lecę z dużą prędkością, więc nie ma problemu. Będę wodował na James. Powinno się udać... tafla wody jest gładka.

– Zaraz! Co do...? – Słyszała dochodzące do niej słowa, ale nie umiała im nadać właściwego znaczenia. I dopiero gdy spojrzała na śmiertelnie pobladłą twarz porucznika Robinsona, dotarła do niej treść tego, co Diuk powiedział. Znów rozległ

się jego głos. Brzmiał spokojnie, bardzo profesjonalnie i nie było w nim śladu strachu.

– Alex, jeśli mnie słyszysz, kocham cię!

A potem zamilkł i słychać już było tylko szum.

DZIEWIĘĆ

24 czerwca

Johnsburg, Illinois

Most nad rzeką Fox okazał się nieprzejezdny i było tak pewnie jeszcze od czasu Impulsu. Zatrzymałem jeepa na zachodnim krańcu mostu i odtworzyłem sobie w myślach, co się tu wydarzyło. Wszystko musiało się zacząć od zderzenia na środku mostu dwóch wielkich SUV-ów, które następnie zaparły się o betonowe bariery po obu stronach mostu. Jeden leżał na boku i blokował półtora pasa ruchu, drugi stał

zaklinowany między pierwszym a betonową barierą mostu.

Ze złością walnąłem w kierownicę. Żeby dotrzeć do najbliższego mostu na północ, musiałbym się cofnąć kawał po drogach, które dopiero co z takim mozołem przebyłem, a zajęło mi to prawie całe przedpołudnie. Gdybym natomiast chciał

objechać most od południa, droga zawiodłaby mnie wprost do McHenry, na co, po wysłuchaniu opowieści Carrie Page, zupełnie nie miałem ochoty.

Musiałem się dobrze zastanowić, co robić dalej, wysiadłem więc i wypuściłem psy, by też rozprostowały nogi. Natychmiast zajęły się obwąchiwaniem i obsikiwaniem filarów mostu, potem zbiegły w dół ku rzece, by zrobić to samo w rosnącym tam małym zagajniku. Podparty pod boki przyglądałem się zawalidrogom blokującym przejazd. Nawet rowerem bym się nie przecisnął, a co dopiero samochodem.

Potem, chcąc ustalić ilość potrzebnego miejsca, zacząłem mierzyć wzrokiem jeepa i moje spojrzenie powędrowało do urządzenia zamontowanego na przednim zderzaku – wyciągarki. Wiedziałem, że taka wyciągarka to po prostu mocny silnik elektryczny o doskonałych parametrach mechanicznych, który służy do przesuwania ciężkich przedmiotów lub wciągania jeepa na strome i śliskie wzniesienia. Patrząc na dwa rozbite kolosy – jednym z nich był expedition, drugim suburban – nie mogłem jednak uwierzyć, by mój mały samochodzik był w stanie poruszyć, a cóż dopiero je odciągnąć.

Ze złością odrzuciłem myśl, by się poddać, i zacząłem kombinować. W końcu nie potrzebowałem aż tak dużo miejsca, żeby się przecisnąć. A expedition blokujący most od mojej strony stał przynajmniej na kołach, choć w poprzek osi mostu. Ale i tak nie miałem na dziś nic innego do roboty.

– Klondike! Galahad! – zawołałem głośno i oba psy wybiegły z zagajnika. –

Siad! Zostań! – rozkazałem, wskazując wjazd na most. Ku memu zaskoczeniu oba psy bez protestu posłuchały i znieruchomiały, ja zaś wróciłem do jeepa myśleć, co robić dalej.

– No, zaraz... – powiedziałem głośno i zajrzałem do środka. Przyjrzawszy się desce rozdzielczej, bez trudu odnalazłem właściwy przełącznik. Włączyłem go i silnik zaczął buczeć. Metodą prób i błędów ustawiłem właściwy kierunek oraz szybkość obrotów, tak że z bębna zaczęła się powoli odwijać

solidnie wyglądająca, stalowa lina zakończona budzącym respekt hakiem. Odwinąłem z dziesięć metrów i zaczepiłem hak o amortyzator tylnego koła expedition. (Moją pierwszą myślą był

zderzak, ale pomyślałem, że pewnie oderwie się tylko kawał blachy, a sam pojazd nawet nie drgnie).

Wsiadłem do jeepa, przestawiłem przełącznik na zwijanie i powoli wybrałem cały luz. Zaciśnąłem zęby i nie gasząc silnika, czekałem, co będzie dalej. Usłyszałem darcie metalu, a naprężona lina zadźwięczała jak struna. Jednak potężne tryby nie przestały się obracać i z radością usłyszałem szorowanie opon po asfalcie. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że SUV nawet nie drgnął, za to jeep, drąc oponami, zbliża się coraz bardziej do wielkiego wraka. No oczywiście: prosta zasada fizyki mówiąca, że większe i cięższe ciało przeważając, ciągnie ciało mniejsze i lżejsze.

– Jasny gwint! – wrzasnąłem i wyłączyłem silnik. Właściwie miałem już dosyć, najchętniej wróciłbym do domu, tylko że na to było już za późno.

Spróbowałem podejść do sprawy z naukowego punktu widzenia. Wyciągarka wyglądała na wystarczająco mocną, lina też. Problem polegał więc na unieruchomieniu jeepa. Wtedy przypomniałem sobie linkę holowniczą w bagażniku.

Wyciągnąłem ją i rozważyłem możliwości. Betonowa bariera mostu wsparta była na solidnie wyglądających słupkach, więc jeśli obwiążę linkę o taki słupek, a drugi koniec zamocuję do jeepa, to może się uda i moje małe ciało zostanie w miejscu, a wielkie wysunie się z zakleszczenia. W każdym razie warto spróbować.

Linka zakończona była prostymi klamrami, umieszczony zaś z tyłu jeepa i zakończony kulką hak do przyczepy dawał łatwy i dogodny punkt zaczepienia.

Dokładnie obejrzałem najbliższy słupek bariery mostowej, upewniając się, że nie jest pęknięty. Wyglądał solidnie, więc obwiązałem wokół niego linkę, robiąc na wszelki wypadek potrójną pętlę, a drugi koniec założyłem na hak holowniczy. Linka była dość naciągnięta i teraz wystarczyło tylko lekko przesunąć jeepa, by w pełni się naprężyła.

Zasiadłem znów za kierownicą i czując prawdziwe podniecenie, przystąpiłem do realizacji planu. Silnik wyciągarki ruszył i znów pociągnął jeepa do przodu, jednak tylko tyle, na ile pozwolił mu luz linki holowniczej. Silnik zaczął rzeźić z wysiłku, poczułem, że cały jeep zaczyna wibrować. Nieco zbyt późno zdałem sobie sprawę, że jeśli lina na wyciągarce lub linka holownicza pęknie, to może strzelić prosto we mnie. Skuliłem się tylko i zostałem na miejscu, bo nie chciałem rezygnować z obserwacji tego, co się dzieje.

Po chwili uszkodzony SUV zaczął bardzo wolno przesuwać się! Jego ciągnięte bokiem opony głośno zapiszczały na asfalcie, tył odchylił się od bariery mostu, ukazując wąską szparę, po czym expedition zaczął sunąć w stronę jeepa. Już po krótkiej chwili zdałem sobie sprawę, że dalsze ciągnięcie nic nie da. SUV przesunął

się równoległe do bariery, a powstała szpara była wciąż za wąska, żeby się przez nią przecisnąć. Jednak teraz już wiedziałem, co trzeba zrobić. Odczepiłem obie liny i ruszając jeepem do przodu i do

tyłu, przestawiłem go na drugą stronę jezdni. Potem znów przywiązałem go do słupka – tym razem po lewej stronie mostu – zaczepiłem linę i już po chwili SUV odsunął się od bariery na tyle, że powstała wystarczająca szczelina.

Psy cały czas obserwowały moje poczynania z niepokojem, choć chwilami jakby z rozbawieniem. Gdy w końcu zwinąłem obie liny, radośnie wskoczyły na swoje miejsce w bagażniku, a ja ruszyłem w dalszą drogę. Dopiero niedawno minęło południe, a Chicago leżało wprost przede mną tuż za linią horyzontu.

24 czerwca

Baza marynarki wojennej w Norfolk,

Wirginia

Należące do straży przybrzeżnej trzy śmigłowce Black Hawk stały gotowe do startu i z ryczącymi już silnikami czekały, aż podjadą cztery wojskowe ciężarówki.

Gdy tylko dwudziestu czterech marines w kevlarowych hełmach i Alex wybiegli z ciężarówek, silniki śmigłowców ryknęły jeszcze głośniejsze, a wirniki zaczęły wściekle młócić powietrze.

Marines podzielili się po ośmiu na śmigłowiec i Alex dołączyła do jednej z grup.

Drgając i trzęsąc, wszystkie trzy śmigłowce uniosły się w powietrze i pognały nisko nad wodą w stronę ujścia rzeki James. Alex próbowała nie myśleć o Diuku czekającym teraz gdzieś w wodzie, wolała nie wyobrażać sobie momentu wyskakiwania i wpadania do wody. Wolała myśleć, że siedzi teraz gdzieś bezpiecznie na brzegu z raketnicą lub kawałkiem spadochronu w ręku, którymi zasygnalizuje swoją pozycję i to, że mu się nic nie stało i że jest gotów do szybkiego powrotu do bazy.

Piloci śmigłowców lecieli szerokim wachlarzem, starając się objąć wzrokiem jak największy teren, jednak na ciemnej wodzie nigdzie nie było śladu po A10. Lecieli w górę rzeki, zbliżając się coraz bardziej do Hopewell, gdzie nastąpił atak Diuka. W

normalnych okolicznościach mogliby odnaleźć stracony samolot dzięki wbudowanemu weń urządzeniu radiolokacyjnemu, jednak jak wszystko inne, również i te urządzenia zostały uszkodzone przez Impuls. A ponieważ wiadano, że wysyłane przez nie sygnały mogłyby przyciągnąć uwagę Marsjan, specjalnie się nie spieszo z ich naprawą.

Dlatego musieli polegać tylko na własnych oczach. Niestety, mętna woda rzeki nie pozwalała wejrzeć głębiej, samolot zaś musiał zatonać w całości, nie zostawiając nad powierzchnią żadnych wystających fragmentów.

– Zbliżamy się już do strefy zrzutu bomb – poinformował Alex szef załogi, nachylając się jej do ucha.
– Zostawimy poszukiwania tamtym, a my polecimy obejrzyć zniszczenia.

Kiwnęła głową, bo choć bardzo chciałaby uczestniczyć w dalszych poszukiwaniach Diuka, pamiętała, że jej rolą podczas tej misji jest ocena efektywności zrzuconej bomby antybiotykowej. Wkrótce pilot skierował maszynę nad szachownicę pól i zagajników, a rzeka gdzieś się zgubiła. W oddali zobaczyli fragment spalonej ziemi, pilot jeszcze bardziej obniżył lot, przeleciał nad gęstym zagajnikiem i posadził swego Black Hawka po drugiej stronie gęstwiny drzew.

Mimo że Alex cały czas bacznie się rozglądała, nigdzie nie dojrzała żadnych trójnogów.

Żołnierze wyskoczyli ze śmigłowca, błyskawicznie rozwinęli się w tyralierę i przypadli do ziemi,

nim jeszcze Alex i młody porucznik zdążyli wysiąść. Biegiem poprowadził ją ku linii drzew oddalonej o jakieś sto metrów i zanim zdążyli tam dobiec, śmigłowiec już znów był w powietrzu.

– Po tamtej stronie lasu pilot zauważył coś, co mogło być trójnogiem – wyjaśnił

porucznik. – Postaramy się podejść najbliżej, jak się da.

Ruszyła za nim, przeciskając się między drzewami i mając świadomość, że po obu stronach lasu mogą czatować Marsjanie ze swymi śmiertcionośnymi laserami.

W końcu dotarli do krawędzi i ostatnie kilka metrów przed otwartą przestrzenią przebyli, czołgając się wśród powalonych, omszałych pni.

Kawałek dalej dostrzegła leżącą na ziemi szarą czaszę trójnoga. Nie było widać jej błękitnozielonych, świetlnych nóg, a ramiona przypominające macki nie ruszały się i nie wykazywały swej zwykłej sprężystości. I o ile można było mówić o uśmierceniu tego rodzaju groźnej maszyny, ta wyglądała na martwą.

– Możemy podejść trochę bliżej? – spytała.

– Moment – odparł i wskazał ręką w głąb doliny. – Proszę spojrzeć.

Alex odwróciła głowę i ujrzała następnego trójnoga, który szybkimi krokami zbliżał się do unieruchomionej maszyny. Zatrzymał się obok niej, uniósł obie macki w górę i zaczął nimi machać, jakby komuś grożąc. Potem podszedł jeszcze bliżej ich kryjówek. Alex poczuła roztrząsany przez niego omdlewający smród padliny i po raz pierwszy usłyszała też dźwięk – ciche, monotonne buczenie. Starając się nie zwymiotować i walcząc z chęcią wtulenia twarzy w mech, nie spuszczała wzroku z nienawistnego potwora.

Oboje z porucznikiem leżeli bez ruchu wciśnięci w miękkie poszycie i Alex pomyślała, że na szczęście jest tak gęste i wysokie, że niemal zupełnie ich zasłania.

Miała tylko nadzieję, że kosmici nie dysponują jakimś urządzeniem na podczerwień, które mogłoby wykryć ciepło wydzielane przez ich ciała. Ale nawet gdyby mieli, to i tak nikt by jej teraz nie odpędził od tego wspaniałego punktu obserwacyjnego.

Chwilę później zjawił się następny trójnóg, spiesząc wyraźnie ku unieruchomionej maszynie. Gdy dotarł na miejsce i niejako przejął na siebie rolę strażnika, ten, który przyszedł pierwszy, wyraźnie się odprężył i zajął swym leżącym kompanem. Zbliżył się do niego na niezwykłych, świetlnych nogach i stanął tuż nad nim.

Potem jego nogi zaczęły się kurczyć, a czasza zniżać. Gdy znalazła się ledwie kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, obie macki wyciągnęły się ku leżącej maszynie i dotknęły jej czubka. Alex zauważyła, że na ich końcach nie było teraz skrzynek będących źródłem przerażającej broni Marsjan. Trójnóg pewnie gdzieś wcześniej odłożył lub schował. Stalowe macki przypominały teraz zwinne, giętkie kończyny, którymi Marsjanin dotykał czubka leżącej maszyny.

Nagle otworzyła się pokrywa, a owe kończyny odsunęły ją na bok, sięgnęły do środka i ostrożnie wyciągnęły stwora o znanym jej już, groteskowym wyglądzie.

Tak jak poprzednio, Alex z trudem opanowała odruch obrzydzenia i odrazy.

Zobaczyła kluchowaty korpus z wyrastającymi z niego długimi, giętkimi mackami, których musiało być co najmniej tuzin – teraz zwisającymi bezwładnie. Jednak sam korpus pulsował i skręcał się, a macki drgały, stanowiąc oczywisty dowód tego, że stwór wciąż jeszcze żył.

Ale równie oczywiste było to, że jest bardzo osłabiony i zupełnie bezwolny. Alex patrzyła, jak stojący nad nim trójnóg unosi drgającego, pulsującego stwora, wkłada go do pancerza i odchodzi. Trzeci został w tym samym miejscu, nadal pełniąc funkcję strażnika i wciąż machając mackami.

Czas było się wycofać i opowiedzieć o tym wszystkim.

DZIESIĘĆ

25 czerwca

Pętla,

Chicago, Illinois

Jeszcze kilka miesięcy temu śródmiejski odcinek Michigan Avenue uważany był

za najlepszy rejon na zakupy na całym Środkowym Zachodzie – jedyny dający się porównać ze słynnymi miejscami na Manhattanie czy w Los Angeles. Tu mieścił się dom towarowy Bloomingdale, a także liczne pięciogwiazdkowe restauracje i hotele, modne nocne kluby i bistra. Na tej samej ulicy lub w jej bezpośrednim sąsiedztwie znajdowały się też słynne muzea i galerie sztuki, a rozległe, pełne zieleni tereny nad jeziorem Michigan stanowiły ulubione miejsce spacerów. Zwłaszcza w takie słoneczne letnie dni jak dziś. Tuż obok strzelało w niebo kilka najwyższych budynków świata, natomiast sprawny i nowoczesny system komunikacji miejskiej pozwalał dziesiątkom tysięcy pasażerów przemieszczać się stosunkowo łatwo i szybko. W dawnych czasach byłem tu kilkakrotnie w towarzystwie żony i córki. Obu im bardzo odpowiadała wytworna elegancja, atmosfera i muzyka na żywo we francuskiej restauracji o nazwie Fleur de Lis. Mnie najbardziej podobał się w niej chrupiący chleb z czosnkową maczanką. Szczególna atmosfera panowała w tym rejonie zawsze w okresie świąt Bożego Narodzenia. Cała Pętla tryskała wtedy barwami, muzyką i radością życia. Ale nawet w innych porach roku była to pulsująca energią dzielnica handlowa, zawsze pełna klientów, gapiów, przechodniów, włóczęgów i gliniarzy, z których wszyscy zajmowali się swoimi sprawami. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie były setki, może nawet tysiące ludzi.

Jako młody człowiek uważałem Chicago – a zwłaszcza Michigan Avenue – za miejsce ekscytujące i egzotyczne. Jednak im bardziej zbliżałem się do wieku średniego, tym bardziej zaczynało mnie ono męczyć i powodować, że najchętniej zwinąłbym się w kulkę, schronił w pokoju hotelowym, zamknął za sobą drzwi na klucz, zgasił światło i zasłonił okno. Nawet w czasach, gdy jeszcze wykładałem i potrafiłem siłą woli zapanować nad oddechem i wejść do sali pełnej studentów, miejsc w rodzaju centrum Chicago unikałem jak ognia. Już sam ruch uliczny potrafił

u mnie wywołać atak paniki.

I nie dlatego, że w ciągu tych lat miasto się tak bardzo zmieniło. Zmieniłem sieja.

Jeszcze zanim zacząłem bać się własnych studentów i własnej sali wykładowej w Madison, już chętnie wynajdywałem preteksty umożliwiające mi unikanie tego wspaniałego miasta. Było tu za dużo ludzi i za dużo samochodów, przez co już przy wjeździe do Chicago można było pół godziny stać w kolejce do budki opłaty za autostradę. I już dwadzieścia lat temu zacząłem korzystać z tego argumentu jako wymówki pozwalającej mi nie zbliżać się nawet do granicy stanu.

Teraz wszyscy stąd uciekli, a ja tu przyjechałem.

Stałem na środku tej niegdyś tak pełnej ruchu ulicy i dosłownie nie widziałem nikogo. Wszędzie oczywiście stało mnóstwo samochodów, które Impuls unieruchomił w różnych dziwacznych

miejskach, a w głębi jednej z bocznych ulic widać było wiadukt z torami słynnej miejskiej kolejki napowietrznej „L”. Promienie letniego, stojącego już wysoko słońca docierały do głębokiego kanionu ulicy i rozświetlały klasycystyczną fasadę Instytutu Sztuki, obok którego właśnie przechodziłem wraz z psami, które mnie na krok nie odstępowały. Z prawego ramienia zwisała mi strzelba, z którą zdążyłem się już tak oswoić, że była niemal częścią mnie, stanowiąc jakby dodatkową kończynę.

Jeepa zostawiłem w zaułku blisko dużego skrzyżowania, na które w razie czego mogłem łatwo wyskoczyć i ruszyć w którymś z czterech kierunków. Z jakiegoś niezbyt jasnego dla mnie powodu nie chciałem tą ulicą jechać samochodem. Czułem potrzebę pójścia nią piechotą. Może się obawiałem, że będę dla Marsjan bardziej widoczny w samochodzie niż pieszo. Ale bardziej prawdopodobne było to, że nie chciałem zakłócać warkotem silnika panującej tu ciszy. Czułem, że wjechanie autem w ten niemal święty spokój byłoby czymś w rodzaju świętokradztwa.

Szedłem więc, rozglądając się czujnie na boki i licząc na własne zmysły i instynkt psów. Miałem nadzieję, że ostrzegą mnie o niebezpieczeństwie, którego sam nie zauważę. Nad głową wznosiły się potężne wieżowce z przyciemnionymi szybami. Czy ktoś mógł tam za nimi być? Nie wiedziałem, ale nawet jeśli był, to nie robił nic, by zwrócić na siebie uwagę. Należało przyjąć, że te wszystkie wspaniałe biurowce są puste, i to już od dawna.

Za Instytutem Sztuki po lewej rozciągały się zielone tereny parku Granta, burząc wrażenie przebywania w kamiennym wąwozie i pozwalając wyobrazić sobie, że jest się u podnóża ogromnego, skalistego klifu, jakim była przytłaczająca architektura po prawej, od którego w lewo ciągnęła się porośnięta drzewami równina, łagodnie schodząca ku jezioru. Drzewa pokryte były gęstą, zdrową zielenią, a ich gałęzie z gracją wyginał letni wietrzyk. Wiele klombów i rabatek, których w tym ogromnym i ślicznym parku było pełno, obsypane było kwiatami, i jeśli nawet niektóre krzewy wyglądały na nieco zaniedbane, a trawa na trochę zbyt wysoką, nie psuło to ogólnego wrażenia piękna i sielskiego spokoju.

Klondike uniósł łeb i zawarczał, podrywając swe oklapnięte uszy u nasady, jakby w parodii postawienia ich na znak czujności. Spojrzał w stronę parku i zaczął

węszyc. Galahad też stanął i zawarczał, unosząc przednią łapę w instynktownej pozie pointera gotującego się do biegu. Uniosłem strzelbę, odbezpieczyłem ją i z palcem na spuście zacząłem wpatrywać się w mrok między drzewami.

Od razu je zauważyłem: szare cienie przemykające wśród drzew, pędzące po krętych, parkowych ścieżkach, wiercące się koło pięknie zdobionego pawilonu. Cała wataha przebiegła opodal, po wilczemu ostrożna, obserwując nas z czujnie postawionymi spiczastymi uszami. A więc kojoty dotarły aż tu i buszowały teraz w samym sercu największego miasta regionu. Uniosłem strzelbę i wymierzyłem – nie po to, by strzelić, tylko by poprawić sobie samopoczucie. Zwierzęta zachowywały ostrożność i nie próbowały się zbliżyć, jednak nie zauważyłem też u nich objawów lęku.

Ich obecność w parku jeszcze bardziej wzmogła moje poczucie samotności.

Poszedłem dalej środkiem szerokiej drogi utworzonej wśród unieruchomionych pojazdów, zapewne

zaraz po Impulsie. Z tej perspektywy miasto wyglądało właściwie na nietknięte, przynajmniej z pozoru. Na budynkach nie było widać śladów zniszczeń i nawet samochody stały w jako takim ładzie, jakby je tylko zepchnięto ku krawężnikom i zaparkowano nieco na ukos. W porównaniu z tym budynki w Delbrook Lake były znacznie bardziej zdewastowane przez Marsjan, jednak obraz tej wielkiej metropolii zdawał się dosadniej symbolizować straszliwy cios zadany naszej cywilizacji. Ilu ludzi padło tu ofiarą czarnego gazu? Ilu udało się uciec? I gdzie się podziiali?

Choć i tu widać było zniszczenia. Szczyty dwóch najwyższych budynków w mieście: Hancock Building i Sears Tower, zostały spalone – zapewne laserami – z wręcz chirurgiczną precyzją, co spowodowało, że pozbawione dachów górne części obu wieżowców przechyliły się w bok pod ostrym kątem, tak jakby jakiś szalony architekt podciął je gigantyczną piłą łańcuchową. Stanąwszy w odpowiednim miejscu, można było nawet dojrzeć zarys pokoi biurowych, restauracji i innych pomieszczeń, które wisiały teraz nad głową rozprute i całkowicie otwarte.

Niewątpliwie u stóp wieżowców musiały też leżeć stosy gruzu, jednak znajdowałem się zbyt daleko, by je zobaczyć.

W głębi bocznej uliczki zauważyłem wagony kolejki, które widocznie w jakiś sposób strącono z wiaduktu – leżały na jezdni rozbite i puste wśród zmiażdżonych samochodów oraz zapewne przechodniów. Przeszedłem przez skrzyżowanie i ponury widok skrył się za rogiem. Znow wróciło wrażenie, jakby miasto było pogrążone w spokojnym śnie, nie zaś brutalnie zgwałcone przez bezlitosnych najeźdźców.

Ale wiedziałem, że w tej bezmiernej pustce kryje się gdzieś co najmniej jeszcze ktoś. Miałem nadzieję, że w ciągu najbliższych godzin Partyzant znow się odezwie i chciałem odpowiednio wcześniej wrócić do jeepa, by zacząć słuchać radia. Szukanie samochodu dla Carrie spowodowało, że umknęła mi jego wczorajsza audycja, byłem jednak pewien, że przy odpowiedniej dozie cierpliwości uda mi się go znow namierzyć.

Zawróciłem do jeepa i ruszyłem na poszukiwanie jakiegoś odpowiedniego miejsca, by rozpocząć nasłuch radiowy. W końcu wróciłem w okolice tego samego parku, zostawiłem jeepa i wszedłem do środka. Usiadłem na otwartej przestrzeni, włączyłem radio i zacząłem nasłuchiwać.

Mijała godzina za godziną, jednak radio wciąż milczało.

25 czerwca

Baza marynarki wojennej w Norfolk,

Wirginia

Alex wystarczył jeden rzut oka na twarz oficera łączności, by po wylądowaniu wiedzieć, że Diuka nie odnaleziono. Serce skoczyło jej do gardła, jednak opanowała się i w milczeniu wsiadła do szoferki czekającej ciężarówce.

– Wciąż go jeszcze szukają – powiedział porucznik tonem pocieszenia. – Nawet ten śmigłowiec, którym tu pani przyleciała, tylko dotankuje paliwo i też zaraz leci.

Robią wszystko, co w ludzkiej mocy...

– Wiem – przerwała bardziej szorstko, niż miała zamiar.

– Wie pani, na pewno udało mu się wyskoczyć – ciągnął oficer, nie zwracając uwagi na jej ton. – A jak mówił, tafla wody była spokojna. Więc na pewno nic mu się nie stało. Dopłynął spokojnie do brzegu i lada dzień się tu u nas zjawi. To znaczy, o ile marines wcześniej go nie znajdą.

Alex czuła, że cały czas kombinuje, co by tu jeszcze powiedzieć, żeby ją pocieszyć. Z ulgą powitała widok bunkra łączności.

– Niech pani wejdzie – dodał, gdy była już w drzwiach. Czekał na nią starszy bosman, który natychmiast poprowadził ją do konsoli i wręczył mikrofon.

– Seawolf już się wynurzył i czeka – oświadczył. – Przy odbiorniku jest prezydent.

– Panie prezydencie?

Odezwał się i poznawszy go po głosie, zaczęła mówić, starając się zachować spokój.

– Mogę potwierdzić, że antybiotyki działają. Wprawdzie nie spowodowały natychmiastowej śmierci, ale w ciągu trzech godzin wywołały u wroga postępujący paraliż i znaczące osłabienie. Jedna machina została unieszkodliwiona, dwie pozostałe były tym wyraźnie zaniepokojone. – Meldunek Alex szedł z zamiejscowej anteny, ale nie był w żaden sposób kodowany, bo jeśli świat powinien coś usłyszeć, to właśnie tę informację. – Powtarzam: antybiotyki po zetknięciu z zewnętrzną czaszą trójnoga zdają się go unieszkodliwiać.

– To najlepsza wiadomość od początku inwazji – powiedział prezydent. –

Gratuluję dobrej roboty.

– Dziękuję, panie prezydencie – odparła i mimo starań jej głos się załamał.

– Alex, posłuchaj – rzekł szef państwa łagodnym, niemal ojcowiskim tonem. –

Nie przestają go szukać i na pewno znajdą. A na razie siedź tam i nadawaj. Pamiętaj, że sygnał emituje antena zlokalizowana zupełnie gdzie indziej, więc baza w Norfolk jest bezpieczna. Bardzo bym chciał, by ta wiadomość dotarła do wszystkich, którzy mogą nas słuchać.

– Tak jest, panie prezydencie. Tak zrobię. Panie prezydencie... dziękuję.

– Nie, Alexandrio – sprzeciwił się wciąż tym samym ciepłym tonem. – To ja dziękuję tobie.

Prezydent rozłączył się, starszy bosman kiwnął głową i Alex znów zaczęła mówić w nadziei, że wbrew wszelkiej logice słyszą ją ludzie na całym świecie.

– Mówi doktor Alexandria DeVane. Pracuję naukowo w NASA i chcę poinformować wszystkich o nowej taktyce walki z Marsjanami, dzięki której odnieśliśmy pewien sukces...

Jednak wypowiadała te budzące nadzieję słowa niemal bezwiednie, bo jej myśli i uczucia były teraz zupełnie gdzie indziej. Błądziły po mętnych wodach rzeki James i bezskutecznie próbowały w nie zajrzeć.

26 czerwca

Dom towarowy Marshall Fields, Michigan Avenue,

Chicago

Okno wystawowe ogromnego domu towarowego, wystające na chodnik w formie przeszklonego wykuszu, stanowiło doskonały punkt obserwacyjny na obie strony. Leżałem za barykadą zbudowaną z manekinów sklepowych, prezentujących damską bieliznę, i miałem oko na całą pustą ulicę. Obok cicho szumiało radio, którego nie wyłączałem w nadziei, że jednak Partyzant się odezwie. Od jego ostatniej audycji minęły już wprawdzie dwa dni, ale nie przyjmowałem do wiadomości, że mogło mu się coś przytrafić.

Na czas oczekiwania, we wnętrzu eleganckiego domu towarowego urządziłem sobie i psom niezłe obozowisko. Oba chrapały rozwalone na puszystych legowiskach z futer z nerek, a po obejściu stoisk w podziemiu zyskałem też pokaźny zapas jedzenia, picia i baterii do radia. Przez cały czas ani na chwilę nie odstępowałem odbiornika i nawet chodząc po sklepie, nosiłem go ze sobą.

Zawzięłem się, że następnej audycji już nie przegapię.

I rzeczywiście, godzinę później moja wytrwałość została nagrodzona. Zapadał

zmrok, a na niebie widać już było pierwsze gwiazdy, gdy nagle usłyszałem głos Partyzanta Wrigleya. Natychmiast zauważyłem, że jego zwykle swobodny i nonszalancki ton ustąpił miejsca zdyszanemu podnieceniu.

– Kochani, słuchałem pewnych wiadomości ze Wschodniego Wybrzeża.

Wygląda na to, że Marsjanie mogą jednak mieć słaby punkt. Trafiłem na komunikat, że zbombardowano ich pyłem z pokruszonych antybiotyków. Starej, dobrej penicyliny i różnych innych. Podobno grupa lekarzy i wojskowych wysypała je z kapsułek i zrobiła z nich bombę, a potem pewien pilot wojskowy zrzucił ją na tych śmierzeli. No i okazało się, że to działa! Naocznym świadkiem tego wszystkiego była jedna pani naukowiec z NASA, niejaka doktor DeVane. Twierdzi, że pod działaniem tych ładunków marsjański trójnóg padł, po prostu zwałił się na ziemię. A potem zjawiło się następnych dwóch i wyciągnęło tego pierwszego ledwo żywego.

Pamiętajcie więc – te cholerne trójnogi, które narobiły tyle zła, to tylko maszyny. A Marsjanie to obrzydliwe wijące się stwory z mackami, które tkwią w tych trójnożnych pancerzach. Muszę już kończyć, bo wciąż jeszcze kilku z nich kręci się po Wietrznym Mieście i coraz lepiej im idzie z namierzaniem mojego nadajnika. Ale znów się do was odezwę – powiedzmy, że tym razem jak w starym, dobrym filmie z Garym Cooperem. Nie zostawię was, kochani, i będę do was mówił z takiego miejsca, z którego widać gwiazdy nawet w środku dnia. Pamiętajcie, ludzie, nie traćcie wiary! Zwyciężymy tych śmierzeli, jeśli tylko nie będziemy przed nimi uciekać i kryć się. I czekać, że ktoś inny zrobi to za nas. Tu Partyzant Wrigley, który mówi wam wszystkim do usłyszenia.

Nawet nie zauważyłem końca jego audycji. W głowie aż mi wirowało od rozbudzonej nagle nadziei, nowych szans i pierwszej od wielu dni fali radości!

Alex żyje!

JEDENAŚCIE

26 czerwca

Dom towarowy Marshall Fields,

Michigan Avenue, Chicago

Wyszedłem z kryjówki i nie mogąc opanować radosnego podniecenia, zacząłem krążyć po stoiskach domu towarowego. Alex nie tylko żyje, lecz wygląda na to, że uczestniczy w najważniejszych działaniach zmierzających do wyszukiwania słabych punktów wroga. Tego wroga, który groził wyniszczeniem całego ludzkiego gatunku.

Czułem się tak, jakby przemówiła wprost do mnie.

Po zastanowieniu uznałem, że to rzeczywiście ma sens. Wszyscy zwrócili uwagę na otaczający Marsjan straszliwy smród zgnilizny, którego źródłem musiały być bakterie obecne w ich ciałach. Mało tego – nie tylko w nich obecne, ale wyraźnie niezbędne im do życia. I to zapewne ten wniosek doprowadził do zastosowania nowej taktyki z użyciem antybiotyków. Genialny pomysł! Co więcej, dzięki temu wpadłem też na pomysł, jak samemu przypuścić atak na Marsjan.

A co do Partyzanta Wrigleya, jego zagadki były tym razem dziecinnie proste. Nie miałem wątpliwości, że następną audycję nada jutro w samo południe z chicagowskiego planetarium, więc nie zostało mi zbyt wiele czasu. Wprawdzie wybrane przez niego miejsce znajdowało się bardzo blisko – ledwie kilka przecznic od mojej kryjówki w domu towarowym, dzięki czemu nie musiałem ruszać samochodu – jednak powinienem wcześniej zrobić jeszcze parę rzeczy.

Pamiętałem, że kawałek dalej znajduje się apteka. Poszedłem tam wraz z psami i wybiwszy jedną z wielkich szyb wystawowych, bez skrupułów włamałem się do środka. Magazynek lekarstw na zapleczu był nieco lepiej zabezpieczony, ale użyłem mojej śrutówki i odstrzeliłem zamek, po czym z dzwonieniem w uszach wkroczyłem do środka. Bez trudu odnalazłem regał z penicyliną i innymi antybiotykami.

Potem musiałem jeszcze podjąć decyzję, jak je zaaplikować Marsjanom, ale i z tym szybko sobie poradziłem. Zacząłem po kolei otwierać kapsułki i przesypywać zawartość do szklanych, półlitrowych słoików, które po napełnieniu szczelnie zakręcałem. Pracowałem tak przez całą noc, a rano miałem gotowe cztery granaty na Marsjan. To musiało wystarczyć, bo wkrótce czekało mnie spotkanie w planetarium.

Zapakowałem słoiki do małego plecaczka zabranego z domu towarowego, chwyciłem w rękę radio, natomiast po chwili zastanowienia postanowiłem zostawić strzelbę. Wiedziałem, że moje granaty są znacznie skuteczniejszą bronią.

Postanowiłem też pójść piechotą uznając, że bez samochodu będzie mi łatwiej poruszać się i korzystać z osłony parku Granta oraz podziemnych przejść koło planetarium. Oczywiście obecność psów trochę mnie dekonspirowała, jednak nawet nie przyszło mi do głowy, żeby je zostawić.

Z apteki do planetarium było tylko kilkaset metrów i przeszedłem je różnym krokiem. Czuję rozpierającą mnie energię i wolę działania, co przywodziło na myśl dawne, znacznie szczęśliwsze czasy. Według pierwotnego planu chciałem się do Partyzanta tylko zgłosić, przedstawić jako słuchacz i sprzymierzeniec, oraz zapytać, czy mogę mu w czymś pomóc. Teraz mój plan mocno się skonkretyzował i stał dużo bardziej ambitny.

Wiedziałem, że te audycje ściągają na niego uwagę trójnogów, które próbują wytropić miejsca nadawania audycji, i nie miałem powodów sądzić, że tym razem będzie inaczej. Dlatego postanowiłem, że zamiast się do niego zgłosić, ukryję się gdzieś w pobliżu planetarium i poczekam na nadejście jednego czy więcej trójnogów. Mimo że moja kondycja fizyczna pozostawiała wiele do życzenia, w swej naiwności byłem przekonany, iż potrafię rzucić półlitrowym słoikiem tak, by rozbić go na czaszy trójnoga i obsypać ją zawartością.

Do planetarium mieszczącego się w wielkim, zabytkowym budynku nad samym jeziorem prowadziła tylko jedna droga, którą pod ulicami poprowadzono podziemnymi przejściami. W jednym z nich, a ściślej mówiąc w niewielkiej, osłoniętej niszy obok wejścia, postanowiłem się ukryć. Psom też kazałem położyć się w głębi i krótko przed dwunastą rozpocząłem swoje czaty. Trzymałem przy uchu cicho nastawione radio i starałem się po równo dzielić uwagę między patrzenie i słuchanie.

Czas płynął wolno i choć ciągle rozglądałem się, gotów w każdej chwili podjąć akcję, przytłumiony dźwięk niewielkiego silnika zupełnie mnie zaskoczył. Chwilę później zobaczyłem zbliżający się leciwy mikrobus VW. Pomalowano go na posępny, szary kolor i jak na swój wiek był zaskakująco wolny od rdzy. Stanął na dużym placu za planetarium, który zapewne służył do załadunku i wyładunku towarów. Dygocąc z podniecenia, patrzyłem, jak z mikrobusu wysuwa się wielka niczym maszt antena. Niemal natychmiast usłyszałem też charakterystyczne pyknięcie w głośnikach i wiedziałem, że Partyzant włączył nadajnik.

Ukląknęłam i nie spuszczałam wzroku z mikrobusu, podkreśliłam nieco głośność.

Zaczął nadawać punktualnie o dwunastej, ale po raz pierwszy nie słuchałem zbyt uważnie tego, co mówił. Całą uwagę poświęcałem teraz obserwowaniu okolicy.

Odnotowałem, że znów zwraca się do słuchaczy z apelem o odzew, ale teraz miałem co innego na głowie. Powtórzył informację o skuteczności atakowania Marsjan antybiotykami i z nadzieją w sercu pomyślałem, że słucha go wielu, którzy jak ja podejmą teraz takie działania. Kilka minut później oświadczył, że następna audycja nadana zostanie z chaszczy wokół jaskini Cubsów, [Słowo cubs występujące w nazwie chicagowskiej drużyny baseballowej znaczy po angielsku „młode” lub „szczeniaki”] a do określenia czasu posłużył się tym samym hasłem co kiedyś, czyli godziną rozpoczęcia wieczornego meczu.

Znaczyło to, że około siódmej pojawi się koło stadionu Wrigley Field, i właśnie tam postanowiłem się do niego zgłosić. Ale teraz w głowie miałem tylko jedno: unieszkodliwić marsjańskie trójnogi, jak tylko się pojawią. Czekałem, aż się zlecą do jego nadajnika jak ćmy do ognia, i wtedy zamierzałem je zaatakować.

Cały czas się rozglądałem, czując rosnące zdenerwowanie i podniecenie. Nawet nie zauważyłem,

kiedy skończył i wypowiedział swoje sakramentalne „do usłyszenia”. Dlatego zaskoczył mnie dźwięk uruchamianego silnika, a kiedy spojrzałem w tamtą stronę, okazało się, że już zdążył schować maszt. Chwilę potem ruszył w obłoku szarych spalin. Rzęząc jękliwie starym silnikiem, przejechał tuż obok i było po wszystkim.

Uniosłem głowę i czując jak ze strachu oraz podniecenia wierci mnie w brzuchu, raz jeszcze rozejrzałem się wokół. Dwa słoiki miałem w plecaku, pozostałe dwa trzymałem w rękach, gotowe do użycia. Tylko czy w ogóle do tego dojdzie?

I w tym momencie go ujrzałem. Kroczył przez park Granta, poruszając się na niesamowitych, świetlistych odnóżach. Partyzant pojechał wzdłuż brzegu jeziora po Lake Shore Drive, a trójnóg widać go dostrzegł, bo raptownie skręcił, starając się zająć mu drogę.

Nigdy nie przypuszczałem, że trójnogi potrafią tak piekielnie szybko się poruszać. Nim zdążyłem wyskoczyć z kryjówki, już przeszedł obok i pognął za oddalającym się mikrobusem. Psy wyskoczyły za mną i zaczęły wściekle ujadać.

Uchwyciłem mocniej mój antybiotykowy granat, zamachnąłem się i z całej siły rzuciłem. Aż jęknąłem z zawodu, gdy słoik rąbnął w chodnik, rozbijając się wiele metrów od celu.

Ale trójnóg to zauważył i nie zwalniając nawet na sekundę, skierował ramię z laserem do tyłu. W odruchu paniki szarpnąłem się i schowałem za betonowy murek osłaniający wejście do podziemnego przejścia. Skuliłem się, Galahad przypadł mi do nóg, śmiertcionośny promień strzelił tuż nad naszymi głowami.

Jednak Klondike – jak zawsze ciężki i powolny w reakcjach – nie zdążył.

Laser trafił czarnego psa, który wydał z siebie tylko jeden krótki skowyt i zamilkł. Poczulem woń spalonej sierści i zobaczyłem, że zwierzę nieruchomieje na jezdni. Był straszliwie oparzony, choć jego łeb pozostał nietknięty i wciąż było widać ciemne, pozbawione blasku oczy i różowy jęzor wywalony bezwładnie na jezdnię.

– Ty skurwysynu! – wrzasnąłem i choć trójnóg znajdował się już zdecydowanie poza zasięgiem, zupełnie bezmyślnie rzuciłem za nim drugi z moich pocisków. Słoik rozbił się o chodnik, wyrzucając w powietrze obłok białego pyłu.

Wtedy trójnóg zatrzymał się, obrócił i skierował ku mnie oba śmiertcionośne ramiona. Mikrobusu nie było już widać, a ramię zakończone laserem unosiło się, jakby szukając następnego celu.

Ogarnęło mnie paniczne przerażenie. Dygotałem z wściekłości i żalu po stracie wiernego czworonoga, ale mogłem już tylko rzucić się do ucieczki. Pobiegłem przejściem na drugą stronę, wypadłem za róg i popędziłem pustą ścieżką. Galahad biegł obok, co chwilę mnie wyprzedzał, oglądał się i czekał w podnieceniu, jakby ponaglał do szybszego biegu. Przebiegłszy przez park, wbiegłem w ulicę zabudowaną z obu stron wysokimi gmachami z ciągnącymi się na parterze opuszczonymi sklepami z przyciemnionymi szybami wystaw: lombardem, jubilerem, jakimś barem szybkiej obsługi...

Widziałem, że marsjańska machina podąża moim śladem, i starałem się biec, ile sił w nogach, czując, że zaczyna mi brakować tchu. Okrążyłem narożnik i pobiegłem wzdłuż bocznej uliczki. Galahad cały czas gnał przede mną i chyba też był świadom grozy sytuacji.

Trójnóg wyłonił się zza narożnika i stwierdziłem, że znajduje się już przerażająco blisko. Zbyt blisko, bym miał szansę uciec. Pomyślałem, że jedyne, co mi pozostało, to atak, i rzuciłem w niego ostatnimi dwoma słoikami. Pierwszy rzut był znów niecelny, jednak drugi słoik trafił wprost w metalową czaszę i rozbryznął

się na niej z brzękiem, wzniesając obłok białego pyłu. Promień laserowy skierował

się w moją stronę, skoczyłem więc w bok i skryłem się we wnęce przed drzwiami do piekarni. Usłyszałem opadający dźwięk, podobny do tego, jaki wydaje zwalnająca obroty turbina, jednak byłem zbyt wyczerpany biegiem, by cokolwiek zrobić.

Mogłem już tylko gwałtownie łapać powietrze i czekać, aż śmiertelny laser dotrze do mnie.

Jednak minęła minuta, potem druga, a ja nie słyszałem nic poza dojmującą ciszą.

Z wahaniem lekko się przechyliłem i ostrożnie wyjrzałem na ulicę.

To, co mi się najpierw rzuciło w oczy, mocno mnie podbudowało. Trójnóg, którego zaatakowałem antybiotykiem, istotnie sprawiał wrażenie osłabionego. Jego świetlne odnóża zniknęły, a srebrzysta czasza spoczywała bezpośrednio na jezdni.

Ramiona poruszały się jeszcze dość energicznie, jednak w niezbyt skoordynowany sposób i bez wyraźnego celu. Na moich oczach ich ruchy stawały się coraz słabsze, powolniejsze i coraz bardziej zaczynały przypominać niekontrolowane drgawki.

Jednak zaraz zrobiło się dużo gorzej, bo zza rogu wychynał następny trójnóg, ominął trafionego kompana i ruszył w stronę mojej kryjówki. Zerwałem się do ucieczki, ale zamarłem na widok trzeciego trójnoga zbliżającego się z przeciwnej strony. Oba wyszły z najbliższych przecznic i w zasadzie zamknęły mnie w pułapce, odcinając drogę ucieczki.

W odruchu rozpaczki, odwróciwszy się, wymierzyłem kopniaka w szybę w drzwiach piekarni. Przy trzecim kopnięciu szkło puściło, rozsypując się kaskadą ostrych odłamków. Galahad i ja wpadliśmy do środka, rozpaczliwie rozglądając się.

Przed sobą miałem regał sklepowy, który w chwili ucieczki właścicieli musiał być pełen pieczywa.

Teraz wszystkie tace pełne były dziwnych kształtów pokrytych grubym kożuchem pleśni, w których można było domyślić się chlebów, bułek i innych wyrobów piekarskich. Leżące na półkach rogale i bagietki też już zdążyły pokryć się warstwą pleśni.

Wbiegliśmy za ladę, za którą znajdowały się tylko jedne drzwi prowadzące gdzieś w głąb. Pociągnąłem za klamkę i aż zawyłem z zawodu. Drzwi były zamknięte na głucho, a w dodatku zabezpieczone stalową sztabą. Jedno szarpnięcie przekonało mnie, że nie mam żadnych szans, by ją

pokonać. Z przerażenia zaczynałem odczuwać duszności. W panice spojrzałem ku wejściu, za którym roztaczał się jakże zwodniczo błogi spokój. Galahad widać też wpadł w panikę, bo miotając się po sklepie, walnął w stojak pełen okrągłych kupek pleśni, które kiedyś zapewne były bułkami do hamburgerów. Stojak runął na podłogę, rozrzucając po podłodze spleśniałą zawartość i wyrzucając w powietrze obłok zielonkawych drobin pleśni, które wesoło zatańczyły w promieniach słońca wpadającego z ulicy.

Chwilę potem sielankowy obrazek zniknął, bo szybę wystawową zasłonił sobą jeden z trójnogów. Skuliłem się za ladą i tuląc do piersi Galahada, zacząłem modlić się do Boga, którego od najmłodszych lat systematycznie ignorowałem, by zabrał

stąd potwora. Donośny brzęk tłuczonej szyby wystawowej dowiódł dobitnie, że moja prośba nie została wysłuchana, a w przeszklonej części lady ujrzałem ze zgrozą, że trójnóg ładuje się do środka.

Rozszedł się smród gnijącej padliny, który w niewielkim, zamkniętym pomieszczeniu piekarni ogarnął mnie ze zdwojoną siłą. Czasza na świetlistych nogach unosiła się tak wysoko, że grzbietem strącała kolejne lampy z sufitu, jej ramiona zaś na oślep młóciły po ścianach i regałach. Z brzękiem tłukącego się szkła runęła na podłogę przeszklona gablota, rozsypując wokół okruchy szkła i kolejną porcję spleśniałego pieczywa.

Trójnóg był tuż nade mną i ogarnęła mnie taka panika, że nie mogłem dłużej tkwić w bezruchu. Puściłem Galahada, który skoczył ku rozbitym drzwiom, i zacząłem gramolić się na nogi, okazało się jednak, że tuż nad głową mam wielką tacę pełną spleśniałych wypieków. Pchnąłem ją z całej siły, taca odbiła się od spodu trójnoga, a mnie udało się przemknąć pod nim i czmychnąć ku dziurze po szybie wystawowej. Wyskoczyłem na zewnątrz, ale potknąłem się i runąłem na chodnik, kalecząc się rozsypanymi wszędzie kawałkami szkła. Ogarnięty zwierzęcym strachem próbowałem się podnieść w obłoku zielonkawego pyłu, który wciskał się wszędzie, dławiąc mnie i oślepiając. Wszędzie wokół wirowały i tańczyły drobinny pleśni, które uniosły się chmurą z podłogi piekarni, spowiły trójnoga wewnątrz, przez wybitą szybę wydostały się na zewnątrz i opadły na trzeciego trójnoga stojącego pod sklepem jak na straży.

Nogi się pode mną ugięły i uklęknąłem na okruchach szkła, niezdolny do ucieczki czy jakiegokolwiek obrony. Z rozpaczą spojrzałem na Galahada, który nie tylko nie uciekł, ale wiernie stał tuż obok mnie, warcząc i obszczekując srebrzystego potwora. Przygotowany na szybki i nieuchronny koniec, niemal nie dosłyszałem głośnego łoskotu za plecami. W ostatniej sekundzie zdołałem przeturlać się na bok i uciec z drogi trójnogowi, który wynurzył się nagle ze środka piekarni. Poruszał się dość chwiejnie, po czym ze zdumieniem zobaczyłem, jak jego świetliste odnóża gasną i srebrzysta czasza z hukiem wali się na chodnik.

Trójnóg stojący na ulicy zaczął się nagle cofać, wydając z siebie wibrujący, metaliczny dźwięk. Zakołysał się niepewnie i jak pijak gwałtownie zachwiał w bok, następnie wyrznął w szybę wystawową ekskluzywnego sklepu z odzieżą i rozbijając ją, wpadł do środka. Ramię zakończone laserem wykonało kilka spazmatycznych ruchów, wyginając się i kołysząc, jednak laserowy strzał nie padł. Chwilę później ramiona wyprężyły się w ostatnim skurczu, bezwładnie opadając.

Mechaniczne buczenie, które towarzyszyło poruszaniu się trójnogów, zostało teraz zastąpione

jękliwym, przerywanym dźwiękiem, który chwilę potem zupełnie umilkł. Gdy udało mi się wreszcie złapać oddech i stanąć, okazało się, że oba trójnogi leżą na chodniku w zupełnym bezruchu. Galahad przestał szczekać, ale wciąż zjeżony i powarkujący podszedł ostrożnie do bliższego z nich i go obwąchał.

Ciągnęło mnie, by jak najszybciej stąd uciekać, jednak coś mnie powstrzymywało.

Stałem, patrząc to na jednego, to na drugiego, a moje podejrzania stopniowo przeradzały się w pewność. Trójnogi nie tylko osłabły, ale były wyraźnie niezdolne do dalszego działania.

Po prostu martwe.

Rzeka James, Wirginia

Diuk wygramolił się z wody i legł na płaskim, trawiastym brzegu rzeki.

Gwałtowne uderzenie samolotu o wodę spowodowało, że jego noga uległa mocnemu skręceniu w kostce. Udało mu się odsunąć osłonę i otworzyć zawór powietrza napełniający kamizelkę ratunkową, jednak ledwo zdążył się wydostać z tonącej maszyny, gdy pojawiły się trójnogi. Ogon jego warthoga, który po upadku do rzeki wystawał jeszcze nad wodę, natychmiast zajął się ogniem od marsjańskiego lasera, sam samolot zaś leżał w wodzie bez ruchu, wystawiając nad powierzchnię jedynie czubek nosa.

Kilka godzin po katastrofie usłyszał nad głową warkot śmigłowca i wiedział, że szuka jego, ale w zaroślach na brzegu widział też poruszającą się srebrzystą czaszę marsjańskiego trójnoga. W duchu apelował do pilota, by się jak najszybciej oddalił.

Nagle przyszła mu na myśl Alex! Boże, na pewno się uparła, że też chce uczestniczyć w poszukiwaniach! Trwał w całkowitym bezruchu, póki klekot wielkiego Black Hawka nie oddalił się i zupełnie nie ścichł we mgle unoszącej się nad zakolem rzeki.

Tkwił tak ponad dobę, unosząc się w kamizelce ratunkowej wśród pływających po rzece rupieci i starając się nie zdradzić swej pozycji dwóm trójnogom, które z uporem przeszukiwały cały teren. Jeden z nich wszedł nawet na wodę i wyciągnąwszy ramię, zaczął obmacywać pod wodą wrak zatopionego warthoga.

Przez noc i część następnego dnia Marsjanie nie ustawali w przeczesywaniu okolicy, robiąc coraz to większe kręgi i znów wracając do miejsca katastrofy. Co jakiś czas na chybił trafił strzelali laserami, starając się nimi wyszukać ofiarę.

Gdy w końcu zrezygnowali i odeszli, Diuk zdecydował się wyjść z ukrycia.

Dopłynął do brzegu, używając tylko rąk, gdyż każdy ruch nogą przesywał ciało ostrym spazmem bólu. Potem jeszcze przez cztery godziny leżał ukryty w przybrzeżnych szuwarach i dopiero upewniwszy się, że trójnogi rzeczywiście odeszły, wygramolił się na brzeg.

Uznawszy, że nikt go już nie obserwuje, ruszył na czworakach przez płataninę zarośli. Noga strasznie

go bolała i nie widział żadnego sposobu, by dać komuś znać o sobie. Czując ogarniającą go rozpacz, wyciągnął z kabury i uchwycił obiema rękami służbowy pistolet.

Jeśli Marsjanie go tu znajdą, to na pewno nie pozwoli im się zabić.

DWANAŚCIE

26 czerwca

Wrigley Field,

Chicago, Illinois

– Woła do was Partyzant Wrigley, bo moja wiadomość jest tak radosna, że nie wystarczy tylko mówić. W Chicago rozegrały się ostatnio niezwykle dramatyczne wydarzenia, które pozwalają z nadzieją spoglądać w przyszłość. I to nie jakąś tam zwyczajną przyszłość, ale przyszłość gatunku ludzkiego. A więc mam nadzieję, kochani, że mnie naprawdę słuchacie, bo mam dla was autentyczną bombę!

Partyzant Wrigley mrugnął do mnie porozumiewawczo. Zaskoczył mnie swoim wyglądem, bo okazał się człowiekiem mocno podstarzałym, dość niskim, z pokrytą zmarszczkami i okoloną siwą brodą twarzą oraz niemal zupełnie łysą czaszką.

Powiedział mi, że naprawdę nazywa się Jim Patrick, a przed tym był radiowym reporterem sportowym. Tak to dokładnie ujął: „przed tym”. Odnalazłem go zaledwie kilka minut wcześniej, a on postanowił od razu puścić moją historię na antenę.

Zapewnił mnie, że w sprzyjających warunkach atmosferycznych sygnał z jego nadajnika dociera do obu wybrzeży. W każdym razie obiecał, że będzie tę historię powtarzał tak długo, aż cały świat się o niej dowie. Siatka takich jak on zapaleńców radiowych, którzy przekazywali sobie z ust do ust wiadomości, stale rosła i udawało im się cały czas o krok wyprzedzać Marsjan. Dlatego był pewien, że wystarczy opowiedzieć o moich przygodach, a wiadomość o nich rozejdzie się lotem błyskawicy.

Patrzyłem, jak mówi pełnym podniecenia głosem, i zostawało mi tylko mieć nadzieję, że jego głos rozejdzie się po całym świecie.

– Jest tu obok mnie niejaki Mark DeVane, któremu nie tylko udało się przeżyć spotkanie z Marsjanami, ale jednego z nich załatwił czymś w rodzaju antybiotykowego koktajlu Mołotowa, w postaci szklanego słoika napełnionego proszkiem przesypanym z kapsulek podprowadzonych z apteki. Ale nie to w jego opowieści stanowi clou. Wolałbym, żeby sam wam o tym opowiedział, ale jest człowiekiem ciut nieśmiałym i obarczył tym mnie.

Kiwnąłem potakująco głową gestem potwierdzenia i zachęty.

– No więc, kochani, wygląda na to, że cholernych kosmitów da się załatwić nie tylko za pomocą antybiotyków, ale także zwykłej pleśni, która rośnie na starym pieczywie i zapewne na różnych innych artykułach spożywczych. Pan DeVane przekonał się o tym przez przypadek, gdy – uciekając przed atakiem trójnogów –

schronił się w pewnej piekarni w centrum Chicago. Twierdzi, że w rezultacie dwa trójnogi padły, a obaj Marsjanie wyzionęli ducha. Załatwiła ich pleśń na pieczywie i ten taki zielonkawy pył pełen zarodników, który uniósł się w powietrze, kiedy gówno walnęło w wentylator, czyli – jeśli wolicie –

kiedy Marsjanie walnęli w regał

ze starym pieczywem. I to uśmierciło tych sukinsynów. W każdym razie, nasz bohater został na miejscu razem ze swoim psem i odczekał, żeby się upewnić. I rzeczywiście, śmierdzieli szlag trafił. A potem odwiedził mnie w Wrigleyville i o wszystkim opowiedział. Okazuje się, że jest moim stałym słuchaczem. Przyszedł tu, żeby mi opowiedział jego historię. A więc, kochani, to jest wreszcie ta wiadomość, na którą wszyscy od dawna czekaliśmy. Teraz nie czekajmy dłużej, tylko wyjdźmy na ulice i dajmy tym sukinsynom zdrowo popalić. Od tej chwili będę tę wiadomość powtarzał co sześćdziesiąt minut o każdej pełnej godzinie. A na razie buźka, bo muszę się rozejrzeć za jakimś spleśniałym pieczywkiem...

27 czerwca

Punkt dowodzenia sztabu generalnego

Islamabad, Pakistan

Trójnogi zaatakowały Indie i posuwając się systematycznie na północ oraz zachód, zbliżały do granicy z Pakistanem. Było ich kilkadziesiąt, od wielu dni dewastowały gęsto zaludniony subkontynent indyjski i zdawały się z uporem zmierzać ku górzystym terenom państwa, które dotąd wychodziło z inwazji obronną ręką.

Generał Parvez stanął przed poważnym dylematem. Instynkt żołnierza podpowiadał mu, że powinien uderzyć, zanim najeźdźcy przekroczą granice jego kraju, zwłaszcza że dysponował potrzebnymi do tego celu arsenałem. Wkrótce po Impulsie pełni samozaparć i poświęceń naukowcy pakistańscy zabrali się ostro do pracy, dzięki czemu jego kraj dysponował już jedenastoma w pełni sprawnymi raketami z potężnymi głowicami nuklearnymi. Pociski miały zasięg rzędu półtora tysiąca kilometrów i marsjańskie trójnogi znajdowały się już daleko w głębi pola rażenia.

Doszedł w końcu do wniosku, że w zasadzie nie ma się nad czym zastanawiać i że podjęcie ataku jest jego obowiązkiem. Ostatecznie zarządził odpalenie rakiet na godzinę 5.00, kiedy wszystkie cele znajdują się już stosunkowo blisko. Dzięki wojskowej sieci telefonicznej, której sprawność również została w pełni przywrócona, rozkaz błyskawicznie dotarł do wszystkich dowódców sił

strategicznych. W rezultacie jedenaście rakiet odpalono niemal równocześnie.

Pociski skierowano na trzy główne ciągi marszu Marsjan, którzy posuwali się wzdłuż brzegu morskiego na Ahmadabad, przez pustynne obszary między Jodhpurem i Jaipurem, przez tereny ciągnące się od Delhi/New Delhi aż po Kaszmir i granicę z Pakistanem. Parvez zdawał sobie sprawę, że w ten sposób podejmuje atak nuklearny na kraj ościenny, zakładał jednak, że Indie zostały już tak mocno zrujnowane przez marsjańską inwazję, że arsenał nuklearny odwiecznego rywala zużyto lub unieszkodliwiono.

Uświęcone tym przeświadczeniem – jak i kilkoma płomiennymi modlitwami do Allacha – rakiety ze śmiertelnymi ładunkami poszybowały na kosmitów oraz kraj tak brutalnie przez nich podbity.

Bunkier dowództwa armii indyjskiej

Okolice New Delhi, Indie

– Wystrzelili! Jedna eksplodowała na południe od Kaszmiru, pozostałe lecą na centralne rejony kraju! Mam je na ekranie! – wykrzyknął przerażony oficer, wpatrując się w ekran radaru. – Widzę jeszcze dziewięć następnych w powietrzu.

– Durnie! – sapnął generał Suresh, potrząsając ze smutkiem głową. – Nie wystarczy im, że kosmici dewastują nasz świat? Teraz musimy jeszcze walczyć między sobą?

Oficer przy radarze nie odpowiedział. Siedział w milczeniu, wpatrując się w świetliste punkty na ekranie.

– Następna eksplozja. I jeszcze jedna – powiedział po chwili. – Czujniki naziemne potwierdzają, że to eksplozje nuklearne.

– Ile mamy rakiet gotowych do użycia? – warknął Suresh, zwracając się do dowódcy sił strategicznych, generała Neleva.

– W chwili obecnej sześć. Dwie następne powinny być gotowe w ciągu godziny.

– Doskonale. – Naczelny dowódca armii kiwnął głową. – Odpalamy.

Lotnisko Tradewind

Amarillo, Teksas

Pod nazwą Pamiątkowe Siły Powietrzne kryła się grupa amatorów lotnictwa –

zwyczajnych obywateli z co najmniej średnio zasobnymi portfelami – będących właścicielami wspaniale odrestaurowanych zabytkowych samolotów wojskowych.

Kiedyś nazywali się Konfederacyjnymi Siłami Powietrznymi i sądząc po uporczywym eksponowaniu „gwiazdek i pasków” z flagi Buntowników, większość szczerze identyfikowała się z tą politycznie niepoprawną symboliką. Nic też dziwnego, że największa liczebnie grupa członków pochodziła z Teksasu. Wszystkie maszyny zdolne do lotu zgromadzono dziś na małym lotnisku położonym w wąskim północnym kawałku Teksasu, zwanym Rękojeścią, w celu wzięcia udziału w pierwszej akcji bojowej nowego tysiąclecia.

Większość samolotów pochodziła z czasów drugiej wojny światowej i grupa ta składała się głównie z jednostek szkoleniowych, ale obejmowała także kilka pięknie odmalowanych mustangów P-51 i dwa thunderbolty P-47. Było nawet kilka bombowców, w tym ostatni latający B-29, a także jeden B-25, jeden B-26 i dwa bombowce nurkujące wykorzystywane przez marynarkę wojenną. Samoloty nie miały systemów komputerowych ani innych skomplikowanych urządzeń elektronicznych, dzięki czemu Impuls nie wyrządził im żadnych szkód.

Ponad pięćdziesiąt zabytkowych maszyn czekało teraz na pasach dojazdowych niewielkiego lotniska znajdującego się w tej części wielkiego stanu, która nie stała się jeszcze celem bezpośredniego ataku Marsjan. Przez bramę lotniska ciągnął ku nim sznur furgonetek i traktorów, rozjeżdżając się po płycie do poszczególnych stanowisk. Na skrzyniach pojazdów widać było sterty pokrytej pleśnią żywności, którą zebrano z opuszczonych przez właścicieli piekarni i zakładów przetwórstwa artykułów spożywczych.

Tom „Tex” McCarthy był właścicielem i pilotem samolotu szkoleniowego T-4 –

maszyny, którą wyremontował własnymi rękami, choć za cenę rozpadu swego małżeństwa. Nie zmieniło to jednak stosunku mężczyzny do samolotu, który był dla niego wszystkim. Od wielu lat

doroczne złoty wojskowych maszyn w Oshkosh stanowiły dla niego najważniejsze wydarzenie roku. Dziś czekało go jeszcze bardziej ekscytujące zadanie.

Tak jak pozostałe, jego samolot został uzbrojony w prosty ładunek w postaci grubych plastikowych worków na śmieci, które podwieszano pod kadłubem lub skrzydłami, albo – w przypadku B-29 i innych wielosilnikowych bombowców –

umieszczano w ładowniach bombowych. W rezultacie kilkuminutowego konstruktywnego myślenia trzy worki w zmyślny sposób podwieszono pod kadłubem samolotu Texa. Wystarczyło teraz pociągnąć dźwignię – tę, która służyła do zwalniania bomb i której poza ćwiczeniami nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się użyć – by jednocześnie zwolnić wszystkie trzy worki.

Młody funkcjonariusz policji z Amarillo wręczył mu mapę z kilkoma zaznaczonymi na czerwono punktami.

– Zajmij się, kolego, tymi gnojami na północ od Dallas – powiedział. – Zdążyli już spalić całe Houston i tereny dalej na północ aż do Fort Worth, a teraz idą na nas.

Tylko pamiętaj, żeby podejść nisko, bo te ich cholerne lasery są szybkie jak diabli.

– Jasne – potwierdził Tex, uśmiechając się zjadliwie. – Jeszcze mnie w życiu nic tak nie rajcowało, jak ta robota.

– No to powodzenia. Jeśli ten zwariowany pomysł wypali, to możesz, kolego, wyjść na zbawcę świata. – Policjant uśmiechnął się i mocno ucisnął mu dłoń.

Dwie minuty później Tex McCarthy za sterami swego szkoleniowca pognał po pasie startowym i wzniósł się w mgliste, poranne powietrze. Wokół siebie widział

jeszcze sześć identycznych jednosilnikowych samolotów szkoleniowych T-4.

Lecieli na wysokości nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią w luźnej formacji rozciągniętej na około dwa kilometry, by w ten sposób utrudnić ewentualny atak wroga.

Po godzinie lotu Tex ujrzał na horyzoncie obłoki dymu i cały szyk przegrupował się, kierując się wprost na dym i obniżając pułap do zaledwie trzydziestu metrów.

Raz jeszcze sprawdziwszy położenie dźwigni zwalnającej bomby i sposób jej natychmiastowego uruchomienia, Tex zacisnął dłoń na kole sterowym. Wiedział, że na moment zrzutu nie będzie miał zbyt wiele czasu.

A potem dojrzał błyszczące w porannym słońcu, srebrzyste czasze wroga. Trzy marsjańskie trójnogi posuwały się luźną tyralierą. Tex wziął na cel pierwszego z brzegu i otworzywszy do końca przepustnicę, zwiększył maksymalnie prędkość.

Pozostałe maszyny bez słów wiedziały, co robić, i podzieliły się po dwa na każdy cel.

Patrząc na kiwające się nad czaszami macki, pamiętał, że to właśnie na końcu jednej z nich znajduje się śmiertcionośny laser, o którym tak wiele słyszał. Zobaczył

na dole rozbłysk czerwieni, samolot po jego lewej w mgnieniu oka stanął w płomieniach i runął na ziemię, zamieniając się w wybuchającą i toczącą się kulę ognia.

Czerwony promień wyglądał nieszkodliwe, jednak gdy skierował się ku niemu, Tex poczuł paralizujący strach. Promień liznął jego samolot i silnik momentalnie zgasł, a spod jego osłony dobył się kłęb dymu. Śmigło zamarło, samolot zadygotał i zaczął opadać.

Spadał na ziemię.

„Co jest, do cholery?” – pomyślał. Ster wysokości wciąż jeszcze działał i zamiast dźwignię zwalnającą bomby, Tex dwiema rękami pchnął drążek i wprowadził

swego T-4 w ostrzejsze pikowanie. Wybrany cel znajdował się zaledwie trzydzieści metrów dalej.

Trafił dokładnie w jego środek.

Baza marynarki wojennej,

Wirginia

Alex czekała na powrót śmigłowców i znów jeden rzut oka na ponure twarze wysiadających marines wystarczył, by potwierdzić jej najgorsze obawy. Zdawała sobie sprawę, że robi się coraz ciemniej i było jej coraz trudniej mieć nadzieję.

Młody sierżant położył dłoń na ramieniu kobiety i lekko ją poklepał.

– Tylko zatankujemy, proszę pani, i zaraz znów lecimy. Będziemy teraz wypatrywać ognia albo czegoś w tym rodzaju. Po ciemku może być nawet łatwiej go znaleźć.

– Tak... Dziękuję – odparła, przełykając łzy.

– Doktor DeVane? – Usłyszała głos porucznika od łączności, który zdawał się nie odstępować jej na krok.

– Tak, o co chodzi? – burknęła niechętnie.

– Złapaliśmy kolejną audycję Partyzanta Wrigleya. Tego faceta z Chicago, którego już pani słuchała. Mówił naprawdę ciekawe rzeczy. Myślę, że powinna go pani posłuchać. Mamy to na taśmie.

Raz jeszcze spojrzała na śmigłowiec, do którego podjeżdżała już stara cysterna z paliwem. Wiedziała, że za kilka minut znów wystartują.

– Dobrze. Czyli znów brak łączności?

– Jasne. I proszę mi powiedzieć – bo to może być tylko zbieg okoliczności, ktoś o takim samym nazwisku czy coś w tym rodzaju – ale czy zna pani kogoś o nazwisku Mark DeVane? Kto mógłby aktualnie przebywać w Chicago?

Sama już nie wiedziała, czy ma wybuchnąć śmiechem czy płaczem.

Wschodnie Los Angeles,

Kalifornia

Rafael Fernandez, w uznaniu pajęczej zwinności oraz – jak sam lubił o sobie myśleć – swych umiejętności groźnego ukłucia, nosił ksywę Arano. I nareszcie nadszedł moment, żeby to wszystkim udowodnić. Przez cały dzień słuchał przez radio doniesień o zwycięstwach odnoszonych nad Marsjanami w różnych miejscach, takich jak Chicago, Teksas czy Wirginia. Skrzyknął więc swoich chłopaków, razem obeszlili kilka bodegas w najbliższym sąsiedztwie i wspólnymi siłami uzbierali cztery worki po mące zapleśniałych papryk, kawałków tortilli i starego sera.

Trójnóg kroczył środkiem Whittier Boulevard i cholernemu robalowi w środku musiało się wydawać, że jest tu panem wszystkiego. Za nim całymi kilometrami ciągnęły się zrujnowane i płonące zabudowania, a większość mieszkańców wschodniego Los Angeles zginęła lub uciekła.

Ale nie Arano i jego kumple. Czekał na swoje pięć minut i był żądny działania.

Rafael dał znak ręką i jego drużyna wyszła z cienia, by przystąpić do ataku.

Trójnóg zdawał się nie zwracać na nich uwagi – być może był nastawiony na poważniejsze zdobycze, jak maszyny czy prawdziwa broń. Tu jednak opadł go tuzin wyrostków, którzy z wrodzoną precyzją obrzucili go taką liczbą plastikowych woreczków, że cała metalowa czasza niemal utonęła w chmurze pleśniowego pyłu.

Dopiero wtedy ożył jego laser, sekundę później Jose oraz Carlos zalali się krwią i padli z krzykiem na ziemię. Ale ich pociski zrobiły już swoje. Promień lasera wystrzelił raz jeszcze, tym razem w niekontrolowany sposób gdzieś w bok, jakby Marsjanin tkwiący w środku zwijał się z bólu lub strachu. Na trójnóg posypały się kolejne woreczki, rozbryzgując się na twardej, metalicznej powłoce czaszy.

Chwilę później marsjańska machina wahała się w bok, stoczyła po stromym ocembrowaniu suchego kanału, ześliznęła na jego dno i zaczęła płonąć. Obu umierających chłopaków trzeba było zostawić, skracając tylko ich męki, ale reszta bandy ruszyła przed siebie. Mieli jeszcze mnóstwo amunicji i wiedzieli, że bez trudu odnajdą kolejnych Marsjan.

Rzeka James,

Wirginia

– Patrz, tam coś się pali! – wykrzyknął obserwator, klepiąc pilota w ramię. – Trzy ognie ułożone w trójkąt. To musi być sygnał!

– Widzę! – potwierdził pilot. Zatoczył koło w stronę trzech jasnych punktów i zaczął szukać miejsca do wylądowania.

– Tam... możesz tam usiąść! – zawołał obserwator, pokazując na dość dużą zieloną połąć w pobliżu kępy drzew porastających brzeg rzeki.

Śmigłowiec wylądował na polu tytoniu jakieś sto metrów od kopających ogni, które wyglądały tak, jakby palono w nich stare opony polane benzyną. Niemal natychmiast z ciemności wyłonił

się zarośnięty i wymizerowany mężczyzna w lotniczym kombinezonie, który kuśtykając na zaimprovizowanych kulach, ruszył w ich kierunku.

– To on! To Diuk Hayes! – wrzasnął obserwator do czterech marines, którzy zdążyli już zeskoczyć na ziemię. Chwycili rannego lotnika i wspólnie ponieśli go do maszyny.

Diuk Hayes trzymał w ustach wielkie cygaro i natychmiast wręczył swym wybawcom tuzin takich samych. Wyjaśnił krótko, że „uwolnił” je z pobliskiego sklepiku tytoniowego. Kostkę miał spuchniętą jak bania, ale zdawał się nie zwracać uwagi na ból.

– Miło was poznać, chłopcy – powiedział, znalazłszy się w środku. –

Podwieziecie kolegę pilota?

EPILOG

3 lipca

Port lotniczy O'Hare

Chicago, Illinois

Siedząc z Galahadem w jeepie, patrzyliśmy, jak warthog A10 z rykiem przelatuje nad płytą i podchodzi do lądowania na odległym pasie w głębi lotniska. Nie miałem pojęcia, jak i dlaczego Alex przylatuje jednomiejscowym bombowcem szturmowym, ale ponieważ był to jedyny samolot, jaki się tu od trzech dni pojawił, nie miałem wątpliwości, że to ona.

Uruchomiłem silnik i ruszyłem po lotnisku, mijając po drodze miejsca postojowe oraz rękawy pasażerskie, które jeszcze nie tak dawno przyjmowały setki samolotów pasażerskich dziennie. I może znów zaczną bo wieści z kraju brzmiały bardzo pocieszająco. W całych Stanach i na świecie ludzie podejmowali walkę z wrogiem, atakując go gdzie popadło wielce skuteczną łatwo dostępną bronią w postaci pleśni wyhodowanej na artykułach spożywczych. W samym tylko Chicago naszej garstce ocalonych udało się zebrać ogromne ilości spleśniałej żywności, zrobić z niej ręczne bomby i w ciągu zaledwie kilku dni oczyścić cały teren z najeźdźców.

A potem, kilka dni temu dotarła do mnie cudowna wiadomość. Dzięki pomocy i pomysłowości Partyzanta Wrigleya oraz jakiegoś technika z bazy marynarki wojennej w Norfolk mogłem przeprowadzić z Alex zdumiewającą rozmowę przez radio. Powiedziała, że niemal na całym Wschodnim Wybrzeżu Marsjanie zostali już pokonani i że właśnie wybiera się do Chicago.

Nacisnąwszy gaz, jeszcze szybciej popędziłem po pasach dojazdowych i łącznikach. Dotarłem do samolotu w momencie, gdy jego odrzutowe silniki właśnie gasły. Tajemnica samolotu wyjaśniła się, gdy ujrzałem podwójną osłonę i pojąłem, że warthog ma dodatkowe siedzenie. Szklana osłona otwarła się, a z wnętrza wyłoniła się moja córka, śmiejąc się radośnie i machając ręką.

Chwilę później Alex była już na ziemi i znalazłem się w jej objęciach. Za nią przykuśtykał Diuk Hayes – młodzieniec niezwykle podobny do swego brata.

– Zbudowali kilka dwumiejscowych warthogów do celów szkoleniowych –

wyjaśniła Alex radośnie. – Jeden taki stacjonował w bazie pod Waszyngtonem i prezydent osobiście upoważnił Diuka, żeby mnie nim zabrał. Tato, możesz w to uwierzyć? Jesteśmy tu razem! Przeżyliśmy i wygramy tę wojnę!

Ranek był słoneczny, ale obraz jej twarzy zupełnie się rozmazał we łzach lecących niekontrolowanym strumieniem z moich oczu.